

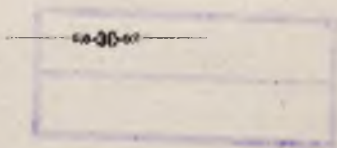
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 163.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1881.



Tom trzeci.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

—
1881.

4620.1881.3

II



30.000,-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Июня 1881 года.

X-14263	
4620/	II 3.
1881	

PRĄDY WSPÓŁCZESNE W NASZEJ POWIEŚCIOWEJ LITERATURZE.

I.

January.

(Szkic współczesny, przez Waleryą Marréne (Morzkowską). W dwóch tomach. Kłoby, rok 1880. Od numeru 757—792).

Rok 1864 bez zaprzeczenia położył kres epoce, słusznie czy nie, w literaturze naszej romantyczną nazwaną. Stanowczy przewrót w stosunkach ekonomicznych i społecznych wytworzył warunki całkiem różne od tych, jakie poprzedziły chwilę przełomu. Dawne zasady, na których się opierał dotychczasowy prawny i społeczny porządek; pojęcia, które się wyrobiły wiekami; wreszcie ułudy, którym się poddawał ogół i jednostki, zachwiały się i rozwiały bezpowrotnie, lub okazały niewystarczającymi do dalszego prawidłowego rozwoju.

Rzecz naturalna, iż dawne złudzenia i obalone zasady musiało coś innego zastąpić. W każdym razie ujawniło się, że w przeciwstawieniu z Zachodem zadługo żyliśmy uczuciem i wyobraźnią. Jakoż faktem jest, że o zasadniczych prawach bytu, o kwestjach ekonomicznych, ogół nie miał jasnego pojęcia. Również nie ulega zaprzeczeniu, żeśmy zanadto oglądali się na obce siły, zamiast polegać na własnych, jakie praca wytwarza; co zaś najgłówniejsza, że skutkiem długoletniego braku wyższych zakładów naukowych, ogół nie przeszedł przez pracę wewnętrzną ducha, w jakiej nas wyprzedziły na Zachodzie inne narody. Nic dziwnego przeto, gdy tyle było do odrobienia, że za godło przyjęto: „Wiedza—to potęga” i że wiedzę tę zaczęto inaugurować według zasad filozofii pozytywnej, jako w obecnym stanie umysłowego rozwoju jedynie naukowo prawdziwą.

Ale już to oddawna zauważono, iż każda doktryna, skoro padnie na świeży i nie wyrobiony grunt polskich umysłów, musi przybrać jednostronny kierunek. Tak było w XVI wieku z reformacją, której



zasadnicza idea wyrosła u nas w skrajny racjonalizm, jaki się w a-ryanizmie ujawnił; tak z filozofią Hegla, w imię której, walcząc z zaco-faniem, ciemnotą, chciano wszystko z gruntu obalać (Edward Dembow-ski); to samo stało się z filozofią pozytywnego kierunku, propagowaną przez umysły młode, więc namiętne i żartkie. Jakkolwiek wystąpie-nie ich było naturalną reakcją przeciw optymizmowi, z jakim ogół do-tychczas najważniejsze sprawy traktował, nie obliczając się z warunkami rzeczywistości i ztąd drogą opłacając swoje złudzenia; trudno jednak zaprzeczyć, iż obok szczenia wyników wiedzy współczesnej i burzenia wiekami utrwalonych przesądów, zaczęto także i zasady, na których się nasze społeczeństwo rozwinęło i wzrosło, mianowicie: wiarę i wy-pływającą z niej moralność. Jakoż zaczawszy od napadów na kleryka-lizm, nieomyślność, fanatyzm, reakcja pozytywna skończyła na głosz-eniu zasad materjalizmu i bezwyznaniowości, nie spostrzegając, że sama uległa innego rodzaju optymizmowi, w skutek którego stała się bezwie-dnym sprzymierzeńcem partii liberalno-niemieckiej, która właśnie bez-wyznaniowości zidentyfikowała z postępem dlatego, że chrystyanizm i wypływające z niego zasady moralności publicznej i rodzinnej stano-wią dla niej niewygodną zapórę w przeprowadzaniu wszelkiego rodza-ju szwindłów, gesztów, które zawsze sumienie chrześcijańskie, jako czyny nieuczciwe, potępia. Usunąć owe krępujące w swobodnych po-ruszeniach zawady, spaczyć pojęcia, obałamucić sumienia, wyrównać poziom moralności społecznej do poziomowi moralności gründerów, obalić krzyż, jako rzecz nieużyteczną, spróchniałą i niby z postępem wiedzy tegoczesnej niezgodną, a na jego miejscu postawić cielca złotego i prze-zeń zapewnić sobie panowanie nad światem: oto główny był cel owej partii, która w niemieckim kulturkampfe usiłowała najprzód zgnieść katolicyzm, wiedząc, że z liberalnym protestantyzmem łatwiej sobie pó-źniej poradzi.

Nie solidaryzujemy naszej pozytywnej reakcji, co do celów z ową partią liberalno-niemiecką. Owszem, jesteśmy przekonani, że w do-brzej wierze działała; chcieliśmy tylko wykazać, iż sama z kolei optym-izmowi uległa. Ponieważ owa partya, napadająca na chrystyanizm, występowała w imię wiedzy, postępu; przeto nie iść z nią równolegle, gdy się u siebie podobne hasło rzuciło, znaczyłoby tyle, co się narazić na zarzut zacofania, konserwatyzmu, wreszcie braku odwagi cywilnej—tak rzadkiego w ludziach przymiotu. Więc należało iść naprzód, nie bacząc na skutki, skoro się według owego przekonania drogą postępu kroczyło. Wprawdzie wiedza pozytywno-religijna nic nie skorzystała na ustawicznych przeciw wierze podjazdach. Przynajmniej w obozie pozytywnej reakcji nie widzieliśmy Millów, Maksów Mullerów, Rena-nów i Emilów Burnoufów; na systematycznym podkopywaniu religii straciła tylko, jak zwykle, moralność; faktem jest bowiem, że jeżeli owe anti-religijne dążenia w obozie konserwatystów budziły oburzenie i nie-smak, to znajdowały poklask tam, gdzie przy rozbudzonem do czytania popędzie, a ograniczonej wiedzy, lub słabym umyśle, trafiały na pozio-

me, brudne instynkta jednostek, zadowolonych, że znajdują w postępowych teoriach usprawiedliwienie swych czynów, które potępiała tak zwana przestarzała moralność.

Zrobiony jednak wyłom w literaturze, odznaczającej się po rok 1864 nieraz do śmieszności posuniętą pruderyą—wiadomo, że nawet Karolinie p. Hofmanowej zarzucano niemoralność w niektórych sytuacjach—otworzył szeroki do niej przystęp wszystkim najsakrajniejszym, najrzyzowniejszym teoriom.

Nie mielibyśmy nic zgola przeciw temu, gdyby owe teorie występowały w naukowej formie, budząc dyskusyą poważną, zmierzającą istotnie do wykrycia prawdy. Szerzone jednak za pośrednictwem dorywczych, dziennikarskich artykułów, w tonie nie zawsze odznaczającym się przyzwoitością, musiały zamienić się na rodzaj propagandy, tém niebezpieczniejszej, że namiętniej, że często trafiającej na umysły niedość przygotowane poprzednią uprawą do ocenienia doniosłości przedmiotów, często bardzo delikatnej natury.

Propaganda ta staje się tém niebezpieczniejszą, gdy ją bierze na siebie powieść, która ze swęj natury, działając głównie na uczucie i wyobraźnię, porywa za sobą wrażliwego czytelnika, wmawiając weń, że co dało się przeprowadzić w książce, to i w życiu może być dobre i zbawienne.

Wpływ ten jeszcze większej wagi nabiera, gdy stosowanie w życiu danęj kwestyi ma rozleglejsze znaczenie, gdy rdzennie interesów społeczeństwa dotyczy.

Czas więc może zsumować te nabytki, któreśmy prądami współczesnymi nazwali, ocenić społeczną ich doniosłość, przypatrzeć się wreszcie, o ile w życiu mogą znaleźć praktyczne zastosowanie, lub jakie wydały już owoce. W tym celu rozpoczynamy przegląd kilku powieści, wybitną nacechowanych dążnością, zaczynając od utworu p. Marrené, którego tytuł podaliśmy w nagłówku. Autorka widocznie należy do partyi, którą, wbrew przyjętemu dotąd zwyczajowi, nazywamy pozytywno-reakcyjną; stosownie też do przyjętego przez nią programu, pragnąc usunąć zaślepiające nasze społeczeństwo przesady, poruszyła w Januariusz jedną z palących kwestyi, wprowadzie nie na naszym gruncie, lecz we Francyi wyrosłą, ale którą niejednokrotnie już podejmowała w poprzednich swoich utworach.

Tą kwestyą jest sprawa rozwodowa, jak się każdy łatwo domyśli. Wiadomo, że rewolucya francuzka z 1789 r., znosząc wszystkie urządzenia kościelne, zaprowadziła śluby cywilne i rozwody. Zasady przez nią przyjęte, uświęcił następnie kodeks Napoleona, z tą wszakże różnicą, że nie odrzucił błogosławieństwa Kościoła, ale je uczynił zależnem od dobrej woli osób, zawierających małżeństwo; co zaś do rozwodów, oznaczył ściślej powodujące do nich przyczyny. Pomiedzy innymi wystarczało wprowadzie proste wniesienie żądania rozwodu, byle uczynione za zobopólną zgodą małżonków, lecz z warunkiem, że obok spełnienia innych formalności, jak zamieszkiwania wspólnie przez rok jeden,

od daty wniesienia żądania, zabezpieczą także pod względem prawnym i przyszłość swych dzieci.

Po przywróceniu jednak Burbonów, prawo rozwodowe zostało w r. 1816 zniesione, dopuszczając jedynie separacyą, co do łoża i stołu. Dopiero po rewolucyi lipcowej deputowany Schouan wniósł w Izbie projekt przywrócenia prawa rozwodowego z r. 1789; ale nie bacząc na roznamiętnienie umysłów, jakie za sobą każda rewolucya prowadzi Izba parów odrzuciła go stanowczo. Tego samego losu doznały usiłowania deputowanego Bavoux w roku 1832, Odilona Barot'a w 1833, wreszcie republikańskiego ministra sprawiedliwości Cremieux w roku 1848, którego propozycya odrzuconą była przez wyznaczoną do jęj rozpatrzenia komisya. I znów od owęj chwili 28 lat minęło, gdy w dn. 6 czerwca 1876 r., deputowany skrajnej lewicy, prof. Naquet, stawil wniosek do prawa rozwodowego, sformulowany w 12-tu artykułach, ale już stanowczo różniący się z kodeksem Napoleona w zasadzie. Gdy w nim bowiem prawo rozwodowe domaga się zezwolenia obojga małżonków, dla Naquet'a wystarcza objawienie żądania ze strony tylko jednego z nich, nawet bez wymienienia powodów (artykuł 12 wniosku). Wniosek ten jednak zanadto wiele stron ryzykownych posiadał, by większość w Izbie pozyskał. Zamieniony w prawo, mógł w społeczeństwo wprowadzić rozpasanie i podkopać rodzinę. Dla klas zwłaszcza zdemoralizowanych, nieoświeconych, wystarczałoby jednego poddmuchu namiętności, jednéj, drugiéj sprzeczki małżeńskiejj, wreszcie chęci zmiany przedmiotu, lub poprawienia sobie materyalnego bytu, by się domagać rozwodu. W takim razie społeczeństwo musiałoby się rozprzecz i na jednę lupanaryą zamienić. Przynajmniej nie byłoby co mówić o utrwaleniu rodziny, a tém mniej o prawidłowém wychowaniu dzieci, od których kierunku przyszłość kraju zawisła. O ten téż wzgląd rozbiły się wszystkie dotychczasowe usiłowania stronników rozwodu, nietylko we Francyi, ale i w innych krajach na Zachodzie; o ten szkopał rozbił się także w dniu 31 stycznia r. b. i wniosek Naquet'a.

Ale sprawa ta z pewnością nie byłaby pozyskała za granicami Francyi tak szerokiego rozgłosu, gdyby się jęj rzeczniczwa nie był podjął Al. Dumas (syn) i w swęj filipice: „La Question du Divorce,” mającéj już 11 edycyi, nie zużytkował całego arsenału wytrawnego sofisty na zbijanie obrony nienaruszalności małżeństwa, podjętęj przez ks. Vidieu i O. Dinon i nie dodał do nięj szczerze skandalicznęj zaprawy ¹⁾.

¹⁾ Że Dumas w „La Question du Divorce,” na wielu punktach zostaje z sobą w niezgodzie, to przyzna każdy bezstronny, nieobałamuony doktrynerstwem czytelnik. My zwrócinmy tylko uwagę na niektóre sprzeczności. I tak: na str. 27 przytaczając tekat Genezy: „Et Dieu les bénit et leur dit: Croissez et multipliez, etc.,” zaprzecza Kościołowi prawa mieszanania się do związków małżeńskich i powiada, że w tych słowach nie widzi nawet śladu sakramentu (aucun sacrement); tymczasem samo to wyrażenie *les bénit* dowodzi, że Ko-

Szczególniejszym trafem p. Marrené w swoich na tę kwestyą poglądach w wielu punktach zgadza się z Dumasem, do tego stopnia, iż możnaby mniemać, że „La Question du Divorce“ stała się dla niej postrąceniem do Januarego, gdybyśmy nie wiedzieli zkadina, że napisać nie przez nią tego utworu o wiele uprzedziło wystąpienie francuzkiego pisarza. W każdym razie fakt to godny uwagi, iż autorka poruszywszy tę kwestyą w „Mężu Eleonory i Róży,” znowu do niej w Januarym

ściół ma prawo co najmniej błogosławieństwo udzielać. Pomijamy jednak tę kwestyą, jako czysto teologicznej natury. Przechodźmy do innej, mającej już społeczno-prawne znaczenie. Załatwiwszy się ze ślubem kościelnym, Dumas interpretuje znaczenie ślubu ocywilnego i ponieważ za jego nierozzerwalnością przeciwnicy rozwodu w interesie dzieci obstają, dowodzi, że w całej jego formie niema wzmianki o dzieciach, czyli innemi słowy, że prawo nie opiekuje się nimi. Tymczasem na str. 246 mówiąc: „że gdyby małżonkowie chcieli adoptować dziecię urodzone z jednego z nich nieprawnie, nawet za wspólnym porozumieniem się z sobą, lub adoptować dziecię prawnych rodziców, lecz nie mieli 50 lat życia oboje, prawo ich żądanie odrzuci“ — sam własnym słowem, powyżej wypowiedzianym, zaprzecza. Czemże bowiem jest ta odmowa, jeżeli nie zabezpieczeniem praw legalnego potomstwa, które przed 50 rokiem życia rodziców, może jeszcze przyjść na świat? Po tych jednak zarzutach, uczynionych kodeksowi Napoleona, sam bezobowiązkowość rodziców względem dzieci w teorii swój do okrucieństwa posuwa. Przyznaje wprawdzie, iż rodzice winni są dzieciom: miłość, opiekę, naukę i poświęcenie (str. 297)—poświęcenie fantazy i namiętności, które są dla nich szkodliwe. Więcej nawet! obowiązani są dla nich życie poświęcić; ale obok tego dodaje, że nie mają obowiązku poświęcać im swych nadziei, uczuć, potrzeb moralnych i intelektualnych, słowem, praw istoty żyjącej i myślącej, praw kobiety i mężczyzny. To dziecię — powiada — gdy dorośnie, uczuje potrzebę innej miłości, niż mojej; ja nie mogę przeszkodzić mu kochać istoty, choćby nie była godną jego miłości (?). Dlaczego więc mnie nie ma być wolno iść za popędem mojej znowu miłości, szukać szczęścia, myśleć o swym spokoju, zdrowiu, umyśle i ciele (tak!). Zkądże — pyta — takie ograniczenia? Zkąd ta niewola? Zkąd ta swoboda dla dziecka? A więc coś się stało z tak szumnie głoszonemi poświęceniami na wstępie? Więc idea ofiary winna ustąpić miejsca pierwszej obudzonej żądzy cielesnej? W istocie są to słowa godne pisarza, który na niewierność małżeńską taką receptę wynalazł, jak: „Tuez le! Tuez la!“

Grubo się także myli autor „Damy Kameliowej“, twierdząc, iż „jeżeli śmierć jednego z małżonków nie narusza w dzieciach równowagi pod względem inteligencji i uczucia, to tém samém i rozwód demoralizować ich nie może“ (str. 300); gdyż dzieci tracąc przez śmierć ojca lub matkę, nie tracą dla żadnego z nich miłości, ani szacunku. Owszem, pamięć cnót i budującego życia oddziaływa na nie nawet z za grobu. Tymczasem rozwód zawsze napawa serca dzieci niechęcią do jednego z rodziców. W każdym razie, zabezpieczając prawa jednego z małżonków, nie zastępuje współudziału drugiego w wychowaniu żadnym dodatnim pierwiastkiem.

Przypisek autora.

powraca. Widocznie nie była zadowolona z jęj dotychczasowego rozwiązania przez siebie, skoro ją na nowo za przedmiot swego szkicu obrała. Zobaczmyż więc, o ile udało się jęj praktycznie kwestyą tę w Januarym rozstrzygnąć i o ile jego treść usprawiedliwia konieczność rozvodu w naszych stosunkach, gdzie, jak wiadomo, prawo uznaje jedynie separacyą i unieważnienie małżeństwa. Treść to nader prosta, w ogólnych rozważając ją zarysach, choć skomplikowana w szczegółach, mających nieraz bardzo ważne znaczenie. Oto jak się ona przedstawia:

W Warszawie mieszkają państwo Halscy. On jest bogaty przemysłowiec, ona pełną inteligencyi kobietą, obdarzoną głębokięm artystycznęm poczuciem, do tego piękną, ową „pięknoscią włoską, idealną, nadającą obliczu spokój i godność Madonny.”

Helena bowiem była florentynką przez matkę.

Małżeństwo to, po ludzku jest szczęśliwe, pomimo różnicy umysłowej, zachodzącej w wykształceniu małżonków, pomimo że p. Halski jest brzydki i wyłącznie interesami zajęty. Ale on tak serdecznie kocha żonę i dwoje przeslicznych dzieci: Lucyana i Anielkę; Helena znowu ma tak głębokie poczucie obowiązków i takim tchnie zawsze spokojem; miłość zresztą macierzyńska i starania o dzieciach do tego stopnia zapełniają jęj wszystkie godziny życia, iż pomiędzy dwojgięm małżonków najzupełniejsza zgoda panuje. Dla Heleny dom jest całym światem, który jęj zupełnie wystarcza. W chwilach wolnych zajmuje się muzyką, malarstwem, książką. Świat zaś towarzystw, zabaw, jest dla niej obojętnym zupełnie. Słowem, jest wzorową matką i żoną.

Tak było do chwili, dopóki na jęj drodze nie stanął January.

Ale któż jest ów January?

Jestto mocarz myśli i pióra, górujący rozległą wiedzą i talentem, nad całą młodą, literacką czeredą, która choć w swęm gronie liczy wielu niechętnych mu, jednak mimowoli korzy się przed jego umysłową potęgą, żywi okruciami jego myśli i uznaje w uim przewodzącę postępowego kierunku.

Tęgo kierunku autorka nie określa bliżej w swoim utworze; więc też i my jęgo określenie pozostawimy na koniec.

Co do samęj charakterystyki Januarya, tylko dodamy, iż według autorki „była to natura namiętna, łącząca do wiedzy uczonego usposobienie poety. Dwoistość ta stanowiła bogactwo i niebezpieczeństwo zarazem. Nie każda pokusa była dla niego groźną, ale za to, gdy się wkradła do jęgo serca, miała niepohamowaną siłę.”

W chwili, gdy autorka zaznajamia z nim czytelnika, serce to było wolne; dyszało właściwie tylko pychą, czerpiącą siłę w przekonaniu, jakie miał o swęj umysłowej wyższości; przekonaniu, które zresztą usprawiedliwiałó otoczenie, z młodych literatów złożone, nie wybiegających zdolnościami poza sferę mierności. On też gardził tą schlebającą mu w oczy czeredą, ale gardził prócz tęgo wszystkięm, co się nie dostrajało do miary jęgo pojęć; przedewszystkięm zaś gardził kobietą,

jako istotą, „której umysł spaczono, której ciało zdenerwowano, w której zabito myśl i rozsądek.” Nie pojmował nawet, by tak ułomna istota mogła stanowić o szczęściu mężczyzny. „Życie jój—mówił—to życie haremu, strzeżone przez umysłowych rzeźniców (!), a progu tego haremu przestąpić nie wolno (!), bo choć drzwi klucze nie strzegą, strzegą ich jednak przesady.” Takie pojęcia o kobiecie wygłaszał January w gronie owęj literackiej bohemii, zgromadzonej przy stole w restauracyi, gdyż właśnie zajęty był pisanem dzieła, z wielce obiecującym tytułem: „O stanie naszego społeczeństwa wobec wiedzy i prądów obecnych,” w którym, jak autorka mówi: „piórem ostrém, gryzącém, niepohamowanym, natchnioném wżgardą młodzieńczą, karcił wszystko co trąciło lenistwem, tchórzostwem, lub choćby tylko ostrożnością, burzył tradycyę, łamał wszelkie zapory, postawione swobodnej myśli i rzucał się naprzód bez względu na to, czy nie spotka otwartęj na swęj drodze przepaści.”

Było już wiele napisanych tego dzieła rozdziałów, obecnie miał poświęcić jeden, kobiecie. Zdawałoby się przeto, iż po tém, co o nięj w traktierni powiedział January, treść owego rozdziału była gotowa. Tymczasem autorka zaznacza, iż tu właśnie trafił na szkopuł, nie dający się łatwo usunąć. Dotąd żył on w sferze myśli jedynie, w towarzystwie wyłącznie męzkim, zatem nie znał natury kobiecęj—odgadywał ją raczej. Czuł przecież, że jeśli to, co chciał napisać, miało nosić cechę prawdy, to wypadało mu koniecznie odbyć pierwęj studya, zgromadzić fakta wzięte wprost z życia i na nich oprzeć swój wyrok nieodwołalny, stanowczy. By tego dopiąć, należało wejść między ludzi, poddać się wymaganiom form towarzyskich, a to było niepodobieństwem! January gardził konwenansami, zanadto był dumny, by się miał zniżać do podobnych małostek. Traf jednak posłużył mu daleko lepiej w tym względzie, niż gdyby bieg wypadków od niego samego zależał. Właśnie okna pokoju Januarygo wychodziły na ogródek, w którym zwykle pod werendą, oplecioną zwojami bluszczu, siadywała Helena w towarzystwie swych dzieci. Tu oko jego dostrzegło ją poraz pierwszy. Odtąd śledził młodą kobietę z początku jako zwolennik plastycznego piękna, którego rysy i cała postać Heleny były żywém wcieleniem; następnie pociągnięty ku nięj nieprzepartą siłą, która, burząc dotychczasowy układ jego myśli, budziła w piersi ciemne, dla niego samego jeszcze niezrozumiałe uczucia. Na nieszczęście, Helena tak podniosłych uczuć i nieskażonego charakteru niewiasta, miała przyjaciółkę niejaką panią Oktawią, istotę dość podejrzanego na kwestye moralności, poglądu. Otóż Oktawia, jakby zazdroszcząc jój domowego szczęścia, którego sama nie zaznała z mężem w pożyciu, używa całej potęgi wymowy, by przekonać Helenę, iż przy takim mężu, jedynie pieniężnymi interesami jak p. Halski zajętem, który pod żadnym względem nie dorasta do miary jój uczuć i inteligencyi, szczęście jój nie ma żadnej rzeczywistęj podstawy. Wreszcie nasuwa jój myśl, że „nie jest dosyć kochaną, że to przywiązanie spokojne, na którym dotąd przestaje, nie może jój na całe życie wystarczyć; że kiedyś, serce jój, nie zaspokojone

dotychczas, musi huragan namiętności pochwycić:" słowem, że przebudzenie się uczucia miłości w jej sercu, jest tylko kwestyą czasu i zbiegu okoliczności, które mogą jej przedmiot godny ukochania nasunąć. Wprawdzie Helena te podszepty kusicielki z całą mocą wyrobionego i przekonaniem ustalonego charakteru odpycha. Jakto? Ona, wzorowa żona, kobieta powszechnym otoczona szacunkiem, matka kochająca swe dzieci, miałaby upaść tak nisko, uleść podobnej słabości? Nigdy! W każdym razie Oktawia staje się bezwiednym sprzymierzeńcem Januarego, który siedząc w otwartym oknie swego pokoju słyszy całą tę rozmowę i tym więcej zaczyna się interesować kobietą, którą pod każdym względem, niepospolitą, wyjątkową znajdował. To wysokie o niej wyobrażenie jeszcze bardziej ugruntowało się w styczniu, gdy wieczorem w Dolinie szwajcarskiej ujrzał Helenę zatopioną w poetyckiej ekstazie pod wpływem odegranego ustępu z „Widma okrętowego“ Wagnera. Siedziała ona obok męża, którego nadmierna tusza i zachowanie się apatyczne w czasie koncertu przekonywało, o ile od niej umysłowo stał niżej. Wtedy to wzrok Heleny spotkał się z wzrokiem Januarego, a chwila ta była aż nadto wystarczającą, by dwie te istoty pociągnąć siłą magnetyczną ku sobie i tajemnicze nici sympatii, mające o ich przyszłości stanowić, nierozzerwalnie z sobą zadzierzgnąć. Przynajmniej January zdobył pewność, że owa kobieta, jedynie znana mu dotąd z widzenia, jest istotą pokrewną mu duchem i że bądź co bądź, powinna do niego należeć.

Zbliżenie się do niej było nieuniknione, konieczne. Zachodziła tylko trudność, w jaki sposób miało nastąpić. Ale traf znów usunął wszelkie przeszkody.

Nadmierny mimochodem, że w rozbieranym przez nas utworze, wszystkie okoliczności zewnętrzne noszą na sobie jakiś fatalistyczny charakter. Obecnie tym fatalistycznym wypadkiem był pożar, wszczęty w domu pp. Halskich wśród nocy; pożar, którego pierwszych pojawów dostrzegł January, zapatrzonej w okna gabinetu Heleny.

Wyskoczyć oknem z pierwszego piętra, wysadzić drzwi do mieszkania prowadzące z werendy, wyratować śpiące dzieci w chwili, gdy już płomień ogarniał zawieszone nad ich łóżeczkami firanki, było to dla Januarego dziełem jednej chwili, czynem, przez który sobie dożgonną wdzięczność Heleny pozyskał. Teraz szło o zdobycie jej serca. I oto ów January, który, według słów autorki nie miał dotąd możliwości poznania natury kobiecej, rozpoczyna rolę uwodziciela, ze zręcznością gracza biegłego w sprawach sercowych. Nie mówi jej o miłości, bo wie, że każde potrącenie o ten przedmiot, a témbardziej otwarte jej wyznanie, przeciwnyby skutek jego oczekiwaniu wywarło. Helena, według autorki, nie była zwyczajną kobietą: „zdawała sobie sprawę ze swego położenia, wiedziała do czego dąży, jaki cel postawiła sobie w życiu;“ słowem, „miała konsekwentność i logikę pojęć,“ a takie kobiety, jak autorka zapewnia, nie upadają w chwili zaponnienia, nie da-

ją się pochwycić przez rozigrane nerwy, ani przez nieokiełznaną fantazją; nie są ofiarami pierwszej lepszej woli, ale się bronić umieją.

Otóż January zrozumiał, że chcąc zdobyć serce Heleny, trzeba przedewszystkiem jęj przekonaniem zawładnąć.

O cóż tedy chodziło?

Oto, ni mniej, ni więcej, jak o winówienie w Helenę, że jednostka ma prawo do zaspokojenia wszystkich pragnień i pożądań, nie bacząc na to, jakiej są one natury; że dwie, różnych płci jednostki, harmonizujące umysłowo ze sobą, powinny, prawem duchowego powinowactwa, należeć do siebie, bez względu na prawa osoby trzeciej i wszystkie przesady światowe. Jakoż każda sam na sam prowadzoną z nią rozmowę zaprawia tak zręczną i na tak subtelnej dyalektyce opartą sofisteryą, że Helena mimowolnie poddaje się wpływowi jego potężnej, jak mówi autorka, inteligencji i jego zasadami się przejmując. Tak np. powiada jęj, że jest przekonany, iż nie cofnęłaby się przed ostatecznym wynikiem rozumowania, choćby nawet wola jęj sprzeciwiała się rozumowi, że nie byłaby dość silną, by zmusić myśl do popełnienia niekonsekwencji, poza którą najczęściej kryje się tchórzostwo ducha. I Helena na to odpowiada: „masz pan słuszność; nie byłabym nigdy zdolną zatrzymać się w pół drogi.”

Było to więc, dodaje autorka, niż się śmiał January spodziewać. Rzeczywiście, po tak kategorycznej odpowiedzi, nie pozostawało, jak wystąpić z argumentami, któreby szaleńcze uczucie Heleny ostatecznie przechyliły na jego stronę. Jako więc mistrz, biegły w sztuce uwodzenia (ktoby się tego po nim spodziewał?) używa przedewszystkiem pochlebstwa; wmawia w nią, że wysokość jęj umysłowej skali zupełnie odpowiada wysokości zasad, wyznawanych przez niego, a „tylko niedołączni oddzielają myśl od czynu, cofają się przed spełnieniem faktu, przyjątego w teorii.“ Tym słowom zaś miał towarzyszyć głos, którego „tępy wprawiały w drżenie najtajniejsze fibry jęj istoty; w żrenicach połyski, które udzielały jęj się, wchodziły w krew, zakradały do serca. Myśli jęj były podniecone.“ W takiej też chwili podniecenia, które właśnie wbrew twierdzeniom autorki dowodzi, że Helena dała się rozigranym nerwom pochwycić, obudziły się w jęj duszy wszystkie nieziszczone sny lat młodych, wszystkie pragnienia i żądze niezaspokojone podotąd. Ona mogła być ukochać istotę wyższą, godną siebie; posiadała w sobie warunki, by „zlać myśl z myślą, uczucie z uczuciem, iść w życiu ręka w rękę, z oczyma wlepionemi w jeden cel, sercem, któreby biło równie silnie, równie gwałtownie; tymczasem była nierozzerwalnie przykutą do istoty ograniczonej, obcej dla niej uczuciem i myślą, nie pojmującej jęj szlachetnych dążeń. Gdyby nie ten związek, byłaby teraz szczęśliwą, mogłaby urzeczywistnić te rozkoszne marzenia, jakie obecnie rozkwitały w jęj duszy, niby kwiaty jaśminu pod zwywym słońca promieniem. A jeżeli teraz to wszystko musi zwążyć się, skrzepnąć pod technieniem mroźnej rzeczywistości; to tylko ~~mał~~ temu był winien, na nim głównie ciążyła odpowiedzialność za nie-

zniszczone jój marzenia; mąż, który przecież, zastawszy ją po odejściu Januarego w niezwykłym stanie rozdrażnienia, wypytuje z trwogą o jój zdrowie, bada powody téj zmiany, gotów nawet dać uczuć skutki gniewu każdemu, jeśliby kto poważił się jój przykrość wyrządzić. Wprawdzie Helena czuje się tym dowodem troskliwości męża do głębi duszy wzruszoną, chce nawet w pierwszej chwili odkryć mu grożące jój niebezpieczeństwo, ale cóż? Pan Tytus, nie mogąc nic z jój półstówek odgadnąć, popełnia największą w jój oczach niezręczność: mówi, że jój nie rozumié! To wyrzeczenie téż zaparko w głąb jój duszy wyznanie, a co więcej przekonało, że od męża nie mogła się spodziewać ratunku.

A jednak niebezpieczeństwo z każdą chwilą wzrastało.

Teraz już nie w półstówkach, nie w poetyczno-filozoficznych osłonach, ale jawnie, dobitnie January zaczął formułować swoje żądania, rozwijać teorią szczęścia, mówić o prawach do niego jednostki. Napróżno Helena odpiéra jego paradoksalne dowodzenia, twierdząc, zresztą bardzo rozumnie, „że szczęście nie na pożądaniu, lecz przestawianiu na tém co mamy, polega; że obowiązek, to zasada życia; że przed nim na plan ostatni powinny ustępować nasze osobiste pragnienia; wszystko to bowiem January nazywa sentymentalną teorią, wszystkie argumenta Heleny łamie się i kruszą pod naciskiem, niby jego nieubłaganéj logiki, wobec zresztą potęgi ducha, która promienieje z jego oblicza. Zresztą January powiada: „miłość, to najwyższe prawo, najrealniejsza potęga bytu... łamie zapory, zwalcza przeszkody, nie zna niepodobieństw, jest silną, jak życie, nieubłaganą, jak śmierć!“

Równém prawem mógł być powiedzieć, jak pożar, jak wylew wody, jak huragan, słowem, jak wszystkie żywiołów potęgi, nie kierowane rozumem.

Po tych jednak słowach, którym miały towarzyszyć jeszcze wymowniejsze spojrzenia, „naraż, jak mówi autorka, stała się straszna jasność w umyśle Heleny. Zrozumiała, że kochała Januarego całą potęgą, do jakiej była zdolną. Ale jeśli on zdobył jój miłość, przekonanie, nie zdobył jeszcze jój woli.“

Niestety! Helena się łudziła! Wola ta bowiem była już bezsilna, skoro jój przekonanie odjęto. Jakoż prysnęła przy pierwszej, jaką miała z Januarym rozmowie. On bowiem coraz gwałtowniej, coraz natarczywiej nalegał, by Helena swoje przyrzeczenie spełniła. Wszak przyrzekła nie zatrzymywać się w pół drogi, gdy konsekwencya raz przyjętej zasady nakaze jój pójść naprzód. Jeżeli kiedy, to obecnie nadeszła pora stwierdzenia czynem przekonań. Wymagała tego konieczność, sama logika faktów spełnionych. Bo czyż godném ich było odgrywać nędzną komedią przed takim jak pan Tytus człowiekiem? ukrywać swoje uczucia, swą miłość, gdy ona na mocy duchowego powinowactwa była ich prawem najwyższém, wreszcie pozostawać do siebie w tak nieokreślonym stosunku, który na nich ściągał zarzut tchórzostwa? Tak dłużej być nie mogło. Na Heleng przyszła kolej porzucić męża, dzieci, wzgardzić przesądami świata i na mocy wszech-

władnej logiki faktów życiowych, z duszą i ciałem oddać się Januaremu. A cóż robi wobec tego wszystkiego pan Tytus? On, pomimo częstych wizyt Januarego i rozmów, prowadzonych sam na sam z Heleną, nie domyśla się niczego. Zanadto zajęty jest przemysłowemi interesami, zanadto wiele czasu poza domem przepędza. To nowy dowód w przekonaniu Heleny, że w nim nie znajdzie obrońcy, któryby ją przed niebezpieczeństwem zastonił. Postanawia przeto szukać ratunku w przyjaznej radzie doświadczonej Oktawii, tej Oktawii, która niedawno przepowiedziała jej to, co nastąpiło obecnie. Pyta jej więc: „co od upadku podtrzymuje inne kobiety, jacyemi są te, dla których mąż i rodzina wystarcza?”

I cóż jej na to odpowiada Oktawia?

„Ona nic nie wie, co się dzieje w sercach kobiet bez skazy; dla niej są to cyfry niewiadome, z których wyprowadzać wniosków nie może.“ Co więc! Ona rozgrzesza Helenę. Cóż ona winna, że nad przepaścią stanęła? Posiadała piękność, majątek, miała lat szesnaście; była prawie dzieckiem, gdy rozrządzała swą ręką. Podpis jej położony na urzędowym akcie, na żadnym nie byłby ważnym oprócz na tym jednym, którym zamykała przed sobą drogę szczęścia, którym dopełniła moralnego samobójstwa.

— Cóż chcesz?—dodaje wreszcie—taka to logika i sprawiedliwość praw naszych. Przeciw niej jednostka może się bronić jedynie podstępem.

Powiedzmy mimochodem, że pani Oktawia, mówiąc tak, daje dowód zupełnej nieznajomości prawa. Prawo bowiem wymaga podpisu żony, nie tylko na akcie ślubnym, ale i na każdym innym, skoro ten w jakibądź sposób majątkowych jej interesów dotyczy. Kładzie tylko warunek, by podpisowi żony towarzyszył i podpis męża. Żona przecież może nawet odmówić podpisu, gdy wie, że mąż sporządził akt z jej szkodą. Ale pani Oktawia jest nieprzyjaciółką prawa z zasady i, obchodząc je, zachowuje przed światem, jako mężatka, wszystkie pozory uczciwej kobiety. Do takiej wszakże taktyki Helena, według niej, jest niezdolną. Jako uczciwa kobieta, kochając szczerze Januarego, stawia wszystko na kartę. Gdyby przynajmniej miała do czynienia z innym człowiekiem... Ha! kto wie? mogłaby się przed nim ukryć, uciec, zniechęcić go, zrazić do siebie. Ale z Januarem? To było niepodobieństwo! On—powiada pani Oktawia—ma postanowienia nieubłagane, wolę niezlomną, hart żelazny i to właśnie wśród miękkiego dzisiejszego pokolenia stanowi jego potęgę. Jedyne ocalenie jeszcze widziałaby dla Heleny w posiadaniu innego męża. Lecz cóż? kiedy pan Tytus nie jest zdolny jej zrozumieć, a tém samém ocalić!

Helena też wysłuchawszy budujących słów Oktawii, powiada sobie ze skruczą, że dla niej nie ma ratunku; zupełnie jak jej Offenbachowska imienniczka, która również powtarza:

— No, cóż ja winna? Przecież ja muszę grzeszyć!

Helena jednak, jak to zapewnia autorka, była uczciwą kobietą; nim miała upaść, pragnęła wyczerpać wszystkie środki ratunku. Zadowolona na mężu i przyjaciółce, przekonała się, że tylko na sobie samej winna polegać. Bez względu na to, że jej przekonania i wola podkopane z gruntu zostały, chciała powziąć postanowienie stanowcze. Czuła przecież, że to jest niepodobieństwem, dopóki pozostaje wśród gwaru miejskiego i otoczenia, które jej przypominało Januarego. Postanawia przeto, choćby na kilka godzin pojechać z Warszawy, odebrać „wśród pól, łąk i lasów“ i powrócić „bez zaniepokojenia domowników“ swą nieobecnością. O męża nie chodziło jej wcale. Jakoż przypadek tak wielką odgrywający rolę w rozbieżnym przez nas utworze, zdarzył, iż właśnie Helena bezwiednie znalazła się w bliskości dworca kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w chwili, gdy pociąg miał wyruszyć. Wsiadła więc do wagonu i wkrótce znalazła się na jednej z mniejszych stacji. Okolice była pusta, słońce dogrzewało nieznośnie. Ale Helena wyrwana z dotychczasowych warunków, uczuła się swobodniejszą. Zdała od Januarego „mnie miała się być bezpieczną, gotową do walki, pewną siły, pewną niemal zwycięstwa.“ Odzyskawszy wolę, zaczęła nawet snuć plany przyszłości; słowem, postanowiła pod jakimkolwiek pozorem na czas pewien opuścić Warszawę, przynajmniej do chwili, dopóki by nie została zapomnianą zupełnie. Na nie szczęście jednak pana Tytusa i jego dzieci, zbawienne to postanowienie w niwecz obrócone zostało nagłym pojawieniem się Januarego, który ni by *Deus ex machina* stanął w szczerém polu przed Heleną i „dumny, namiętny, z okiem pałającym i przyciętą wargą,“ zażądał spełnienia obietnicy. On z góry wszystko przewidział, śledził Helenę, odgadnął jej zamiary i tym samym co i ona pociągami za nią podążył.

Trzebaż mówić, jakie były dalsze tego spotkania następstwa? Zdaje się, byłoby to zbyt cennym. Helena w tém jawieniu się Januarego uznała wszechmoc jego woli i przekonana, że przed nim nigdzie ukryć się nie zdoła (biedna nowożytna Danael ktoby się tego w XIX wieku spodziewał!) oddała mu się z duszą i ciałem i z nim za granicę uciekła. Nawet spotkanie z panem Tytusem, który ją doznał w jakimś mieście, nie zdołało jej zwrócić na drogę opamiętania. Wszystkie najstraszniejsze wyrzuty, któreby na proch starły inną kobietę, ona przyjmuje, jako nieuniknione swego położenia następstwo. Jedyną struną, jaką bolesnym jękiem odzywa się w jej duszy, to pamięć dzieci, których jej pan Tytus oddać nie myśli. Ale i ta groźba w końcu nie ma dla niej znaczenia. January dał jej słowo, że Anielka i Lucyan do niej powrócą; w obec przeto pewności, że obietnicy dotrzyma, cóż znaczyły męża pogroźki? Co prawa jego do niej? Przecież ona go nie kochała.

Od tej chwili w opowiadaniu autorki następuje przerwa lat kilkunastu. Na świecie zmieniło się wiele, ale nie zmieniły się uczucia Januarego i Heleny. On spełnił daną jej obietnicę: wykradł dzieci panu Tytusowi, powrócił je matce, przybrał za swoje (autorka

przemilcza na mocy jakiego prawa) i otoczył troskliwością i staraniem, jakie tylko natchnąć może miłość rozumna. Pan Tytus jednak, człowiek poziomych uczuć, słowem gbur i uparty, za nic w świecie nie chce przystać na rozwód. January też i Helena żyją sobie na wiarę, a że się bez rozvodu i ślubu mogą obejść wybornie, najwymowniejszy dowód stanowi ich zgodne pożycie, miłość trwała, spokojna, oparta na wzajemnej harmonii uczuć i inteligencji, dostrajającej się do jednego poziomu. Miłość ta zamienia na raj ich mieszkanie, urządzone z całym komfortem i smakiem, gdyż January, nie tylko posiada osobisty majątek, ale nadto w uniwersytecie Jagiellońskim (ktoby to był przewidział!) zajmuje katedrę literatury powszechniej, podczas gdy pan Tytus, w skutek zgryzot spowodowanych zdradą żony i utratą dzieci, zaniedbał swoje interesa, stracił majątek i w końcu, gdy go nadzieje wzbogacenia się w Ameryce zawiodły, najhaniebniej się rozpił i zeszedł na ostatni stopień spodlenia.

Tymczasem w willi profesorskiej, jakże szczęśliwie życie płynęło! zwłaszcza że to czarowne, dyszące wonią najrzadszych kwiatów ustroenie, prócz Januarego, zajętego naukowemi poszukiwaniami i Heleny, ułatwiającej mu pracę przez robienie wyciągów, ożywiały jeszcze dwie drugie urocze istoty: Lucyan, który pod kierunkiem przybranego ojca ukończywszy uniwersytet, wyrósł na dorodnego, pełnego rozumu i siły męskiej młodzieńca i Anielka, która również wykształcona starannie, rozwinęła się w czarującej piękności dziewczę. Wprawdzie szczęśliwi mieszkający willi, wśród starego grodu Krakusa znajdowali się w dziwnie nienaturalnem odosobnieniu, bez żadnych, a żadnych towarzyskich stosunków, niby wygnani na wyspie, oddzieleni morzem przestrzenią od świata. Nawet owa lekkoducha Oktawia, nawet ona! jeżeli zawadziła kiedy o Kraków, wracając z letniej do wód wycieczki, to odwiedzając Helenę wybierała na wizytę bardzo ranną godzinę, jakby się ludzkich oczu lękając. Ale to były tylko lekkie chmurki, przebiegające po jasnym niebie życia, które nie mogły zaćmić słońca domowego szczęścia i miłości. Zresztą istoty tak wysoko umysłem, jak Helena i January, stojące, mogłyż zwracać uwagę na podobne drobnostki? Były to przesady, dla których czuli tylko pogardę.

Zresztą obok prac naukowych, potężny umysł Januarego zajmował się niemniej ważnym, choć czysto osobistym przedmiotem—ustaleniem losu Anielki. Wprawdzie autorka pozwala się domyślać, że w tém zajęciu kierował się nieco egoistyczną pobudką. Helena namiętnie córkę kochała. Anielka więc była przeszkodą, niepozwalającą mu wyłącznie sercem Heleny zaważać. Wyprawić ją przeto z domu jaknajprędzej, uważał za konieczność dla siebie. A właśnie ku temu nadarzała się sposobność. Lucyan miał przyjaciela, współtowarzysza w nauce, Władysława, o którym January powziął bardzo świetne nadzieje. Nietylko bowiem niepospolitemi zdolnościami, ale nadto pracowitością, usilną żądzą zdobycia szerokiej wiedzy, wyróżniał się pomiędzy inną młodzieżą. January zwrócił nań oddawna uwagę i jeżeli rad

był, iż pomiędzy Lucyanem, a tak wielce na przyszłość rokującym młodzieńcem, zawiązały się bliższe stosunki; to z tém większą rozkoszą śledził bezwiednie rozwijające się ku niemu uczucie miłości w sercu córki przybranej. Anielka miała głos prześliczny; równie pięknym głosem obdarzony był Władysław. Potrzeba więc było tylko dwoje młodych ludzi do siebie zbliżyć, by obudzić w nich wzajemną dla siebie sympatyą. Ale właśnie gdy January już był pewien, że dwa te serca nazawsze zespolą się uczuciem, nagle zaszły okoliczności, które wszystkie jego rachuby i oczekiwania zawiodły. Władysław miał matkę. Otóż ta, dowiedziawszy się o jego ku Anielce skłonności i naturze związku, jaki łączył Januarego z Heleną, postawiła stanowcze veto przeciw zamiarom syna i rozkazała mu zerwać z panną stosunki. Jakoż Władysław, ulegając jój woli, rzeczywiście Kraków opuścił, ale téż od téj chwili na dom Januarego zaczynają się walić nieszczęścia. Najprzód wyjazd Władysława przypłaca Anielka ciężką chorobą, z której wprawdzie powstaje, ale złamana, zarówno fizycznie jak moralnie. Pomoc lekarzy na to tylko przywraca ją do życia, by gasła powoli, pod wpływem rozwijającej się w niej choroby piersiowej. Lucyan, namietnie przywiązany do siostry, znając tajemnicę jój serca, a nie znając powodów, które zniewoliły Władysława do zerwania z nią stosunków, choć zniechęcił go śmiertelnie, przekonany jednak, że tylko jego powrót może ją jeszcze ocalić, odważa się na krok stanowczy, i nikomu nie wyjawiając swych zamiarów, wyrusza z Krakowa dla odszukania go i przedstawieniem niebezpiecznego stanu siostry, zmuszenia do powrotu. Instynkt wskazuje mu Warszawę, jako miejsce jego schronienia. Ale zaraz na wstępie, zaszedłszy do restauracji, w której po dawnemu zgromadzali się przy jednym stole towarzysze Januarego, podsłuchuje mimowolnie rozmowę, w której jeden z literatów, Karol, redaktor „Hasła,” wyznający przeciwne Januaremu, zatém niepostępowe zasady, bezczęści jego matkę, określając właściwém mianem, jój długoletni z Januarym stosunek. Następuje w skutek tego ze strony Lucyana wyzwanie. Ze jednak pojedynek nie może się odbyć w granicach Królestwa, przeciwnicy przeto wyjeżdżają do Krakowa, wraz z odszukanym przez Lucyana Władysławem, który postanawia na koniec, bez względu na wolę matki, ratować w jakibądź sposób Anielkę. Postanowienie to jednak przychodzi zapóźno. Anielka bowiem skończyła, właśnie w chwili, gdy rannego śmiertelnie w pojedynku Lucyana odwieziono do domu. Sytuacja wreszcie pełna grozy, staje się tém tragiczniejszą, że umierający zaklina matkę, by mu wyjawiała prawdę, co do jój z Januarym stosunku. Wyznanie matki, że nie jest ślubną żoną, było ostatniém słowem, jakie konający usłyszał.

Tak więc cały ów gmach szczęścia, zbudowany przez Januarego wysiłkiem rzekomo potężnego i wszystko przewidującego umysłu, runął w jednéj chwili, zasypując gruzami dwie najczystsze, najszlachejniejsze, godne lepszego losu istoty.

A Helena?

Pomiędzy nią a Januarem stanęły dwie trumny. Autorka zostawia pole do domysłu, że chyba i między nimi zerwały się wszystkie, łączące ich ogniwa. Ale czy tak było w istocie? Stanowczo trudno powiedzieć.

Taką jest osnowa szkicu pani Marrené.

Streszczając ten dramat, w którym wszystkie stanowcze chwile, przynajmniej do pewnego punktu opierają się, nietyłe na akcji, ile na wewnętrznej grze uczuć i subtelnej dyalektyce pojęć, poddanych procesowi czysto dynamicznej natury; niepodobna było ograniczyć się na samém sprawozdaniu z przebiegu wypadków, mających usprawiedliwiać postępowanie Heleny. Czy jest usprawiedliwioną w umyśle czytelnika? Wątpimy. Bo i jakież miała do opuszczenia męża powody? Czy był dla niej tyranem? Czy ją zdradza? znieważa? Ależ p. Tytus pozostawia jej najzupełniejszą swobodę, zaspakaja wszystkie jej artystyczne upodobania, otacza dostatkiem, niemal zbytkiem. Co więcej! kocha ją i daje tysiączne swego przywiązania dowody; sama zmiana, dopatrzona w jej humorze, nabawia go o jej zdrowie obawą. A że wyłączone się interesami zajmuje?.. Może to źle ze względu na wpływ moralny na żonę; ale któryż ojciec, pojmujący swe obowiązki, nie myśli o zabezpieczeniu bytu rodziny i pracą uczciwą nie powiększa majątku? Któraż zresztą żona rozumna nie powinna ocenić i uczyć pracy męzowskiej? Nadto p. Tytus tak wysoko we własnem przekonaniu stawia Helenę, że nawet po jej ucieczce przez długi czas nie domyśla się zdrady. Tymczasem autorka koniecznie chce wmówić w czytelnika, że to był człowiek poziomy, gbur, ograniczony umysłowo, niezdolny zapewnić szczęścia Helenie, a tém mniej ją od upadku uchronić, bez względu na to, że w wielu okolicznościach całkiem go innym przedstawia. Tak np., gdy Helena roztkliwiona losem Amelii, bohaterki Słowackiego z „Mazeppy“, jak pensyonarka sentymentalnie p. Tytusowi powiada: „iż serce czasem się mimowoli wyrzywa“, on występuje ze zdaniem, którego by się nie powstydzili najrozumniejszy mężczyzna. Jakoż oświadcza, iż „nie może uznawać tak wygodnych, romansowych teorii, bo gdzieżby nas to, pyta, zaprowadziło? Dziś mogłaby mi się podobać, jakaś ładna baletniczka, jutro ogródkowa aktorka, a ja nie byłbym temu winien... Człowiek powinien trzymać swe uczucia na wodzy.“ Dlatego też nie uwzględnia bynajmniej „tych nowych, dzisiejszych doktryn, które doszły do tej doskonałości, że tłómaczą wszystkie zbrodnie, a złodziei i nierządnicę uważają za uciśnioną niewinność, dążą one bowiem wprost do zburzenia społecznego porządku.“ Tak mówił p. Tytus. Gdzież więc, pytamy, owo ograniczenie umysłu? Czy w tém, że właśnie nie uznaje tych doktryn? Zapewne, byłoby to bardzo na rękę Helenie, gdyby z niemi sympatyzował. Z czystym sumieniem mogłaby się rzucić Januaremu w objęcia. Tymczasem słowa jego tylko ją niepokoją i drażnią: raz, jako zasady moralności, z którą zerwać jeszcze nie może, a powtóre jako dowód, że jej nie umie zrozumieć tak, jakby chciała.

To też postać p. Tytusa, dla przeprowadzenia ulubionej teorii, tendencyjnie pod względem psychicznym spaczoną w przedstawieniu została. Tego, że autorka go spodliła, robiąc pijakiem, tarzającym się w rynsztokach, jeszcze nie mamy jęj za złe, lubo trudno nie dopatrzyć w tém intencyi podniesienia kosztem męża, wartości moralnej Januarego: bolesny zawód bowiem sercowy, wykradzenie dzieci i klęski materialne, aż nadto usprawiedliwiają jego upadek. Ale właśnie zachodzi tu pytanie, czy człowiek, który tak głęboko uczuł zdradę żony, zasługiwał na podobne zarzuty, jakimi go tak szczerze obsypała autorka, gwoi usprawiedliwienia strony przeciwnę? Zresztą brak wszelkiej prawdy raz i w nim, zarówno w scenach z Oktawią i uwodzicielem żony, jak i w stosunku do dzieci po ucieczce Heleny. Jeżeli je p. Tytus kochał, jak to wiemy zkał inąd, to dla czegoż na widok Lucyana, zakradającego się do jego gabinetu dla odebrania pieczyoty, miał doznać uczucia żalu, „dochodzącego do wściekłości i wstętu?”

— Idź precz!—zawołał gwałtownie do dziecka, tulącego się do niego. —Idź! Nie przychodź tu więcej!”

Tak autorka opisuje tę scenę.

Czy to jest jednak naturalne? Czy raczej nie powinienby doznać współczucia ku istocie bliskiej mu krwią i sercem i równie, jak on, nieszczęśliwej, a nawet więcej, bo przez występna matkę na sieroctwo skazanej? Niech na to odpowie nieuprzedzony czytelnik. To też, jakby czując potrzebę usprawiedliwienia tej sceny, autorka stara się umotywować ów dziki wybuch podobieństwem Lucyana do Heleny. Wreszcie powiada, „iż p. Tytus nie posiadał subtelnie wyrobionej inteligencji, zdolnej pojąć cudze wrażenia, nie posiadał wyrobionego serca (1), coby współczuło każda boleść, nie posiadał także poczucia ojcowstwa (1), coby wskazywało, że ma zdwojone obowiązki wobec katastrofy domowej.” Pytamy jednak, czy Helena miała poczucie macierzyństwa, pomimo całej subtelności inteligencji i wyrobionych uczuć, ona, co była główną tej katastrofy przyczyną? Dla niej jednak autorka dziwnie jest pobłażliwą i względna.

Ale może kto powie, że z swojej strony Helena miała także prawo do szczęścia. Lecz czy nie była szczęśliwą do chwili poznania Januarego, pomimo, iż wyszła za mąż, mając lat szesnaście zaledwie? I czy miłość dzieci i spełnianie obowiązków matki, nie mogło jęj życia zapewnić, nawet wtedy, gdyby osobistego szczęścia nie znalazła w małżeństwie? Nie, nam się zdaje, że upadku Heleny nie usprawiedliwią żadne sofizmata, chyba 12-ty artykuł wniosku p. Naquet'a. Ona, dla uzyskania rozwodu, nie mogłaby przytoczyć ani jednej ważnej przyczyny; w każdym razie nie miała prawa dla zwiększenia sumy własnego szczęścia krzywdzić na honorze męża i okrywać hańbą swych dzieci. Umów, kupna, darowizny, sprzedaży, nikt zrywać samowolnie nie może, skoro te raz sankcją prawa zyskały. Jakże ona czuć się mogła zwolnioną z przysięgi, uroczystie danej mężowi, która, jako akt woli, nawet pod względem prawnym obowiązywała ją na życie całe?

To też opuszczenie przez nią męża i dzieci, było najpospolitszym, najtrywialniejszym przewierstwem i zdradą—występkiem, do którego spełnienia z całą samowiedzą dążyła, a owo szukanie ratunku, przeciw niby demonicznemu wpływowi Januarego, prostą komedią w obec własnego sumienia. Kobieta, która przeciw budzącej się słabości, naprawdę szuka w mężu obrony, nie rzuca mu w pół-słówkach jakichś zagadek sfinksowych, ale szczerze, odważnie całą prawdę odkrywa. Nie udaje się wreszcie po radę do takiej przyjaciółki, jak Oktawia, wyznającej zasady pół światka, a tém bardziej nie powiada sobie, gdy się przekona, że to podejrzaną cnoty kobietą, iż dla niej samą niema ratunku; ale śpieszy tam, gdzie tysiące zachwianych, ale uczciwych kobiet znajdowało i znajduje zbawienie—w religii. Ale autorka, nie chcąc zstąpić z wyżyn pseudo postępowych idei, pojęła swą bohaterkę, jako wolną od tak grubych przesadów, zrobiła ją bezwyznaniową. Jakoż w całym utworze nie spotykamy śladu religijnego pierwiastku. Dumas w swój osławionej „La Question du divorce” także bez ogródki powiada, iż jedną z pobudek, dla której się domaga rozwodów jest ta, by kobieta, widząc, że ją prawo bierze w opiekę, nie potrzebowała szukać u konfesyonału pociechy; inaczej mówiąc, by się wyemancypowała z pod wpływu Kościoła, który dziś rządzi światem, dowolnie jej sumieniem kierując (str. 353). Ale to przynajmniej jasne. Dumas ma cele polityczne na oku. Wprawdzie może ktoś powiedzieć, iż autorka miała najzupełniejsze prawo stworzyć typ bezwyznaniowej kobiety, skoro to dla swych artystycznych celów za potrzebne uznała? Lecz i „Szalona” Kraszewskiego nie uznaje żadnej religii, a przecież po przeczytaniu powieści, każdy wie, co w niej wypowiedzieć chciał autor. Tu przeciwnie. W obec ciągłego usprawiedliwiania zewnętrznymi wpływy postępowania Heleny, można tylko zrobić dwa przypuszczenia: albo że autorka w Helenie chciała dać wzór dla kobiet, które w podobnym do niej mogą znajdować się przypadku; albo też, iż bezwyznaniowość uważa za jedyny środek, mogący skutecznie kwestyą rozwodową rozstrzygnąć. Pomiędzy temi dwoma przypuszczeniami nie można nic trzeciego postawić. Że jednak bezwyznaniowość niekoniecznie przedstawia się jako doktryna, mogąca przynieść uszczęśliwienie ludzkości, to powiedzmy nawiasem, za dowód może posłużyć dzieło statystyczne, wydane świeżo w Berlinie: „Das Leben des Menschen als Individuum” 1881 r., przez dr. Edwarda Reich’a. Autor, medyk, znany zresztą u nas ze swych „Studyów nad kobietą,” przyswojonych naszej literaturze przez St. Kramsztyka, wnioski swoje na danych statystycznych opiera. Otóż jest wielce pouczającym, jak zdrowie, szczęście doczesne, spokój, panowanie nad namiętnościami, wreszcie długowieczność wpływami religijnymi objaśnia (str. 62—63). Dodajmy zresztą, iż Dumas, odrzucając religię, jako grat na nic nieprzydatny i zużyty, przynajmniej chce kwestyą rozwodową oprzeć na prawie. Tymczasem p. Marrené najzupełniej obchodzi się bez niego i pozwala Helenie i Januaremu żyć z sobą całe lata na wiarę i gdyby

nie p. Tytus, który do tego stopnia jest obrany z inteligencji, że za nic w świecie nie chce przystać na rozwód, wszystkoby szło jak najlepiej na tym bezwyznaniowym świecie.

Ale jakież to człowiek, któremu Helena poświęca szczęście męża, własną cześć niewieścią i przyszłość córki; na której czoło, bądźcobądź prawem spuścizny spadnie hańba matczyna?

Wiemy już, że go autorka otoczyła nimbem wielkości. My przecież, wyznajemy, nie mogliśmy się jęj w Januarem dopatrzyć. Pomijamy już jego stosunek do młodych literatów, na arogancyi i pyszałkowstwie oparty, wreszcie do Ignasia, który, zapatrzony w jego wielkość, pozwala mu w pokorze ducha wyśmiewać swą miłość, stosunek do narzeczonej, a nawet ją samą w sposób oburzający, brutalny; pytamy tylko, w co wierzy ów January, jakie zasady, jakie prawa uznaje? Prawa?.. on zna tylko prawa natury, prawo swojego ja, wierzy tylko w swój rozum: poza tém niema dla niego nic. Prawa społeczne bierze o tyle w rachubę, o ile w przeprowadzeniu jego własnych celów stanowią zawadę. Skoro tłumią swobodny jego rozwój jako jednostki, należy je usunąć, używając najprościej wiodących środków do celu. Tym celem zaś, to zaspokojenie swych potrzeb, to osiągnięcie najwyższej sumy szczęścia na ziemi. Mniejsza o to, czy przedmiot, od którego jego szczęście zawisło, dobro cudze stanowi. Kwestyą bowiem rozstrzyga prawo wyboru naturalnego. Helena była dobrem p. Tytusa; ale wybór naturalny skłaniał jęj wolę ku Januaremu, który znowu w jęj posiadaniu widział swe dobro. Połączenie ich przeto było koniecznością, było ich prawem, którego wykonanie zależało od tego, kto w walce o byt odniesie zwycięztwo. P. Tytus skutkiem braku inteligencji, a ztąd krótkowidztwa, nie dostrzegł czychającego na swe dobro wroga; tém gorzej dla p. Tytusa, bo stracił prawo do posiadania Heleny.

Ale tu nasuwa się pytanie, już nie to, co by się stało ze społeczeństwem, gdyby wszyscy podobne zasady chcieli do żon cudzych stosować, ale inne, daleko prostszej natury, mianowicie, co by to było, gdyby ludzie dla swobodnego rozwoju własnych jednostek, chcieli sobie w imię walki o byt cudze dobro przywłaszczać, np. szkatułkę lub inne wartościowe przedmioty? Pytanie to tylko mimochodem rzucamy, boć przecież prawa wyboru naturalnego, któreby tu usprawiedliwiałoby wszystko, nie można do przedmiotów czysto rzeczowych, zatem niemających popędów woli, stosować. Ale czyż mąż i żona, należąc do siebie, nie stanowią także zobopólnej własności, nietylko pod względem czysto rzeczowym, fizycznym, ale co ważniejsza duchowym i czy ludzie tylko naturalnym prawom mają podlegać, jak rośliny, zwierzęta, żadnych innych praw moralnych nie uznając nad sobą? A jeżeli nie, to jak nazwać człowieka, który bliźniego swém postępowaniem doprowadza do majątkowej ruiny, w żonie najwyższego dobra pozbawia i najnikczemniej mu własne jego dzieci wykrada?

Lecz idźmy dalej. Prawo naturalnego wyboru.. walka o byt... toż to prawa przez Darwina, metodą najściślejszego pozytywizmu wy-

kryte; prawa, którym podlega nietylko świat roślinny, zwierzęcy, ale plemiona, rasy, narody—miałażby im nie podlegać jednostka? Rozumié się, że musi, jeżeli nie słucha praw wyższego znaczenia. Ale wtedy, wobec brutalnych czynów téj jednostki, cóż powie zasada pozytywnego altruizmu, która, choć oparta na wrodzonym egoizmie każdemu, uznaje przecież prawa moralne, przysługujące innym jednostkom i nie odrzuca szlachetnych poświęceń, a w każdym razie bliźniemu zła wyrządzać zabrania? O téj jednak czysto ludzkiej zasadzie January nic nie wie w swych stosunkach do społeczeństwa i ludzi; uznając konieczność, nie ma woli w etycznym tego słowa znaczeniu, uznaje tylko moralność czworonoga, który drugiemu samiec rogami odbija.

Ale teraz także dopiero ujawnia nam się to, czego autorka nie wypowiedziała w swym utworze jasno i otwarcie, mianowicie, że ów January według niej ma być ideałem, bohaterem pozytywizmu. Jestże on nim jednak w istocie? Wątpimy, by się do niego przyznali pozytywści w istotnym tego słowa znaczeniu. Bo i cóż to zresztą za pozytywista—on, co najprzód z trójnoga nieomylności wypowiada najskrajniejsze, jak w restauracyi, o kobiecie pojęcia, a kiedy o niej chce pisać jeden z rozdziałów rozprawy, którą świat ma z przesądów wyzwolić, przekonywa się dopiero, że jej nie zna i że musi studia nad nią odbywać? Albo jakże to on swoje posłannictwo pojmuje; on, który ze śmieszniejszym zarozumiałstwem wygłasza, iż chce: „aby jego idee przesiąkły w życie i krew narodu, który chce obalać i budować według myśli swojej gmachy ku przyszłemu szczęściu ludzkości i do nich za cegiełki ludzi, a za cement idei używać, a po tém wszystkiém, założywszy dziennik w celu głoszenia swych zasad i podkopania „Hasła,“ uznanego przez się za wsteczne, najlekkomyślniej, przed wyjściem numeru, dla Heleny stanowisko redaktora opuszcza i prenumeratorów, ilu ich mógł pozyskać, najpozytywniej zawodzi. Nie, autorka złą przysługę oddała nauce, w podobny sposób, wobec szerokiego koła czytelników, formułując praktyczne znaczenie pozytywizmu w życiu. Pozytywizm, jako metoda, stosowana do sfery faktów podlegających ścisłej obserwacyi i do świadczeniu, nie jest do odrzucenia, zwłaszcza dla nas, nie umiających się z objawami życia zachować; przedstawiony jednak w sposób, jak go autorka w Januarym pojęła, wprowadzić może jeszcze większy zamęt, niżli dotąd, w umysł i jednych swemi konsekwencyami przerazić, innych zaś do praktykowania podobnych wzorów, jak January, zachęcić.

Lecz może to właśnie autorka chciała wykazać, jak ludzie Januarymu podobni i fałszywie przez nich stosowane zasady pozytywizmu w życiu, mogą być dla społeczeństwa szkodliwi? W istocie tegoby się należało spodziewać z samego szkieletu osnowy i tragicznego zakończenia utworu. Ale jakże to przypuszczenie pogodzić z gorącemi sympatjami autorki dla bohatera, a ujawniającemi się na każdej niemal szpalcie, z ciągłym wreszcie uwielbieniem dla jego duchowej potęgi, logiki nieubłaganéj i rzekomej siły woli, z pod której władzy prócz Władysława, nikt się wyłamać nie może? Jak sobie wytłómaczyć uspra-

wiedliwienie Heleny jakimś fatalizmem, którego przecież trudno uzasadnić autorce bez widocznego nadciągania wydarzeń? Co wreszcie znaczy ten uroczy obraz edenu, w którym owa nieślubna para przez lat tyle pędzi żywot szczęśliwy, jeżeli nie to, że podobne związki, byle pod względem intelektualnym dobrane, mogą się najzupełniej bez uświęcenia przez prawa Boskie i ludzkie obywać? Wprawdzie możnaby tu zrobić uwagę, że autorka, traktując swój przedmiot obiektywnie, miała prawo użyć całej potęgi artyzmu, aby rozlać czar poezji na ów wyjątkowy stosunek, który przecież, pomimo wszelkich sprzyjających warunków, wytworzonych potężną inteligencją Januarego, a mających na celu zabezpieczenie jego trwałości, nie mógł wytrzymać zderzenia się ze światem. Ale najprzód tego obiektywizmu w całym utworze nie widać, a powtóre: dlaczegoż autorka na przedstawicielkę społeczeństwa, obrażonego za pogwałcenie kardynalnego prawa, na którym się opiera rodzina, wybrała właśnie kobietę starą, zrzędną, gderliwą, z umysłem ograniczonym i ciasnym, wzbraniającą synowi z zaciętością prawdziwie doktrynerską wstąpienia w związek małżeński z ukochaną przez niego Anielką? Przecież błąd Heleny aż nadto usprawiedliwiał obawy macierzyńskiego jęj serca. Bo czyż nie mogła przypuszczać, że owa dziś tak urocza dziewczeczka, w przyszłości pójdzie śladem matki i zwiecznie jednakowi życie, okrywając jego imię niesławą? Podobnych obaw doznałaby każda inna matka, każda szanująca siebie kobieta, która przecież dba o to, by jęj synowa z pocziwego szła gniazda. Ale cóż, kiedy autorka wszystko to zdaje się do przesądów zaliczać. Takim samym kamieniem obrażenia dla mieszkańców willi zrobiła Karola, owego redaktora wstecznego Hasła, z którego ręki pada cios godzący w pierś Lucyana. Słowem, tendencja występuje tu w sposób aż nadto namacalny, widoczny. Kwestya niedobrych małżeństw, kwestya rozwodów, jest zasadniczą myślą w Januarmy. Do jęj rozwiązania potrzebny był właśnie taki, jak on bohater, wolny od przesądów i skrupułów sumienia, usprawiedliwiający w sobie najbrudniejsze czyny naukową teorią.

Czy jednak ułatwienie rozwodów i sprowadzenie małżeństwa do znaczenia kontraktowej spółki, dobrej dopóty, dopóki obie strony zadowolone są z siebie, albo, co gorzej, czy pożycie na wiarę może przyczynić się do udoskonalenia i uszlachetnienia ludzkości? Na te pytania mało kto chyba da odpowiedź twierdzącą. Jeżeli bowiem przez analogią można wyprowadzać jakiegokolwiek wnioski, to właśnie ludy na najniższym stopniu cywilizacji stojące, najobszerniej korzystają z dobrodziejstwa rozwodów ¹⁾. Mamyż im téj swobody zazdrościć? Chyba nie, jeżeli się nie chcemy z nimi pod względem obyczajowym porównać. Bądź cobądź jesteśmy przekonani, że nie prawodawstwo rozstrzygnie kwestyą zgodnego małżeństw pożycia. Wpływ prawa tak daleko

¹⁾ J. Lubbock: „Les Origines de la Civilisation traduit p. Barbier,” Chap. III. Mariage et parenté. Paris, 1873.

w rodziny nie sięga. Daje ono opiekę tylko tej stronie, która przez drugą pokrzywdzoną została, ale nad to nic więcej.

Kwestyą tę rozstrzygnie pedagogika.

Gdy zwrócimy więcęj uwagi na konieczność przygotowania młodego pokolenia przez wychowanie do należytego spełniania przyszłych obowiązków w rodzinie; gdy zamiast systematycznego rozwijania w córkach próżności, zamiłowania w gałgankach, świetnych pozorach i wskazywania im za jedyny cel życia zamążpójścia przez frymark, nie już sercem, ale sobą i oddanie się nie temu, kto wart więcęj moralnie, ale kto na tej licytacji życiowej poda więcęszą ofertę; gdy zamiast powtarzania synom, że dobrobyt jest wszystkiem, a zdobycie karyery, choćby kosztem przekonań i osobistej godności, największą sztuką i uwieńczeniem życia na ziemi; gdy mówię, zamiast szerzenia tego trądu w rodzinach, zaszczipimy od dzieciństwa w synach i córkach ducha oszczędności i pracy, przejiemy ich poczuciem świętości rodzinnych związków i czcią domowego ogniska; gdy damy im poznać ważność czekających ich przyszłych obowiązków w rodzinie, do których wiek młodociany, tak pod względem umysłowym, jak fizycznym, tylko za epokę przygotowania uważany być winien,—wtedy i duch obecnie panujący w rodzinach stanowczęj musi uleść odmianie i kwestya rozwodowa sama z siebie upadnie. Z tych też powodów musimy Januarego uważać co do tendencji za utwór całkiem chybiony. Jeżeli kiedy bowiem, to dziś, należy raczćj wznaczać rodzinę, niż wprowadzać do niej rozkładowe pierwiastki; raczćj łagodzić, niż zajątrzać rany, jeżeli te gdzie się krwawią i zagrażają przejściem w gangrenę. Tém innięj zaś szerzyć zasady, które niewłaściwie stosowane do sfery ludzkiej, społecznej, widzimy, jakie wkoło u sąsiadów wydają owoce. Zostawmy walkę o byt w tém znaczeniu, jak ją January pojmuje—zwierzętom i nie przyklaskujmy zasadom bezwyznaniowości, które również do zezwierzecenia prowadzą. Bez religii, jak wykazuje Lubbock, mogą się obywać ludy, zostające na najniższym szczeblu dzikości; ale nigdy narody, posiadające wiekami wyrobioną cywilizacyą.

Roman Plenkiewicz.

SŁOWIANIE MEKLEMBURSCY
I WALKA STRONNICTWA NIEMIECKIEGO ZE SŁOWIAŃSKIM
PRZY WYBORZE BISKUPA DYECEZYI SZWERYŃSKIEJ.

(1191—1195).

PRZEZ

Stanisława Marońskiego.

Pomiędzy dolną Elbą, poważnie szerokiém łozyskiem wiodącą potężne swe nurty do morza, a sinemi falami Bałtyku, pomiędzy Ścieknicą (Steckenitz) ¹⁾ i Bagienicą (Wackenitz) ²⁾, co wśród malowniczych dolin płyną, by większe strumienie swą zasilić wodą, a Rokitnicą (Recknitz) ³⁾, wartkim do Bałtyku zdążającą biegiem, leży niewielki, ale w urodzajną glebę obfity, a w uroczę wdzięki przyrody również nie ubogi kraik. Jest nim ziemia meklemburska, która nazwę swoją wzięła od Meklemburga, niegdyś przestawnego starostawiańskiego grodu ⁴⁾ a dziś

¹⁾ Strionizia. Dokument Henryka Lwa z r. 1167, u Westphalena, Monum. ined. scr. Germanic., 1739—45, II. Diplom. Raceb. n. 11. Strionicioia, u Klüvera, Besch. d. Hsthums Meklemburg, 1737, I, 357. Cickenitze. Dok. cesarza Fryderyka I z r. 1188, u Westph., I, 1284.

²⁾ Wachnesa, Wagnesus, u Westph., I, 18. Woonitzia. Dypl. Henryka Lwa z r. 1158, u Westph., II. Dipl. Raceb, n. 5. Bagnisus. Mareschalcus Thurius, Vitae Obotritorum, u Westph., II, 1521.

³⁾ Wedle analogii w pobliżu leżącej miejscowości Röcknitz, która położona nad rzeczką, dawniej w dokumentach Rokeniz zwaną, w tychżo dokumentach to Rokniz, to Rokitnitze się zwie. „In amne Rokeniz.“ Dok. biskupa Bernona z r. 1173, u Lisch, Meklemb. Urkunden, 1837, I, str. 3. „Ecclesiam de Rokitniz.“ Dok. tegoż Bernona z r. 1173, Lisch, I, str. 6. (Villa) Rokitnitze. Dok. biskupa Sigwina z r. 1216. Tamże, str. 20. „Villam Rokenize.“ Dok. tegoż Sigwina z r. 1219. Tamże, str. 25. „Rokiniz.“ Dok. biskupa Konrada z r. 1237. Tamże, str. 47.

⁴⁾ Inolyta Obotritorum oivitas. Helmold, I, 20.

lichy niemieckiej wioszczyny. Nazwa ta prawdopodobnie jest późniejszem niemieckiem przekręceniem pierwotnej formy, brzmiącej, jak sądzić: „Mikułów”¹⁾.

¹⁾ Już Boguś, biskup poznański, autor Kroniki polskiej, spisanej około r. 1250, powiada (str. 22, wyd. Sommersberga), iż zamek „Mikel” odebrał nazwę swą od słowiańskiego księcia Mikola, t. j. Mikołaja. Nie podaje on wprawdzie źródła, z którego wiadomość tę zaczerpnął, zapewne więc jest to tylko domysłem jego. Lecz domysł ten, uważam, nie odbiega prawdy historycznej. Imię „Mikołaj” bowiem było w rodzinie książąt meklemberskich nader w używaniu, a pomiędzy ludem meklemberskim to ono i podziś dzień, szczególnie w przekształconej formie „Claus,” bardzo jest rozpowszechnione. Toć i Naccon, imię księcia meklembersko-słowiańskiego, żyjącego około roku 950, o którym wspominają: Widukind, III, 50, Dytmar, II, 6, Adam Brem., II, 24, zapewne jest przekręceniem niemieckiem spieszczonej formy słowiańskiej imienia Mikołaja, spowodowanem bądźto przez cudzoziemskich autorów, bądź też przez niezgrabnych przepisywaczy. Któryby to książę Mikołaj był założycielem owego grodu, niewiadomo. Chwalczewski (Kron. Polska, 1549, I, str. 29) wprawdzie powiada: „A cesarz Enryck Micolaya xyaze słowunakye, od którego zamek bel wezwan Michelburk ze wszystkich ziem y dzyerzaw uyal.” Ma on zatem na myśli, w czem się przecież mocno myli, Nikłota, z którym nie cesarz, ale książę saski Henryk Lew około r. 1160 krwawo, jak to niżej zobaczymy, staczał boje. Toć Helmold, proboszcz bozowski, znakomity autor nader cennej Kroniki słowiańskiej, napisanej około r. 1170, powiada (I, 12), że ów gród już około r. 970 egzystował, mieszcząc w sobie klasztor panieński. Jeżeli zaś założycielem był książę słowiański, co koniecznie przyjąć trzeba, gdyż w X wieku Niemieccy bynajmniej tam nie panowali książęta, to trudno uwierzyć, żeby ów książę niemieckiem miał ochrzcić mianem gród, który jego i następców miał być stolicą. Prawda-ć, że i takie przypadki historia zna, ale należą one tylko do wyjątków, a takowe są tylko wtenczas wiarogodne, jeżeli stwierdzone są pewnemi świadectwami. Zresztą gdyby nazwa zrazu miała być niemiecką, musiałaby brzmieć: Nicolsburg, gdyż Mikołaj po niemiecku Nicolaus się zwie. Formacja „Mikułów” jest prawidłowo słowiańską od przestarzałego imienia „Mikuła” (Linde s. v. Mikołaj), gdyż słowiańskie języki tworzą przeważnie imiona miejscowe od imion osobowych za pomocą pogłosów, np.: Józef-owo, Pawł-owo, Jan-owo, gdy przeciwnie zgodnem jest z duchem języka niemieckiego tworzenie imion takowych przez składanie rzeczowników: Josephs-dorf, Pauls-hof, Johannis-burg. To też Mikułów w księztwie morawskiem po niemiecku brzmi: Nicolsburg. Tak samo i nasz Mikułów meklemberski, straciwszy w ustach niemieckich pogłos „ów,” a przybrawszy wyraz: burg=gród, przedzierzgnął się w Meklemburg. Słowiańskiej zaś, owej prawdopodobnej formy, nie przekazały nam żadne dokumenta, żadne kroniki. Dziwić się temu zbyteczna, gdyż Słowianie starożytni nie będąc ludem piśmiennym, ani spisywaniem dziejów, ani układaniem dokumentów się nie zajmowali. Najdawniejszą, a współczesną wzniankę grodu owego znajdujemy w dokumencie cesarza Ottona III z r. 995 (Raumer, Regesta Hist. Bran-

Ziemia ta przerzniętą jest łańcuchem falistym, gęstym, a bujnym lasem pokrytych pagórków, co jako odnoże, odszczepiwszy się od góry-

denb., n. 338). Zwany on tu jest: Michelenburg. Helmold użył w Kronice powyżej już wspomnianej, wedle recenzji Lappenberga, następujących form: Mikilinburg, I, 2; Michelinburg, I, 12; Mikelenburg, II, 2; Mekelenburg, II 14. Kontynuator jego Arnold, opat klasztoru św. Jana w Lubece, około r. 1205, ma także wedle recenzji Lappenberga: Michelenburg, III, 4. Z form tych urobił się następnie Meklemburg, gdzie zębowo-nosowe brzmienie N przed wargową głoską B, wedle zasad językowo-fizjologicznych w wargowo-nosowe M przemienić się musiało. Adam, około r. 1070, kanonik bremeński, jest pierwszym, który utrzymując zapewne, jak to w nowszych czasach bezdowodnie czynią Westphalen, I, 78 i Lisch, Jahrbücher, I, 174, że owe mikil, mikel, pochodzi od staroniemieckiego wyrazu mikil, znaczącego „wielki“, utworzył w Kronice swój: Gesta Hammaburgensis eccles. pontif., II, 18, formę łacińsko-grecką Magnopolis, jako tłumaczenie niemieckiej formy Meklemburg (mikil, magnus=wielki; burg=polis, gród). Forma ta klasyczna nie przeszła jednakowoż do mowy ludowej; używano ją tylko w pismach łacińskich. Bogułał zaś (str. 22), który błędą czyni uwagę, że ów Meklemburg dawniej się zwał Lubowem—wieś ta egzystująca jeszcze teraz, milę przeszło jest odległą od owego grodu—czepia się owiej formy, a uważając, iż owe polis to wyraz polski „pole“, wprowadził do literatury naszej ziemię meklemburską, jako „Wielkopolskę.“ Że niektórzy średniowieczni kronikarze i historycy nasi—wymieniam tylko kronikarza pewnego z XV wieku, cytowanego w „Pierwotnych Dziejach Polski i Litwy“ Maciejowskiego (str. 31, n. 3) i Długosza, I, 67—za Bogułałem powyższą bajkę powtórzyli, temu się nie dziwić. Ale dziwić się trzeba, że Maciejowski w co dopiero powołanem dziele, str. 31 i nast., trzusi się takową, jako poważną wiadomość przedstawić. Błahym jest jego argument: „że w Meklemburgii (sic) i tej części Polski, która dziś nasze Królestwo składa, są dotąd miasteczka i wioski jednoż nazwisko noszące.“ Licznie bowiem rozsypane po ziemi meklemburskiej nazwy miejscowe znajdują mnogie analogie w całej Słowiańszczyźnie, jak długą i szeroką ona jest. Powoływanie się zaś na dyplomata „ważny“ arcybiskupa bremeńskiego z r. 1306, w którym tenże Dytmarów karcni z powodu skarg „Consulum in Hamburg ac civitatum infra Visseram et terram Polonie circa litus maris orientalis jacentium“, jest już całkiem niefortunne, gdyż mowa tu o Hamburgu i innych miastach hanzeatyckich, leżących nad Bałtykiem, do których i Gdańsk, w skład państwa polskiego wówczas wchodzący, należał. Nie jest zatem tu mowa o jakiejś meklemburskiej, ale o prawdziwej Polsce. Tak samo powoływanie się (str. 32, n. 1) na poezję starożytną niemiecką, w której się znajduje wzmianka, że król jakiś Jurlungalandu, leżącego w pobliżu dzisiejszej Jutlandyi, walki staczał w krainie Pulinaland zwaną, niczego nie dowodzi. Drobne bowiem ziarenka historyczne z tych sag i pieśni, przedstawiających tak pod względem historyi, jak i chronologii i geografii, zawily chaos uroję, tylko za pomocą przynależnego aparatu krytycznego wydobyte być mogą.

stego pasma uralsko-baltyckiego w okolicy dolnej Hawoli, w północno-zachodnim kierunku ku holzackiej bieży ziemi, tworząc dział wód, gniących w toni Baltyku i morza Niemieckiego. Pasma to, wchodząc od południowo-wschodniej strony w ziemię meklembursko-strzelecką, poprzerywane parowami i rozdołami, wysyła tamże ku wschodniej stronie niemało luźnych a rozproszonych wzgórz, piętrzących się o kilkaset stóp ponad powierzchnią morza. Czarna góra (Iserberg) wzbija się czubem do wysokości przeszło 800 stóp. Góra przy Helpte, stromy mająca spad ku dolinie, blisko 700 stóp jest wysoka. Ze szczytu tych pagórków i wzgórz rozkwiera się miły a rozkoszny widok na krainę bogatą w zajmujące a malownicze krajobrazy. U podnóża bowiem wyżyn tych rozciąga się na rozległej przestrzeni równina, pokryta najrozmaitszą popłatany labiryntem rybnych jezior, grzęskich bagien, torfiastych błotisk, tonących ługowisk. Wody te, owe resztki przedwiekowych mórz, w których toni kryła się niegdyś nizina wschodnio-europejska, czy sarmacka, opasane są w wielkiej części ciemnymi ścianami szumiących potężnych lasów. Z tych zaś jezior, błot i bagien, jak i z podnóża wzgórz, sączy się mnóstwo strug i rzeczek, które zbiegłszy się, większe tworzą strumienie, jak Hawolę, co w południowym kierunku zniżając ku wklęsłej brandenburskiej ¹⁾ dolinie do Elby, wolnym a le-

¹⁾ Brandenburg, nazwa wielkiego a znakomitego miasta tak za czasów słowiańskich, jak i dzisiaj, jest pochodzenia słowiańskiego. Bezwątpienia nazywał się gród ten pierwotnie „Brodowin.“ Gwoli tego następujące dowody: Miasto to składa się z trzech części: z ostrowia na rzece Hawoli, gdzie zamek i katedra stała, ze starego i nowego miasta. Do starego miasta dotykała wieś Kraków (Gercken: *Stiftshistorie von Brandenburg*, 1766, str. 89). Obie te części (stare i nowe miasto) leżą ponad brodami Hawoli. Nowe miasto, leżące na południowym brzegu tej rzeki, założonem zostało dopiero za panowania niemieckiego, w drugim połowie XII wieku (Fidicin: *Die Territorien der Mark Brandenburg*, 1858, III, 3, str. VIII). W dokumencie margrafa Otona II z r. 1187 (Gercken: *Stifts.*, str. 383), zwanem ono jest *Vürstede*, co wedle tegoż Fidicina znaczyć ma nie *Vorstadt*—przedmieście; ale *Fuhrstaeette*—miejsce brodów, od *Fuhr*—bród i *Staeette*—miejsce. Stare zaś miasto, wprost na przeciwnym brzegu leżące, było prastarą, pierwotną osadą słowiańską, opierającą się o zamek na ostrowiu położony. Nazwę jej, aczkolwiek mniej więcej przekreconą, podały nam stare dokumenta w następujących formach: „*Villae Parduin.*“ Dok. biskupa Wilmara z r. 1166, Gercken, 356; dok. Otona II z r. 1187; tamże, 384. *Parduvin.* Dok. bisk. Sigfrieda, 1173; tamże, 362; dok. ces. Fryder. I, 1179; tamże, 366. *Parduvin.* Dok. Otona I. margr. brand., z r. 1179; tamże, 369. Już Fidicin (III, 1, str. XIV) dobrze wprowadza nazwę tę od „bród. Toć wymiana wzajemna spółgłosek B i P w niemieckich narzeczach jest bardzo zwyczajną: Bapst za Papst; Pober za Bober; Parden v. Barde, wieś przy Lipsku. Przerzutnia spółgłoski R przed A lub O jest charakterystyczną właściwością języków nadelbiańskich: worta—wrota, borna—brona (Szafarzyk: *Narodopis*, str. 126). *Parduwin* jest jak

niwym biegiem niesie swe wody, jak Dolnicę (Tollense) ¹⁾, co przerzynając jezioro Dolne (Tollensee), głębokie wyżłobiwszy koryto, w hała-

i Brodowin apokopowaną formą imienia pospolitego „Brodowina“, oznaczającego mieliznę, piaszczystą wyniosłość na rzece (Linde s. h. v). Samogłoskę O przemienili zaś Niemcy w A, folgując zwyczajowi panującemu w średnich wiekach w Niemczech przekształcania O w A: sal zamiast soli; adir zamiast oder (Voigt: Cod. Pruss., I, 172). Etymologia owa, wychodząca od źródłosłowu „bród“, zgadza się zupełnie z lokalnymi własnościami. na któreśmy już powyżej wskazali. Gdy Niemcy pod wodzą Henryka Ptasznika, cesarza rzymskiego, r. 927 zamek opanowali, nieomieszkali go niebawem przechrzcić. Odrzuciwszy od imienia „Brodowin“ złożony pogłos owin, złączyli ze źródłosłowem „bród“ wyraz burg—gród, za pomocą eufonicznej wsuwki en, przez co im się uformowało Brodenburg, Brandenburg. Wiedzeni zaś podobieństwem brzmienia, niezrozumiałe im „brod“ swojskim wyrazem „brand“, pogorzel, pożar, zastąpili, stąd Brandenburg. Przemiany na tej zasadzie są bardzo częste. Raciborz, wieś w Czechach, po niem. Rothwurst (czerwona kiełbasa); Okrąglik, powiat Chojnicki=Ohrenglück (szczęście uszne); Targowo, pow. Szczywieński=Theerwisch (szmata sznolna); Szeroki Pas, pow. Nidborski=Schienpost (pocztą szynkowa); Trzciany, pow. Złotowski=Zahu (zab); Baborów, pow. Łubczycki=Bauerwitz (dowcip chłopski). Zresztą i Polacy tak samo czynią. Elisenthal (dolina Elizy) w pow. Chełmińskim przezwiał chłopek polski Świnia łaźnia. Zapisujemy tu jeszcze niektóre to nieuzasadnione, to dziwaczne wywody nazwy: Brandenburg. Mareschaleus Thurius (Westphal, II, 1578) wyprowadza ją od trackiego narodu Bryzów; Bleau (Theatrum Orbis Terrar., p. 17) baje, że Brennus, zdobywca Rzymu, jest założycielem Brandenburga. Inni znów wymyślali, że zaszczyt ten należy się jakiemuś margradowi frankońskiemu Brandoniemu, który to niby miał żyć około r. 230 przed Chr. (Historisch. Lexicon; Speculum Germaniae, 416). Są też tacy, którzy przy należny źródłosłów znaleźli w wyrazie Brenn, Brinn, który w staroniemieckim „hełm“ ma znaczyć (Hartknoch de Republ. Polon., 137). W nowszych czasach, gdy celtomania dziwactwa swoje wytwarzać poczęła, odkrył profesor frankfurcki Hüllmann (Historisch-etymologischer Versuch über den Keltisch-Germanischen Volksstamm, p. 63), że Brandenburg znaczy Gród miecza, gdyż celtyckie brand—miecz znaczy. Aliści znalazł się jeszcze lepszy Celta. Jest nim Obermüller, istny kuglarz w dziedzinie etymologii, który w dziele swém potężną objętości: „Deutsch-Keltischer Wörterbuch“, równie potężne, jak nieprzeliczone nagromadził mnóstwo niedorzeczności i nonsensu. Otóż wykazał on, że Stanisław jest wyrazem celtyckim, złożonym z celt.: stannaidh, stacnadh=kręcony i law=miejsce. Tak samo mu się pokreśliło, wywodząc Podgórze

¹⁾ Niemcy północni kładą T zamiast D: Tragowit za Dragowit; Teutsch za Deutsch, zatem téż: Tollense za Dollense. Zakończenie zaś ense jest przekręceniem pogłosu enica. Wieś Strettense przy Anclam zwie się w dok. Barnima I, księcia pomorskiego, z r. 1243 (Kosegarten: Cod. Diplom. Pomer., str. 704) Tristensa=Trzcienica.

śliwym biegu, jakoby górski potok, spieszy, by swemi wody zasilić rzekę Pianę (Peene). Na około tych wód i pagórków ściele się urodzajna ziemia, pokrajana w bujnym plonem pokryte zagony roli, obok których pastewne błonia, pyszne łąki, porośnię piękniemi kwiatami, rozległemi się ciągną smugami. W krainie téj, w pośród wód nieprzystępnych, leżał niegdyś ów słynny słowiański gród Retra, który otoczony ciemnym, a ludowi pogańskiemu świętym lasem, był jednym z głównych ognisk bałwochwalstwa słowiańskiego. Tutaj w pysznej świątyni ustawiony był bałwan złoty Radegasta; a kapłani jego ogłaszając wyrocznie ludowi, co z różnych ziem przychodził, ofiarne im znosząc daniny, nie tylko szczególniejszą byli otoczeni czcią, ale nawet takie mieli znaczenie, iż jako wieszcz, odsłaniający przyszłość, wpływ stanowczy na bieg politycznych wypadków bardzo często wywierali.

Na północ od miasta zwanego Nowe Strzelce (Neu Strehlitz) wykręca się owo pasmo garbów i wzgórz ku zachodowi, a zniżywszy się nieco, w poprzek ziemię meklemburską przerzynając, bieży prostą linią, jakęśmy to już wspomnieli, ku granicy holzacko-lawenburskiej, tak na północ jak i na południe w poziomą się staczając płaszczyznę. Na południowym stoku grzbietu tego, rozciągnęły się równoległe nieprzerwanym łańcuchem najpotężniejsze jeziora; szereg takowych rozpoczyna jezioro Morzyckie (Müritz)¹⁾, które około sześciu mil kwadratowych obejmuje. Dalej następują jeziora: Kiełbskie, Małachowskie, Pławińskie. Z tych zaś jezior zabiera rzeka Lida (Elde)²⁾ obfite wo-

od celt.: bait=woda i gorizza=miejsce graniczne; Podole od beo=bydło i dail=dolina; starosta od celt.: stor=zapasy. Dziwnem zaiste, jak Sieniawski (Biskupstwo Warmińskie, 1878, p. 100) dzieło, które istnym jest zakałem w świecie literackim, mógł nazwać sławném! Ten więc Obermüller wywodzi Brandenburg od celt.: braine=książę i burg=gród. Bogufał (Godzisław Paasek, u Bielow. Mon. Polon., II, 586), czepiąc się wyrazu „brennen,” palić się, gorąć, przetłumaczył Brandenburg na Zgorzelec. Za nim poszli następnie po większej części polscy pisarze. Czech Balbin zaś (Epitom. Rer. Bohem., p. 230) powiada: „Brandenburgum Slavi Branny Bor idest silvae custodiam appellabant.” Dlatego też czescy uczeni za jego powodem nazywają gród ów Broniborem, którą to nazwę w nowszych czasach również wielu polskich przyswoiło sobie pisarzy. Tymczasem ani Zgorzelec, ani Bronibor, nie mają żadnego historycznego uprawnienia; jedno jak drugie jest tylko czczym domysłem, spowodowanym przez podobieństwo dźwięku słów.

¹⁾ Żupa, dotykająca jeziora tego, zwaną jest w dokumencie cesarza Konrada III z r. 1150 (Księg. Cod. Dipl. Pomer., p. 45) Morizi.

²⁾ Elde nie może być pierwotnie słowiańską nazwą. Połabsko-baltyckie narzecze, będące odłamem polskiego, nie cierpi na początku wyrazów samogłoski *e*. Wszakże w ogóle samogłoską słowiańskie języki niechętnie rozpoczynają wyraz. Dlatego też bardzo często przed wyrazy zaczynające się od samogłoski, kładą się, co mianowicie w mowie ludowej jest w używaniu, przygłosy w postaci powiewnych spółgłosek, wargowej *w*, gardłowej *h* i pod-

dy, które, zasilona przez rwistą a niespokojną Łacnicę (Lockenitz) ¹⁾, skrapiając świeże błonia nizin, a nie śpiesząc się zbytnio do Elby, zanoszą. Na południe owych wielkich jezior, dość licznie porozrzucane są małe jeziorzka, błotniste bagna i moczary, które się w drobne zlewają rzeczutki i strugi.

Była to druga grupa jezior w systemie wód meklemburskich. Trzecia szeroko rozgałęziona, rozkłada się, daleko w głąb kraju wybiegając, u północnego podnóża owej poprzecznej wyżyny. Do znaczniejszych należą jeziora: Krakowskie, Goldber(g)skie, Sternber(g)skie i czyste a przejrzyste jezioro Szweryńskie. Na północnej owej pochyłości wytryskują źródła największej rzeki meklemburskiej, Warnowy. Przybiera ona liczne dopływy, które, dla niskich swych brzegów, miejscami się rozkładając, liczne tworzą jeziorzka rzeczne. Najznacześniejszym z tych dopływów jest Niewiela (Nebel) ²⁾. Zasilona temi wodami płynie przez rzeczona Warnowa głębokiem korytem, skrapiając żyzne role, bujne łąki, wśród brzegów to niskich, to znów nagle wznoszących się z równin, w kierunku północno-wschodnim, by się ostatecznie odlać limanem do morza Bałtyckiego.

Pomiędzy tą rzeką a ową wyżyną meklemburską rozciąga się kraj w rozległą równinę. Widnokrąg tu daleki, odgraniczający się w wielkiej części gęstym to bukowym, to dębowym lasem. Rola łąkowa, urodzajna; a na wybornie uprawionych żyznych łąkach, falisto kołysze się bujne zboże.

Inną zobaczymy fizyognomią kraju, przeszedłszy Warnowę, zmierzając ku północy do niskich, zaspami i wydnamii piaszczystemi pokrytych brzegów Bałtyku. Po największej części znajdujemy tutaj ziemie piaszczystą, jałową, niewdzięczną, poprzerwaną sapami i kaliskami (błotami), nastrzępioną borem sosnowym. Tu i owdzie napotkasz tylko ziemie tłustą, łąkową. Cieszy się takową rozkoszna, nad morzem leżąca okolica Dobrzanu (Doberan) ³⁾, gdzie mieścił się niegdyś bogaty klasztor Cystersów, zaciętych germanizatorów. Ale i Wyszomirz (Wismar), leżący nad zatoką, którą Bałtyk głęboko się w stały ląd wdarł, uro-

niebiennę j: aper, wieprz; agnus, jagnię; Hanka, hareszt, wokręt, wiuho, Jawa. Sądzę zatem, że Lida była pierwotną formą, i że Elde podobnem jest przeinaczeniem, na zasadzie przerzutni, formy „Lida,” jak formy „Elba,” „Ellguth,” są przeinaczeniami form: Laba, Ligota. Od pierwiastku „lid” utworzone nazwy rzek dość często się znachodzą na ziemiach słowiańskich: Lidziewa na Litwie; Lider w niegdyś słowiańskiej Frankonii.

¹⁾ Por. niżej.

²⁾ W bulli papieża Aleksandra III z r. 1177 (Kosegart. Cod. Dipl. Pom., p. 107) zwana jest ta rzeka: „Niuiele.” Nieuelia. Dok. z r. 1232, Lisch. Mek. Urk. III, 80.

³⁾ W dok. biskupa Sigwina z r. 1216 (Kosegar., p. 259), zwie się miejsce to: Dobran. Wicś Dobrzan znajduje się w Czechach; Dobrzany w ziemi Lwowskiej.

dzajną i piękną jest otoczony okolicą, ów Wyszomirz, co nam przypomina Ludgarde, córkę Henryka II, księcia meklemburskiego, którą, tu urodzoną, los fatalny przeniósł ponad Wartę, do polskiego grodu Poznania, by tutaj jako żona Przemysława II, siromotnej się doczekać śmierci.

Od obu kończyn powyższej wyżyny odrywają się odrośla wybiegające prostokątnie w północne płaszczyzny. Zachodnia odnoga wysunęła wzgórze swoje, rzesisto lasami porośnię, aż pod Grevesmühlen, w okolicę niedaleko od morza odległą, a zachwycającą bogactwem i pięknoscią wegetacyi swojej. Z tych garbów bierze początek rzeka Radegast, która w dolnym swym biegu przybrawszy nazwę Stawnica (Stepnitz) ¹⁾, do limanu daszowskiego odlewa swe wody.

Wschodni zaś łańcuch pagórków, tworzy dział pomiędzy dorzeczem Warnowy i Piany. U ich podnóża wytryska w północnej części Rokitnica (Recknitz) ²⁾, w południowej zaś Piana. Rokitnica, płynąc najprzód w północno-wschodnim kierunku, wywija się w środkowym swym biegu ku stronie północno-zachodniej, a rozgraniczając Meklemburgią od Pomeranii, wartkim a krętym biegiem płynąc w szerokiej dolinie, bystro zdąża ku morzu Bałtyckiemu, by temu, połączywszy się z limanem rybnickim i zatoką salską, wody swoje oddać. Piana zaś, przerzynając głębiny podłożnych jezior Malczyńskiego (Malchin) ³⁾ Komorowskiego (Kummerow) ⁴⁾, wkroczywszy do Pomeranii skręca się ku wschodowi, a połączona ze znaną nam już Dolnicą, szerokiemi łożyskiem pomiędzy niskimi brzegami płynąc, wchodzi do zatoki pomorskiej. Na górnym dorzeczu rzeki tej rozlały się, jako czwarta grupa, gromady licznych jezior, jarug, błot i kalisk, w około których się rozciągają lasy dębowe, przerzynające i pyszne łąki i dość urodzajne niwy.

Ziemia owa meklemburska, którąśmy poznali, jest częścią Słowiańszczyzny północno-zachodniej, gdzie przed ośmiu wiekami silnym jeszcze tętnem biło życie słowiańskie.

Ośm zaledwie oddziela nas wieków od czasu, gdzie na ziemi tej czuła matka, pieszcząc niemowlę swoje, ucho jego do pięknych, słowiańskich przyzwaczając dźwięków; gdzie sędziwy ojciec poważne udzielając dzieciom nauki i przestrogi, takowe w szatę miłych przyodziewał wyrazów słowiańskich: gdzie serdeczna pogadanka przyjaciół, gdzie rozkazy panów sługom dawane, gdzie nauki religijne przez kapłanów nabożnemu ludowi głoszone, nie inaczej jak czystym słowiańskiej mowy płynęły strumieniem; gdzie wreszcie książę, wojewoda, gdy

¹⁾ Rzeka owa nazywa się też w niemieckim: Stubenitz. Bangert, ed. Helmold., p. 126, zowie ją Stöpenissa. Jestto oczywiste przekręcenie nazwy „Stawnica.“

²⁾ Por. wyżej.

³⁾ Malchin w dok. z r. 1215 (Koseg., p. 236), wskazuje na Malczyn.

⁴⁾ Comerowe, dok. z r. 1251, (Koseg., p. 928).

najeźdnik drapieżne zapuścił zagony pomiędzy spokojne i ciche sioła. słowiańskiemu tylko słowy bitnych wzywał obrońców kraju do odparcia wroga, do wzięcia krwawego na nim odwetu.

Ośm wieków wstecz, a słowiańska pieśń to smętna i melancholijna, to wesoła lub poważna, to burzliwa a silna, unosiła się swobodnie to w polu przy pracy, to w izbie wśród grona członków rodziny, to w świątyni, to wśród boju, gdy zacięta zawrzała z wrogiem walka. Ośm wieków wstecz, a panowała w ziemi téj słowiańska uczciwość i rzetelność; szczerza, serdeczna gościnność i wesoła towarzyskość; uczciwość i łagodność obyczajów. Były tam staranie i opieka nad podupadłymi a osieroconymi; wojna nie była społeczném rzemiosłem; cudzego nie pragniono zaboru, a wdzierstwem do obcego mienia i grabieżą sąsiadów się brzydono i tylko gdy przyszło stanąć w obronie swéj strzechy, swéj ziemi, bitny lud w rozpaczliwéj obronie stawał się postrachem wrogów, a w mściwéj pogoni szerzył w krajach najeźdźców mord i spustoszenie siół, krwawą świecących łuną ku niebu. Lecz panowała téż w ziemi téj słowiańska niezgoda, kłótniwość, niesforność, skłonność do anarchii, niechęć podporządkowania woli swéj indywidualnej pod wolę ogółu, brak zmysłu politycznego, brak łączności pojedynczych plemion, wiązanie się z wrogiem przeciw bratu swojemu, i to z wrogiem, co czyhał tak na jego jak i brata zagładę.

Tak było przed ośmiu wiekami. Dziś już tam ani znaku tego wszystkiego. Zatracony język, przenarodowieni, wypędzeni lub wytępieni mieszkańcy, a na ich ziemi, kośćmi ich umierzwionej, rozpanoszył się żywioł germański i wzrasta dalej, jakoby dąb na cudzej a bujnej roli. „A z grobów męczonych Słowian, mówi autor pewien, nie odzywa się dziś ani jęk smutną pieśnią, ani przypomnienie przeszłości, ani epepea walecznych ksiąząt, ani tragedia wycierpianych od najeźdźców boleści, ani dramat odnawianych niegdyś ruchów i dokonanych walk w obronie ojcowizny wiekówéj. To groza grobowa Słowian.“

Plemieniem, które przeważnie ziemię owę meklemburską zamieszkiwało było plemię Brodzian, tak zwane od brodów licznie rozsiąanych po takowéj, co, jakeśmy to widzieli, nieprzerwaną nieomal siatką błot, jezior, strumieni, jeszcze teraz pokrytą jest. Nazwa ta piękna, w ustach cudzoziemców potworną przybrała postać: Afdredów, Apdredów, Abotrytów, Obutryów, Abodrytów, Apodrytów, Obodrytów, Obotrytów ¹⁾, które to ostatnie miano nad innemi górę wzięwszy, w ogólne weszło używanie.

¹⁾ Por. króla Alfreda „Opis Germanii.“ Bielowski, „Mon. Pol. Hist.“ I 13, 14. Annal. Saxo a. a. 952, Annal. Lauriss. a. a. 789, Annal. Fuld, a. a. 889, Chron. Hillesleb. Raum. Reg. nr. 361. Samogłoski *a* i *o* są nasuwkami niemieckimi; a „bród“ zgodnie z właściwościami narzecza połabskiego, w témże narzeczu brzmiał przesuwnie: „bord;“ ztąd Bordzianie, Obordanie, Abordanie. Z form tych wypłynęły u Niemców przez dalszą przerzutnię formy: Obodranie, Obodredy, Obotryty. Zeuss, „Die deutschen und ihre Nachbarstämme,“ str.

Zajmowali oni większą zachodnią połowę ziemi powyżej opisaną, rozpierającą się pomiędzy Ścieknicą i Drawą (Trave) a źródłami Rokitnicy i Piany. Zaliczają się jeszcze do nich mniejsze plemiona Warnowców ¹⁾, siedzących pomiędzy Warnową a północnym stokiem wyżyny meklemburskiej i Bytyńców ²⁾, mieszkających między dolną Ście-

654. i Lelewel, „Narody na ziemiach słowiańskich,” str. 750, wiąże imię owe z Odrą; Szafarzyk zaś, „Słowiańskie starożytności,” tł. Bońkowski, I, 720, od słowiańskiego je wyprowadza wyrazu: bedr, bodr, (dzielny). Marne to etymologie, czepiające się li tylko podobieństwa brzmień. Odry rzeki w Meklemburgii nigdy nie było, a wyprowadzenie nazw ludowych od charakteru i moralnych przymiotów, jedynie tylko na ową podstawę całkiem jest zwo-dne. Już Szlecer, „Versuch einer richtigeren Auslegung“ etc. w „Allgem. Welthistorie“ XXXI, str. 108 słusznie zauważył, „że sto ludów mają swą nazwę od położenia i fizycznych własności ziemi przez nich zamieszkałej, ale może tylko dwa, albo ~~tę~~ żadne od moralnych przymiotów.

¹⁾ Warnabi. Adam Br. II, 18. Warnavi, Helmold I, 2. Warnowe, dok. z r. 1171, Lisch. III, 26.

²⁾ Bethenzi, Chron. Moiss. a. a. 813 (skażone formy: Bethenzr, Bethelenzi, Bethelereri. Bethenici, geograf. bawarski, Biel. Mon. Pol. Hist. I, 10. Szafarzyk II, 724, 725 robi z nich „Wietników,” nie pewien, czyby oni byli „szczególną gałęzią narodową, czyli też jeno szczególną klasą mieszkańców.” Lelewel, 660, biorąc do pomocy wiadomość Dytmara V, 6: „satelites dicti slavnice Vethenizi, rukes burgienses,” sądzi, że owi Bethenzi był ludek, zwany właściwie „witeniec, strażnik, z powodu że strzegł stanowiska nad Elbą. Ekhard, Franc. Orient. II, 67, śmieie nazwę ową na Bellegereti, Bellegered przekręcając, odkrył w niej imię: Białogród. Pertz zaś, I, 309, mylnie się miana „Priegnitz“ domyśla. Wszystkie te hipotezy, jako niedowodne, odrzucić nam trzeba. Nazwę zaś Bytyńców, Bytonów, Byczyńców, przypominają nam jeszcze dwa miasta w ziemi przez ludek ten niegdyś zamieszkałej leżące: Boitzen-burg leżący nad rzeczką Boitze (Bytonia) i Witten-burg, powstałe z Byten-burg. Jedno i drugie znaczy: gród Bytonów, Byczyńców. Że w Boitzenburg *oi* tylko jest przekręceniem pierwotnej słowiańskiej głoski *y*, tego dowodem forma Bytzenburg dzisiejszego miasta Boitzenburg w marchii brandenburskiej, znachodząca się w dokumencie z r. 1249 u Fidicyna IV, 169 i forma niemiecka Beuthen górnośląskiego miasta Bytom. Dwugłoska *oi* przystaje, chociaż nie graficznie, ale fonetycznie zupełnie do brzmienia *eu*. W nazwie Wittenburg *io* przez wymianę w miejsce *b* się pojawiło. Wymiana bowiem spółgłosek wargowych w niemieckim języku dość często się znachodzi; nowoczesne niemieckie wyrazy: falb, gelb, farbe, garbe, Tübingen, brzmiały w średniowiecznej niemczyźnie: falwes, gelwes, farwe, garwe, Tüwingen. Grimm, Deutsche Gram. I. Ku stwierdzeniu, że z pierwiastku słowiańskiego „byt, bycz“ przeliczne potworzone zostały czysto słowiańskie nazwy miejscowe, niech posłużą następujące przykłady: Bytyń w powiatach słonimskim i szamotulskim; Bytom (Beuthen) w pow. bytowskim i głogowskim; Bytowo (Bütow) w pow. bytowskim i w ks. merawskim, w pow.

knica a Sudą, dopływem Elby. Mniejszą część wschodnią zajmowali Kiszanie ¹⁾, pomiędzy Warnową a Rokietnicą; Dolency ²⁾ zaś pomiędzy Pianą a Dolnicą; a na południe od nich, w dzisiejszém księztwie meklensursko-strzeleckiem Redarowie ³⁾.

starogardzkim w Pomeranii i w rupińskim; Bytoń w pow. brzesko-kujawskim; Bytonia w pow. starogardzkim w Prusach Zachodnich; Bytkow w Górno-Szląsku, w pow. oleskim; Bytunia w Krainie austr., Bytowany w Czechach; Byczyn w pow. toskim, Byczyna w Galicyi, pod Sławkowem, w pow. opolskim, i t. d.

¹⁾ Chizzini, Adam Brem., II, 18. Annal. Saxo a. r. 952. Kycini, Helmold, I, 2. Kizin (terra) Dok. z 1181. Lisch. Mekl. Urk. III, 37. Kytin terra, bulla z r. 1189, tamże, 45. Kissini, nekrologium doberańskie około r. 1337. (Lisch., Jahrb. I, 31). Lud ten nazwę swą wziął od grodu dawniejszego, a dzisiejszej wsi Kessin przy Rostoku. Kysin (castrum), dok. z roku 1170. Lisch. Mekl. Urk. III, 20. Kizsin, dok. z r. 1219; tamże, II, 3. Kizsin, dok. z r. 1219, tamże 6. Kizin, dok. z r. 1171, tamże III, 32. Pierwiałkiem nazwy tej jest „kis“, od którego pochodzą: kisać, kiśnieć, kisanie, kisenie i t. p. Z wyrazami temi pokrewne są co do znaczenia i brzmienia wyrazy: kwaśny, kwasid, a co do znaczenia: słony, solny, solić. Ziemia zaś Kiszanow obfitą dawniej była w źródła solne. Dzisiaj tylko salny w mieście Sülz (Sülte w dolno-niemieckiem narzeczu znaczy: solisko) położonem przy ścieku rzeczki, zwaney w dok. z r. 1299, (Fabricius, Urkunden zur Geschichte Rügens, III, 1, 74): Slonitze, do Rokitnicy. O dawniejszém solisku przy mieście Marłowa, wspomina dokument z r. 1267. Lisch., Mekl. Urk. III, 141 (salina juxta Marlov). Zapewne i przy owém Kisinie niegdyś solisko było. Toć i Kissingen, miasto w słowiańskiej niegdyś północnej Bawarii leżące po nad Salą (Słoną), gdzie i wody solne i saliny się znajdują, od „kis“ w znaczeniu „słony“ wzięło nazwę swoją. Szafarzyk II, 711, a za nim Kosegarten, Cod. Dipl. Pomer., 120, wywodzą nazwę ową od chyża=chata, lub od chyzy, prędkie. Rzecz całkiem niedowodna. Jeżeli zaś Szafarzyk (tamże) utrzymuje, iż spółgłoska *k* w Kissingen jest tylko przemianą spółgłoski *ch*, to mocno się myli. *K* bowiem regularnie jest używane, podczas gdy *ch* wyjątkowo się tylko u Adama Brem., za którym annalista Saxo formę tę powtórzył, znajduje. Ale i to *ch* czytać się winno jak *k*. W średniowiecznej niemczyźnie często literą złożoną *ch* wyrażano brzmienie *k*: chomen=kommen, chlain=klein, chrowcz=kreuz, chunig i kunig. Ottocaris Reimchronik, ca. 1260, w Scriptores Rerum Pruss. I, 251.

²⁾ Tholosantes, Adam Brem. II, 18. Tholenz, Helmold II, 1. Dolenz (provincia). Dok. z r. 1150, Koseg. 46. Nazwa ta pochodzi od rzeki Dolnicy (Tolense), nad którą plemię owo mieszkalo.

³⁾ Retheri, Adam Brem., II, 60. Redari, Riaduri, Helm., I, 2, 21. Radewer, Raduir. Dok. 946, 1170, Koseg. 17, 72. Riedero, dok. z r. 965, 973. Raum. Reg. nr. 207, 251. Redarii, Widuk. Corb. I, 38. Redarii, Dytmar, I, 6, II, 6. Błędnie wywodzi Szafarzyk II, 712, nazwę od pierw. rat (wojna). Owszem, pierwiałkiem jej jest „red“, od którego pochodzi „rędzina“, ziemia tłusta ilowata, błotnista, mokra nizina; w kaszubskim redać, zapadać

Trzy te plemiona należały do potężnego słowiańskiego narodu Lutyków ¹⁾. Naród ten, rozsiadłszy się pomiędzy Odrą, Bałtykiem,

w błocie; reda, 1) torf miałki wodą przesiąknięty, który się zamiast mierzwy wywozi na pole piaszczyste; 2) błoto ze stawu; 3) błoto w ogóle. Wszystkie zaś te znaczenia odpowiadają wybornie właściwości ziemi Redarów, którąśmy powyżej poznali jako obfitującą w błota, bagna, moczary, ale też i w ziemię tłustą i ciężką.

¹⁾ Leuticii. Adam Brem. II, 19. Lutici. Helm. I, 2. Liuticenses, Jan Kanaparz, „Żywot ś. Wojciecha“, w Mon Pol. Biel. I, 180; Lutizi, Brunon: „Żyw. ś. Woj.“ tamże, 194. Liutici, Liuzizi u Dytmara, V 19; VI, 16. Lintici. Chron Hildesch. a. a. 990. Luticiini Annal Yburgens. Pertz XVI, 436. Liuci: „Annal. S. Pauli Virdunens.“ tamże 500. Liwitici: „Annal. Pegav.“ tamże 263. Selencia, Gallus „Chronie. Pol. Biel.“ I, 394—400. Z powyższych zgiermanizowanych i zlatynizowanych form najczęściej z pierwotnie słowiańską formą zgadzają się nazwy: Liuci i Liuzizi. Głoska t w innych formach wyraża tylko głoski z, ż, cz. Zwyczajna bowiem jest w narzeczu dolno-niemieckim wymiana syczących spółgłosek na zębową spółgłoskę t: watter za wasser; twitich, pols. zwitek (Vogt: Cod Dipl. Pruss.“ t. I, 172); tunge za zunge; Croatina, Chrościna, wieś w Górnym Szlązku (Cod. Dipl. Siles I, 2; dokum. z r. 1223). Nazwa pierwotna brzmiała zatem: Łuczanie, Łużycanie, oznaczając naród zamieszkujący ziemię pełną łągów, łąk bagnistych, ługów, ługowatych bagien, ługowisk, łuzyn, luzin, kałuż (porw. łuzyc: luża; czes: lauža). Taką zaś była ziemia błotnista i grząska, zamieszkała niegdyś przez owych Lutyków, Łużyczan. Niesłusznie zatem Maciejowski, str. 536 przymawia Klodenowi, który w dziele św. „Ueber die Entstehung der Städte Berlin und Köln,“ wcale dobrze imię owe od ługów wywodzi. Na południe graniczyli oni północni, pomorscy, jak ich nazwać możemy, Łużycanie z południowymi, serbskimi Łużyczanami. Nazwa obu tych pokrewnych słowiańskich plemion jest zatem pod względem geograficznym identyczną, różną przecież pod względem etnograficznym. Jeżeli więc Kromer: „Polonia ed. Pistorius“, I, 76; w tym sensie chce mieć zrozumiane miejsce, gdzie się wyraża: Lutitios sive Lutzitios, tedy nie zasłużył na zarzut popełnionej omyłki, który mu Naruszewicz II, 163 czyni. Wobec powyższego równie niedowodną jak mylną jest etymologia Naruszewicza II, 162; Szafarzyka II, 681; Zeusa I, 55; Kosegartena 44, którzy nazwę Lutyków wyprowadzają to od wyrazu słowiańskiego „luty“ groźny, okrutny, to od jakiegoś nieznanego ojca rodu Luta. Znakomity a uczony historyk Maciejowski, str. 38 i gdzieindziej, jaknajniefortunniej poplątał owych Lutyków z Litwinami, jakoby na dowód, że znakomici badacze czasami marzeniom są dostępni. Dziwna zaiste! Wszakże wszystkie współczesne i niewspółczesne świadectwa wszędzie i zawsze mienia ich być ludem słowiańskim; wszakże imiona tak osobowe jak miejscowe narodu tego nieinaczej, jak tylko czysto słowiańskiego pochodzenia. Maciejowski gwoili uzasadnieniu swego wymysłu, jedno tylko miejsce, którego nadto jeszcze nie rozumiał, zacytować był w stanie. Otóż powiada on, str. 38: Ś. Wojciech uczył się musiał Lutyków języka, a więc nie

Warnową, Hawolą i północną częścią środkowej Elby, słynał z męstwa i bohaterskiej swęj dzielności, jak niemniej z rozpaczliwęj zaciętości, z jaką bronił rodzinnych swęch swobód, rodzinnej swęj ziemi przed krwawym orężem najeźdźników niemieckich. Jedno i drugie wprawia

był to słowiański język, jak gdyby np. Polak, skoro się uczy języka rosyjskiego lub czeskiego, nie słowiańskich się uczył języków. Na poparcie zaś argumentu, z góry już, jakęśmy to widzieli, nader wątlęgo, powołuje się on na ś. Brunona: „Żywot ś. Wojciecha.“ Miejsce odnośne broni jak następuje: *Ad ferocium quidem Luiticum idola surda predicationis equos flectere placuit, quorum linguam cognovit et quos, necdum visua, mutata veste et habitu fallere potuit* (Biel.: Mon. Pol. Hist. I, 215). Aleć słowo *cognosco*, jak wiemy, znaczy w czasach przeszłych nie poznać, ale raczej: znać, rozumieć. Jakżeby tóż Brunon mógł w te tropy pisać, że go Lutyacy jeszcze nigdy nie widzieli, gdyby owęm *cognovit* chciał powiedzieć, że św. Wojciech ich języka się dopiero nauczył; toć gwoli nauczzenia się, musiałby był już między nimi przebywać, a zatem być im znanym. Na str. 536 nr. 6 twierdzi Maciejowski, że źródła dawne, które, jak powiada „wyżej“ (w tēm samęm dziele) przywiódł, nazywają Lutyków: Litici, Lithevici. Jednakowoż nie mogłem się w całém tēm jego piśmie doszukać odnośnych cytatów. Na str. 100 mówi tylko, i to bez dowodów, „że nazwiska Lutyków wyrażano przez Litici, Lithevici.“ Przeglądając przynależne miejsca w kronikach i dokumentach, napotkałem imię narodu owego blisko 40 razy; lecz nigdy nie znalazłem pierwiastku: lit, ale tylko: lut, leut, liut, luz, luc. Liutici u rocznikarza pegawieńskiego jest poprostu znacznęm skażeniem, jak jest skażeniem, ale daleko więkšęm jeszcze Selencia Gallusowa, zamiast Leuticia. Niczego tóż nie dowodzi ów pacierz, który Wolfgang Lazius blisko 300 lat temu był ogłosił, jako werulsko-meklemburski, a który Hartknoch, „*Selectae Dissertationes*“ p. 87 w r. 1679 wydrukował. Pacierz ten jest oczywiście w języku staroprusko-lotyckim napisany. Gdy zaś dawniejsi historycy miesza li Herulów niemieckich z Herulami meklemburskimi (prwn. Maresch. *Thur. Annales Heratorum ap. Westphal.*, I. *Weruli seu Heruli Westph.*, III, 26), a tych znowu z Obotrytami (*Obotriti qui et Heruli. Maresch. Thur. ap. Westph. II, 1508*), i gdy niektórzy pisarze sądzili, jak to niektórzy i teraz jeszcze czynią, że Herulowie w ziemiach litewskich czasowo mieszkali, a nawet, że Litwini od nich pochodzą (Bohusz: „O początkach narodu i języka litewskiego;“ Lelewel: „Rzut oka na dawność litewskich narodów“), dlatego Lacyusz, identyfikując Litwinów z Herulami, a tych znów z Herulami meklemburskimi, wyrzekł, że język pacierza owego jest językiem Werulów-Obotrytów. Bajkę tę na seryo powtórzył Hartknoch p. 89, 91, za którym poszli i inni, a między nimi i mistrz historyk Lelewel. Tak samo nie pomagają owe osławione posażki i bałwanki pryłwickie, które nie tak są ważnęm odkryciem, jak raczej beczelnęm oszukaństwem złotnika Sponholza. Również niczego nie dowodzą imiona własne, mające pierwiastki, które i w litewskim języku się znachodzą. Wszakże wiadomo, że dużo jest bardzo pierwiastków wspólnych językom indo-europejskim, pochodzących jeszcze z przedhistorycznej epoki języków aryjskiej.

niemieckich kronikarzy współczesnych w podziw i zadumienie, gdy im przychodzi bohaterskie ich opisywać czyny.

Ci zaś Lutyce, z wyjątkiem Hawelczyków czyli Stodoran, mieszkających w zachodnio-południowej części ziemi, żyli w swobodnym a luźnym gminowładztwie, a uporczywie przy takowym obstawiając, nienawidzili jedynowładztwa z duszy serca. W braku politycznej przenikliwości, nie mogli się dopatrzyć zbawienia w zespoleniu sił swoich, odpychając namiętnie wszelaką myśl połączenia się w celu zorganizowania jednolitego państwa. Przeciwnie Brodzianie, przyswoiwszy sobie monarchiczną formę rządu, ulegali sprężystej władzy książąt narodowych ¹⁾. Ale ta też zasadnicza różnica ustroju politycznego tych plemion była przyczyną zapamiętałej nieprzyjaźni i wściekłej nienawiści, jaką te bratnie narody ku sobie pały, wiecznemi walkami się wzajem pożerając, ku własnej sromotnej zgubie, a nienatęż radości giermańskich sąsiadów, statecznie dziełem ich wytopienia zajętych.

Brodzianie owi poraz pierwszy za Karola Wielkiego, cesarza niemieckiego, w r. 789 występują na widownię dziejową, niestety zarazem zapisując się w kartach historii ohaydnym, bo bratobojczym czynem Kaina. Cesarz ów najechał był, folgując zabórczym swym skłonnościom, wolną ziemię bitnych Lutyków; a otóż współplemiennicy ich, Brodzianie, chcący wyzyskać ich przykre położenie, nie wahali się stanąć pod wodzą księcia swego Wilczana, po stronie Karola, gdy tenże niósł miecz i głównie w ziemię ich braci. I stało się, iż za ich powodem, dzielui Lutyce poraz pierwszy ugiąć się musieli pod obce jarzmo, pod jarzmo cesarza ²⁾. Lecz co nie podołało poczucie plemienne, co nie podołał zmysł a instynkt polityczny, to podołało ich przywiązanie do bałwochwalczej wiary swych ojców.

Karol bowiem, pogromiwszy Lutyków, zajął się niebawem zaszczepieniem i szerzeniem chrześcijaństwa, nietylko pomiędzy Lutykami, ale także i pomiędzy Brodzianami, w tym celu poddał ich pod duchowną jurzydykę biskupów: werdeńskiego i bremeńskiego.

To wywołało najprzód nieufność, a w biegu dalszych czasów nienawiść Brodzian. Instynktowo przeczuwali oni, że z przyjęciem chrześcijaństwa tracić mają swobodę, aby dźwigać jarzmo niemieckie; że Niemcy apostołowanie swoje na mieczu opierając, krwawo ziarno ewangeliczne zasiewać będą; że krzyż, zamię wiary, będzie dla nich go-

¹⁾ Felicyan Suryn („Ostatnie zapasy Obotrytów z Niemcami” w „Tygodniku Illust.” z r. 1879 str. 166) utrzymuje, że książęta ci byli rodu normandzkiego. Jest to mrzonka, niemająca najmniejszej podstawy historycznej. Tak samo hipoteza Szajnochy o pochodzeniu skandynawskiem przedpiastowskich książąt, na którą się tenże autor powołuje, była, jest i pozostanie mrzonką.

²⁾ Annal. Eischard. ap. Pertz I, 175. Chron. Moiss., tamże p. 298. Annal. Lauriss., tamże p. 174. Annal. Fuld., tamże p. 350. Annal. Tiliari, tamże p. 222.

dłem nieludzkiego ucisku i zagłady wolności ich politycznej i plemiennej. I tak też było. W Niemczech racją było polityczną, że co Kościół podbił nauką Chrystusa, to poddać się musiało pod wolę cesarza, roszczonego sobie prawo do panowania nad wszystkimi narodami ¹⁾. To też Helmold, naoczny świadek tego rodzaju apostołowania, świadczy, że powołanie Słowian do chrześcijaństwa znaczyło ich ujarznienie ²⁾. A utrata wolności co znaczyć miała, to zapewne również przeżywali, kiedy tak straszną się później okazała, iż nawet, co dopiero powołany Helmold, który, jak tam ktoś powiedział, ani się zachłystnie, gdy prawi o wytepieniu i wypędzeniu Słowian, który obrócenie ziemi słowiańskiej w pustynię nazywa rzeczą arcypożyteczną ³⁾, który głosi, że Pan Bóg, błogosławiąc rękę duka Henryka, tępiącą plemię słowiańskie, sprzyjał spustoszeniu krain słowiańskich ⁴⁾, iż tenże Helmold jednakowoż przyznać musiał, że Słowianie pod uciskiem niemieckim, jakoby wśród gorejącego znajdowali się pieca ⁵⁾.

Z tej oto przyczyny, po śmierci Karola, Brodzianie nieprzyjaźnie się cesarstwu stawili. Nie trudnym im też był z początku opór. Potomkowie bowiem Karola Wielkiego, niedołęzne Karolowingi, dokonawszy tego, iż wielkie i potężne się rozpadło cesarstwo, kontenci byli, gdy ich samych nie szarpano.

Wtém, w wieku X-tym zasiada dynastia saska na tronie niemieckim, a z dynastją tą rozszalała się burza teutońska, jak nigdy, trzaskając, łamiąc i niszcząc wszystko, co słowiańskie. Furor Teutonicus, krwawą okryty chustą, z mieczem w jedném, a głównią w drugiem ręku, straszne począł wytwarzać orgie w pośród siół słowiańskich. Łały się krwi potoki, palono wzdłuż i szerz, a spustoszenie z taką wykonywano nieludzkością, że trudnoby temu uwierzyć, gdyby sami współcześni kronikarze niemieccy o tych nie świadczyli okrucieństw. Głowa królika (Stojgniewa brodziańskiego) w polu, na tyce wystawiona, a w okół 700 jeńców ściętych, a doradca jego, któremu oczy wyłupiono, język wydarto, w pośród trupów porzuconym został. „Tak opowiada pobożny mnich Widukind ⁶⁾, obojętnie i zimno, jakby to obojętniej i zimniej, Cezar, ów demoniczny poganin kamiennego serca uczynić nie mógł.

Henryk Ptasznik, zdobywszy gród Stodorczyków, Brodowin (Brandenburg) r. 927, rozpoczął tę krwawą tragedją, a syn i następca jego, Oton I, w straszny ją dalej poprowadził sposób.

A w krwawej tej pracy mieli oni pomocnika nielada. Był nim

¹⁾ „Ad dilatandam Christianae Devotionis unitatem et Imperii Romani Terminos dilatandos,” mówi bez ogródki Henryk Lew w dok. z r. 1154 (Kluver I, 346).

²⁾ Subactio seu vocatio Slavorum. Arnold, Prologus.

³⁾ Helmold I, 56.

⁴⁾ Tamże, II. 5.

⁵⁾ Tamże, I, 91.

⁶⁾ III, 55.

Gero, margraf północny, ów ohydny morderca i gnębiel Słowian, którego imię krwawemi jest zapisane głoskami w dziejach męczeństwa tego ludu. Zaiste, smutna to a krwiożercza postać, jakich na szczęście historyja niewiele dostawił jest w stańie. Nie może on dać sobie rady z kniaziami słowiańskimi w otwartym boju, którym margrafować, t. j. których ciemieżyć mu polecił Oton; zaprasza więc uczciwiec ten w r. 940-ym, 30 takowych kniaziów do siebie na ucztę przyjacielską, a uraczywszy ich szczerze, szczerze ich téż wymordować kazak; bo za ledwie jeden ucieczką życie ratował ¹⁾).

Gdy zaś ów Geron w r. 963, w bitwie przeciw Mieczysławowi I, księciu polskiemu ²⁾, stracił syna swego jedynaka, Zygfryda, dla którego na ziemi Słowianom zagrabionej, zamyślał założyć królestwo, i gdy zatem uczuł, że go ręka Boska, karząca zbrodnie jego dotknęła, udał się stary ten grzesznik, z skruszonem sercem, jako pątnik do Rzymu, gdzie, złożwszy krwawy swój miecz, „u stóp ołtarza książęcia apostołów, Piotra ³⁾,” jedna się z Bogiem, a wróciwszy do Niemiec, zakłada klasztor, w którym ostatnie dni życia swego na pokucie i modlitwie przeżył. W miejsce jego, stawił cesarz Oton I ponad Słowianami północnymi dwóch oprawców: hercoga saskiego Hermana Bilunga i margrafa północnego Teodoryka. Pierwszy miał Brodzian i w Holzacyi mieszkających Połabów i Wagrów, drugi zaś Lutyków w karbach utrzymywać posłuszeństwa. Aleć i tego nie było dosyć Otonowi, gdyż wnet surowy ten cesarz jednemu i drugiemu przykazał, by bez litości tępił i niszczył Słowian, a w sromotnej téj pracy prędzej ustać nie mieli, dopóki Redarów zupełnie nie wygubią ⁴⁾).

Skutek tych gwałtownych a barbarzyńskich środków był ten, że odtąd czas niejaki w ziemi słowiańskiej grobowa zapanowała cisza.

Oton zaś wziął się na dobre do przywrócenia chrześcijaństwa, całkiem już pomiędzy słowianami wytępionego. Ufundował zatem dla nich biskupstwo w Starogrodzie (Oldenburg) ⁵⁾, mieście słowiańskiem, położonem w ukrainie, z niemiecka Wagryą zwanęj, która to ukraiua leżała na północno-zachodnich końcach Słowiańszczyzny w dzisiejszym Holsztynie, na granicy Szlezewiku. Sprowadziwszy tłumy misyonarzy, księży i zakonników niemieckich, rozkazał Słowianom przyjąć chrzest święty, budować kościoły, zakładać klasztory, zarazem dziesięcinę

¹⁾ Widuk II, 20: „Convivio claro delibutos ac vino sepultus ad triginta fere principum barbarorum una nocte extinxit.” Tamże 21, *Annal. Saxo* a. n. 940.

²⁾ Dytm. II, 13. Widuk. III, 67.

³⁾ Dytm. II, 13.

⁴⁾ Nullam pacem habeant et ut in destructione eorum finem operi imponant.” List Otona I do Hermana i Teodoryka. *Raum. Reg.* nr. 224.

⁵⁾ Adam II, 14. *Helm.* I, 11.

księżom a haracz cesarzowi i dukom płacić. Przestraszony i strwożony lud powolnym się też okazał rozkazom groźnego zwycięzcy ¹⁾.

Po śmierci cesarza tego objął syn jego, Oton II, rządy w państwie niemieckiem. Słowianie przygnębieni, przytłumieni nieinaczéj, jak spokojnie się zachować musieli. Mściwój, książę brodzieński, wyrzekłszy się pogaństwa, starał się o względy cesarza i hercoga saskiego. Cesarzowi poszedł do Włoch na pomoc w 1000 Słowian, ażeby zaś okazać swój szacunek dla hercoga, Hermana Billinga, przybrał jego imię „Billug“ ²⁾. Po śmierci tego Hermana, objął syn, Bernard I, wielkorządztwo saskie. O rękę siostrzenicy jego prosił książę Mściwój-Biług. Lecz zamiast ręki, pełną pogardy odebrał odpowiedź: „Krwii książęcej nie godzi się dać psu Słowianinowi.” Straszna ta obelga, straszną też wywołać musiała zemstę. Pora wygodna do wywarcia onéjże wnet się też nadarzyła. W r. 982 przybyła niespodzianie do Niemiec przerażająca wiadomość o strasznój katastrofie pod Basantelo. gdzie cesarz smrotną poniósł klęskę przez Greków i Saracenów. Mściwój, dowiedziawszy się o tém, pośpieszył do Retry, do owego sławnego grodu lutyckiego, w ziemi Redarów. Zwoławszy tu lud, opowiedział smotę haniebną jemu i ludowi słowiańskiemu wyrządzoną, a żądając, żeby się w morzu krwi niemieckiej zatopić, do ogólnego wzywał powstania. Lud, wysłuchawszy słów jego, rzekł: „Dobrze ci, zasłużyłeś sobie na taką pogardę, kiedyś współrodaków swoich za nic miał, a o Sasów, tego wiarołomnego i chciwego narodu łaskę i przyjaźń się ubiegał. Przysięgnij nam, że ich opuścisz, a stać będziemy przy tobie ³⁾.” Mściwój przysiągł, a szeroką łuną buchnęło srogie powstanie na ziemi słowiańskiej, przez Niemców gniebionéj, od końca do końca, a tak srogie, jakiego ci jeszcze nie zaznali. Najprzód ruszyli Redarzy do ziemi hawolskiej, a połączywszy się z braćmi Hawolczykami, uderzyli na stolicę biskupie w Havelbergu i Brodowinie (Brandenburg). W pierwszej stolicy wycięto saską załogę i zburzono katedrę. W Brodowinie, zkąd i biskupi Volkmer i margraf Teodoryk, współ ze swoim rycerstwem, śpiesznie ucieczką się ratowali, zrównano także z ziemią katedrę; księża pojmani, po większej części z pojmani mi Niemcami krew swą przelali. „W miejsce Chrystusa i Jego rybitwy Piotra, mówi Dytmar, rozliczne bożyszcza z dyabelskim odszczepieństwem czczone być poczęły, a przewrót ten opłakany, nietylko śród pogan, lecz i w chrześcianach znalazł poparcie.” Mściwój zaś, mściwie poprowadził hufce do Hamburga, również stolicy biskupiej, gdzie i miasto spalił i stolicę zburzył i księży pomordował, poczem wpadł do ziemi niemieckiej Nordalbingów, takową mieczem i ogniem pustosząc. Najokropniejszą przeciw była rzeź w Starogrodzie, gdzie, jakeśmy to wspomnieli, Oton dla Brodzian, Połabów i Wagrów, był założył biskup-

¹⁾ Adam II, 24. Helm. I, 10 Annał. Saxo a. a. 960.

²⁾ Helm. I, 13. Dytm. II, 9; 3, 11.

³⁾ Helm. I, 16.

stwo. Zabiwszy część księży bogom na ofiarę, resztę, a było ich jeszcze sześćdziesięciu, związawszy im ręce, a werznawszy w tonzury znamię krzyża, wśród ciągłych biczowań, wlekli ich rozwściekieni Słowianie od miasta do miasta, od wsi do wsi, jakoby na widowisko, dopóki, wyzionawszy ducha, na ziemię nie padli. Obok tego rozbiegły się na wszystkie strony zbrojne gromady, co z mieczem w rękę, w krwawej pogoni, wyganiały nieproszonego gościa, „pędząc, dodaje Dytmar, naszych przed sobą, jak płochę jelenie rozpierzchłe; nasze bowiem występki rodziły w nas bojaźń i przestach, im dodawały mocy i odwagi”¹⁾. Tak więc stał się koniec panowaniu niemieckiemu, a pogaństwo w całym znowu zapanowało uroku słowiańskim, „żadnego nie pozostawiając śladu, powiada Adam, chrześcijaństwa poza Elbą.”

Groźnóm to było niebezpieczeństwo i dla Niemiec północnych. Gdyż nie tylko w ziemiach słowiańskich złamana, a w puch rozbita potęga była Sasów; ale Słowianie rozzuchwaleni, rozpuszczali zagony w głąb Saksonii, niemieckie pustosząc siedziby. Wtém umiera Oton II, a po nim wstępuje na tron syn jego, Oton III. Ten, widząc przerażające skutki przewrotu owego, sądził, że najlepiej tamę dalszemu wylewowi rozhukanych fal słowiańskiego pogaństwa położyć, jeżeli pozyska pomoc książęcia, władającego znaczném państwem, położoném na tyłach ziem, gdzie obecnie straszny odgrywał się dramat. Ksiąźciem owym był Mieczysław I, władzca młodego, ale rażno i silnie wzrastającego państwa ponad Wartą. Zdrową polityką się kierując, przyjąwszy r. 966 chrześcijaństwo z narodem swoim, stawiał takowy w rzędzie cywilizowanych narodów zachodnich i jeden z najgłówniejszych przyczyn mieszania się w sprawy obcych narodów, Niemcom odjął. Nie tajnóm mu bowiem było, że ci chrześcijaństwem po większej części się tylko posługiwali, jako płaszczem, mającym przykryć ich zaborcze zamiary i grabieżne poządliwości. Prócz tego mądrze i rozważnie unikał kolizyi z potężnym cesarzem Otonem I; a gdy dobro kraju wymagało, to nie zdradzał się folgować pretensjom ambitnego cesarza, płacąc mu dań żadaną, za co téż bez przeszkody mógł podwaliny młodocianego pań-

¹⁾ Opowiadanie powyższe głównie jest osnute na wiadomościach, które Dytmar. III, 10, 11 i *Annales Magdeb. a. a.* 982 podają. Uzupełnione ono jest wiadomościami z Adama II, 40, 41, 42, 43 i *Helmolda* I, 13, 16. Wiadomości tych dwóch ostatnich, czerpiących to z Dytmara, to z niejasnych opowiadań i podań ludowych, są równie sprzeczne jak pogmatwane, tak pod względem faktów, jak téż i chronologii. Mieszają oni ze sobą wypadki z lat: 983, 1002, 1018. Adam, opisując owo powstanie, powiada w ks. II, rozdz. 40, że wybuchło takowe rok przed śmiercią Otona III; a ponieważ tenże umarł 1102 r., miał zatem na myśli r. 1101. Tymczasem w ks. II, rozdz. 43 świadczy, że się to stało za rządów Bernarda, syna Bennona. Ponieważ zaś Bennon umarł r. 1011, wypadłoby, że około r. 1012 umarł. Sprzeczności tych dwóch kronikarzy dadzą się tylko pogodzić wedle naszego opowiadania w tekście położonego.

stwa silniej urządzać i ustalać. Wszakżeż zresztą w owych czasach uznawano wszędzie, iż dostojność cesarza po nad króli i książęta jest wyniesioną. Z Otonem II to już sobie inaczej poczynął, bijąc śmieiele a odważnie jego margrafów i grafów. „Czcigodnemu margrabi Hodonowi, mówi Dytmar ¹⁾, dopominającemu się dani, taką zadał klęskę, że tenże, straciwszy wszystkich swoich najlepszych rycerzy, ucieczką życie swe salwował, a „powalona chełpliwość teutońska, dodaje Brunon ²⁾, tarzała się na ziemi.” Ale i owe liczne mnóstwo jeńców wojennych niemieckich, którzy za sprawą Niemki Ody, drugiej żony Mieczysława, wolność zyskawszy, do ojczyzny swęj wrócić mogli ³⁾, wymownie świadczy, że minął już czas dawniejszėj uległości i zależności.

Z powodu, że ową Ode, będącą zakonnicą w Kalwie, z klasztoru uwiódłszy, za żonę pojął bez udzielonego sobie kanonicznego na to zezwolenia, zapanowało w Niemczech wielkie oburzenie. „Ale przez wzgląd, mówi Dytmar ⁴⁾, na dobro ojczyzny i niezamącenie pokoju upragnionego, nie przyszło z tego powodu do zerwania z książęciem polskim, posłużyło raczej do utwierdzenia z nim na nowo pod ten czas zachwianych stosunków. Widać więc, że i cesarzom niemieckim trzeba się było liczyć z potęgą polskiego książęcia. Dlatego Oton III, w ciężkiej swęj doli, a wielkiém utrapieniu udał się do Mieczysława, pragnąc jego pomocy. Ten zaś, wierny swęj polityce, wiązania takowęj, gdy się dało, z polityką cesarstwa, przystał na żądanie cesarza. Wszakże i przykre stosunki, w jakich do sąsiednich, aczkolwiek współplemiennych narodów wówczas stał, doradzały mu przyjęcia sojuszu, który i dla niego był korzystnym. Od wschodu bowiem wdzierali się Rusini do granic jego państwa; ze Szlązka miał być Czech wyrugowanym; wrodzy zaś jemu przedewszystkiém nadbałtyccy Lutycy, tchnęli nieubłaganą nienawiścią ku niemu, owemu, jak mówili, „przyjacielowi cesarza” ⁵⁾! Toć to od czasu, gdy przyjął był chrześcijaństwo, widzieli w nim tylko odszczepieńca i niecnego renegata; gdy zaś na Pomorzu szerząc swą władzę i bałwochwalstwo i rządy gminowładcze i wszelaki pogański obyczaj obalał, a zarazem ku ich się granicom posuwał: wtedy nazawsze rozbrat z współplemienną uczynili Polską, wszędzie i zawsze nieprzyjaźnie jęj się stawiając, aż dopóki po wieczne czasy ich nie pochłoneła „Germania omnivora.”

Mieczysław niebawem zatęm liczne wysłał Otonowi zbrojne hufce na pomoc ⁶⁾, by przytrzyć i uśmierzyć słowiańskie ludy, co za krzywdy im wyrządzane srodze się mściły. Nie udałoć się wprawdzie przywró-

¹⁾ Dytm. II, 19.

²⁾ Vita S. Adalb. Bielow.: Mon. Pol. I, 194.

³⁾ Dytm. IV, 36.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Widuk. III, 69. Siegbert Gemblac. a. a. 967.

⁶⁾ Dytm. IV, 7. Annal. Quedlieb. a. a. 985, 986. Annal. Saxo a. a. 985, 991. Annal. Hildesh. a. a. 991. Annal. Magd. a. a. 985, 986.

cić panowanie i ucisk tentoński nad nimi; ale przynajmniej w ziemiach saskich, cesarstwo, tak mocno w posadach swoich wstrząśnięte, za pomocą Mieczysława na nowo się wzmogło, a trwoga oręża słowiańskiego już nie tak jak dawniej przerażała Sasów we własnej ziemi.

Zaiste, gdyby nie fatalizm jakiś, ciężący odwiecznie na ludach słowiańskich, toby wówczas u brzegu Elby zalewowi niemieckiemu na zawsze stawioną być mogła tama nie do przerwania. Pora była po temu.

Po śmierci Mieczysława, r. 992, wielki jego syn i następca, oparty na przyjaźni cesarskiej, tą samą kierował się polityką, ku wielkiej radości cesarza. Nazwał go też zato tenże „towarzyszem państwa rzymskiego i przyjacielem cesarskiego majestatu” ¹⁾. Brał zatem udział „sprzymierzony” ²⁾ Bolesław w walkach, które Oton, dla odparcia najazdów słowiańskich, zmuszony był dalej prowadzić ³⁾. Najazdy te, około r. 1000 z starodawną, zaciętą gwałtownością przez Słowian, znów podjęte zostały. Przewodniczył im głównie Mieczysław, książę Brodzian, syn znanego nam już Mściwoja. Ten, wpadłszy do Staréj Marchii, spustoszył ogniem i mieczem wzdłuż i wszerz siedziby Sasów, a spaliwszy klasztor w Hilleslewie ⁴⁾, uprowadził z niego zakonnice, „a przy tym napadzie, biada Dytmar ⁵⁾, mnoga ilość naszych życiem przypłaciła.” Tak samo uderzywszy na warowne miasto Arneburg, w Staréj Marchii nad Elbą położone, takowe Słowianie zdobyli i spalili; a podczas, gdy wszyscy prawie niemieccy rycerze trupem legli pod ciosami zwycięzców, dowódzca ich arcybiskup Gezeler, dośiadłszy lotnego konia, ku wielkiemu żalu Słowian, zawczasu umknął. Gdy zaś spotkał nadciągającego margrabię Lotaryusza, nie mógł nic więcej uczynić, jak „pełen żalu” zawiadomić go o wielkiem nieszczęściu, w skutek czego i tenże „zasmucony mocno” do siebie wrócił ⁶⁾.

¹⁾ Gallus: Mon. Pol. I, 401. Dytm. V. 6.

²⁾ „Confoederatus,” Helmold I, 15.

³⁾ Annal. Saxo a. a. 995. Joh. Canap. Biel.: Mon. Pol. I, 179. Annal. Hildech. a. a. 995.

⁴⁾ Dzisiaj Hillersleben przy Magdeburgu.

⁵⁾ Dytm. IV, 32. Annal. Saxo a. a. 999. Chron. Hillesleb. Raum. Reg. nr. 361. Ostatnie to źródło zwie go: Mistunitz, zapewne pokaleczona forma zamiast: Mściwojowicz, syn Mściwoja. Adam. Brem. II, 40, a za nim Helmold I, 16 powiadają, że przywódcami byli książęta słowiańscy: Mystiwoi i Mizidrog. Opowiadanie ich powstań owych, jest, jakśmy już wyżej wspomnieli, nader pogmatwane, pomączone a mylne. Tak samo rzecz się ma z owymi dwoma książętami. Mściwój wplątał im się zapewne jako reminiscencya Mściwoja z r. 983; a Mizidrog to jeno korupcyja formy: Mieczysław. Wszakże Helmold w innych miejscach (I, 13, 14, 15) zwie go: Missizla, Mizla, filius (Billugi-Mestwini), Misizlaus. U Adama II, 24: Missizla; u Dytmara, VIII, 4 r. 1018: Mistizlavus senior.

⁶⁾ Tamże, IV, 25.

Bolesław Wielki ¹⁾, olbrzymia to postać, najpotężniejszy król, jak go kronikarze nazywali ²⁾, właśnie w tymże czasie z bohaterskich swych czynów zasłynął. Już on był nagiął Pomorzan pomiędzy Odrą a Wiśłą do posłuszeństwa swojej woli, już był Rusinów przytarkł, a Chrobacą podtatrzańską pod swoje panowanie podbił. Potęgą ducha, heroicznym mężstwem i gieniuszem swym górując ponad wszystkimi współczesnymi monarchami, prawdziwy ideał chrześcijańsko-rycerskiego króla, już był podniósł państwo swoje, dość skromne jeszcze za czasów ojca swego, do historycznego znaczenia. To też był on Otonowi przedmiotem czci i szacunku; a gdy tenże w r. 1000 w Gnieźnie, ozdobił skronie jego koroną królewską, zlał też zarazem na niego rzekome swoje prawa w krainach barbarzyńskich, t. j. pogańsko-słowiańskich, tak w podbitych, jak w mających dopiero być podbitymi ³⁾. Choć źródłem prawa owego cesarskiego, w gruncie rzeczy urojenie było, przecież wyrzekł się Oton tém samém uroszczeń niemieckich do dzielnic słowiańskich pomiędzy Elbą a Odrą. Bo też Oton nie był w duszy Niemcem: zrodzony z matki Greczynki, wychowany w Rzymie, czuł on się więcej Grekiem i Rzymianinem, aniżeli Niemcem. Marzeniem jego było przywrócenie rzymskiego państwa imperatorów z stolicą w wiecznej Romie i idealne wszechwładztwo świata; dlatego wielkość Niemiec wcale mu nie leżała na sercu; jemu starczyło, gdy takowe we własnych granicach po lewej stronie Elby, bezpieczne i nieszarpane ostoić się mogły. I ztąd też owa wspaniałomyślność, niby ustąpienia ziem nie swoich. Ale Bolesław jeszcze inaczej o téj rzeczy myślał. Olbrzymiami plany swojemi ogarnął on wszystkie słowiańskie pokolenia od Bałtyku do morza Adryatyckiego, od Elby do Wołgi i Dniepru; one w jedną wielką a potężną federacyjną zespolicł rzeszę słowiańską, aby parcie Teutonów na Wschód, ich nienasyconemu łakomstwu ziem słowiańskich koniec położyć, było przewodnią myślą jego polityki.

Nie przejrzał tego Otton, ale przejrzał następcą jego Henryk II,

¹⁾ Przydomek „Wielki” nie tylko że właściwiej odpowiada królowi temu, niż „Chrobry,” ale jest też dawniejszym. Gallus I, rozdz. 16 i 17, Kadłubek (Biel. Mon. Pol. His. II, str. 189), Roczniki Kamienieckie, Trzaski, krakowskie, Sędziwoja (tamże: str. 777, 826, 829, 872), zowią go „Magnus.” Pierwszy Boguła (Biel. II, 482) powiada: Boleslaus primus Magnus dictus et animosus: qui in Polonia Chrobri nuncupatur. Przy téj sposobności niech wolno mi będzie nadmienić, jak Niemcy nierozumiejący języka słowiańskiego, to pocieszenie, to ubliżając „Chrobry” tłómaczą. Otóż autor „Kroniki polskiej z wieku XIV-go, w Stenzla, „Script. Rer. Sil.” I, st. 9, powiada: Traba i. e. bibulus, qui dicitur sio Tragbir. Wykierował więc naszego wielkiego króla na piwosza! Z nowoczesnych pisarzy niemieckich Bötticher, w swojej historii saskiej I, str. 73 tłómaczy Chrobry: „Der Freche,” bezozelny.

²⁾ „Potentissimus rex.” Adam Br. II, 3, schol. 25.

³⁾ „In aliis superatis ab eo vel superandis regionibus barbarom.” Gallus, I, 6.

który 1002 roku królem niemieckim obranym został. Nim jeszcze objął rządy, aliści już opanował Bolesław całą Łuzacyą serbską, posuwawszy granice państwa swego aż do Elby ¹⁾. Zatrwożyło to Henryka, bo zrozumiał całą doniosłość faktu owego; a chociaż Bolesław nie łaknął ziemi niemieckiej ani pędzi, nieszczęściem i groźném niebezpieczeństwem i zdradą Niemiec być mienił, gdyby Teutonom nie miało być więcej wolno grabić ziemie słowiańskie. A do tego by przyszło niechybnie, gdyby Bolesława zamiary nie zostały w niwecz obrócone. Aby zaś celu tego dopiąć, zabrał się Henryk rąco do dzieła. Zdradliwe knując swe plany, wyciąga błagając rękę do tych Lutyków, nad którymi poprzednicy i ziomkowie jego równie sromotnym a krwawym uciskiem, jak haniebną poniewierką tak nielitościwie i nieludzko się znęcali. Ci jednakowoż niepomni tego, folgując swęj nieopatrznej nienawiści ku polskiej współbraci, wchodzą na lep zdradziecki, przez Henryka im podany. Wysyłają więc do niego posłów; a gdy ci złotem hojnie sypaném a wielkimi obietnicami ujęci zostali, zawarto przymierze haniebne dla cesarza, a złowrogie dla bezmyślnych Słowian ²⁾.

Podnieść tu nam jeszcze wypada charakter owego cesarza, w jak dziwném a dwulicowém on się okazuje świetle. Nazywany „mnichem w purpurze a pokutnikiem w koronie królewskiej” ³⁾, był on gorliwym wyznawcą Chrystusa. Przykazania kościelne ściśle zachowując, chętnie liczne odbywał pielgrzymki do grobów świętych Pańskich. Doradców najprzedeńszych wybierał z grona biskupów i opatów, z którymi, jakoby najściślej sznurkiem przyjaźni złączony, przestawał. Zawzięty wróg bałwochwaltwa, nienawidził nieprzyjaciół Kościoła Bożego. Mimo tego wszystkiego, nie wahał się uczynić kroku, który tak źle przystawał i do pobożności i do religijnego przekonania jego. Osobliwe to zaiste było dziwowisko, gdy pogańscy Słowianie z chorągwiami na których jaśniały bożków wizerunki, prowadzeni przez swoich kapłanów niosących na czele błyszczące bałwanki i bożyszcza, w obec których chrześcijańskich jeńców na ołtarzach mordowano bogom na ofiarę, w uroczystym pochodzie, radosne a hałaśliwe wydając okrzyki,

¹⁾ Dyt., V. 6.

²⁾ „Nuncios quoque Redariorum et horum, qui Liutici dicuntur, misericorditer suscepit, hactenusque rebelles munerum dulcedine promissionumque jocunditate sedavit et de inimicis familiarissimos effecit,” Dyt., V, 19. Dziwném a śmieszném wyrażenie Dytmara: misericorditer obok „wdzięczności podarków a obietnic przyjemnością!” Ale gdy Niemcy, jak to Giesbrecht (*Geschichte der Deutschen Kaiserzeit*, II, str. 36) czyni, z wyrazu tego wyciągają wniosek, iż Lutycy pierwsi cesarskiego się dopraszali sojuszu, to już doprawdy bawićby mogło, gdyby się nie wiedziało, iż tendencyjne przekręcanie historii słowiańskiej, z małemi wyjątkami, w dziejopisarstwie niemieckim jest chlebem powszednim.

³⁾ Giesbrecht: *Deutsch Kais.*, II, 96.

przeciągali przed chrześcijańskim a pobożnym cesarzem, co stojąc wpośród liczного grona biskupów i duchowieństwa mile ich pozdrawiał. Nie dziw też, że prawi chrześcijanie gorszyli się takiem widowiskiem. Ś. Brunon do żywego oburzony, robi też cesarzowi dlatego gorzkie wyrzuty: „czyż się to godzi, pisze on do niego ¹⁾, chrześcijanina prześladować, a żyć w przyjaźni z bałwochwalcami? Jakżeż to Chrystus z Belialem zejść się może? cóż to za połączenie światła z ciemnością? jakżeż to się zesłi czart Swarozyc ²⁾ i Maurycy, wódz świętych naszych? cóżże to za współnictwo dzidy świętej a czartowskiej chorągwi, co krwią ludzką żyje? czyż nie lepiej walczyć przeciw poganom dla chrześcijaństwa, niż najeżdżać chrześcijan dla marniej świata stawy?”

Ależ gorące te słowa nic nie pomogły. Henryk pozostał przyjaacielem bałwochwalców, a ci też w ciągu piętnastoletniej walki, którą od roku 1003—1018 z Bolesławem prowadził, wiernie przy nim stali, nietylko orężem sprawę jego popierając, ale nawet szpiegostwem i donoszeniem mu się przysługując. Gdy bowiem roku 1007 sławną owę podejmował Bolesław wyprawę na Niemców, w której zwyciężki swój miecz aż pod Magdeburg zaniósł, wezwał Lutyków i Brodzian, by upamiętawszy się, jako plemię pobratymcze, z nim się połączyli przeciw wspólnemu wrogowi Słowian. Ci jednakowoż, fatalną wiedzei nienawiścią, a w politycznej swój ślepcie, nic nie mieli śpieszniejszego do czynienia, jak wysłać gońców do cesarza „z zawiadomieniem o mnogich niebezpiecznych zamiarach przeciw niemu przez Bolesława knowanych, do których ichże samych namową i pieniędzmi wciągnąć usiłuje” ³⁾. To też Henryk wszelkimi się starał siłami, by tak wiernych,

¹⁾ Dytm., VI, 16.

²⁾ List św. Brunona (Biel.: Mon. Pol., I, 226.

³⁾ „Zuarasiz;” tamże, „Zuarasici.” Dytm., VI, 17. Tenże dodaje, iż jest ono naczelném bóstwem Lutyków w Retrze (Riedegost). Różni różnie znaczenie jego tłómaczyli. Lelewel (Narody, 765) powiada, że imię to jest przekręceniem wyrazu: Stworzyciel; Szufarzyk i Żebrawski wiążą je z „Światowidem;” Maciejowski (142) od „świata zażyca (!),” co niby ma znaczyć: Żnicz, wyprowadza. My zaś uważamy, że źródłosłowem imienia tego jest: swar=klótnia, spór, walka. Jest więc Swarozyc bóstwem wojny. Tę hipotezę popiera wiadomość Dytmara, że tak on, jak i przybocznicy jego bożkowie, stojący w świątyni, „przybrani byli w straszne szyszaki i pancerze (Galeis atque loriceis terribilibus vestiti, VI, 17). W jednym kodeksie Dytmarowskiej kroniki jest pisownia: Lvarazici. Gdy wszystkie inne kodeksy mają: Zuarazici i gdy współczesny Dytmarowi św. Brunon tak samo Zuarasiz pisze, oczywiście zatem, że owe Lvarazici błędną jest pisownią i że niefortunną jest rzeczą nazwę owę z „lwem” łączyć, jak to Szulc (Mythologia słowiańska, p. 194) czyni. I pod względem lingwistycznym byłaby nazwa Lwarazyc istnym dziwotworem. Zresztą myli się tamże Szulc, mówiąc, że „nazwę Lwarazyc napotykamy... w liście św. Brunona.” Nie Lwarazyc, ale Zuarasis, jak to co dopiero cytowałem, tam czytamy.

aczkolwiek „wstrętnych,” jak ich Dytmar nazywa ¹⁾, nie stracić sojuszników. Gdy razu jednego żołnierz z drużyny margrafa Hermana wyobrażoną na chorągwi boginię lutycką pociskiem kamienia uszkodził, powstał z powodu téj sromotnej zniewagi pomiędzy Lutykami ogromny lament, żal i oburzenie. Kapłanie pogańscy niebawem, wielkie zawodząc skargi, cesarzowi donieśli ów nieszczęśliwy wypadek. Ten zaś przerażony, by go nie opuścili pożądati sprzymierzeńcy, prośbą i wdzięcznemi namowy, 12 grzywien wynagrodzenia im ofiarowawszy, zale ich uspokoił ²⁾.

Téj cesarskiej zaś przyjaźni mieli Lutyicy do zawdzięczenia, iż bałwochwalcza ich cześć, pokrzepiona nowych nabrała sił, i że wzrosłszy w potęgę, jeszcze raz na niejaki czas byt swój polityczny ustalili, gminowładczą ciesząc się wolnością. Strapiony Dytmar biada nad tém, wołając, „otóż, niegdyś owi ludzie służebni, skutkiem nieprawości naszych są wyzwoleni” ³⁾.

¹⁾ Dytmar, VI, 16.

²⁾ Dytmar, VII, 47.

³⁾ VI, 18. Naruszewicz, IV, 65, 161, 171, 175, wprowadził do historyi bań, jakoby Bolesław Wielki miał sobie shołdować Lutyków i Brodzian. Już Lelewel, „Polska wieków średnich,” II, 137, posłał historyę tę pomiędzy bajki. Mimo to, znajdują się teraz jeszcze autorowie, wymieniam tylko p. Suryna, str. 167, którzy nie zbadawszy krytycznie wiadomości owych, takowe za dobrą biorąc monetę, dalej szerzą. Dlatego niech mi wolno będzie jeszcze raz podjąć hipotezę tę, by ścisłe oceniwasy odnośne argumenta, przynależném krytyczném objaśnić ją światłem gwoli tego, by takowa raz na zawsze, jako sprzeciwiająca się prawdziwie historycznej z kart poważnej historyi usuniętą została. Podstawa, na której Naruszewicz, IV, 65, hipotezę owę oparł, jest miejsce u Helmolda, IV, 65, następujące: „Eodem quoque tempore Bolislaus, Polonorum Christianissimus dux, confoederatus cum Ottone tertio omnem Slavinum, quae est ultra Oderam tributo subiecit, sed et Russiam, et Prussos, a quibus passus est Adalbertus episcopus, ejus reliquias tunc Bolislaus transtulit in Poloniam, Principes Slavorum, qui Winuti sive Winithi dicuntur, fuerunt eo tempore Misizla, Nacon et Sederich, sub quibus pax continua fuit, et Slavi sub tributo servierunt.” Helmold, mieszkający w Wągryi, mówiąc „ultra Oderam,” oczywiście rozumie Słowian po prawej stronie Odry mieszkających, a więc Pomorzan pomiędzy Odrą a Wisłą. Szczególniejsza, że argumentami równie blahemi jak sztucznymi, stara się Naruszewicz wykazać, że Helmold rzeczywiście rozumiał Słowian północnych po lewej stronie Odry mieszkających. Żeby Pomorze, jak on twierdzi, zdawna należeć miało do Polaków dziedziczném prawem, jest nie prawdą. Historycznie udowodnionym jest tylko faktem, iż Mieczysław I wschodnią połowę Pomorza opanował, i że takową tylko z trudnością mógł utrzymać w karbach posłuszeństwa, i dalej, że dopiero Bolesław zachodnią podbił połowę. O prawie zaś dziedziczném to już wcale nie ma mowy. Tytułem posiadania bowiem u obojdwóch, był podbój i prawo wojny. To też Bolesław li tylko dlatego był w posiadaniu Pomorza, iż prawo swe mógł

Chwilowego tego położenia swego nie puścili też mimo Lutyey, by takowego nie wyzyskać w interesie pogaństwa, a ku przytłumieniu u Brodzian wzmagającej się wiary Chrystusa. Nad temi panował jeszcze ów Mieczysław, który około roku 1000 dowodził, jak wiemy, straszniemi przeciw Niemcom wyprawami. Zaprzyjaźniwszy się popóźniej z hercogiem saskim Bernardem, nawrócił się do wiary Zbawiciela, którego w latach młodocianych już był wyznawcą. W skutek tego przesładowanie wiary tej zwolniło; i znów poczęto budować klasztory, a księżom chrześcijańskim dozwolono słowo ewangeliczne głosić. Ztąd złość i nienawiść republikańskich Lutyków. Gdy zatem Mieczysław,

siłą oręża poprzód. Gdy zaś po jego śmierci oręż polski stępiał, ziemia owa, zbuntowawszy się, oderwała się od Polski, tak, iż Bolesław Krzywousty na nowo je zdobywać musiał. Jeżeli zaś przywodzi tamże, i na str. 161 i 171, że owi słowiańscy książęta płacili haracz Bolesławowi, to widać, iż nie rozumiał miejsca odnośnego. Miejsce to od „Principes“ do „servierunt“ jest dosłownie wypisane z Adama Br. II, 24, który tamże mówi tylko o stosunkach Słowian bordziańsko-lutyckich do książąt i biskupów niemieckich. O Bolesławie zaś najmniejżej wzmianki nie ma. Powoływanie się zaś w tej materii na tak późnych pisarzy, jak na Krantza, Długosza, a nawet na owego, w nienawiści swojej ku Polsce poprostu ogłupiałego bajora Mikreliusza, jest całkiem niekrytyczne. Zresztą i ci woale nie świadczą tego, o co Naruszewiczowi chodzi. Długosza bowiem słowa: „Donans vero singulos principatus, terras, districtus per eum et successores reges Polonine, sub barbaris infidelibus et schismaticis nationibus adquisitis, et in posterum acquirendas,“ na które on się, IV, str. 61, powołuje, niczego nie dowodzą. Z Krantzem, który XXXIV, powiada: „Omne uem Vandaliam usque ad Oderam,“ mało tę jeszcze ma bićle, iż tenże w innym miejscu mówi: „Saxonibus servierunt.“ Karci go zatem, IV, 175, naturalnie całkiem niesłusznie, boć Krantz, pisząc poprzednie słowa, nie myślał woale, że się ktoś znajdzie, który przewrotnie takowe tłómaczyć będzie. Że zaś Bolesław nigdy nie był panem Brodzian i Lutyków, następujące przytaczam argumenta: 1) żadne współczesne wiarogodne źródło nie przyuosi nam takowej wiadomości. 2) Współczesny Bolesławowi W. zyciopis ś. Wojciecha, Jan Kanaparz, powiada, że gdy tenże święty z początku nie wiedział, gdzie się jako apostoł miał udać czy do Prusaków, czy też do Lutyków, zdecydował się pójść do Prusaków dlatego: „quia haec regio (Prussorum) proxima et nota fuerit duoi praedicti“ (Bolesław). Biel. I, 180. Gdyby więc ziemia Lutyków należała do państwa Bolesława, nie mogłaby mu być nieznaną. 3) We wojnach które Bolesław W. z cesarzem prowadził, występują Lutyoy jako naród samodzielny, niezależny, sprzymierzony z tymże przeciw królowi polskiemu. 4) Dytmar (VI, 18), wyraźnie powiada, iż Lutyoy wolnym za czasów jego byli narodem: „Hi milites, quondam servi, nostrisque iniquitatibus tunc liberi.“ Gallus, Biel., I, 394 i 400, powiada, że Bolesław Lutyków (Selentiam), Pomorzan i Prusaków przytarł (contrivit). Ale co się Lutyków dotyczy, jest to tylko albo omyłka, albo przechwątka jeszcze większa, jak gdy o podbiu Prusaków mówi. O rzekomej wierności królika Mieczysława por. uwagę następującą.

usuwając się od owych fanatycznych pogan roku 1017 odmówił wzięcia udziału w wyprawie wspólnie z Henrykiem przez nich przeciw Bolesławowi podjętej, rozwściekani, roku następnego najechali jego dzielnicę. A ogłosiwszy ludowi brodziańskiemu, że nie przybyli do nich jako nieprzyjaciele, ale raczej by ich, współbraci swoich wyswobodzić z pod jarzma zdrajcy Mieczysława, który z hercogiem się spiknąwszy, na wolność i wiarę ich godzi, do wspólnego wypędzenia tego wzywali. Wezwanie to nie pozostało bez skutku. Z radością poszli Brodzianie za głosem powołującym ich do przywrócenia pogańskiej wolności. Wypędzony książę-renegat, „żyw za ledwie, mówi Dytmar, VIII, 4, z ojczyściej zdołał się wymknąć dziedziny” ¹⁾. Niezadowoleni tём, w wściekłym owym fanatyzmie, uderzyli na Chrześcijaństwo, co dopiero jakieśmy nadmienili, na nowo się podnoszące; a krwawém prześladowaniem ścigając wyznawców Chrystusa, porównego dokonali przewrotu.

„Legły natenczas, opowiada Dytmar ²⁾, ku czci i służbie Bożej wzniesione kościoły od pożogi oraz innego rodzaju zagłady, a co najboleśniejsza, pościnane krzyże Pańskie i nad Bogą prawdziwego przeniesiona cześć bałwanów, myśl ludu owego, zwanego Obotrytami i Wagrami, zatwardziła się nakształt serca Faraona.”

Cesarz, gdy się o tём dowiedział, mocno żalem wzruszony, „żałośnie tylko westchnął,” ale nic nie uczynił, bo o przywróceniu „porządku, przez spisek nieszczęsny tak rozmyślnie pochłoniętego” myśleć nie mógł ³⁾.

Polityka ta niemiecka w obec pogańskich Słowian skończyła się, gdy po śmierci Henryka Kourad roku 1025 cesarskie objął rządy. Ten wspólnie z hercogiem saskim uznał, że już minął czas, gdzie drapieżne było trzeba przed Lutykami ukrywać pazury. Wszakże Bolesław, dumny pogromcą Niemców, „rykliwy lew” ⁴⁾, przed którego głosem drżały niemieckie zastępy, już był w grobie. Poczęto więc znów rozbojami a krwawemi najazdy pustoszyć ich ziemię. Najazd roku 1035 podjęty

¹⁾ Naruszewicz, IV, 171, pisze: „Mieczysław, król Obotrytów, tak był wiernym Bolesławowi, że za świadectwem Dytmara na karioie 420, nie dał Lutykom poganom posiłków, gdy oni w r. 1017 z Czechami i z cesarzem złączeni Szlązk wojowali.” Istne przekręcanie dziejów! Otóż i słowa Dytmara (VIII, 4): „In illo tempore Liutioi in malo semper unanimes Mistislavum seniore, ubi in priori anno ad expeditionem imperatoriam nil auxiliante turmatim petunt.” Gdzież tu mowa o tём, co Naruszewicz wymarzył! Owszem, prawdopodobną jest, iż Mieczysław tylko przez wzgląd na hercoga Bernarda, z którym w przyjaźni żył, od owęj się usunął wyprawy. Hercog bowiem, powaśniony w ów czas z cesarzem, odmówił temuż wzięcia udziału w takowej.

²⁾ Dytmar, VIII, 4, Helmold, I, 16, pomieszał to z powstaniem z roku 983.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Dytmar, VI, 8.

przez cesarza, niesłychaną napiętnowany jest grozą najdzikszego barbarzyństwa. Rozkazał on bowiem, mordem a pożogą napełniwszy całą ich krainę, licznych nader jeńców wojennych, po wykłóciu im oczu i ucięciu nóg i rąk, jak najsromotniej pomordować. Potworny ten czyn znalazł nawet potwornego wielbiciela w osobie mnicha jakiegoś pobożnego, który się niepowstydział hańbę owę wierszem pełnym sła-
wić zapału ¹⁾. Doczekali się więc danku i wypłaty wdzięczności za usługi, tak skrzętnie cesarstwu w groźnej jego walce z Bolesławem Wielkim niesione. Powaleni Lutyce, zmuszeni większy jak kiedykolwiek płacić cesarzowi haracz, korzyli się odtąd u stóp Konrada; a chociaż od czasu do czasu groźnie się jeszcze nieraz Niemcom stawiali, wolności ich a swobodzie jak i czci bałwochwalskiej miało się ku koń-
cowi.

(*Dok. nast.*).

¹⁾ Wiponis Vita Chuonradi, 33.

DON PEDRO CALDERON DE LA BARCA *).

STUDYUM LITERACKIE.

PRZEZ

Juliana Adolfa Święckiego.

IV.

Z pomiędzy dramatów Calderona, zasługuje na szczególną uwagę: „La vida es sueño,” jedno z najrozsławniejszych dzieł tego poety, które też bliżej poznać musimy.

Wasil, król polski (!), miał syna, który się urodził pod najsmutniejszymi wróżbami. Ojciec, pytając gwiazd o los jego przyszły, przeczytał z nieba, że syn ten wystąpi kiedyś przeciw własnemu rodzicowi. Aby uniknąć tego, Wasil zamyka Zygmunta w wieży, ukrytą wśród gór odludnych, gdzie młody książę nie widzi nikogo więcej, prócz Clotalda, swego nauczyciela, opiekuna i strażnika. Zygmunt odbiera tu wprowadzenie wykształcenie, ale jest okuty w swém więzieniu łańcuchami i nie nosi innej odzieży, prócz skóry dzikich zwierząt. Rozaaura, przebrana po mężku i jej famulus Clarin, zabłądziwszy, znaleźli się przypadkowo wśród tych skał samotnych, których ciszę przerwał nagle chrzęst łańcuchów i głos rozpaczny człowieka. Właśnie to książę Zygmunt, nie przypuszczając czyjśkolwiek obecności w tych stronach, pilnie strzeżonych, wyszedł z wieży i mówił do siebie z rozpaczą:

Ja nędzny, ja nieszczęśliwy...
Ku Tobie zwracam się, Boże:
Odpowiedz, jaką-m ja zbrodnię
Popełnił, przychodząc na świat?...
Że samo już urodzenie
Jest zbrodnią—wiem; to wystarczy

*) Dokończenie—patrz zeszyt za czerwiec r. b.

By wyzwąć Twą sprawiedliwość,
Bo zbrodnią człeka największą:
Jest przyjście jego na ten świat!..
Leż cóżem zawinił więcéj,
Że tak mię karzesz, surowol..
Wszak inni téż się rodzi!..
Zkąd mają te przywileje,
Do których Ja nie mam prawa?!..

Ptaszyna rodzi się strojny
Pięknością niewysłowioną,
I ledwie kwiatkiem pierzastym,
Bukietem jest oskrzydłonym,
A już eterów przestrzenie
Swobodnym rozcina lotem,
Rzucając gniazdko nazawsze!..
Gdy więcéj posiadam ducha,
Dlaczegoż mnień mam swobody?..

Zwierz dziki rodzi się... ledwie
Pod pędzlem niebieskim w centki
Przystroi się jego skóra,
Gdy żądny krwi, nieubłagany,
Za głosem idąc natury,
Postrachem puszczy jest i grozą...
Ja, mając lepsze skłonności,
Dlaczego mnień mam swobody?..
A ryba, ten płód potworny
Bałwanów morskich... porostów?..
Zaledwie łuskę zdobędzie,
Po falach się już rozgląda
I płynąc podług swéj woli,
Ocean pruje bezbrzeżny!..
Ja mając rozumu więcéj,
Dlaczego mnień mam swobody?..

Małeńki strumyk zaledwie
Kolebkę wonną opuści,
Już pędem, jak wąż srebrzysty
Dolinę kwieciami usłaną,
Swobodnie szemrzając, przebiega;
Gdy życia więcéj mi dano,
Dlaczego mnień mam wolności?..
Gdy nędzny, pomyślę o tém,
Z méj piersi, niby z wulkanu
Wybiega jęk oburzenia,
Rozpaczy ogniem ziejący!..
Kto może i jakim prawem,
Na jakich, pytam, podstawach

Rozumu, sprawiedliwości
 Wydzierać tak człowiekowi,
 Najdroższy przywilej życia,
 To prawo, które Bóg nadał
 Potokom srebrnym i rybie,
 Zwierzętom dzikim i ptastwu?!

Rozaura, wzruszona skargami Zygmunta, zbliża się ku niemu, a młodzieniec osłupiał zrazu, na widok téj twarzy obcój, gdyż, oprócz swojego stróża, nie widział nigdy ani jednéj ludzkiej postaci. Jakkolwiek książę nie wiedział, że ma przed sobą kobietę, odczuwa jednak, patrząc na nieznajomą, dziwne wzruszenie serca, z którego spowiada się jej otwarcie. Już Rozaura, powodowana zaufaniem ku nieszcześliwemu samotnikowi, zaczęła opowiadać przygody swego życia, gdy Clotaldo, który chwilowo był nieobecny, powrócił właśnie, a spostrzegłszy nieznajomych w tém miejscu, do którego wzbroniony był przystęp, pod karą śmierci, aresztuje Rozaurę wraz z Clarinem, dla spełnienia na nich wyroku. Lecz ze słów dziewicy, które wyrzekła, oddając mu swoją szpadę, poznaje, że młodzieniec jest jego synem, który przybywa pomścić się swojej zniewagi. W piersiach Clotalda powstaje walka obowiązku z honorem:

Tę szpadę oddałem pięknej
 Wiolancie wraz z obietnicą,
 Że kto z nią do mnie przybędzie,
 Doświadczy pewno z méj strony
 Opieki brata i ojca...
 Ten chłopiec jest moim synem,
 Po drzeniu serca to czuję!..
 Cóż teraz pocznę?.. Królowi
 Na śmierć go oddam... czy skryję?..
 Tu miłość—tam honor wiedzieli..
 Lecz mogę wahać się jeszcze!
 Wszak wierność dla króla musi
 Zwyciężyć miłość ojcowską!..

Postanawia tedy wyznać królowi, że młodzieniec jest jego synem i zdać się na łaskę i niełaskę. „Jeśli król skarże go na śmierć—umrze, nie wiedząc, że jestem jego ojcem!” Po tém postanowieniu Clotalda, scena się zmienia i poeta przenosi nas do pałacu króla Wasila, który, zebrawszy cały swój dwór, w długiej przemowie, przesadnej a najeżonej metaforami i dyalektyką, prawdziwie scholastyczną, oznajmia wszystkim, że ma syna, opowiada los jego obecny i zamiar swój przeniesienia Zygmunta do pałacu. Tu również poznamy Astolfę i Estrelę, książąt krwi królewskiej i zaręczonych sobie, którzy cieszyli się nadzieją odziedziczenia tronu, należnego właściwie Zygmunтови. Wyjawienie tajemnicy niszczy ich nadzieje, lecz prawosć zwycięża ambicję, i składają księciu przysięgę wierności. Lecz Astolf jest właśnie tym,

który znieważył Rozaure; poznawszy go, oznajmia ona o tém Clotaldowi, przyznając się jednocześnie, że jest kobietą. Udręczeniami Clotalda, których doświadcza ten starzec, z powodu wyznania Rozaury, kończy się akt pierwszy. W akcie drugim Clotaldo zdaje królowi relacyą z wypełnienia jego rozkazów, a mianowicie: że dawszy Zygmunutowi narkotyk, sprowadził go do pałacu, poczem zjawia się sam książę, przy dźwiękach muzyki, otoczony służbą, która mu pomaga ubierać się i w ten sposób wyraża swoje zdziwienie:

O! Boże wielki, co widzę?..
 Bez trwogi patrzeć nie mogę!..
 I niby wierzę... a wapię...
 W pałacach jestem bogatych?..
 W jedwabiach i złotogłowie...
 Otoczon służbą wspaniałą!..
 Ja w miękkim budzę się łożu,
 Śród ludzi, którzy z szatami
 Czekają skinienia mego?..
 Mam sądzić, żeś snu igraszką?..
 Wszak czuję, żeś przebudzony!
 Czy już nie jestem Zygmuntem?..
 Jeżelim w błędzie, o Boże,
 To zakończ niepewność straszną!..
 Lecz dosyć tych niepokojów
 Niech służą mi... zobaczmy!..

Po tém zdziwieniu, pierwsze uczucia, jakie się przejawiały w Zygmuncie, niby naturalne następstwo wychowania i dawnego z nim obchodzenia się, były: duma, wyniosłość, gniew i zemsta. Przedewszystkiem rozkazuje, żeby muzyka zagrała pieśń wojenną, zaniast rzeczonych jakichś melodyi, a później, gdy spostrzegł u nóg swych Clotalda, tyrana swęj młodości, zawołał:

O! zdrajco podły, nikczemny,
 Jak mogłeś zdradzać ojczyznę
 Tak strasznie, żeś mię ukrywał,
 Żeś nawet, wbrew wszelkim prawom
 Odmówił mi stanowiska?
 O, biada!..

Clotaldo.
Zygmunt.

Tyś zdrajcą prawa!..
 Tyś króla oszukał, łotrze,
 Tyś względem mnie był okrutnym!...
 A więc król, prawo, ja wreszcie
 Ten wyrok tobie głosimy:
 Że za swe zbrodnie okropne
 Z rąk moich zginiesz, nędzniku!..

Napróżno służba stara się go powstrzymać, książę wpada w co-

raz silniejszą furią. Wchodzi Astolf i pomimo oznak uszanowania swego, doznaje obrazy od Zygmunta. Na widok pięknej Estrelli, usiłuje pocałować ją w rękę. Jeden, śmielszy od innych dworzanin, zwraca księciu uwagę na niewłaściwość takiego postępowania i przypłaca tę śmiałość życiem; Zygmunt bowiem, w uniesieniu dzikiem, porwał go piorunem i wyrzucił przez okno... w morze (!), a pamiętajmy, że dzieje się to na zamku króla polskiego.

Właśnie w tej chwili wchodzi Wasil i pomiędzy ojcem a synem rozpoczyna się żywy dyalog, w którym Zygmunt, uniesiony popędami dzikości, wyrzuca ojcu brutalnie, że jest tyranem, gdyż skazał własne swe dziecko na życie zwierza dzikiego. Oburzony ojciec, karci zuchwalstwo syna i zostawia Zygmunta samego. Po chwili wchodzi Rozaura już w stroju kobiecym, a na jój widok książę, dowiedziawszy się, że ona jest damą Estrelli, przejęty entuzjazmem woła:

Widziałem, jak w państwie woni,
 Śród kwiatów njezliczniejszych
 Królową była... różyczka,
 Bo ona jest najpiękniejsza!..
 W królestwie drogich kamieni
 Widziałem jako dyament
 Panował ponad wszystkim;
 Był królem, bo siłą blasku
 Wyrównać nikt mu nie zdołał..
 W ruchliwój gwiazd republice,
 Na czele dworu lśniącego
 Widziałem Venus królowę!..
 I w sferach téż doskonalszych
 Widziałem na tronie słońce
 Śród wszystkich planet orszaku,
 Bo ona pochodnią światła.
 Jeżeli między kwiatami,
 Śród planet, gwiazd i kamieni
 Najwyższa piękność tron dzierży,
 To czemu ty służyć musisz,
 Ty, któraś jest najpiękniejszą
 Różyczką, brylantem, gwiazdą,
 Wenerą jasną i... słońcem!..

Napróżno Rozaura usiłuje wyrwać się z rąk Zygmunta, rozpłomienionego gwałtownym popędem namiętności, daremnie prosi, by jój odejść pozwolił, napróżno wyrzuca mu zwierzęcość i barbarzyństwo, Zygmunt, roznamieniony jeszcze bardziej oporem dziewczęcia, woła: „Despotą jestem, nie ujdiesz.” Na szczęście, Clotaldo, czuwając ciągle nad księciem, wbiegł z interwencją, której o mało życiem nie przypłacił. Na krzyk Rozaury, zjawił się Astolf i rozpoczął walkę z Zygmuntem, przerywaną wejściem króla. Gdy Wasil wyrzuca Zy-

gmuntowi, że nie umie uszanować siwych włosów, odbiera taką odpowiedź:

Spodziewam się, że niedługo
I twoje u nóg zobaczę,
Bo jeszcze krzywd swych nie pomścił..

Po tych scenach dramatycznych, następuje lichi epizod niczém z całością niepowiązany, a mianowicie: Rozaura odbiera Astolfowi podstępem swój portret, koniec zaś aktu, rozgrywa się w dawném więzieniu księcia, gdzie spotykamy Zygmunta, śpiącego jeszcze po narkotyku, który mu dano do wypicia.

Zygmunt (przez sen). Szlachetny książe powinien

Tyranów karać... Clotaldo
Z mój ręki legnie, a ojciec
Me nogi całować musil..

Clotaldo.

Mnie zabić pragnie.

Wasil.

A ojca

Znieważył..

Zygmunt (j. w.).

Niech moja potęga błysnie
Na wielkim teatrze świata!..
A zemsta niech jój dorówna,
Niech książę Zygmunt odniesie
Nad własnym ojcem zwycięstwo!..
(budzi się). Gdzież jestem?.. Siebież to widzę
Zańcuchem skutego jeńca!..
O, jakież miałem sny dziwne!..

Zygmunt opowiedział Clotaldowi sen swój oraz wybuchy dzikości i despotyzmu, kończąc opowiadanie temi słowy:

Tak strasznym despotą byłem,
Na wszystkich dziko się mściłem
I tylko jedną kobietę
Kochałem—to nie sen marny,
Bo wszystko... prócz tój miłości
Zniknął!..

Clotaldo (wychodząc).

O! nawet we śnie
Szanować winieś tego..
Kto z trudem wychował ciebie;
Pamiętaj!.. nikt nawet we śnie
Na czynach dobrych nie traci!..

Zygmunt (sam).

Powiedział prawdę... Tak!.. trzeba
Powściągnąć dzikość... ambicyą,
Jeżeli sen kiedy wróci!..
Bo jestem w świecie tak dziwnym
Że życie jest snem jedyniel..
Wszak wiem już i z doświadczenia,

Że człowiek, żyjąc, śni tylko
 Do chwili aż... przebudzenia...
 Król tylko śni, że jest królem
 A żyjąc w takiem złudzeniu
 Wydaje rozkazy... rządzi...
 A cześć tę, którą kłamliwie
 Odbiera— śmierć niezblagana
 Popiołem kryje nikczemnym!..
 Któż pragnąć chce panowania,
 Gdy pozna, że we śnie zgonu
 Nastąpić ma... przebudzenie...
 Bogaty śni o swych skarbach,
 Którymi tyle się troszczy,
 A nędzarz o swój niedoli!..
 Śni człowiek, rosnąc w potęgę,
 Śni, kiedy lęka się, trwoży...
 Gdy krzywdzi drugich... znieważa...
 W tym świecie każdy śni tylko
 Czém jest, choć nie myśli o tém!..
 Ja tylko śnię, że tu jestem,
 Zakazem tym skrepowany.
 I śniłem téż, widząc siebie
 W szczęśliwszém stokroć siedliskul..
 Więc życie czém jest?.. szaleństwem!..
 I czém jest życie?.. złudzeniem!..
 Mamidłem tylko, czczym cieniem!..
 Największe dobro jest niczém!..
 Bo życie całe snem tylko,
 A sny te snami jedynie!..

Pod wrażeniem tych idei, występuje Zygmunt w akcie trzecim, już umiarkowany i rozsądny, wątpiący zawsze o tém, czy śni, czy czuwa i przejęty żywo tą myślą Clotalda, że *aun en sueños no se pierde el hacer bien* ¹⁾. Uwolniony z więzienia przez żołnierzów, stawia opór podszeptom dumy i ambicyi.

Wy chcecie, bym poraz drugi
 Śnił wielkość, którą czas zniszczy;
 Wy chcecie, abym powtórnie,
 Śród cieniów, mamideł losu,
 Oglądał majestat próżny!..
 Wy chcecie, bym dotknął ręką
 Ułudy, która jest treścią
 Mniemanój człeka potęg!..
 Nie myślę oddawać siebie

1) Że nawet we śnie należy czynić dobrze.

Na łup kaprysu fortuny,
 Gdy wiem już co to jest życie.
 Więc zgińcie widma uludne;
 By zdradzić zmysły uśpione,
 Wy ciało, głos udajecie,
 Nie będąc głosem, ni ciałem
 W istotnej rzeczywistości!..
 Znikome precz majestaty!..
 Precz marne bogactw złudzenia,
 Z podmuchem wiatru ginące!..
 Dość kłamstwa!.. rozczarowany,
 Wiem, że snem tylko jest życie!..

Żołnierz.

Gdy myślisz, że cię zwodzimy,
 Zwróć oczy tu na te góry!..
 Tam ujrzysz lud, który czeka,
 By za twym śpieszyć rozkazem!..

Zygmunt.

Jam widział lud ten tak jasno,
 Jak teraz widzę go jeszcze,
 A przecież to był sen tylko!..

Żołnierz.

Wypadki wielkie, o panie,
 Zwykliśmy naprzód odczuwać,
 Więc o nich śniłeś też, królul!..

Zygmunt.

Masz słuszość, lecz w takim razie
 To życie tak jest króciutkie,
 Że wolę śnić teraz jeszcze,
 Lecz zawsze z myślą rozsądną,
 Że trzeba zbudzić się nagle
 W najmilszej złudzenia chwilil!..
 Mniej boli rozczarowanie,
 Gdy o nim wprzód wiedzieliśmy;
 Nieszczęście wita z uśmiechem,
 Kto wczas je przewidzieć zdoła!..

Zygmunt staje na czele wojska i pokonywa armię królewską.
 Z tą wieścią przychodzi Astolf do Wasila.

Zwycięstwo zdrajców!..

Wasil.

Przeciwnie,

Bo w takich walkach – zwycięzca
 Jest prawy, zdrajcą – pobity!..
 Uciekać trzeba, Clotaldo,
 Przed dziką srogością syna.

Zaledwie wymówił te słowa, strzał się rozległ i u nóg Wasila pada Clarin, który, z obawy przed niebezpieczeństwem, skrył się za skałą. Konając mówił:

O! nędzny, w trwodze, przed śmiercią
 Jam ku nięg leciał na oślepl!..
 Dla śmierci niema kryjówkil!..

Im bardziej kto się wystrzega,
 Tém łatwiej spotkać ją może:
 Wracajcie w ogień... do walki...
 Bezpieczniej tam niż w pieczarach,
 Bo nie ma drogi tak pewnej,
 Byś na nią uciekł przed losem,
 W ucieczce skrytej przed śmiercią
 Zginiecie, gdy Bóg chciał tego!...

Przenikniony temi słowami i przekonany o niemożebności walczenia z losem, Wasil postanawia czekać na swego syna, któremu chce się rzucić do nóg, aby spełnić przepowiednię nieba. Gdy tak się stało, Zygmunt w długiej przemowie w obec wojska, zwraca uwagę na sady Opatrzności, która upokorzyła monarchę za to, że śmiał z nią walczyć.

A teraz, gdy cię już niebo
 Skarało, żeś źle postąpił,
 By wyrok jego odwrócić,
 Nad moją pomścij się głową,
 Do nóg twych gnę się pokornym!...

Gdy ojciec wzruszony szlachetnością syna oddaje mu koronę ku wielkiej radości całego ludu, Zygmunt kochając Rozaurę, powierza los jej Astolfowi ze względu na ich dawny stosunek, Estrellę pociesza swoją ręką, żołnierza zaś, któremu zawdzięczał swą wolność, kazał zamknąć w wieży na całe życie za to, że przeciw swemu powstał królowi.

Z wyjątkiem Ticknora, który o powyższym dramacie żadnej nie daje wzmianki, prawie wszyscy krytycy zgadzają się jednomyślnie, że „Życie—snem“ jest dziełem mistrzowskiem Calderona, jest jego arcydziełem. Rozgłos ten zawdzięcza ono niewątpliwie swęj tendencyi filozoficzno-moralnej, gdyż pod względem architektoniki i stylu, nie jednej z prac Calderona ustępuje. Lista, gruntowny krytyk hiszpański, przypomina, że bajkę do tego dramatu zaczerpnął poeta z „Tysiąca i jednej nocy“ i że chciał w niej przedstawić dwie najważniejsze sytuacje życia ludzkiego: ułudę i doświadczenie. W pierwszej Zygmunt, charakter czysto uniwersalny, jest posłuszny tylko głosowi nieokiełznanych namiętności, a życie jego streszcza się wyłącznie w objawach fizyologicznych. Skoro wszakże budząc się ze snów rozkosznych spostrzega dawne więzienie, egzystencya jego, oświecona strasznym rozczarowaniem, poddawać się zaczyna sterowi ducha: zmysłowość ustępuje miejsca moralności a instynkt brutalny—rozumowi. Pod wpływem rozczarowania, Zygmunt wyrabia sobie pojęcie o znikomości dóbr ziemskich i o marności uciech tego życia, które w rezultacie jest snem tylko. I to właśnie pojęcie religijno moralne, w duchu nauki katolickiej pojęte, jest zasadniczą ideą dramatu Calderona. Nie brak tu podobieństwa z Hamletem. Oba te dzieła przedstawiają odwieczną walkę człowieka z hydrą zwątpienia, oba są płodem sceptycyzmu. Zygmunt tak dobrze wątpi jak i Hamlet, lecz zwątpienie jego nie sięga

w nieskończoność, ma ono swą granicę u wrót nieba. Zygmunt mówi tylko, że „vida es un sueño“ a Hamlet: „to die—to sleep,“ że śmierć jest snem. Z drugiej strony ta walka monarchy z synem, gwoili jedynie astrologicznym horoskopom, przypominająca, podług Latour'a: reminiscencją walki Alfonsa Mądrego z synem Sancho, daje pocie mo-
żność przeprowadzenia tej idei, że człowiek wyroków Opatrzności prze-
nikać nie powinien i że lepiej robi, jeśli czyniąc dobrze, zaufa dobro-
ci boskiej. Język w tej sztuce jest więcéj niż w innych skażony wy-
brykami gongoryzmu a tyrad olbrzymich co nie miara.

Do charakterystyki zupełnej tego działu wypada nam jeszcze zrobić analizę tragedyi, a niech nam posłuży w tym celu „A secreto agravio venganza secreta,“ która to sztuka „oddycha więcéj niż inne geniuszem nawskroś narodowym.“

Leonora, zapewniana o śmierci swego kochanka, po jakimś cza-
sie wyszła zamąż bez przekonania, z konwenansu. Zaledwie wróciła
od ołtarza otrzymuje wiadomość, że Don Ludwik, jój ukochany nie zgi-
nął. Jeszcze po tej nowinie piorunującej do zmystów przyjsé nie mo-
gła, gdy przed nią stał już młodzieniec, wyrzucający zdradę kochance:

Leonora. Kobięto lekka i zmienna,
Cóż może usprawiedliwić
Twą zmianę... twe zapomnienie!...
Śmierć twoja, której wierzyłam,
Płakałam; lecz mię zmusili
Innemu oddać swą rękę!...
Choć tobą myśl moja żyła!
Dziś jeszcze, gdybym nie była
Żoną, miałbyś dowody
Czy jestem lekka i zmienna.

Wkrótce potém Leonora otrzymuje list od kochanka z prośbą
o schadzke; po krótkiej walce miłość odnosi tryumf nad rozumem. Lecz
bolesna rozmowa kochanków przerwana została przybyciem Don Jua-
na, przyjaciela męża Leonory, któremu Don Lope dał w domu swoim
gościnność. Leonora ze służącą uciekły, zostawiwszy w ciemnym po-
koju samego Don Ludwika. Don Juan zawołał „kto tam“ i dobył szpa-
dy; Don Ludwik zastaniając się szpadą trafia w ciemności na drzwi, któ-
remi wyszła Leonora i zniknął. Wnoszą światło, nie ma nikogo. Don
Lope usłyszawszy szczeł oręża wbiegł do pokoju i pyta co się stało?
Don Juan odpowiada, że spotkał w tym pokoju mężczyznę. Wchodzi
téz i Leonora, przestraszona niby hałasem. Don Lope przewidując
nieszczęście, lecz i pragnąc ocalić honor przed światem, wyprawia Don
Juana, żeby czuwał przy drzwiach wchodowych, sam zaś, wbrew Leo-
norze, która zapewnia, że u niej nie ma nikogo, idzie do jój pokoju,
z kąd wychodzi po chwili, wraz z Don Ludwikiem, który otulony płasz-
czem i z nagą szpadą w dłoni, szedł przed Don Lope. Nie tracąc przy-
tomności Don Ludwik opowiada, że ścigany przez rozbójników rzucił

się do pierwszego domu, jaki napotkał i obecnie znajduje się na łasce tego, któremu mimo woli zgwałcił mieszkanie.

A teraz zabij mię, panie,
Gdy całą prawdę wyrzekłem,
Bo nie chcę, ażeby cnota
Cierpiała na mém szaleństwie!

Don Lope udaje że wierzy i wyprowadza z grzecznością Don Ludwika. Leonora ma się za ocaloną. Lecz zemsta piekielna kipi w pierśsiach shańbionego męża:

Kto pragnie zemsty, ten czeka
I cierpieć umi i milczy!...

Don Juan, troskliwy o honor swego przyjaciela i sądząc, że jest on w swój żonie zaślepiony, stara się otworzyć mu oczy. Żeby jednak nie obrazić jego miłości własnej, prosi go niby o radę w ciężkich wątpliwościach, które dręczą jego duszę. Zmieniwszy tedy nazwiska, Don Juan opowiada mu swoje własne skrupuły i obecne położenie rodziny, która go pod swój dach przyjęła. Łatwo zrozumiał Don Lope wybieg przyjaciela, wie, że tu o jego hańbie jest mowa; lecz chociaż piekło ma w duszy, najłżejszém drgnieniem muskułów nie zdradza stanu swego ducha.

Jeżeli chcesz mego zdania,
To sędzę, że nikt nie może
Hańbionym być w taki sposób
I o swój hańbie nie wiedzieć;
Jeżeli mężczyzna kryje
Swą hańbę, aby się nie mścić,
To w gruncie i sam jest winien!...

W wypadku, o jakim mówisz
Nie można robić wyrzutów
Mężczyźnie, który nic nie wie
O hańbie jakiejś doświadczył!...
Co do mnie, wyznam otwarcie,
Że gdyby kto z mych przyjaciół,
Z przyjaciół moich najlepszy,
Jak ty na przykład, mnie zrobił
Zwierzenie tego rodzaju,
To pierwszy piorun mój zemsty
Na jego spocząłby głowie!...
Bo wielkiem jest okrucieństwem
W twarz komu rzucić te słowa:
„Ty nie masz wcale honoru!”
Najlepszy druh miałby prawo
Największą zadać zgryzotę?!
Tak! wzywam Boga na świadki,

Że gdybym wyznał to sobie
 Sam głowę strząskalbym własną,
 Choć przecież ja jestem chyba,
 Najlepszy z moich przyjaciół!..

Zaledwie, że się rozstał z Don Juanem, Don Lope spotyka króla, który go pyta, czy pozostanie przy swęj żonie czy pójdzie z nim na wojnę Afryki.

Król. Tak, królu, przecież małżeństwo
 Mych uczuć nie odmieniło.
Don Lope. Więc gotów jesteś zostawić
 Małżonkę zaraz po ślubie?
Król. Przeszkadzać ona nie będzie...
 Zapewne... lecz nie wypada
 Tak prędko z nią się rozłączać.
 Jakkolwiek na tej wyprawie
 Chcę wszystkich zgromadzić zuchów,
 Lecz ciebie żalby mi było
 Od młodej żony zabierać!...
 Domowi krzywdębyś zrobił...

Zdawałoby się, że słowa króla były najnaturalniejsze i niewątpliwie żadnych aluzji król nie robił; a przecież ścigany widmem swęj hańby, Don Lope otrzymał cios okropny w samo serce:

O, Boże! czy słuch mię myli?
 Co znaczą wyrazy króla?...
 Więc mało jeszcze zniewagi?
 Więc hańba moja tak głośna,
 Że uszu króla dosięgła?!
 O, Panie! jeżeli kiedy
 Popełnił zbrodnię, to czemu
 Łagodniej mnie nie ukarzesz?
 Dlaczego nie spuścisz raczej
 Piorunu, by mię zdruzgotał...
 Wszak lepsza śmierć, aniżeli
 Te słowa monarchy straszne:
 „Domowi krzywdębyś zrobił.”
 Honorze! wieleś mi winien!
 Obliczmy się teraz wspólnie!...
 Co ty mi możesz zarzucić?...
 W czém ja cię mogłem obrazić?...
 Do sławy dziedzicznej przodków,
 Czym jeszcze nie dodał własnej,
 Śród krwawych wojen zdobytej?
 Nie byłem przez całe życie
 Obrońcą słabych, pomocą
 Biedaków, a protektorem

Żołnierzów i przyjacielem
 Szlachetnych, uczciwych ludzi?
 A nawet w mojem małżeństwie
 Czém krzywdę ci wyrządziłem?
 Mój wybór padł na kobietę
 Krwi zacnej i z cnoty znaną?
 A czyż ją nie dość kochałem?
 Nie miałem dla niej szacunku?
 Jeżeli więc przeciw tobie
 Nie zgrzeszył winą najmniejszą
 I żadnej nie spełnił zbrodni;
 Dlaczego ty mię opuszczasz?
 Dlaczego? Prawa szalone!...
 Więc człowiek, który się starał
 Wszystkimi ducha siłami,
 By imię zdobyć szanowne,
 Swój hańby sam nawet nie zna?
 Więc człowiek ma być ganiony
 Za zbrodnię czyję, gdy przecież
 Za dobre innych postępki
 Pochwały nikt mu nie odda?...
 Więc człowiek ma być zhańbiony,
 Wyśmiany i wyszydzony
 Za czyny téj, która łatwo
 Swą godność poświęca szeptom
 Kaprysów nieokiełznanych.
 O, w jakże kruchém naczyniu
 Złożono honor, niestety!...
 Lecz skończyny tę skargę próżną
 Na nędzne ludzi zwyczaję;
 Ja przeciw nim nie wystąpię;
 Podległy im od dzieciństwa,
 Wszak nie dlatego ja żyję
 Bym zmieniał je, reformował...
 Lecz żebym był im posłuszny.
 Pojadę z królem, lecz szybko
 Powrócę, by mieć sposobność....
 To będzie tak świetna zemsta,
 O jakiej świat nie usłyszy.
 Król dowie się i Don Juan
 I wieki powtarzać będą,
 Jak hańbę mści Portugalczyk!...

Monolog ten, nieocenionej wartości jako malowidło ówczesnych
 pojęć i obyczajów, jest zarazem najdoskonalszą charakterystyką boha-
 tów kalderońskich, pozbawionych zwykle indywidualności własnej
 a oddanych wyłącznie na usługi wymaganiom religii, lojalności, praw

istniejących, zasad przyjętych. przesądów zakorzenionych i t. d. W takim stanie rzeczy kolizya dramatyczna, w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie ma miejsca, a więc i efektu tragicznego być nie może. Jak widzieliśmy, Don Lope nie stacza z sobą najmniejszej walki, ze słów jego sądzićby można, że wcale nawet nie cierpi, że owszem rozkoszuje się myślą spełnienia takiej zemsty, o jakiej jeszcze świat nie słyszał. W długiej tyradzie jego jest deklamacya zimna, aktorstwo sztuczne, chętność, egoizm, junakierya niesmaczna—ale uczucia i boleści ani śladu. Nawet struna najzwyczajniejszego człowieczeństwa, nie już miłości dla ukochanej kiedyś małżonki, nie zadrgała ani na chwilę w jego sercu. Obraz Leonory tak się łatwo zatarł w jego duszy, iż sądzićby można, że tam nie istniał wcale, że cała katastrofa zdrady jest dlań właśnie nader pożądaną sposobnością do złożenia ofiary na ołtarzu ubóstwianego Molocha. „Jam nie przyszedł na świat zmieniać i reformować, ale być posłusznym.” Oto jest godło, które wyklucza z dramatu Calderona wszelką dramatyczność. Ale wróćmy do naszych bohaterów!

Leonora po owój scenie, która jest początkiem jęj nieszczęścia, zapragnęła widzieć raz jeszcze ukochanego. Poeta zręcznie maluje ten postępowanie namiętności, która się wzmaga śród niebezpieczeństw i naraża na coraz nowe pioruny. Naznacza schadzke Don Ludwikowi w domu wiejskim, położonym na wyspie, niezbyt oddalony od brzegu. W chwili, gdy Don Ludwik szukał przewoźnika by tam popłynąć, zjawia się Don Lope. Wita uprzejmie kochanka swęj żony, a dowiedziawszy się czego szuka, ofiaruje mu sam swe usługi, pod pozorem, że również miał zamiar dla odwiedzenia przyjaciela płynąć na wyspę. Don Ludwik zaufał mężowi swęj kochanki i... popłynęli. Gdy się łódka oddaliła dosyć od brzegu, Don Lope wywrócił ją. On sam ocalał, lecz Don Ludwik, wołając rozpaczliwie ratunku, zginął śród bałwanów. Tęj samęj nocy Don Lope podpałił dom własny, a udusiwszy żonę, wynosi ją z pośród płomieni na rękach własnych, udając rozpacz po jęj zgonie.

Calderon tak się rozmyślał w owym temacie nawskroś hiszpańskim, że go obrabia aż trzy razy. Obok sztuki, której analizę podaliśmy, stoją dwie inne, bliźnięco do siebie podobne: „El medico de su honra” i „El pintor de su deshonor.” We wszystkich trzech tragediach żona pada ofiarą wściekłości męża, który idzie ślepo za głosem ówczesnych pojęć o honorze. Żadna walka wewnętrzna, żaden wyrzut sumienia nie towarzyszy jego zbrodni. „Ci straszui mężowie, robi Pröls słuszną uwagę, działają jak męczennicy obowiązku” ¹⁾. Jak dalece wiarołomstwo żony było wypadkiem na scenie hiszpańskiej niedopuszczalnym, dowodzi między innemi ta okoliczność, że Calderon przedstawia wszystkie trzy bohaterki przytoczonych tragedyi w świetle o tyle łagodniejszym, że współnik winy każdej z nich był kochany

¹⁾ Robert Pröls, *Geschichte des neueren Dramas*, Leipzig, 1881, I, str. 359.

przez nią już przed ślubem, a samo małżeństwo tych niewiast było raczej aktem konwenansu niż miłości.

Lecz nie tylko sam honor bywa motorem wyłącznym tragedyi Calderona, umie on poruszać i inne sprężyny ducha.

Niewdzięczność dzieci względem rodziców, będąca zasadniczą ideą szekspirowskiego Lira („Los cabellos de Absalon“), zazdrość w najstraszniejszych jej paroksyzmach, przypominająca żywo „Otella“ („El mayor monstruo los celos“) poczucie sprawiedliwości i prawa („El alcalde de Zalamea“, „Las tres justicias en una“ i „La niña de Gomes Arias“), miłość (rzadki wypadek) niezmiernie idealna i romantyczna („Amor despues de la muerte“); oto wybitniejsze motywy tragicznych komedyi Calderona. Wszystkie one posiadają te same niedostatki, jakie wytknęliśmy przy analizie „Zemsty tajemnej“, to jest żadna z nich nie jest tragedją w szekspirowskiem znaczeniu tego słowa; ale w każdej rozsiął poeta tyle piękności, natchnienia i artyzmu, że czytelnik pochłaniać je musi gorączkowo.

V.

Pozostaje nam jeszcze poznać się z utworami Calderona, które mu największą popularność w kraju zjednały, a mianowicie z tak zwanymi autos sacramentales, „aktami sakramentalnemi“, które były przedstawiane ku uświęceniu uroczystości Bożego Ciała. Utwory te, alegeryczno-religijne już miały w genialnym Lope de Vega swego przedstawiciela; Calderon wszakże szczególnie celował w tym kierunku. Auto czerpie zazwyczaj treść swoją z całego obszaru Historii Świętej, w szczególności jednak opiewa urodzenie Chrystusa (Autos al nacimiento) a przede wszystkim Sakrament komunii. W tych ostatnich panuje wyłącznie prawie alegorya. Osoby, które tu występują, są powiększłej części personifikacyami pojęć religijnych i moralnych. Jakakolwiek wszakże jest treść ich i bez względu na charakter osób, ostateczną konsekwencyą autosu musi być zawsze uczczenie tajemnicy Sakramentu. Autos sacramentales przypominają francuskie Moralités, gdy wszelkie inne „Akty“ mało się różnią od średniowiecznych misteryi.

Akty sakramentalne są płodem narodowym poetycznego ducha starych Hiszpanów. Nigdzie owe duchowne widowiska nie nabrały takiego kunsztownego zaokrąglenia jak na tym fanatycznym półwyspie, gdzie jednym z najwyższych obowiązków była walka za katolicką wiarę „nie tylko mieczem słowa i ogniem ducha, lecz i zwykłym orężem rycerskim.“

Autosy były dla ludu hiszpańskiego symbolami światowładczego znaczenia; każdy z tych niezliczonych dramatów religijnych, które corocznie w miastach i miasteczkach stanowiły ulubione widowisko pobożnych, był jednocześnie walką na miecz i ogień przeciwko grzechom niewiernych; religia i poezya łączyły się tutaj ku wspólnym celom.

Autosy były przez długi czas przedstawiane w kościołach; dopiero w końcu XV wieku zamknięto dla nich świątynie i od tego czasu przeniosły się na place publiczne, przybierając charakter czysto ludowy. Urządzenie sceny dla przedstawień tego rodzaju, przypominało prostotę swoją wozy Tespisa z komedyantami wędrownymi. Żeby dać czytelnikom wyobrażenie o tych utworach, które entuzjazmowały Hiszpanów, podam treść kilku autosów wybitniejszych.

„El gran teatro del mundo,” przedstawia pewne podobieństwo z farsą „Taniec śmierci,” która pokazywała śmiertelnym jak znikome są ich losy, jak nagle obraca ich w nicłość, zachowując to samo dla monarchy potężnego i dla żebraka, dla mędrca i dla nieuka, dla cnotliwego i zbrodniarza: jednem słowem dla wszystkich, którzy przez tak zwany też padół przejść muszą. Do sztuki téj wchodzi: Król, Piękność, Bogacz, Biedak, Roztropność, Rolnik i Chłopczyki. Wszyscy wszedłszy na scenę od strony gdzie jest kołyska, dochodzą do drugiej gdzie jest grób. Świat nadaje im znamiona, które odpowiadają roli, odgrywanej przez nich na jego teatrze. Monarcha ma na ramionach płaszcz z purpury i koronę na czole; Piękność, strojna kwiatami, które są jej symbolem; Bogacz ze złotem, które Świat sam wydobywa ze swych wnętrzności, gdzie skrył je Skąpiec; Rolnik z twardą motyką, dziedzictwem pierwszego człowieka i t. d. Piękność jest w rozterce z roztropnością i chełpi się ze swoich wdzięków; Bogacz oddaje się rozkoszy i zbytkom a patrzy z góry na biedaka. Lecz oto dosięgli téj bramy która się śmiercią nazywa. Monarcha wstępuje w nią upokorzony, maluczki z żalem za przeszłością; Piękność zmieniona przez pychę w straszłą brzydotę, bo kwiat który umiera, to ciało, duch tylko ma piękność wieczną. Bogacz, ku ironii gorzkiej, wchodzi w bramę śmierci razem z biedakiem, którym pogardzał i o ile tamten żałuje skarbów, o tyle biedny, nie zostawiwszy na świecie nic drogiego, idzie w tę podróż ostatnią z okiem wesołym. Tylko Roztropność przeżyła wszystkich, żeby zakończyć sztukę, która jeśli była krótka, to dlatego tylko, że i życie jest bardzo krótkie. Wszyscy aktorowie, którzy występowali, wracają na scenę bez tych atrybutów, które świat im nadał.

Dlaczego bierzesz, coś raz dał?

zapytuje monarcha, na co Świat mu odpowiada:

Co miałeś—to pożyczone,

Byś rolę swoją odegrał;

A teraz zostaw dla innych

Majestat, państwa i przepych!...

Akt kończy się nagrodą, którą otrzymuje Roztropność i Biedak od Stwórcy świata, utajonego w Eucharystyi.

W „El divino Orfeo,” poeta przedstawia Stwórcę w całej wspaniałości poematu Stworzenia. Na wozie, w kształcie okrętu, wjeżdża Ojciec wieczny jeszcze przed Stworzeniem. Przybywszy na plac, powołuje do życia wszystkie istoty. Jakoż zjawiają się inne wozy sym-

boliczne z różnemi istotami, które się łączą z wozem głównym. Następnie poeta przedstawia upadek aniołów buntowniczych. Po nim następuje zjawienie się zła w naturze, które ulega przeobrażeniom, tracąc świetne kształty pierwotne, a wszystko się to odbywa pośród chóru aniołów. Po upadku Adama, zjawia się „Boski Orfeusz,” czyli Chrystus, z lirą w kształcie krzyża, opiewając klęski ludzkości, którą zbawia i zwycięża piekło, za pomocą pieśni całej natury.

Niemniej symboliczny, a więc jeszcze teologiczny, jest akt p. t.: „A Dios por razon de Estado.” Objawia się w niej Myśl ludzka, uosobiona w postaci alegorycznej, szukając prawdziwej idei Boga. Za radą Roztropności, szuka jej naprzód w pogaństwie, w religiach starożytnych, lecz bezskutecznie. Zwiedza następnie wyspy odległe materyalistycznego Ateizmu, którego doktryny ze wstrętem odpycha. W Islamizmie znajduje promień prawdy, lecz prawdziwą religią spotyka dopiero w Chrześcijaństwie, głoszonym przez świętego Pawła. Pomimo wyjaśnień Prawa Łaski, Synagoga i Islamizm trwają w swym błędzie; lecz Pogaństwo i Ateizm nawracają się. Rozum już jest zadowolony co do Boga, lecz pyta: „czém jestem i czém jest, co warto życie (qué soy, y qué es y qué vale una vida)l..

Bujna fantazyja poety personifikuje wszystko w tych utworach: miesiące, dni, drzewa, kwiaty, rośliny, żywioły, zmysły, występki, cnoty, uczucia, idee; wszystko nakoniec: Rozum, Świat, Demon, Śmierć, Wina, Natura ludzka, Wiara, Judaizm, Łaska, Sceptycyzm—oto postacie symboliczne, które tu spotykamy najczęściej ¹⁾.

„Akty” odzwierciedlają całą teologią i metafizykę swego wieku, którą obkleił poeta w szatę poezyi arcy-wytworną. Świetna fantazyja, nadzwyczajne bogactwo rytmiczne, harmonia stylu i błyskotliwość języka, walczą o lepsze w autosach, które, niestety, są także i bardzo smutném świadectwem zaślepienego fanatyzmu ich twórcy. Oto co mówi w tym względzie rodak jego, autor „Historyi literatury hiszpańskiej” i najświeższego studyum o Calderonie ²⁾: „Calderon był często w autosach apostołem nietolerancyi, sankcyonował auto-da-fe, wychwalał smutnej pamięci trybunał inkwizycyjny i dochodził nawet do okrucieństwa względem heretyków” (y se mostro cruel con los herejes).

Popularność autosów podniósł Calderon do zenitu, lecz w następstwie były one zniesione dekretem rządu z r. 1765, pod wpływem krytyki XVIII wieku, która nazwała autosy „zwyczajem zabobonnym” (supersticiosa costumbre), dziełami potwornemi i bez sensu (composiciones absurdos y monstruosos).

¹⁾ Angel Lasso de la Vega Autos sacramentales de Calderon La Ilustracion americana y española z r. 1881, nr. XI, XIII, XV.

²⁾ Calderon de la Barca, su vida y teatro, el segundo centenario de su muerte, 1851, Madrid, pag. 124.

VI.

Fanatyzm religijny, cześć dla monarchy i kult honoru, będący także religią *sui generis* tak dla magnatów, jak i dla plebejuszów, oto zasadnicze elementy Kalderonowskiego teatru. Jak na scenie greckiej panował fatalizm, trzymający w niewoli samych bogów, tak Calderon stworzył świat rycerski, w którym panuje prawo wolnej woli, poruszane zawsze idealnością moralną, katolicyzmu. W tym świecie fantastycznym zawsze zwycięża dobro, wbrew rzeczywistości, gdyż poci hiszpańscy uważają człowieka nie jakim on jest w istocie, lecz jak być powinien, sztukę zaś dramatyczną nie jako dokładne fotograficzne zwierciadło życia społecznego danej epoki lub kraju, lecz jako idealizowanie czynów ludzkich. Idealizm ten stanowi najwybitniejszą cechę klasycznego hiszpanów teatru, a w szczególności Calderona. Dotykając nieraz zagadnień psychologicznych lub filozoficzno-społecznych poeta nie pozwala sobie nigdy na przekroczenie granic, tradycjami lub konwencyonalizmem nakreślonych „Jam nie przyszedł zmieniać lub reformować, lecz być posłusznym.” To też postacie jego komedyi są przeważnie blademi ogólnikami, kreślonymi podług jednego szablonu. Jeśli kobieta, to lwica (muy mujer), jeśli mężczyzna, to awanturnik. Indywidualność bohaterów nie istnieje w obec utartych formułek życia, a miłość ma swe źródło raczej w zmysłach, niż w sercu. Calderon nie maluje człowieka lecz ludzi, i to wyłącznie Hiszpanów. Czy akcja jego komedyi rozgrywa się w niebie czy na ziemi, w Polsce czy w Peru, zawsze i wszędzie sztuka ma koloryt na wskroś hiszpański. Przy monotonii charakterów, cały interes komedyi, spoczywa w bajce, która im bardziej skomplikowana, tém pożądanjsza. Celów etycznych poeta nigdy niema na względzie, biczem satyry nie chłoszcze, wszelako na zawołanie dogmatu religijnego jest przy każdej sposobności. W komedjach jest kunsztowny i poprawny, w autosach żarliwie prozelityczny, w dramatach mistycznych—natchniony. Naturalność i prostota są najrzadszemi przymiotami w komedjach Calderona: niema sztuki, którejby modny wówczas gongoryzm nie zesześcił. To, co powinno wypłynąć z duszy w słowach najprostszych, tu się rozwadnia w długiej tyradzie, która przesadą swoją nas razi.

„O, pan!—mówi Lisardo do Marceli („Dom z dwójgiem drzwi”)—słońce nie byłoby w stanie uprosić, żeby heliotrop nie zwracał się ku jego światłu; gwiazda polarna nie zmusi magnesu, żeby się nie zwracał ku jój stronie, a magnes nie otrzyma tego od stali, żeby jój nie ścigał tak namiętnie. Jeżeli piękność twoja wyrównywa blaskom słońca, to szczęście moje jest szczęściem heliotropu; jeśli obojętność twoja jest obojętnością gwiazdy północnej, mój smutek jest smutkiem magnesu, a jeżeli surowość twoja przypomina surowość magnesu, mój zapal jest równy zapalowi stali. Jakże więc mogę być spokojnym, gdy widzę od-

dalające się odemnie moje słońce, moją gwiazdę polarną i mój magnes, gdy przecież ja jestem helijotropem, magnesem i stałą...”

— Jakto?—pyta Violanta („Trzy kary w jednej”)—pan jeszcze jesteś i tutaj?..

— Niema w świecie ani jednej rzeczy—odpowiada Don Lope—któraby się oddalała od swego środka. Woda, zkażdokolwiek wypływa, zwraca się zawsze ku morzu; kamień spada zwykle na ziemię, bez względu na to, kto go rzucił, wiatr zawsze spotka się z wiatrem, z którąkolwiek strony przychodzi, płomień dąży zawsze ku swojej sferze, bez względu na to, jaka materya go podsyca. Otóż i ja, strumień znikomy, płynę ku morzu trosk swoich; kamień twardy i ciężki wracam do ziemi, ojczyzny ciał ciężkich; atom spragniony mieszam się z wiatrem, który unosi moje nadzieje i słaby promyk światła, biegnę w płomień, który jest sferą mego nieszczęścia. Tym sposobem rozplamieniony jak ogień, spragniony jak atom, błędny jak strumień, ciężki i twardy jak kamień, łączę się z ziemią, morzem, wiatrem, płomieniem!..

Taki to jest język miłości, język serca!.. Nic też dziwnego, że tak rozkochany młodzieniec, znalazłszy się w pewnym oddaleniu od swój lubej, oblewa natychmiast pierwszą lepszą damę kaskadami czczych frazesów w podobnym guście, co mu zresztą poczytywane nie jest za występki.

— I on śmiał się chwalić ze swój stałości—woła z gniewem Beatrix (No siemp re lo pe or es cierto)—on, który się zabijał w Madrycie dla innéj!..

— Co pani chcesz—odpowiada Ineza—żeby robił w Madrycie, tém ognisku piękności, elegancyi, wdzięku, kawaler młody, z dobrej familii, i zakochany, to prawda, ale oddalony od pani swego serca o mil pięćdziesiąt?..

Subtelne obmyślenie intrygi i przeprowadzenie jéj nader kunsztowne, stanowi najpotężniejszą stronę komedyopisarskiego talentu Calderona, któremu wszakże udaje się nieraz nakreślić i charakter po mistrzowsku. Co to np. za świetne wypukłością swoją postacie mieśczanina Crespo i dowódcy oddziału Don Lope (Sędzia Zalamei).

— Dziękuję ci—mówi Crespo do wodza—żeś się wmieszał w tę sprawę, gdyż z pewnością byłbym zgubiony.

— A to jak?..

— Zabijając człowieka, któryby usiłował nas obrazić.

— Przez Boga! czy ty nie wiesz, że on jest kapitanem?..

— Owszem... przez Boga!.. lecz choćby był i generałem, a dotknął mego honoru, zapłaciłby śmiercią!..

— Gdyby ktokolwiek pozwolił sobie zdjąć włosy z głowy mego żołnierza, przez Boga... kazałbym go zaraz powiesić!..

— I ja również, gdyby kto spróbował obrazić mię, powiesiłbym go natychmiast!

— Czy nie wiesz, że w twoim stanie obowiązkiem jest znosić ten cigzar?..

— Tak!.. pieniędzmi, ale honorem—nigdy!.. Jestem gotów oddać królowi majątek i życie; lecz honor jest dziedzictwem méj duszy, a duszę winienem Bogu tylko.

— Ta przekłeta noga nie daje mi spokojności—mówi innym razem Don Lope—zlituj się Boże nademną!..

— Niech się zlituje. Amen—odpowiada Crespo.

— Bodaj mi niebo dodało cierpliwości. Siadaj Crespo.

— Wolę stać.

— Siadaj, proszę cię.

— Gdy pan chcesz tego koniecznie, zgoda; lecz mógłbyś pan nie zwracać na to uwagi.

— Czy nie wiesz, o czém ja myślę, Crespo?.. Oto wczoraj uniosłeś się gniewem.

— Bynajmniej, do tego nic mię nie jest w stanie doprowadzić.

— A więc dla czegoż siadłeś, kiedym cię wcale nie prosił i w dodatku na najlepszym miejscu?..

— A właśnie dlatego, żeś pan nie prosił; to téż dziś nie chciałem uczynić zadość twój prośbie. Tylko grzeczność grzecznością się płaci.

— Wczoraj łajałeś tylko, zionąc przekleństwa, dziś jesteś zupełnie uprzejmy i powściągliwy.

— Odpowiadam zawsze w tym tonie, jakiego do mnie używają. Mam zawsze taką politykę, że klęę z klącym, a modlę się z tym, który się modli; umiem się zastosować do wszystkiego do tego stopnia, że wczoraj nie mogłem zinżużyć oka przez noc całą, myśląc o twojej nodze. Dziś rano czułem nawet, że mię bolą obie nogi, gdyż, będąc w niepewności, na którą nogę pan cierpisz, na prawą, czy na lewą, żeby omyłki nie popełnić, zachorowałem na obie. Otóż bądź pan łaskaw powiedzieć mi, która noga pana boli, żebym nie cierpiał na obie.

Oddając syna do wojska, Crespo mówi do niego przy pożegnaniu:

— Dzięki Bogu, pochodzisz Janie z rodziny uczciwój, lecz plebejskiej. Mówię ci to dlatego, żebyś z jednej strony, nie lekceważąc siebie, starał się dobrymi czynami wznieść wyżej, z drugiej zaś, żebyś nigdy nie zapominał, czém jesteś. Mając przed oczyma te dwa względy, bądź zawsze skromny i roztropny, a nie doświadczysz nigdy przykrości i rozpaczyny dumnych. Bądź grzeczny ze wszystkimi, uprzejmy i szlachetny, gdyż ukłonem i pieniędzmi zjednasz przyjaciół, a lepiej jest być kochanym, niż posiadać wszystko złoto Indyi i wszystkie bogactwa, zamknięte w łonie oceanów. Nie mów nigdy źle o kobietach, nawet o najniższych, wszystkie są godne naszych względów, bo im zawdzięczamy urodzenie. Nie bij się o drobnostki.

Gdy zostawszy alka-dem, kazał uwięzić kapitana, który shańbił mu córkę.

— Obchodź się ze mną z uszanowaniem—wołał dumnie aresztowany kapitan.

— Bardzo słusznie — odparł Crespo z ironią. — A następnie, zwracając się do swoich ludzi, zawołał: odprowadźcie go z uszanowaniem do więzienia, włóżcie mu z uszanowaniem kajdany na nogi i łańcuch na szyję i pilnujcie również z uszanowaniem, żeby nie mógł mówić do żadnego z żołnierzy. Zamknijcie także w więzieniu jego współników, gdyż trzeba będzie ściągnąć od nich zeznania z całym możliwym uszanowaniem. Jeżeli ściągnę dostateczne dowody — dodał zwracając się do kapitana — to przysięgam na Boga, że cię z całkowitym uszanowaniem... każę powiesić!..

Syn Crespa, broniąc swęj siostry, zranił kapitana.

— Jak śmiesz pokazywać mi się po takim czynie — woła ojciec, piastujący godność sędziego.

— Ależ, ojcze, jam był zmuszony koniecznością bronięcia honoru twego i mego.

— Dosyć, Janie!.. Do więzienia z nim!..

— Co to znaczy?.. Tak się obchodzisz ze swoim synem?..

— Gdyby nawet chodziło o mego ojca, nie mógłbym działać inaczej.

Don Lope, dowiedziawszy się o aresztowaniu swego kapitana, z największym oburzeniem opowiada o tém Crespowi.

— Pan chyba nie wiesz — zauważył Crespo — czém jest alkad w swojej wsi.

— Czy w rezultacie jest czémś więcej jak chłopem?..

— Zgoda, ale chłop ten może powiesić kapitana i przez Boga nikt mu nie przeszkodzi!..

— Przeszkodzi!.. przez Boga, i jeśli chcesz się o tém przekonać, powiedz mi, gdzie on mieszka?..

— Niedaleko!..

— Któż to jest?..

— Ja!..

— Przez Boga!.. nie myślałem!..

— Przez Boga! tak jest, jak mówię...

— A więc, Crespo, co powiedziałem, to powiedziałem...

— A więc, panie: com zrobił, to zrobił...

— Przyszedłem uwolnić więźnia i ukarać ten zamach.

— A ja go zatrzymałem w więzieniu za zbrodnię, jaką popełnił.

— Czy nie wiesz o tém, że gdy jest w służbie królewskiej, jam jego sędzią naturalnym?..

— Czy wiesz, że porwał mi córkę?..

— Czy wiesz, że ja jestem panem w téj sprawie?..

— Czy wiesz pan, że ją shańbił w lesie sąsiednim?..

— A wiesz-że, jak daleko sięgają przywileje méj władzy?..

— A wiesz-że pan, żem go błagał, aby naprawił błąd swój, a on odmówił?..

— Przywłaszczasz sobie władzę, która do ciebie nie należy.

-- On przywłaszczył sobie mój honor, który tém więcej do niego nie należy.

-- Zadosyćczynienie mieć będziesz, przyrzekam ci.

-- Nigdy nie zwykłem prosić o to, co sobie sam mogę zrobić..

Komedjom Calderona nie zbywa też wcale i na dowcipie.

-- Co ty tam robisz?.. pytają rozbójnika („Nabożeństwo do krzyża”).

-- Nie widzisz?.. Obrażam Boga w piątym przykazaniu. Ja sam zabiję więcej ludzi, niż dwaj lekarze w największe upały letnie.

Syn prosi ojca o pieniądze, zamiast których otrzymuje naukę.

-- Mój ojczel!..—syn odpowiada—nauka jest godna ciebie i ja ją cenię, lecz pozwól, że w zamian i ja ci radę udzielę: „Nie dawaj nigdy rad temu, kto od ciebie żąda pieniędzy” („Sędzia Zalamei”).

-- Dlaczego nie śpieszysz z otworzeniem, kiedy pukają tak gwałtownie—pyta Maur („Kochać po śmierci”).

-- Nie otwiera się drzwi temu, komu się serca nie otwiera.

W „Chochliku” Don Manuel zaintrygowany szczegółnemi wybrykami tajemniczej damy, pyta Kosmy, co o niej myśleć.

-- Jestto dyabeł-kobieta—odpowiada zapytany—w czém zresztą niema nic dziwnego, gdyż, jeżeli kobieta jest dyabłem przez rok cały, to i dyabeł może raz przypadkiem zostać kobietą!..

-- Bartolo, opowiada Blas w „Nabożeństwie do krzyża,” zaślubił Katalinę, która powiła mu dziecko w szóstym miesiącu małżeństwa. Mąż uradowany, mówił do wszystkich: „A co?.. widzicie!.. inne żony aż dziewięć miesięcy potrzebują, dla mojej i sześć wystarczy!..

-- Widać po jego mowie—zauważyła Helena—że to jest człowiek dobrze urodzony („Dozorca samego siebie”).

-- Tak!.. w istocie—odpowiada Benito—jestem bardzo dobrze urodzony, gdyż mówiła mi matka, że przyszedłem na świat... nogami.

Ten ostatni dowcip jest już, jak na teatr, bardzo nieprzyzwoity, ale zdarzają się nieraz mocno trywialne, jak np.: opowieść Tristana w scenie I aktu I, w sztuce „Szczęście i nieszczęście nazwiska.”

Lope de Vega używał do komedyi najrozmaitszej formy wiersza, Calderon prawie wyłącznie ósmiozłotkowych redondilli; wiersz Calderona, pominąwszy szpetne gongoryzmy, odznacza się harmonią rytmiczną, natchnieniem, potocznością i wdziękiem. O rymy poeta nie dba i wcale się się nimi nie kępuje, przeważnie jednak są one posłuszne mistrzowi.

Calderon jest geniuszem południowym Europy łacińskiej, na katolicyzmie wychowanym, gdy Szekspir ma temperament północny, anglosaksoński i nie znosi żadnego wędzidła, prócz tego, które nałożył sam na siebie. Calderon jest przede wszystkim teologiem: Szekspir jest zawsze psychologiem; tamten nigdy nie przestaje być hiszpanem, ten zawsze być musi kosmopolitą. Calderon jest ideologiem—Szekspir to najromantyczniejszy z realistów i najrealistyczniejszy z romantyków. Pierwszy uosabia abstrakcyę; drugi stwarza ludzi z krwią i ciałem.

Lope de Vega, Tirso de Molina, Alarcon i Calderon, ci najznakomitsi reprezentanci hiszpańskiej sceny, wzajemnie się dopełniają tak, że przyznanie temu lub innemu pierwszeństwa, zależy od punktu widzenia. „Kto w poezyi, mówi słynny romansista, szuka przede wszystkim zwiercia dla świata zewnętrznego z całą jego różnorodnością nieskończoną, ten znajdzie swój ideał w Lope de Vega; dla kogo wysoki polot fantazyi z cudownym darem słowa stanowią najpierwszy przymiot poety, temu Tirso de Molina największym się wyda. Jeżeli dar świetny charakterystyki, połączony z powagą i szlachetnością pojęć uchodzić może za główną podstawę poezyi, to Alarcon odpowie temu wymaganiu najwięcej. Jeżeli kto wreszcie wymaga od poety, nie tylko mistrzostwa formy, lecz i odtworzenia najwyższych momentów bytu i najtajniejszych załamów serca ludzkiego, ten przyzna palmę pierwszeństwa Calderonowi, naturalnie z zastrzeżeniami bardzo licznemi ¹⁾.”

VII.

Calderon w Polsce, dzięki swemu charakterowi religijno-romantycznemu jest więcej znany, niż inni komedyopisarze hiszpańscy i on też miał najwięcej tłumaczy, na scenę wszakże, o ile wiemy, nie dostał się dotąd ani razu. Te wiadomości jednak, jakie mamy o Calderonie, są w ogóle i bardzo późne i wielce niedokładne, gdyż zazwyczaj czerpane z trzeciej ręki. Wojciech Bogusławski, który tyle utworów dramatycznych z obcej literatury przyswoił polskiemu teatrowi, do Calderona nie uciekł się ani razu; a w swoich „Dziejach teatru narodowego” nie czyni o tym poecie najmniejszej wzmianki.

Jak mało był znany Calderon w Polsce XVIII wieku, dowodzi praca Krasickiego „O rymotwórstwie i rymotwórcach,” w której czytamy: „Piotr Calderon de la Barca, kawaler orderu ś. Jakóba Hiszpanii, pisarzem był rozmaitych komedyi, które dotąd na teatrach hiszpańskich grywane bywają. Obfitego pisarza dzieła w 15 tomach z druku wyszły w roku 1689” i... ani słowa więcej. Ta czterowierszowa wiadomość o wielkim pisarzu, wystarczała nam aż do roku 1826, w którym z funduszu Sapieżyńskiego wydrukowany był we Lwowie „Lekarz swojego honoru, tragedia w pięciu (!) aktach z dzieł Don Pedra Calderona de la Barca, przez J. N. Kamińskiego dla teatru polskiego przerobiona.” Przeróbka ta nie daje najmniejszego wyobrażenia o oryginalu, który tu został do niepoznania przekształcony. Trzy akty rozwiniono w pięciu za pomocą dodatków arcy błędnych i niefortunnych; koniec zaś, rażąco widocznie uczucia etyczne tłumacza, jest całkowicie przekształcony, bo gdy w oryginalu Don Gutierrez, zabiwszy Mencę, żeni się z Leonorą, której rękę od samego króla otrzymuje—w tłoma-

¹⁾ Leopold Schmidt Ueber die vier bedeutendsten Dramatiker der Spanier. Bonn, 1858, p. 22.

czeniu król aresztuje mordercę żony, który, pod wpływem wyrzutów sumienia, odbiera sobie życie.

Żeby czytelnikowi dać pojęcie, w jaki to sposób Kamiński z trzech aktów pięć zrobił, przytoczę jeden ustęp w dosłownym przekładzie własnym i w tłumaczeniu Kamińskiego.

U Calderona Don Henryk mówi: Miłości, weź mię w opiekę!.. Niech te krzewy gęste skryją mię przed oczyma ludzi. Nie ja pierwszy pod cieniem tych liści zielonych szukam schronienia. Niech mię tłómaczy przykład Akteona i Dyjany!.. (Akt II, scena I); u Kamińskiego zaś:

Don Enryko: Jakąż to skryta moc zachwycenia
W méj tęsknej piersi ogień roznieca?..
Najśodsze czucia budzi z uśpienia,
Posępnej głębi jasno przyświeca!..
Kiedy przeczucie, ptód omamienia,
Takięj rozkoszy rozlewa zdroje,
Jakże znieść zdołam pocisk spojrzenia,
Którym jęj oczy uderzą w moje?
Jeszcze nie słyszę wdzięcznych ust głosu,
Już myśli polot żywi nadzieję:
Na rozkosz niebian nie zmienię losu,
Gdy stódki podźwięk w duszę przeleję
Przyjmcie mię drzewa pod wasze cienie.
Roztocz się gęsto liściu zielony,
Niech ujrzę gwiazdy błogie promienie,
Niemi napoję mój wzrok stęskniony.

W cieniach się waszych krył Akteon tkliwy,
Gdy swemu bóstwu niósł serca ofiarę;

Niech z nim podzielam i rozkosz i karę:

Drzewa! dozwólcie niech będę szczęśliwy! (Akt wtóry, scena II).

I taką to wodą ciepłą wypęczył dramat Calderona, do 5-ciu aktów. W obec tego dziwić się należy, jakim sposobem utarło się u nas przekonanie, że Kamiński tłómaczył Calderona.

A jednak ta licha przeróbka „genialnego mowo-badacza, mędrca i wieszczą” (ho tak współcześni nazywali Kamińskiego), dała pobudkę do poznania się bliżej z Calderonem. Jakoż pierwszy E. Dębowski dał obszerniejszą wiadomość o tym pociew „Przeglądzie naukowym” z roku 1842. Czy ta rozprawka mogła dać jasne pojęcie o charakterze hiszpańskiego dramaturga, niechaj odpowie na to pytanie ustęp ze wzmiankowanej pracy, który dosłownie przytaczam: „W związku z poprzednikami w swoim zawodzie Calderon wielkie położył zasługi, wznosząc wiedzę umniczą do bezwzględnej samowiedzy w podmiotowości uczuciowego okresu dramatycznej poezji” (str. 423). Ponieważ zdawało się Majorkiewiczowi, i słusznie, że Calderona należy przedewszystkiem oceniać, jako pisarza religijnego, a tój właśnie strony twórczości jego Dębowski wcale nie poruszył; sądził więc, że trzeba pracę Dębowskiego uzupełnić i w tym celu napisał artykuł p. t.: „Religijność w poezji

Calderona." Na nieszczęście jednak Majorkiewicz nie owładnął przedmiotem jak należy i obraca się tylko w sferze tak bladych ogólników, jak „Lope de Vega suwory, nieokrzesany, Calderon okwity, jak Sofokles i jak on genialny i światowy” ¹⁾, z których widać, że pisząc o Calderonie... wdał się w nieswoje rzeczy.

W roku 1858 wyszedł w Poznaniu tom I „Wyboru dzieł Calderona,” w którym Karol Baliński podał tłómaczenie „Kochanków nieba,” gładkie, ale zanadto wolne. Oto co pisze sam tłómacz w dedykacji do Ludwika Nabelaka: „Wszystkie słowa niegodne Calderona, jako złe uczynki, które on sam dziśby niezawodnie zagładził, gdyby to było w jego mocy, usunąłem z jego dzieła; wszelkie zaś myśli zacne, prawdziwe, pomocne, lecz dla nawału pracy, którą był obarczony, niewykończone nieraz, a czasem ledwie napomknięte, usiłowałem, ile było w mojej mocy, rozwinąć i wykończyć (str. XI). Że po takich operacjach „usuwania, rozwijania i wykończania,” Calderon musiał stracić na swojej indywidualnej fizygnomii, tego zapewne dowodzić nie potrzeba. Tłómaczenie to, jeszcze w rękopisie będące, Baliński posłał do oceny Zamostowskiemu (Retlowi), gruntownemu znawcy literatury hiszpańskiej, który, wskutek tego, pragnąc zapoznać bliżej społeczeństwo nasze ze skarbami dramatu hiszpańskiego, przysłał z Paryża do Gazety Warszawskiej w roku 1858 wyborne listy w tym przedmiocie; z niewiadomych mi wszakże przyczyn pięknej téj pracy autor do Calderona nie doprowadził, a więc i o tłómaczeniu Balińskiego sądu nie wydał. W tym samym roku ukazało się w Bibl. Warsz. studyum o Calderonie, szerszych rozmiarów. Autor jego, Bolesław Wiktor, zna niewątpliwie przedmiot, zbyt jednak niewolniczo trzyma się Schacka. Temu samemu pisarzowi literatura nasza zawdzięcza przekład „Czarno-księżnika” ²⁾.

Prawdziwym klejnotem poezji jest przekład „Księcia niezłomnego,” wspaniały, choć trochę za fantastyczny. Wyszedł on, jak wiadomo, z pod pióra nieśmiertelnego Juliusza. Bodajbyśmy mieli więcej takich przekładów! Nakoniec „Sędziego Zalamei” przełożył na język polski Edward Chłopicki. Więcej przekładów z Calderona literatura nasza nie posiada.

Na zakończenie dodać musimy, że ku uczczeniu Calderona w dwóchsetną rocznicę jego śmierci, odbyła się w zeszłym miesiącu w Madrycie nader wspaniała uroczystość, a monografie o tym pisarzu posypały się licznie tak w Hiszpanii, jak i gdzieindziej ³⁾. Najlepsza

¹⁾ Pisma pomniejszych Jana Majorkiewicza. Część I. Warszawa, 1852, str. 349.

²⁾ Bibl. Warsz., z r. 1860.

³⁾ Oprócz wzmiankowanych prac Angela de la Vegi i Aloantary Gascii, wyszły świeżo w Madrycie „Himenaje a don Pedro Calderon de la Barca en el segundo contenario de su muerte,” por D. Maria Leon Carbonero y Sol y Meras; „Himno y Glosas a Calderon de la Barca para las solemnidades y fiestas

ilustracya madrycka przy Nr. XIX swego pisma cały dodatek o 20-stu stronicach poświęciła wyłącznie Calderonowi. Są tu ody, artykuły krytyczne, aforyzmy, a wreszcie wspaniałe ilustracye konkursowe kilku scen z Calderońskiego teatru. Pomiedzy poetami, którzy za napisanie ody na cześć Calderona otrzymali w skutek konkursu medal złoty, wspomnieć należy Platona Kosteckiego, literata mieszkającego we Lwowie, którego odę — cokolwiek skrópowaną pospolitą rytmicznością w pierwszych strofach — drukowały „Kłosy,” a za niemi i inne pisma. Trzeba przyznać że Hiszpania geniuszów swoich czcić umie; jestto piękne świadectwo szlachetnych uczuć każdego historycznego narodu.

de su segundo centenario,” por D. Roman Biel. „Bibliografia poliglota de Don Pedro Calderon de la Barca” por el Liceo artistico literario de Grauada „Patria, amor, honor y fe” por. D. Fernando Martinez Pedrosa. W Niemczech świeżo opuściły prasę: „Calderon de la Barca sein Leben und seine Werke,” von dr. Johan Fastenroth; „Goethe und Calderon,” von dr. Edmund Dover i tegoż pisarza „Die Calderon-Literatur in Deutschland. Bibliografische Uebersicht.“ 1881.

O ARCHITEKTURZE U OBCYCH I U NAS.

UWAGI ZE STANOWISKA ESTETYCZNEGO.

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

O istocie architektonicznych stylów.—Cechy architektury u Greków i Rzymian.—Wpływ otoczenia na wytwarzanie się form nowych.—Budownictwo romańskie i bizantyńskie.—Natura i różne odmiany stylu ostrołukowego.—Odrodzenie się we Włoszech form rzymskiej architektury.—Cinque cento.—Losy włoskiego budownictwa w krajach północnej Europy.—Styl jako wyraz współczesnych stosunków i wytwór zbiorowych usiłowań.—Warunki jego rozwoju.—Fałszywe drogi.—Schinckel i jego szkoła.—Helleński renesans w Berlinie.—W czém należy naśladować wzory greckiego budownictwa.—Wpływ nowych potrzeb i wynalazków na wytworzenie się nowych architektonicznych form i stylów.—Pierwsza wystawa powszechna w Londynie.—Paxton, wynalazca architektury ze szkła i żelaza.—Halles Centrales w Paryżu.—Jałowe usiłowania Niemców w celu odrodzenia architektury.—Ludwik Bawarski i jego eksperymenta.—Niewczesne próby jego następcy Maksymiliana II stworzenia nowego stylu.—Znaczenie dobrej miejscowej tradycyi dla rozwoju budownictwa.—Król pruski Fryderyk Wilhelm i jego budowlana działalność.—Powody ożywienia się ruchu budowlanego w Berlinie za dni naszych i zwrot ku lepszemu.—Współczesna architektura Paryża i Wiednia.—Ogólne cechy XIX wieku i odbicie się ich w architekturze.

I.

Kształtowanie się stylów i charakter współczesnej architektury.

Najbliższe otoczenie człowieka jest zawsze miarą jego upodobań, obyczajów i skłonności, pozwalającą do pewnego stopnia wnioskować o jego fizycznej i umysłowej naturze. Najwybitniejszym atoli, najcharakterystyczniejszym może szczegółem tego otoczenia, jest niewątpli-

wie samo mieszkanie człowieka, dom, który ku swój wygodzie pobudował. Jak skorupa mięczaka przez siły przyrody do jego potrzeb urobiona, już samym swoim kształtem, wewnętrznymi szczegółami, barwą i całą powierzchownością świadczy o naturze istoty, której za schronienie służy; tak z rozkładu i zewnętrznej postaci budowli, a nawet z wybranego na nie miejsca, czerpiemy wskazówki co do bytu materialnego i stopnia uspołecznienia ludu, który je stawiał. Szczególniej téż interesującymi pod tym względem są budowle wznoszone w celach ogólnych, publicznych, jako będące wyrazem potrzeb zbiorowych, przez cały ogół zarówno odczuwanych.

Odkrywane w skałach jaskinie, wydrążone z wielkim mozółem, jakoteż resztki budowli nawodnych, świadczą dziś dowodnie, że znikłe od niepamiętnych wieków z oblicza ziemi przedhistoryczne plemiona, co w nich schronienia przed dzikimi zwierzętami i dzikszymi jeszcze ludźmi szukały, wiodły ciężki żywot pod nieustanną grozą wojny i napadu; gdy przeciwnie, z rozsypujących się resztek budowli okazałych, zachowujących jeszcze ślady rozkładu i okien, odgadujemy łatwo, że w rozwidnionych wesoło słonecznym światłem ich wnętrzach upływało życie wygodne, dostatnie i bezpieczne. Pojmujemy różnicę, jaka zachodzić musiała w warunkach i trybie życia między ludźmi, co zakładali swe siedziby w głębi niedostępnych lasów i bagnisk, a tymi, co czepiali je na wyniosłych wzgórzach, z kąd niby ptaki drapieżne spadali ze swemi drużynami na rozpościerające się u ich stóp równiny, łupiąc je i trzymając w grozie i posłuszeństwie osiadłą na nich ludność. Inaczej wyobrażamy sobie obyczaje ludu, co budował sobie miasta w punktach sprzyjających handlowi morskiemu, a tego, co osiadał w żyznych, zroszonych rzekami dolinach, lub tułał się z trzodami po pustyniach i stepach. Z przetrwałych do dziś resztek murów dowiadujemy się, czy lud, co je dźwignął, miał jedynie na celu zadośćuczynienie swym najbezpośredniejszym przyczynom, czy téż, łącząc piękne z pożytecznym, złożył w nich dowody wyższej kultury. Sam np. kierunek piramidy Cheopsa świadczyłby już o pewnych spostrzeżeniach astronomicznych Egipcyan, gdybyśmy z kądinąd nie posiadali o nich wiadomości.

Sposób, w jaki człowiek stawia swe budowle, pozostaje w najściślejszym związku z rodzajem i stopniem jego kultury i całą masą warunkujących ją różnorodnych czynników. Pierwotna prostota obyczajów, lub pomnożone wskutek wyższej oświaty potrzeby i wymagania życia; klimat kraju łagodny lub surowy; główne zatrudnienie ludu i tryb jego życia; dalej, kult religijny i przyroda zamieszkiwanego ziemni obszaru, który dostarczać może różnego do budowy materiału, jak: kamień, marmur, drzewo, glina i t. p.: wszystkie te okoliczności wywierają wpływ na sposób stawiania mieszkań i publicznych budowli.

Od różnego ugrupowania się w różnych czasach i u różnych ludów, wspomnianych wyżej i wielu innych czynników, których listę trudno byłoby wyczerpać, zawisły różne systemy konstrukcyi, różne metody i formy budownictwa; te zaś, przy współdziałaniu twórczego geniu-

szu narodów, w dalszym rozwoju złożyły się na wykształtowanie licznych architektonicznych stylów.

Niewymyślny czworoboczny budynek drewniany, nakryty zwyčajnym dachem o dwóch spadkach, otoczony zewnątrz wbitemi w ziemię drewnianymi słupami, które podpierając belkowanie, tworzyły zarazem pożądane podcienie, zabezpieczające od palącego słońca Hellady, przekształcał się z biegiem czasu, zmieniał w miarę postępów techniki i uszlachetnienia się smaku, swą pierwotną postać, a ostatecznie, przy zastąpieniu drzewa marmurem, przedzierzgnął się w tak imponujące piękne dzieło architektury jak Partenon Ateński, będący wzorem dorzyckiego stylu.

Zdarzało się przecież, że ten lub ów naród, nie wyrobiwszy sobie jeszcze własnych prawideł budowania, lub nie będąc zadowolonym z wyników osiągniętych własną na tém polu pracą, chwycił się wytworzonej przez oświeceńszych sąsiadów metody budowania i przyswajając sobie ich architektoniczne zasady, przeszczepiał na swą ziemię sztukę, powstałą w warunkach mniej lub więcej odmiennych od tych, jakie jego rodzinny kraj przedstawiał. Atoli przeniesiona w ten sposób na obcy sobie grunt architektura, stosując się do nowego otoczenia, traciła z czasem swe pierwotne znamiona, zmieniając stopniowo formy, a w ostatecznym rezultacie odbiegała tak daleko od swych wzorów, iż trudno nieraz doszukać się wyraźnych cech powinowactwa pomiędzy taką odrosłą a głównym pniem, z którego swój początek wzięła.

Zaprzątnięty całkowicie sprawami publicznymi i polityką starożytny Rzym zapożyczył od artystycznej Grecji gotowych form budowlanych; w stosowaniu ich atoli do swych potrzeb, niebawem od helleńskich odstąpił tradycyi. Obok świątyn zaczął wznosić pałace, łaźnie, cyrki, amfiteatra, łuki tryumfalne, wodociągi i t. d., co architekturę, której typem była grecka świątynia, na świeckie wprowadziło drogi i znacznie pierwotny jój charakter zatarło. Surowego a trzeźwego umysłu Rzymianin, we względzie artystycznego uczucia, zamiłowania piękna, nie dorównał nigdy wykształconemu estetycznie Grekowi. Z architektury, którą namiętnie polubił, uczynił on służebnicę swój ambicyi; nie chodziło mu téż w nią bynajmniej o miarę, logikę i jasność—konieczne żywioły wszelkiego architektonicznego piękna; pragnął on natomiast aby wznoszone przez niego budowle imponowały wymiarami, przepychem, żeby były niejako wyrazem i świadectwem jego bogactw i potęgi. Atoli samo już zastosowanie sklepienia, do którego mu wzór budowie Etrusków nastreczyły, pozwoliło na szersze rozwinięcie konstrukcyi, i to na zgoła odmiennych zasadach. A chociaż nowsze badania wykryły, że przypisywana Rzymianom zasługa wprowadzenia sklepienia do architektury nie jest uzasadnioną, ponieważ już u Greków i Egipcyan spotykają się jego ślady; tém niemniej przecież prawdą zostanie, że Rzymianie pierwsi je zastosowali na szerszą skalę i jego konstrukcyę udoskonali. Naturalnie, przekształcone tak formy greckiego budownictwa, pod ręką Rzymianina straciły wiele na swój

rodzimiej czystości, szlachetności, wydając styl niemal zupełnie odrębny, który nazwę rzymskiego otrzymał. Rozniesiony przez rzymskich kolonistów po całym obszarze cesarstwa, a w późniejszej dobie zastosowany do budowy chrześcijańskich kościołów i do ich potrzeb nagięty, wydał on różne odmiany stylu romańskiego; a nawet kopulasty styl bizantyński, którego cechy świadczą wyraźnie, że się pod wpływem fantazyi Wschodu wyrobił i który w swych ostatecznych konsekwencyach tak mało do rzymskiego jest podobny, z niego też niewątpliwie wypłynął.

Ale nie trudno i o inne przykłady przenoszenia się stylów i przybierania przez nie cech odpowiednich do warunków nowego otoczenia. Oto widzimy na północy Europy kiełkującą w XII wieku całkiem nową architekturę, która jeśli wchłonęła w siebie pierwiastki innych stylów (romańskiego, maurytańskiego), tak je w swoim organizmie przetrawiła i na co innego urobić umiała, że ją pod każdym względem za samorodną, oryginalną architekturę ludów północnej Europy uważać musimy. Każdy odgadnie, że mowa tu o stylu ostrołukowym. Wkrótce po swém powstaniu zapanował on w całym katolickim świecie, chociaż nie wszędzie w jednakićj ukazuje się postaci i nie zawsze te same wydaje owoce. Pod pogodnym niebem Italii, w której tak silnie odzywa się jeszcze echo rzymskiej przeszłości, gdzie mieszkaniem na każdym niemal kroku spotyka sędziwe jej pomniki, architektura ta nie zapuściła nigdy głęboko korzeni; była tu ona zawsze czémś obcém, nienaturalném, sztuczném, czémś będącém w sprzeczności z naturą kraju i jego mieszkańców. Spostrzegamy téż w kościołach i budowlach świeckich, zbudowanych we Włoszech w stylu ostrołukowym, jak przyrodzona mu dążność do wzlatywania w górę wysokimi wieżami, wysmukłemi iglicami i słupami, zanikać się tu zdaje; jak natomiast w konstrukcyi i ornamentacyi zaznacza się dobitnićj linia pozioma, będąca reminiscencyą dawniej rzymskiej architektury i niejako antytezą gotyckiego stylu. Bujnićj się on rozwija w Hiszpanii, ale i tu te same, co we Włoszech, powody tamują jego polot. Nawet we Francyi, chociaż tu była jego kolébka, nie czuł się on zupełnie na właściwym dla siebie gruncie, w rozwoju swym nie pokonał nigdy zupełnie linii poziomćj. Bo w krwi mieszkańców téj dawniej rzymskiej prowincyi, jak w ich języku, tkwiły aż nazbyt jawnie rodowe pierwiastki romańskie, co sprawiało, że i duchem czuli się oni bliżej spokrewnionymi z ludem Italii, niż z podźwigniętymi świeżo z barbarzyństwa szczepami reszty Europy. Ostrołuk naprawdę zakwitł dopiero w Anglii i Niemczech, gdzie w wspaniałych, strzelających pod obłoki katedrach, największe wydał cuda. Widzimy dalćj, jak w krajach południowych budowle gotyckie przystrajają się w misternie rzeźbione, marmurowe koronki i kwiaty, jak natomiast w krajach bardzićj na północ wysuniętych, gdzie surowy klimat kazał rachować się z masą spadającego deszczu i śniegu, zwracają na wewnątrz całe swe ornamentacyjne bogactwo, zachowując na

zewnątrz kształty poważne, surowe, jako lepiej mogące oprzeć się nieprzyjaznym wpływom powietrza. Jeszcze poważniejsze i surowsze formy, tak wewnątrz, jak zewnątrz, przybrał on tam, gdzie, jak w Niemczech północnych i Polsce, brak marmurów zniewalał do używania przeważnie cegły do budowy, co znowu pewne zmiany w szczegółach konstrukcyi spowodowało, a ostatecznie i w ogólnej postaci stawianych u nas kościołów i gmachów odbić się musiało, wytwarzając nową tego stylu odmianę.

Kiedy mowa o powstawaniu i przeobrażaniu się, pod różnemi wpływami, architektonicznych stylów, niepodobna pominąć przykładu, jaki w tym względzie przedstawia architektura odrodzenia. Wspomniałem wyżej, jak budownictwo ostrołukowe nigdy się we Włoszech naprawdę nie przyjęło; dodać tu muszę, że owszem, reakcja, jaką tu w końcu wywołało, przyczyniła się niemało do uznania potrzeby innych form architektonicznych, odpowiedniejszych naturze kraju i nastrojowi umysłów ówczesnych Włochów, których zamięłowanie w skarbach klasycznej literatury i sztuki z każdym dniem rosło. Gotowych wzorów nastroczały walące się gmachy starożytnego Rzymu, a w dalszém źródle zabytki klasycznej Greków architektury. Zawróciła więc do nich z zapałem fantazyja artystów-budowniczych. Atoli twórczy geniusz wyzwalał się z krępów średniowiecznych i zakwitającego narodu, teźnął w te formy dawno zamartłej przeszłości nowego ducha: tak zwany renesans nie był już dawniej rzymskiej architektury wiernym powtórzeniem, lecz jakby, po długowiekowej przerwie, nowym w jej rozwoju okresem. Genialni artyści badali dawne formy, wnিকali w nie, przyswajali je sobie i pochwyciwszy za wątek zerwanej tradycyi, snuli go dalej samoistnie, twórczo, z baczeniem na potrzeby i wymagania nowego życia, tak nieskończenie różnego od dawnego. Artystyczny instynkt, uczucie piękna i miary, były jedynymi ich kierownikami w wyszukiwaniu dawnych form i motywów dla nowych celów. Łuk okrągły odzyskał swe prawa, których, mówiąc nawiasem, nigdy we Włoszech zupełnie nie stracił. W różnych miastach odradzającej się Italii, za sprawą znakomitych mistrzów Cinque-Cento, powstały różne odcienia téj nowej architektury, która dla pomysłowości artysty, dla jego wynalazczego ducha, szerokie otwierała pole. Świątynie i pałace stawiane w tym stylu odrodzenia, przystrajały się zewnątrz gustownie występami, rzędami kolumn i arkad, uwieźlami w ścianie półslupami, balustradami, atlantami i t. p. Większy jeszcze przepych rozwinęły w swych strojnych wnętrzach, których sklepienia i sufitry pokrywały się świetnemi malowidłami, ujętymi w bogatą, złożoną oprawę, lub ozdobione sztukaterią, zdawały się sypać kwiatami z wytwornie rzeźbionych kassetonów. Szerokie, jasne, powabne, budowle te śmiały się tym samym pogodnym wdziękiem, co otaczająca ich uroczą italską przyrodę; miały w sobie coś z téj samój słonecznej wesołości nieba, na którego szafirówóm tle rysowały się ich wdzięczne sylwety.

Właściwie mówiąc, uie wytworzył się tą drogą styl ściśle określo-

ny, skryształizowany na wzór stylów greckich, polegający na ustalonych regułach, niewzruszonych podstawach; owszem, można rzec, że powstało naraz, lub w krótkim czasie przeciągu, tyle rozmaitych jego odmian i odcieni, ilu było znakomitszych mistrzów, co w nim swe architektoniczne pomysły wcielali. Tak więc wytworzony z motywów klasycznych włoski renesans, stał się architekturą w pełnem słowa znaczeniu żywotną, narodową, z miejscowych tradycji i wzorów czerpiącą swoje pierwiastki i najzupełniej odpowiadającą wymaganiom klimatu i estetycznym pragnieniom mieszkańców.

Nie zamknęło się jego panowanie w granicach ziem włoskich; znalazł on chętne przyjęcie i w innych krajach, osobliwie też zamieszkałych przez ludy romańskiego szczepu. Najsilniej atoli zakorzenił się we Francyi, gdzie ukazał się w nieco odmiennéj postaci, znanéj pod nazwą francuzkiego renesansu. W Anglii, Polsce i Niemczech, i w ogólności w krajach północnéj Europy, dokąd również jako pożądana nowość, wprowadzony był przez Włochów, których pod owe czasy przywilejem było dostarczać architektów całemu ucywilizowanemu światu, nie znalazł odpowiednich dla swego rozwoju warunków. Mniej pogodna z natury, ku religijnemu mistycyzmowi zwrócona fantazya ludów północnych, nie zapalała się zbyt żywo zmysłową pieknością; estetycznie rzecz biorąc, nie łączyło jéj żadne bezpośrednie ogniwo z plastycznymi ideałami pogańskiego świata, które odrodzenie wskrzesiło; z drugiéj znów strony i sam klimat, tak od włoskiego odmienny, stawiał tu swoje surowe wymagania, którym obcy renesans nie umiał, czy nie chciał zadość uczynić. Mimo więc mnóstwa wspaniałych kościołów, gmachów publicznych i pałaców, wzniesionych w krajach północnéj Europy, przez włoskich po większej części budowniczych, nowa ta, nie uwzględniająca ani warunków klimatycznych, ani rzeczywistych potrzeb mieszkańców architektura, nie zdobyła nigdy tak silnéj podstawy, jak u Włochów i innych ludów romańskiego szczepu. Krzewiciele jéj nie uważali za właściwe stosować się do wskazówek miejscowego budownictwa; chociaż to ostatnie, jako będące owocem długowiecznych doświadczeń, powinno im było wskazać miarę i granicę, poza którą nie należało się posuwać w pracy około zaaklimatyzowania form obcych. Tak wprowadzony, niejako z góry, do Polski, Niemiec i Anglii i pielęgnowany sztucznie włoski styl odrodzenia, nie posiadał z powodów wyłuszczonych dosyć żywotności, by się samoistnie dalej rozwinąć; był więc tylko mniej lub więcej wierném odbiciem się różnych przeobrażeń, jakie w XVI, XVII i XVIII wieku we Włoszech i Francyi przechodził (Baroco, Rococco).

Z powyższych uwag nad różnemi stylowymi odmianami architektury, przychodzimy do uzasadnionego wniosku, że, na podobieństwo organizmów, powstawały one, krzewiły się i rozwijały, lub karłowaciały i zanikały, stosownie do warunków otoczenia; że nie bywały wynikiem kaprysu, lub wyrazem zmiennéj, przelotnéj mody; że początek swój brały nie w pomyśle jednostki, lecz były owocem zbiorowych usi-

łowań, w granicach ścisłej od danych warunków zależności, jakkolwiek zaprzeczyć się nie da, że znakomici architekci wielce się do ich ukształtowania przyczynili. Powtarza się tu mniej więcej to samo, co w zakresie języków: żaden z nich nie wyszedł z głowy uczonego, żaden nie zawdzięcza swego istnienia pomysłom pisarzy, jakkolwiek działalność tych ostatnich zawsze potężny wpływ na ich rozwój wywierała. Jak w płody piśmiennictwa, tak i w te uporządkowane według jednej przewodniej myśli marmury i granity, w te spiętrzone symetrycznie masy cegły i drzewa, wsiąka część ducha, co daną epokę, dany lud ożywia, tężeje w nich, krystalizuje się i pozostaje dla potomnych plastyczną ilustracją dawno przebrzmiałych czasów i stosunków. Dosyć o naturze stylów.

Nie posunę się zadaleko, twierdząc, że jeśli architekci danego kraju w budowie domów i gmachów publicznego użytku uwzględniają należycie rodzące się potrzeby, jeśli starają się o to, by odpowiadały swemu celowi, jeśli rachują się z wymaganiami klimatu i naturą materiału, jaki mają do rozporządzenia; jeśli, dalej, w konstrukcyi rządzą się ścisłą logiką i pojedynczym członkom budowli nadają stosowne do ich funkcji przeznaczenie; jeśli nareszcie w kształtowaniu form czynią zadość wymaganiom proporcji, symetrii i estetycznej równowagi, zaś piękna architektonicznego szukają nie w czczej, przyczepionej luźno ornamentacyi, lecz w harmonii mas i linii: usiłowania ich muszą doprowadzić koniecznie do wytworzenia się stylu, mniej lub więcej oryginalnego, i już dlatego samego miłego dla oka, zadawalającego estetycznie, słowem pięknego, że zalecającego się logiką, prostotą i ścisłem do przyrodzonego otoczenia zastosowaniem. Na tój to właśnie prostocie i logice konstrukcyi, uwidocznionej na zewnątrz, polega przedewszystkiem jasność i nieporównana piękność starogreckich budowli, które z tego względu powinny być zawsze wzorem dla budowniczych.

Gdy powiadam wzorem, nie należy przeto rozumieć, że stawiam formy klasycznego Greków budownictwa za jedyny ideał architektonicznego piękna, poza których granicami byłoby daremnem go szukać. Wprawdzie i takie przekonanie miało swego czasu obiegową wartość między architektami i to bardzo nawet znakomitymi. Sławny Schinkel (1781—1851) wszystkie swoje usiłowania zwrócił ku temu, żeby wskrzesić w całej ich czystości formy helleńskiego budownictwa. Liczne gmachy, wzniesione przez niego w Berlinie, pod szarém, chmurnym niebem Północy, w otoczeniu tak zgoła odmiennem od tego, jakie im w Grecyi za tło służyło, zaiste smutne robią wrażenie. Te półcieńca, kolumnady, perystyle i t. p., przypruszone śniegiem przez większą część roku, pozbawione słońca tak nieodbitcie im potrzebnego, bez praktycznego zastosowania, stoją tu wśród obcej sobie atmosfery, niby powstałe z dziejowego grobu widmo greckiej architektury, ciepła i życia pozbawione, z wyraźnem piętnem martwości na obliczu. A ów Schinkel, dodać tu muszę, uchodził w swym czasie i uchodzi jeszcze, naturalnie przedewszystkiem u Niemców, za architekta genialnego, za nie-

zinierną w rzeczach budownictwa powagę. Pociągnął on tłumy naśladowców na wybraną przez siebie błędną, chorobliwą drogę, a chociaż od zejścia jego z widowni trzydzieści lat minęło, wpływ jego szkoły jeszcze się silnie czuć daje między dzisiejszymi berlińskimi architektami.

Otóż stawiając greckie budowle za wzór dzisiejszym budowniczym, nie miałem bynajmniej na myśli podobnego onych naśladowania. Takie zaparcie się własnego duchowego jestestwa, takie niewolnictwo myśli, jakiego nam daje przykład Schinkelowska, rzekomo helleńska szkoła, musi koniecznie zabić wyobraźnię twórczą artystów, którym stawia tak ciasne rogatki. Nie zapominajmy, że sztuka prawdziwa, rozwijająca się zdrowo, jest zawsze i być musi oryginalną; że architekci naśladowujący niewolniczo obce formy, przestają być twórczymi, a ich budowlane dzieła, jako nie będące objawem samodzielnej myśli, lecz wytworem erudycyi i zimnego eklektyzmu, pozostają bez wpływu na sztukę, albo raczej oddziałują na nią ujemnie. Właśnie Berlin, ze swym t. z. helleńskim renesansem w architekturze, najdowodniej to stwierdza. Nie o takim też naśladowaniu mówię.

Ale budowniczy może i powinien mieć wzorowe klasyczne budowle przed oczyma, czerpać z nich praktyczne wskazówki, kierować się nimi umiejętnie przy tworzeniu i urzeczywistnianiu swych pomysłów, a z tém wszystkiém nie wyrzekać się twórczości, nie naśladować niewolniczo kształtów przez klasyczną starożytność przekazanych. Mówiąc jaśniej: naśladować ma on właściwie metodę, jaką się greccy architekci kierowali, postępować temi samymi co oni drogami, przestrzegać tak jak oni logiki konstrukcyi, brać przykład z ich wstrzemięźliwości w ornamentacji: słowem, ma tworzyć według tych samych, co oni, zasadniczych prawideł. Stawiane przez nas gmachy mogą równie dobrze odpowiadać swemu przeznaczeniu, harmonizować z otoczeniem, zalecać się nie mniejszą logiką konstrukcyi i form jasnością, a mimoto, nawet właśnie dlatego samego, nie odtwarzać architektonicznych form greckich budowli, lub posługiwać się ich motywami o tyle tylko, o ile się takowe z ogólnym planem tak pojętej budowli pogodzić dadzą.

Zwróćmy się do przykładu, który najlepiej tę rzecz wyjaśni. Oto wielki w naszych czasach wzrost produkcji żelaza wpłynął na rozleglejsze, niż przedtém, zastosowanie go w przemyśle i rolnictwie i spowodował wprowadzenie go na szerszą skalę do konstrukcyi gmachów. Architekt może go użyć, między innemi, z dobrym skutkiem na podpory i podtrzymujące sklepienie lub belkowanie filary, mając po swój stronie taką samą zupełnie słuszność, jak owi greccy mistrzowie, co je z drzewa obrabiać, lub ciosać z marmuru kazali. Naturalnie, nie potrzebuje on nadawać tym żelaznym słupom takiej objętości, jak kolumnom wykutym z kruchego marmuru, lub sztucznie z cegły zbudowanym, bo więźność nowego materiału, jego większa wytrzymałość, pozwala osiągnąć tę samą siłę oporu przy stosunkowo większej ich wysmukłości. Wprawdzie ostateczne nadanie im kształtu, mniej lub więcej pięknego, będzie zawsze zależało od estetycznego uczucia archite-

akta, od jego dobrego smaku; widzimy atoli, jak zasadniczo już, z powodu samego tylko zastosowania innego materiału, kolumna przyjmuje i logicznie przyjąć musi kształt wysmuklejszy, wynioślejszy, lżejszy, co w następstwie logicznem i inne zmiany w konstrukcyi pociągnąć za sobą musi.

Idźmy dalej. Przed trzydziestu laty powzięto myśl szerszego zastosowania szkła, jako materiału budowlanego, mianowicie w konstrukcyi gmachów, mających pewne specyalne przeznaczenie: i oto genialne skombinowanie tego materiału z żelazem wydało konstrukcyę oryginalną, stworzyło dzieła pomnikowe, które, nie waham się tego powiedzieć, jako odpowiednie swemu celowi, logicznie pomyślane, noszą niezaprzeczone piętno stylu nowego, oryginalnego, który w pewnej specyalnej gałęzi budownictwa może mieć przyszłość przed sobą, a i na ogólny rozwój nowoczesnej architektury nieomieszkają wywrzeć wpływu. Dziwna rzecz, że projekt téj oryginalnej architektury ze szkła i żelaza powstał i urzeczywistnił się w Anglii, w kraju tak mało rozwojowi sztuki sprzyjającym, i że nie wyszedł z głowy fachowego architekta. Podał go mianowicie Józef Paxton, zawiadowca ogrodów księcia Devonshire w Chatworth. Było to właśnie przed pierwszą wystawą powszechną, którą Londyn na rok 1851 zapowiedział. Z nadesłanych na konkurs 245 projektów na gmach wystawy, żaden jakoś nie czynił zadość wymaganiom, na żadnym z nich nie zatrzymał się wybór sędziów. Czas nagiął, do terminu otwarcia wystawy pozostawało kilka miesięcy. Wówczas Paxton wystąpił ze swym projektem, który od razu zyskał ogólne uznanie. Zaprojektowany przez niego gmach był rodzajem olbrzymiej cieplarni, wielkim kłosem szklanym, pod którym mogły pomieścić się swobodnie największe drzewa Hyde-Parku, znajdujące się na zajętej pod wystawę przestrzeni. Obszar miejsca i napływające ze wszystkich stron masy światła, przedstawiały dla nagromadzonych tu z całego świata dzieł sztuki i przemysłu jaknajkorzystniejsze warunki.

Wystawa powszechna była to myśl zupełnie nowa. Było to wezwanie narodów do szlachetnego współzawodnictwa na polu spokojnej, cywilizacyjnej pracy, do zgromadzenia na jednem miejscu wszystkich swych zdobyczy w dziedzinie przemysłu, sztuki i nauki, dla wzajemnego się pouczenia. I stało się, co się stać było powinno: wielka, brzemnienna w następstwa idea, będąca wyrazem nowych czasów i niejako zapowiedzią nowej w międzynarodowych stosunkach ery, powołała do życia nowy rodzaj architektury.

Po zamknięciu wystawy Anglicy nie myśleli rozstawać się ze swym Kryształowym Pałacem, będącym dumą Anglii i objawem ich samodzielności w sztuce. Postanowiono przenieść go na jedno ze wzgórz, otaczających Londyn. Hojne składki publiczne dostarczyły wkrótce potrzebnych na to przedsiębiorstwo milionów, i tak pod kierunkiem Paxtona, przy współudziale najdzielniejszych talentów, stanęło w Sydenham towo dziwo architektury XIX wieku, iście czarodziejski Pałac z Tysiąca i jednej Nocy, tylko w jeszcze doskonalszej, wspanialszej po-

staci, ze wszelkimi możliwymi ulepszeniami i uzupełnieniami, jakich potrzebę świeże doświadczenie wskazało.

Do szkła i żelaza przyłączyło się jeszcze nowe zastosowanie mozaiki i terrakoty, i tak w ciągu następnych lat stanęło w Londynie wiele budowli publicznego użytku, których twórcy naśladowali, rozwijali, lub częściowo stosowali architektoniczne formy Kryształowego Pałacu. Dość tu wspomnieć przepyszną czytelnię Muzeum Brytańskiego, zbudowaną w kształcie olbrzymiej rotundy, mogącą pomieścić naraz 300 osób pragnących korzystać ze skarbów biblioteki i urządzoną z niesłychanym przedtem komfortem; dalej muzeum South-Remington, także na pomieszczenie dzieł sztuki przeznaczone, Alexandra-Palace, muzeum w Bethnal-Gren i wiele innych olbrzymich budowli publicznych; choć co prawda, nie wszystkie one w równym stopniu świadczą o dobrym smaku architektów, co je dźwignęli. Nową tę konstrukcję, polegającą na zużytkowaniu szkła i żelaza, zastosowano też do wzniesionego w Paryżu olbrzymiego targowiska produktów spożywczych, t. z. Halles-Centrales, których budowa kosztowała 50 milionów franków. I w tym ostatnim razie przewodniczyła dziełu myśl nowa i ludzka; chodziło bowiem o zabezpieczenie od przykrych wpływów atmosferycznych całych tysięcy ludzi, przybywających na targ sprzedawać, lub nabywać artykuły codziennego życia potrzeby.

Wystarczą te przykłady na poparcie mego twierdzenia, że każda nowa idea, o ile jest na czasie, o ile rzeczywiste potrzeby i pragnienia ogółu wyraża, wytwarza nowe formy; i że prawdziwy rozwój architektury, wyrażający się w nowych oryginalnych pomysłach, nie zawisł od mniej lub więcej szczęśliwego powtarzania starogreckich budowli, lecz że polega na należytem uwzględnieniu budzących się coraz to nowych wymagań życia i stosownem zużytkowaniu nowych zdobyczy na polu przemysłu i wynalazków. Ogół zawsze przykłaśnie każdemu pomysłowi i czynowi, co mu nowe otwiera drogi, czy to w sferze myśli, czy sztuki, lub przemysłu. Nową architekturę, która się w głowie Paxtona zrodziła, urzeczywistniły i rozwinęły łączne usiłowania, i cały naród angielski, rzec można, dał jej swoje materialne poparcie: w czém oczywisty dowód jak głęboko pojmował jej znaczenie jako wielkiej, oryginalnej, narodowej myśli.

Były i wcześniejsze próby stworzenia czegoś nowego w architekturze; atoli ci, co się do tego brali, zdaje się nie zupełnie mieli jasne o jej istocie pojęcie, więc i próby te musiały pozostać jałowemi. Dumni ze swęj kultury Niemcy, którzy posiadają tyle uczonych i rzeczywście znakomitych dzieł i rozpraw w każdej gałęzi sztuki; którzy wytworzyli taką mnogość estetycznych teorii, że zdawałoby się iż istotę sztuki nawskroś swym badawczym przeniknęli umysłem—w początkowaniu, w torowaniu jej nowych dróg (w tej chwili mam jedynie architekturę na względzie) dali się, jak w tylu innych razach, wyprzedzić dwóm wspomnianym wyżej sąsiadom. Każdy wybitniejszy okres dziejowy wycisnął swe znamię na architekturze, zdobył się na swój styl

właściwy; natomiast nasze czasy, mające tyle zdobyczy ducha do zaznaczenia i tak wybitną fizygnomię, nie wytworzyły żadnych, sobie właściwych cech w budownictwie. Panujące od początku obecnego wieku kolejno lub współcześnie różne w architekturze style, czyste lub mieszane z sobą w najdowolniejszy sposób, zdają się mieć w nim równe prawo obywatelstwa. Brak ten dawno już zauważono; szczególnież zastanowił on Niemców, którym się zdało, że mu zaradzić potrafią. Płodna myśl niemiecka miała odrodzić architekturę.

Bawarski król Ludwik (1825—1848) słynący z nauki i wielkiego w sztukach rozmówiania, postanowił być nową w ich dziejach inagurować erę. W podróżyach swych po dawnych ziemiach klasycznych, które odbywał będąc jeszcze następcą tronu, obeznał się naocznie z zabytkami starożytności sztuki Greków i Rzymian i nabrał do nich gustu. Przyszedszy z czasem do władzy, powziął myśl przekształcenia swjej stolicy i, nie szczędząc pieniędzy, przy czynnej pomocy swych nadwornych budowniczych, w których wielkie talenta wszystkim wierzyć kazano, wprowadzał ją w wykonanie. Rozpoczął się tedy zapamiętały, kierowany z góry ruch budowlany. Dźwigały się gmachy w najrozmaitszych stylach: obok greckich propyleów i pinakotek stawały średniowieczne romańskie bazyliki, obok rozmaitych łuków tryumfalnych, wykwentne, w guście włoskim pałace i t. p. Rozentuzyzmowani artyści stawili króla Ludwika jako nowego Peryklesa, jego stolicę Monachium nazywano nie inaczej jak „nowożytnemi—niemieckimi Atenami.” Łatwo jednak wyobrazić sobie dziką, nieznośną fizygnomię tych rzekomych Aten, w których co krok prawie trzeba się było spotykać z budowlami pretensyonalemi, pochodzącemi z innego świata i nie licującemi z sobą—z dziełami kapryśnej fantazyi, których nie nie wiązało z żywem ich otoczeniem. Monachium zmieniło się w jakieś dziwne, niebywałe muzeum architektury, w murowany jakoby kurs nauki o różnych stylach. Tak po pedancku pojęta i prowadzona praca około upiększenia miasta, mimo strwonionych milionów, nie wniósła żadnych nowych żywiołów do budownictwa, sztuka nie na nią nie zyskała: bo zyskać może ona tam jedynie, gdzie tryska żywy źródło twórczej fantazyi, gdzie wyrzeczenie się własnej myśli nie stłumiło samodzielności.

Podobne fiasko spotkało i następcę Ludwika, króla Maksymiliana II (1848—1864), który w swjej gorliwości o losy sztuki, ojca nawet prześcignął. Zapragnął on, ni mniej ni więcej, obdarzyć Europę architekturą nowego stylu. Był to zamiar co najmniej dziwny, ale jeszcze dziwniej poczynił sobie Maksymilian z jego przyprowadzeniem do skutku. Oto ogłaszał w tym celu konkurs, wzywał okólnikami artystów do wzięcia w nich udziału i ustanawiał nagrody. Naturalnie, skutek tych niewczesnych usiłowań, zawiódł srodze oczekiwania króla-protektora architektury, którego dziwactw upamiętnieniem jest sławna Maximilianstrasse w Monachium, zabudowana w znacznej czę-

ści cudackimi pomysłami owęj nowęj, wynalezionęj „na zawołanie” architektury.

Warunkiem nieodzownym każdego postępu w któręjbądź dziedzinie pracy, jest przedewszystkiē wtajemniczenie się we wszystkie dokonane już w nięj zdobycze, przyswojenie sobie owoców usiłowań poprzednich pokoleń: a to dlatego, by po manowcach omackiem nie błądzić tam, gdzie się już pewne utarte znajdować mogą szlaki, i aby nawiązawszy pracę w punkcie, gdzie się kończy jęj wątek, snuć ją dalej świadomie, samoistnie, i tym sposobem krok za krokiem w nowe, nieznanie wdzierać się obszary. Im dłuższą, a więc i obfitszą w nabytki, tradycyę posiada za sobą człowiek, tēm mu łatwiej dalej pracować: tēm bliższym doskonałości gmach, który się trudem całych pokoleń, cegiełka po cegiełce, buduje.

I sztuki pigkne krzewią się i zakwitają najbujnięj tam, gdzie już całe wieki usiłowań grunt im stosowny urobiły. Ludy obdarzone najgorętszym temperamentem, najbardziej płodną wyobraźnią, nie stworzyły sztuki odrazu; to jest, w początkowęj dobie swego bytu, dawały zaledwie liche próbki swęj twórczości, która z czasem dopięro wzmogła się, spotężniała, wydając w rezultacie mniej lub więcej kwitnący stan sztuki. Jeśli z porównania, dajmy nato, dwóch narodów pod względem ich produkeyi na polu sztuki, okaże się, że gdy jeden z nich dostarcza licznych i cennych dowodów swęj działalności artystycznęj, natomiast usiłowania drugiego nie wychodzą poza kres względněj mierności; zapochopny ztąd byłby wniosek, że temu ostatniemu zbywa na sile twórczęj, że mu braknie przyrodzonego uzdolnienia do pracy w estetycznym kierunku. Takięj pozornęj niemocy bardzo często nie co innego jest przyczyną, jak właśnie brak lub mała względnie wartość tradycyi; brak na miejscu dobrych, mogących kształcić smak wzorów, do których wytworzenia nie było czasu i sprzyjających warunków.

Dobre wzory, dobra tradycya miejscowa, rozstrzygającego tēz bywają znaczenia w danęj chwili co do budownictwa. Smak architektów, a w pewnęj mierze może i techniczne ich zdolności, mimo ich wiedzy i woli kształcą się i urabiają na tēm, co od dzieciństwa ich najbliższe otoczenie we względzie architektury przedstawia. I tak, gdy pomniki architektury, jakie dany kraj czy miasto posiadają, wpływają z jednęj strony na wyrobienie się śród mieszkańców pewnęj przeciętnęj skali wymagań i pojęć odnoszących się do budownictwa; z drugięj są one poniekąd praktyczną szkołą dla samych architektów, zmuszonych rachować się z wymaganiami swych współobywateli. Zamiast dowodzić tēj prawdy, myślę że dość będzie powołać się na przykład jaki daje epoka włoskiego Odrodzenia, wreszcie na najnowsze dzieje architektury w Anglii, gdzie budownictwo gotyckie, które, mimo wtargnięcia tu jak wszędzie renesansu, nigdy zupełnie mu się wyrugować nie dało, a w naszych czasach znowu zyskało więkšie uwzględnienie ze

strony budowniczych i publiki, mających ciągle na oczach liczne tej architektury murowane wzory.

Gdzie na wzorach podobnych zbywa, gdzie myśl budowniczych nie znajduje na miejscu podniety, gdzie nie ma się o co zaczepić żeby pozyskać zdrowy punkt wyjścia i naturalną podstawę, tam pomysły ich nie przechodzą zazwyczaj skromnej skali wartości. Jeśli zaś, nie znajdując na miejscu takich, zadawalniających punktów oparcia, zamiast przejąć się duchem swojskiego acz skromnego budownictwa i pracować wytrwale nad rozwinieciem jego rodzimych pierwiastków, zaczęną szukać wzorów w obcych stronach lub w klasycznej starożytności, wówczas zchodzą z właściwego stanowiska i tracąc samodzielność, powstrzymując nieraz nadługo naturalny sztuki budowniczey rozwój. Choćby nawet budowle ich, wzięte z osobna, nie były bez istotnych zalet: śród ogólnego otoczenia wydać się muszą czémś chłodném, obcém, obłudném, i nie przyczyniają się do wyrobienia miejscowej architektury odrębnego, narodowego charakteru. Wprawdzie, prędzej czy później, musi przyjść kołej na reakcyę, która znowu usiłowania budowniczych na jedynie odpowiednie skieruje drogi—atoli w dziejach architektury krajowej pozostanie zapisany niezatartemi na długie wieki zgłoskami okres naśladownictwa. Nie twierdzę żeby taki okres przechodził bez żadnych dodatnich rezultatów: u obcych i u starożytnych dużo się zawsze nauczyć można; to téż pod względem technicznym sztuka nie zatrzymuje się bynajmniej na jednym stopniu, robi niezaprzeczone postępy; tylko że te postępy nie przyczyniają się w niczém do podniesienia jej estetycznej wartości, do wyrobienia się odrębnego stylu—tego narodowego jej znamienia.

Taki okres, między innemi, przechodziły niedawno Prusy; a i dziś jeszcze nieuprzednie z niego wyrnęły, jakkolwiek nie brak od pewnego czasu wskazówek że już rozpoczął się zwrot nowy, ku lepszemu. Za panowania Fryderyka Wilhelma IV (1840—1861) państwo to przedstawiało obraz niezmiernie ożywionej działalności budowlanej. Jak w Bawaryi, tak i tu, sam król wystąpił z początkowaniem, łożąc znaczne sumy na wznoszenie nowych budowli, lubo nie trwonił ich tak lekkomyślnie jak tamten. Mniej nas tu obchodzi przyczyna téj ożywionej działalności budowlanej Fryderyka Wilhelma pruskiego: mogła ona tkwić zarówno w zrozumieniu rzeczywistych potrzeb, jak w żądzy ubiegania się o lepsze z bawarskim jego kolegą, lub w osobistych wreszcie upodobaniach tego króla-dyletanta, który, jak wiadomo, sam w chwilach wolnych lubił rzucać na papier swoje architektoniczne pomysły, urzeczywistniane potem przez jego gorliwych a usłużnych budowniczych, poczytujących sobie za obowiązek trzymać się w budowie, o ile można, królewskiego pierwowzoru, bez względu na jego artystyczną wartość. Prawdopodobnie wszystkie te przyczyny działały tu zároveň. Gdy jednak budowane w najrozmaitszych stylach gmachy przez bawarskiego Ludwika, świadcząc o chwiejności jego smaku i braku wyklarowanych estetycznych pojęć, nadawały działalności jego archi-

toktów jakąś cechę eksperymentów podjętych na wielką skalę; trzeźwieszy od niego w poglądach protestancki Prus monarcha, stawiał sobie przynajmniej jasno zadanie i poczynił roztropnie a oszczędnie. Gust jego oświadczył się stanowczo na korzyść Schinkelowskiego klasycyzmu: wszystko zaś, co się z początkowania tego króla, za jego lub publiczne pieniądze stawiało, powinno było przedewszystkiem mieć cel praktyczny. Oprócz kosztownych robót budowlanych około katedry kołońskiej, podjętych nanowo w r. 1842, na które nie szczedzono milionów, ale które dowodziły raczej patriotyizmu i poszanowania najwspanialszego w Niemczech pomnika gotyckiej architektury, niż gustu do niej Fryderyka Wilhelma IV, któremu nigdy nie przyszło na myśl wznosić nowe budowle w tym stylu; oprócz gmachów pomnikowych jak Nowe muzeum (dzieło budowniczego Stülera), synagoga na Oranienburger-Strasse i wielu innych budowli—za panowania tego króla stanęło: 300 kościołów, 600 protestanckich plebanii, 1900 szkół sielskich, 16 gmachów gimnazyalnych, 16 sądowych, 18 koszar i 75 maneży do ćwiczeń wojskowych. W przeznaczeniu tych nowych budowli, w ich wzajemnym do siebie liczebnym stosunku, odzwierciedlają się też bardzo wyraźnie panujące w ówczesnych Prusach prądy i osobiste predykcye króla.

Przeszłość Berlina była dość jeszcze świeża i skromna. Zbudowana na piaskach uboga stolica kurfirstów brandeburskich, nigdy się świetnością nie odznaczała, więc i dobrej architektonicznej tradycyi następnym wiekiem przekazać nie mogła. W skład pruskiej monarchii weszły wprawdzie powincye i miasta posiadające wiele cennych pomników budownictwa, mianowicie z czasów panowania w architekturze ostrolukowego stylu; ale w takowych upatrywano znamię i wyraz katolickiej przeszłości, z którą bezpowrotnie zerwano; więc wzorem dla protestanckich pruskich budowniczych być nie mogły. Chwycono się tedy renesansu, który, jak to widzieliśmy, pod wpływem Schinkel'a i jego szkoły czysto grecki przybrał charakter. Włoska jego forma, której źródłem była architektura starożytnego Rzymu, nie wystarczała już Niemcom; musieli oni i tu zamanifestować głębokość swego umysłu, z której słusznie czy niestusznie słyną; wyrozumowali sobie, że prawdziwe odrodzenie architektury powinno do pierwotnych, greckich jęj form zawrócić. Oczywiście, w rozumowaniu tém i zwrocie, więcej było pedantyzmu niż zdrowej logiki. Dodać też trzeba, że wyćwiczeni przez swych Fryderyków w szkole surowej, żołnierskiej karności, Prusacy, zachowali zawsze pewną dozę prostackiej gburowatości, która i w ich budownictwie nie omieszkła się uwydatnić. Ztąd to pochodzi, że obok całych dzielnic Berlina, ubranych w niezdarnie na ład pruski przykrojoną szatę greckiej architektury, pełnych kolumn doryckich i różnych klasycznych reminiscencyi, spotkać się tu można z całemi szeregiemi wystrojonych pod sznur budowli, smutnych, czezych i nudnych, stawianych w stylu, któremu już dawno miano koszarowego przyznano, z jedynym względem na praktyczny użytek,

z prozaiczną, trzeźwością zarzekającą się wszystkiego, co choćby najlżejszém było odcieniem jakiegóś do upiększenia dążności.

W najnowszych czasach Berlin zaczął zmieniać potrosze swoją fizyognomią. Po tryumfach Prusaków odniesionych w ostatniej wojnie z Francuzami, stolica ich stała się politycznym ogniskiem zjednoczonych Niemiec, a nowe to jej w Rzeszy stanowisko spowodowało wielki zewsząd napływ ludności, dla której niebawem niestało miejsca w dotychczasowych granicach miasta. W związku z tym stanem rzeczy, rozwinął się nagle gorączkowy ruch budowlany. Stolica nowego cesarstwa, obwołana przez Niemców za „Weltstadt,” zapragnęła wystąpić w świeżej, odpowiedniej do swej nowej godności szacie. Zawiązały się liczne spółki kapitalistów i spekulantów w celach budowlanych, powstały całe nowe dzielnice miasta na pustych przedtém obszarach; mnogie pałace, domy i wspaniałe wille wyrastały jak grzyby po deszczu. Ściągnięte w haraczu miliardy i rozwielenione smutnej pamięci grynderstwo przyczyniły się także niemało do ożywienia tego ruchu. Rosły niemal z dnia na dzień wielkie, rzeczywiste lub fikcyjne fortuny, a spanoszeni grynderzy budowali banki i pałace dla siebie. Tym razem ruch budowlany nie brał już inicjatywy z góry; był on naturalnym wynikiem nowego ułożenia się stosunków, nie podlegał kierunkowi uprzywilejowanych rządowych budowniczych; otwierał więc architektom szerokie pole do spożytkowania swych talentów. Młodszy z pośród nich nie trzymali się już ślepo Schinkelowskich tradycji, lecz czerpali chętnie ze wszystkich źródeł, z których się z pożytkiem czerpać dało. Zwrócono się nawet do powabnego renesansu francuzkiego, i Berlińczyk, który w jego świeżych, wesołych formach wielce zagustował, złożył tęp niejako hołd wyższości w rzeczach sztuki i dobrego smaku swemu znenawidzonemu „dziedzicznemu wrogowi.” Wprawdzie niema jeszcze w tęp wszystkiém zadatków jakiegóś nowój, oryginalnej architektury, w której znalazłaby swe odbicie wielka dziejowa epoka, po której rozmarzeni zwycięztwami Niemcy tak wiele sobie obiecywali; wprawdzie pretensjonalne, przeładowane ozdobami pałace i wille grynderów, źle ukrywające jałowość pomysłów architektów, jakotóż wzniesione ostatnimi czasy gmachy rządowe, świadczą, że ogólny poziom publicznego smaku nadsprewski stolicy dość wolno się podnosi i w ogólności nie może być mierzony skalą Paryża lub Wiednia; ale i to już wiele, że nużący swą jednostajnością charakter berlińskiej architektury zaczyna się zacierać, że w nowych budowlach silnie czuć się już dają nowe, ożywcze prądy i pewna artystyczna swoboda, znamionująca wyjarzianie się z dławiących korbów rutyny.

Z innym zgoła obrazem spotykamy się w Paryżu i Wiedniu: jak innemi są ich wspomnienia, oraz społeczne i moralne żywioły. Świeńtniejsza niż innych, znacznie później powstałych ognisk europejskiego życia przeszłość historyczna, wyrzyła się w murach tych stolic. Pozostałe z różnych epok budowlane pomniki wytworzyły na miejscu, zwłaszcza w Paryżu, bogatą względnie architektoniczną tradycję, pod

której wpływem urabiały się talenta budowniczych, dojrzewały ich pomysły. Wiedeń i Paryż nie powstały nagle, w skutek jakiegoś decydującego zbiegu okoliczności, nie były zbudowane pośpiesznie w ciągu jednego lub kilku panowań, według narzuconych im z góry planów, lecz rosły i kształtowały się z wiekami; i tym to mianowicie okolicznościami zawdzięczają one swoją dzisiejszą architektoniczną fizyognomię, tak nieskończenie różną od Hohenzollernów stolicy.

Paryż, ta stolica nowożytnej sztuki, której bijące zwawo tętna czuć się dają w najoddalonych kończynach cywilizowanego świata, która dyktuje mu samowładnie prawa wykuintości i dobrego smaku, ma tu oczywiście niezaprzeczone przed Wiedniem pierwszeństwo. O Paryżu też szczególniej powiedzieć można, że tworzył go geniusz narodu pracą licznych pokoleń, że jest dziejowym wytworem. Ale różne jego gmachy i całe dzielnice datujące z różnych epok, powstałe za panowania najrozmaitszych gustów i upodobań, mają przecież pewne wspólne znamiona, dźwięczy w nich ta sama narodowa nuta, słowem, pod tchnieniem artystycznego ducha Francuzów złożyły się w piękną, oryginalną, ujmującą całość. I jakże się tu dziwić tyranii, jaką Paryż w rzeczach smaku i mody nad całym niemal wywiera światem! Paryży architekci wówczas nawet, kiedy zapożyczają form u obcych i starożytnych, kiedy im samym się zdaje że są tylko naśladowcami, wlewają w te formy bezwiednie swego ducha, wyciskają na nich piętno swego narodowego geniuszu, znajdującego swój wyraz w jakiejś napozór małoznacznej odmianie, w jakimś mimowolnym dodatku, w nowém a oryginalném powiązaniu motywów. Weźmy np. okres włoskiego renesansu, który, jak to już wspomniałem, lepiej się tu niż gdzieindziej przyjął. Zarówno w gmachach zbudowanych w pierwszej jego dobie za Franciszka I i Henryka II, jak i później, kiedy przekwitający renesans tracił przewodnią logikę przechodząc w baroko; zarówno w budowlach wzniesionych w zimnym, dworskim stylu rococo, wypielegnowanym w perukowym wieku Ludwika XIV, kiedy architektoniczne formy wzięły już stanowczy rozbrat z logiką konstrukcyi, jak i w gmachach, które, stosownie do nastroju umysłów za wielkiej rewolucyi i pierwszego cesarstwa, były naśladowaniem form klasycznej Rzymian i Greków architektury—Francuz zawsze umiał zachować swoją indywidualność, nie zaparł się nigdy swego temperamentu, wcisnął wszędzie coś swego, wszystkiemu umiał nadać cechę swego twórczego geniuszu. W Paryżu nie mogło być nawet mowy o niewolniczym, bezduszném naśladowaniu klasycznej architektury.

Za drugiego cesarstwa Paryż uległ wielkiemu przeobrażeniu. Olbrzymimi robotami budowlanymi około przebudowania miasta, podjętymi w celu upiększenia go i uzdrowotnienia, kierował prefekt Haussman. Nie można istotnie zaprzeczyć, że przez zburzenie zaciśniętych domów, wązkich i ciasnych zaułków, przez wytknięcie natomiast ulic szerokich i prostych, które się szeregami drzew przystroiły, cel uzdrowotnienia stolicy został osiągnięty; atoli pod względem estetycznym,

ryczkótowa ta budowlana działalność, prowadzona według narzucenych z góry planów—Hausmann bowiem rządził się tu bardzo arbitralnie—nie najlepsze wydała owoce. Mimo to wszystko jednak, ujęta tak w biurokratyczno-administracyjne karby twórczość architektów paryzkich, nie straciła zupełnie wyróżniających ją cech: samodzielności i dobrego smaku. Pomijam już wykwintne pałace; ale nawet te liczne, olbrzymie, wielopiętrowe domy mieszkalne, z długimi jednostajnymi okien szeregami, powściągliwe w ornamentacyi, przez samo zharmonizowanie wymiarów nabierają szlachetnego, zadawalającego estetycznie wejrzenia. Nie mogę rozwozić się tu szczegółowo nad znakomitszymi nowymi budowlami Paryża, zapewniającemi mu bezspornie w dziejach współczesnej architektury berło pierwszeństwa, które zresztą i w innych sztukach dzierży, a którego mu ani zwycięstwa Prusaków, ani tyrady niemieckich uczonych o przeżyciu się narodów romańskiego szczepu, ani żadne kongresy niemieckie radzące nad sposobami wyjarzmienia się z pod jego dyktatury w rzeczach mody i dobrego smaku, nie wytrąca. Wspomnieć tu przecie muszę, że sławny gmach Wielkiej Opery, dzieło budowniczego Garnier, rozpoczęty jeszcze za cesarstwa a przed kilku laty skończony—po którym tak wiele sobie obiecywano—zawiódł oczekiwania. Rzetelne architektoniczne piękno, harmonia mas i linii, wzgląd na wygodę publiki—poszły tu na ofiarę bogatej a pompatycznej dekoracyjnej paradzie.

Przy porównaniu Wiednia z Berlinem, wychodzi na jaw cała różnica, jaka zachodzi między południowym a północnym Niemcem, między ich charakterem, obyczajem i umysłowym nastrojem. Gdy przeciętny berlińczyk, wznosząc mury, myśli przedewszystkiem o utylitar-ném ich przezuaczeniu, pozostawiając wszelkie starania około upiększenia miasta wszechwładnemu Państwu i jego przedstawicielom; wiedeńczyk, w którym trochę południowa gra natura, posiada dość rozwinięty zmysł estetyczny i chętnie się nim powoduje. Myśl zniesienia średniowiecznych fortyfikacyi stolicy, zacieśniających ją i oszpecających, nie wyszła też tu od rządu; domagała się tego głośno opinia publiczna, w dziennikarstwie swój wyraz mająca i skłoniła nareszcie władze do zajęcia się tą sprawą. W roku 1858 ogłoszono konkurs na projekt przebudowania miasta, a w następnym już roku plany otrzymały zatwierdzenie cesarza. Miejsce zniesionych fortyfikacyi zajęła, otaczając pierścieniem stare miasto, szeroka i wspaniała Ringstrasse, coś w rodzaju paryzkich bulwarów, która niebawem zapełniła się wykwintnemi domami i pałacami, dając pohop do niezmiernie żwawego ruchu budowlanego, który się na całej przestrzeni miasta rozwinął, zmieniając zupełnie postać starój Habsburgów stolicy. Gorączka giełdziarska, która się w końcu tak głośnym, strasznym skończyła krachem, ściągnęłabyła na giełdę liczne kapitały, ożywiając spekulacyą, wzbogacając dziś ludzi którzy jeszcze wczoraj nic nie mieli, i wytwarzając sztuczne pozory dobrobytu i ekonomicznego rozwoju—oddziaływała także na wzmoczenie się budowlanego ruchu w Wiedniu, trwają-

cego aż do ostatnich czasów. Nowa architektura Wiednia, jak dziś wszędzie, nie wyszła wprawdzie z torów przez eklektyzm jęj wytkniętych. Spotkać się tu można z gmachami w różnych stylach: renesans, styl romański i gotycki i t. d., znalazły tu równe uwzględnienie; ale w sposobie zastosowania ich—trzeba oddać sprawiedliwość wiedeńskim budowniczym—jest dużo smaku i pomysłowości, jest pojęcie słusznych potrzeb dzisiejszych. Widać że odczuwają oni żywo pulsujące dokoła nich życie i umieją mu nadać wyraz w swych budowlach, z których przegląda się swobodne, wesołe, niefrasobliwe wiedeńczyka usposobienie.

Jeśli pozostawimy na uboczu oryginalne dzieła architektury ze szkła i żelaza, która mieć może tylko specyalne, w budowlach publicznego użytku zastosowanie, to okaże się, że począwszy od wielkiej rewolucyi, z którą rozpoczął się zwrot do form klasycznych, w architekturze panuje podziśdzeń kosmopolityczny eklektyzm, wyzyskujący w mniej lub więcej trafny sposób wszystkie formy starożytniej i średniowiecznej architektury, z wybitną przewagą różnych odcieni renesansu. O wyborze tych ostatnich stanowi nie tyle przeznaczenie budowli, wybrana na nią miejscowość lub materyał budowlany, ile osobiste pojęcia i gusta budowniczego. W tym chaotycznym obrazie, jaki współczesna architektura przedstawia, maluje się dosadnie owa różnorodność myśli i kierunków, będąca charakterystyczną cechą naszego stulecia, które, w tém rozumieniu rzeczy, znajduje w niej również swoje odzwierciedlenie.

Możnaby mniemać, że w obecnym, datującym od schyłku zeszłego wieku dziejowym okresie—którego duch wypowiedział się tak wyraźnie w nowożytném prawodawstwie i instytucjach publicznych, zmierzających do zapewnienia jednostkom jaknajszerszej swobody i indywidualnego rozwoju—wielkie indywidualności zbiorowe, narody, zaczynają tracić swe cechy odrębne. Że przeszedł po nich niwelujący kosmopolityzm i bezwyznaniowość strychulec, że więc i w sferze sztuki niema już miejsca na wyraz tych zacierających się z dniem każdym różnic, i że odtąd na jęj dziełach jedynie występują coraz potężniej indywidualność jednostek może wyciskać swe piętno. Zdawałoby się, że minęły już te czasy, kiedy masy ludu grupowały się pod jednym narodowym znakiem, kiedy poznawano się po jednym, umówioném lub przyjętém zdawnia haśle; że zatem o takim stylu w architekturze, jak go poprzednie miały wieki, dziś już mowy być nie może, i że życzyć go sobie byłoby niewczesnie. Myśli takie istotnie chodzą po głowach ludzkich. Ale podobne poglądy, jak mi się widzi, trochę na sofizmata zakrawają. Nie widzę, żeby logika faktów istotnie do takich prowadziła wniosków. Zdaje mi się téż, że to com w powyższych uwagach nad istotą stylów w architekturze i warunkach ich żywotności powiedział, powołując się na zaczerpnięte z dawniejszych i nowszych dziejów przykłady, rzecz tę w zupełnie inném, bodaj rzetelniejszém przedstawia świetle. Powiadają jeszcze, że gdy dawne wieki w jednostron-

nym rozwijały się kierunku, nasz wiek cały ogół dążeń i kierunków ogarnął; że zatem obowiązkiem naszym jest posługiwać się w architekturze wyrobionemi już przez owe jednostronne wieki formami, które tylko odpowiednio stosować mamy do naszych potrzeb, myśli, idei, sięgając za każdym razem po owe formy do tych mianowicie czasów, kiedy ta lub inna z tych potrzeb, myśli, idei, wyłącznie lub przeważnie panowała, a więc i w architekturze najodpowiedniejsze sobie kształty wyrobiła. Taka teorya prowadziłaby nas najkrótszą drogą do wygodnego naśladownictwa, dawałaby niejako na nie patent, uwalniając od wszelkiej samodzielnej pracy nad zdobyciem nowych w dziedzinie architektury kształtów. Atoli mimo pewnych pozorów słuszności, teorya ta, gdyby nawet znalazła wyznawców, zostałaby zawsze tylko teoryą, nie mogącą mieć żadnego zastosowania w życiu, które z każdą chwilą inną przyjmuje postać, coraz to inne otwiera sobie drogi. Dla zaspokojenia potrzeb rodzących się na tych nowych drogach, już dlatego samego nie możemy się zwracać po radę do dawnych wieków, że te potrzeby obcemi im były zupełnie. Z drugiej znów strony, nie mamy tak wielkiej racyi twierdzić, że nasz wiek wszystkie ogarnął kierunki; po bliższem się mu przyjrzeniu możeby wypadło coś z tego wysokiego tonu spuścić. I naodwrot, żaden z poprzednich wieków czy okresów nie rozwijał się w jednym jakimś wyłącznym kierunku, z zupełnem innych pominięciem; ten lub ów prąd mógł wprowadzić przeważać, ale to samo i dziś ma miejsce; bo tak dziś, jak dawniej, jak zawsze, była i być musiała pewna różnorodność w działalności duchowej człowieka. Każdy też z wieków poprzednich usiłował, tak samo jak nasz, przyswoić sobie wedle możności zdobycze przeszłości, owoce doświadczenia, i tym sposobem wszystkie niejako ogarniał kierunki; co przecież nie przeszkadzało mu wycisnąć odrębnego znamienia na swój architekturze. Jestem raczćj zdania, że jeśli nasze czasy nie zdobyły się dotąd na własną, oryginalną architekturę, to należy w tém widzieć tylko dowód, że brzemienny znaczeniem obecny okres dziejowy, na którego duchową fizyognomię tyle przeróżnych złożyło się żywiołów, w którym taka mnogość sprzecznych z sobą nurtuje prądów—jeszcze się nie osiadł, nie skryształizował, że do ostatecznego ukształtowania swęj postaci potrzeba mu więćj czasu, niż go na ten kryształizacyjny proces potrzebowały inne, muićj skomplikowane wieki.

Powyższe uwagi o naturze stylów w architekturze, i skreślona w głównych rysach charakterystyka tćj ostatnićj za dni naszych—o ile do nićj dostarczyły rysów najgłówniejsze centra Europy, posłużyć nam mają za tło, na którym w drugićj części niniejszego artykułu postaram się rozwinać i scharakteryzować współczesny nasz ruch w zakresie budownictwa, o ile Warszawa może być jego wyrazem. Bez takiego ogólnego tła, które, wiążąc go z ruchem powszechnym na tćm polu, daje pewne punkta oparcia do porównawczego sądu, obraz nasz byłby czćmś oderwanćm, niezupełnćm, nie jasnćm. (Dok. nast.).

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską *)*.

Tom II.

XX.

Margarita pozostała naprawdę, jak to powiedziała Aniela, sam na sam z żalem sumienia. Uczucie wewnętrzznego wyrzutu, mogło być dowodem, iż rozsądek i dobro odniosły górę w tej zaślepionej i zakamieniałej duszy. Żal może być zwiastunem wielkiej duchowej przemiany. Gdyby słowa i przykład Anieli nie pobudziły jej do prędkiej skruchy, Margarita zgubioną była bezpowrotnie.

Byłoby złe bardziej zaraźliwem, aniżeli dobro oczyszczającym? Azaliż czysta dziewica nie mogłaby przebywać wśród kału zepsucia, bez zbrudzenia swój czystości, a mogłaby kobieta zbrudzona pozostawać w cnót przybytku i nie poczuć w sobie pragnienia poprawy i udoskonalenia się, a co najmniej dojmującego żalu za przeszłe swoje życie?

Bez najmniejszej wątpliwości, ta atmosfera cnót i poświęceń, to światło, padające na skroń Margarity, ten kwiat wonny, jakim była

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za czerwiec r. b.

dusza Anieli, oczyszczający powietrze, musiały także oczyścić duszę, umysł, serce Margarity, w podobny sposób jak gazy, które, pod wpływem dziennego światła z drzew się wydzielając, masę powietrza tlenem nasycają.

W istocie, po odejściu Anieli, uczuła Margarita w łonie, jakby zimno wślizgającego się węża, wyrzut sumienia, który wpijał się w jej wnętrzości, szarpał je i pożerał, co zwykło się zdarzać, wbrew ich woli, tym wszystkim, którzy kiedykolwiek palili ofiary złemu, chociażby tylko przez jeden dzień w życiu.

We wnętrzu ducha odbywał się rachunek sumienia i Margarita uznała, iż okrutnie sobie postąpiła względem Anieli. Któż ją dwukrotnie wybawił od śmierci? Kto, jak anioł czuwał u jej wezgłowia? Kto rosą też orzeźwiał to zwiedłe i zjałowiałe życie? Kto śledził jej kroki, darząc ją swą opieką, wtenczas, gdy sama, biedna, opuszczona, nie miała nikogo wokoło siebie, ktoby się o nią troszczył i dbał o jej spokój? Wszystkie te myśli tak się pojawiały w jej zamroczonej duszy, iście jak gwiazdy wśród burzliwych zawiei lub z pomiędzy chmur czarnych, które ćmią i zasłaniają czysty i jasny błękit nieba. Lecz w duszy Margarity tyle się chmur nagromadziło, takie ją straszne zalegały ciemności, iż zaprawdę, trudno było mieć nadzieję, by jasny brzask zorzy zaświtał na jej horyzontach. Tylko żal sumienia, skrucha jedynie może ją zbawić. Jeżeli nie uczuje żalu, będzie zgubiona, a zgubiona na wieki. Jakoż w istocie Margaritę bolało to, że wyrządziła zniewagę Anieli. Ją znieważył! tę, która w oczach wszystkich była bóstwem opiekuńczym, uosobieniem dobra, najczystszy wzorem poświęcenia, ideałem doskonałości!

W końcu, Margarita opuściła głowę na piersi i zaczęła rzewnie płakać. Czy te mogły być jakby deszczem z niebios spuszczone, na jej wzburzone namiętności; te myśli, jakby tęczą świetlaną, ukazującą się na tle chmur czarnych i groźnych.

To też po łzach wylanych, zapanował w niej błogi spokój.

Wszelako namiętności nie puszczają od jednego razu swojej zdobyczy. Znowu gniew zaczynał wrzeć, w tym rozkrwawioném sercu. Powstydziła się też swoich, przypomniawszy sobie, czém była, okiem powiodłszy po swoim mieszkaniu; szatańska pycha nią owładnęła i odtrąciła od niej, jak senną marę, te pierwsze pojawy skruchy.

Lecz w tejże chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich Anieła. W jednej ręce niosła orzeźwiający napój, w drugiej bukiet kwiatów. Błogi uśmiech osiadł na jej ustach, w oczach świeciła radość niewymowna.

— Usłyszałam płacz, pani—rzekła—i przychodzę ..

— Panno Anielo!—wykrzyknęła Margarita—słyszałaś, że płakałam?

— Tak, tak, i słysząc, że pani płaczesz, ucieszyłam się...

— Cieszysz się z moich łez? Tożto jest owo współczucie!

— Alboż pani nie wiesz, że łzy są niebieską rosą?

— O! gorzka to rosa!
 — Przeciwnie, wszak one ulgę sercu przynoszą.
 — A... to przyznaję.
 — Gdybym ja nie była tak wiele płakała, możebym dziś nie była...
 Margarita głęboko westchnęła. Wszystek gniew, gorący w jej duszy zagasł pod tchnieniem słodczy, płynącej z ust Anieli.
 — Margarito!—mówiła, obejmując ją ramieniem—moja Margarito!

Margarita przytuliła głowę do łona Anieli i gorzko płakała.
 — Tak, tak, płacz Margarito, płacz.
 — O! jaka ja zła jestem... jaka zła!
 Aniela, usłyszawszy te słowa, gorącą modlitwą w głębi duszy podziękowała Bogu.

— Już teraz dobrą jesteś, Margarito, już.
 — Oh, nie, nie!
 — Owszem, Bóg wzruszył twoje serce.
 Margarita z wolna potrząsała głową i rzekła:
 — Dla mnie już nicma nadziei.
 — Jest, jest zawsze; ten dobry ojciec nie opuszcza swoich dzieci.
 — Nigdy?
 — Nigdy!
 — A jestemże ja dzieckiem Bożem?
 — Tak samo jak każde najmniejsze stworzenie.
 — I mogę pozbyć się mojej natury?
 — Nie, te gorące namiętności obrócą się na uszczęśliwienie.
 — Ach! ja, opuszczona od wszystkich...
 — Nie, nie: ja cię nigdy nie opuszczę.
 — Edward mię porzucił na zawsze!

Imię to ugodziło w serce Aniela, przypominając bolesną w niem ranę; lecz natychmiast zapamiętała nad sobą, i z zapalem zawołała:

— Edward ci wróci, nazawsze będzie twoim.
 — O!.. on moim będzie!
 — Tak, nie wątpij o tém.
 — A któż mi za to ręczy?
 — Ja.
 — Ty! A zatem wiadomo ci, gdzie się on znajduje?
 — Nie wiem z pewnością; lecz dla Siostry Miłosierdzia świat cały stoi otworem.

— Anielo! Anielo!
 — Tak, cały świat przetrząsnę i musicie być szczęśliwi.
 — Mój Boże! i dlaczegoż chcesz to uczynić?
 — Dla dobra bliźnich moich, dla podźwignięcia ich serc, dla odkupienia ich duszy.
 — Anielo, podziwiam twój heroizm.
 — Spełnienie wielkiego obowiązku nie jest heroizmem.
 — Obowiązku? Nie pojmuję, dlaczego miałoby to być obowiązkiem.

— A jest nim, z téj przyczyny, że ja wpłynęłam nieszczęśliwie na twoje życie.

— Nieszczęśliwie! Alboż mię nie wybawiłaś od śmierci? alboż mię nie przyjąłś tu, pod swoją opiekę?

— Zapewne, lecz zawsze wzbudzałam w twojem sercu podejrzenia i zazdrość.

— Tak, to prawda.

— Zazdrość sprawiała ci wiele cierpień.

Tu, w duszy Margarity, odezwał się głos sumienia.

— Ja także stałam się powodem wielu cierpień dla ciebie—rzekła.

— W istocie, lecz nie byłaś w tém winną—odpowiedziała Aniela.

— Ja nie byłam winną!

— Powodem boleści mojego życia jest Edward. On mię kochał...

— I ty go kochałaś?—przerwała Margarita.

— Bardzo!..

Na twarzy Margarity uczucie zazdrości wybiło się w żywym rumieńcu.

— A jednak porzucił—mówiła znów.—I bardzo cierpiałaś?

— Ach! okropnie! Dni przepędzałam we łzach, noce bezsenne. Skoro zaświtało, wychylałam się przez okno, z wzrokiem, wpatrzonym w dal, na morze; każdy żagiel, co mi się ukazał, myślałam że to on; każda łódź, przybliżająca się ku brzegom, zdawało mi się, że to jego czołno.

— A! pojmuje! to okropne cierpienie... oh! on okrutny!

— Czułam, że życie mi szarzeje, światło zagasało, już mi brakowało powietrza, nie mogłam oddychać...

— I wytrzymałaś to wszystko!

— Niezawodnie Bóg stworzył naturę ludzką do cierpienia i dla tego cierpienie wlewa w nią nowe życie.

— I nie przestałaś kochać Edwarda?

— Poczóż rozgrzebywać popioły serca!

— Pytam o to z ufnością i z gorącym pragnieniem usłyszenia odpowiedzi... proszę o nią... nie odmawiaj mojej prośbie!

— Wszak już mówiłam, że jestem powodem twoich zmartwień.

— Nie, są to uprzedzenia, które ustępują i zacierają się.

— A więc dobrze, powiem, co czuję! Dotąd go jeszcze kocham, jeszcze w snach widzę jego obraz, jeszcze w marzeniach imię jego powtarzam; w żaden sposób nie zdołałam pokonać tych uczuć serca.

Wrażenie tak żywe, jak w pierwszym dniu, kiedy go doznałam, spoczywa nienaruszone na dnie mojej duszy.

— A!... Poczóż mówiłaś, że go nie kochasz?—zawołała Margarita w gniewnym rozdrażnieniu.

— Nigdy tego nie powiedziałam.

— Wszakże utrzymujesz, że pragniesz mojego szczęścia, mojego połączenia z Edwardem?

— Tak, pragnę gorąco.

— To być nie może.

— Całym sercem tego pragnę.

— To fałsz!

— Margarito!

— Fałsz, powtarzam.

— Oh! wróciliśmy do dawnego stanu!

— Jeżeli go kochasz, jakże możesz pragnąć, żebym ja znów z nim żyła?

— Bo we mnie rozsądek i przekonanie górują nad uczuciem.

— Kiedy tak, to go nie kochasz.

— Dałby Bóg, aby to było prawdą!

— Nie kochasz go; bo gdybyś go kochała, powiedziałaabyś: przed wszystkim na świecie, mimo wszystko, nad wszystko, jego miłość.

— To we mnie jest niemożliwem.

— Al! gdybyś go kochała, czułabyś ogromną próżnię, sparaliżowanie życia, mękę, obrzydzenie ku światu; nie widząc go obok siebie, wyrzekłabyś się wszystkiego, z wyjątkiem jego miłości, bez której nie potrafiłabyś nawet pojmować rzeczywistości istnienia.

— A dlaczegoż ja noszę ten habit? dlaczego w wiosnie życia zamknęłam się w klasztornych murach? Może sądziś, iż to tylko z pobożności? Nie, mylisz się. Rozpacz mię tu przywiodła, rozpacz odsunęła mię od świata, rozpacz zdziałała we mnie te wszystkie nadzwyczajności... tak, rozpacz!.

— To dla mnie coś całkiem niezrozumiałego. Jeżeli go tak szalenie kochałaś, dlaczegoż nie wyjechałaś ztąd wraz z nim.

— Bo jest jeszcze coś wyższego nad miłość.

— Niéma nic.

— Mylisz się: jest obowiązek.

— Zapewne; lecz tak łatwo dać się unieść popędowi serca...

— Nie wtedy, gdy sumienie głos podnosi i ostrzega, gdzie są szkopyły i niebezpieczeństwa?

— W wielkiej miłości ma być niebezpieczeństwo?

— Niéma go w miłości godziwej. Lecz nieprawda miłość grozi nie tylko niebezpieczeństwem: ona grozi zagubą.

— Co za ciasne prawa moralności!

— Przeciwnie, tak są swobodne, jak duch, który się wolno rozwija w nieskończoności.

— To są kajdany.

— O, jakże się mylisz!

— Nie widzę tu ani cienia wolności.

— Bardzo wiele jest uprzedzeń na świecie. W ogóle wyobrażają sobie ludzie, iż wolność zależy na oddaniu się bez hamulca swoim

namiętnościom: a tak nie jest. Ten, co to czyni, wpada w najohydniejsze poddaństwo, zaprzeda się w niewolę zmysłom.

— Lecz niewolnik obowiązku...

— Niewolnik obowiązku wolnym jest. Wolność zawisła na poddaniu się pod władzę własnego naszego rozsądku.

— To mi trafia do przekonania.

— Rozsądek jest naszym własnym jestestwem, naszym wewnętrznym życiem, naszym duchem, jest czémś, co najściślej zespolone z naszą naturą. Słuchając przeto głosu naszego własnego rozsądku, nie zależymy od nikogo, a nie zależąc od nikogo, jesteśmy wolni.

— W istocie, tak jest.

— Otóż rozsądek nasz powiada nam, abyśmy spełnili nasze obowiązki religijne, moralne i społeczne. Czy może ci rozsądek radzić coś innego?

— Oczywiście, że nie.

— A zatem, ulegając zewnętrznym wrażeniom, oddając się na wolę namiętności, tracisz swoją wolność.

— Ach, to prawda, prawda.

— A kiedy usłuchasz rad twego rozsądku, głosu twego sumienia, będziesz wolną; najzupełniej wolną.

— Smutna to wolność!

— Nie smutna, nie. Pominąwszy, iż dobro winniśmy miłować dlatego, że jest dobrem, pominąwszy, iż bezinteresowne umiłowanie dobra jest prawdziwą jego miłością; wszystko to pominąwszy, zaręczam, iż, po spełnieniu obowiązku, błogo jest w duszy i wesoło.

— Ach! może to dlatego, że nie dopełniałam moich obowiązków, ucierpiałam tak wiele!

— Niezawodnie.

— Może przez zatrucie mego życia zaćmiło się we mnie pojęcie sprawiedliwości.

— Patrz, Margarito, na strumień płonący spokojnie po błoni; w jasnych jego kryształach odbija się błękit nieba. Niechże go zakłóci burza albo ręka ludzka; wtenczas zobaczysz w nim tylko płyn mętny od brudnych ziemi prochów.

— Prawdę mówisz, tak... A jażbym nie mogła zwrócić się do dobrego, dążyć do wyzwolenia się z tych kłępujących mię więzów?

— O! — rzekła Aniela — od chwili, gdy zapragnęłaś stać się wolną, już nią jesteś.

— Dostyć więc tylko zapragnąć?

— Tak, pragnąć z tą wiarą, z tą wytrwałością, jakie przykładają do rzeczy ziemskich, z tym samym zapałem, z jakim rzucali się w wir dworskich intryg, w zamęt wielkiego świata.

— Pragnąć!.. Ja już oddawna niczego nie pragnę.

— Ani nawet zabaczyć się z Edwardem?

— Oh! to tylko jedno...

- A gdybym ci powiedziała, iż samo postanowienie nawrócenia się na dobrą drogę, może to sprawić, iż Edward będzie cię kochał?
- A?... więc moje podejrzenia nie były bezzasadnymi!
- Jakto? znów podejrzenia?
- Już teraz widzę to jasno.
- Margarito! porzuć te urojenia!
- Widzę, że władasz sercem Edwarda.
- Ja? bynajmniej!..
- Gdyby tak nie było, jakżebyś śmiała twierdzić to, coś wy-rzekła?
- Bo znam serce ludzkie.
- A kiedy możesz mi powrócić Edwarda... a nie uczyniłaś te-go, jakże chcesz, abym wątpiła o twojej winie?..
- Margarito, niepodobna mówić z tobą.
- Chcesz, ażebym obojętnie słuchała podobnej mowy?
- Żadne rozumowanie z tobą nie jest możliwem. Zaraz ze swo-ich domysłów wysnuwasz twierdzenia, swoje urojenia zamieniasz w rze-czywistość.
- A na czémże uzasadniasz swoje zapewnienia, iż Edward bę-dzie mi powróconym?
- Na znajomości serca ludzkiego.
- Tylko na tém?
- Tak, na tém tylko. Wielki błąd popełniamy, sądząc o każdej rzeczy nie według ogólnych praw życia, lecz według chwilo-wych wrażeń, na ślepo, na traf.
- A tylko traf może powrócić mojego męża?
- Nie.
- Al co za urojenia!
- Serce potrzebuje pokoju. Skoro przeminie pewna epoka, w której życie wre, burzy się, człowiek potem łaknie odpoczynku na łonie rodziny.
- Lecz kiedyż przyjdzie ta chwila dla Edwarda?
- Wtedy, gdy się przekona, iż pokój ten może znaleźć przy do-mowém ognisku.
- Oh! moje serce już tylko łaknie tego pokoju!
- Zatem będzie go miało.
- Anie!o, nie śmiem w to wierzyć.
- Bądź tego pewną, Margarito.
- Z taką pewnością mi zaręczasz...
- Bo postanowiłam sobie uczynić cię szczęśliwą.
- Anie!o!.. ach! dla mnie już niema szczęścia na świecie!
- A! szczęście bywa różne, względne, odnośnie do stanu duszy.
- Masz słuszność.
- Wyobrażałaś sobie, że szczęście zasadza się na panowaniu, na bogactwach, na zdobywaniu sobie znaczenia i wpływów.
- Tak, to prawda.

- A byłaś w błędzie.
- Margarita głęboko się zamyśliła.
- Tylko się mamiłaś—mówiła dalej Aniela.— Wracając z owych balów, co czułaś w sercu?
- Próżnię tak wielką...
- Wikłając się w sieć intryg, jakiego doznawałaś wrażenia?
- Zrazu byłam jak w odurzeniu, a potem chciało mi się płakać.
- A napotykając tyle fałszu, tyle zawodów?
- Rozpacz mię brała.
- A więc takim sposobem, nigdy prawdziwy spokój nie zagościł w twojej duszy?
- Nigdy.
- To są nieuniknione następstwa zboczenia z prawej drogi życia.
- Widzę to. Anielo, powiedz mi, jaka jest prawdziwa droga życia, naucz mię.
- Po krótkiej przerwie, Aniela zapytała:
- Czy też kiedy myślałaś o Opatrzności?
- Nigdy.
- Jak można o tém nie myśleć, patrząc na cuda przyrody?
- Zdawało mi się, że szukać Opatrzności w tém, co się objawia na świecie, równałoby się postępowaniu małpy, która, widząc odbicie swojej postaci, zagłada ciekawie z tyłu za zwierciadło.
- Lichy to argument, a aż nazbyt oklepany.
- Niechaj będzie lichy, ale mnie dowcip podobnego rodzaju zawsze więcej przekonywał, aniżeli długa i nudna księga, pełna mądrych morałów.
- Czy to być może! Wielkie to nieszczęście; pochodzi ono nie-tyle z zepsucia duszy, co z braku gruntownego wychowania.
- Jak sobie chcesz: ale koniec końców, wszystkie te kwestye zawsze mi tylko w głowie mąciły, i nie miałam dosyć czasu, żeby się niemi zajmować.
- Nigdyż się nad tém nie zastanawiałaś, jak cała ta budowa świata sztucznie się utrzymuje? Z śmierci jednych jestestw wypływa życie drugich. Noc ma swoje tajemnice i wyłącznie sobie upodobane istoty. Słone morza fale kryją w sobie tysiące tysięcy żyjących twó-rów, tak samo jak liść na drzewie, jak grudka ziemi, po której depczesz bezmyślnie. W jednej kropelce wody pływa niezliczona mnogość żyją-tek, a miliony gwiazd jasných unoszą się w niezmierzonej nieba prze-strzeni.
- I cóż ztąd?
- Wszystko to stworzenie utrzymywaném jest wszechmocą Opatrzności. Każda rzecz ma swoje prawo, swoje odrębne przezna-czenie.
- Ale jakież z tego wyciągasz wnioski?
- Ztąd muszę naturalnie wnioskować, iż całe przyrodzenie ma swoje pierwowzory, swoje typy w jakimś pierwiastku wyższym od gru-

bój materii. Sama z siebie materia nigdy nie byłaby zdolną wydać tych jestestw; nie mogłaby spleść w cudną harmonię i poddać pod zgodne prawa tyle różnorodnych rzeczy i tworów, rozproszonych po przestrzeniach.

— Jeżeli materia nie wytwarza z siebie jestestw, czémże więc będzie ziarno nasienne rzucone na rolę?

— Śluszna uwaga; lecz ten cudowny związek, który się napotyka we wszechstworzeniu, musi być dziełem mądrości wyższej nad materią, musi być dziełem mądrości Boskiej. Materia może się nieświadomie odradzać; lecz nie zrodzi prawa, nie zrodzi harmonii, nie może utworzyć spójni wśród tylu różnorodnych pierwiastków, tylu sprzecznych z sobą żywiołów: w tym względzie materia jest ze wszech miar nieudolną.

— Co do tego, słuszność przyznaję ci zupełną.

— A! widzisz, zgadzasz się ze mną. Nie prawdaż, jak to mądrze, iż Bóg w skwarnych klimatach umieścił soczyste i orzeźwiające owoce, drzewa sutym liściem okryte, a w krainach chłodnych zupełnie co innego? Nieprawdaż, jak to cudownie, że te niezliczone światów miliony przebiegają niezmierzone przestrzenie, a każde swą drogą nakreślona tak, iż się nigdy wzajem nie potracają? Nieprawdaż, jak to zachwyca, kiedy odchyliwszy listek rośliny, znajdujemy tam istoty pływające w oceanie życia i tak samo w piaskach i w kroplach rosy, istoty wszystkie niezbędne do całości ogromnego planu stworzenia, planu przyrody?

— O! prawda, prawda!

— A patrząc na to wszystko, dusza, która myśli i czuje, istnieje jak ptak, co z gniazda zrywa się ku niebu, na skrzydłach miłości wlatuje aż tam w sfery nieskończone i wiekuiste, korzy się przed obliczem Stwórcy i wielbi Go w zachwycie.

— Boże mój!... Nie mogę znieść... ten zawrót głowy... jęć mowa sprawia na mnie tak dziwne wrażenie, z którego chcę się otrząsnąć, a nie mogę... ciągnie mnie za sobą, porywa... o mój Boże!

— Tak, tak, Margarito, wierz mi. Ja widziałam Opatrzność we wszystkich sprawach mojego żywota, rękę Jęć widziałam na każdej stronicie moich dzieł.

— Oh! ty tak nieszczęśliwa!

— Tak jest, ja tak nieszczęśliwa.

— Nawet w swoich nieszczęściach upatrujesz dowód istnienia Opatrzności?

— Właśnie w moich nieszczęściach. Ukochałam bez miary jednego człowieka. Dla mnie już nie było ani świata, ani nieba, nic, tylko jego miłość: grzeszne to samolubstwo zasługiwało na karę i zostało ukaraném.

— Więc i miłość czysta, godziwa, ma być grzechem? Tego nie rozumiem. Proszę cię, wytłómacz mi to jaśniej.

— Bóg nie chce, abyśmy się zamykali w ciasnej skorupie naszej osobistości. Tak samo jak z tylu tworów, rozrzuconych po wszystkich

szczeblach przyrodzenia, Bóg wydobywa życie i zgodność, również chce On, ażeby z tyłu serc, które umieścić na świecie, wypływało uszczęśliwienie dla całej ludzkości.

— A kochając, przeciwko temu zawiniłaś?

— Tak jest, zawiniłam. Zdawało mi się, iż Bóg dał mi głos na to tylko, aby nim zabawiać ucho Edwarda, skarby wyobraźni na to, by jego życie kwiatami ozdobić, dar myśli dla rozjaśnienia jego bytu, serce dla niego tylko jednego z całą pełnią uczuć.

— I to było grzechem?

— Ciężkim grzechem, gdyż zapominałam, że inne są jeszcze istoty na ziemi, bo powoli zasklepiłam się całą w twardą i samolubną konchę mojej miłości, bo wszystkie moje uczucia zachowywałam dla jednego tylko w świecie stworzenia.

— I twoja Opatrzność...

— I moja Opatrzność, odbierając mi serce Edwarda, ukarała mię srodze, lecz zasłużenie.

Margarita wzniosła oczy ku niebu, jakby zdumiona tén, co usłyszała.

— Tak—mówiła dalej Aniela—ukarała mię, dając mi zarazem poznać, iż życie moje do wyższych przeznaczyła celów, że uczucia moje powinny rozlewać się, jak deszcz z nieba, na wiele istot; że w ciasnym obrębie zamykać całą pełnię i cały ogrom życia jest szaleństwem, że kochać samolubnie, jak ja kochałam, jest zbrodnią. Uczułam w moich strapieniach rękę Opatrzności, która mi serce uciskała, cierpiałam, płakałam i z pokorą poddaję się Jéj wyrokom.

— No! mnieby nigdy podobne myśli nie przyszyły do głowy!

— Alboż w swoim życiu nie widzisz także ręki Opatrzności?

— Nie, widzę tylko traf, zrządzenia losu.

— Czy być może! Chcesz? to ja ci ją pokażę.

— I owszem.

— Zaślubiłaś Edwarda przez kaprys.

— To prawda.

— Za karę Opatrzność sprawia, żeś go pokochała.

— A i to prawda.

— Mitowałaś nad wszystko wielkość, panowanie, znaczenie u dworu.

— Nad wszystko. Panować, to był dla mnie szczyt chwały.

— A właśnie w takiej chwili, kiedy najbardziej mogłaś pysznić się tą chwałą, Opatrzność z rąk ci ją wydarła.

— Boże sprawiedliwy!

— O, tak, uznaj Jego sprawiedliwość.

— Mów dalej, Anielo, mów!

— Całe życie lubiłaś bawić się intrygami.

— Przyznaję się do tego, chociaż ze wstydem.

— Nie intryg przewodniczyła ci w życiu z towarzystwem, ze światem.

— Ol...—wyrzekła Margarita z pewnym odcieniem nieukontentowania.

— Uważam, że ci się to niepodoba. Skończę więc na tém moje spostrzeżenia.

— A, nie, nie; błagam cię, mów dalej: mów wszystko!

— Więc wszystko powiem. Intryga była wątkiem twojego życia i ona cię zawiodła do podziemnego więzienia, do stóp kata...

— Ach! tego mi nie przypominaj!

— Ta, którą boleśnie zraniłaś na duszy, odbierając jęj tego, którego ukochała, ta ci ocaliła życie; a ocalenie to, które mogło być stać się źródłem niewypowiedzianej radości, zatruiło ci byt.

— Dotąd czuję truciznę w mojem łonie.

— Opuścił cię małżonek, którego kochałaś. Utraciłaś potęgę, która była najgłówniejszym celem twojej ambicji; ta nie intryg powiodła cię po bezdrożach i zgubnych przepaściach; rozproszyły się twoje bogactwa, sama znalazłaś się prawie konającą na nędznym bartogu i coraz niżej spadając, doszłaś aż do samobójstwa: oto są straszne kary, logiczne w tak zawichrzoném życiu.

Margarita grozą przejęta, krzyknęła i głowę skłoniła na piersi, pod ciężarem gnębiących ją myśli.

Aniela przez długi czas milczała. Nareszcie Margarita podniosła głowę, wpatrzyła się w Anielę i rzekła:

— Dałaś mi poznać świat i niebo. Przekonałaś mię, iż to życie, które ja sobie wyobrażałam, jako cień narysowany ręką przypadku nad otchłanią czasów, ma nad sobą Opatrzność.

— Zaprawdę, Margarito, ma ją nędzny robak, a mógłżeby jęj nie mieć i nie być o nią przeświadczonym człowiek, który jest koroną całego stworzenia?

— Ach! czyliż na dobrej drodze nie użyczy mi Opatrzność swojej pomocy?

— O, bądź pewną, że cię wspierać będzie. Z nad ciemnej samobójstwa toni tu się dostałaś...

— I na moje szczęście spotkałam ciebie, Anielo.

— To wszystko, co przebolełaś, potrzebném było dla rozbudzenia twojej duszy.

— Tak, boleści te ją rozbudziły i może ona teraz rozmyślać o Bogu, zdolną jest uznać, iż szczęście znajduje się tam, gdzie dobro...

— O, dzięki Ci Boże!

— Potrafi z ufnością spodziewać się, iż Bóg raczy wyciągnąć nad nią dłoń miłosierną... i potrafi kochać, Anielol!

Margarita rzuciła się w objęcia Anieli i obydwie długi czas we wzajemnym uścisku płakały, jak dwie przyjaciółki; jakby dwie siostry, które po długiej rozłące mogą znów widzieć się i mówić z sobą.

— Anielo—rzekła w końcu Margarita—od tęj chwili odrzucam od siebie wszystkie moje uprzedzenia.

— O! tak, otrząśnij się z nich, jakby ze snu.

— Życia, szczęścia szukać będę na dobrej drodze.

— Tam jedynie je znaleźć możesz.

— Ciebie będę naśladować.

— Muje? oh, nie! naśladowaj Boga.

— Jakto?

— Będąc dobrą, sprawiedliwą, o ile możności dobroczynną, zwracając bezustannie wzrok duszy na ten ideał doskonałości, wypisany w twojem sumieniu.

— O! bądź tego pewną, Anieli!

— Teraz odpocznij trochę po wzruszeniach, jakie ci sprawiła ta długa rozmowa.

Wkrótce Margarita usnęła, jak dziecko, błogim i spokojnym snem niewinności.

XXI.

Począwszy od tego dnia, przemieniła się cała istota Margarity. Wygórowana żądza wielkości ustąpiła w jej sercu miejsca skromności i pokorze; kapryśna fantastyczka zrobiła się kobietą stateczną i wytrwałą; z pola intryg przerzuciła się na ścieżkę prawości; przedtém szalejąca wśród zamętu burzliwych namiętności, teraz była poważną, spokojną, sprawiedliwą; dawniej tchnąca nienawiścią ku ludziom, dziś stała się litościwą i miłosierną; a będąc wprzód nieraz zgorszeniem dla świata, mogła już być uważaną za wzór cnotliwego postępowania.

Smutki jej i cierpienia, przestroga, jaką Opatrzność dawała jej w całym pasmie życia, tkliwy głos Anieli, jej praktyczne przykłady cnoty, tak dalece pobudziły serce młodej kobiety do słodkiej nadziei, do łagodności, iż gwałtowny jej i nieokiełznany umysł usatkwował się i wypogodził, a nawet wkrótce zajaśniał nabytkiem piękna duchowego.

Skoro tylko uczuła się w dobrym stanie zdrowia, natychmiast opuściła klasztor i towarzystwo Anieli i umieściła się w skromnym i ubogim mieszkaniu. Tam wzięła się do pracy, do igły, aby sobie zarobić na utrzymanie. Niejedni z tych, którzy ją widzieli pełną przywar na łonie bogactwa i zbytku, widząc ją tak zacną wśród ciężkiego niedostatku, starali się jej dopomagać i można powiedzieć, iż w ubóstwie pędziła życie wolne od trosk i niepokoїв.

Wstawiała bardzo rano, bez niczyjej pomocy ubierała się i uprzątała swoje mieszkanko; posilała się na śniadanie szklanką mleka i pracowała do południa. O tej porze szła codziennie do klasztoru, gdzie jadała obiad z Aniela, ze swoją siostrzyczką, jak ją nazywała. Po obiedzie znów zasiadała do roboty aż do późnego wieczora i szła spać z myślą, że jutrzejszy dzień w taki sam sposób upłynie. Z wyjątkiem wszakże niedziel i dni świątecznych, w których zwykle dopomagała Anieli przy jej najrozmaitszych zajęciach, ku wieczorowi przechadzały się obie pospół po klasztornym ogrodzie, w poufnej gawędce o swoich myślach, wspomnieniach, nadziejach.

O ile Margarita była przedtém egzaltowaną w złém, o tyle była nią dziś w dobrém. Taż sama bystrość, ta gorąca wrażliwość, tenże sam zmysł inteligentny, w niej pozostały; lecz skierowane ku innym celom, nie ku złemu, lecz ku dobremu, nie wiodły jęj do zemsty, lecz do miłosierdzia, nie do nurzania się w bagniska, lecz do wznoszenia się na skrzydłach cnoty ku niebu. Wszystkie jęj zdolności, które miała do złego tak zaprawione i subtelne, uspiły się, a ocknęła się w niej ta wysoka siła moralna, ta moc ducha, mogąca życie uczynić tak piękném.

Aniela postanowiła sobie uszczęśliwić Margaritę. Właśnie dlatego samego, że była kiedyś jęj rywalką, pragnęła jęj dobra, jęj szczęścia; dlatego, że ją wykupiła z niewoli skażenia, gorąco ją ukochała. Widziała w niej własne swoje dzieło i z rozkoszą jęj się przypatrywała, podobnie jak mistrz wpatruje się z zachwytem w precudną rzezbę, występującą z bryty marmuru pod ciosami jego dłuta.

W istocie dusza Margarity była w pewnej mierze utworem Anieli. Tchnienie Siostry Miłosierdzia wniknęło w to serce, roznieciło w niem spokój i pogodę; życie jęj stało się wzorem życia dla Margarity, jęj postęпки prawidłem postępowania dla tęj młodej kobiety, którąby można przyrównać do robaka tarzającego się w prochu, co przybrawszy motyle skrzydła, zrywa się do lotu i szybuje po niezmierzonych obszarach pod wpływem dobroczynnego powiewu.

Tego tylko pragnęła teraz Aniela, ażeby Margaricie zapewnić wszelkie możliwe dobro, przywrócić jęj szczęście utracone, tego dopiąć, by Edward z nią się potęczył we wzajemném przywiązaniu, chociażby jęj własne serce pęknąć miało z bólu; albowiem ofiara była koniecznością dla duszy Anieli, promieniejącęj zawsze miłością i entuzjazmem.

XXII.

Cóż się przez ten czas działo z Edwardem?

Uciekając przed widmem Margarity, schronił się na francuzki statek. Zapewniwszy się, że nie będzie poznany, udał, iż pobudki polityczne zmuszały go do opuszczenia kraju. Okręt francuzki dał mu przytułek pod swoją banderą i powiózł go do Francyi.

Za przybyciem do Paryża, zmiarkował Edward, iż pobyt tam jego byłby bardzo smutnym na łasce u obcych. Prócz tego, życie stało mu się nieznośnym ciężarem: potrzebował zapomnieć sam o sobie.

W owych czasach wojna wrzała w Afryce. Francuzi wyprawiali coraz nowe wysyłki wojsk przeciwko barbarzyńcom, zamieszkującym skwarną tę krainę.

Wojna, zgietk bojów, życie w tak gorącym klimacie, widowiska, do jakich nie był przyzwyczajonym, głód, pragnienie, śmierć nawet, wszystko to przedstawiało się Edwardowi w kolorach nadziei. Potrzeba mu było zerwać ze swoją przeszłością, wymazać z pamięci dwa obrazy, które za nim goniły. towarzyszyły mu wszędzie i zawsze nieodstępnie: Aniela i Margarita, jakby dwa wyrazy, streszczające w so-

bie cały jego żywot, jakby dwa ostateczne krańce jego horyzontu, jak dwie wielkie napiętności jego serca, jak światło i cień jego sumienia, jak walka dobrego i złego, której dziedziną cała sfera duchowa i całe przyrodzenie.

Edward dopiął celu swoich pragnień: zaciągnął się do afrykańskiego pułku, będzie mógł walczyć, bić się, zapomnieć...

Francuzkie okręty podnosiły kotwice, zmierzając ku afrykańskim brzegom; zagłę ich białe, jak morska piana, wzdymał wiatr pomyślny.

Statki te niosły nowe posiłki w ludziach, na wojnę w Afryce. Były to zastępy, złożone z samej młodzieży, ochoczej, nieustraszonej, która biegła tak na krwawe boje, jak średniowieczni rycerze na turnieje i gonitwy.

Ze wszystkich ust płynęła pieśń pożegnalna do Francji, do ukochanej ojczyzny, do narodu, który już zniknął jak luba mara wśród mglistych osłon nieboskłonu i fal morskich. Żądza sławy, patryotyzm, ambicja, zapal wojenny: wszystkie te napiętności, które tak wysoko nastrajają serce człowieka i z których się rodzą najświetniejsze czyny, wszystkie one brzmiały w tym szczytnym hymnie pożegnania z ojczyzną. I wszystkie ramiona wyciągnęły się ku brzegom, z tym gorącym uczuciem, z jakim młodzieńcze serce żegna swój skarb najdroższy, swoją pierwszą kochankę.

Podczas tych gorących uniesień, jeden tylko młody człowiek odróżniał się swoim zachowaniem: słowa nie przemówił, łzy nie uronił, nie śpiewał, tylko się gorzko uśmiechał, wśród ogólnego entuzjazmu. Siedział na pokładzie z głową opartą na ręce, i obojętnie spoglądał na wszystkie objawy tak gorących uczuć.

Kiedy już ląd zniknął z przed oczu za krańcami widnokregu, i nic widać nie było, krom wody i nieba, uroczyste milczenie zajęło miejsce hucznej i ochoczej wrzawy. W obliczu nieskończoności, jaką przedstawiają morza i niebiosy, człowiek mimowolnie przychodzi do skupienia się i rozpamiętywania, jakby pod wyniosłym sklepieniem majestatycznej świątyni.

Jeden z młodych ludzi, którzy się najgorętszym odznaczyli zapalem, usiadł obok zadumanego młodzieńca.

— Uważałem—rzekł do niego—żeś pan z nami nie śpiewał... ani żalu w oku nie dostrzegłem.

— Nic, ani nikogo nie pozostawiałem we Francji.

— To smutno!

— Bardzo smutno!

— Ale gdzieś-indziej za to masz pan kogoś w pamięci?

— W całym świecie nié mam już nikogo.

— Rzeczywiście, trudno temu uwierzyć.

— Gdybym, zamiast opuszczenia brzegów lądu, opuszczał to życie, gdybym, zamiast puszczać się na to morze ciche i jasne, puszczał się na ocean wieczności, równie byłbym na to obojętnym i zinnym.

- O! kiedy tak...
- Wiem, zapytasz mię pan: ty, co jesteś już trupem, dlaczegoż zabierasz miejsce, powietrze, pożywienie, które się należą żyjącemu?
- Ach, nie, z pewnością nie!
- Przyznaję się do tego, że nie miałem odwagi umrzeć...
- Ale pocóż tak rozpaczać!
- Lecz będę miał odwagę dać się zabić.
- Jakże? czyż żadna już nadzieja nie uśmiecha się do pana?
- Nadzieja? Gdyby mogła istnieć jaka nadzieja, czegożbym się zalił?
- Alboż świat wydaje się panu tak pustym, że nie możesz spotkać na nim kogoś, coby cię pokochał?
- Nie, nigdy. To być nie może.
- Ależ to szaleństwo!
- Bardzo wiele masz pan jeszcze młodzieńczych ułud.
- Dlaczego pan to mówisz?
- Dlatego, że szaleństwem wydaje ci się nieszczęście.
- Bo naprawdę zdaje mi się, że tylko szalony mógłby się wyrzec nawet miłej nadziei być kochanym.
- Właśnie, to byłoby dla mnie największym nieszczęściem.
- A, tego zupełnie nie rozumiem.
- Wierzaj mi pan.
- Chyba powiesz mi pan, że twoja miłość zabija.
- Wyrzekłeś to pan tonem żartu: a powiedziałaś prawdę.
- Wstydz się pan! nabiłeś sobie głowę strachami.
- Tak, wierzaj mi: moja miłość zabija.
- Ależ porzuć pan te urojenia!
- Zabiłem przyszłość kobiety, którą kochałem, uczyniłem ją nieszczęśliwą na wieki.
- Doprawdy!
- Zamordowałem moje żonę...
- O, nieba!
- Jakżeż mogą być większe nieszczęścia? powiedz pan. Szczerście wydarłem aniołowi, kobietę pozbawiłem życia.
- Przestań pan: nie mów mi o tém!
- To prawda, nikt nie powinien wiedzieć o tych zbrodniach.
- Cóż pan teraz zamyślasz?
- Szukam śmierci. Mówiłem już, że nigdy nie miałem odwagi samemu sobie odebrać życie.
- Nieszczęśliwy!
- Litujesz się nademną?
- Bardzo: z całego serca.
- Zaprawdę, godzien jestem politowania.
- Lecz miej pan nadzieję w przyszłości.
- Przedemną już wszystko zamknięte.
- Kto to wie?

- Niéma, nie może być dla mnie przyszłości.
- Tego pan nie mów: w rękach bożych jest miłosierdzie.
- Lecz Bóg może spuścić na mnie tylko grom pomsty.

Tak wielką znać było boleść po twarzy i słowach młodzieńca, w którym poznaliśmy już Edwarda, iż towarzysz jego lękał się być mu natrętnym i swoją rozmową rozdrażniać krwawiące się jego rany. Pożegnał go więc z uczuciem i oddalił się. Edward, pozostawszy sam, wpadł znów w głęboką zadumę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KWESTYA ŻYDOWSKA

ze stanowiska prawnego.

Dziewiętnaście lat temu, dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. podpisany został Ukaz Najwyższy o równouprawnieniu żydów, który stał się podstawą bytu i stosunków téj części mieszkańców Królestwa Polskiego.

Żydzi weszli w używanie praw cywilnych i obywatelskich i z praw tych korzystają obecnie bez żadnego ograniczenia, bez żadnego ścienienia. Społeczeństwo miejscowe przyjęło nowych współobywateli zyczliwie i nie zmieniło téj zyczliwości, pomimo silnych agitacji anti-żydowskich w ościennych prowincjach cesarstwa Rosyjskiego i Prus, i pomimo usiłowań podburzających w kraju tutejszym czynionych.

Duchowieństwo katolickie, inteligencja i prasa, słowem wszyscy, którzy porządek i spokój za obowiązek patriotyczny poczytują, przyjaciele i nieprzyjaciele żydów, zgodnym chórem potępili wszelkie usiłowania zamącenia zgody.

Poruszone zostały przy téj sposobności nader ważne sprawy społeczne, dotyczące polepszenia bytu klas pracujących; powstały projekta kas pożyczkowych, gospód, mających zastąpić zgubny wpływ szynków, projekta sklepów spożywczych, mających położyć tamę wyzyskiwaniu przez przekupniów.

Chrześcijańscy i żydowscy mieszkańcy Warszawy połączyli się w ofiarności na utworzenie, na razie przynajmniej, kas pożyczkowych.

Węzły jednoci i zgody pozornie zacieśniały się między współobywatelami różnych wyznań, w obec wspólnego wroga, w obec anarchii; lecz czyli wiszącą w powietrzu kwestyą żydowską, uważać już można za załatwioną a przynajmniej uspioną—trudno stanowczo wyrzec. To pewna, że jest obywatelskim obowiązkiem rozjaśniać ją i wskazywać środki mogące doniosłość jej łagodzić.

Pomijam stronę ekonomiczną i wszystkie z tego stanowiska zarzuty i utyskiwania, które jętrzą stosunki nasze z współobywatelami żydami.

Wyzyskiwanie i pasozycetwo zarzucane żydom, są poczęści zarzutami jednostronnemi, niezupełnie wytrzymującemi ścisłą krytykę.

Ani artykuły dziennikarskie, ani broszury nie położą tamy wyzyskiwaniu. Pasożyty są zjawiskiem naturalnem, sa wrzodem w organi-

zmach roślinnych i zwierzęcych; powstanie ich i istnienie prawie zawsze warunkuje się chorobliwym stanem organizmów, na których się pojawiają i w skutek nieubłaganego prawa, giną razem z istotą, której sokami żyją.

Bezskutecznymi ponajwiększej części okazują się recepty przeciw pasożytom. Jedyne skutecznym środkiem jest wytworzenie silnych organizmów i uzdrowienie słabych.

Niezdrowym, niedość silnym musi być organizm społeczności, na której mogą kwitnąć pasożyty. Jeżeli, ulegając popędowi instynktu zachowawczego, społeczności takie chcą się otrząsnąć gwałtownymi ruchami, popełniają co najmień błąd ekonomiczny i narażają się na nie dające się przewidzieć następstwa przewrotu.

Przez pracę, oszczędność, zaradność i solidarność umocniony organizm społeczny, nie będzie obawiać się wyzyskiwania pasożytów i zmusi wyzyskujących do samoistnej także pracy. Jak zdrowie fizyczne ponajwiększej części zależy od wychowania i zachowania się jednostki, tak zdrowie moralne i dobrobyt społeczeństwa od zabiegliwości i dobrych instytucji są zawisłymi.

Na dobrą i trafną drogę zatem weszła prasa i inteligencja, kierując usiłowania swoje do stworzenia trwałej instytucji; lecz uzdrowienie i wzmocnienie organizmu społecznego, lecz taka kuracja nie może być dziełem chwili: wymaga czasu wiele i więcej jeszcze pieniędzy. Przypuszczając, że sama Warszawa mieści tylko 20000 robotników, co znaczą dziesięć, a nawet pięćdziesiąt i sto tysięcy rubli na kasy pożyczkowe, na sklepy i na gospody, mające zastąpić przekupniów i szynki. A cóż mówić o miastach prowincjonalnych?

Zrozumieli dobrze potrzebę chwili światlejsi izraelici: przyczyniają się do pomnożenia kapitału zakładowego na instytucję higieny społecznej i zapewniają „o uczuciach obywatelskich i o świadomości obowiązków względem kraju” (przemówienie delegacji do JKs. administratora dycezyi). Stawiając się na gruncie bezstronnej krytyki, zobaczymy o ile Żydzi spełnili i spełniają ciężące na nich z samego prawa obowiązki względem kraju.

Od daty Najwyższego Ukazu z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. (Tom 60, „Dziennika praw,” str. 19), Żydzi stali się, a przynajmniej stać się byli powinni równouprawnionymi obywatelami i współziomkami naszymi, jednolitą częścią składową narodu, z zachowaniem tylko odrębności wyznania i obrzędów religijnych.

Nadane im zostały obszerne prawa, stawiające ich na równi z innymi mieszkańcami kraju, ale też i włożone na nich zostały obowiązki; elementarną bowiem jest rzeczą współistnienie prawa i obowiązku. Kto chce korzystać tylko z praw a uchyla się od obowiązków, popełnia bezprawie. Każde zaś bezprawie razi i drażni wrodzone poczucie sprawiedliwości.

I pobudki i tekst Najwyższego Ukazu z dnia 24 maja (5 czerwca) 1862 r. jasno wykazują, że prawodawca obdarzył Żydów w najob-

szerniejszém znaczeniu wszelkimi prawami obywatelskimi i cywilnymi, na równi z innymi poddanymi Królestwa Polskiego; lecz pod tym koniecznym i kardynalnym warunkiem: aby zaniechali języka i pisma odrębnego.

Jakoż w pobudkach Ukazu, po wyjaśnieniu konieczności i przyczyn, skłaniających prawodawcę do obdarowania żydów równouprawnieniem, czytamy: „zważywszy z drugiej strony, że żydzi za przypuszczeniem ich do dobrodziejstw powszechnego prawa krajowego, **powinni** w czynnościach życia cywilnego **zaniechać** używania języka i pisma osobnego.”

W art. 1 Ukazu mieści się zniesienie zakazu nabywania dóbr ziemskich; w art. 2 dozwolono żydom zamieszkiwać w miastach i wszystkich ich częściach, oraz we wsiach bez żadnego ograniczenia; w art. 3 dozwolone zostało żydom nabywanie nieruchomości w miastach; w art. 4 i 5 porównano żydów z innymi mieszkańcami pod względem zdolności świadczenia w sprawach cywilnych i karnych; w art. 6 przepisano formę przysięgi dla żydów, odpowiednią ich wyznaniu; w art. 7 postanowiono: „od wydania niniejszego Ukazu, żadne czynności cywilne lub handlowe, piśmienne, jakoto: testamenta, umowy, zobowiązania, obligi i korespondencje handlowe, oraz inne jakiegobądź akta i dokumenta nie będą mogły być spisywane lub podpisywane w języku hebrajskim lub żydowsko-niemieckim, ani w jakimbądź języku pismem hebrajskiem, a to pod nieważnością aktu samém przez się prawem.”

Z przepisów zawartych w artykułach 1, 2, 3, 4, 5 i 6, żydzi w całej pełni korzystają. Czy spełniają wolę prawodawcy wyrażoną w pobudkach i powtórzoną w sposób rozkazujący w art. 7 wyżej przytoczonym Ukazie? Prawodawca w zamian za nadanie obszernych praw, nader mało wymagał od żydów: zaniechania języka i pisma hebrajskiego i żydowsko-niemieckiego, z czego wynika to konieczne logiczne następstwo, że wymagał przyjęcia we wszelkich stosunkach języka i pisma krajowego, polskiego: nic więcej.

Nie trzeba być nieprzyjacielem żydów, aby wyrzec stanowczy wyrok potępienia na większość żydów za to, że przez dziewiętnaście lat nadzwyczaj mało postąpili na drodze spełnienia woli prawodawczej, jeśli nawet pod pewnemi względami nie cofnęli się. Jakież jest język wykładowy w szkołkach żydowskich? Jakim językiem mówi i pisze ogromna większość żydów? W jakim języku prowadzone są rachunki i korespondencje handlowe żydów, z wyłączeniem większych firm bankierskich? Jaki jest procent umiejących podpisać się nie po żydowsku? Jak szerokie prawo obywatelstwa ma dotąd u żydów niemiecki i żydowsko-niemiecki żargon, w stosunku do języka polskiego? Niech odpowiedzą sumiennie sami żydzi. Aby zaś przekonać się, że zamiast polepszenia na drodze obowiązku wyżej przytoczonego, cofnęli się żydzi, dość przejść po ulicach Warszawy i innych miast i zliczyć tysiące szyldów i napisów w języku hebrajskim, lub żydowsko-niemiec-

kim, pismem hebrajskiem wypełnionych, których przed rokiem 1862, to jest przed równouprawnieniem nie było wcale.

Nie można wątpić, że ukształceni żydzi i najzarliwsi zwolennicy żydów zgodzić się muszą na to, że to jest źle, że to jest niewykonanie prawnego obowiązku względem kraju i społeczeństwa, a dla wszystkich ludzi miłujących porządek i sprawiedliwość, jest to smutny objaw chęci pozostawiania na stanowisku odrębnego narodu, nie rokujący tak pożądanego wzajemnego sprawiedliwego rozwoju uprawnienia, które w obec ustawy 1862 roku, jest jedynym godziwem rozwiązaniem kwestyi żydowskiej u nas.

Zastanawiając się nad prawnymi stosunkami żydów, przychodzimy zatem do następujących wniosków:

1. Że znaczna większość żydów lekceważeniem obowiązku nieodłącznego od nadanych im praw, przyczynia się głównie do podsycania rozdzielenia i niechęci, na które organa żydowskie tak często a tak niesłusznie użalają się, zamiast nawoływać do najściślejszego wykonywania tego obowiązku, bez czego samo korzystanie tylko z praw, może wydawać się bezprawiem i odsuwa zamierzone przez prawodawcę zatarcie odrębności żydowskiej.

2. Że pilną i niecierpiącą zwłoki jest koniecznością, ażeby wszyscy żydzi za przykładem niektórych swoich współwyznawców, weszli jaknajprędzej szczerze i stanowczo na drogę obowiązku wskazanego im w ustawie 1862 roku, jeśli chcą mieć prawo do zajmowania w społeczeństwie tego miejsca, jakie im prawodawca nadał i zachowania téj życzliwości, jakiej od współobywateli doznają.

Warszawa, dnia 5 czerwca 1881 r.

K. T.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„O regestach najstarszych dyplomatów naszych.” Z powodu dzieła prof. Smolki: „Mieszko Stary i jego wiek.”

Cenne dzieło prof. dr. St. Smolki: „Mieszko Stary i jego wiek,” doczekało się już godnej siebie, nader sumiennéj recenzji d-ra A. Lewickiego, w majowym zeszycie „Przewodnika naukowo-literackiego.” Zdanie Lewickiego o téj książce, da się pokrótce zreasumować w ten sposób, iż jest ona w głównym zarysie „bezsprzecznie jednym z najcenniejszych nabytków nowszej literatury historycznej,” jakkolwiek wielu jeszcze szczegółom zbywa na ostateczném wykończeniu, które zresztą drugie jéj wydanie z łatwością przynieść może. Właśnie najbardziej zaniedbanym szczegółem są umieszczone na końcu książki (str. 470—486), jako V-ty dodatek regesta dokumentów od r. 1105 do 1207. Ze zaś obecnie już i u nas ogólnie uznana jest potrzeba regestów, jako niezbędnej pracy przygotowawczej do szczegółowych studyów dyplomatycznych, które jedynie zdolne są ów niewielki zasób naszych najstarszych dokumentów tak uporządkować i do użytku praktycznego przygotować, że na nich się oparłszy, badacze pierwotnego ustroju Polski, będą mogli do ile możności pewnych i jasnych dochodzić wyników; przeto będzie teraz, kiedy pojawia się pierwsza próba polskich regestów, zupełnie na czasie, zastanowić się, na podstawie najlepszych pod tym względem wzorów w literaturze historycznej niemieckiej nad tém, jakimi właściwie w przeciwstawieniu do regestów Smolki, regesta najstarszych dyplomatów polskich być powinny.

Dwóch przedewszystkiém przymiotów szukamy w spisach dokumentów: zupełności i dokładności, t. j. żądamy od nich, aby wyczerpywały określony pewnemi granicami materiał i żądamy powtórę, aby odpowiadały ściśle treści dyplomatów i podawały równocześnie wyczerpujące wskazówki, gdzie i jak który z nich znaleźć można.

Otóż zastanowimy się najprzód nad zakresem naszych regestów. Ponieważ w samém założeniu leży już ograniczenie czasowe, przeto chodzi nam jeszcze tylko o bliższe oznaczenie zakresu co do

miejsca i co do samego materiału historycznego. Co do ograniczenia terytoryalnego zatem, skoro nikt zapewne szlążkim dyplomatom w naszym spisie umieszczenia odmówić nie zechce; przeto pomyśleć tylko musimy o tém, jakie stanowisko pomorskim sprawom w nim przeznaczamy. Niéma wątpliwości, że wschodnie, Gdańskie Pomorze (Pommern), jako integralna, czasowo tylko w XIV w. od państwa polskiego oderwana częśćka, do historii naszej przedewszystkiém należy; inna jednak jest rzecz z zachodniém Pomorzem, które już w drugiej połowie XII wieku odrębnemi raz na zawsze poszło drogami. Skoro jednak zamieszkałe było wówczas prawie w zupełności przez ludność lechicką, używającą tych samych urządzeń społecznych i państwowych ¹⁾, co i dzielnice Piastów, więc źródła jego, w badaniach wewnętrznych stosunków pierwotnej Polski, żadną miarą pominąć być nie mogą, a zatem w regestach umieszczenie znaleźć powinny.

Co się nareszcie tyczy ograniczenia materialnego, to wciągnięciem także i roczników, tudzież kronik do regestów, przez co się ich właściwy charakter zatraci a w spis chronologiczny faktów zamienia, czyni się wprawdzie pewną wygodę dla historyka, ale wielką niewygodę dla krytyka, mianowicie dyplomatyka, któremu takie pomieszanie dwóch kategorii źródeł, zupełnie odrębnego traktowania wymagających, wcale na rękę być nie może. Chcemy przeto mieć do czynienia tylko z materiałem dyplomatycznym, ale w jak najobszerniejszym zakresie; żądamy mianowicie uwzględnienia falsyfikatów i wszelkich wzmianek późniejszych źródeł o istniejących dawniej, lecz dziś już zaginionych dyplomatach XII wieku, kategorii, którą Sickel (*Acta Karolinorum*, I, 428; II 359), trafnie „*acta deperdita*” nazywa. Falsyfikaty, naturalnie zawsze z odnośną uwagą, powinny być umieszczone raz właśnie dla ostrzeżenia, a powtóre, że nie o każdym z nich zapadł już wyrok nieodwołalny; „*acta deperdita*” zaś ważnym są przyczynkiem, jako wskazówki do oznaczenia, choćby w przybliżeniu, stosunku wydanych w XII wieku dyplomatów do zachowanych po dziś dzień. Najlepiej będzie może i jedno i drugie pomieścić w osobnych spisach.

Plan prof. Smolki tylko wyłączeniem pomorskich dokumentów tudzież falsyfikatów, różni się od powyżej nakreślonego; lecz jakże u niego daleko od założenia do wykończenia. Prócz wykazanych przez dr. Lewickiego 26 numerów, wymienię jeszcze dokument Piotra arcybiskupa z r. 1176, nadający dziesięciny klasztorowi Sulejowskiemu (*Kod. W. Pol. I. Supplementum nr. 587*) i zwrócę uwagę na to, że w Grünhagena regestach szlążkich, znajduje się jeszcze dwadzieścia

¹⁾ Szczególnie charakterystycznym jest pod tym względem dokument pod nr. 41 w Kodeksie pomorskim Kosegartena i Hasselbacha z lat 1175—1176, gdzie nietylko o kasztelaniach w ogóle jest mowa, ale i szczegółowo te same co i w Polsce względem nich obowiązki ludności jako: gościna księcia, podwoły, budowa miast i zamków, narzaz, sep są przytoczone. Por. też dokument fundacyjny Oliwski l. o. nr. 46.

kilka autentycznych i zupełnych dyplomatów z okresu lat 1200—1207, nie wymienionych ani przez Smolkę, ani przez Lewickiego ¹⁾. Dodawszy do tego dokumenta pomorskie, których jest blisko czterdzieści ²⁾, znajdziemy, że liczba 90 numerów Smolki, właśnie się podwoiła. Cóż mówić o dziale „*acta deperdita*,” który, jakby tylko dla przykładu, zastąpiony jest dwoma wszystkimi numerami (59 i 60), skoro wyraźnie mamy ślady o istnieniu dziś już zaginionych dokumentów dla Łekna, Jędrzejowa, Sieciechowa, Koprzywnicy, Wąchocka i t. d. z XII wieku ³⁾? Po uwzględnieniu tego wszystkiego, a oraz falsyfikatów, nie 90, ale około 300 naliczymy numerów; nic dziwnego, skoro (spisując wprawdzie i wiadomości z innych źródeł zaczerpnięte) same szlązkie regesta 122, a same Pomorskie 144 do tego czasu odnoszących się pozycyi wykazują.

Zwracam się teraz do drugiego warunku dobrych regestów, aby określić bliżej, co rozumiem przez dokładność tychże. Chodzi o to, aby każdy numer spisu wiernie charakteryzował całą treść odnośnego dyplomatu w jaknajkrótszym wyrażeniu. Jeśli przeto dokument zdaje sprawę z kilku czynności prawnych, każda winna być przytoczona; jeśli wymienia kilka grup posiadłości, każda grupa musi być według swego położenia geograficznego w ogólnych określeniach podana: przyczem jednak wdawanie się w takie szczegóły, jak wyliczenie wszystkich miejscowości i osób wymienionych wraz z objaśnieniem tychże, uważam za zbyt ciężkie, skoro regesta nie mają być ani komentarzem dyplomatów, ani mogą uwalniać od czytania tychże. Ze względu na to, że dokładne zrozumienie dokumentów, zwłaszcza napotykaných

¹⁾ Są to numera Grünhagena (2 wyd.): 70, 73^b, 74, 75, 76^c, 77, 78, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 91, 98, 100, 103, 105, 107, 116.

²⁾ Por. Klempin: *Codex Pomeranino* (Regesta i uzupełnienia do Kodeksu Pomor. Kosegartena i Hasselbacha) I, n-ra: 61, 62, 63, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 74, 76, 77, 80, 84, 87, 88, 90, 91, 93, 94, 96, 97, 98, 102, 108, 111, 116, 119, 120, 126, 133, 134, 138, 140, 141. To zaniechanie dokumentów pomorskich, jakoteż bogatej literatury niemieckiej, odnoszącej się do dziejów tego kraju, przyniosło nietylko wielką szkodę owym wstępnym rozdziałom dzieła Smolki, kreślącym wewnętrzną ustrój pierwotnej Polski, ale stało się także przyczyną zaniechania bardzo wielu ciekawych kwestii co do stosunku władców zachodniego i wschodniego Pomorza, do siebie nawzajem i do Polski, jakie się tu w dość pokaźnej liczbie nasuwają, a o jakich wyobrażenie powziąć można z cennych uwag i dodatków do wydania źródeł Oliwskich w I-szym tomie „*Scriptores rerum Prussicarum*.” Autor bowiem nie uważał za stosowne w tej tak ważnej i ciekawej partyi dziejów XII wieku, samodzielnie przedsięwziąć badania i oparł się tylko na dziele L. Gisebrechta: „*Wendische Geschichte*.”

³⁾ Por. Kod. W. Polski (Zakrzewskiego) I, nr. 367, Piekosiński: Kod. M. Polski, I, nr. 11 i tegoż Kod. Kap. Kr. I, nr. 61; Długosz Hist. Pol. ad annum 1185; Heicel: O klaszt. Jędrzejowskim, str. 217 etc.

w nich wyrazów technicznych, może być dopiero następstwem studyów dyplomatycznych, dla których regesta są tylko przygotowawczą pracą, najodpowiedniej i najłatwiej będzie oddawać treść dokumentów wyrazami z nich samych wyjętymi i w języku łacińskim. Ponieważ ugrupowanie regestów będzie naturalnie chronologiczne, przeto data, jako kierunkowa całego układu wskazówka, powinna doznawać szczegółowego uwzględnienia, i nie tylko w rozwiązywaniu nowoczesnym, ale i z wszystkimi cechami chronologicznymi w dyplomacie wymienionymi (jako: indykeja, epakta i t. d.) przytoczona być może, aby używający regestów miał zawsze przegląd, o ile w każdym wypadku takowa jest w razie zgodności lub niezgodności tych wszystkich cech pewną lub niepewną, a oraz aby miał nieustanną kontrolę co do rozwiązywania tych dat przez autora regestów. Niedatowane pisma muszą być według pewnej, stałej zasady umieszczane, aby je łatwo odnaleźć można.

Przy końcu każdego regestu znajdujemy wskazanie zbiorów, w których odnośny dyplomata znaleźć można. Takie przytoczenie zbiorów nie powinno się jednak ograniczyć na spisie druków, lecz dawać na samem czele wskazówki o miejscu przechowania oryginału, względnie najlepszych kopii. Następujący spis druków winien być ile możności zupełny, przedewszystkiém zaś nie bezładny, ale należyte uporządkowany chronologicznie. Lecz nie tylko czasowe następstwo wydań, ale także stosunek ich wzajemny do siebie, oraz do samych źródeł musi być krótko i węzłowato, lecz z precyzją uwidoczniiony, najlepsze zaś wydanie odmiennym drukiem lub w jakikolwiek inny sposób odznaczone. Że takie postępowanie ani zbyt wiele trudu nie przysparza, ani do rozwlekłości nie prowadzi, o tém niechaj pouczy przykład, który tę metodę praktycznie najlepiej objaśni. W nrze 30 regestów Smolki, podanie źródeł w ten sposóbby się przedstawiało:

Or. in arch. cap. crac.

Gładyszewicz: „Żywot bł. Prandoty,” str. 203 ex or. Bielowski: „Monum. Pol.” II, 336 ex or. Piekosiński: „Kod. katedr. Kr.” str. 1 ex or.

Takięj metody cytowania źródeł w regestach trzyma się Sickel, bez wątpienia największa powaga niemiecka na polu dyplomatyki, i jego szkoła (Por. Sickel: „Acta Karol.” I, 419 etc.; „Monumenta German. Diplomata I;” Mühlbacher: „Regesta imperii”).

Korzyści tego postępowania są nazbyt widoczne; gdyby zaś powstało pytanie, czy nie za wiele tu żądano od układającego regesta, odpowiem, że do tego, który znosi materyał, należy wiedzieć i dawać wskazówki o tém, gdzie się tenże w lepszym, a gdzie w gorszym stanie znajduje, nie zaś do tego, który materyał obrabia lub który zeń buduje, t. j. do zbieracza regestów raczej, niż do dyplomatyka lub historyka, którzy pod tym względem powinni już przychodzić do gotowego. Metoda taka daje nadto daleko większą gwarancją wyczerpania zasobu dokumentów, niż jakakolwiek inna. Nie można natomiast żądać (jak to czyni Lewicki l. c.) od regestującego samodzielnej krytyki dokumentów, która jest

wynikiem osobnych a obszernych studyów dyplomatycznych. Regesta odpowiedzą zupełnie swemu zadaniu, skoro tylko przy każdym wątpliwym dokumencie krótką podadzą wzmiankę, kto go i w jakim dziele podejrzewał lub całkiem odrzucił, wielce się zaś zasłużą, jeśli przy każdym, o którym coś w ogóle pisano, umieszczą odnośne cytaty.

Jeśli mi nareszcie wolno też odpowiedzieć na najmniej ważne z nasuwających się tutaj pytań, a dotyczące zewnętrznej formy i układu takiego spisu: to sędzę, że formę tabelaryczną, podającą w osobnych rubrykach wystawcę, odbiorcę, treść i t. d. dokumentu, ze względu na łatwość przeglądu najlepiej dla regestów polecić można.

Jak pod względem zupełności, tak i co do wszystkich z pojęciem dokładności wiążących się szczegółów, regesta prof. Smolki wiele pozostawiają do życzenia. Ani oddają zawsze wiernie treść dyplomatu, dla przykładu przytoczę, że nr. 29 nie jest aktem fundacyjnym, lecz w pierwszej części potwierdzeniem posiadłości, a w drugiej aktem zamiany; ani też nie postarały się o wyczerpujące i należyte ugrupowanie wykazy źródeł, z krytycznych uwag zaś same zrezygnowały, wyłączając ze swego grona falsyfikaty. A tak niewiele korzyści studiom dyplomatycznym przynieść mogą. Nie można wątpić o tém, że autor „Mieszka Starego” byłby i regesta inaczej opracować w stanie, całym ich tylko nieszczęściem stało się, że znalazły się na końcu dzieła, które na termin konkursowy wykończyć należało.

Lwów, w maju 1881 r.

Dr. Fryd. Papée

Pamiętniki Metternicha ¹⁾.

Metternich należy do tych mężów stanu, których zbyt szeroki rozgłos w pewnej chwili, nietylko nie potrafił obudzić w opinii współczesnej spodziewanego uznania; ale którzy i przed sądem późniejszych historyków nie mogą się poszczycić trwałemi zasługami, choćby względem swojej epoki. Mając ten fakt przed oczyma, zważyć jednak trzeba, że sąd o ludziach publicznego stanowiska, odzywający się w chwili najenergiczniejszej ich działalności, lub wkrótce po ustąpieniu ich z widowni publicznej, ulega do pewnego stopnia wpływom zawiści i nienawiści, wpływom uprzedzeń i mamideł doktrynerskich przeróżnych stronnictw; dopiero później oczyszcza się i do należnej przychodzi wy-

¹⁾ Aus Metternichs nachgelassenen Papieren. Herausgegeben von dem Sohne, Fürsten Richard Metternich-Winneburg. Geordnet und zusammen-gestellt von A. v. Klinkowström. Wien. Braumüller, 1880, 1881. T. 1—4.

trawności. Otóż i sprawiedliwsze ocenienie Metternicha staje się już dzisiaj możliwszém, aniżeli to mogło mieć miejsce przed kilkunastu laty. My nie możemy zapomnieć nigdy o jego sromotném i nie polityczném postępowaniu względem naszych praw i względem naszych interesów narodowych; a historia nie przebaczy mu nigdy tego, że wydał naszych braci na pastwę rozszalałego gminu i wywołał oburzenie, któremu swego czasu dali tak piorunujący wyraz margrabia Wielopolski i hr. Montalembert. Człowiek na świeczniku politycznym, który chwytając się podobnych środków, jest już osądzony i nie pomoże nic chcieć rozgrzeszać go tém, iż leżało w jego zasadniczych zapatrywaniach się niszczyć wszystko, co mu się zdawało być w porozumieniu, czy w styczności wewnętrznej z ogólnie zamierzonym przewrotem, lub chcieć go tłumaczyć tém, że w ostatnich latach swego kierownictwa wyrosła mu biurokracya nad głową, że nad nią bezpiecznie panować już nie mógł. Toż nie kogo innego wpływ potężny, tylko jego, stworzył i wypielegnował taką sromotną biurokracyą! A jeśli pomnimy, że głównego jednego sprawcę ówczesnej jaquerie przeniósł na inne miejsce, ale nie ukarał; że obraz jego kazał w rok później umieścić w jednej z sal swego pałacu w Koenigswart pod Marienbadem ¹⁾; jakże rozgrzeszyć chcieć go od winy przeciw nam popełnionej? Wszak nie mówmy dłużej o tém, spojrzyjmy raczej w jego pamiętniki, nie dokończone wprawdzie, bo sięgające tylko do r. 1829, ale podające dość obfity materiał do poznania człowieka, który tak długi czas wpływ wywierał europejski i był typem ministra despotyzmu, chociaż do wysokości „zastług” żelaznego kanclerza nie doszedł.

Pierwsze dwa tomy, sięgające po r. 1815, ukazały się przed rokiem, dwa następne przed pięciu miesiącami. Pamiętnikami dzieło to bodaj nazwać można. Do r. 1815 sięgają wprawdzie notatki autobiograficzne Metternicha, ale od r. 1815 brak ich zupełny. Syn Metternicha zaradzić starał się brakowi temu przez ogłoszenie korespondencji ojcowskich, przez załączenie memoryałów i innych dokumentów urzędowych. Jeśli przez to pozbawił całą publikacyą jednolitości, dał jej natomiast wartość prawdziwą, prześcigającą o wiele wartość własnoręcznych notatek, na które tak bardzo spuszczać się nie wolno, odkąd kompetentni historycy wykazali (jak np. w tomie 44 pisma peryodycznego prof. Sybel, p. Bailieu), że Metternichowi chodziło mocno o wystawienie siebie w korzystném, ile możliwości, świetle.

Metternich niejedną ważną akcyą dyplomatyczną fałszywie przedstawił, a nawet wręcz przeciwnie, aniżeli dokumenta umieszczone w dziele opiewają; przypisywał sobie zamiary i poglądy, których w czasie dotyczącym nie miał; słowa, które nieraz przytacza, jakoby przez siebie powiedziane, były to parafrazy wyrażen i zwrotów, jakie w dokumentach się znajdują. Nieprawdą jest np., że Metternich już w r. 1814 przekonany był stanowczo o upadku Napoleona i dlatego ukła-

¹⁾ Fakt autentyczny, który w r. 1847 sami widzieliśmy.

dów w Chatillon nie prowadził na seryo. Nieprawdą jest również, co powiada o pokoju w Schoenbrun, jakoby Napoleon proklamował być zaraz po wstępnej ugodzie pokój i t. p. Ale krytyk niemiecki niedość, naszym zdaniem, rozróżnia między umyślném wprowadzaniem w błąd czytelnika, czego nie mógłby zresztą napewno i dowieść, a niedostatecznością pamięci, która także mogła nie zawsze Metternichowi dopisywać.

Co się tyczy charakteru jego, jako człowieka prywatnego, napotykałyśmy interesujące w tych tomach dane, które nam przedstawiają Metternicha, jako dobrego, a nawet czułego małżonka i ojca. Stracił dwie żony, troje umiera mu dzieci. Strata córki Klementyny wydobyla mu z duszy pełne rzewności słowa: „W mojem położeniu, kiedy tyle godzin przy zielonym stoliku siedzieć i pracować trzeba, oceniam rodzinne życie tém lepiej w chwilach wolnych, rozkoszuje się ma dusza tém mocniej barwami jego tęczowemi, które udzielają się wraz i światu całemu. Niestety! znikły promienne dni w kole mojem rodzinném, opuszczam moję pracownią, zaludnioną demagogami, aby patrzeć, na co? na moją biedną chorą...” Te i tym podobne wylewy uczuć zbolatego serca są bezwątpienia szczere.

Metternich był niewątpliwie szczerym także sługą swego cesarza. Karyerę dyplomatyczną obrał on nie z własnej woli, ale — jak pisze — z poczucia obowiązku dla cesarza, któremu już ojciec służył. Skłonność jego przemawiała za życiem, poświęconém sztukom pięknym i ścisłym umiejętnościom, jak po kilkakroć powtarza. Do ambicyi wcale się nie przyznaje. Credat Apella. Nad stanowiskiem, jakie zajął naprzeciw t. z. demagogicznym knowaniom i rewolucyi, rozpisuje się w mnogich ustępach. Że pojął ducha rewolucyi zaraz z początku, podczas gdy jego współcześni w iluzyach się obracali, powiada kilkakrotnie i przytacza, że jeden z jego guwernerów, zwolennik wielki Roussa, Basedow, byłby go mógł zaprowadzić na manowce, gdyby nie drugi guwerner ksiądz. Przypuściwszy że istotnie zaraz w początku miał on świadomość tego, czém groziła rewolucya; to brakło mu przecież, zdaniem naszym, świadomości ducha narodów i świadomości środków, zdolnych zażegnać ruch groźny. Wojsko, policya, biurokracya, oto były środki, jakie znał. To téż wyobrażenia nie miał o Anglii i o rozwiniętém tamże narodowém życiu, chociaż się chwali, że pojął z gruntu tameczne stosunki. Aby naród wolny mógł być wałem obronnym królewskości, to mu się w głowie pomieścić bodaj mogło. Ciasne te pojęcia nie przeszkadzały mu przecież dostrzegać: „że państwo federacyjne, złożone z odrębnych żywiołów narodowych, mogłoby tylko być zlaném przez krwawe i gwałtowne przewroty.” Lękał się, jak powiada w inném miejscu, nacisku germanizacyi we Włoszech, która drażnić tylko może uczucia Lombardów i „wątpi, aby istniały dwa kraje bardziej różne od siebie, jak Niemcy i Włochy.” Adwokatów miał za najniebezpieczniejszych zwolenników przewrotu. O Prusakach już w roku 1819 mówi: „Kilku ludzi z klasy nauczycieli, umyśliło zjednoczyć wszyst-

kich Niemców w jedno państwo. Dorosłe już pokolenie nie dało się przerobić, ale młodszemu zajęto się szczerze. I tak oto systematycznie pracując do celu tego zbrodniczego, wychowano już całe szeregi gotowych do rewolucyi zamierzonej szermierzy."

Jużto Prusaków niecierpiał. Piszę np. o tém państwie następujące słowa: „Od r. 1740 nie było chwili spoczynku dla armii pruskiej. Fryderyk II odezwał się już na łożu śmiertelném do swego następcy, że niechby tylko zachował te zdobycze, które on poczynił, a zdziała więcej, niż on zdziałał. Tymczasem następcy jego podwoili nabytki przez zabór reszty Polski. Przewroty, które od r. 1789 zagroziły światu zniszczeniem, Prusom dopomogły do poczynienia wielkich akwizycji. Wszystkie mocarstwa, bojujące z Francją, wyczerpały swe siły, Prusy jedne z wszystkiego korzyść odniosły, przymilając się Francji.” W pierwszym swym memoryale z r. 1801 mówi: „Cała polityka Prus zmierzała zawsze do tego, aby zwiększać wpływ swój i terytorjum swoje, nie pytając wcale o uznane powszechnie zasady, tak prawa narodów jak i moralności.” „Tak zwany sojusz książąt, powiada dalej, związany przeciw konstytucyi państwa niemieckiego, ale z zachowaniem pozorów konstytucyjnych, nosił w sobie zaród wszystkich tych klęsk i nie-szczęść, które się potem lawiną zwały na całą Rzeszę niemiecką... Zamiar Prus skierowany był ku pochwyceniu w swe ręce biegu spraw całego państwa, aby przy danej sposobności większą część Niemiec uczynić służebnicą chciwości swojej.”

Minister pruski Stein i inni działacze ówczesni, to u Metternicha organizatorowie ruchu rewolucyjnego, „któryby téż był wybuchnął po pogromie Napoleona, gdyby nie usiłowania dworów,” pisze w inném miejscu, lecz z wielką już w tym razie stronniczością, boć trudno up. ministra Steina liczyć do kategorii innej, aniżeli do kategorii ministrów, którzy lepij, niż Metternich, poznali, gdzie leżą nowe siły, mogące państwo podnieść i uzdolnić do przeobrażenia, na jakie czas przędziej czy późniój wskazywał.

Blüchera nie mógł znieść i cytuje o nim rzeczy i słowa, które znamionują istotnie surowego całkiem żołdaka. Ale żołdak ten Metternichowi nieraz popsuł dyplomacyą i ztąd zapewne złość jego głównie pochodziła. Uwagi godną jest opinia Metternicha o wojsku pruskiém ówczesném. „Armia pruska, pisze, wrzała tylko zemstą, a Blücher myślał tylko o tém, jakby ją poprowadzić na rabunek i zniszczenie Paryża. Tak-to siejba rewolucyjna, która w Prusiech od r. 1808 tyle owoców przyniosła, wystrzeliła tutaj w górę. Demagodzy stanowili otoczenie ministrów pruskich.”

Postępy myśli przewrotu przypisywał Metternich nienormalnie rozwijającej się oświacie, nagłym odkryciom i wynalazkom, wzbijającym rozum ludzki w zbyt wielką pychę, z czego wynikało, że wszystko, począwszy od rozumienia prawd Bożych, a kończąc na ekonomii politycznej, zdało się być w szystkim przystępne.

Chwali się wyrażnie, iż wyperswadował królowi pruskiemu na-

złe w tém, że każdy z nich chciał być budowniczym. Ale tacy są wszyscy Francuzi. Bodaj jednego wśród nich znaleźćby się dało, któryby się nie czuł zdatnym do rządzenia krajem." Metternich potwierdza, co krążyło o lekcyach, jakie brał Napoleon w chodzeniu i w przybieraniu poz, od aktora Talmy. „Nie cierpiak, pisze Metternich, Woltera. Chrześcijaństwo miał Napoleon za podstawę wszelkiej rzetelnej cywilizacji, katolicyzm za formę najstosowniejszą dla utrzymania ładu, a protestantyzm za wieczne źródło niepokojów i rozdarcia społecznego. Nie zaprzeczał istnienia cnoty, ale twierdził, że tylko marzyciele mogą chcieć iść w życiu politycznym za jej przepisami." Że tak nie jest, pokazały wypadki.

Ciekawa bardzo jest charakterystyka cesarza Aleksandra. Ciekawy jest i ustęp, w którym Metternich charakteryzuje dwór austriacki, a zarazem i siebie z okazji projektu zaślubin Maryi Ludwiki z Napoleonem. Marya Ludwika, jak wiadomo, przystała zupełnie na to, aby posłużyła za środek polityczny, uspakajający. Metternich pisze, że to zamążpójście było jedynym podobno środkiem, wiążącym na lat kilka ręce Napoleonowi, a dającym czas Austrii do uzbrojenia się należytego przeciw niemu.

Kończąc niniejsze sprawozdanie, wyznać musimy, iż Metternich jako mąż stanu, który losami Europy przez lat tyle kierował, nie występuje bynajmniej w dziele, wydanem przez syna, w świetle korzystniejszem niż dotąd. Patrzał on się na wszystko z dziwnie jednostronnego stanowiska, a brak poglądu szerokiego na sprawy publiczne, na ducha społeczeństw, na nadchodzących zmian przyczyny istotne, wywołuje zdziwienie w uważnym czytelniku. Nie mniemamy więc, aby pamięć Metternicha, jako męża stanu, na tej publikacji, jak się tego spodziewało wielu, zyskać mogła.

Ludwik Żychliński.

„Złota księga szlachty polskiej.” Przez Teodora Żychlińskiego. Rocznik trzeci. Poznań, 1881 r.

W chwili, gdy nie tylko u nas, ale w całej niemal Europie, rzucano się do badania przeszłości i skrzętnego zbierania i wydawania materiałów historycznych, obudził się również żywy ruch, niemal gorączkowy, w wyszukiwaniu i gromadzeniu wiadomości o rodach szlacheckich. Powstały ztąd różne wydawnictwa, czyto traktujące pojedynczo o pewnych familiach, czy zawierające w sobie monografie kilkudziesięciu rodzin, które mniejszą lub większą odegrały rolę, na widowni dziejowej.

Jeżeli w innych krajach, uznając pracę tę za użyteczną, podejmują całe towarzystwa uczonych mężów poszukiwania heraldyczne, to

należy się uznanie tym pojedynczym członkom naszego społeczeństwa, którzy, niezrażeni mozolną pracą, odtwarzają nam przeszłość rodów szlacheckich, która u nas jest tém ciekawszą, tém ważniejszą, że historye wielkich rodów łączą się z historią kraju i służą do jój wyjaśnienia i zrozumienia. Przedewszystkiém jednak dodajemy, że prace te, ażeby rzeczywisty pożytek przyniosły, winny być oparte na aktach autentycznych, nadaniach, tranzakcyach, wyrokach: jedném słowem na licznych dokumentach, przechowanych w archiwach publicznych i prywatnych, w których znajdujemy nietylko odbicie życia publicznego, ale dokładny obraz stosunków prywatnych i familijnych, ojców naszych.

Pierwszą większą pracą na tém polu w ostatnich czasach, były monografie historyczno-genealogiczne niektórych rodzin polskich, wydane przez Stanisława hr. Kossakowskiego i Juliana Błeszczyńskiego. Dzieło to słuszném się cieszy uznaniem, gdyż autorowie jego, jakto sami w przedmowie wyrazili, postarali się, iżby nie było zbiorem urojonych podań, próżności dogadzających; ale pomocą dla historyków, przez podanie faktów i dat z autentycznych źródeł czerpanych.

Rzeczywiście, autorowie osiągnęli w dziele tém cel zamierzony, gdyż postawili przedmiot przez siebie traktowany na właściwém stanowisku i dali wzór następcom swoim na tém polu, w jaki sposób należy pisać historią rodzin szlacheckich.

Wyznajemy, że skoro dzieło powyższe, z ukazaniem się trzeciego tomu przestało wychodzić, z niematem zaciekawieniem wzięliśmy do ręki rocznik pierwszy „Złotój księgi,” spodziewając się znaleźć w nim zalety, tak słuszenie cenione w pracy hr. Kossakowskiego i Błeszczyńskiego, a tém samém myśląc, że nowe to wydawnictwo potrafi zastąpić pierwsze, a nawet użytecznością je przewyższyć, że względu na peryodyczne wychodzenie roczników, a ztąd możliwości ciągłego uzupełniania i prostowania wiadomości poprzednio podanych.

Po przeczytaniu jednak pierwszego rocznika, doznaliśmy przykrego zawodu, gdyż nie znaleźliśmy w nim żadnych przymiotów, których od prac heraldycznych wymagamy, a sposób kreślenia monografii przypominał nam niejednokrotnie Duńczewskiego i Wielądka.

Pod wpływem tym daliśmy o téj pracy sprawozdanie, w którym nie potępiliśmy jój bezwzględnie, jedynie z uwagi na tysiączne trudności, z któremi się łamać musi autor heraldyczny, poraz pierwszy na tém polu występujący, oraz w nadziei, że jeżeli pobudką do tego wydawnictwa, była szczerza chęć autora przysłużenia się użyteczném dziełem społeczeństwu, sam powoli doskonaląc się w zamiłowanym przez siebie przedmiocie i dzieło swoje doskonalić będzie.

Rocznik drugi po części usprawiedliwił to zapatrywanie się nasze, gdyż, jak to w swoim czasie o nim wyrzekliśmy, jeżeli nie był dokładnym, to był o wiele staranniej opracowany, niż poprzedni i nie zawierał tych baśni heraldycznych, które autor za autentyczne podawał, a któremi pierwszy rocznik był przepełniony.

Rocznik trzeci „Złotój księgi szlachty polskiej,” który z końcem

roku zeszłego prasę opuścić, a o którym słów kilka pragniemy powiedzieć, tak doborem monografii, jak i sposobem, w który opracowane zostały, znakomicie się od swoich poprzedników wyróżnia.

Prawda, że może w części przyczyniły się do tego i ułatwiły pracę autorowi, monografie Brzostowskich i Platerów, poprzednio już w dziele hr. Kossakowskiego zamieszczone, dokładne rodowody domu Stadnickich, przez hr. Kazimierza Stadnickiego opracowane i cenne noty tegoż uczonego męża do drzewa rodowego książąt Jabłonowskich, ale tak w tych, jak i w innych monografiach znakomitszych naszych domów, jako to: Chrapowickich, Dąbrowskich, Kisielów, Naruszewiczów i Zarembów, autor „Złotej księgi,” odznaczył się sposobem traktowania przedmiotu, jasnością w przedstawieniu nieraz dość zagmatwanego rodowodu, zainteresowaniem czytelnika treścią monografii, zwiezłością i nie odrywaniem uwagi od głównego przedmiotu, przez podawanie niepotrzebnych i zupełnie zbędnych szczegółów. Nawet owe baśnie heraldyczne, legendy herbowe, nabierają interesu i zacięwiają, jeżeli są tak opowiedziane i takie miejsce zajmują w monografiach, jak np. w monografii Opackich.

Rocznik trzeci „Złotej księgi,” oprócz przedmowy, zawiera trzydzieści i kilka monografii więcej lub mniej znanych rodzin polskich, sprostowania i uzupełnienia do monografii tak w poprzednich, jako też i w bieżącym roczniku zamieszczonych, oraz dwie tablice rodowodowe: Działyńskich i Jabłonowskich.

W przedmowie autor, odpierając zarzut uczyniony mu przez p. Karola Estrejchera w „Ziarnie,” że celem wydawnictwa tego jest chęć obudzenia próżności i w odpowiedzi na to, że dzisiaj prędkiej szlachectwo pracy, jak szlachectwo rodu powinno rościć sobie prawo do złotej księgi, pisze: „Próżności niczyjej nie poduieca ten, który pragnie przypomnieć dzisiejszym pokoleniom ich przodków dzieje, z których nieraz mogą głęboką czerpać naukę i bodziec właśnie do pracy, téj jedynej, o czém nam przypominać nie potrzeba, gwiazdy przewodniej w życiu społeczném.” Do słów tych jednak należy dodać, że ażeby opowieść o czynach ojców, pobudziła dzisiejsze pokolenia do szlache-tnych czynów i pracy, naturalnie w zakresie tym, w jakim Opatrzność je postawiła, należy czyny ojców przedstawiać w prawdziwém świetle, podnosić zastuge jedynie tam, gdzie była rzeczywiscie, nie rzucać fałszywego blasku na rodziny i starać się przypominać w monografiach tych właśnie rodzin, które o tém zapomniały, że jak słusznie powiedział p. Estrejcher, prawdziwe szlachectwo jest łańcuchem szlache-tnych czynów, który dzisiejsze pokolenia z przeszłemi łączyć winien.

Zwracając się do monografii, które p. Żychliński w trzecim roczniku zamieścił, są one bardzo starannie skreślone i widać z nich, że autor nie żałował swéj pracy, w zebraniu wszelkich możliwych szczegółów, dotyczących rodzin, których historiją opisał. Szkoda tylko wielka, że autor, zanim przystąpił do kreślenia monografii, wiadomości tak skrętnie przez siebie zebranych, nie poddał krytyce i nie

sprawdził ich autentyczności, byłby przez to uniknął wielu pomyłek i opuszczeń, które jeszcze w roczniku trzecim spotykamy.

Daty również urzędowań, cytowane przez autora, nie zawsze są prawdziwe, a mógł łatwo błędu tego uniknąć, gdyby je zawsze brał z pomników Helcia, kodeksów i dyplomataryuszów, a nie z notatek udzielanych mu przez rodzinę.

W niektórych znów monografiach, jak np. Konarskich, do kreślenia których, widocznie w braku innych źródeł służyły autorowi za podstawę stare rodowody, nie znajdujemy wymienionych wcale lat, w których następowały po sobie pokolenia, ztąd niemożność sprawdzenia samych rodowodów, daty, w której urzędy różne miały być sprawowane i wielu szczegółów podanych przez autora.

Nakoniec, jeżeli p. Żychliński uznaje za potrzebne cytowanie całych dokumentów, częstokroć żadnej wagi nie mających, czynić to szczególnie powinien wtenczas, kiedy twierdzenia jego mogą wątpliwość wzbudzić w czytelniku.

Ostatnią uwagę nasunęła nam monografia Kisielów, w której należało dobitniej przedstawić i dokumentami usprawiedliwić, to powolne przejście z nazwy Kisielów—na Kisielów z Kiślan, Kisielów-Kiślańskich i Kiślańskich.

Dla nas podobne zmiany nazwisk nie są nowością: liczne mamy tego przykłady u szlachty osiadłej na Wołyniu i Litwie, ale dla tych z czytelników, którzy nie dostatecznie są obeznani ze starymi dokumentami i z różnorodnie przytrafiającymi się zmianami nazwisk, należało autorowi podać kilka aktów, którymiby tę przemianę usprawiedliwił i wszelką wątpliwość pod tym względem usunął.

Zarzut niedokładności monografii, któryśmy wyżej uczynili, usprawiedliwiamy przytoczeniem i prostowaniem pomyłek przez nas dostrzeżonych. Przechodzimy monografie w porządku alfabetycznym.

Monografią Dąbrowskich h. własnego, autor „Złotój księgi” oparł w większej części, jak to sam wyznaje, na rodowodzie, ułożonym w zeszłym wieku, przez Wawrzyńca Działowskiego sędz. ziem. chełmińskiego, a uzupełnionój przez dr. Kętrzyńskiego.

Widocznie w powyższej genealogii potomstwo Jana, wojewodzica chełmińskiego, zamieszczono jako potomstwo wojewody: pomyłkę tę przeniósł w całości p. Żychliński do monografii i tym sposobem całe jedno pokolenie w rodowodzie opuszczone zostało.

Jan Dąbrowski, wojewoda chełmiński, zmarł nie w 1513 r., gdyż już w 1514 r. nominacją na urząd przez niego piastowany, otrzymał Luzyński (Metr. ks. 28 f. 126). Na rok przed śmiercią, ustępuje on wszystkie swoje dobra żonie swój, Eufemii ze Smoląg, córce niegdy Hugona, kasztelana gdańskiego (Metr. ks. 26 f. 126). Wnieść mu ona musiała w posagu Smoląg, gdyż syn ich, Jan, był dobr tych właścicielem, o czém znajduje się wzmianka w metryce koronnój pod r. 1537 (ks. 54 f. 15). Wojewoda zostawił testament w 1511 r. sporządzony,

w którym znajdujemy wymienione jego potomstwo: synowie są Jan i Feliks i córka Eufemia (Metr. ks. 28 f. 125).

Nie może więc ulegać wątpliwości, że żoną lub jedną z żon wojewody, była Eufemia ze Smołagu, natomiast jedna z żon, przypisywanych mu w monografii (prawdopodobnie Lużyńska), była żoną jego syna Jana, gdyż w ustanowieniu opieki w 1551 r., nad dziećmi tegoż Jana, wojewodzica, powiedziano: że ustanawia się opiekę nad Janem, Hugonem i Eufemią, dziećmi niegdy Jana, zrodzonymi z Elżbiety, nie wymieniwszy jej nazwiska (Metr. ks. 79, f. 496).

Pokazuje się z powyższego, że wymienieni w metryce koronnej: Jan, Hugo i Eufemia byli dziećmi Jana Dąbrowskiego, wojewodzica, a nie wojewody i że ten ostatni, żonaty z Eufemią ze Smołagu, inne zostawił potomstwo, jak to, o którym wzmiankuje „Złota księga.”

Autor przyznaje, że chcąc skreślić dokładną monografią domu Działyńskich, należałoby wszystkie, a głównie pruskie przewertować archiwa, że to nad siły jego, a pragnąc jedynie nad świeżo usypaną mogiłą zasłużonego krajowi rodu, przypomnieć jego zasługi i naszkicować obraz jego rozwoju, podaje nam według źródeł jemu dostępnych, rodowód tego domu, a w tekście przedstawia działalność publiczną wybitniejszych członków tej rodziny.

Źródła jednak, na których się oparł autor, przy układaniu rodowodu Działyńskich, nie zawsze były dokładne; ztąd liczne pomyłki w rodowodzie, z których jedna większa, zupełnie podobna do tej, którąśmy w monografii dostrzegli.

Pan Żychliński, idąc za autorem „O narodowości polskiej w Prusach zachodnich,” podał, że Piotr Działyński z Woli, cześnik dobrzyński, z żony Doroty zostawił synów: Wincentego i Sędziwoja. Tak nie jest. Ów Piotr, w 1488 r. kasztelan słoński, żonaty był nie z Dorotą N., a z Anną Czarnkowską, córką Sędziwoja, podówczas kasztelana gnieźnieńskiego, na rzecz której w tymże roku zeznaje zapis (Metr. ks. 14. f. 238). Synów nie dwóch, a jednego zostawił: Jana, który się pisał także z Woli, a który w 1504 r., jako syn Piotra, kasztelana słońskiego, bierze w zastaw wieś Siedino od Kościeleckiego (Metr. ks. 20 f. 274). Tenże Jan, od 1511 r. cześnik dobrzyński (Metr. ks. 26 f. 44), zapisuje w 1513 r. posag żonie swój, Dorocie z Markowa (Metr. ks. 34 f. 180). Musiał i on być kasztelanem słońskim, gdyż w 1526 r. też Dorota z Markowa, jako kasztelanowa słońska, zeznaje akta z synami Wincentym i Sędziwojem, których to właśnie autor „Złotej księgi” zamieścił jako synów Piotra.

Mikołaj (pierwszy), brat Piotra, kasztelana słońskiego, zanim został wojewodą inowrocławskim, był w 1476 r. podkomorzym brzeskim, a w 1479 r. kasztelanem dobrzyńskim (Metr. ks. 12 f. 251 i ks. 13 f. 2), żonie jego Danaborskiej, było na imię Febronia (Metr. ks. 17 f. 182).

Ten Mikołaj, oprócz syna Mikołaja, miał jeszcze syna Jana i córkę Małgorzatę. Obaj bracia w 1515 r. zeznają akta (Metr. ks. 28

f. 151). Małgorzata w 1521 r. jest już wdową po Janie Szreńskim, wojewodzie płockim. W roku powyższym kwituje brata swojego Mikołaja (Metr. ks. 37 f. 146).

Mikołaj (drugi) został podkomorzym dobrzyńskim nie w 1517 r., a w 1510 r. (Metr. ks. 24 f. 299), kasztelanem chełmińskim, spotykamy go poraz pierwszy w 1530 r. (Metr. ks. 45 f. 157). Żona jego Magdalena, była córką Jana Foglera ze Studziannej Wody (Metr. ks. 26, f. 265). Pisała się również z Białej lub de Kuldeborne.

Ów Mikołaj, zmarły wojewodą pomorskim przed 22 maja 1545 roku, zostawił nie pięciu, a czterech synów i sześć córek. O synie jego Andrzeju, niema żadnego śladu. Córkom zaś: Eufrozynie, Annie, Febronii, Katarzynie, Zofii i Jadwidze, zabezpiecza w 1543 r. posagi (Metr. ks. 65 f. 134). Z nich Eufrozyna była za Mikołajem Radziejowskim, kasztelanem gostyńskim, a Zofia za Garnyszem.

Pierwszą żoną Michała (pierwszego), podkomorzego chełmińskiego, była Anna Sokołowska, wojewodzianka pomorska (r. 1554, Metr. ks. 86 f. 97), drugą Teodora BoguszoŹna z Siemiatycz, wdowa po Mikołaju Trzebuchowskim, kasztelanie guieźnieńskim (r. 1571, Metr. ks. 110 f. 176).

Jan (pierwszy) z podkomorzego dobrzyńskiego, został w 1545 r. kasztelanem gdańskim, a dopiero następnie jeszcze w tym roku kasztelanem elbląskim (Metr. ks. 69 f. 110 i 153).

Jego syn Stanisław, zanim został wojewodą chełmińskim, był wojewodą malborskim do 1615 r.

Paweł (czwarty), wojewoda pomorski, oprócz syna Adama, pozostawił syna Kazimierza, który w 1668 r. rezygnuje plac przy ul. Senatorskiej w Warszawie Krajewskiemu (Metr. ks. 206 f. 112).

Paweł (pierwszy), kasztelan dobrzyński, nie umarł w 1573 r., gdyż był kasztelanem po r. 1577, w którym z urzędu tego zrezygnował (Metr. ks. 115 f. 342).

W Grabowskich monografii znajdujemy Konopnickich, wymienionych jako Grabowskich. Hieronim, tak w nominacji na kasztelana, jako też i w innych aktach, zeznawanych przez siebie, zawsze się zwał Konopnickim. Nietylko Grabowscy, ale i Konopniccy h. Jastrzębiec, pisali się z KroczoŹa.

Tak o notach do rodowodu Jabłonowskich, jako też o samym rodowodzie, nie potrzebujemy wzmiankować, że muszą być dokładne, skoro opracowane zostały przez tak zaszczytnie znanego na polu nauk historycznych autora; dodajemy jedynie do nich kilka notatek, które o tój rodzinie posiadamy.

W 1469 r. Adam i Stefan, dziedzice Jabłonowa, w powiecie mławskim, otrzymali dla tėje wsi prawo magdeburskie (Metr. ks. 337 f. 36).

Rodzicami Jana-Stanisława, miecznika koronnego, rzeczywiście byli: Maciej i Katarzyna Kłomnicka. Otrzymali oni w 1615 r. kon-

sens na cesyą wsi Łucza ze starostwa halickiego, synowi Janowi, który wraz z żoną swoją Anną Ostrorogówną, w 1630 r. wieś tę posiada (Metr. ks. 158 f. 58 i ks. 178 f. 168).

Krzysztof Chodorowski, mąż Katarzyny Jabłonowskiej, był stolnikiem lwowskim; w 1661 r. został kasztelanem rozpińskim, nie musiał jednak sprawować tego urzędu, kiedy w kilku aktach po tej dacie zeznanych, zawsze tylko stolnika tytuł jest mu dawany. W 1663 r., zostawszy starostą winnickim, zrzekł się stolnikowstwa na brata swego Aleksandra.

Niemirycz, mąż Jadwigi Jabłonowskiej, był prawdopodobnie Stefan, od 1680 r. kasztelan, a od 1681 r. wojewoda kijowski. (Metr. Ks. 212, f. 346 i ks. 213, f. 235).

O Zbigniewie Oleśnickim wspomina Długosz pod r. 1359, ale należało p. Zychlińskiemu przytoczyć źródło z którego się dowiedział, że ów Zbigniew był łowczynią sandomierskim. Jan Oleśnicki objął urząd sędziego ziemskiego krakowskiego, w kwietniu 1405 r. ale nie po Janie z Tęczyna Ossolińskim, gdyż nawet wówczas Ossolińscy z Tęczyna się jeszcze nie pisali, a po Tomaszu, którego nazwiska ani herbu nie znamy, a który urząd ten sprawował przez ciąg 1404 r. i zmarł przed 16 grudnia t. r. (Helcel, t. II).

Jan Głowacz nie od r. 1425 a od r. 1431 marszałek wielki koronny, został kasztelanem sandomirskim w r. 1440 po Klemensie ze Strzelec; wielką łaskę wziął po nim Mikołaj z Brzezia (Helcel, t. II). Mylnie przeto w monografii powiedziano, że jednocześnie był marszałkiem i kasztelanem.

Wstęp do monografii Opackich jest niedokładny; zamieszczony w nim Ścibor biskup płocki, do tej rodziny nie należał. Mińsk również nie był ich własnością i inny był powód, dla którego z dóbr tych się pisali.

Prawdopodobnie Opaccy, jeszcze z końcem XIV wieku stanowili dom jeden, z mozną rodziną na Mazowszu, piszącą się z Gościeńcyc, a w posiadaniu której Mińsk zostawał; ztąd to zapewne, dla przypomnienia wspólnego pochodzenia z rodziną, która wysokie zajmowała stanowisko, Opaccy z Mińska się pisali.

Zyjący w 1419 r. Mikołaj z Opacza, miał brata Floryana; (Metr. ks. 3, f. 22), jednocześnie żył z nimi Santor z Gościeńcyc, który w r. 1425 rezygnuje część swoją na Mińsku Janowi z Gościeńcyc (Metr. ks. 3, f. 49).

W 1452 r. dziedzicami Mińska byli: Andrzej podskarbi księcia Bolesława, Jakób, Stanisław, Jan, Ścibor kanonik płocki i warszawski i Aleksy bracia z Gościeńcyc (Metr. ks. 4, f. 9). Do liczby tych braci, pomiędzy którymi nie znajdujemy wcale Mikołaja z Opacza, należy dodać jeszcze Janusza, o czém przekonywa akt z r. 1471, którym Katarzyna córka Stanisława z Gościeńcyc, a żona Mikołaja z Dłużniewa, przeka się ojczystego majątku na stryjów swoich: Ścibora biskupa płockiego, Jakóba kasztelana czerskiego, Aleksego chorążego

zakroczymskiego i braci stryjecznych: Jana syna Janusza i Jana syna Jana. W tymże 1471 roku nastąpił dział pomiędzy pozostałymi przy życiu braćmi, na mocy którego Mińsk przypadł w udziale Jakóbowi, który też dał początek domowi Mińskich.

Wracając do Opackich, to Jan, syn Mikołaja ze Stachny, miał za żoną nie Prażmowską, a Dorotę Kucharską, córkę Bolesty z Okunina (r. 1472, Metr. ks. 9, f. 81).

Mikołaja podkomorzego warszawskiego drugą żoną była Anna Sękowska. Z synów jego znani są: Wojciech, chorąży warszawski, starosta nowomiejski, Zygmunt, podkomorzy warszawski, następnie wojewoda derpski, Krzysztof, podczaszy czerski i Samuel, kanonik warszawski, którzy w 1625 r. zawierają między sobą układ (Metr. ks. 175, f. 535 i 538). Mylnie znajdujemy w „Złotej księdze” wymienionego jako jego syna Samuela-Frańciszka, stolnika czerskiego, którego sam autor następnie umieszcza jako syna Krzysztofa, nazywając go wprost Samuelem.

Zygmunt nie wziął województwa derpskiego po Denhoffie, lecz znacznie później. Denhoff na tém województwie nie umarł, lecz w r. 1604 przeszedł na sieradzkie; po nim województwo derpskie otrzymał Tyzenhausen, następnie Leszczyński, po którym dopiero mógł nastąpić Opacki i to po r. 1648.

Pierwszą żoną Zygmunta była Zuzanna-Małgorzata Schatin de Mitelbibrach, ostatnią Barbara Pieczowska, która jako wdowa po nim, otrzymuje kousens w 1670 r. na cesyą starostwa ryczywolskiego synowi Jerzemu-Karolowi (Sigillata, 11).

W monografii Pogórskich mylnie autor twierdzi, że nie Mikołaj Kościelecki, a Kościelski, był w 1516 r. kasztelanem inowrocławskim. Ow Mikołaj pochodził z linii Kościeleckich piszących się ze Skąpeco; był synem Jana wojewody inowrocławskiego i Katarzyny z Żyrawicy (Metr. ks. 25, f. 149). Był on następnie wojewodą inowrocławskim, brzeskim, a nakoniec kaliskim.

Podług kalendarza krakowskiego, Dobiesław z Sienna, wojewoda sandomierski, miał jedenastu, a nie trzynastu synów; jeżeli ich rzeczywiście było więcej, należało autorowi „Złotej księgi” wskazać źródło, z którego o ich liczbie powziął wiadomość.

Jan z Sienna syn Dobiesława, był podkomorzym przemyskim w latach 1440—1450 (Kalend. krak. i Metr. ks. 10, f. 52); nie mógł więc być kasztelanem wojnickim w 1437 r. W r. 1441 był starostą sandomierskim; z tym go tytułem znajdujemy w nadaniu mu przez Władysława Warneńczyka domu we Lwowie (AGZ., t. V, f. 105). Był on kasztelanem lwowskim, ale roku jego urzędowania trudno oznaczyć; w każdym razie nie mógł nim być od r. 1459 po rok 1477 jego śmierci, gdyż w 1461 r. kasztelanem lwowskim był Stanisław z Chodcza (Metr. ks. 11, f. 462), a w latach 1466—1474, Paweł Odrowąż ze Sprowy (AGZ., II i VI).

Dodany przez „Złotą księgę” Dobiesławowi wojewodzie sando-

mierskiemu syn Tomasz, nie mógł być w r. 1460 kasztelanem poznańskim, pomimo zamieszczenia go w spisie tych kasztelanów przez Niesieckiego. Kasztelanem poznańskim od r. 1451 po rok 1473 jest Piotr Szamotulski, który był i generałem wielkopolskim (Metr. ks. 10, f. 85, ks. 12, f. 128).

Ród Zarembów, jeden z najdawniejszych i najznakomitszych, liczył prawdopodobnie spory poczet dygnitarzy za czasów piastowskich, ale rzecz dziwna, że autor „Złotej księgi,” w monografii Zarembów zamieścił tych właśnie, którzy są niepewni, bo nawet urzędy, które mieli sprawować, w oznaczonym w monografii czasie, przez inne osoby są zajęte, a tymczasem pominął tych, którzy na pewno do téj rodziny należeli.

Nie znajdujemy w monografii Marcina, wojewody kaliskiego (rok 1314—1327, Kodeks wielkopolski, t. II) Wawrzyńca, kasztelana lendzkiego (r. 1352—1369), a następnie poznańskiego (r. 1370—1377, Kod. wielkop., t. III), Andrzeja, kasztelana szremskiego (r. 1377—1383, Kod. wielkop., t. III) i wielu innych.

Wawrzyniec Zaremba marszałek nadworny, w latach 1421—1423 (Helcel, t. II i AGZ., t. III) zmarł nie kaliskim wojewodą a sieradzkim. Jego to właśnie żona była Nawoyka, która w 1454 r. układa się już jako wdowa z synem Janem, podówczas starostą wieluńskim (Metr. ks. 10, f. 113). Córka jego Dorota była za Koniecpolskim, starostą i podkomorzym przemyskim. Koniecpolski był podkomorzym i starostą w 1463 r. jakże więc mógł być żonaty z osobą, żyjącą w połowie lub końcu XIV stulecia.

Marcin nie mógł być wojewodą kaliskim po 1460 r., gdyż na tym urzędzie znajdujemy w latach 1453—1475 Stanisława Ostroroga (Metr. ks. 10, f. 99 i ks. 12, f. 198). Ale natomiast Marcin był kasztelanem w latach 1401—1422 (Rzyszcz. i Muczk. i Vol. Leg.), następnie wojewodą sieradzkim w latach 1431—1436 (Helcel, t. II i Vol. Leg.).

Jan, wojewoda kaliski, zmarł nie w 1520 r., a przed 1484 r., z Dobrochny z Leżenicy zostawił syna Jana i córkę Jadwigę za Janem Denowskim (Metr., ks. 14, f. 72 i ks. 15, f. 8). Dopiero tego Jana wojewodzica, a następnie wojewody kaliskiego, zmarłego w 1523 roku, córka Anna była za Janem Chełmskim (Metr., ks. 36, f. 750).

Nie Krzysztof, a Wacław Zaremba, kasztelan nakielski, zmarł przed 1569 r., żonaty był z Dorotą Potulicką, kasztelanką rogozińską (Metr., ks. 47, f. 54). Synowie jego są: Jan, Jerzy i Andrzej (Metr., ks. 105, f. 141 i ks. 95, f. 562).

Z tego, cośmy powiedzieli, przekonać się można, że monografie w roczniku trzecim zawarte, jeżeli są jeszcze w pewnych szczegółach niedokładne, to niedokładności te, w porównaniu z temi, któremi uzupełnione były pierwsze roczniki, są małoznaczące i przy większej jeszcze uściślności autora, łatwo ich może uniknąć w następnych rocznikach.

Jeżeli obok tego weźmiemy na uwagę, że w nowowydanych mo-

nografiach znajdujemy już starannie oddzielone legendy herbowe, tradycje rodzinne i wiadomości niepewne od pewnych, przy których prawie wszędzie cytowane są źródła, z kąd je brał autor; że życiorysy, daty nominacyi na urzędy, wzięte są w znacznej części z krytycznie opracowanych artykułów Bartoszewicza i Huberta—przyznać musimy, że pan Żychliński skierowawszy przedmiot przez siebie traktowany, na właściwą drogę, wydawnictwem swém, prawdziwy pożytek przynieść może.

Adam Boniecki.

„Przygody pana Marka Hińczy.” Rzecz z podań życia staroszlacheckiego, spisana przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1881 r., w 8-ce, str. 312.

„Historji bohatera naszego początek był równie podziwienią godny, jak późniejsze jego losy.” Sierota, z miłosierdzia przez obcych przytulony, choć z dobrej szlacheckiej rodziny, gęsi paść musiał. Ojciec Bernardyn, chodząc po kweście, dowiedziawszy się, że dziecko szlacheckie żyje w takim opuszczeniu, że nawet pacierza nie umi, wziął go do klasztoru. Tam znowu Marek wpadł w oczy p. łowczemu, staremu kawalerowi, a pocziwego serca szlachcicowi, który, dowiedziawszy się, że pochodzi z rodziny tego samego co on nazwiska i herbu, wziął go do siebie na wychowanie. Pozostała w nim jednak pierwotna nieogłada pastusza. Chłopiec był dziki i hardy; łaski swego dobroczyńcy przyjmował oziębło, nie poczuwając się do wdzięczności, zawczasu nawykłszy do pokazywania swojej woli. Edukował się w domu, bo do szkół chodzić nie chciał; najwięcej ćwicząc się w konnej jeździe, polowaniu i swawoli, wyrósł okazale i zuchwałstwem imponował. Sierota i pauper bernardyński wychował się na zepsute paniątko. Mimo wielkiej dla niego słabości, p. łowczy uznał za konieczne wysłać go w świat, opatrzywszy należycie w drogę. Młodzieniec czuł się niejako pokrzywdzonym, bo zbałamucony względami swego dobroczyńcy, dom jego już za swój własny uważał. Ufności w siebie jednak bynajmniej nie stracił; ułożył sobie, że nie rozumem i pracą, ale szczęściem wszystko idzie i ufał w swoją gwiazdę. A szczęście mu istotnie sprzyjało. Na pierwszej stacyi, poraz pierwszy, grając w karty, wygrywa znaczną kwotę, robi znajomość z młodą i powabną wdową, zabija opryszka i zdobywa jego trzos ze złotem, wreszcie poślubia wojewodziankę, nie ładną, ale jedynaczkę i pod każdym względem o wiele od niego wyższą. Łowczy, zachwycony ślepem szczęściem swego wychowanka i koligacją senatorską, zapomina mu jego niewdzięczność, zapisuje Markowi cały swój majątek.

Niejeden czytelnik przyzna, że szczęście jest w tej powieści co-

kolwiek zatanie. Fortuna ma oczy zawiązane, ale trzebaż przynajmniej poszukać do niej drogi, bo sama chyba do nas nie przyjdzie odrazu. Mówi przysłowie: nieszczęście w grze, szczęście w miłości. Nasz bohater, który jest niepospolitym graczem, na niełaskę płci pięknej również uskarżać się nie może. Prawda, że te, które wchodzą do niniejszej powieści, na udzielanie względów mężczyznom, są może cokolwiek za rozrzutne. Taka np. starościna, zaczepiająca każdego, starego jak i młodego, lubo reprezentuje świat obyczajowy czasów przejściowych, gdy pod wpływem francuzkim, zaczęła się do nas wkradać dworszczyzna wersalska, w zalotności swojej atoli przechodzi wszelką miarę, nie już przyzwoitości, ale rozsądku. To drugi tom „Miry” o tyle mniej szkodliwej, że pomiędzy osobami, wchodzącymi do powieści, nie znalazł się sentymentalny głupiec w rodzaju „Orbeki,” któregoby roztratowała swojemi końmi. Usidliła tylko, a raczej wstępny bojem zdobyła dawnego swego antagonistę, starego poczwierca łowczego, który jednak, pomimo całej swojej dobroduszości, obejrzał się zawczasu i stotysięcznym okupem wolność osobistą salwował.

Daleko lepiej wyszedł nasz bohater, p. Marek Hińcza, który, lubo płcią piękną nie gardził, a nawet, jak zapewnia autor, dla namiętności nic nie szczędził i gdy mu się głowa zapaliła, żadne go niebezpieczeństwo odstraszyć nie mogło (str. 43); od chwili jednakże wyjścia w świat, okazuje się młodzieńcem wcale pozytywnym. Starościna, po trzechgodzinnych zalotach, przychodzi do wniosku, że to „drewniany człowiek.” Krewniaczkę jej, Miecznikównę, choć głębsze zdawała się sprawić wrażenie, opuszcza rezolutnie, jak tylko mu powiedziano, że mu nie sprzyja, choć mógłby wątpić o wiarogodności ust, które mu złożyły to oświadczenie. Hrabianka Justyna, po bliższym przypatrzeniu, takie na nim sprawiła wrażenie, że aż „ciarki przeszły;” gdy jednak Labuś zapewnił go, że śmiało starać się może o jej rękę, zaledwie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie wdzięki jej bardzo już przekwitte i które może w pierwszym kwiecie nie były osobliwe, nie wyższość edukacji, nie skarby serca, które zresztą w opowiadaniu tém dosyć skromnie występują, ale świetna koligacya, splendor światowy, speranda wysokiej protekcyi i niezły, choć niemagnacki posażek, czynią naszego bohatera, zwykle niepomierne zarozumiałego, tym razem tak nieufającym sobie, że mając się oświadczyć wojewodziance, zawczasu przygotował sobie konia do ucieczki. Niéma w tém żadnej dysharmonii z epopeją naszego bohatera, taką, jaką kreślą sprawy jego życia, tylko że jego pragmatyka niezupełnie odpowiada konturom fizyognomii, z którą nas uprzedził autor. Z tego, co autor o nim powiada, w chwili wyjazdu z domu łowczego, wyglądamy w panu Marku bardzo pierwotnego kroju junaka, który ufa sobie, bo czuje zdrowie i siły i ma fantazyą, bo ani przymusem wychowania, ani przeciwnościami losu w swobodzie nie hamowaną. Prostota życia naszych przodków i obyczaj, poza obrębem naleciałości cudzoziemskich, uczci-

we, sprawiały, że z takiej szkoły wychodzili nieszczególni wprawdzie obywatele Rzeczypospolitej, ale w domu, sąsiedztwie i kole towarzyskim ludzie sprawni, do wypitki i do wybitki jedyni, a zresztą nieszkodliwi. Lecz chyba i za dobrych czasów, edukacja taka nie dawała dostatecznej ręką życia i niewiedomo, czy nawet Mikołaj Rej z Nagłowic, pomimo wrodzonego sprytu i dobrego serca, byłby wyszedł na „pocziwego szlachcica,” gdyby pobyt na dworze Jana Tenczyńskiego nie rozniecił tlejącej w nim iskry możnego ducha. Otóż, z pokazania się naszego bohatera w świecie, przekonujemy się, że nie był takim łobuzem, jak to z pobytu w domu łowczego i z pożegnania się z tym ostatnim, wnosićby wypadało. Znajdujemy w nim i rozum kmięcy i fantazją szlachecką, a gdyby to już uważać za dar wrodzony, to przyznać wypada, że zachowanie się pana Marka względem kobiet wcale nie zdradza wiejskiego prostaczka, który płec białą najwięcej studiował pośród przadek dworskich albo w garderobie. Szlachetnych uczuć dopatrzeć w nim trudno, lecz nie widzimy, żeby kogo pokrzywdził, albo imieniu Hińczów ubliżył. Jeżeli kto, to chyba jeden łowczy mógłby się być na niego uskarżać, ale miał, na co zasłużył: kto nie umie wzbudzić szacunku, dziwić się nie może, gdy go cenią na tyle tylko, o ile wyzyskać mogą. Prawda, jest tam jeszcze jakaś Rózia, która płakała, gdy Marek wyjeżdżał z domu łowczego. Ależ chyba nie było zamiarem autora pisać sielanki? Choć to jest już cechą Kraszewskiego, że gdzie nawet najzupełniej stateczny świat wprowadza, choć z zakulisów, musi u niego wyglądać jakieś sentymentalne widziadło.

Charakterystyczne znamię tej powieści, napisanej zresztą z właściwem autorowi mistrzostwem, umiejacém odświeżyć i uczynić zajmującemi najbardziej ogadane temata, polega, na pewnym braku harmonii pomiędzy poetycznym usposobieniem autora, a prozą świata, który maluje z idealnym poglądem na życie. Kraszewski niechętnie skłania się do myśli, że powodzenie w tym świecie służy najczęściej ludziom umysłu poziomego, którzy przeciw zabiegłością i wytrwałością prześcigają orłów, spoglądających z nazbyt wysoka. Czyniąc to ustępstwo duchowi czasu dzisiejszego, na tle opowiadania z czasów dawno minionych, zdradza cokolwiek gorzką ironią, która czytelnikowi, polegającemu na wierze słów autora, przedstawia bohatera niniejszej powieści „niezasłużonym, ale szczęśliwym,” a nawet ściągnie na tę powieść zarzut nieprawdopodobieństwa. Zarzut ten wszakże okaże się tylko pozornie słusznym, to jest dopóki osoby działające, sądzić będziemy z ich czynów, nie z opisu. Ci, którym się słusznie powodzi, są wielkimi;—ale, może się stać pierwszym na wsi, kto nie chce być ostatnim w Rzymie. Pan Marek z Hińczy jest zapewne niesympatyczną, nie zdumiewającą, ale bądźco bądź pewne uznanie wzbudzającą postacią, która ze znikomości umie się dobić czegoś w świecie, nie jakąś loteryą, ale grą życia, w której podług słów poety:

Ten jest wielki! bo rozmierzył
Chęci swoje z siłą w chórze
I dokonał w co uwierzył.

Inne osoby, wchodzące do opowiadania, pominąć musimy, bo na bieg jego wywierają wpływ podrzędny, służąc głównie za tło obrazu ówczesnych obyczajów. Niektóre szczegóły opowiadania nie są rozwinięte, w całości to jednakże rażących szczerbów nie sprawia.

rb.

„Wady naszych sadów,” p. Edmunda Jankowskiego, redaktora „Ogrodnika Polskiego.” Wilno, 1881 r. Nakład E. Orzeszkowej, str. 36, w 8-ce.

Liczne podania (bo historii naszego ogrodnictwa nie posiadamy) świadczą, że w dawniej Polsce dużo było owoców; dziś ich mało i wzrastająca drożyzna nie świadczy, żeby ich miało przybywać. Z tego wnosić wypada, że albo dawniej daleko więcej było sadów (ogrodów owocowych,), albo też, że wydajność ich zmniejszyła się skutkiem przyczyn po części naturalnych (np. zmiany w klimacie, wyniszczenie lasów, łuk i t. p.) po części braku postępu w sztuce sadowniczej. Obiedwie te przyczyny mogą być mniejwięcej uzasadnione; ponieważ druga bezpośrednio od nas zależy, na nią więc główną należy zwrócić uwagę.

Zakładający sad, powinien rozpatrzyć się w miejscowych warunkach: w klimacie, gruncie, położeniu. Zły wybór gruntu niweczy nieraz długie starania ogrodnika; na co wielu gospodarzy nie zwraca uwagi, narażając się na pracę Danaid. Nietylko na wybór gruntu pod sad, ale także na odmiany drzew, zwracać należy uwagę. Mylne mniemanie, które zaleca trzymać się samych tylko odmian „krajowych” to jest tych, które w starych sadach napotkać można. Większa część naszych fruktów, jak same nazwiska pokazują, są obcego pochodzenia. Naganny jest zwyczaj zaniedbywania tabliczek (etykiet) szczepków nowonabytych, gdyż tym sposobem utrudniamy sobie spostrzeżenia konieczne, dla dokładnego poznania tego, co posiadamy w ogrodzie. Co powiemy o wadach i zaletach naszych odmian, gdy ich nawet z nazwiska nie znamy? Ogrody pomologiczne potrzebują poparcia od spostrzeżeń prywatnych osób. Brak jest porządku w wysadzaniu drzew nietylko ze względu na ozdobę, ale i dla uprawy, która w takim bezładzie staje się prawie niemożliwą. Drzewa sadzić należy w linie i równego wzrostu, t. j. mające koronę na tej samej wysokości, osłaniać od północy, ze wschodu i zachodu budynkami lub rzędami drzew gęsto rozgałęzionych. Należy zapobiegać wyjałowieniu gruntu ogrodowego,

który drzewa prędzej niż rośliny trawiaste wyczerpują; umiejętnem ich okopywaniem nie krążkiem, ale pierścieniem pod zakończeniami gałęzi, t. j. nad ostatecznymi rozgałęzieniami korzeni, albo co lepsza zakopać na tym pierścieniu około drzewa, w różnych od siebie odstępach po 5—10 rurek sączkowych, nałożonych nawozami, polanych wodą. Cięcie drzew, naśladowane z Francyi, w naszym klimacie dla sadów niewielkie może mieć zastosowanie, spowodowuje ciągły wzrost rozgałęzień łatwo podlegających mrozowi i jest przeszkodą w zawiązywaniu się pączków kwiatowych. Nakoniec zwrócić należy uwagę, że wszystko ma swój koniec i sad wiecznie w jednym miejscu być nie może; po kilkudziesięciu latach, pomimo starannéj uprawy, musi wyczerpać ziemię. Jeżeli ma przynosić dochód, zamiast dosadzania, jak to jest dotąd w zwyczaju, wypada urządzić kolej, co lat kilkanaście zakładać po kawałku nowego ogrodu, a obumarłe części dawnego, obracać pod warzywa lub rośliny trawiaste, dopóki ziemia nie wypocznie.

Wszystko to jednakże możebne będzie dopiero wtenczas, gdy mieć będziemy ogrodników wykształconych, na których nam zbywa. Trzeba poprzec istniejącą jedyną w kraju szkołę ogrodniczą, pomyśleć o założeniu drugiej i więcej, a przytém nietylko projektować, ale i dopilnować skutecznienia projektu, gdyż u nas bardzo często na projektach się kończy! Potrzebne jest także pilniejsze zajęcie się ogrodem pp. właścicieli, a nadewszystko właścicielek, gdyż kobiety mają na to więcej środków, dziedzicząc zamiłowanie owoców po Ewie, a kwiatów po Safonie; brakuje tylko potrzebnych wiadomości. Moznaby temu zaradzić urządzeniem popularnych odczytów, popartych odpowiedniami okazami, a w miarę możności repetycyami. Pogadanki takie mogłyby się odbywać w czasie np. zjazdów obywateli na wystawy, jarmarki i t. p. Jeżeli przyjdzie do skutku projektowane już „towarzystwo ogrodnicze,” wiele innych środków znaleźćby można, np. wysyłanie nauczycieli wędrownych ogrodnictwa dla oświecenia włościan, urządzenie specjalnych kursów sadowników, muzeów żywych roślin i t. d.

Autor należy do bardzo nielicznego u nas grona ogrodników umiętnych. Choćjeszcze młody, z prac swoich na tém polu dał się już dobrze poznać. Książeczka napisana jest w formie popularnej. Nie mając nic do powiedzenia pod względem rzeczy, nie dla samych tylko specjalistów interesującej, możemy tylko zrobić uwagę co do wspomnianych w téj książce wpływów naszego klimatu, a mianowicie jakoby zimy u nas ostrzejsze były teraz niż dawniej. Stóletnie obserwacje meteorologiczne w Warszawie, Krakowie, Wilnie, wcale tego nie poświadczają. Zaznaczyć tylko możemy coraz większą zmienność klimatu, osobiwie w porze wiosennej i coraz częstsze recydywy zimowe w końcu wiosny, t. j. w maju.

rb.

KORESPONDENCYA

Do Redakcy Biblioteki Warszawskiej.

W roczniku przeszłorocznym „Bibl. Warsz.” podaliśmy artykuł w kwestyi autentyczności pieśni Bulgarów macedońskich ze zbiorów Stefana Werkowicza, opierając się w nim głównie na pracy prof. uniwersytetu w Zagrzebiu Leopolda Geitlera. Prof. Geitler prowadzi dalej badania i w „Mittheilungen der antropologischen Gesellschaft in Wien” (X, 5, 6, 7), ogłosił dwa ciekawe artykuły w powyższej kwestyi. Pierwszy nosi tytuł: „Die Juda in den Mythen der Balkanvölker.” Judy w pieśniach u Werkowicza ważną nadzwyczaj odgrywają rolę; podobne one są do nimf klasycznej mitologii, do rusałek naszych, oraz do wil u Chorwatów i Serbów. Nazwę ich Geitler porównywa z łacińskiem *unda* i z litewskim *undu* (woda) i sądzi, że ta nie jest pochodzenia słowiańskiego. Rozebrawszy wszystkie szczegóły w owych postaciach mitycznych, dochodzi on do wniosku, że południowi Słowianie przejęli wiele mitologicznych pomysłów od plemion illirskich i trackich, mieszkających niegdyś na tychże samych ziemiach. Co do nas, zgadzając się na to, że pewne akcesorya owych dziewic mogły przejść z obcych pojęć, skłaniamy się więcej na stronę tych, którzy wyraz *juda* pożyczają za równoważny z wyrazem *joda*; w narzeczu macedońskim bowiem *u* bardzo często zastępuje *o*. *Joda* znowu równą jest wyrazowi *woda*, różnicę zaś stanowi jedynie przydech *j* zamiast przydechu *w*.

Drugi artykuł „Die Sage von Orfeus-Orfen,” roztrząsa analogie pomiędzy klasycznym Orfeuszem a bułgarsko-pomackim Orfenem. Geitler sądzi, że bajeczny ów śpiewak jest pochodzenia trackiego i od Tracków dostał się z jednej strony do Greków, z drugiej po wielu wiekach do Słowian bułgarskich. Że dawniejsza poezja południowo-słowiańska znała Orfeusza, tego dowodził Geitler w poprzedzającym swém dziele („Poetické tradice Thrakó a Bulharó“ str. 40—41) na podstawie „Osmana“ Gundulicza, który w pieśni III wiersz 10—22 wspomina, że Serbowie i Bulgarzy opowiadają o tym czarodziejskim śpiewaku i nazywa go sławnym Bulgarynem. Obecnie Geitler przytacza dwa nowe na to twierdzenie dowody: jeden z „Rozmów rybackich“ Hektorowicza, poety dubrownickiego z XVI w., drugi z poematu Palmoticza „Od-

uowiony Dubrownik“ (Zagrzeb, 1876) z następnego stolecia. Palmoticz miał udział w poselstwie, wyprawioném po wielkiém trzęsieniu ziemi (r. 1667) do dworu w Konstantynopolu przez senat rzeczypospolitéj dubrownickiej; poselstwo to opisał we wspomnianym wyżej poemacie. W pieśni XI czyni wzmiankę o błoniach, przez które przepływa piękna rzeka Maryca: „gdzie niegdyś łzawy Orfeusz tonami miedzianéj liry narzekał nad miłością swoją, którą za młodych lat był utracił.“ Dalej idzie opowiadanie o Orfeuszu i Eurydyce, według mitu klasycznego, co poeta kończy temi nader ważnemi słowy: „Wypadki te z dawnych czasów opiewają do dziś dnia wszyscy mieszkańcy, którzy kąpią się w jasnej, pięknej wodzie Marycy. Ztąd téż posłowie naonczas zasłyszeli takowe pieśni, gdy młodzi pasterze na polach o miłości śpiewali.“ Jeśli więc naonczas żyły jeszcze u Bulgarów podania o Orfeuszu, to czyż niepodobieństwem jest, by takowe do dziśdnia przetrwały u ludu tak konserwatywnego, jakim są powstrzymani tyle wieków w swym rozwoju Bulgarzy.

Jako curiosum dodamy, że prof. Makuszew, zacięty wróg autentyczności zbiorów Werkowicza, sądzi, że właśnie ustęp w Gunduliczu, któremu realnej podstawy widocznie odmawia, podsunął fałszerzowi pomysł podrobienia pieśni o Orfenie.

B. G.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Czerwiec 1881.—Prace wydziału gospodarczego 3-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, który odbędzie się w Krakowie od 21—25 lipca r. b., postąpiły w ostatnich czasach bardzo znacznie. Ilość prac naukowych z dziedziny tak nauk przyrodniczych, jako też lekarskich, zapowiedzianych w wydziale gospodarczym, dochodzi do poważnej cyfry 60, a spodziewać się należy, że liczba ta znacznie się powiększy, bo codziennie nadchodzą jeszcze zgłoszenia się z pracami, które podczas zjazdu mają być odczytane. Zgłoszenia dalsze przyjmuje wydział gospodarczy do 15 b. m., poczem wykaz odczytów i szczegółowy program zjazdu, ułożony i do wiadomości publicznej podany zostanie; z tego też powodu prace później nadesłane, warunkowo tylko uwzględniane będą. Podobnie i na wystawę przyrodniczo-lekarską, która równocześnie ze zjazdem się odbędzie, nadesłać należy zgłoszenia najdalej do 20 b. m., na ręce przewodniczącego komitetu wystawowego, d-ra Adryana Baranieckiego (muzeum techniczno-przemysłowe), przyczem nadmieniamy, że tylko te przedmioty będą przyjęte na wystawę, które nadejdą do Krakowa przed dniem 10 lipca. W zjeździe brać mogą udział lekarze i przyrodnicy (jako członkowie), którzy wniosą wkładkę 5 złr. w. a. (4 rub. 30 kop.), na ręce podskarbiego d-ra Daniela Wirzbickiego w Warszawie (Chmielna 11). Wnoszący wkładkę otrzyma kartę legitymacyjną, nadającą mu prawo do brania udziału we wszystkich czynnościach zjazdu i do korzystania z ulg w cenie jazdy koleją, o ile to staraniem wydziału gospodarczego uzyskać się da. Dotychczas uzyskano od dyrekcji kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zniżkę ceny jazdy dla osób udających się na zjazd o 50 procent zwykłej taryfy. Rodziny członków zjazdu uczestniczyć mogą w posiedzeniach publicznych i w wycieczkach wspólnych, które wydział gospodarczy podczas zjazdu urządzi; korzystać też mogą ze zniżonej ceny jazdy koleją, za nabyciem odpowiedniej karty legitymacyjnej, po cenie 2 złr. od osoby. Co się tyczy wycieczek urządzić się mających, to jedna z nich odbędzie się do Wie-

liczki, celem zwiedzenia salin, a o drugiej w okolicy Krakowa podane będą później bliższe szczegóły. Podczas zjazdu wychodzić będzie „Dziennik Zjazdu,” w którym pokrótce umieszczone będą wiadomości, dotyczące zjazdu, treść rozpraw i t. d. Redakcją tegoż objął doc. dr. Kaz. Grabowski, do którego też po bliższe informacje udawać się należy. Wydział gospodarczy wydaje nadto, jako pamiątkę dla członków zjazdu, książkę p. t.: „Zbiory, oraz zakłady lekarskie i przyrodnicze miasta Krakowa.” Redakcją zajmuje się prof. dr. Rostański. Zaproszenia na zjazd rozesłano pocztą i za pośrednictwem czasopism lekarskich; wszystkich zaś tych przyrodników, lekarzy i miłośników nauk przyrodzonych, którzy z jakiegobądź powodu zaproszenia nie otrzymali, na tém miejscu do uczestnictwa zapraszamy.

Przewodniczący dr. *Jordan*. Prezes Tow. lek. krak. prof. dr. *E. Janczewski*. Dr. *Jan Rosner*, sekretarz.

— Koło literackie we Lwowie ogłasza konkurs na napisanie książeczki o królu Janie Sobieskim, ze szczególném uwzględnieniem wyprawy wiedeńskiej, tudzież zasług, jakie ten król dla podniesienia dobrobytu wszystkich warstw w społeczeństwie naszym położył. Każdy rękopis opatrzonej ma być dewizą; nazwisko zaś i adres autora należy dołączyć w oddzielnój zapieczętowanój kopercie z tą samą dewizą. Za najlepszą z prac uznanych przez komitet konkursowy, otrzyma autor honorarium sto złr. (100) waluty austriackiej, tudzież 100 egzemplarzy wydanój kosztem koła literackiego książeczki. Prawo wydawania dalszych edycji zostaje przy autorze. Nadmieniam się w końcu, że czysty zysk, osiągnięty z rozprzedaży pierwszój edycji tej książeczki, koło literackie przeznacza na ustanowienie nowego konkursu dla dalszych wydawnictw, mających na celu szerzenie zdrowej oświaty pomiędzy ludem.

— Pan Wincenty à Paulo Dobiecki (z Rdzuchowa) ogłasza w „Kuryerze Codziennym” powtórny konkurs na napisanie najlepszego dzieła dla ludu, na którego nagrodę, wynoszącą 500 rs., żadna z nadesłanych prac nie zasłużyła. Szlachetny obywatel kreśli obecnie następujący plan dzieła: Dział 1-szy: wykład głównych prawd religii i moralności. Dział 2-gi: obznajmienie ludu z krótką historją kraju—władz rządowych, administracyi i sądów. Dział 3-ci: rolnictwo i chów inwentarza. Dział 4-ty: higiena i weterynaryja. Dział 5-ty: ogólny ustrój świata: części świata, morza, słońce, księżyc z gwiazdami, deszcze, burze, grady, posucha, lato mokre i t. p. Formą dzieła powinny być „Wieczory pod lipą,” ponieważ gawęda najlepiej trafi do umysłu wieśniaka. Termin konkursu oznaczony jest na dzień 1 kwietnia 1883 roku.

— Pisma codzienne ogłosiły szczegółowy program „Wystawy rolniczo-przemysłowój,” którą, jak lat poprzednich, urządza i w roku bieżącym niestrudzony w pracy obywatelskiej książę Michał Ogiński w dobrach swoich Retowie na Żmudzi, w dniach 8, 9, 10 i 11 październi-

nika. Wystawa składać się ma z 4-ch oddziałów, a mianowicie: 1) koni, bydła, owiec, nierogacizny, psów, kotów, ptactwa domowego, pszczół i ryb; 2) zboża, nasion pastewnych i ogrodowlznych; 3) narzędzi i sprzętów gospodarczych; 4) budowli gospodarskich. Brać udział w pomienionej wystawie mogą wszyscy obywatele, dzierżawcy i włościanie gubernii kowieńskiej i sąsiednich. Przyjmowanie przedmiotów wystawowych trwać będzie do dnia 27 września.

— Rezultaty ostatniego spisu ludności w Austrii tak się przedstawiają w różnych krajach koronnych, przy porównaniu z obliczeniem téjże, na koniec r. 1879 (to jest na rok przed spisem) dokonaniem na podstawie stosunku urodzeń do zejść:

Liczba mieszk. podług obliczeń:	Obliczenia na koniec roku 1879	Spisu z 31 grudnia roku 1881
w Austrii niższej	2230754	2329021
„ wyższej	752413	760879
„ Saleburgu	155388	163566
„ Styrii	1198700	1212367
„ Karyntyi	339698	348670
„ Karnioli (Krainie)	472908	481176
„ Illirii (Tryest, Istria, Gory- cya i t. d.)	641334	651532
„ Tyrolu i Voralbergu	902930	912690
„ Czechach	5474864	5557134
„ Morawii	2115960	2151619
„ Szlązku	565772	579456
„ Galicyi	6268811	5953170
„ Bukowinie	564973	569599
„ Dalmacyi	478556	474489
Ogółem w Przedlitawii . . .	22176745	22130684

W rezultacie więc, rzeczywista ludność Rzeszy przedlitawskiej z końcem roku zeszłego wykazuje się o 46059 mniejsza niż była przed rokiem, a raczej, jaką wyobrażono sobie że była; obliczenie bowiem podług ksiąg stanu cywilnego jest tylko fikcją, o tyle prawdopodobną, o ile za podstawę jej służy poprzedni spis ludności, jedyny sprawdzian rzeczywistego stanu rzeczy. Obliczenie (evaluatio) bierze stan formalny za rzeczywisty, liczy np. stałych mieszkańców bez względu na miejsce ich pobytu; nieobecnych, ukrywających się, wychodźców, przybyłych bez zameldowania i t. p. zupełnie pomija. Skutkiem tego, obliczenie wykazywać może podług okoliczności bądź większą bądź mniejszą od rzeczywistą, liczbę. To ostatnie najczęściej się trafia w krajach, gdzie ludność jest rozproszona a kontrola policyjna niedostateczna; albo gdzie wadliwe urządzenia, ucisk fiskalny i wojskowy i t. p. powodując nieufność mieszkańców względem rządu, do ukrywania się pobudzają. Jeżeli zaś cyfra powstała z obliczenia jest wyższą od wykazanej przy spisie, to daje się wytłómaczyć jedną chyba nieobecnością

pewnej liczby zapisanych do ksiąg ludności. Przyczyny zaś wywołujące nieobecność w wielkich masach, mogą być albo przemijające, jak podróże, żegluga i t. p., albo stałe, a te są warunki ekonomiczne, które zmuszają wielu mieszkańców do szukania środków utrzymania za granicą. Otóż to jest charakterystycznem, że przewyżka cyfry obliczonej nad wykazaną przy spisie, przypada tylko w dwóch krajach koronnych, w Dalmacyi i Galicyi. W pierwszym jest nieznaczna i dostatecznie tłómaczy się geograficznem położeniem prowincyi wyciągniętej wśród morza a pokrytej skałami jałowemi, co naturalnie skłania mieszkańców do rybołówstwa i żeglugi. Gdy zaś to żadną miarą nie może się stosować do środkowej i prawie wyłącznie rolniczej Galicyi, wyż wspomniony ubytek daje wyobrażenie o wielkich rozmiarach, jakie przybrało w tej prowincyi wychodźtztwo. Bez wątpienia różnica tak znaczna (315641 głów) nie jest ubytkiem jednego tylko roku; powstała z całego okresu jedenastoletniego od czasu poprzedniego spisu, gdy rok po roku składano do ksiąg ludności mieszkańców, którzy ciągle kraj opuszczali. Nie sprawiło to przecież wyludnienia kraju, gdyż spis 31 grudnia 1869 r. wykazał w Galicyi 5444689 mieszkańców, to znaczy że mimo ubytku powyższego 315641, ludność rzeczywista zwiększyła się o 509481 głów, czyli w stosunku przeszło 9%, gdy w całej Przedlitawii przyrost ten wynosi 8,3%. Niemniej jednak ów wyjątkowy w Rzeszy przedlitawskiej ubytek ludności Galicyi, wcale niepomysłne daje świadectwo stanu ekonomicznego tej ludności, bo przekonywa o warunkach, które sprawiają nader znaczne a największe w Austrii wychodźtztwo tej ludności.—Ogłoszone dotąd wypadki ostatniego spisu ludności w Austrii, są pobieżne i nie zawierają żadnej wzmianki o wychodźtztwie. Wiadomości z poprzednich dwóch spisów o tej materii, są również bardzo skąpe. Wiemy tylko, że przed r. 1848, t. j. przed uwłaszczeniem rolników, wychodźtztwo z Galicyi było tylko sporadyczne. Znaczniejsze cokolwiek rozmiary zaczęło przybierać około roku 1855 po trzech ciężkich latach nieurodzaju, gdy podług jednego statystyka austriackiego ¹⁾, umarło na tyfus głodowy około 200000 osób. Wychodźtztwo to zmierzało głównie do Królestwa kongresowego i sąsiednich gubernii cesarstwa a zasilał je ciągle odtąd wzrastający proletaryat rolniczy, skutkiem ograniczenia prawa rozporządzalności gruntami włościańskimi. W ruchu tym jednakże właściwe wychodźtztwo pewną tylko część stanowiło, więcęć zaś osób wydalało się li tylko na czas nieokreślony dla zarobku za kordonem. Przynajmniej spis 1869 roku podrzędne daje miejsce Galicyi pod względem wychodźtztwa (szóste po Szlązku, Morawii, Czechach, Austrii niższej i wybrzeżu Illiryskiem). Około tego czasu agenci nadgraniczni zaczęli przywabiąć ludność podgórz krakowskiego i sandomierskiego do wędrowki za morze. Wędrowki te były już niepowrotne, gdyż mała tylko część zawie-

¹⁾ Temple. Ueber die polnische Nation in der Oesterreichische u. Monarchie. Wien, 1863.

dzionych i zbiedzonych zdołała powrócić do kraju a los ich nie zdołał odwieść ludu bałamuconego przez agentów, od weszłego już w zwyczaj szukania chleba za morzem. Tak szerzy się ciągle i całe wsie porywa. W roku zeszłym liczono około 14000 osób przybyłych do Ameryki z Galicyi, w téj liczbie wprowadzie wielu żydów nietylko galicyjskich, ale z Podola, z Ukrainy i t. d. przybyłych drogą przez Galicyą. W sprawozdaniu o zeszłorocznym targu zbożowym we Lwowie, przytoczone zostały fakta emigracji ludu galicyjskiego nietylko do Ameryki i sąsiednich ziem polskich, ale do Bośni, księstw naddunajskich i krajów czarnomorskich! Podług tego, powyższa cyfra 315641 głów ubytku ludności galicyjskiej z okresu lat 1870—1881 nie zdaje się wcale przesadzoną. — Jakkolwiek szkodliwym być może wpływ agentów emigracyjnych na ciemną ludność wiejską, przyczyny tak znacznego wychodźstwa szukać należy przedewszystkiém w ekonomicznych warunkach jój bytu a głównie w tém, że Galicya nie jest już w stanie wyżywić zgęszczonej swojej ludności (4115 głów na milę kwadratową, w zachodnich obwodach do 6000, a w bocheńskim i tarnowskim 8000). Gęściój wprowadzie są od niej zaludnione Szlązk austriacki, Morawia i Czechy, ale tym, oprócz bogactw przyrodzonych, zapewnia utrzymanie przemysł, który w zacofanej, częścią gnuśnością mieszkańców, częścią traktowaniem jój po macoszemu przez dawniejszy rząd Galicyi, po wieloletniém zaniedbaniu dźwignąć się nie może. Fabryki i rękodzielnie improwizować się nie dają; aby stanąć mogły, potrzebują wyrobienia zdolności fachowych a na to potrzeba i czasu i kapitału. Nim to nastąpi, trzeba się łamać z tysiącznemi przeciwnościami, które i najlepsze chęci ostudzić mogą. Ale Galicya ma zasoby przyrodzone dotąd mało zużytkowane: ma sól, z której tylko w części korzysta, ma naftę z której korzysta mało, ma węgiel, z którego wcale nie korzysta. Kapitały innych zamożniejszych ziem naszych, zamiast rzucania się w przedsiębiorstwa kolejowe rosyjskie, powinnyby nie zostawiać tych zasobów Niemcom. Obywatele zaś wschodniej Galicyi, którym nieraz brak rąk roboczych, mogliby pilniej w to wejrzeć, żeby ich lud bratni z Podgórza zachodnio-galicyjskiego nie potrzebował szukać chleba w Ameryce albo za Dunajem.

— Jak sejmuje Rada miejska Lwowa, szkic dosyć charakterystyczny dają nam rozprawy, o których wiadomości podajemy tu podług stenografii „Gazety Lwowskiej, nr. 125, 126 r. b.; z powodu projektu pożyczki czteromilionowej na pokrycie deficytu budżetowego i niektóre konieczne ulepszenia, mianowicie: zasklepienia koryta Pełtwi, która płynie przez środek miasta, tworząc zwolna ciekącą strugę, a jest właściwie kanałem miejskim, bo do niej spływają wszystkie odchody z domów; dalej wybrukowanie ulic, które mają makadam bardzo wątpliwéj trwałości, urządzenie targu krytego (bazaru) na placu Halickim (który jest tém, czém Żelazna Brama w Warszawie), a dziś odbywa się pod gołym niebem, wśród kurzawy lub błota, w wielkim nieporządku; na koniec wystawienie budynków na szkoły i przytułki ochronne, tułające

się po lokalach najmowanych. Mimo chronicznego od wielu już lat deficytu, stan finansowy miasta Lwowa wcale nie jest rozpaczliwy, stosunkowo do innych miast Rzeszy przedlitawskiej, można go nawet nazwać pomyślnym. Cały bowiem dług dotychczasowy gminy wynosi tylko 750 tys. złr., który, jak objaśnia referent rady miejskiej, profesor Biliński, pochodzi z obracania zwykłych intrat miejskich na wydatki właściwie do extraordinaryów zaliczać się mogące, jak budowle, kanały, nowourządzane bruki i t. p. Dług ten w porównaniu do innych miast równej wielkości, jest umiarkowany; mniejsze od Lwowa, miasta: Kraków, Hradecz Styryjski (Graetz), są więc obdłużone. Gmina lwowska jest zasobna, posiada dobra ziemskie i inne nieruchomości, szacowane na 11 milionów złr. Ta zasobność, wszelką dająca ewikcyą i obecny stan rynku pieniężnego, pozwalają zaciągnąć pożyczkę na bardzo umiarkowany procent 4%. Kto widział Lwów, ten przyzna, że jak na miasto statystyczne i stołeczne rozległej prowincyi, bardzo mu wiele brakuje pod względem policji miejskiej; blisko o połowę mniejszy Kraków, przewyższa go pod względem porządku ulic, budowli i gmachów publicznych. Wyż wspomniane zresztą cele pożyczki w żadnem porządnem mieście za zbyt wysokie poczytać się nie mogą. Inaczej jednak zapatrują się na tę sprawę sławetni obywatele miasta stołecznego Lwowa, a przynajmniej pewna ich liczba; przeraża ich myśl, że te 4 miliony, które dziś pójść mają na uporządkowanie miasta, niebawem na własną ich kieszeń spaść mogą; projekt przeto pożyczki gwałtowną wywołuje opozycyą. Rzecznik tej opozycji p. Ciesielski utrzymuje, że miasto Lwów pod względem potrzeb do życia jest najdroższem w Europie; komorne zwłaszcza, podług niego, miało tak podrozić, że osoby mniej od 1000 złr. dochodu mające, zmuszone są mieszkać za miastem. Wydatki, spowodowane obecną pożyczką, doprowadzą tę drożyznę do ostateczności. Przedsiębrane roboty miejskie, wywołują proletaryat roboczy i groźne przesilenia, gdy po dokonaniu robót, wiele rąk pozostanie bezczynnych. Same zaś te roboty wątpliwi przyniosą pożytek. Zasklepienie Pełtwi nie uwolni miasta od szkodliwych wyziewów, bo te rozchodzić się będą z innych kanałów miejskich, z domów i podwórzy. Kamieni przydatnych do téj budowy miasto nie posiada. Lepiej zasklepić podkładami dębowemi z lasów miejskich, to będzie równie trwałe (?) i kosztować przeszło 10 razy mniej. Na pokrycie deficytu i koniecznych wydatków extraordinaryjnych, mówca proponuje, zamiast pożyczki, sprzedaż dóbr miejskich, oprócz lasów. Gdy pomimo oklasków, które galerie udzieliły mówcy opozycji, większość zgromadzenia zdawała się przechylać na korzyść wniosku pożyczki, opozycya bez żadnego oświadczenia, ryczałtem opuściła salę. Gdy przyszło do obliczenia głosów, pokazało się obecnych w sali radnej 49, a do kompletu uchwały potrzeba 50. Wypadło więc odłożyć głosowanie do następnego posiedzenia, nie bez obawy, że opozycya i nadal znajdzie sposób niedoprowadzenia do skutku wniosku, który już pozyskał acz słabą, większość rady. Jużto rada miasta sto-

łecznego Lwowa, ma swoje kroniki dosyć ciekawe. Niezbyt dawno, do najpospolitszych jój zjawisk, należało stawianie się nie w komplecie potrzebnym do prawomocności uchwał, tak, że miesiące schodziły, a spraw nawet bieżących załatwić nie było można. Nie bohaterska to przecież sprawa, zaprowadzenie numeracyi domów i tablic z napisami ulic; a prześwietna rada medytowała nad tém trzy lata! Zrazu sam projekt wywoływał dość żwawą opozycyą. Na co nam numera policyjne, gdy przez tyle lat obywaliśmy się liczbowaniem hipoteczném i było nam dobrze. Po co napisy ulic na tablicach, wszak urodzony lwowianin i tak wszędzie trafi? Konserwatyści sui generis radzili byli w ostateczności uchwalić wydatek na odświeżenie dawnych napisów na murach, pochodzących chyba z czasów Józefa II i bardzo wiernie z niemieckiego tłómaczonych, tak że czytałeś np. Frenel-ulica; Majer-ulica i t. p. a z powodu zatarcia się wielu głosek, brzmiących w taki np. sposób: N-(owa) ulica albo Hofmans-gasse-ulica. Wreszcie niektóre nowopowstałe, nie miały wcale nazwisk, wyróżniano je po gospodarsku; np. druga ulica na prawo z Halickiego, albo ulica za koszarami piechoty, albo—w górze ku ogrodowi Jabłonowskich i t. p. Było przymiem około 20 ulic „bocznych”, 15 „wyższych” do 10 „krótkich.” Po długim wahaniu zgodzono się nareszcie zamienić te dziwolągi archeologiczne na napisy w zrozumiałej polszczyźnie. Zabrano się więc do ustalenia nomenklatury ulic, przy czém pod wpływem członka rady d-ra Millereta, zapalonego Wolteryanisty, wszystkie nazwiska świętych i katolickie wyrugowano, tak, że np. ulicę ś. Jana, bez najmniejszej potrzeby, nazwano „Akademicką,” a Jezuickiej dano nazwę „Jagiellońska.” Dzieło to, rozpoczęte w r. 1869, po wielu niedoszytach (zawsze z powodu niekompletu) naradach, całkowicie ukończono w r. 1871 r.; może cokolwiek zadługo? przecież lepiej, niż w Warszawie, gdzie ulice bez nazwisk i domy bez numerów, są jeszcze rzeczą wcale niewyjatkową (?). Czas wreszcie zaczął robić szczyrby w tém archeologiczném gronie rajców miasta Lwowa; nowe żywioły, znane pod nazwą fatalnej „inteligencji,” coraz więcej wciskać się zaczęły do czysto-mieszczańskiego senatu, psując doskonałą harmonią zgromadzenia, którego połowa, za dobrych czasów, z urzędu była zawsze nieobecną, a druga doskonale drzemała, przebudzając się tylko na głos wniosków, adresujących się do worka, aby, jak obecnie p. Ciesielski, udowodnić zupełną ich niewłaściwość. Stronnictwo to staro-mieszczańskie, politycznie „demokratyczném,” vulgariter zaś „koltunani” zwane, ma tylko jedną wadę, która, że nie jest wyłącznym atrybutem mieszczańskiego koła i lwowskiej gminy, wie dobrze także inteligencya galicyjska: oto in rebus politicis ma wstręt do wydatków nie tylko pieniężnych, ale w ogóle wszelkiego kapitału, pracy, nateżenia umysłu. Gdyby nie to usposobienie, doprowadzające czasem do tego, co złośliwi apatya i gnusnością nazywają, to Niemcy nie mieliby powodu, mówiąc o Lwowie, przypominać „polskie gospodarstwo,” które zresztą, acz bardzo zwolna, poprawiać się zaczyna.

— Z pomiędzy wielu spraw bieżących, najgłośniej domagają się rychłego zaspokojenia kwestye społeczne. Los klas pracujących zajmuje uwagę rządów i społeczeństw, leży na sercu dbałym o pomyślność powszechną obywatelom. W obec niezaprzeczonego faktu, że u nas lichwa wyzyskuje nieopatrznego często robotnika, że doprowadzając go do niedostatku i do nędzy, demoralizuje tę pożyteczną i w życiu narodowem nadzwyczaj ważną i potrzebną warstwę społeczną do tego stopnia, że ją czyni przystępną dla różnych niecných podszeptów wrogów naszej pomyślności krajowej, podniósł w szczęśliwej chwili prawdziwie obywatelski głos p. Al. Głowacki (Prus) w artykule, który ogłosił w „Kuryerze Warszawskim,” w końcu m. maja pod tyt.: „W imieniu klas pracujących.” Istniejąca Kasa pożyczkowa przy Tow. Dobroczynności w Warszawie, udziela corocznie drobniejsze pożyczki ubogim pracownikom za solidarném poręczeniem osób odpowiedzialnych; lecz równie skąpe na ten cel fundusze (41,000 rs.), jak i uciążliwe, doraźną pomoc uniemożliwiające formalności tej kasy, nie mogą zaspokoić gwałtownych potrzeb ubogich pracowników. P. Głowacki wzywa tedy wszystkich obywateli, bez różnicy wyznania, bogatych i ubogich, aby dobrowolnemi ofiarami, na jakie kogo stać, przyczynili się do pomnożenia funduszu kasy pożyczkowej przy warszawskiem Tow. Dobroczynności, w celu zapewnienia doraźnej pomocy przez udzielanie krótkoterminowych pożyczek, wynoszących kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt rubli. Pomijając w tej chwili kwestyą urządzenia tej sprawy w praktycznie uorganizowanej instytucji użytku publicznego, czyto przez otworzenie kas cyrkulowych (p. Makowiecki), lub przez urządzenie kasy wkładowo-zaliczkowej, za czém przemawia wiele względów moralnej i ekonomicznej natury, lub przez otworzenie lombardów cyrkulowych, zaznaczamy tylko ten fakt, że do dnia 27 czerwca wpłynęło na ten cel do redakcyi „Kuryera Warszawskiego” rs. 12,565 kop. 48½, franków 110, marek 150, fenigów 85, pesa chilijska, pieniądz srebrny chiński i pół lira tureckiego. Fakt ten zastępuje i z tego powodu na zaznaczenie, że i współobywatele nasi wyznania Mojżeszowego, w dziele tém użyteczności ogólnej dosyć czynny biorą współudział. Oby ten chwilowy nastrój gorszących nas obcemi językami obywatelów, nie chciał być przemijającym, ale stał się trwałym fundamentem produkcyjnej narodowej pracy.

Józef Kirsztrot wydał gruntowną pracę swoją, drukowaną w „Ekonomiście,” w osobnej broszurze p. t.: „Myśl (?) banku hipotecznego.” Warsz., 1881 r., str. 44. Rzecz nadzwyczaj ważna i ciekawa dla każdego, kogo stosunki ekonomiczne kraju obchodzą.

— W Galicyi istnieje obecnie szkół ludowych: z językiem wykładowym rusińskim 1,645, z wykładem w języku polskim 1,153, z wykładem niemieckim 45. Według stosunku ludności powinno przypadać na 100 szkółek rusińskich 133 szkółek polskich. W rzeczywistości jednak zachodzi stosunek odwrotny, obecnie bowiem jest w Galicyi na 100 szkółek polskich, 137 rusińskich. Zdaje się, iż chyba

w obec tych cyfr, o ucisku narodowości rusińskiej w Galicyi nie może być mowy.

— W korespondencji z Siedlec do gazety petersburskiej „Gołos” nr. 119, czytamy: „Pogłoski o powrocie dawnych księży greko-unickich, poroższanych po różnych guberniach Cesarstwa, nie sprawdzają się, jak dotąd, z wielką szkodą ruskiej ludności naszej gubernii. Zastąpienie ich parochami, przysłanymi z głębi Rosyi lub z Galicyi austriackiej, językiem i obyczajem obcymi tutejszemu ludowi, spowodowało za sobą prawdziwy upadek religijności i obrządku wschodniego. Lud przechodzi na obrządek łaciński lub zupełnie obchodzi się bez kościoła; cerkwie stoją pustkami, wiele parafii prawosławnych egzystuje tylko z nazwiska. Tak w powiecie Białskim z 30 parafii—czynnych jest tylko 21, w Włodawskim 20 z 32, w Konstantynowskim 16 z 26, w Radzyńskim 4 z 16, a w Sokołowskim 2 z 14. W ciągu ostatnich lat 7, blisko połowa ex-uniatów przeszła na katolicyzm. Czego nie mogła dobić się Polska, po dwóch wiekach panowania nad Rusią, to jęj przynosi w darze nasza (rosyjska) niezręczna administracya” i t. d.

Zbyteczne są komentarze nad tą korespondencją, w której obok stronności i przesady widać osobę bliżej poinformowaną, jak się zdaje, duchownego kościoła greko-rosyjskiego.

— Starszy prezes izby sądowej w Warszawie podaje do wiadomości publicznej, że celem zachowania dla użytku stron interesowanych przesłane zostały do głównego archiwum Królestwa Polskiego następujące dowody zejścia osób we Francyi zmarłych: 1) Władysława Karnkowskiego, lat 43, zmarłego dnia 3 marca 1878 roku w Menton. 2) Piotra Radzińskiego, lat 58, dnia 9 marca 1879 r. w Menton. 3) Władysława Zaremby, lat 72, dnia 1 kwietnia 1879 r. w Guéret. 4) Grzegorza Wnukiewicza, lat 70, dnia 6 maja 1878 roku w Mezin. 5) Marcina Puciaty, lat 68, dnia 28 marca 1878 r. w Beaumetz les Loges. 6) Jakóba Faron, lat 84, dnia 16 marca 1878 r. w Paryżu. 7) Onufrego Czerniewskiego, lat 83, dnia 28 grudnia 1879 r. w Port-Sainte-Marie. 8) Kaspra Kołaczyńskiego, lat 79, dnia 14 grudnia 1879 roku w Resé. 9) Juliana Pecnera, lat 64, dnia 10 stycznia 1879 r. w Pau. 10) Aleksandra Kalkszejna, lat 36, dnia 16 lipca 1878 r. w Agen. 11) Ottona hr. Ciechanowieckiego, lat 63, dnia 6 października 1878 r. w Paryżu. 12) Romana Kurnatowskiego, lat 59, dnia 24 kwietnia 1879 r. w Paryżu. 13) Maryana Płacheckiego, lat 63, dnia 7 marca 1878 r. w Paryżu. 14) Róży Gietowtt, lat 72, dnia 21 lipca 1877 r. w Paryżu. 15) Stanisława Zajączkowskiego, lat 66, dnia 4 marca 1879 r. w Bordeaux. 16) Michała Chodźko, lat 72, dnia 22 maja 1879 r. w Paryżu. 17) Feliksa Forin, lat 54, dnia 15 kwietnia 1879 r. w Paryżu. 18) Kazimierza Błociszewskiego, lat 50, dnia 23 maja 1878 r. w Paryżu. 19) Władysława Wolffa, lat 56, dnia 24 marca 1879 roku w Menton. 20) Hirsza Bernszejna, lat 44, dnia 3 kwietnia 1879 roku w Nicei. 21) Augusta Kartel, lat 57, dnia 31 maja 1878 r. w Boulogne-sur-mer. 22) Michała Lgockiego, lat 52, dnia 10 stycznia 1878

r. w Pau. 23) Franciszka Jana Lutnickiego, lat 76, dnia 12 maja 1878 r. w Troyes. 24) Ignacego Wysockiego, lat 69, dnia 8 grudnia 1877 r. w Caluire (kanton Neuville). 25) Teodora Morawskiego, lat 83, dnia 21 lipca 1879 r. w Paryżu. 26) Narcyza Maksymiliana Zagorowskiego, lat 67, dnia 20 października 1879 r. w Paryżu. 27) Jana Szaleckiego, lat 72, dnia 21 grudnia 1879 r. w Paryżu. 28) Antoniego Kotorazińskiego, lat 87, dnia 13 maja 1880 r. w Chantenay. Następujące dowody zejścia przesłane zostały prezesowi zjazdu sędziów pokoju okręgu I gubernii piotrkowskiej: 29) Katarzyny Miezanowskię, lat 78, zmarłej dnia 26 lutego 1880 r. w Chantenay. 30) Jana Cimachowicza, lat 73, dnia 10 października 1878 r. w Beauvais. Prezesowi zjazdu sędziów pokoju II okręgu gubernii warszawskiej: 31) Walentego Władysława hr. Krosnowskiego, lat 64, zmarłego dnia 16 sierpnia 1878 r. w Paryżu. 32) Jadwigi Zielińskiej, lat 16, dnia 13 listopada 1868 r. w Menton. Prezesowi zjazdu sędziów pokoju I okręgu gubernii suwalskiej: 33) Rafaela Rom, lat 55, zmarłego dnia 28 kwietnia 1878 r. w Paryżu. Prezesowi zjazdu sędziów pokoju I okręgu gubernii warszawskiej: 34) Wawrzyńca Malessa, lat 73, zmarłego dnia 28 kwietnia 1880 r. w Ville de Vire. Prezesowi zjazdu sędziów pokoju I okręgu gubernii lubelskiej: 35) Feliksa Okowskiego, lat 67, zmarłego dnia 14 lutego 1877 r. w Paryżu.

— „Helsingfors Dagblad“ donosi, że na posiedzeniu szwedzkiej Akademii umiejętności dnia 8 czerwca r. b. w Stokholmie pan Gulden (Jülden) z Finlandyi zakomunikował kopią nieznanego dotąd dzieła Kopernika, znalezioną w Helsingfors. Tytuł dzieła jest: „Nicolai Copernici de hypothesibus motuum coelestium a se constitutis commentariolus.“ Dzieło to było oprawione razem z dziełem „De revolutionibus orbium coelestium, którego egzemplarz był własnością astronoma gdańskiego Heveliusa. W „Gazecie Lwowskiej“ znajdujemy w tej sprawie list wiedeński p. Glinkiewicza, z którego wyjmujemy niektóre ustępy: „Skarb ten, o którego odkryciu donoszą, posiada także c. k. biblioteka dworska w Wiedniu; znaleźć go można w „Tabulae codicum manuscriptorum in bibliotheca palatina Vindobonensi asservatorum.“ Volumen VI, sub Nr. 9737, mianowicie w zeszycie, który naprzód zawiera rozprawę: Nicolaus Copernicus sive Copernicus. Epistola Bernardo Vapoushij cantori et canonico ecclesiae Cracouiensis... missa d. d. (Varmiae 3 Junij 1534 correctum in 1524) ex primis post lituris 30 Martij 1575).“ Epistola tractat de Johannis Werneri Norimbergensis opusculo De motu octavae sphaerae editum Norimbergue apud Fridericum Peypus a. 1522. Po rozprawie tej, a raczej po jedenastu próżnych kartach, mianowicie na karcie 34 (a z doliczeniem próżnych kart zeszytu na karcie 56), następuje właśnie rozprawa: „Nicolai Copernici de Hypothesibus motuum coelestium a se constitutis commentariolus“ i ciągnie się aż do karty 43 (66) włącznie, poczem kończy się zeszyt znowu dwiema próżnemi kartami.

— W Krakowie wyszła książka dr. Jerzego Mycielskiego: „Kan-

dydatura kardynała Hozjusza na biskupstwo warmińskie w r. 1548."

— W księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie wyszły ostatnie dwa tomy „Dzieł Adama Mickiewicza.” Jestto wydanie zupełnie nowe i w nowym układzie, którym zajmował się Wł. Mickiewicz wspólnie z Rettlem, a tém się różni od poprzedniego, że co do formy ma lepszy papier i druk, a co do treści powiększone jest o dwa tomy, tak, iż dzieła te zawarte są obecnie w sześciu tomach.

— W „Bibliotece polskiej“ wydawanéj przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, wyszły „Pamiętniki Wybickiego“ w nowém wydaniu.

— Z drukarni S. Lewenthala wyszła broszura p. t. „Davos am Platz i inne znaczniejsze stacye klimatyczne Szwajcaryi, ze względu na leczenie chorób płucnych pod wpływem górskiego klimatu,“ zebrał Czesław Stiche, doktor medycyny, str. 40 in 8-vo, z trzema na drzewie rytowanemi widokami.

— W Kołomyi zaczęto wychodzić pismo rusińskie p. t. „Switło,“ łacińskimi czcionkami, w czystym rusińskim języku z wyraźnym zamiarem walki przeciwko apostołom waśni szczepowej, „proklatoi nezhody pomeży brat'my rodnymi odnei zemli.“ Zjawisko to budzi w nas nadzieję, że sztandar zgody, wywieszony otwarcie w Kołomyi pod promieniami światła, stanie się początkiem lepszej doby narodowego i społecznego życia w Galicyi. (Muzeum).

— Jubileusz pięćdziesięcioletni zawodu naukowego znakomitego chirurga Mikołaja Pirogowa, z wielką uroczystością obchodzono w Moskwie dnia 5 b. mies. Obchód odbywał się w auli uniwersytetu, którego Pirogow był wychowawcem, nim przeszedł następnie do Dorpatu i udał się zagranicę. Pirogow był profesorem w Dorpacie i Petersburgu, naczelnym chirurgiem w wojnie krymskiej, następnie kuratorem okręgu naukowego kijowskiego, obecnie jako człowiek prywatny mieszka w dobrach swoich na Podolu. Szczery przyjaciel ludzkości, miłośnik światła i postępu, zostawił w słuchaczach polskich uniwersytetu kijowskiego miłe i wdzięczne wspomnienie.

— Ś. p. Stanisław Wołłowicz, dwoma testamentami własnoręcznemi zapisał swój majątek na rzecz instytucyi włościańskiej, którą chciał utworzyć, przeznaczwszy część dochodów z niego na stypendya, szpital i inne cele użyteczności publicznej. Sukcesorowie, uważając, iż testament ten nikogo niczém nie obdarowywa, a objawione w testamentencie cele spadkodawcy osiągnąć się nie dadzą, testament zaskarżyli. Izba sądowa zniósła go ostatecznie, a tym sposobem upadły zapisy na stypendya i szpital. Lecz co do stypendyów i szpitala nie istnieją te powody, które wywołały skargę sukcesorów o zniesienie testamentu. Jakkolwiek więc żaden obowiązek prawny w téj mierze nie zachodzi, sukcesorowie z zasady poczucia obowiązku moralnego uroczyście oświadczają, że zapisy na szkoły elementarne, stypendya i leczenie włościan w zakresie prawa przez testatora oznaczonym uszanują, zachowując sobie możność zaprowadzenia co do nich zmian, jakie

za właściwe przez nich uznane i przez władzę zaakceptowane będą. Jak tylko zaś sukcesorowie dobra spadkowe obejmą i kapitały podniosą, legata te natychmiast w wykonanie wprowadzone zostaną.

— Otwarta w dniu 11 czerwca wystawa koni, bydła, owiec, trzody chlewniej, psów gospodarskich i drobiu, zwabiła mimo częstej nader niepogody i w pierwszej mianowicie połowie, dotkliwego zimna, blisko przez dwa tygodnie liczną publiczność na plac Ujazdowski, dopóki w d. 24 uroczyste zamknięta nie została. Szczegółowy rozbiór znaczenia i wartości ekonomiczno-gospodarczej tego popisu publicznego szerszego wymaga miejsca; tymczasem nadmieniamy, że jak poprzednia tak i ostatnia wystawa odbiegła w wielu razach od celu, jaki sobie zakreśliła (zob. „Bibl. Warszawska,” zeszyt kwiecień, str. 153): była jeszcze zanedo widowiskiem, zaprawioném do tego wcale nie pożądaną francuzczyzną; a powinna być poważnym popisem inteligencji, pracy, wytrwałości i przedsiębiorczości rolnictwa krajowego.

— W zeszycie kwietniowym „Biblioteki Warszawskiej” str. 150, wskazaliśmy znaczenie i pożytek wystawy sztuk zastosowanych do przemysłu i rzemiosł, którą nasze Muzeum przemysłowo-rolnicze urządziło. Dnia 14 czerwca otworzono w pałacu Brühlowskim podwoje tej wystawy sztuki zastosowanej do przemysłu i rzemiosł. Wystawa tego rodzaju, przedstawiając jak najróżnorodniejsze wyroby różnych rzemiosł jest nie tylko popisem, ale i konkursem, w którym piękno, strona artystyczna przedmiotu walczy o lepsze z wartością praktyczną samego przedmiotu. Panowie rzemieślnicy nasi nie złożyli tu zbyt szczęśliwego egzaminu; znany powszechnie a i przy tej wystawie stwierdzony fakt, że zaniedbywana najczęściej przez naszych rzemieślników strona estetyczna, ujawnił się i tutaj, bo rzemieślnicy nasi wystąpili tu nader skromnie i wystawa byłaby się nie powiodła, gdyby Muzeum nie było w sposób bardzo szczęśliwy połączyło z nią drugiej jeszcze cechy, nie popisowej, nie konkursowej; ale wzorowej, modelowej, zgromadziwszy mnóstwo zabytków sztuki, jakie się jeszcze w kraju naszym z dawnych wieków przechowały. Zgromadzono tu wcale pokaźną liczbę dzieł sztuki z czasów najświetniejszych dawniej Rzpltej polskiej, zabytków średniowiecznych i przedmiotów późniejszych nie tylko krajowych lecz i zagranicznych, tysiące zabytków minionej przeszłości, pięknych, kosztownych i rzadkich. Wystawa oddziaływała w bardzo rozmaity sposób na nasze uczucia nie tylko estetyczne. Kosztowne sprzęty, bogate makaty, rzędy drogiemi kamieniami sadzone, prastare zbroje, sztandary zwycięskie, broń, buńczuki zdobyte, wszystko to świadczy o bohaterstwie przeszłości naszej. Na widok olbrzymich roztruchanów, puharów, kielichów i konwi srebrnych, cisną się do pamięci czyny „bohaterskie” (?) epoki saskiej. W inném miejscu pod zwieszającemi się sztandarami obok leżących szabli i pistoletów, stoją pełne zbroje z XVI i XVII w., a między niemi dwie hussarskie z dwoma skrzydłami. Przy całej zarozumiałości naszego wieku, czujemy się tu bardzo maluczy w porównaniu z owymi idealistami przeszłości naszej!

Dokładny katalog tej wystawy (8 arkuszy druku) który w ostatnich dniach wyszedł z druku, ułatwi zwiedzającym pałac Brühlowski dokładniejsze obznajmienie się ze skarbami przeszłości naszej, które dbali o sławę narodu obywatele, w szlachetnej pobudce tu wystawili. Nadmieniamy, że dochód jaki Muzeum ma osiągnąć z tej wystawy, przeznaczony być ma na zawiązek Muzeum sztuki przemysłowej, które może rzemiosła nasze wprowadzić z większą świadomością na drogę estetyczną.—Przy tej sposobności nadmieniamy, że p. Feliks Gebethner wystawił swój zbiór obrazów i rysunków malarzów polskich w Resursie obywatelskiej, przeznaczając dochód ztąd płynący na wspomnienie kasy Towarzystwa muzycznego. Szczegółowa i wyczerpująca relacja, jaką o tej wystawie ogłosił w „Gazecie Polskiej” p. Wojciech Gerson dowodzi, że nie potrzeba koniecznie ogromnych skarbów materialnych, ale i przy średniej zamożności, jeśli tylko towarzyszą jej skarby moralne, można zgromadzić szereg zabytków wcale imponujący. Zbiór pana Feliksa Gebethnera ma dla historii sztuki polskiej niepoślednie znaczenie.

— W sprawie tak ważnej, a w naszej praktyce pedagogicznej nadzwyczaj wadliwej, jaką są egzamina prawie bezustanne po naszych szkołach, ogłosił dr. Karol Hertz w pismach codziennych następującą informację. „Najwyższa władza szkolna, pisze p. Hertz, mając sobie zakomunikowane zdania wszystkich rad pedagogicznych w całym państwie, przysłała do przekonania, że dawniejsze przepisy egzaminacyjne „nie tylko żadnych korzyści sprawie wychowania nie przynoszą, lecz są jeszcze szkodliwe, gdyż udaremniają wszelką naukę i postęp w gimnazjach.” Przyszedłszy do takiego przekonania, rada ministrów na wniosek ministra oświecenia postanowiła zaprowadzić zasadnicze zmiany w egzaminach przejściowych i dojrzałości. Zmiany te redukują się do dwóch następujących: 1. „Wypracowania piśmienne nie decydują o losie egzaminowanego, gdyż według nowych przepisów przy ocenianiu postępów ucznia należy brać w rachubę odpowiedzi ustne ucznia i stopnie roczne.” Zmiana ta jest kardynalną, gdyż według dawnych przepisów, uczeń, który na egzaminie piśmiennym otrzymał stopień niedostateczny, utracił prawo do egzaminu ustnego, chociażby w ciągu roku był celującym. 2. Przy ocenianiu możności dopuszczania uczniów do egzaminów przejściowych należy brać w rachubę „stopień za ostatni kwartał,” który powinien być wyrazem postępu i pilności ucznia w ciągu całego roku szkolnego i „zdanie rady pedagogicznej, która bez względu na stopnie ucznia orzeka, czy uczeń może z korzyścią słuchać wykładów w klasie następującej. Dla ocenienia całej ważności tej zmiany należy przypomnieć sobie odpowiednie ustępy dawniejszej ustawy, według których o dopuszczeniu uczniów do egzaminów decydował „stopień średni,” otrzymany „mechanicznie” ze stopni czterech kwartałów, tak, że w wielu razach uczeń, który w pierwszym kwartale otrzymał stopień niedostateczny, nie mógł już mieć nadziei otrzymania promocyi. Zmiany wyżej przytoczone są niezmiernie ważne, gdyż rozwiązu-

ją ręce pedagogom, podstawiając na miejsce działań mechanicznych rozumowania ludzi, dbających o szczęście i pomyślność dorastającego pokolenia. Pozostaje teraz do życzenia, aby władza szkolna chciała jeszcze usunąć zbyteczne egzamina w niektórych klasach, które nietylko nie są potrzebne, ale trwając około sześciu tygodni, skracają i tak już krótki rok szkolny, wskutek czego wykładowcy nie mają czasu na powtarzanie kursów. Mamy niepokonną nadzieję, że nowy minister oświecenia uwzględni tę potrzebę, gdyż w swoim okólniku wyraźnie zapowiada dalsze zmiany w przepisach egzaminacyjnych.“

— „Dzieł Lucyana Siemieńskiego” wyszedł w Warszawie w drukarni J. Ungra tom V-ty, zawierający dalszy ciąg „Portretów Literackich.”

— Nakładem księgarni W. Deckera i S-ki (E. Röstel) w Poznaniu wyszło tłumaczenie niemieckie znanego powszechnie dzieła Józefa Łukaszewicza, *Obraz histor. statyst. miasta Poznania etc.* pod. tyt.: „Historisch-statistisches Bild der Stadt Posen, wie sie ehemals d. h. v. Jahre 968—1793 beschaffen war.” Dzieło to, przetłumaczone w r. 1846 przez Ludw. Koenigk, ówczesnego bibliotekarza w Kórniku, przerobił obecnie i uzupełnił prof. dr. Tiesler. Czytelnikowi polskiemu znana jest historyczna wartość dzieła J. Łukaszewicza, nadmieniamy tylko, że pobudką do podjęcia tego tłumaczenia była dla Niemców ta okoliczność, że Poznań, jako jedno z miast, do których pierwiastek niemiecki najwcześniej się wcisnął, które nietylko w dziejach tak zwanej reformy kościelnej w Polsce, ale które i w wojnach szwedzko-polskich wpływowe zajmowało stanowisko, zyskało przez to wielką wagę dla badacza dziejów powszechnych i historyi kultury. Tłumaczenie dobrze wykonane.

— Dzieł Juliana Bartoszewicza (t. X-ty) wyszedł tom 3-ci i ostatni „Studyów historycznych i literackich” (Krak. 1881 r.), mieszczący w sobie następujące prace: „Warszawa i Kraków” (1869 r.); 2) „Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej” (1859 r.); 3) „Szwedzi w Warszawie 1655 r.” (1860 r.); 4) „Księga protokółów Franciszkańskich prowincyi ruskiej od r. 1625—1650” (1860 r.); 5) „Jan Stanisław Jabłonowski, wojew. ruski i jego dziełko,” „Skruput bez skruputu” (1859 r.); 6) „Co znaczyła i gdzie była Ukraina?” (1863 r.); 7) „Mazowsze—Mazury, czém się od innych krajów i mieszkańców polskich odznaczyły” (1864 r.); 8) „Prawo o elekcyi” (ustęp z dziejów cywilizacji narodu) (1862 r.? urywek); 9) „Bitwa pod Beresteczkiem, 28—30 czerwca 1651 r. (1864 r.); 10) „Anna z Sapiehów Jabłonowska” (1866 r.); „Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem kozackim?” (1866 r.); 12) „Kniaź i książę” (1870 r.).

— Nakładem Gebethnera i Wolffa pojawiła się książeczka p. t.: „Dzieje Polski według najnowszych źródeł, dla dzieci,” przez Sokoła. Warsz. 1881 r., str. 153. Pojawienie się tej pracy dowodzi, że dotychczasowe podręczniki do początkowej nauki dziejów ojczystych, nie czynią zadość potrzebie pedagogicznej! Autor, ożywiony jaknajlepszą intencją, przedstawił jednak przedmiot swój, jak mniema, według

najnowszych źródeł (przy pracach historycznych mają naukową wartość tylko najstarsze źródła; nie można mieszać najnowszych opracowań ze źródłami (!)); lecz w ramach nader ciasnych, materiałem chronologicznym przeładowanych, tak, że dzieciom trudno bardzo przyjdzie pochwycić z tego dziełka żywy obraz najważniejszych wypadków przeszłości naszej, zwłaszcza jeśli to ma być „kurs przygotowawczy.” Mybyśmy uważali pracę autora raczej za podręcznik chronologiczny historii polskiej, do którego, po obeznaniu się z treścią dziejów ojczystych, z pożytkiem uczeń zaglądać może. Opowieść wojen przeważa, a szczegóły nie różnią się wielce od dawniejszych książek na tém polu. O metodzie, której się autor trzymać radzi, przy nauce dziejów ojczystych, nie można w sposób tak pobieżny, zewnętrzny rozprawiać, bo taka recepta, nie opierająca się na ogólnej zasadzie naukowej, nie może mieć wartości ogólnej. Treściwe chronologiczne zestawienie najważniejszych faktów w tej książce, możemy zalecić jako pomocniczy środek pamięciowy przy obszerniejszym wykładzie dziejów ojczystych przez nauczyciela, z innych dzieł z przedmiotem dobrze obznajmionego.

— „Encyklopedyi Wychowawczej” wyszedł zeszyt 1-szy tomu II, i zawiera następujące artykuły: Basedow, p. L.; Bazyli W., p. F. J.; Beaumont, p. P. Chmielowskiego; Beauvais, p. F. J.; Beda, p. J. K. P.; Belfer, p. F. Str.; Belgia; Bel i Lankaster, p. H. Wernica; Beneke, p. J. K. P.; Bentham, p. K. K. (początek).

— P. Eugeniusz Babiński, przełożony zakładu naukowego prywatnego, otrzymał koncesyą na wydawanie czasopisma pedagogicznego, które pod tytułem: „Przegląd pedagogiczny” ma wychodzić od 1 października r. b., co dwa tygodnie zeszyt. Przegląd obejmować będzie: *a)* artykuły treści ogólnej w kwestiach pedagogiki; *b)* artykuły z zakresu historii pedagogiki; *c)* artykuły z zakresu psychologii w zastosowaniu do pedagogiki; *d)* higiena szkolna; *e)* statystyka i metodyka szkolna; *f)* rozbiory książek dla dzieci i podręczników szkolnych; *g)* sprawozdania z działalności pedagogicznej w Cesarstwie i zagranicą; *h)* ogłoszenia dotyczące szkoły.

— Nakładem St. Arcta w Lublinie, który, rozpoczęte pracami ś. p. Aug. Jeske'go, „Wydawnictwo pedagogiczne szkolne,” prowadzi je dalej, wyszło dziełko p. Henr. Wernica p. t.: „Wychowanie dziecka włącznie do lat 6-ciu,” 1881 r., str. 71, XIII. Żałujemy, że autor nie oparł swojej pracy na fundamencie naukowym; ale przedstawia swój przedmiot z zewnętrznej obserwacji, z przykładów, które mogą być dobre w danym wypadku; ale nie mogą mieć znaczenia reguły, dającej się ogólnie stosować. Czemu tylko do lat sześciu?

— „Słownika geograficznego polskiego,” wyszedł zeszyt XVIII-ty (VI-ty tomu II-go) i obejmuje wyrazy od Frampol do Gałuszowice. Z pomiędzy większych artykułów, zawiera przedewszystkiem obszerny opis Galicyi, tudzież artykuły Frydłąd, Fyszhuza, Gać, Gaj, Galindya. W obec bliskiego wyjazdu wielu osób na letnią porę do różnych okolic kraju, redakcja uprzejmie prosi o zbieranie materiałów do „Słowni-

ka," a zwłaszcza materiałów fizyograficznych do opisu przyrody różnych okolic i pojedynczych miejscowości. Równocześnie odwołuje się Redakcja do opinii prenumeratorów, czy w obec rozrastania się „Słownika,” wypada jej prowadzić to dzieło bez skracań, czy też niektóre artykuły skracać lub opuszczać, bo przy powiększeniu się liczby tomów i koszt stosunkowo zwiększyć się musi. Nie przesądzając zdania innych, zdaje nam się być rzeczą pożyteczną, aby redakcja spożytkowała, choćby jak najtreściwiej, cały materiał, jaki jej dziś współpracownicy dostarczają, bo kto wie, czy późniejsze pokolenia będą w stanie powetować to, co by dzisiaj opuszczono, i czy w ogóle materiały, które dziś są pod ręką, będą później równie dostępne, czy miotła losu nieprzychylnego dla naszych bibliotek i archiwów, nie uprzątnie ich bez śladu! Miejscowości wprowadzić zostaną, ale może do niepoznania przestoczone, i z wszelkich drogich nam pamiątek odarte! Sądziny, że w takich wypadkach to i krytyka pod względem systematyczności naukowej tej publikacji, może być do pewnego stopnia wyrozumiała; a ofiarność prenumeratorów dzieła poważnego powinna i tę próbę szczególnie wytrzymać.

— Nakładem, zasłużonej wielu wydawnictwami polskimi, księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, wyszło tłumaczenie dzieła francuzkiego, p. Gaston'a Tissandier pod tytułem: „Męczennicy w imię nauki.” Tytuł „Męczennicy” nie odpowiada treści książki, i zdaje się rachować tylko na efekt, bo „męczenników” w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, którzyby w skutek wyroku władzy, czyto świeckiej (Condorcet'a np. przypawili o śmierć furor politicus, a nie prześladowanie nauki), czy duchownej, śmierć ponieśli, niewiele tu znajdujemy; przeciwności zaś jaknajrozmaitsze, często bardzo okrutne, aureolą męczeństwa zdobić się nie mogą, bo wtedy każdy obrońca teorii, nie pojmowanej dokładnie przez współczesnych, byłby męczennikiem, a w rzeczywistości jest on tylko żołnierzem, walczącym w pierwszym szeregu przeciwko uporczywej ciemności. Treść książki stanowi osnowa następującymi rozdziałami wskazana: rozdział 1. Bohaterowie (toby był odpowiedniejszy tytuł) w imię pracy i nauki. 2. Podbój kuli ziemskiej. 3. Badanie wyższych warstw atmosfery. 4. Odkrycie systemu słonecznego. 5. Drukarstwo. 6. Metoda naukowa. 7. Twórcy zasad. 8. Przemysł i maszyny. 9. Statki parowe i drogi żelazne. 10. Lekarze. 11. Wiedza i ojczyzna. 12. Ekonomiści-filozofowie. 13. Prości żołnierze. Przykłady zamiłowania nauki, liczne wzory wytrwałości i pracowitości umysłów, odznaczających się wyższą energią duchową, mogłyby bardzo korzystnie wpłynąć na czytającą młodzież, gdyby autor nie był się zbyt uporczywie zamknął w twardej granicach racjonalizmu; język polski w ogóle dosyć poprawny, chociaż w niektórych ustępach czuć niejako skrepowanie.

— Na odmienném stanowisku znachodzimy dzieło, którego 2-gi tom wyszedł niedawno w Paryżu, nakładem Katolickiego „Stowarzyszenia bibliograficznego” p. t.: „Questions controversées de l'histoire

et de la science." Między innemi spotykamy tu rozprawy: Chronologia biblijna; Peryod lodowy; Pomniki asyryjskie i Biblia; Prześladowania; Karol VII i Agnieszka Sorel; Noc Ś-go Bartłomieja i i.

— W Monasterze (Münster) wydał w języku niemieckim dr. Constantin Gutberlet ważne dzieło p. t.: „Die Psychologie,” 1881 r., str. XII i 328. Autor dzieli rozbiór swego przedmiotu na naukę o życiu duszy i o jej istocie; nauka o życiu duszy rozpada się na 2 części: na naukę o zmysłach i na naukę o duchowych władzach duszy. Autor obeznany z badaniami fizyologii i psychofizyki, gruntowny znawca matematyki i nauk przyrodzonych, zajmuje stanowisko katolickie; przez to, że uwzględnia i rozprawia się z najnowszemi tak poważnemi dziełami, jak badania Wundta (*Physiologische Psychologie*), przyczynia się znakomicie do wszechstronnego rozjaśnienia najważniejszych kwestyi z dziedziny psychologii.

— P. Chmielowski ogłosił (wydawnictwo Orzeszkowej) książkę p. t.: „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu.” Wilno, 1881 r., str. 217. Książka ta zawiodła pod bardzo wielu względami oczekiwania, do jakich ostatnie prace pana Chmielowskiego upoważniały. W pobieżnej wzmiance na tém miejscu nie możemy uwypatnić zalet i wskazać niedostatków, jakie praca ta w sobie mieści, a doraźne wyroki przekraczają, według naszego zdania, atrybucye krytyki naukowej. Autor wybaczy nam tedy, że, pomijając liczne drobniejsze szczegóły, zaznaczamy dla informacji czytelników pogląd nasz tylko na niektóre ogólniejsze kwestye. Autor przyznaje sam szkicowi swemu cechy publicystyczne raczej, niż historyczne, dla tego nie możemy mu robić z tego zarzutu, że jego „Zarys literatury z ostatnich lat 16-tu” nie przedstawia dokładnego, choćby skromnego obrazu historycznego naszego życia umysłowego; lecz daje nam tylko urywek kroniki literatury beletrystycznej z pewnem zaniedbaniem działów ściśle naukowych. Że w pracy autora nie czujemy tego ciepła, jakie łączyć powinno pisarza z przedmiotem (jak to widzimy np. w dziełku, wydaném w Poznaniu 1880 r. p. t.: „Literatura poznańska w 1-szej połowie bieżącego stulecia”); ale skalpel żarliwego anatoma, to już jest przymiotem talentu p. Chmielowskiego; ale zastanawia nas u autora, oburzającego się z gorzką ironią na wzajemną adoracyą nieuków w przeciwnym obozie, widoczna pobłażliwość względem osób tego samego, co autor kierunku, chociaż nie podzielamy zdania tych, którzy utrzymują, że p. Chmielowski wydał spis wielkich czynów swoich krewnych i swoich znajomych. W części 1-szej, rozbierającej zasadnicze pierwiastki nowszego ruchu w literaturze polskiej, autor oświecił tak jaskrawo swój szkic sążnistemi „manifestami,” „prasy młodej,” że ktoby nie znał bliżej naszej przeszłości i naszych najnowszych stosunków, mógłby sądzić że przed odezwaniami się głosów młodych w „Przeglądzie tygodniowym,” nie było u nas życia umysłowego, nie było wyobrażenia o nauce, nie było znajomości istotnych warunków postępu, nie było poczucia dla oświaty ludu, dla wartości nauk spo-

łecznych i t. p. Dopiero roku 1864 rozpoczyna epokę postępu, epokę życia naukowego na szeroką skalę. Zdanie to nie zgadza się z faktycznym położeniem naszego rozwoju umysłowego od r. 1857 poczynawszy. Wydawnictwa b. Towarzystwa Rolniczego, interesującego się w wysokim stopniu naukami społecznymi, agronomicznymi, oświatą ludu i t. p., dalej „Gazeta Polska“ pod redakcją J. I. Kraszewskiego, „Tygodnik Ilustrowany“, dzieła Supińskiego, liczne gruntowne artykuły ekonomicznej treści, Zielińskiego w „Bibl. Warsz.“ i i. świadczą przeciwko p. Chmielowskiemu. Nic też dziwnego, że w tej młodej Polsce narodzonej dopiero po reformie włościańskiej w r. 1864 niema prawie poza Warszawą z jej nowożytnymi apostołami literatury polskiej, bo Galicya przybrała się w czapczkę Stańczyków, a W. Ks. Poznańskie, odurzona klerykalizmem, nie chciało „rozdzielić pomiędzy teoryami naukowymi, a *gudaniną* tych, co zaledwie *liznąwszy nauki, pletli niestworzone rzeczy i istotnie, jako ludzie niedowarzeni lub postrzeleni, mogli niezbyt pomysłnie oddziaływać na umysłowość ogólną*“ (str. 97). Tego rodzaju rubaszne przymieszki spotykamy także bez żadnego usprawiedliwienia i przy rzucaniu ryczałtów charakterystycznych rysów we wzmiankach nie tylko o starszych, ale i o nowszych pisarzach, których obywatelskie i naukowe poglądy tak są znane, że nie potrzeba ich szukać jak np. Bolesława Prusa (Al. Głowacki), aż „w suterynach „Kuryera Warszawskiego“, zabawiających łaskawych czytelników“ (str. 144). P. Chmielowski, zajmujący się nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie pedagogiką wie doskonale, że w atmosferze naszego społeczeństwa należy bardzo ostrożnie szafować satyryczną, uszczypliwą humorystką, która przez ośmieszanie najpoważniejszych zamiarów, czyto w samym tekście czy w odcinku jakiegokolwiek pisemka uczy lekceważyć nie tylko osobę, ale i zasługę, zachęca do poniewierania wszystkiemu, co nie schlebia urojeniom naszym; niewłaściwie zaś użyta, dla efektu, od niechcenia rzucona, traci pewną nieprzyzwoitością, której się wystrzeże każdy dziennik poważny, a cóż dopiero książka, do której przecie żywa nasza młodzież, słuchając kursu historii literatury polskiej, zaglądać będzie, a przynajmniej zaglądać powinna. Miałaby to także być jeden ze środków manifestujących w „młodej prasie“ (używamy tego wyrażenia za autora, bo sami nie znajdujemy go właściwemu) pogardę dla każdej „powagi“ prócz swojej własnej, przed którą tylko zacofany konserwatyzm i arystokratyczny ultramontanizm w ciemnocie swojej, pokornym czołem uderzyć nie umie; tylko przed nią truchleje. Patrząc bez uprzedzenia na społeczeństwo nasze we wszystkich jego „słojach“, jak się wyrażać zwykły warszawskie organa postępowe, pozwalamy sobie wątpić o tem, żeby taką tezę naukowo obronić można i żeby naród nasz mógł się zgodzić na taki pogląd doktrynerski, témbardziej, że bądź cobądź dawne powagi i ich dzieła są znane; na dzieła zaś tak jaskrawo wskazywanych nowych powag jeszcze czekamy, jeśli ich wiatr zmiennego prądu panującej chwilowo opinii, tak jak i wiele zasłużonych usiłowań na polu naszej pu-

blicystyki, nie rozwieje. Prócz tego spotykamy w tym szkicu bardzo wiele kwestyi w taki sposób przedstawionych, że wątpimy, aby pogląd ten można ku powszechnemu zadowoleniu obronić. Nie sądziliśmy dotychczas, żeby tak zwana młoda prasa miała wypłynąć głównie z tak mętnego źródła, jakim bez zaprzeczenia jest obrażona miłość własna i niepohamowana ambicja, a z tego, co nam p. Chmielewski wykłada (str. 51 — 54), taki tylko wniosek wypadałoby zrobić. Nowy kierunek pracy umysłowej był rezultatem gruntowniejszych, samodzielniejszych studyów, do których Szkoła główna wskazała drogę młodzieży, garnącej się z wielkim zapałem do nauki i rozwijał się po nagłym podjęciu skrzydeł tej instytucji pod wpływem obcych literatur, które się w ogóle ku pozytywizmowi przechylały, a których owoc dostawały się, po rozproszeniu Szkoły głównej, do umysłów, pobudzonych do samodzielnej pracy, w formie dosyć surowej, do strawienia ich nie dosyć jeszcze przygotowanych. Życzliwa uwaga autora o Szkole głównej, że obznajmiła młodzież z nabytkami wiedzy europejskiej, ale sama tą drogą śmiało nie kroczyła, płynie z niejasnego poglądu na zadanie takiej instytucji, której nie można stawiać na równi z żadnym organem prasy, bo instytucja taka nie może służyć przemijającym opiniom; lecz powinna się opierać na trwałym fundamencie, który stanowi tylko nauka we wszystkich jej postępowych objawach. Z tego faktu, że starsi nie chcieli pohopnie uderzyć czołem przed powagą młodszych, nie należało wyciągać wniosku, jakoby starsi podejrzewali czystość obywatelskich celów młodszych antagonistów, bo samo uczucie sprawiedliwości nie pozwala bez żadnego dowodu, rzucać kamieniem potępienia na bliźniego. Nikt nie wątpił o czystości ostatniego celu ruchliwych młodych szermierzy; ale środki, któremi szermierze walczyli, były zazwyczaj tak zgodne i tak jednobrzmiące z inkryminacyami najzaciętszych wrogów naszej indywidualności narodowej, że należało reflektować zbyt gorących a nieogłędnych retoryków. Okoliczność ta roznamietniała obydwa zastępy, tém bardziej, że językiem „młodej prasy“ można było swobodnie szermować, gdy język starszych, broniących rodzinnej strzechy przed gwałtownymi napaściami, jak najsamowolniej podcinano. Ze pierwiastkowo nie było takiej zawziętości, tego dowodzi między innymi artykuł pan A. P. w „Bibliotece Warszawskiej“, zachwalający wydawnictwa naukowe „Przeglądu tygodniowego.“ Niebawem rzucili się ci młodzi hetmani i na pole ekspektoracyi politycznych, mianowicie co do kwestyi potrącanych przez słowianofilów i poczęli ciągnąć do odpowiedzialności za straszne świeże nieszczęścia tych, których we właściwej chwili słuchać nie chcieli, piętnując ich jak najhaniebniejszymi przydomkami. Między powszednimi aktorami polityki znajdujemy i takich, którzy zawsze i wszędzie, wobec każdego rządu, za jaką-bądź cenę hałasować muszą. Są to hetmani, których rokoszowa pycha nawet bez hetmańskich antenatów woli ogółu się nie poddaje, ale zawsze i wszędzie Sicińskich przypomina i to nie w żadnej wrogięj dla ojczyzny myśli; ale tylko z trwogi, żeby się nie zdawało, że za

czyimkolwiek poważniejszym idą głosem. Historia jednak uczy, że taka hałaśliwość, taka pohopność do wojny domowej, nie zawsze jest odpowiednim środkiem organicznego rozwoju tak duchowego, jako i materialnego. Sama retoryka nie zastąpi czynów: niechaj każdy pracuje według swojej możliwości i swoich sił na stanowisku, na którym go losy postawiły—bez uprzedzeń, bez zawiści i bez nienawiści względem bliźnich, pamiętając zawsze o tém hasle: *quidquid agis, prudenter agas et respice finem!* Pole nasze jest wprawdzie cierniste i przez różne uprzedzenia zachwaszczone, ale bardzo obszerne! Cel nas wszystkich wspólny, jeden, równie szlachetny, a co do środków, to są tylko te wstrętne, które nas od tego celu odwodzą. Wzajemne rekryminacye, podejrzliwości i urojone zarzuty nie były dotychczas jeszcze nigdy i nigdzie fundamentem, na którymby się pomyślność społeczeństwa rozwijać i szczęście narodu opierać mogło. Z takiego stanowiska patrząc na wszystkich pracowników na niwie literackiej, mamy to głębokie przekonanie, że podnoszona przez p. Chmielowskiego różnica między prasą arystokratyczną a demokratyczną, naukowo nie da się usprawiedliwić w naszej najnowszej literaturze, chyba żebyśmy tę różnicę zredukowali tylko do tonu więcej lub mniej przyzwoitego, bo w całej atmosferze pojęć szlacheckich nie wskazuje mi dzisiaj p. Chmielowski, żeby zasady demokratyczne, opierające się na ideach naszej przeszłości, na poszanowaniu religii i Kościoła, rodziny i ojczyzny, miały być w naszej literaturze proskrybowane. Co więcej powiem: właśnie te sfery, które „prasa młodsza“ tak uszczypliwie, często nawet niesprawiedliwie o arystokrację na polu działalności publicznej strofuje (o stosunkach towarzyskich nie może tu być mowy, bo te układają się wedle warunków zupełnie odrębnych: różnice majątkowe, wychowanie, zwyczaje i obyczaje domowe, koligacye i t. p., które wyróżniając jednych od drugih, nawet między włościanami żadnego reformatora o aprobatę nie pytają), nie szczędziły i nie szczędzą nakładu i zachodów, aby podtrzymać energią życia umysłowego w całym narodzie pod sztandarem swojskim, rodzinnym. Ich ofiarnością gromadzą się i podtrzymują fundusze i stypendya, których nie odmawia się nikomu dla braku tarczy herbowej, jak to doświadczyło wielu z zawziętych wrogów owych arystokratów, ultramontanów i szlachetczyzmu, jak tego dowodzą owoce Towarzystwa pomocy naukowej ś. p. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, stypendya Młockiego, Konarskiego i w. i. Któż to redakcyja ze starszych pism potępiała zasady demokratyczne, na gruncie narodowym wzrastające? Kosmopolitycznego liberalizmu, na bezwyznaniowości opartego, nie można przecie mieszać z zasadami prawdziwie demokratycznymi. Kto tak wysoko podnosi metodę pozytywistyczną, jak „prasa młoda“, ten nie powinien podawać urojeń, z obcych sfer abstrahowanych, za oczywiste fakta, bo to mąci tylko umysły niedoświadczone i podnieca zawiści, dla których w społeczeństwie, w takim położeniu, jak nasze, miejsca niema i być nie powinno. Nie zgadzamy się także z p. Chmielowskim co do tego, jakoby znamieniem postępu miało być

„zajęcie stanowiska wiedzy dzisiejszej, niezależnej od wiary“ (str. 107). Sfera wiedzy i sfera wiary, to są dwa osobne królestwa, które wśród interesów politycznych często ze sobą się ścierają i ścierać będą, dopóki Opatrzność nie doprowadzi ludzkości do wynalezienia odpowiedniej formuły, któraby ten stosunek unormowała; ale w duszy chrześcianina walki między temi dwoma królestwami być nie powinno, idea postępu nie żąda wcale téj walki, tylko arogancja ludzka, przenosząca swawolę nad rygor prawideł moralności, ciska się w młodzieńczym wieku na dogmata wiary. Nie pojmujemy, jak można któremukolwiek organowi w kraju chrześciańskim i przeważnie katolickim poczytywać to za wadę, za stronę ujemną, za dowód wstecznicstwa, że szanuje wiarę ojców, że czci zasady wiary? Pan Chmielowski tego wyraźnie nigdzie nie twierdzi; ale charakterystyka tego najnowszego w literaturze naszej postępu, dla którego sympatye swoje otwarcie zaznacza, z tego mylnego, jak sądzimy, płynie źródła. Straszneby to było położenie, gdyby dla uniknienia zarzutu wstecznicstwa trzeba się było wyrzec wiary, która przodków naszych wprowadziła do świątyni historii i do wielkich zagrzewała czynów! Niewyrozumiałym jest wreszcie zarzut pana Chmielowskiego przeciwko starszym organom prasy, że milczały w chwili takiego faktu, jak przekształcenie sądownictwa, boć wiadomo każdemu dokładnie, że opinie tych organów nie miały téj swobody, co doktryny „postępowców.“ Jeżeli wreszcie „młoda prasa“ oburzała się słusznie na postronne insynuacye, krzywdzące najszlachetniejsze uczucia każdego Polaka, to niechaj gniew jój ukoj cokolwiek ta okoliczność, że jój „modus procedendi in spiritualibus et in politicis,“ przybierał takie znamiona, że wszyscy ci, którzy nad zagładą naszego imienia pracowali, uważali i dziś jeszcze uważają jój obóz za swoich stronników i sprzymierzeńców. Fakt ten powinienby postępowców naszych zreflektować co do tego, że ścieżka, którą idą, nie prowadzi do celu, do którego usilnie wszyscy dążymy; nie można miotać gniewem na współziomków zato, że się pozorami omylić dali. Reszta osnowy książki p. Chmielowskiego, robiącej wrażenie pracy nierównomierniej, jest pod wielu względami niedokładną, chociaż nie jest bez wartości, jako pamiętnikowy przegląd najnowszych płodów literackich, tylko należy sprostować omyłki, jakie się nawet do tytułów dzieł powkradały. Ostatnie słowa szanownego autora (str. 216 i 217) tchną do pewnego stopnia szlachetną intencją złagodzenia poprzedzających publicystycznych poglądów; gdyby idee, wyrażone w téj końcowej obserwacyi, były autorowi od początku dzieła przewodniczyły, to wdzięczność szkoły i literatury ojczystej za tę pracę byłaby bez porównania większa i uznanie powszechniejsze.

— Naczelne władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego drukują zgromadzony i uporządkowany przez wybraną z grona swojego delegacyą „Zbiór wiadomości statystycznych, odnoszących się do dóbr ziemskich, obciążonych pożyczką Tow. kred. ziemsk. w Królestwie Pol-

skiém." Już od wielu lat starano się o zebranie danych statystycznych, odnoszących się do działalności téj instytucji od początku jéj istnienia, to jest od r. 1825, bo spodziewano się w ten sposób zebrać materyał, niezbędny do naukowego ocenienia ekonomicznych stosunków Królestwa. W obec téj myśli, przedstawiało się władzom Towarzystwa dwojakie zadanie: pierwsze zwracało uwagę wyłącznie na wewnętrzną działalność Towarzystwa jako instytucji kredytowej; drugie zajmowało się dobrami stowarzyszonymi i odnoszącymi się do nich szczegółami. W tym celu wydano jeszcze w r. 1875 „Zbiór rachunkowych wiadomości i objaśnień, dotyczących działań Tow. kred. ziemsk. od chwili zawiązania tegoż, to jest od r. 1826—1869” i dalszy materyał skrupulatnie się gromadzi. Zbiór ten wykazuje następujące siedm działów: 1) Wierzytelność Tow.; 2) Listy zastawne; 3) Wpływy i zaległości; 4) Wpłaty za Listy zastawne wylosowane i kupony półroczne; 5) Fundusze własność Tow. stanowiące; 6) Udział Tow. przy spłacie Listów likwidacyjnych za grunta uwłaszczzone; 7) Pożyczki przez Tow. zaciągające. Drugiemu zaś zadaniu na uczynić zadość bardzo poważna publikacja, której druk znacznie już jest posunięty, pod tytułem na początku téj informacji wypisanym. W wyczerpującym ten przedmiot wstępie, z którego z pierwszej odbitki korzystać mi dozwolono, objaśnia delegacja koleje i bliższe okoliczności téj pracy towarzyszące, wykazując przyczyny, dla których dopiero teraz pracę tę, z mozolnym trudem i niemałym kosztem przez władze Tow. dokonaną, drukiem ogłosić można było. Wydawnictwo niniejsze sięgające po koniec 1879 r., dzieli się na dwie części: pierwsza: przegląd stosunków rolnych dóbr stowarzyszonych podług głównych działów statystyki rolniczej, z tablicami, przedstawiającymi guberniami stosunki, o których w tekście mowa; druga zawiera same tablice, w których przedstawione są dane statystyczne nie tylko guberniami, ale i powiatami. Część pierwsza ogólna zawiera: 1) Przestrzeń dóbr stowarzyszonych; 2) Zabudowania gospodarskie i zakłady przemysłowe; 3) Inwentarz żywy; 4) Produkcya rolnicza; 5) Szacunek dóbr; 6) Obciążenia hipoteczne; 7) Podatki rządowe i opłaty gminne i t. d.; 8) Służebności pastwiskowe i leśne. Część druga: 1) Dane statystyczne dóbr, które dopełniły konwersyi pożyczki III okr. na List. zast. ser. I, z r. 1869, po r. 1879; 2) Dobra obciążone pożyczką nową z r. 1869 na podstawie mnożnika 40; 3) Dobra obciążone pożyczką z taksy według prawa z r. 1869; 4) Wykaz służebności pastwiskowych i leśnych, oraz szczegóły dotyczące układów o zniesienie służebności. Skoro druk tego nader ważnego dzieła ukończonym będzie, każdy z łatwością będzie mógł gruntownie poznać ekonomiczne znaczenie Tow. kred. ziemsk., a to z pomocą ukończonego już w roku bieżącym i wydanego w trzech tomach pełnego „Zbioru praw i przepisów Tow. kr. ziemsk. od r. 1825—1880;” Warszawa, 1881. Jest do nabycia tak w biurze Dyr. Gł., jakoteż w biurach wszystkich Dyrekcyi szczegółowych w cenie rs. 2 kop. 25 za trzy tomy.

— Piotr Chmielowski został (jak donosi „Kur. Warsz.”), zatwierdzony profesorem do wykładu historii literatury polskiej w Uniwersytecie cesarskim w Warszawie.

— Nowe dzieło Wiktora Hugo p. n. „*Les quatre vents de l'esprit*“ wyszło w Paryżu. Rozmiar tego nowego zbioru utworów ośmdziesięcioletniego poety jest dosyć znaczny, są to bowiem dwa tomy obejmujące 42 arkusze druku. Zbiór dzieli się na cztery księgi: epiczną, liryczną, dramatyczną i satyryczną, które jednak w układzie dzieła następują po sobie w odwrotnym porządku. W księdze satyrycznej polityka ma zajmować niewiele miejsca; są to przeważnie satyry ogólniejszego charakteru. Księga dramatyczna zawiera komedię jednoaktową i dramat trzechaktowy, których wspólnym bohaterem jest Gallus, książę Szwabii, a bohaterkami w jednej dziewczica, w drugiej kobieta, jego kochanki. Rzecz dzieje się w zeszłym stuleciu. Księgę epiczną, zawierającą poemat o rewolucyi francuskiej, napisał Wiktor Hugo jeszcze w Guernesey w r. 1857. O księdze lirycznej dzienniki francuskie nic dotąd nie wspominają, a zato mówią, że Wiktor Hugo dziełem tém udowodni, iż jest wszechstronniejszym od czterech największych poetów ludzkości: Pindara, Juwenala, Dantego i Szekspira, gdyż Pindar nie pisał satyr, Dante dramatów, Szekspir epopei, a satyryk Juwenal nikogo nie uczcił odą.

— W miesiącu maju r. b. umarł w Paryżu w ośmdziesiątym roku życia Paweł Emil Littré, jeden z najgorliwszych obrońców pozytywizmu w literaturze francuskiej. Prócz dzieł filozoficznych, znanych czytelnikom Biblioteki z artykułu „o pozytywizmie,” położył Littré wielkie zasługi na polu badań języka francuskiego w dziełach: 1) „*Histoire de la langue française*“ (1862); 2) „*Dictionnaire de la langue française*“ 4 tomy (1863—1871) i 3) „*La poesie homerique et l'ancienne poesie française*.“ Wychowany w niedowiarstwie lekceważył sobie prawdy religijne i ośmielał przez to wielu młodych niedowiarków; zapatrując się zaś w obec śmierci poważniej na życie, pojął się z Kościołem Chrystusowym, na którego łono wstąpił przez chrzest przyjęty na łożu choroby śmiertelnej.

N e k r o l o g i a.

— † W dniu 12 maja umarł *Adam Ferd. Adamowicz*, jeden z uczestników chlubnego zastępu naszej umysłowości na polu wiedzy medycznej i przyrodoznawczej. Łączył on epokę obecną z wiekopomnym cieniem akademii wileńskiej, z plejadą jej profesorów, jak Śniadecki, Frank, Bojanus, których sam jeden przeżył! Urodził się w Wilnie 1802 r. i tam pracowitego życia dokonał. Po otrzymaniu stopnia magistra medycyny, poświęcił się badaniom anatomiczno-patologicznym pod sterem Franka, następnie zaś, napisawszy odpowiednią rozprawę, w 1824 r. pozyskał godność doktorską. Pisarską działalność rozpoczął Adamowicz od pracy: „Czy Sokrates otruty był cykutą?“ w 1817 r., następnie wydrukował rozprawę „O chorobach zwierząt domowych.“ Ważniejsze jego dzieła są: 1) „O kuciu koni,“ 2) „Nauka utrzymywania zwierząt,“ 3) „O poznawaniu chorób koni,“ 4) „Zoonomia.“ Spostrzeżenia robione w klinice umieszczał w kolektaneach wileńskich, a rezultaty głośnych doświadczeń nad wścieklizną pomieścił w „Magazin für die Thierheilkunde. Prace na polu medycyny i przyrodoznawstwa drukował po najrozmaitszych dziennikach polskich i francuzkich; literackie w „Tygodniku petersburskim“ i „Wizerunkach,“ nadto wydał oddzielną monografią p. t.: „Kościół augsburski wileński.“ Do jego zasług naukowych należy zwrócenie uwagi na „Zielnik mistrzów krakowskich“ z XV wieku i skatalogowanie zbiorów b. akademii, praca iście benedyktyńska, ogłoszona później p. t.: „Museum anatomicum vilmense.“ Był on założycielem (1823) szkoły weterynaryjnej, gdzie wyładał największą ilość przedmiotów, zaś od roku 1838 objął katedrę historii medycyny w akademii wileńskiej. Gdy 1842 roku wydział medycyny zamknięto, Adamowicz przeniósł działalność swoją do miejscowego Towarzystwa lekarskiego i będąc jego prezesem, ogłaszał „Praktyczne spostrzeżenia niektórych lekarzy“ 1846—1852. Adamowicz na pamiątkę pięćdziesięciolecia istnienia Towarzystwa, wydał w Wilnie „Rys początków anatomii w Polsce i Litwie,“ nadto wznowił konkurs w sprawie „kołtuna,“ ustanowiony 1805 r. Z publikacji warszawskich zasilął „Pamiętnik lekarski“ oraz „Encyklopedyą“ Glücksberga. Wykształcony wszechstronnie lekarz, traktował zawód profesorski z zamiłowaniem; gorliwy o dobro społec-

czeństwa obywatel, śpieszył na jego usługi zawsze, ilekroć tego potrzeba zachodziła. Cześć jego pamięci.

— † Ś. p. **Karol Kloss**, utalentowany rzeźbiarz i pisarz, umarł w Warszawie dnia 29 maja r. b. skutkiem choroby serca. Urodzony w Warszawie 1851 r. Przy szczupłych środkach swoich rodziców starannie przez nich wychowany, udał się Kloss po ukończeniu szkół w Warszawie i po kilku próbach w rzeźbiarstwie na dalszą naukę do Berlina, Drezna i Rzymu, z kąd wrócił już jako dojrzały artysta do miasta rodzinnego. Prace jego jużto z tematów religijnych już historycznych polskich nagradzało kilkakrotnie Tow. zach. szt. piękn. w Królestwie Polskiem. Najpiękniejsze dzieło zmarłego, grupa „Tarpea.“ Kilka poetycznych projektów zostało w jego pracowni. Z dziedziny literackiej pozostawił ś p. Kloss dramaty „Cajus Gracchus“ złożony komitetowi teatru, „Sempronia;“ w rękopisie zaś utwór dramatyczny z dziejów polskich pod tytułem „Mieszko.“

OD REDAKCYI.

Konkurs, na temat żądający przedstawienia **Obrazu obywatela wieku współczesnego**, którego termin oznaczony był na 30 grudnia 1880 r., przedłuża się ostatecznie do 1 grudnia 1881 r. z tém zastrzeżeniem, że w razie niespełnienia do tego terminu jego warunków, konkurs na temat powyższy cofniętym będzie.

SPROSTOWANIE

w tomie II-im Biblioteki Warszawskiej 1881 roku.

Str. 330 wiersz 7 od góry, zamiast „Prawdziwy Bóg Pan,” czytaj „Prawdziwy Bóg Chleb.”

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

T R E N Y
JANA KOCHANOWSKIEGO.

PRZEZ

Władysława Nehrunga.

Sto lat ubiega, jak Książnin pamięć Kochanowskiego uświetnił przetłómaczeniem Trenów w wierszach łacińskich. W poczytach łacińskich tego utalentowanego poety, pisanych za młodych lat („Lusimus haec iuvenes olim” czytamy na tytule), a wydanych r. 1781 pod tytułem: „Francisci Dionysii Książnin Carmina.” Varsaviae, typis aulicis S. R. Mtis, stron 200 w ósemce ¹⁾, znajdują się oprócz tłómaczenia „Muzy Kochanowskiego” („Musa Cochanovii poetarum Polonorum principis” str. 48), tłómaczone łacińskimi dystychami „Threni Joannis Cochanovii poetarum Polonorum principis” (str. 141) z posłaniem do Frańciszka Karpińskiego, gdzie mu ofiaruje w przekładzie ulubionego poetę:

...tuumque meumque poetam
Deliciasque tuas deliciasque meas....
Sauromatem feci latium, metuoque poetam
Veste sub extera ne sibi displiceat.

Z westchnieniem wspomina poeta te szczęśliwe czasy, które Kochanowskiego wydały, gdzieby i nam wolno było zrywać laury... „teraz wszystko inaczej: odrodziliśmy się, mają nas za Beotczyków i Sybarytan, a my podobamy sobie w tém, co obce, naszej umysłowej pracy pomocniki służą za bankiet molom:

Extra sola placent, patriae monimenta Minervae
Odimus ac tincis pulverulenta damus.

Zwraca się więc z miłością poeta do Kochanowskiego, pierwszego poetów polskich książęcia:

¹⁾ Egzemplarz z biblioteki Kórnickiej, udzielony łaskawie przez dr-a Z. C.



Hic primus Lechicas terso sermone profari
Edocuit Musas et sophus et liryceen,

w Trenach uwielbia miłą swojskość, którą powinnyby ziomkowie prze-
nieść nad paryzkie przepychy.

Jest w tém zajęciu się Kochanowskim i Trenami w epoce wciska-
jącej się do polskiej poezji sentymentalności, pierwszy zawizek kultu
Jana Kochanowskiego, do czego po długiej przerwie dał znowu pohop
Bohomolec, wydając w r. 1767 „Poezye Jana Kochanowskiego.” Za
Kniaźninem odezwał się głosem uwielbienia o Kochanowskim ks. Igna-
cy Włodek w książce „O naukach wyzwolonych” w Rzymie 1784 roku,
który znowu na Treny jako na arcydzieło się powołuje, i to aby oka-
zać „słodycz” ojczystych dźwięków. W rozdziale o słodyczy języka
ojczystego przytacza dosłownie tren VII „Nieszczęsne ochędóstwo, za-
łosne ubiory i t. d.” i rozbiera go z zamięłowaniem. F. Karpiński, ów
reprezentant sentymentalności w poezji polskiej, ów „poeta serca,”
uwielbiał Kochanowskiego, jak widać z odezwania się Książnina i z Psal-
mów, gdzie w przedmowie nazywa go „wielkim mężem,” „nieśmiertel-
nym człowiekiem,” i gdzie wraz z Książninem, który wedle téjże przed-
mowy dostarczył około 30 psalmów, szedł śladem Kochanowskiego.
W ślad za Książninem i Karpińskim poszli i inni poeci polscy w uwiel-
bieniu Kochanowskiego: Krasicki, który w „Rymotwórstwie” mówi, że
nigdy bez rozrzewnienia go nie czyta, a Treny nazywa „nieśmiertelne-
mi rymami;” Niemcewicz, który w przemowie o Kochanowskim na pu-
bliczném posiedzeniu Tow. prz. nauk. warsz. w 1808 r. pierwszy należy-
cie tego poetę ocenił; Brodziński, który w prelekcyach i w tłómaczeniu
łacińskich poezji Kochanowskiego, tego poetę wyniósł wysoko; Mickie-
wicz, który w prelekcyach (I, str. 35), помещa go pomiędzy znako-
mitymi poetami XVI wieku i „z miłych trenów” obfite przytacza wy-
jātki; Słowacki, który „niewyczerpaném dla siebie źródłem pociechy”
nazywał pisma obydwóch Kochanowskich ¹⁾, i inni.

Nowocześni nasi poeci postawili Kochanowskiego tak wysoko, jak
go stawiali już współcześni. Krytyka téż przyzna mu jedno z najpierw-
szych miejsc pomiędzy poetami europejskimi XVI wieku; im bardziej
Kochanowskiego poezye i źródła ich natchnienia są przedmiotem nau-
kowych badań, tém więcej świetlany rysuje się obraz tego poety, któ-
ry na dwa przeszło wieki wytknął poezji polskiej kierunek i drogę.

W wieńcu poetyckim, który Kochanowski uwił sobie poezyami
swemi, Treny zawsze najsympatyczniej budziły echo. I w nowszych
czasach były dwa razy objaśniane. Józef Szujski w roczniku Towar-
zystwa naukowego krakowskiego, tom XI, za rok 1866, ogłosił pię-
kną rozprawę: „Treny na śmierć córki Jana Kochanowskiego,” w na-
stępnym zaś r. 1867, znany pod pseudonimem Felicjana, poeta, ogłosił
obszerne studjum „O trenach Jana Kochanowskiego” w „Bibliotece

¹⁾ Małcecki, Juliusz Słowacki, I, 218.

Warszawskiej“ (tom II), osobno także wydane w r. 1867. Szujski porównywa Treny z Słowackiego poematem „Ojciec zadżumionych” i upatruje w nich powrót od humanistycznych, pogańskich błędów na łono religijnych pociech, zarazem najtreściwszy wyraz indywidualizmu poety jako i ówczesnej duszy narodowej, bo i rozgorączkowane społeczeństwo wróciło od reformatorskich niepokojów, do wiary ojców. Felicyan przedstawił Treny jako kreację poetyczną, w której w jeden akord powiązane są lamentacje Joba, mędrowanie Salomona i pociechy Tomasza à Kempis, kreacją zaimprovizowaną bez ładu i pomiarkowania i bez myśli o czytelniku. W tej „naiwnej bezwiedzy“ upatruje jednakże utalentowany poeta zachody około formy, właściwe mistrzowi formy, Janowi Kochanowskiemu, czego też dowodzi dalszy rozbiór. Z chłodniejszego punktu widzenia, z którego poetyczna treść Trenów przedstawić się może w nierównie wyrazistszych liniach, może mieć miejsce i inne spojrzenie na Treny jako na całość, która powoli dopiero w duszy tworzącego poety zarysowała się w miarę nowo powstających trenów i której wiązaniem jest myśl filozoficzna, dość wyraźnie odzywająca się jako temat w trenie II, a następnie wydobywająca się z fali tonów poetycznych raz poraz aż do trenu ostatniego, gdzie następuje rozwiązanie.

W ogólnym o Trenach sędzie nie małą odgrywa rolę zadecydowanie tego pytania, czy były one pisane pod świeżem wrażeniem boleści po śmierci Urszulki, czy też dopiero wtedy, kiedy zamęt pierwszych uczuć już się uspokoił? czy w Trenach jest bezpośredni obraz duszy ojca dotkniętego śmiercią ukochanej córeczki, czy też ten obraz jest nawiedziony pamięcią i ujęty w spokojne linie? czy poeta pisał dla siebie, czy pisał dla innych? Wszelkie pozory mówią za pierwszém przypuszczeniem. Nie było pociechy dla naszego poety. Ile stracił, widać z trenu VIII:

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Urszulko! tém zniknieniem swoim.
Pełno nas, a iakoby nikogo nie było,
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!
Tyś za wszystkie mówiła, za wszystkie śpiewała,
Wszystkieś w domu kąciki zawsze pobiegała,
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani oycu myśleniem zbytnim głowy psować,
To tego to owego wdzięcznie oblapiając,
Y owym swym ucielnym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło, szczerze pustki w domu! i t. d.

Nad wyraz smutne to spojrzenie na dom ukochanego poety! On sam „niesposobnego zdrowia” ¹⁾, na pracy i frasunkach trawił myśl i si-

¹⁾ W grudniu r. 1577 usprawiedliwiał się poeta w liście do Jana Zamoyskiego, że na ślub jego z Radziwiłłówną i na przedstawienie „Odprawy posłów” przyjechać nie może, bo mu „złe zdrowie nie da.” W następnym roku pisze do biskupa Myszkowskiego:

ły, a choć w energii ducha frasunki oddalał od siebie, to jednakże zbyt często o nich wspomina, abyśmy nie mieli w nim przypuścić tej szlachetnej melancholii, w której dusza w górę się dźwigając, trawi się powoli. Najbliższa sercu jego osoba, ukochana żona Dorota, usposobieniem zbyt fraszobliwem, które poeta nie bez humoru skreślił w pieśni do Myszkowskiego ¹⁾, nie przyczyniała wesela i pogodnych chwil w Czarnolesiu. Jedyna w Czarnym lesie istota, która w tém jednostajnym, cichym, „skromnym życiu, gdzie ledwie kto wieział” o pocie (tren XVII, 17), budziła i utrzymywała wesele, była Urszulka. Ona „nie pozwalała matce się fraszować,” „ojcu zbyt czynnem myśleniem“ nękać się; ona jedyna wesołym słowem i wesołą piosenką napełniała dom poety Czarnoleskiego. Po niewielu miesiącach promiennego światła, gwiazda ta zniknęła (zapewne roku 1579 lub 1580). Poeta osamotniał, został sam z biednym sercem swoim. Nie było pociechy nikąd, bo te racje które odzywali się przyjaciele, były raczej dolegliwe, niż ulgą, a owe inne, które w ostatnim trenie kładzie matka w usta żonie poety, były to racje ziemskie, jak ziemskimi były owe obrachunki o „uszczipionej fortunie“ ²⁾, o posagu, które poeta powtarza w Trenach z uśmiechem boleści, a które nam są niezupełnie zrozumiałe, choć przypuścić że Urszulka była drugim ³⁾, co do starszeństwa dzieckiem poety, i że po urodzeniu się Polixeny, Halszki, Hanny, przypadała tamtęj już tylko

Rychley niesposobnego będąc świadoma
Zdrowia mego, fraszcie swe serce doma (żona).

W r. 1580 w przedmowie do Zamoyskiego w wydaniu „Trzech pieśni“ pisze: „Ale jednak chceszli mnie W. M. na świecie mieć dłużej, proszę nie kazać mi W. M. teraz nie pisać. Bo w dobrem zdrowiu ledwie jakie takie operae pretium człowiek czynić może, teraz neque res neque verba suppetunt.” Maciejowski, Piśm. I, 488; por. Löwenfelda „Johann Kochanowski,” str. 35.

¹⁾ Pieśń I, 20, „Jaką rozumiesz zazdrość ziednałeś sobie,” i t. d., gdzie Kochanowski mówi, że jego „troskliwa żona“ nie myślała, że mu dobrze przy biskupie, ale wyobrażała go sobie otoczonym niezwykle niebezpieczeństwami.

²⁾ Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona,
Zdałaś się oycu twego barzziej uszczipiona
Oycyzna, niżlibyś ty przestała na niej miała.

³⁾ Jestto przypuszczenie z pomiędzy innych najprawdopodobniejsze. Kochanowski ustąpił z probostwa poznańskiego 2 czerwca 1574 r. (Przyborowski, „Bibl. Warsz.“ 1859, I, 741), zapewne się wtedy i ożenił; w r. 1578 w wierszu do biskupa Myszkowskiego (II, 20), mówi o dziećtach swoich; na początku r. 1597 z pomiędzy córek jego tylko Ewa jest zamężna, inne jeszcze pannami; w lipcu r. 1599 już i Polixena występuje jako zamężna, po niej idące Elżbieta i Krystyna są jeszcze pannami. Polixena więc, jeszcze r. 1597 panna, zdaje się być młodszą od Urszulki, zmarłej po 30 miesiącach życia około r. 1579.

„uszczuplona ojcowizna“ i uszczuplony „posag.“ Poeta tracił ze śmiercią Urszulki nie tylko swoje „pociechę“, która cichy i frasobliwy dom Czarnoleski rozweselała, ale tracił z nią i całą nadzieję, tracił godną po sobie swój lutni dziedziczkę, dziedziczkę niezwykłych jego zdolności. My więc poetę rozumiemy i niemiezkich też jego za złe mu nie poczytujemy i moglibyśmy rozumieć, że *Treny* są wyrwijającym się krzykiem boleści pod świeżym wrażeniem osamotnienia. Tłumaczyłyby się takim przypuszczeniem nie tylko te *treny*, które zdają się być napisane przy otwartej trumience (tr. V, VI), po pogrzebie (tr. VIII), na cmentarzu (tr. XIII), ale tłumaczyłyby się także i owe buntury przeciwko Opatrzności, owe pesymistyczne wykrzykniki, że całe życie człowieka jest błędem (tr. I, 15), owo bluźnierstwo zwątpienia: „Gdziekolwiek jesteś, jeźliś jest“ (tr. X, 13), ów obraz duszy „błędem na jawie“ skrepowanej w *trenie* XVI, która w stanie niemój rozpaczy traci jasność myśli ¹⁾.

Jednakże pomimo te wszystkie względy niepodobna przypuścić, że *Treny* lub przynajmniej pewna ich część napisana była w pierwszych dniach żałoby, pod świeżym wrażeniem. Kiedy śmierć i**n** jej ślady są w domu, natchnienie poetyckie jest niemożliwe, poeta zawsze potrzebuje pewnej odległości perspektywy, potrzeba mu oderwania przedmiotu od osoby, wyzwolenia od bólu fizycznego. I tu da się zastosować słowo Schillera: „Was unsterblich im Gesang soll leben, muss im Leben untergehen.“ Z *trenów* też przemawia spokój ducha artystycznego i myśl zrozumiała, pomimo właściwej Kochanowskiemu brewilokwencji, i pisząc *Treny*, miał poeta nie tylko siebie i biędne serce swoje na myśli, ale i czytającą publiczność:

Ani mi łatwo teraz dowiadać się o tym

Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potym. (II, 15).

A wreszcie mitologia wszędzie myśl poety zabarwia i zapewne nie jest w *Trenach* niczém inném, jak w poezyach Kochanowskiego w ogóle, to jest: przystrojem artystycznym.

Z tego nie wypływa jednakże, żeby *Treny* napisane były wedle pewnej, z góry powziętej dyspozycji. Nie ma tu w nich takiego planu i ciągu, aby widoczném było, że wszystkie wypłynęły z jednej naczelnej myśli i każdy był niejako jednym tój myśli wyrazem, jedném ogniwem łańcucha. *Tren* IV np. zawiera tę samą myśl, co druga część *trenu* II od słów w. 21: „O! prawo krzywdy pełne, co dziecko przed ojcem zabierasz,“ co *Kniaźnin* nie dosłownie, ale w myśl poety tłómaczy: *Impia mors oculos ausa es violasse parentum*; *tren* V nie wiąże się z VI, który znowu poświęcony jest dziedzicze części ziemiańskiej

¹⁾ *Kniaźnin* niezupełnie dokładnie przetłómaczył to miejsce z *trenu* XVI, w. 5:

Vivo? num somni me torquet inanis imago,
Lusum per corneas mox fugitura fores?

i lutni po ojcu; téj saméj zaś myśli poświęca poeta znowu tren XII, który z poprzedzającym XI żadnego nie ma związku. Gdybyśmy chcieli wedle pewnych względów artystycznych upatrywać pewien plan w Trenach z góry powzięty, to wedle niego powinna się odnaleźć intencja poety rozdysponowania tych częstych o pozaświatowym pobycie Urszulki wzmianek, wierzeń lub ułudnych przywidzeń, byłoby pewne stopniowanie w nich lub pewien ciąg. Tak zaś nie jest: w trenie III mówi poeta o rychłym zobaczeniu Urszulki, da Bóg, po śmierci; w trenie VIII odzywają się bezładnie chrześcijańskie, pogańskie, humanistom włoskim właściwe jakieś wierzenia o „marach niekzemnych,” ale wszystkie one w nicość się rozptylają pod technieniem owego zwątpienia „gdziekolwiek jest, jeśliś jest;” w trenie XIV jednakże znowu się poeta do podziemia wybiera po Urszulkę lub do niej. Nie mogło to z jednej wypłynąć dyspozycji, jak i nie mogło i powtarzanie motywów, obrazów i myśli wypłynąć z planu obmyślanego naprzód:

- tr. II, 19. iakie szczęście ludzi naśladańie,
Tak w nas albo dobrą myśl albo złą sprawuie,
- tr. XVI, 37.iako sie stawi
Fortuna, takieh myśli nas nabawi.
- tr. III, 2. Zdałać sie oycu twego barziez uszczuplona
Oyczyna, niżlibyś ty przestać na niey miała,
- tr. VI, 1. Uoieszna moja śpiewaczko....
Na którą nie tylko moja czaćtka ziemieńska... spaść miała.
- tr. III, 5. Z rany rozumem twoim, z piękniemi przymioty,
Z których sie już znaczyły twoje przyszłe enoty,
- tr. XII, 3. A też ledwie sie kiedy dziecię urodziło
Coby łaski rodziców swych tak godne było i t. d.
- tr. IV, 1. Zgwałciłaś niepobożna śmierci oczy moje,
Żem widział umierając miłe dziecię moje,
- tr. II, 21. O prawo krzywdy pełne...
27. A bodaj ani była świata oglądała...
29. A miasto pociech, która winna z czasem była...
- por. XIII, 1. Moia wdzięczna Orszulo! bodaj ty mnie była
Abo nie umierała, lub sie nie rodziła.
19. Opakęś to niebuczna śmierci udziałała,
Nie iac oney ale mnie ona płakać miała.
- tr. VI, 7. Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym,
- X, 9. Czy człowieka zrzuciwszy myśli dziewicze,
Wzięłaś na się postawę i piórko słowicze?
- tr. IX, 17. Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje
Na tym strawił, żebych był nyrzał progi twoje (mądrości)
- XI, 9. A my rozumy swoje przed sie udać chcemy,
Hardzi między prostaki, że nic nie umiemy.
- tr. XI, 3. Kogo kiedy pobożność iego ratowała?
Kogo dobroć przypadku złego uchwala?

XVII, 17. Wiódłem swoy żywot tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie i t. d.

Nie ma więc wątpliwości, że Treny nie są wypływem obmyślenia. Nie są też one improwizacją wiążących się z sobą uczuć i myśli, inności słowy, nie są sobie wszystkie współczesne i nie są pisane jakby za jednym zapędem ducha, który ciężko dotknięty, pasuje się z sobą i znajduje wreszcie pociechę. Ten brak ciągu, owo powtarzanie się i nierówne usposobienie, w którym poeta pisał Treny, przemawia przeciw temu przypuszczeniu. Powstały one niewątpliwie w różnych czasach, choć niepodobna odgadnąć ich następstwa. Nie ma wątpliwości, że tren XIX dorobiony jest najpóźniej, również treny I i II należą do najpóźniejszych. Do najrychlejszych zaś należy tren III; są tu złożone dwa motywa, które w dalszych trenach są szczegółowo rozprawdane; i tak: o przymiotach Urszulki i rzadkich jej talentach pisze poeta w trenie XII w ogóle, o jej talencie poetyckim w trenie VI poszczególnie; tę myśl zaś drugą, że jedynie pozostaje mu iść śladem swjej córki, rozprowadza w trenie XIV, gdzie śladem Orfeusza wybiera się w podziemne odczłanie po Urszulkę, lub już tam z nią chce zostać. Z tego więc wolno wnosić, że tren III jest rychlej napisany, aniżeli VI, XII i XIV, bo absorbuje w sobie ich motywa, odwrotnego zaś przypuszczenia robić nie można. Tren III zawiera, biorąc rzecz ogólnie, najgłówniejsze motywa w sobie, t. j. wielkość straty i chęć złączenia się znów z Urszulką. Również o trenie IV da się powiedzieć, że jest rychlejszym od trenu XV, głównie dla motywu, jaki w obydwóch stanowi jądro myśli, a motywem tym jest wspomnienie Nioby, w trenie IV tylko w sposobie epigramatycznego ucinku („Nie dziwiuję się tobie, Niobe, żeś skamieniała”), w trenie zaś XV wspomnienie to stanowi treść całej elegii; o tém, który z nich rychlejszy, zapewne wątpliwości być nie powinno. To też zapewne i wszystko, co się da powiedzieć o chronologicznym porządku, w jakim Treny pisane były.

Jeżeli bezskuteczne jest pokuszenie się o odnalezienie jakiegoś z góry powziętego planu Trenów, lub przynajmniej względnego ich po między sobą starszeństwa, to nie trudno jest dopatrzeć się w Trenach pewnego ładu i porządku. Ten porządek zaprowadził poeta, oddając Treny do druku. Po dwóch przedwstępnych trenach umieścił 6 trenów epicznych (III—VIII), w których jest sprawozdanie z tego, co się stało; że w trenach tych są i liryczne wynurzenia, rozumie się samo z siebie. Dalej umieścił poeta treny IX—XIII, w których wyraził, biorąc je kolejną, pogardę mądrości; rozpaczliwy głos przeciw wierze o nieśmiertelności duszy; szyderstwo z cnoty; wielkość straty i utratę nadziei; wreszcie ów „płacz i narzekanie” w nagrobku; jednem słowem, jest to część, której osnową jest zawsze brak wszelkiej pociechy. Od trenu XIV aż do XVIII włącznie wybija się inna myśl na wierzch, bo poeta pragnie i szuka pociechy: szuka jej w poezyi i chce iść z lutnią, jak Orfeusz, za Urszulką (tren XIV); dalej szuka ul-

gi w wspomnieniu o Niobie, jakby chciał powiedzieć sobie: „Solamen miseris socios habuisse malorum” (tren XV); w trenie XVI szuka ulgi w płaczu i obiecuje sobie, że czas ranę zablizni; w trenie XVII znów wraca do płaczu i w końcu woła, że jeden Bóg płacz ten pohamować może; w trenie XVIII, prawdziwie Dawidowym psalmie, ucieka się wprost do Boga i Jego miłosierdzia; poczem już idzie rozwiązanie wszystkiego, t. j. tren XIX: „Sen.” Tym sposobem wypadłoby Treny podzielić na trzy części: rozpamiętywanie smutnej katastrofy, rozpaczliwy brak pociechy i szukanie pociechy; drugą i trzecią część w braku innego wyrażenia nazwać można częścią liryczną.

Uporządkowanie to nie da się wprawdzie przeprowadzić *à la rigueur* i nie zastąpi dyspozycji, ale widać w nim pewną intencją. Swo bodnem jest o tyle, że np. tren XII: „Żaden oyciec podobno barziew nie miłował dziewczęcia,” dałby się pomieścić w pierwszej, epicznej części, tren zaś III i V w części lirycznej; tren np. X lepszeby miał miejsce przed IX; od trenu VIII począwszy odpowiedniejszy może byłby porządek taki: 8, 10, (12), 14, 15, 13, 9, 11, 16, 17. I z tego punktu widzenia więc pokazuje się, że napróżno nam kusić się o wykazanie ciągu i związku między poszczególnymi trenami, bo największa ich część są osobne elegiami na jeden temat.

Treny pisane były w rozmaitych może czasach („w rozmaitych stadyach cierpienia,” jak się Szujski wyraził); pisał je Kochanowski jako osobne elegie, które zapewne miały być pomiędzy pieśniami pomieszczone w druku. Do takich trenów należą III, IV, V, VI, może i XII. Poeta częściej powracał do tego smutnego przedmiotu, szukając ulgi w poezji, na której łono zrzucił brzemię udręczeń swoich, a gdy pociechy i uspokojenia nie znajdował nikąd, gdy się pokazywało coraz więcej, że spodziewane konsolacje filozofii i wszelkie zabezpieczenia nauki na nic się nie przydały, zaczął przywiązywać do dalszych trenów coraz głębsze myśli i zagadnienia filozoficzne. Rzecz osobista wynosiła się do wysokości kwestyi ogólnych. Do tego zagłębienia przedmiotu, do rzucenia w głębią uczuć osobistych także myśli ogólnych, spowodować mogły poetę oprócz własnych rozpamiętywań o niedołęztwie mądrości ludzkiej i opinie ludzkiej, że nie ma powodu i celu płakać nad dzieckiem i sądy przyjaciół, że „lekką” jest rzeczą płakać. Do jednych i drugich odzywa się poeta, że nie dobrze ci sądzą, co mówią, że płakać to lekkość, bo tém żalu nie umniejsza się, ale przysparza, bo i z żalu i ze wstydu płakać wtedy będzie, skoro mi „nie cześć” zadają:

Kto zaś na płacz lekkość wkłada,
Słyszę dobrze, co powiada;
Lecz się tym żal nie hamuje,
Owszem, większy przystępuje,
Bo mając zranioną duszę,
Rad i nie rad płakać muszę.

Co snąć nio cześć, to ku szkodzie
I zelżywość serce bodzie ¹⁾ (XVI, 37).

Ten zarzut „lekkoci” spotkał i Treny, kiedy były w rękę publiczności albo drukowane, albo też rękopiśmiennie udzielone bliższym przyjaciółom, bo Jan Januszowski, wydawca poezyi Kochanowskiego, przyjaciel poety, w przedmowie powtarza sąd publiczności o Trenach, że „lekkie podobno,” a poeta sam w trenie II mówi o „lekkich rymach,” dziecinnemu wiekowi poświęconych. Publiczność nie wchodziła w głąb rzeczy, nie zważała na to, że w Trenach, szczególnież w trenie XIX, jest tak wiele myśli nie „lekkich.” Tutaj przeciwnie, w głębokich myślach widzimy zawsze zwrot do najważniejszych wzruszeń i zapędów duszy poety w Trenach poprzedzających, słowo ostatecznej o nich prawdy, przeciwstawienie odwiecznych prawd o życiu ziemskim i pozaświatowym przeciw fizycznemu przywidzeniu, przeciw doczesnym obłędom mądrości ludzkiej, przeciw głośnemu zarozumieniu rozpaczey. Ostatni ten tren jest też najwymowniejszym komentarzem tej myśli, w której Kochanowski ogłosił Treny i dopisał dwa wstępne treny.

Tą myślą, którą poeta przywiązał do Trenów, jest zagadnienie filozoficzne, czy w ludzkiej przypadłości, t. j. w ciężkiem doczesnem nie-szczęściu człowiekowi uzacnionemu nauką więcej się godzi spłacić dług naturze, i żalu i łez nie powściągać, czy też zapanowawszy nad przyro-dzeniem, nie dać do siebie przystępu fizycznej boleści? Ten temat jest przeprowadzony w całym układzie Trenów, gdzie okazana niemoc całej ludzkiej mądrości, konsolacyi rozumu i poezyi i nieomal w każdym trenie śpiewa poeta, że płakać musi i że boleści potłumić nie może. Ale i wyraźnie jest to założenie wypowiedziane: nasamprzód w trenie I, 15.

Próżno płakać, podobno drudzy rzeczesio,
Cóż prze Bóg żywy, nie iest prózno na świecie?
Wszystko prózno: macamy gdzie miękcey w rzeczy,
A ono wszędy ciśnie: błąd wiek człowieczy.
Nie wiem co lżej: czy smutku iawnie żałować,
Czy sie z przyroddeniem gwałtem mocować.

¹⁾ To miejsce nieco ciemne Książnin tak wytłómaczył:

Qui lacrymis positivo modum simulate pudorem,
Id leve vult fieri, quod tolerare nequit.
Atque debilibus studiis cor cedere durum est,
Quin maior crescit, quem moderare, dolor.
Sic animo graviter laeso tactisque medullis,
Ingratis dolco, solvor et in lacrymas.
Non pudet aerumnae ac fletus dispendia ferre,
Ipsa studet ratio cor stimulare meum,
Quid pudor et studium?

Tłomaczenie Kniaźnina: *Nescio quid levius: moerori fraena negasse, An vim naturae sustinuisse gravem?* nie odpowiada intencji poety. Na owę „próżność,” która ztąd wypływać ma, że całe życie ludzkie jest błędem, na tę marność wszystkiego, na widok tego, że „dziwnie się wszystko plecie na tym biednym świecie” (Pieśni I, 9), że nieznamy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy (tren XI, 5), nie byłoby odpowiedniem przypuścić, że poecie chodziło o to, co z mniejszym trudem jest połączone, czy płakać, czy mężnie ból przemódz, chodziło tam raczej o to, co w przypadłościach ludzkich jest zgodniejsze z „owem błędnem przyrodzeniem” i co człowiekowi więcej przystoi ¹⁾: czy okazać się człowiekiem, czy wznieść się nad ludzkie przyrodzenie. Lżej uważać należy gramatycznie za stopień wyższy od lza lub lża, które w polszczyźnie XVI wieku jest dość powszechne i znaczy: licitum, decet. Odpowiedź na to właśnie zagadnienie dają Treny w całości swojej, gdzie też jeszcze raz jest węzeł ich i dyspozycya w tym samym sensie wyuszczona i to w trenie XVII, 49:

A ia zatym niech lzy leię,
 Bom stracił wszystkę nadzieię,
 By ²⁾ mię rozum miał ratować,
 Bóg sam mocen to hamować.

i wreszcie w ostatnim trenie, w ostatnich słowach matki czytamy, że ludzkie przypadłości po ludzku znosić wypada:

...a ludzkie przygody,
 Ludzkie znoś. Ieden iest Pan smutku i nagrody.

Powiedziano wyżej, że Treny w całości dają odpowiedź na owo zagadnienie, wypadnie tej rzeczy kilka uwag poświęcić. Kochanowski, jako uczony, hołdował filozofii zmodyfikowanego stoicyzmu; w Trenach, w których nam w ogóle odsłania duszę swoją najwięcej, daje wyznanie przekonań swoich filozoficznych (tren IX):

Kupięby cie mądrości za drogie pieniądze,
 Która (ieśli prawdziwie mienią) wszytki żądze,
 Wszytki ludzkie frasunki umiesz wykorzenić,
 A człowieku tylko nie w Anyoła odmienić,
 Który nie wie co boleść, frasunku nie czuie,
 Złym przygodom nie podległ, strachom nie hołduie.
 Ty wszytki rzeczy ludzkie masz za fraszki sobie,
 Iednaką myśl, tak w szczęściu, iako y w żałobie.

¹⁾ W tym samym duchu przemawia matka, kiedy rozbierając wszystkie pociechy i środki na cierpienia po kolei, mówi z pewnym przycinkiem: (ale człekowi wyższemu) Tak próżnego lekarstwa czekać nie przystoi.

²⁾ Tak znajduję w wydaniu 1600, w innych wydaniach fałszywie stoi Bo.

Zawždy niesiesz: ty śmierci najmniej się nie boisz:
 Bezpieczną, nieodmienną, niepożyłą stoisz.
 Ty bogactwa nie złotem, ni skarby wielkimi,
 Ale dosytem mierzysz, y przyrodzonymi
 Potrzebami; ty okiem swym nieuchronionym,
 Nędznika upatrujesz pod dachem złożonym, i t. d.

Jest to filozofia życia o zadowoleniu z cnoty i o pogodnym, niekłopotanym umyśle, o „bezpieczeństwie ducha” w dobrej i złej doli, zaczerpnięta ze studyów nad Ciceronem, nad pismami Seneki i poczęści z Horacego, którego słowa: „Si fractus illabatur orbis, Impavidum ferient ruinae,” mógł Kochanowski brać tylko na szalę teorii, bo obawy takich ruin za Zygmunta Augusta i Batorego nie było, ale którego inne myśli zapamiętał, jak owe słowa z ody 3, ks. II: „Aequamemento rebus in arduis Servare mentem, non secus in bonis” i t. d.; albo z ody 8: „Rebus angustis animosus atque fortis appare;” albo z ody 1 ks. III: „Desiderantem quod satis est... nil sollicitat;” albo i te słowa: „Rectius vives, Licini, neque altum semper urgendo, neque dum procellas Cautus horrescis” i t. d. Do tej doskonałości ducha, królującej na szczytach wiedzy ludzkiej, dążył nasz poeta przez całe życie:

„Którym lata swoje
 Na tym strawił, żebych był uyrzał progi twoje” (IX, 17).

Dobra połowa pieśni osnuta jest na tym temacie o niedowierzaniu fortunie, o niekłopotaniu się w przypadłościach ludzkich, o złotem umiarkowaniu, o owej niezmaconej szczęśliwości, która zawisła na kottwicy cnoty. Tę filozofią głosił przed przyjaciółmi, tę im zalecał ¹⁾, ona mu dawała uczucie pewnej wyższości nad innymi.

Ja jeden niech wam służę (Muzy), a za cześć poczytam
 Sobie, że się dróg innych niż pospólstwo chwytam.
 Wy mnie z ziemie wzwodziecie, wy mię wyłączacie
 Z liczby nieznacznej i nad obłoki wsadzacie.
 Zkąd próżne troski ludzkie i niemęzką trwozę,
 Zkąd omylną nadzieję i błąd widzieć mogę (Muza 21).

i w ostatnim trenie matka pocie naszemu stawia to przed oczy, że „pospólitym torem gardził” (w. 146).

Ale poeta czuł przy pierwszem nawiedzeniu ciężkiej niedoli bankructwo tej zarozumiałej filozofii; on, który powinien być wyższym nad tłum pospolity, ze szczytów, na których przebywają wybrane duchy, strącony został do poziomu zwykłych śmiertelników i znalazł się z bezsilnym rozumem w przemocy fizycznych cierpień. Jedno nieszczęście rozbiło w niwecz owo „bezpieczeństwo ducha,” owoc nauki i ćwiczeń całego życia (IX, 17—20). Dotknięcie było ciężkie, poeta upadał pod

¹⁾ Tren XIX, 143.

brzemieniem smutku, ból nie ustawał, zdrowie szwankować zaczęło. Poeta wspomina w trenie XVII, 9, o wiecznym płaczu, matka w trenie XIX o zwykłej syna żałości („czy cię żałować twoja zwykła piecze,” w. 12) i o nieutulonym płaczu (w. 15) i jeżeli poeta mówi w trenie XVII o swojej chorobie, to zapewne nie jest to tylko cierpienie duszy, ale fizyczna choroba, która „przeymując go prawie („właśnie”) do kości, wprawiała w stan, w którym stawał się podobnym do żywego grobu, jak Niobe i przyprowadzała nicomal o utratę „baczenia” (tren XI, 16; tr. XIX, 21 i 108). W tej przeciągającej się kryzys zaczęła się w duszy poety zagnieżdżać walka między ziemskimi instynktami, a słabniejącymi wysiłkami rozumu (XVII, 29 i nast.), obrachunki z życiem, z nauką, z cnotą, z ukochaną poczyą i z tém wszystkiém, co dotąd stanowiło pewną podstawę i za tém odezwały się bezsilne bluźnierstwa. Ten stan duszy, w którym poeta o wszystkiém zwątpił, wszystkiemu bluźni, w którym o Bogu i o pocierzu raz tylko (w trenie X) wspomina i to nie od siebie—wystawiony jest w trenach IX—XVII. Jego ostatecznym wyrazem jest zawód i błąd i wyparcie się dotychczasowej książkowej mądrości.

Dawniej poeta wyznawał i głosił, że szczęśliwość idzie z myśli jednostajnie pogodnej, niedostępnej ani zbytкови radości ani frasunkom, że

„...na szczęście wszelakie
 Serce ma być iednakie” (Pieśni II, 9), że
 „Stateczny umysł (należy) zachować i t. d. (Pieśni II, 11), że
 „...nigdy nie zabłądzi,
 Kto tak umysł urządzi,
 Jakoby umiał szczęście i nieszczęście znosić,
 Temu mężnie wytrzymać, w owym się nie wznosić (P. I, 9), że
 „mądrość... iednaką myśl tak w szczęściu, iako i w żałobie
 Zawždy niesie (Tr. IX, 8);

teraz jasno to poeta widzi, że

Jakie szczęście ludzi naśladać
 Tak w nas albo dobrą myśl albo złą sprawić (Tr. II, 19),

i przeklina tę fortunę w Tr. XVI w. 37, że tak miota myślą ludzką. Dawniej poeta wierzył, że cnota zabezpiecza od złego, teraz zdaje mu się, że

Nieznałomy wróg iakiś miesza ludzkie rzeczy,
 Nie maiać ani dobrych, ani złych na pieczy,
 Kędy jego duch wionie, żaden nie ułężę (Tr. XI, 5);

teraz enocie urąga i fraszką ją nazywa (Tr. XI). Dawniej wierzył w wszechwładztwo rozumu, teraz widzi jego niedostępstwo. Dawniej ani nędza, ani śmierć nie wydawała mu się straszną, teraz takie myśli za przywidzenie poczytuje.

Po takim rozczarowaniu (matka w trenie ostatnim nazywa to

pomyłkami), idzie szyderstwo z rozumu, że i on, podobnie jak usposobienie duszy, zależy od przypadłości:

O błędzie ludzki, o szalone dумы,
Jako to łatwo pisać się z rozumy,
Kiedy po woli świat mamy, a głowa
Człowiaku zdrowa (Tr. XVI, 9);

A rozum, który w swobodzie
Umiał mówić o przygodzie,
Dziś ledwie sam wie o sobie ¹⁾ (Tr. XVII, 25).

Mądrość więc ludzka maleje w oczach poety, nie ona więc daje szczęśliwość, ale chętnie szczęściu towarzyszy. Dowodem Cicero (Tr. XVI). Nie ona więc jest panią przyrodzenia. I w obec jęj niemożności niema w tém bezczęści oddać się poruszeniom tego przyrodzenia i płakać. Do tego środka ulgi ucieka się poeta w każdym trenie. Przy końcu trenu XVI, jedynie od czasu wyczekuje uśmierzenia bólu.

Równolegle z trenem XVI rozciąga się myśl trenu XVII. I tu jest skarga na zawody i „omyłki” życia i na niedołęztwo rozumu, ale tu po pierwszy raz jest mowa o Bogu: z Jego ręki wyszło ciężkie nawiedzenie, nie od ślepego losu. Wprawdzie poeta i w trenie XVII buntuje się i skargi wywodzi przeciw Opatrzności, bo i na nią się zawiodł, ale jest tu już widoczny powrót do Boga, i tak, jak w trenie XVI poeta wyglądał od czasu ulgi i pomocy, tak tu jedynie od Boga czeka ratunku. Bóg nawiedził, Bóg pomoże, wszystko inne zawiodło, taka jest myśl tego trenu, który napisany w inném usposobieniu, aniżeli tren IX—XVI i w innym zapewne czasie, aniżeli one, na myśli naczelnie złożone w Trenach, rzuca dużo światła! Umieszczenie go po trenie XVI świadczy o wyraźnej intencji poety, tém bardziej, że uzupełniający tren XVIII ułożony jest w sposobie psalmu pokutnego. Stawia on nam jeszcze raz na oczy cały proces wewnętrznych przejść i przesileń poety: poeta zaczyna od tego, że cnocie jedynie się oddał i życie tak urządził, iż powinien był doznać nieodmiennęj szczęśliwości:

Wiodłem życie tak skromnie,
Że ledwie kto wiedział o mnie,
A zazdrość i zło przygody
Nie miały mi w co dać szkody;

ale kiedy Opatrzność zabrała jedyny skarb jego, wtedy znikło przywidzenie bezpieczeństwa z cnoty, rozum okazał się bezsilnym, przyjaciele ze słowem zimnego rozsądku lub zawstydzenia jątrzyli tylko ranę, jedyny płacz dawał pociechy i jeden Bóg pomódz może.

¹⁾ Kniaźnin trafnie tak tłómaczy:

Prospera mens olim gaudobat spernere casus,
Hanc ubi subruerint, nunc ratione caret.

Po takiem rozpatrzeniu Trenów, nie trudno będzie rozumieć tren XIX. Jest on powrotem do rozsądku, jak tr. XVII i XVIII był powrotem do Boga. Sposób, w jaki to poeta czyni, jest niezwykły, nie w tym względzie, że wystawia nam sennie widzenie, które mogło mieć miejsce, bo z trenów widać (szczególniej z tr. X, XIV, XVI, 5, XIX, 123), że Kochanowski, po stracie Urszulki, był w takim stanie zdrowia, że mógł mieć widzenie, sam nie będąc tego pewien, czy „przez sen, czy na iawie” (19, 158), ale niezwykły w tym względzie, że te prawdy żywota, które są odpowiedzią na wszystkie w Trenach wyrażone wątplenia, wypowiada matka, nie sam poeta. On sam niema już po nich nic do powiedzenia, jest więc uspokojony ¹⁾, to uspokojenie zaś przyszło nadprzyrodzonym sposobem. Nam niech wolno będzie przycisk na to położyć, że przekonanie poety czuje się w zgodzie ze słowami matki. Matka zaś wypowiada prawdy żywota pozaświatowego i ziemskiego: owe („Czyli już nas umarte macie za stracone” i t. d. w. 25) są odpowiedzią na wątplenia poety o nieśmiertelności duszy i obliczeniem, o ile życie pozaświatowe szczęśliwsze jest od doczesnego; te zaś („Swoie szkody tak szacuy i omyłki swoje” w. 107 i t. d.) przywracają rozumowi ludzkiemu prawa przyrodzone, ale zarazem opisują temu „dumnemu i hardemu” sędziemu rzeczy ludzkich i boskich (XVI, 9 i XI, 10) należne granice, i zwracają się z wyrzutem do poety, iż on, który pospolitym torem ludzi gardził, teraz powinien drogo i ze szkodą zdrowia nabytym rozumem uprzedzić błogie działanie czasu, który wszystko zabliźnia. Słowa zaś ostatnie: „ludzkie przygody, ludzkie (po ludzku) znoś, jeden jest Pan smutku i nagrody” są ostatecznem rozwiązaniem zagadnień życia i śmierci, wypowiedzianych w Trenach.

Zadna z poezyi Kochanowskiego nie odśłania nam charakteru poety naszego, tak jak Treny. Widoczna rzecz, że dusza tego mędrca i poety, który ze świetnego dworu Zygmunta Augusta tęsknił do zacisza wiejskiego, złożona była z miękkich żywiołów: te wszystkie skargi, szyderstwa z rozumu i wszelkiej ziemskiej pociechy, i owo pragnienie śmierci, dowodzą tego „młdego przyrodzenia,” mówiąc słowami matki (XIX, 142). Tylko delikatny organizm duszy popaść może w tak mocne zachwianie harmonii między doczesnym a wiecznym pierwiastkiem w człowieku. Z tego „zachwiania młdego przyrodzenia” wyszedł poeta zwycięzko ²⁾, wyrzekając się filozofii pogańskiej, której folgował w pieśni i w życiu, i wracając do uznania tych chrześcijańskich prawd, że życie ludzkie jest tylko padołem płaczu, gdzie nie może być trwałej szczęśliwości, która jest dopiero udziałem wiecznego życia; ku

¹⁾ W epitaphium Hannie Kochanowskiej, którego w pierwszym wydaniu z r. 1580 niema, mówi już poeta o przebohleniu, „odżałowaniu wszystkiego.”

²⁾ Por. Szujski l. c. str. 79.

niemu powinien człowiek zwracać myśl swoją. Straciwszy krótko po Urszulce drugą córeczkę, w takich słowach poświęca jęj wspomnienie:

I tyś, Hanno, za siostrą prędko pośpieszyła,
I przed czasem podziemne kraje nawiedziła,
Aby ojciec nieszczęsny naraz („zaraz”) odżałował
Wszystkiego, a na trwalsze rozkosze się chował.

Z takiego punktu widzenia nabierają Treńy jeszcze innego znaczenia, porównane bowiem z „pieśniami,” okazują się być późniejszymi od nich, bo rzadki jest wiersz pomiędzy pieśniami, któryby był osnutu na inném filozoficzném widzeniu rzeczy, jak na tém, które Kochanowski w Trenach potępił. Otóż wiersz 6 w Fragmentach, wydanych r. 1590, napisany w formie tercyny, powstał po Trenach i jest téż osnutu na myśli, która w nich jest zwyciężką:

Kiedyby kogo Bóg był swemi słowy
Upewnił, że miał czasu wszelakiego
Strzedz od złych przygód jego biedney głowy,
Miałby przyczynę żałować się swego
Nieszczęścia płacząc.

W porównaniu z pieśniami, w których dużo jest naśladowanych z Horacego, Treńy są zupełnie oryginalne ¹⁾ i są w poezyi europejskiej nie łacińskiej niezwykle na wiek XVI zjawiskiem. Felicjan bardzo słusznie i skutecznie bronił Kochanowskiego od zarzutu nieoryginalno-

¹⁾ Również i w łacińskim poemacie „Epitaphium Doralices” nie można dopatrzyć się motywów zaczerpniętych z innych poetów. W tych żałach na śmierć przedwcześnie zmarłej pięknej dziewczyny użył poeta niektórych obrazów i wyrażeń takich, że możnaby przypuścić, że Doralice jest tu konwencyonalnie użytém imieniem w miejsce Urszuli, tém bardziej, że zdarzało się Kochanowskiemu te same temata traktować po polsku i po łacinie. Jednakże przypuszczenie takie jest niezupełnie prawdopodobném, bo choć poeta powiada, że Doralice w pierwszym życia rozkwicie umarła (D. prima decessit rapta iuventa), że z nią zesła do grobu słowiańska śpiewaczka, pełna uroku i rozkoszy

Doralice periit cum veneresque iocique
Et fidium cantus ot Sclauica mortua Musa est,

to jednakże nigdzie nie powiada, że ta „złotowłosa” Doralice była jego córka i że to była mała dziewczyna; przeciwnie Doralice, jedna z niezwykle utalentowanych i niezwykle pięknych dziewic nadwiślańskich (assucta Vistulae ripa spaciari), musiała być w pełnym młodości rozkwicie, skoro poeta uwielbia jeszcze po śmierci piękność jęj ciała, jakby snem ujętego, skoro porównanie z Phyllidą było możliwe, i skoro umierająca dziewczica myśl swoją obok, we łzach tonącej matki zwraca do nieobecnego jakiegoś Aviprata, który w boleści serca za „swoją Doralice” napróznoby nawet do piekiel poszedł—śladem Orfeusza.

ści¹⁾. Dwa tylko miejsca przypominają klasycznych poetów: koniec trenu XV o Niobie: „Ten grób nie jest martwym, ten martwy nie w grobie” i t. d. przypomina wiersz z Antologii greckiej IV, 247 wyd. Jacobs., co zaznaczył Przyborowski (str. 174), i miejsce z tr. XVII:

„Próżno morzem nie pływamy,
Próżno w bitwach nie bywamy,
Ugodzi nieszczęście wszędzie,
Choć podobieństwa nie będzie.”

przypomina miejsce jedno w Edypie w Kolonie w 1680 r.: *τα γὰρ, ὅτι μὴτ' Ἀφης μὴτε πάντος ἀντικρυσσε* i t. d., co spostrzegł jeden z słuchaczy moich, p. R. M. Ale o wiele więcej spotykamy reminiscencyi z kilku pism Seneki i Cyserona, mianowicie: Seneki de consolatione ad Polybium; de consolatione ad Marciam; de vita beata; i z Cyserona Tuskulanek. Nic w tém dziwnego, bo ztamtąd nasz poeta czerpał już w młodych latach swoje teorye o cnocie, o szczęśliwości doczesnej, o bezpieczeństwie ducha. Niejednokrotnie zapewne zadumał się nad temi sentencyami Seneki, że szczęśliwe życie polega na znoszeniu wszystkiego bez troski o cielesne potrzeby (de beata vita III, 3), na nieustającej ducha pogodzie, niedostępnej wzruszeniom (de b. v. III, 4), że najwyższe dobro polega na zadowoleniu z cnoty (IV, 3), która sama sobie nagrodą jest (IX, 4), że cnota prowadzi na ten szczyt doskonałości, na której człowiek niedostępny cierpieniom lub trwodze (quo neque dolori neque spei nec timorist aditus XV, 5) i gdzie mędrzec jest obojętny na wszystko i słusznie bogu podobien, wolny, bezpieczny, nie-tykalny (immobilis et contra malum et ex bono, et quas fas est, deum effingas, haec tibi virtus promittit aequa divinis, nihil cogeris, nullo indigebis, liber eris, tutus, indemnis XVI, 2; por. tr. IX, a w nim szczególnie ten wiersz, że mądrość unie „człowieka tylko nie w anyoła odmienić”). Z upodobaniem zapewne także Kochanowski niejednokrotnie sobie przypominał, że mędrzec nie doznaje niepokojów ducha (vacare omni perturbatione animi sapientem. Cic. Tusc. I, 7, 17), że owocem cnoty jest męztwo, a to daje pogardę boleści i śmierci (II, 18, 43), że boleść pokonywa się cierpliwością albo męztwem (II, 14, 33) i t. d. Były to elementarne pojęcia zmodyfikowanego stoicyzmu rzymskich pisarzy. Kochanowski wyznawał je i w duchu ich pisał i żył, nie przywiązując się do żadnej ściśle określonej formuły. Więcej już zastosowania i podobieństwa Trenów do myśli Cyserona i Seneki widać w takich miejscach, gdzie poeta widzi zachwianą tę pogardę i szczęśliwość ducha. Tu on czuje i odzywa się, jak filozofowie rzymscy, wydaje nam się, że zapamiętał to wyznanie Cyserona, że ciężko doświadczony przez niedolę, tracił wiarę w tę maksymę, że cnota sama sobie jest nagrodą, bo ród ludzki jest niedołączny i ułomny (equidem eos casus in quibus

¹⁾ loc. cit. str. 78.

me fortuna vehementer exercuit, mecum ipse consideravi, huic incipio sententiae diffidere et humani generis imbecillitatem fragilitatemque extimescere. Tusc. V, 1, 3), albo stanęły mu w chwilach boleści żywo na myśli słowa Seneki, że całe życie ludzkie jest opłakania godne (quid opus est partes deflere? tota flebilis vita est. Consol. ad Marc. XI, 1), lub owe słowa pesymistyczne tego filozofa, że na nic się nie przyda życie spędzone bez zmyzy, w wstrzemięźliwości, w zamiętowaniu nauk, nie obroni to od niedoli (nihil ergo prodest innocentia ad omnem legem exacta, frugalitas... abstinencia,... litterarum amor, nihil ab omni labe mens vacans, Cons. ad Pol. III, 3). W Trenach znajdują się na kilku miejscach podobne myśli. Nierównie więcej zbliżają się myśli Kochanowskiego do zdań wypowiedzianych w zacytowanych pismach, gdzie chodzi o to, jak człowiek wyższy, mędrzec, ma zachować się w cierpieniu. Seneka odzywa się do Polybiusza, opłakującego śmierć brata, że winien to sobie i wysokiemu szacunkowi ludzi, iż nie powinien poziomych i plebejuszowskich okazywać skłonności, cóż zaś może być bardziej niżkiem i zniewieściałym, jak pozwolić się trawić boleści (cons. ad Pol. VI, 1, 2). Cyncero, który w duszy ludzkiej dwie części upatruje, jedną, obdarzoną rozumem, drugą bez tej władzy, znajduje, że ta druga ma w sobie coś niskiego i zniewieściałego, nad tą częścią owa pannać powinna; jeżeli zaś pogrąży się we łzach i lamentach, wtedy ma być powściągnięta baczeniem przyjaciół, bo często zawstydzenie pomaga, gdzie rozum nie zdoła (constringatur amicorum propinquorumque custodiis, saepe enim videmus fractos pudore qui ratione nulla vinceantur. Tusc. II, 21, 47), na co znajdujemy odpowiedź Kochanowskiego w trenie XVI pośrednio, boć poeta nasz miał i osobiste powody do tego, że wspominał rady i przedstawienia przyjacielskie.

Przeglądając wspomniane przezemnie pisma, myśl się nasuwa, że Kochanowski i w czytaniu ulubionych pisarzy szukał „konsolacji” w swym ciężkim smutku, po stracie ukochanego dziecka i odczytywał tam myśli sobie znane teraz z uczuciem goryczy. Szczególniej odczytywał zapewne Cyncerona, do którego czuł się zbliżonym, jako dotkniętego także utratą ukochanej córki, i znajdował tam i takie myśli, które go uspakajać mogły: wspomnienie o Niobie (lapidea propter aeternum, credo, in luctu silentium. Tusc. III, 26, 63) i owe słowa, że ludzkie przypadłości po ludzku znosić trzeba (quod humana humane ferenda. III, 17, 35). Kiedy w Senece znalazł zdanie, że czuć niedolę, jest rzecz ludzka, nie znosić jej niegodna rzecz męża (nam et non sentire mala sua non est hominis et non ferre non est viri, consol. ad Pol., XVII, 2), to pierwszą sentencją podzielał, druga była w jego oczach czczym frazesem filozoficznym. Mógł zaś całą duszą zgodzić się z Seneką, że piękna jest rzecz dać wyraz boleści nad zmarłą ukochaną osobą dzieckiem ducha swojego, niespożytym nazawsze pomnikiem: fratris quoque tui, pisze Seneka do Polybiusza, produc memoriam aliquo scriptorum monumento tuorum (de cons. ad Pol. XVIII, 2); może tej myśli winniśmy Treny w tej pięknej całości, jak je poeta ogłosił.

Mógł też Kochanowski pragnąć napisać coś podobnego, jak Cycero po śmierci córki swój Tullii: „*Consolatio sive de luctu*,” która nas nie doszła. Jeżeli czytelnik rzuci okiem w ostatni rozdział Seneki „*Konsolacyi do Marcyi*” i znajdzie tam równie przyjacielską, jak surowości pełną radę, aby sobie wyobraziła, że słyszy głos ojca swojego, którego wpływ na nią tak wielki był, z niebieskiej krainy, dlaczego tak długo dręczy ją choroba i dlaczego sądzi, że krzywda się stała śmiercią syna (XXVI, 1), to zdawałoby nam się mogło, że ten obraz strofującego z niebios ojca utkwiał w wrażliwej duszy Kochanowskiego i powtórzył się we śnie trenu XIX; jednakże nie mamy prawa do takiego przypuszczenia, choć wspomnieć i to się godziło. Nam tu chodziło o to, aby prawdopodobieństwo ukazać, że poeta w smutnych chwilach swojego osierocenia czytywał Senekę, Cycerona, może i Plutarcha, i że powoli dojrzał w nim zamiar, uczynić z Trenów całość godną uietylko znajomitego poety, ale i niepospolitego mędrca.

CARLYLE.—LORD BEACONSFIELD.

PRZEZ

Edmunda Naganowskiego.

Nie wysoko jeszcze porosło ziele na dwóch mogiłach, do których świat miłujący sztukę, uznający zasługę i hołdujący téj wytrwałej energii, co zwycięża najwyższe trudności i najgłębsze wypełnia przepaści, odprowadził starych swych przyjaciół i przewodników. Przypatrząc się dziś owym ceniom, stojącym na wysokich pagórkach świetlanej działalności, z których każdy gromadził około siebie tyle sił i tyle pamiątek, zapytuje biedny umysł, czy zgrzybiały już wiek XIX zdoła—z łona jednego ludu—wychować więcej jeszcze takich geniuszów. Podobno nie ma w świecie człowieka (jak nie ma siły), którego by nie można zastąpić; podobno także schyłek każdego stolecia najjaśniejszymi przyświeca postępu i cywilizacji gwiazdami; jednakże, kiedy nam żywo się przesuwają w pamięci olbrzymie meteory lat wczoraj ubiegłych, niedowierzająco spoglądamy w przyszłość. Już to nie będzie ani ten ni ów... z którym żyliśmy za młodu, na któregośmy patrzeli prace i wieńce.

Nie jesteśmy wszakże upoważnieni do pesymistycznych poglądów w społeczeństwie angielskiem, które zapewne nie uważa świeżo poniesionych strat za niepowetowane. Wiek obecny jest najwybitniej nową erą umysłowego ruchu w tym kraju; a nadto wiemy, iż nie wszyscy jego ministrowie pożegnali pokolenie oświecenijszej wiedzy, wykwiintniejszej literatury ogólnej, wznioślejszej i czystszej sztuki. Ale wielu z nich spoczęło! Przed laty trzydziestu, to jest w pierwszej jutrzence dzisiejszego pokolenia, Anglia pożegnała Wordsworth'a; w dziewięć lat później umarł lord Macaulay w apogeum swjej sławy; w ślad za nim, w 1868 roku, poszedł Thackeray. Współzawodniczka tegoż, George Eliot, złożyła pióro na wieki temu cztery miesiące. Nareszcie Carlyle i Beaconsfield, sędziwi koryfeusze wieku, choć na wręcz przeciwnych żyli stanowiskach, „stanęli w Wieczności pod sławy skrzydłami,” jak się w pięknym na ich cześć wyraził wierszu Rossetti.

Wypisawszy na czele niniejszej kroniki dwa wielkie imiona, nie

zamierzamy jednakże głosić ich panegiryku. Zamiarem naszym jest przedstawić łaskawemu czytelnikowi ludzi, nie posągi; ich charakter, ich codzienne dzieje, rozbiór ich działalności i tychże wpływ na społeczność, w którą się obracali. Źródeł nam nie brak! Wybierzemy z nich zatem co najodpowiedniejszego, by sportretować bohaterów naszych ze stanowiska, nie wyłączenie angielskiego, lecz zbliżonego do swojskich zapatrywań i pojęć.

Rzadko gdzie i kiedy uczony pisarz zajmował tak wyjątkowe miejsce w literaturze swego kraju, jak Carlyle w Anglii. Niektórych ludzi sława, dopiawszy zenitu, już się na nim nie ostała, lecz razem z zachodzącem słońcem życia powoli ciemniała; innych rozgłos był dziełem tego lub owego stronnictwa, przychylnéj warstwy społeczności i nigdy téż poza ich obręb nie wyszedł; znów inni słynęli zaszczytnie na jedném tylko polu pracy, a szersza publiczność nie zawsze się nimi zajmowała. Lecz Carlyle, chociaż z małemi wyjątkami do saméj się ograniczył prozy, a w niéj dwa tylko pielegnował rodzaje: historyczny i krytyczny; uważany był przez długie lata i od najwłaściwszych powag, jako mistrz i książę literatury angielskiéj. Pozycyą tę zdobył sobie już przed laty mniej więcej piętnastu, czterdziestoletnią mozolną pracą, i nie wystawił się bynajmniej na niebezpieczeństwo utracenia jéj, zaniedbując Horacyuszowskiéj rady:

Solve senescentem mature sanus equum, ne

Pecore ad extremum ridendus, et ilia ducat. (Epist. I, Ad Maccen.).

Chociaż bowiem przy końcu życia rzadko przerywał milczenie, to gdy się odezwał, nie widziano najmniejszego ubytku potęgi jego słowa ani świeżości; jeżeli król nie raczył mieszać się często z szermierzami o wieńce drobniejszéj i pospolitszéj areny, zato prawdziwie po królewsku swe kruszył kopije. Dziś już umilkły i przycichły, może nie na długo, gorące rozprawy o stylu jego, o zasadach i wpływie; ziomkowie jednakże przez długi czas mieli Carlyle'a za niebezpiecznego panteistę, lub za niemoralnego obrońcę mocy przed prawem, lub za bezczelnego burzyciela klasycznego języka Szekspira, Macaulay'a i Karola Lamba. Nie wielu czciło w nim natchnionego proroka, apostoła nowego polityczno-etycznego wyznania i reformatora stylu. Przy końcu życia Carlyle pozyskał sobie powszechny szacunek ostatnich i po-błażliwość pierwszych.

Tyle się dowiadujemy z biografii pośmiertnych. Ktokolwiek jednakże wejrzy baczniéj w życie i pisma „mędrca z Chelsea“ i pocnie rozbiierać je sumiennie, dostrzeże bezwątpienia, iż opinie stron obydwóch grzeszą namiętną (co najmniej) przesadą. Jeśli wypada wyrażać sąd o przekonaniach religijnych nieboszczyka, powiedzielibyśmy prędzej, iż sztytując sobie z surowych form wyznań szkockich i nowo-anglikańskich, Carlyle był deistą. Wybitną stroną jego charakteru była niemal fanatyczna sympatya do Niemców, a z pomiędzy nich szczegó-
 1-1

niej do pomerańczyków i brandenburczyków. Zobaczymy wkrótce czemu to przypisać. Carlyle nie jest twórcą żadnego systemu filozoficznego; nie obawiamy się tak twierdzić, na przekorę opinii wielu. Jest on eklektykiem w całej sile tego znaczenia i każdy człowiek obeznany jako tako z niemieckimi myślicielami zdanie to podzieli. Ale zato, jaki styl i jakie bogactwa myśli w jego tworach! Jeśli pewna część tutejszych krytyków obwinia wielkiego mistrza o zaniedbanie form klasycznych ojczystej mowy, to chyba dla tego, że Carlyle użył całej jej siły i wszystkich jej skarbów do przybrania w szatę istic wspaniałą nową zupełnie, oryginalną, własną swą retoryki. Rubaszny weredyk, powiedzielibyśmy nawet pozytywista, „the sage of Chelsea“ śmielej od Szekspira myśli swe wyrażał, nie dbając o to, co świat powie; w kraju tak oryginalnie konwencyonalnym jak Anglia, umiał streścić krytykę lub satyrę w jednym epigramacie, a piękność, zručność i mianowicie trafność jego porównań, są zupełnie nowymi w dziejach literatury ludów zachodniej Europy. Lecz śpieszmy opowiedzieć żywot jego na podstawie najwiarogodniejszych informacji, udzielonych nam obficie przez znakomitego biografa p. J. A. Froude, upoważnionego autora „Wspomnień“, tudzież przez edyńskich literatów, którzy dumni są z trofeów swego ziomka ¹⁾).

Tomasz Carlyle urodził się 4 grudnia 1795 r. w Middlebie, pod Ecclefechan, w hrabstwie Dumfries, w Szkocyi. Dom z ciosowego kamienia w którym pierwszy jej szeroko słynący członek ujrzał pierwsze światło dotąd należy do rodziny. Zmarły zwykł był mawiać, iż „wielcy ludzie nie rodzą się między głupcami...“ czemu zdaje się nie sprzeciwiać ten fakt, iż okolica miejsca jego własnego urodzenia wydała Roberta Burns, poetę, i Waltera Szkota. Rodzina Tomasza nie była zamożną; ojciec posiadał maleńką własność w Annandale, z której zaledwie potrzebne do skromnego życia wydobywał środki. Stary Jakób Carlyle był „oryginałem.“ Sąsiedzi go szanowali, lecz unikali z nim zażyłości, obawiając się gwałtowności jego wyrażań, któreni biczował rubasznie a po mistrzowsku każdą osobistość. Umarł w roku 1833. Charakter matki swą w ten sposób opisuje Tomasz: „Postać matki żywa w mej pamięci wszystkimi wyborowemi przymiotami niewiasty. Była łagodną i pobożną; niezmiennie przywiązana do rodziny, nadawała jej wdzięku i godności wysokim pojęciem ludzkiego zadania w tém życiu i religijnem przekonaniem. Nie ma człowieka, któryby miał w życiu lepsze sposobności zrozumienia miłości matczynej jak ja, co pierwsze z świata otrzymałem wrażenie śmierci maleńkiej mej siostrzyczki... wypadek oznajmiony mi w niepocieszonych łzach matki. Przez długi czas zdawało mi się, że matka topnieje we łzach, we łzach tylko. Przez wiele miesięcy nie było nocy, by nie śniła o swém dziecięciu, nie pieściła go na swoich rękach, nie tuliła do piersi. Nareszcie pe-

¹⁾ Carlyle's Reminiscences. Edited by James A. Froude, 2 vols. (Longmans et Comp., London).

wnego poranku, opowiedziała nam, że gdy we śnie trzymała niemowlę, dziecina poczęła rozpadać się w kawałki, rozkruszyła się i już na wieki zniknęła!... Jedynym błędem w charakterze méj matki była może zbytńia łagodność i lęklivość, niestosowna w życiu na naszój planecie..." Matka Carlyle'a umarła w r. 1853. Dr. Jan brat Tomasza, pisze, że czytywała starannie wszystkie prace swego pierworodnego; że mianowicie „Historyą rewolucyi francuzkiéj“ przewertowała kilkanaście razy, dopóki nie zrozumiała każdego wiersza w téj książce. Nie lubiła romansów, ale chwaliła „Wilhelma Meister's Wanderjahre.“ Z początku była nieco zatrwożona nowemi syna poglądami na rzeczy dotyczące religii; przekonawszy się jednak, iż jój Tomasz wypełniał obowiązki, przestała się obawiać. Ojciec nie cierpiał żadnej innéj książki obok staréj grubéj Biblii, czytanéj co wieczora głośnie żonie, dzieciom i sługom. Dowiadujemy się z pism pośmiertnych, iż przyszedł „mędrzec“ krył się po polach z poematami Smolett'a, którego do zgonu stawił nad Dantem: „Poemat „Humphry Clinker“ jest mi dziś tak drogim, jak w owych był latach. Nic w Dantego opisach ani w obrazach innych nie przewyższa patosu sceny, w którój Humphry, trzymając obcęgami rozpalone żelazo w swéj kuźni, widzi zbliżającą się kobietę, co straciła męża i straciła zmysły, mówiącą do niego niby do nieboszczyka: Janie, ludzie mi powiedzieli, żeś ty skonał. O! jakem szczęśliwa iżeś powrócił! I tży Humphry'ego gęste kapały na czerwone żelazo.“

Idąc za przykładem rodzin uboższych w Szkocyi, Jakób Carlyle przeznaczał syna do stanu duchownego. Tomasz tedy uczęszczał najprzód do parafialnéj szkoły w Hoddam i tamże poduczył się początków historyi i literatury angielskiéj. Przeszedł następnie do wyższego zakładu miejskiego w Annan, gdzie spotkał się z Edwardem Irving, późniejszym znakomitym literatem, mężem, który, jak wkrótce zobaczymy, miał szczególny wpływ na kierunek całego życia swego przyjaciela. Licząc lat czternaście, wstąpił do wszechnicy edynburskiéj, uważanéj wówczas bodaj za wyższy instytut naukowy, z którego nawet język grecki zupełnie był wykluczony. „Bardzo mało miałem pomocy od kogokolwiek, opowiadał Carlyle p. Conway w r. 1865, po swéj inwestyturze na rektorstwo téjże saméj wszechnicy, a wcale nie znalazłem sympatyi w starém tém mieście. Był tu profesor Playfair. Przez lata całe, w móró i słotę, uczęszczałem na jego prelekcyo, nieraz będąc jedynym w sali słuchaczem, a częściej jeszcze jedynym, co sumiennie i pracowicie korzystał z jego wykładów. A przecież uczony ten nigdy nie uznał méj pilności. Razu pewnego poprosił mnie, bym mu przetłómaczył jakąś matematyczną rozprawę; pracowałem przez całą niedzielę i noc, a kiedym mu nazajutrz oddał starannie przepisane tłómaczenie, nawet mi nie podziękował. Po tylu latach nastąpił czas mego odejścia. Przybyłem do owego profesora z prośbą o świadectwo. Nie wyrzekłszy ani słowa, napisał na świstku papieru: zaświadczam, iż T. Carlyle był w méj klasie przez czas swego pobytu w uniwersytecie, i że

uczynił dobre postępy w swych studyach. Potém zadzwonił, kazał służącemu otworzyć mu frontowe drzwi i pożegnał bez żadnej wzmianki o mych prawie nadzwyczajnych wysiłkach.“

Autorowie nie zgadzają się z sobą, licząc lata uniwersyteckie młodego Tomasza; najprawdopodobniejszém jest przypuszczenie, że zasiadał na edyńskich ławach przez lat cztery. Opuszczając szkolne mury, oświadczył rodzicom najgłębsze przekonanie, że sumiennie nie mógłby obrać sobie zawodu ministra w sekcie presbteryjanów. Ojciec strasznie się zmartwił i odtąd podobno nie wierzył w powodzenie młodzieńca. Za wstawieniem się profesora Leslie Tomasz otrzymał posadę nauczyciela przy zakładzie w Annan, później w Kirkcaldy, gdzie znów znalazł Irvinga. Carlyle uważał nauczycielstwo za twarde i niesmaczne rzemiosło, ale zarazem za najkorzystniejszy czas dla wszystkich tych, co pragną rozwinąć literackie swe siły i dążności. Po dwóch latach nauczycielstwa przybył do Edynburga, zamierzając w wielkiem mieście udzielać lekcji prywatnych i korzystać z bliskości wszechnicy, by rozpocząć studia prawnicze. Tymczasem, aby wyżyć, przyjął ofiarowane sobie współpracownictwo do „Encyklopedyi edyńskiejsz“, a zachęcony uznaniem głównego redaktora i odpowiedniém wynagrodzeniem, jął się do tłómaczenia „Geometrii i trygonometrii“ Legendre'a. Ukończywszy tę pracę, puścił się za Irvingiem do Londynu.

Jak Warszawa dla mojej ojczyzny, Paryż dla Francyi, Rzym dla Włoch, Londyn jest dla zjednoczonego królestwa W. Brytanii ogniskiem, wielkiem ogniskiem postępu i cywilizacyi, miejscem zbornem tyłu skarbów wiedzy i sztuki, gościąną tyłu młodych i dojrzałych umysłów. Piszący te kartki żałuje mocno i szczerze, iż musi z rozkazu swój władzy żyć chwilowo zdala od tego ogniska, którego środkiem jest brytańskie Muzeum i tyle nagromadzonych zbiorów kultury!

Przyjacieli polecił Tomasza, jako guwernera, rodzicom Karola Bullera, przedwześnie zgasłego męża stanu pierwszej połowy naszego stulecia. Carlyle umiał dokończyć wykształcenia powierzzonego sobie Karola, którego opuścili znakomici profesorowie, a zarazem tę odniósł korzyść, iż wprowadzony został do wykwiintnego towarzystwa. Co więcej, otrzymał propozycyą pisania do miesięcznika „The London magazine“, który w gronie swych redaktorów miał takich ludzi jak Lamb, De Quincey, Hazlitt, Allana Cunningham i innych. W piśmie tém ukazała się część jedna „Żywota Szylera;“ prócz tego Carlyle tłómaczył wiele z niemieckiego pomiędzy rokiem 1824—1827, chociaż tłómaczenia te później dopiero miały się ukazać. Ale Irving lepszą jeszcze oddał przyjacielowi usługę. Proszony przez doktora Welsh, by przyjął obowiązek przewodnika w literackich studyach jego córki, Irving zakochał się w uczennicy, oświadczył swą miłość i dostał odkosza. Opuszczając dom pana Welsh'a, na swe miejsce wprowadził Tomasza; temu zaś szczęście lepiej posłużyło. Carlyle pozyskał wzorową i przywiązaną małżonkę, która przez lat czterdzieści była „światłem jego życia.“ Po jej śmierci, w roku 1866, żałował jęj tak głębo-

ko, iż przyjaciółom swym nigdy już nie wydawał się samym sobą. Pani Carlyle posiadała niemal równe mężowskiemu przymioty umysłu; a prócz tego była dziedziczną skromnego majątku, który uwolnił „mędrca“ od obowiązkowych prac dla księgarzy i wydawców i ofiarował spokojne wiejskie zacisze na czas następny w Craigenputtoch.

Z podziwieniem patrzymy na olbrzymią liczbę dzieł wyszłych z pod skromnego dachu owiej siedziby! W pięciu latach, od roku 1828—1833, ukazały się najlepsze i najcudniejsze rozprawy (essays) Carlyle'a, między nimi mianowicie słynna krytyka dzieł Burns'a; dalej „Sartor Resartus“, o którym niebawem chcemy pomówić obszerniej; wielkie mnóstwo drobniejszych prac, często niszczonej przez autora natychmiast po ukończeniu; wreszcie powzięty tam został plan do dzieła o rewolucyi francuskiej. W ustroniu tém ukończony został „Żywot Szyllera“, którego druk rozpoczął miesięcznik „The London Magazine“, dalej tłumaczenie „Wilhelma Maistra“ i trzech tomów niemieckich poezyi. Pełniąc obowiązki domowego nauczyciela w rodzinie Bulterów, Carlyle odwiedził z swym uczniem Niemcy i tamże zapoznał się z Goethe'm, który go zachęcił do wprowadzenia literatury niemieckiej w Anglii. Więcej nawet, gdyż podobno nigdyby autor „Sartera“ nie był oddał się całkowicie piśmiennictwu, gdyby go na pewne tory nie popchnął poeta weimarski. Mamy przed sobą tłumaczenie niemieckie „Żywota Szyllera“ (Frankfurt n. M., 1830), w którym znajdujemy następujący list Carlyle'a do Goethego. Nie obawiamy się nużyć czytelnika przytaczając go w całości, bo opis życia mędrca w Craigenputtoch, którym się rozpoczyna, zapewne ciekawie będzie czytany.

„Pytasz się mnie pan—pisze więc Carlyle—jak tu żyjemy i jak spędzamy nasze godziny; a czynisz to z tak gorącym sercem, iż czuję się obowiązany ciekawość twoję zaspokoić. Dumfries jest przyjemnym miastem, mającym około 15,000 mieszkańców, uważanym za środek ruchu przemysłowego i magistralnego systemu w dystrykcie, który jest w Szkocyi ogniskiem handlu. Siedziba nasza nie jest w samym mieście; lecz dalej na północ-zachód, między pagórkami granitowych skał i bagien, ciągnących ku morzu irlandzkiemu. W tej wilgotnej i skalistej dziczynie leży, niby oaza, posiadłość nasza, częścią ogrodzona parkanem, częścią otwarta, pokryta zielenią, poorana, gdzie dojrzewa latem zboże, gdzie drzewa dodają cieniu. Tu z niemałym mozołem wybudowaliśmy i umeblowaliśmy piękny i odpowiedni potrzebom naszym domek; tu, nie mając obowiązkowych zajęć, uprawiamy literaturę, stosownie do sił naszych; według własnych naszych zapatrywań. Życzymy wesołego wzrostu róży i kwiatom naszego ogrodu; spodziewamy się tu zdrowia i spokojnych myśli do dalszego życia. Wprawdzie nie wszystkie zasadziliśmy krzaki róż; ale z zasadzonych mamy dość już kwiecia i zapachu. Dwa kucyki, co nas niosą wszędzie, i górskie powietrze najlepszym są lekarstwem na słabe nerwy. Codzienna wyjażdżka w góry jest moją jedyną rozrywką, gdyż to nasze gniazdko jest najsamotniejszem w Brytanii. Sześć mil wokoło pustynia. Tu Rousseau czułby się tak szczęśliwym, jak na swój wyspie St. Pierre. Moi przyjaciele

z miasta przypisują nasz pobyt w tém miejscu odpowiedniemu z méj strony usposobieniu i podobnyż mi przepowiadają koniec. Ale ja tu przybył jedynie w celu nabycia i używania prostoty w życiu; pragnę mocno pozostać prawdziwym samemu sobie. Ten kęs ziemi naszą jest własnością; tu możemy żyć, czytać, pisać, myśleć—jak się nam podoba... choćby sam Zoil miał być ukoronowanym monarchą literatury. Samotność nasza nie jest zresztą zupełną: codzienny wóz pocztowy przewozi nas czasami szybko do Edynburga, naszego brytyjskiego Weimaru. I czyż nie mam obecnie przed sobą, w méj maleńkiej bibliotece, całego stosu gazet i pism francuzkich, niemieckich, amerykańskich i angielskich, różnej treści i różnej wartości! Nie mam nawet potrzeby szukania pola do studyów antykwarskich. Z pagórków moich spostrzegam w oddaleniu jednodniowej podróży wzgórze, na którym Agricola ze swemi Rzymianami pozostawił szczątki obozowiska. Przy owym stoku góry urodziłem się i dotąd tam jeszcze żyją kochani i kochający mnie rodzice. W ten sposób pozostawiam czasowi pracę nademną i wkoło mnie.

„Ale dokąd się zabłąkałem?... Pozwól pan, że mu się przyznam do niepewności o swéj przyszłej literackiej działalności i że go poproszę o sąd i radę. Przynajmniej pisz pan do mnie rychło, bym się czuł z tobą złączony. Jedyną ważniejszą rzeczą, którą tu napisałem, jest moja „rozprawa o Burnsie.” Może o nim nigdyś pan nie zasłyszal—a przecież jest on mężem najwyrazistszego geniuszu; ale urodził się w najniższej warstwie wiejskiej społeczności, a nadto, z powodu nieszcześliwych powikłań w własném swém życiu, stał się moralnie rozbitkiem. Otóż przyczyny, dla których utwory jego są stosunkowo mało znaczące. Umarł w połowie swéj karyery, w 1796 r. My, Anglicy, a zwłaszcza Szkoci, kochaliśmy Burnsa ¹⁾ nad wszystkich innych poetów ubiegłych wieków. Często uderzała mnie myśl, iż urodził się na kilka miesięcy przed Szylerelem, w r. 1759 i że obydwa ani o sobie nie zasłyszeli. Jaśnieli oni, jak gwiazdy nad przeciwnymi półkulami; lub może lepiej powiedzieć: gesta mgła ziemi przejęła wzajemne ich ku sobie promienie.”

Trudno dziś przesądzać, czy literatura angielska skorzystała z tak ścisłej przyjaźni Carlyle'a z Goethem i z tylu innymi myślicielami i pisarzami Niemiec—więcej, niż gdyby pustelnik z Craigenputtoch pozostał dłużej „prawdziwym samemu sobie.” Jednakże, wczytując się w jego wspaniałą rozprawę krytyczną dzieł nieszcześliwego Burnsa, żałowaliśmy, iż po niej same już napotykamy prelekcye rozkiełznanéj filozofii, ujęte wprawdzie w formy pełne najbogatszego języka i najbardziej wyrazisty (że się tak wyrazimy) stylu, ale pozbawione téj prostoty i jedności, które nadaje pracę samoistną wolnego umysłu, nie zaś sympatyę, lub cierpkie i szydercze uprzedzenie. Czyż satyra jest w rzeczy samej dydaktyczną? Satyra nikogo nie poprawi. Nie śmiemy, oczy-

¹⁾ Zdanie to nie zupełnie zgadza się z treścią „Rozprawy o Burnsie,” w której autor wyraźnie i kilkakrotnie narzeka na zupełną nieznajomość swych współczesnych i chlód, z jakim przyjęli dzieła szkockiego poety.

wiście, zdania naszego stawiać obok opinii wielu stronników Carlyle'a, co to twierdzą, że „Sartor Resartus” stworzył osobną i liczną szkołę carlylistów; wyżej napomknęliśmy, iż pozostaniemy au juste milieu, ale już choćby z tego stanowiska zwalczać będziemy sceptycyzm Carlyle'a, z którego trudno ustąpić, mianowicie, iż nie godzi się wyszydzać rzeczy ojczystych na korzyść obcego narodu: nie wolno karcić bronią nabytą od obcych, choćby najśluszniej, winne społeczeństwo własne. Jest to sąd naszego prostego polskiego rozumu. Cóżby np. powiedziałano w naszym świecie, gdyby pp. Kraszewski, lub Stanisław Tarnowski, satyryzowali nasze wady społeczne, nasze obyczaje, religią, pojęcia, wychowanie młodzieży i zachowanie obywateli, za pomocą wywodów zapożyczonych od ekonomistów i estetyków Niemców lub Żydów! Gdyby mianowicie, jak Carlyle w swym „Zeszytym Krawcu,” stawiając za wzór obcego narodu kulturę, poszywali kontusz frakiem, życie—filozofią takich Teufelsdröckh'ów!

Ale zanim zrobimy znajomość z p. profesorem z Weissnichtwo, przeczytajmy ten choć jeden wyjątek z „Essay on Burns.” Przytoczone poniżej słowa Carlyle'a trzebaby bezwątpienia głęboko zapisać w pamięci.

„...Każdemu pocięciu, każdemu pisarzowi możemy powiedzieć: bądź szczerym i prawdziwym, jeśli chcesz, by ci uwierzono. Niechajno człowiek wypowie z serdeczną powagą myśl, wzruszenie, istotne uczucie własnego swego serca, a inni ludzie zniewoleni będą koniecznością i popędem skłonić ku niemu serce i wiarę. Tak dziwnie wszyscy spojeni jesteśmy węzłami sympatii! Wykształceniem, wysokością poglądów, możemy stać poniżej lub powyżej pisarza; lecz w każdym razie słowa jego, jeśli są poważne i szczerze, znajdą u nas jakiekolwiek echo, jakąkolwiek odpowiedź: gdyż na przekorę różnicom położenia socyalnego — jak twarz twarzy, tak serce podobne jest sercu.

„Może się to wydawać bardzo prostą zasadą, której wynalezienie małą było zasługą Burnsa. Prawda! Wynalezienie jest dosyć łatwem; lecz praktyczne jęj zastosowanie wcale nie jest łatwe. To jest bowiem prawdziwą trudnością, przeciwko której mają do walczenia wszyscy poeci, którą ze stu zaledwie jeden pokonywał. Umysł zbyt niejasny dla rozpoznania prawdy od fałszu; serce za słabe, by pokochało prawdę bądź cobądź — by nienawidziło kłamstwa pomimo wszelkich pokuszeń... zarówno są fatalne pisarzowi. Połącz z jedną z owych wad, lub z obydwoma, chęć pokazania się, życzenie stania się oryginalnym, pragnienie sławy — a będziesz miał przesadę, afektację... zarazę w literaturze, jak Kant, brat jęj starszy, jest etyki zarazą. Jak często obydwa błędy nagabują nas w poezyi zarówno i w życiu.

„Wielcy poeci nie zawsze są wolni od nich; ba! nawet od pewnej ich dozy zależy stopień wielkości pisarza. Byron, np. nie był zwykłym człowiekiem; a jednakże, zapatrując się na jego poezye z tego stanowiska, znajdziemy je bardzo często błędnymi. Mówiąc ogólnie, powinniśmy przynajmniej powiedzieć, że nie są prawdziwemi. By-

ron rzeźwi nas często mocnemi trunkami, zamiast zdrojem czystej, Boskiej wody; napoje takie podniecają, wprowadzają nasz apetyt, lecz następstwem ich jest niesmak, często nawet znudzenie... Zapytalibyśmy się, czy jego Giaury i Haroldy są ludźmi rzeczywistymi, t. j. czy są ludźmi poetycznie możliwymi? Czyż charakter ich, czyż charakter ich autora, który w nich przebija, nie wydaje się każdemu rozsądnemu czytelnikowi czémś sztucznym, nietrwałym, szatą, mającą służyć dla okoliczności, na godzinę? Wszakże ich byt i racya ich bytu przewyższają naturę! Przecież wszystkie te okropne męczarnie, to wulkaniczne bohaterstwo, nadludzka pogarda i rozczochrane rozpacz, z tylu jękami, zgrzytaniem zębów i siarczanym humorem... raczej odpowiadają konwulsyjnym wybuchom jakiegoś aktora w jakiejś bombastycznej tragedyi, co ma trwać trzy godziny, aniżeli życiu i zachowaniu się poważnego człowieka wśród własnej egzystencji przemian; życiu, co ma trwać lat trzy dziesiątki, pół wieku i dłużej! Według méj opinii jest coś w onych poezjach, co bym nazwał teatralnym, przesadzonem, wymuszonym. Może „Don Juan,” zwłaszcza część jego ostatnia, jest jedynym utworem, w którym Byron jest takim, jakim jest; w którym zbliża się do szczerości i prostoty. A jednak Byron nienawidził całą duszą i sercem przesadę i afektacyę. Tak trudno najwyższemu nawet geniuszowi pokonać tę najpierwszą i najwyraźniejszą trudność! Oprócz Burnsa, nie znamy poety, któryby tak, jak on, potrafił przyjść do nas i z nami pozostawać czas dłuższy bez najmniejszego wymuszenia, bez najlżejszej potrzeby sztuczności i przesady. Burns jest uczciwym człowiekiem i pisarzem uczciwym. W pomyślności i nieszczęściu, w swój wielkości i w swym upadku, zawsze jest jasnym, prostym, prawdziwym, bez zapożyczonego blichtru, promieniającym z samego siebie. Uważamy to za wielką cnotę; w samej rzeczy, za źródło cnot wielu—moralnych i literackich.”

Carlyle nie bardzo sobie suąć wziął do serca własne uwagi. Rozprawa o Burnsie jest ostatnią jego pracą, którą wydał całkowicie z własnego geniuszu, a ten pęk brylantów literatury angielskiej, który składają poprzednie krytyki i rozbiory Woltera, Nowalisa, Richtera i pani de Staël, tudzież Żywot Szylera, błyska potężnemi promieniami świeżości i siły wzniosłych jego poglądów, mistrzowskiej dyalektyki i jak zawsze, dziwnie pociągającą krasą stylu. Powracając raz jeszcze do zasady: „Bądź szczerym i prawdziwym...” wyrazimy jednakże obawę, by zbyt nie jej zastosowanie do wszelkich prac wyobraźni nie miało gorszego jeszcze następstwa nad całkowite jej zaniedbanie. Koniec naszego wieku przynosi z dniem każdym ucywilizowanemu społeczeństwu tyle wyrafinowanej sztuczności, iż lękać się należy, by przyszłe pokolenie poetów i pisarzy nie poświęciło wszystkich sił swoich na wyzyskiwanie prawdy, szczerości i rzeczywistości w polu wstrętnej „naturalistyczności.” Toż wreszcie, jak wybornie napisał do autora dziejów rodziny Rougon-Macquart p. St. Genest, dość w życiu mamy realizmu, dość nędzy i kłopotów! Wolę ja, woli mój przyjaciel Jacques Bonhomme, woli

wielu czytać Szlachetne czyny rycerza Tankreda de la Roche-Noire, aniżeli paść oczy drukiem ohydnych wyrażeń, opisem ohydniejszych szynkowni i najohydniejszych osób. Nie każdy jeszcze, chwała Bogu, członek naszego społeczeństwa zarażony jest trądem sceptycyzmu i zwątpienia!"

Ale przypatrzmy się „Zeszytemu Krawcowi.” „Sartor Resartus” jest satyrą, napisaną wprawdzie w zgodzie z powyższymi zasadami Carlyle’a, lecz pełną zasad najsubtelniejszego cynizmu, pokrytego płaszczem osobiwszej religii. Nie obszerne to dziełko nasunęło nam myśl, z którą ostatecznie pozostajemy, iż autor jego jest deistą w dziedzinach psychologii i moralności, eklektykiem w metafizyce, wyszydzającym wszystko, co go otacza, bijącym pokłony przed niezależnością, siłą i tępem, co Anglik nazywa self-proficiency. Wszystko tu zapożyczone: począwszy od głównej myśli, aż do sylogizmów; wszystko niemieckie, wejmarskie, poczdamskie; podobno nawet styl nie swojski... ale przyswojony genialnie. Obłuda tak daleko tu doprowadzona, iż samo dziełko podane jest publiczności niby tłómaczenie. Autor kryje się poza profesorski płaszcz niemieckiego moralisty; wytłómaczywszy w ten sposób swą oryginalność, pisze:

„Wydawca niniejszych arkuszy nigdy nie marzył o naszej potrzebie dzieła, traktującego o filozofii ubrania. Nigdyby prawdopodobnie na tę myśl nie był wpadł, gdyby nie zjawienie się nowej książki profesora Teufelsdröckh z Weissnichtwo.” Tytuł mniemanego oryginału: „Die Kleider, ihr Werden und Wirken; von Diog. Teufelsdröckh, juris utriusq. doctor, etc. Stillschweigen und Cgnie. Weissnichtwo, 1831.” Carlyle w ten sposób poleca się swój publice: „Otóż, pisze, „der Weissnichtwo’sche Anzeiger,” książka tego doniosłego gatunku, ściśle rozważona i ściśle drukowana, jaka (na nieśmiertelny nasz zaszczyt) tylko może się pokazać w Niemczech, może nawet tylko w Weissnichtwo. Wychodzi ona z pod pras nieskażonej dotąd firmy Stillschweigen et Comp.; ozdobiona wszelkimi powabami zewnętrznymi, wyzywająca swą wewnętrzną wartością samą nawet Niedbałość. Dziełko to, zajmujące dla historyka, antykwarza i filozofa, jest arcydziełem śmiałości, bystrości bazyliiskowego oka, twardego a nieuległego germanizmu i filantropii (derber Kerndeutschheit und Menschenliebe). Bezwątpienia nie obcejdzie się przeciwko niemu bez opozycji w wysokich sferach; ale w każdym razie konieczne musi rozgłosić i wysoko wynieść nowe prawie imię Teufelsdröckha do najszczytniejszych rzędów w naszej niemieckiej świątyni honoru. Pamiętny na dawną przyjaźń naszą, uczony profesor obdarzył mnie jednym egzemplarzem ciekawej swój pracy, z dopiskiem: Müchte es (dziełko) auch im Britischen Boden gedeihen!”

Miał, zdaje się, Carlyle na celu zgromienie teorii materyalistycznych, które podówczas szybko zapuszczały korzenie w Anglii i podniesienie współczesnych umysłów wprawdzie nie do wyżyn teologii, lecz do refleksyi nad wielką różnicą, zachodzącą pomiędzy pozorem rzeczy, „fenomenami,” a ich esencjonalną wartością i rzeczywistością. Stawia

się w miejscu wielkiego proroka Prawdy i Rzeczywistości, w przeciwstawieniu do Kanta i Humbuga ¹⁾; w czasie, gdy Anglia chełpiła się z nadzwyczajnego swego postępu i materyalnej pomyślności, z swych kolei żelaznych, parowców, rękodzielni i ustawicznie wzrastającego handlu, a zatém i bogactwa: Carlyle podnosi głos szyderstwa i pogardy, obrzuca gorzkim sarkazmem stagnacyą myśli głębszych the state of stagnation in the world of deeper thoughts, of sounder, genuine ideas; ostro gromi ówczesne sobkostwo, co mogło zadowolnić się niską adoracyą mamony i pozostawało obojętném „na wyższą kulturę umysłu.” Przeglądając niektóre ustępy „Sartora,” możnaby myśleć, że autor chciał popuścić wodze własnemu niezadowoleniu z swego społeczeństwa, o ile ono było obojętném na jego osobiste prace, o ile przyjmowało z lodowatym chłodem jego ambicje. W rozdziale IX, pod napisem: „Adamityzm,” czytamy np. taki ustęp: „Człowiek jest nasamprzód duchem i jako taki, złączony jest z wszystkimi ludźmi niewidzialnemi węzłami; powtóre: jest ubrany, czyli nosi widzialne znaki owój spójni. Czyż wasz Czerwieniec wieszający (pisze prof. Teufelsdröckh) nie nosi peruki z końskiego włosia i aksamitnej togi, po których w nim śmiertelni poznawają sędziego? Im dłużej myślę, tym więcej dziwię się nad tym niezaprzeczoným faktem, że społeczeństwa zasadzają się na ubraniu.

„Często w mych czarno-żółciowych godzinach, czytając o pompacyjnych ceremoniach, koronacyach frankfurtskich, królewskich recepcyach, monarszych levées i conchées, jak marszałkowie i paze stoją na swém miejscu, jak ten książę prezentowany jest przez tamtego arcyksięcia, a pułkownik A przez generała B i niezliczony tłum biskupów, ministrów, admirałów ciśnie się ceremonialnie do namaszczonej obecności; gdy więc tak staram się uprzytomnić sobie całą pychę uroczystości... nagle, odrazu, jak na skinienie laski czarnoksiężnika, spadają wszystkie części ubrania owych dramatycznych figur. Książęta, grandowie, biskupi, generałowie, sama nawet namaszczona obecność, wszyscy synowie swych matek, stoją tam przerażeni! Bodaj sam wiem, czy śmiać się, czy płakać. Niemoc tę fizyczną lub psychiczną, na którą może nie ja sam cierpię, postanowiłem po namyśle ogłosić... na pociechę tych, co ją dzielą ze mną. Cóżby począł Majestat, gdyby w rzeczywistości taki się mu zdarzył przypadek! Ach Gott! Jak się wszyscy kryją do najbliższych kątów! Jeh Haupt-und Staats-Action staje się eine Pickleherring-Farce; a z nimi płaczu godna cała fabryka rządu, prawodawstwa, własności, administracyi i cywilizacyi rozprzega się i rozplywa we łzy i jęk!... Czyż może sobie kto wyobrazić nieubranego księcia Windlestraw, komentuje niby Carlyle, przemawiającego do nieubraných lordów w izbie wyższej? Wyobraźnia, odurzona niepodobném widowiskiem, cofa się i nie chce się w obraz za-

¹⁾ Podobno samo wyrażenie humbug, francuzka blague, datuje z owęj epoki „Sartora.”

głębić. Kancelerski woolsack, ławy ministeryalne i opozycyi... infandum! infandum! A przecież możemy zapytać: dlaczego coś podobnego nie mogłoby się przytrafić? Czyż nie był każdy z tych stróżów naszych wolności nagim lub prawie nagim, wczoraj wieczorem, gdy się kładł do łóżka? Czyż nie mógł każdy z nich, na rozkaz kapryśnego losu, przyjść do Izby w tym samym stanie, w jakim wchodzi do łóżka, i tu odbyć posiedzenie?

„Ale jeszcze pozostaje do rozmyślenia—ciągnie znów niemiłosierny prof. Teufelsdröckh—o ile każde straszdyło (scarecrow), będąc ubraném, ma prawo korzystania z prebend pastorskich i z przywileju sądu przez przysięgłych? Ba nawet, zważywszy na jego wysoki urząd (bo czyż ono nie jest obrońcą własności i panem sovereign, uzbrojonym w „trwogę” przed prawem), czyż nie winno posiadać prerogatyw królewskich?...” i t. d.

Możnaż jeszcze sarkastyczniej objawiać swą hypochondryą?

Rozdziały, traktujące o wychowaniu młodzieży, są jeszcze silniej rzucone, lecz nie można odmówić im wielkiej słuszności. Carlyle powstaje surowo przeciw współczesnemu systemowi pedagogicznemu, wskazując, iż on zasada się jedynie na „nabywaniu słów, figur, cyfer i wokabul.” Szkoda tylko, iż i tu wielki pisarz grzeszy brakiem czerstwych poglądów na życie człowieka duchowe: „Cóż jest Przyroda? Przyrodo! Czemuż cię nie mam zwać Bogiem? Pograżę myśl moję w tobie, zanurzę w tobie ducha, ścigać cię w twych najskrytszych będę tajemnicach! Tyś prawdą! Tyś czynem! Tyś słowem! Duchem wszechpotężnym-Bogiem! Precz z marzeniami, co chcą poza Przyrodę wybiegać! Człowiek stworzony przez naturę dla niej samej, dla Prawdy, dla Rzeczywistości!”

Niepodobna już nam dłużej się zatrzymywać nad filozofią odzieży; chcieliśmy dać poznać czytelnikowi kilka kartek z dzieła, o ile wiemy, nie tłómaczonego na nasz język, co, jak „Vivian Grey” młodego Disraelego, uczyniło literata z Craigenputtoch wielkim człowiekiem. I tu młodzież przybiegła do Carley'a, młodzież go wyniosła i ogłosiła mistrzem. Słynny krytyk Jeffrey nazwał Sartora „płodem rozczochranéj fantazyi waryata, pozbawionego świeżego powietrza w izbie, pełnéj fajecznego dymu.” Później, w 1837 r., ten sam Jeffrey, przeczytawszy „Historyą rewolucyi francuzkiéj,” radził autorowi, by pozostał wiernym historii a porzucił metafizykę. Carlyle nie posłuchał rady, ale w innych swych rozprawach zaniechał szyderstw i sarkazmu, może dla tego, iż się obawiał, by broni téj nie zwrócił kto inny przeciwko wzrastającej szybko własnej jego sławie. Myśl to nie nasza osobista: mieliśmy sposobność poznania charakter mędrca z Chelsea z rozmowy z p. Garnett, żyjącym dzisiaj w tém mieście, który przez długi czas był sekretarzem Carlyle'a w jego domu, na Cheyne. Równie dowiedzieliśmy się, że autor „Sartora” i „Prelekcyi o bohaterach” pozostał do końca życia charakterystycznie sarkastycznym, że w krytyce

był aż przesadnie surowym, niesłuchanie niezależnym i dlatego nawet niewdzięcznym ¹⁾.

„Historja rewolucyi francuzkiej,” raz napisana i wykończona, stała się pastwą płomieni, przez nierozwagę służącój państwa Stuartów Mill, przyjaciół Carlyle’a. Ale wytrwały pisarz wziął się powtórnie do dzieła, chociaż, jak sam pisze, nie miał ani chęci, ani głowy po temu.” Drobne dwa tomiki, leżące przed nami w téj chwili, są bez zaprzeczenia najpiękniejszą manifestacją geniuszu wielkiego mistrza pióra. Obawiamy się wydawać sąd o historycznej wartości dzieła, gdyż nas porywa oguista potęga jego słów. Nie może ono zresztą być uważaném jako praca źródłowa, lub choćby obiektywnie monumentalna; Thiers, Taine, a nawet „*Considerations sur la Révolution*”, paui de Staël, są we Francyi i w Europie powagami tyle już obrabianego, choć rzadko wyczerpanego przedmiotu; w Anglii zaś Arthur Young współzawodniczy z historykami własnych dziejów co do doniosłości i znaczenia swego „*Końca XVIII wieku*.” Carlyle nie miał nawet pretensyi do oryginalnej pracy, jak dowodzi sam tytuł książki: „*The French Revolution*.”—„*A History*.” Co więcej, autor tyłu rozpraw krytycznych i prelekcyi, nie pozostał wiernym szeroko rozwiniętemu sztandarowi prawdy i prostoty! Fakta, opowiedziane przez Carlyle’a, nie zawsze zasługują na bezwzględną wiarę; sposób, w jaki są przedstawione, należy z pewnością do dziedziny sposobików teatralnych, naciągniętych. Cała i jedyna zatem wartość dzieła leży w jego poetycznym stylu, nad który nie znamy piękniejszego w żadnym utworze nowoczesnych pisarzy w angielskich. Oczywiście rzecz, iż trudno w tkomaczeniu dać dokładne pojęcie, czém jest język Carlyle’a w „*Rewolucyi*,” może jednak potrafimy zadowolnić ciekawość czytelnika, przytoczeniem wstępu z rozdziału V drugiej księgi drugiego tomu: „*Królowa i Emigranci*.”

„Znano ludzi mocno zromantyzmowanych, co, choć potaczając się, mogli poruszać się i chodzić czas długi, dopóki gło wa ich pozostawała zdrową. Lecz ona głowa konstytucyi francuzkiej! Wiedzą już czytelnicy, czém jest król Ludwik, czém być musi chcąc nie chcąc. Królem, nie mogącym przyjąć konstytucyi, ani jój odrzucić; nie mogącym czynić nic zgoda, jak z płaczem pytać: cóż mam robić? Królem, otoczonym bezdenném zamieszaniem, w której głowie nie masz ani żdźbła porządku. Butna, nieprzejednana szlachta idzie w zapasy z upokorzonymi tłumami skruszonych Barnave i Lamethów; boryka się w tym niskim żywiole tragarzy i posłańców, płatnych zuchów z Café Valois i pokojówek, suflerów i pisarków; z zewnątrz patrzy na to wszystko dziki patryotyzm, coraz i coraz podejrzliwszy; patrzy, pytając: cóż oni

¹⁾ W swych „*Wspomnieniach*,” ogłoszonych przez p. Froude, Carlyle wyraża się o dawnym przyjacielu Irvingu z przykrą goryczą; wyrzuca mu nawet samolubstwo w okolicznościach, w których sławny minister religii przysłałmu księciu literatury oddał największe przysługi („*The Atheneum*,” nr. 2, 786, z 19 marca 1881 r.).

w końcu zrobią? W najlepszym razie zniszczą jedni drugich i zostawią—zero. Biedny król Barnave i senatorscy Jaucourt'owie prawią mu poważnie do jednego ucha; Bertrand-Moleville i koblenci emisarjusze prawią mu poważnie do drugiego: biedna królewska głowa skłania się na jedną i na drugą stronę; nie może się stale ostać na żadnej. Niech spuści na to zastonę Szacunek; rzadko kiedy odegrała się w tym świecie żałośniejsza tragedia. Czyż ten jeden fakt mały nie rzuca najsmutniejszego światła na wiele? Królowa lamentuje przed panią Campan: „Cóż ja pocznę? skoro ci, ci Barnave, przyprowadzą nas do jakiegobądź kroku, którego nie lubi szlachta, ja znosić muszę dasy, nikt nie przychodzi do mych kartowych stolików, królewskie conchées jest opuszczone i samotne”¹⁾. W takim stanie niepewności i zwątpienia, coż można działać? Zginąć!

„Król przyjął tę konstytucyą, wiedząc naprzód, że nie posłuży do niczego; studjuje on ją i wypełnia z tą tylko nadzieją, że ją naród uzna za niepodobną do zachowania. Królewskie okręty stoją gnijące w portach, oficerowie ich uciekli; armia w rozprzężeniu; rozboje po nie-naprawionych gościńcach; administracya publiczna zaległa, zaniedbana; rząd o nic nie dba, na nic się nie wysila, chyba na potępienie konstytucyi. Wyzywają śmierć, *faisant la mort*! Jakaż konstytucyą, w ten sposób zastosowaną, może postępować? Może „rosnąć na obrzydzenie narodu”²⁾, chyba że *ty* wprzód na się ściągniesz obrzydzenie narodu. To plan Bertranda-Moleville, to plan Najjaśn. Pana: najlepszy z wymarzonych.”

A ustęp końcowy rozdziału: „Place de la Révolution:”

„O ósmęj z rana wchodzą radni miasta: król oddaje im swój testament, polecenia i różne rzeczy; oni brutalnie wprzód wzbraniają się odebrać cośkolwiek; daje im rulon złota, 125 luidorów, by pieniądze te zwrócili temu, kto je pożyczył, Malesherbes. O dziewiątej Santerre mówi, że godzina przyszła. Król prosi o trzy minuty zwłoki. Po upływie trzech minut, Santerre znów mówi, że godzina przyszła. „Uderzając prawą nogą posadzkę, Ludwik odpowiada: Partons, idźmy!” Jak ów odgłos bębnow grzmi przez baszty więzienia, nad sercem królewskiej małżonki, niebawem wdowy! Więc już poszedł! Więc już się z nami nie zobaczył! Więc już!.. Oto królowa gorzko płacze; płaczą oto dzieci króla i królewska siostra! Śmierć nad wszystkiemi czworo unosi się ohydna; wszyscy, z wyjątkiem jednej, zginą sromotnie! Ona, jako księżna d'Angoulême, żyć będzie, nieszczęśliwie!

„Przed bramą Temple, kilka słabych głosów, może wydartych łkaniem z piersi litościwych kobiet: Grâces! Grâces! Przez resztę ulic biegnie z wichrem grobowe milczenie. Niewolno tam być nikomu, kto nie uzbrojony; uzbrojeni może się litują, ale milczą, przerażeni trwogą

¹⁾ Campan, II, 177, 202 (Carl.).

²⁾ Bertrand: Meleville, I, c. 4 (id.).

przed otaczającymi. Okna wszystkie zamknięte; nikt się nie waży przez nie wyglądać. Sklepy wszystkie zamknięte. Nie słysząc turkotu pojazdów tego ranka; na tych brukach słysząc turkot jednego tyłko. Ośmdziesiąt tysięcy zbrojnych ludzi stoi w szykach, ośmdziesiąt tysięcy zbrojnych posągów. Milczenie! Błyskają armaty. Kanonierzy z zapalonemi w ręku lontami. Miasto kamienia i milczenia. Jeden powóz powoli się toczy z otaczającą go eskortą; Ludwik czyta w swęj książce do nabożeństwa modlitwy konających.

„Gdy zegar bije dziesiątą, patrz na Plac Rewolucyi, niegdyś Plac Ludwika XV. Gilotyna ustawiona w pobliżu starego piedestału, na którym ongi stał posąg owego Ludwika! Daleko naokół błyszczą armaty i zbrojni ludzie: widzowie cisną się tłumnie; d'Orléans-Egalité w kabryolecie... Ludwik czyta modlitwy konających, za pięć minut skończy; potem otworzą powóz. W jakim jest usposobieniu? Dziesięciu świadków wyda dziesięć zdań różnych. A on jest w kolizyi wszystkich usposobień, przybywszy nad czarną przepaść śmierci: w żalu, w sromocie, w oburzeniu, w rezygnacyi, usiłuje być spokojnym. „Pomóż księdzu Edgeworth! rozkazuje porucznikowi z nim zstępującemu;” potem obydwaj opuszczają powóz.

„Grzinot bębnow. „Taisez-vous, silence!—woła Ludwik głosem przeraźliwym—d'une voix terrible.” Wchodzi na rusztowanie nie bez wahania; ubrany w frak przeskowy, w siwych pantalonach, w białych pończochach. Zwleka frak, stoi w kamizelce, z rękawami z białej flaneli. Oprawcy zbliżają się, aby go związać: on się zżyma i opiera; ksiądz Edgeworth musi mu przypomnieć, jak Zbawiciel, nadzieja ludzi, podał się związaniu. Ręce ma związane, gołą głowę. Fatalna chwila nadeszła. On postępuje aż na koniec rusztowania, twarz ma bardzo czerwoną i woła: „Francuzi! umieram niewinny. Oświadczam to z rusztowania i mając za chwilę stanąć przed Bogiem. Przebaczam swym nieprzyjaciółom; pragnę, by Francya...” Jakiś generał na koniu, Santerre, czy ktoś inny, zrywa się i z ręką podniesioną rozkazuje: „Tambours!” Bębny zagłuszają głos króla. „Oprawcy, czyńcie powinność!” Oprawcy, lękając się by ich Santerre nie kazał zamordować, chwytają nieszczęsnego Ludwika, sześciu ich, a król siódmy, się szamocze. Ksiądz Edgeworth woła: „Synu świętego Ludwika, wstępuj do niebios!” Topór z trzaskiem zapada! Życie króla odcięte. Poniedziałek, 21 stycznia 1793 r. Miał lat 38, cztery miesiące i 28 dni ¹⁾.

„Kat Samson pokazuje głowę: wznosi się dziki okrzyk „Niech żyje Rzeczpospolita!” wzniesione kapelusze na bagnietach, chustki powiewają nad głów tysiącami. Studenci z kolegium Czterech Narodów podnoszą głowę króla, biegną z nią po Paryżu. D'Orleans odjeżdża w swym kabryolecie; radni miasta zacierają ręce, mówiąc: „Stało się,

¹⁾ Dzienniki; Muncypalne roczniki i t. d., i t. d. (w „Historyi Parlamentu,” XXIII, 298—349); „Deux Amis,” IX, 369—373; „Mercier, Nouveau,” Paris, III, 3—8 (Carl.).

już skończone!" Ludzie maczają chustki i końce pik we krwi. Kat Samson sprzedaje loki nieboszczyka włosów ¹⁾; kawałki orzechowego fraka długo potem noszą w pierścionkach ²⁾. I tak w półgodzinie to się skończyło; tłumy ludu rozeszły się i rozbiegły. Cukiernicy, mleczarze, kawiarze, wrzeszczą po ulicach, chodząc z towarem swym jak dawniej; świat kuleje dalej, jakby to był dzień zwyczajny, pospolity. Prudhomme powiada, że onego wieczora patryoci ścisłali ręce patryotów serdeczniej niż zwykle. Według Merciera, mężowie publiczni dopiero po kilkunastu dniach spostrzegli, jaki to dzień był ważny, jaki ważny wypadek."

Od podobnego tonu i sposobu opowiadania Carlyle nie odstępował nigdzie w obydwóch tomikach „Rewolucyi;” wszystkie opisy są w czasie teraźniejszym, rzucane krótkimi zdaniami, często w przepysznym figurach krasomówstwa. Obeznane z stylem Wiktora Hugo, dzieło to przypomni natychmiast „Historyą zbrodni;” a może się nie pomylimy, upatrując pewną analogią pomiędzy dwoma starcami: jednym żyjącym, drugim już do przeszłości należącym. Najwybitniejszą różnicę stanowi tu ciekawy germanizm mędrca z Chelsea, a jeszcze prawie ciekawszy kosmopolityzm paryżskiego jubilata.

Wracając do życiorysu Carlyle'a, niewiele już mamy do zaznaczenia. W r. 1834 porzucił zacisze gór szkockich i, szeroko już znany w naukowym świecie w kraju i zagranicą, osiadł w Londynie, w domu, z którym się i sława jego zrosła i imię. Ogłosiwszy w 1837 r. dzieło, co dopiero przez nas rozebrane, Carlyle wydał do roku 1865 trzydzieści tomów prac najrozmaitszych, przeważnie krytyk, biografii, tłumaczeń. Z nich najsympliczniejszymi są prelekcje „O bohaterach,” o których głośny dziennikarz Leigh Hunt wyrzekł, iż są obrobione, jak gdyby jaki Purytanin zmartwychwstał i rozprawiał zliberalizowany filozofią niemiecką i własną swą natężoną myślą, życiem i doświadczeniem." W r. 1839 ukazała się „Przeszłość i Przyszłość,” w 1851 r. „Żywot Jana Sterling'a,” uważany za arcydzieło pióra. Odtąd niezmordowany autor pracuje przez lat czternaście nad najobszerniejszym, chociaż nie najważniejszym swym dziełem, „Historyą Fryderyka Wielkiego.” Nie możemy służyć czytelnikowi rozbiorem tej pracy, nie posiadając jej w tej chwili; z pośmiertnych krytyk dowiadujemy się tylko, iż przewyższa ona stylem i literackimi ozdobami wszystko, co kiedykolwiek autor jej był napisał. Równocześnie jednak nie możemy znaleźć słówka pochwały samej treści; czemu zresztą dziwić się trudno, bacząc na autypatyę Albionczyków do Fryderyka. Wartoby przejrzeć owe tomy, świadczące ponoć najlepiej o prawdzie słów, któreśmy powiedzieli o istotnej filozofii Carlyle'a ³⁾. Może się kiedyś nawinie sposobność.

¹⁾ List jego w dziennikach (Hist. Parl. ubi supra) (Carl.).

²⁾ „Forster's Briefwechsel,” I, 473 (Carl.).

³⁾ „The Athenaeum” pisze w życiorysie Carlyle'a: „Uznanowanie pracy

Kreśląc niniejszy życiorys, nie mamy pretensyi do rozbioru każdego dzieła wielkiego pisarza; daliśmy z nich czytelnikowi poznać te, które, zgodnie z krytyką własnych jego ziomeków, stanowią cechę jego charakteru, wpływu i działalności. Nudnaby było i zbyteczną zapewne rzeczą, wyliczać tytuły reszty tego olbrzymiego zbioru, nagromadzonego z prac drobnych, rozpraw, krytyk, szkiców i artykułów, umieszczonych pierwotnie w krajowych czasopismach. Nadto, postanowiliśmy uwzględnić te tylko twory Carlyle'a, które nie traktują wyłącznie o ludziach lub sprawach w szerszym świecie nieznanym. Każdy zrozumie łatwo, iż niepodobna wdać się w rozbiór tych licznych biografii, prelekcyi i doraźnych o bieżących kwestyach krytyk, choćbyśmy nawet mogli na to się odważyć, bez rozwlekłych komentarzy przedmiotów, mających interes i wpływ lokalny.

W r. 1865 Carlyle doszedł do najwyższego szczytła swój publicznej karyery, gdy kolegium profesorów wzrastającego szybko w znaczenie uniwersytetu edyńskiego ofiarowało mu katedrę honorową lorda rektora. Dawniejszy słuchacz teologii, prawa i literatury, niegdyś tak często narzekający na chłodną, lodowatą nawet obojętność swych magistrów, opowiedział uczonym słuchaczom, podczas ceremonii inauguracyjnej, historią przykrego osamotnienia swego wśród tych samych murów, swych mozolnych prac w skromnym zakładzie pedagogicznym nieznanego prawie miasteczka Kirkcaldy, dzieje tylu złudzeń i tyle biedy, gdy próbujący sił młodzieniec, pisał płatne swe artykuły do „Encyklopedyi Brewster'a...”

Podczas tych uroczystości, w stolicy Szkocyi, śmierć zabrała nowemu rektorowi wierną i ukochaną towarzyszkę w domu na Chelsea. Równocześnie pani Carlyle umarła nagle, w pełni zdrowia i życia. Niepocieszony mąż już odtąd, „gdy mu zgasło światło żywota,” jak się sam wyraził, nie wziął pióra do ręki dla żadnej pracy publicznej. Pracował dużo, ale bez planu, nad spisaniem swych „Wspomnień,” powierzonych później testamentem p. A. Froude. Jednakże dom uczonego wdowca pozostał Kaabą dla młodych literatów, którzy zbliżali się do niego z pewnem religijnem uszanowaniem, z trwogą, rzadko z nadzieją.

Carlyle był do końca nieubłagany wrogiem najniebezpieczniejszego z blichtrów — blichtru literackiego. Nikt doskonałej od niego nie rozbijał i nie kruszył płodów powierzchownej lub zapożyczouej erudycji owych dandysów-literatów, przed których zjadliwem piórem, nieraz przez lata całe drżały skromniejsze, ale prawdziwe siły. Mnóstwo krąży anegdotek o surowości mędrca względem młodszych pokolenia

i wielbienie dzieł pomyślnych, natchnęły go adoracyą potęgi, jedynie jako ta-
kiej. Wcieleniem tych idei jest Historia Fryderyka pruskiego, którego dzieła najgorsze i najczarniejsze zdrady mielibyśmy (według myśli Carlyle'a) uważać za bohaterskie czyny, jedynie dla tego, że Fryderyk potrafił ich doko-
nać (nr. 2781, 12 lutego 1881).

pisarzów; pozwolimy sobie przytoczyć z nich jedną, którą zawdzięczamy wspomnieniom wymienionego już raz pana Garnett. Syn znanego i niezmiernie zamożnego wydawcy londyńskiego, p. Henryk Bentley, poświęcił sześć lat z okładem, na wielce mozolne opracowanie historyi Essexu. Pragnąc jednakże poznać opinią Carlyle'a, w niektórych trudnościach swych poszukiwań, stawiał się razu pewnego w Chelsea, z większą połową przepisane go dzieła i prosił o sąd. Carlyle zażądał, by mu autor przeczytał kilka rozdziałów. Posłuchawszy w milczeniu, przez przeszło trzy kwadranse, wstał, zadzwonił i wchodzącemu lokajowi kazał przynieść do biblioteki karafkę wody. „Wypij pan ze dwie szklanki—rzekł potem niespokojnemu Henrykowi—i powiedz mi, nie obrażając się na starego dziwaka, czy kto z rodziny twój nie cierpi... na umyśle?”

Lord Beaconsfield wysoko cenił sędziwego historyka, chociaż podobno wiele musiał znieść jego niemiłosiernych krytyk. Carlyle był w polityce niezależnym, neutralnym z zasady; sądził jednakże donośnie każdy czyn jakiegokolwiek gabinetu, w którym dopatrzył się zależności, pochlebstwa, zgoła byle jakiego znaku chwiejności. Ideałem jego kanclerza był ks. Bismarck. Na przeciwnym krańcu zupełnie stawiał Metternicha, zowiąc go politycznym metrem tańca „dancing master in politics” ¹⁾. Rządy lorda Derby nacechował głośnie w swym czasie szyderstwem, przyrównując pierwszego ministra do „pijaka po przebudzeniu się z konwulsyjnego snu.” Ministerstwo Beaconsfield'a, mianowicie zaś jego nieurzędową działalność po powrocie p. Gladstone'a, nazywał dandyostwem: „the dandyism” ²⁾. W kilka miesięcy po swém wyniesieniu do godności para Anglii, Disraeli ofiarował Carlyle'emu i Tennyson'owi (żyjącemu dotąd pocie), oznaki wielkiego krzyża orderu kąpieli. (Nie wiemy, czy pod tym samym tytułem order ten znany jest czytelnikom. Ustanowiony został w Anglii, w czasach Henryka IV z frankońskim ceremoniałem kąpieli, przed wigilią. „The Order of the Bath,” ograniczony jest do 38 członków, włącznie z monarchą). Historyk i poeta, obydwaj odmówili zaszczytu.

Ostatnie lata Carlylea przechodziły nad jego głową spokojnie, rozszerzając coraz dalej sławę jego i dzieła. Wybrani przyjaciele tylko, między którymi nie spotykamy już ani Irving'a, ani Jeffrey'a, pomarłych, schodzili się każdego tygodnia w domu na Chelsea i rozbierali z mędrce bieżące kwestye naukowe i literackie. W gronie towarzyszy Carlyle często w późnym nawet swym wieku zapalał się tokiem rozmowy, jak młodzieniec: do późnej prawie godziny. Nie lubił gdy mu przerywano, nienawidził tych, co mu w ciągu owych podobno wspańiałych improwizacyi zadawali pytania. Czasami nagle ustawał... przypomnienie drogiego cienia ubóstwianej małżonki strącało go z wyżyn niezależnego umysłu do rzeczywistości.

¹⁾ Emerson w „Boston Magazine” z lutego: „Carlyle's Reminiscences,” t. II-gi, str. 115.

²⁾ Emerson.

Nareszcie i jego dzień nadszedł. W sobotę, 5 lutego 1881 r., o wpół do dziewiątej rano, Anglia straciła jednego z największych swych geniuszów w piśmiennictwie.

Jeden z najgorętszych wielbicieli autora „Rewolucyi francuzkiej” i „Sartora,” p. Jan Morley, taki napisał o swym mistrzu epigram:

„Carlylizm jest kreacją mężką Byronizmu. Jestto byronizm z energią i przyzwyczajeniem, z piersią w łachmanach. Jest w nim to samo ciężkie narzekanie na czas, jego ludzi i jego ducha, nawet coś z téj saméj pogardliwéj rozpacz, to samo uczucie małości (puniness) człowieka w pośrodku okrutnego i zadąsanego świata. Ale w Carlylizmie jest zbawienie od tego wszystkiego; jedyne możliwe zbawienie. Rozpacz jego jest bez ładu. Praca wesoła, spełnienie obowiązku i przysługa oddana z silnym charakterem: oto sposób wprawdzie nie do wyjścia z form świata, ale do utrzymania się w nich i życia” ¹⁾.

Ale, jakiegokolwiek staramy się o nieboszczyku wydawać sądy, pozostać to za ogromna, za olbrzymia, byśmy już dzisiaj mogli, choćby odpowiednimi siłami, całą jęj zmierzyć, rozpoznać i o niej z tak bliskiego wyrokować oddalenia. Duch młodej szkoły wieje z dzieł Tomasa Carlyle’a; wiele się nam przezeń przypomina rzeczy dawnych, więc jeszcze ścigamy poglądów nowych. Możeby najśluszniej się wyrazić, nazywając idee, zawarte w tych trzydziestu tomach, szarym zmrokiem przejścia z nocy do niedalekiej jutrzeńki.

Przystąpmy do innéj świeżej mogiły...

Waterford 24 maja.

(*Dokończenie nastąpi.*)

¹⁾ „Athenaeum,” nr. 2781, z 12 lutego.

SŁOWIANIE MEKLEMBURSCY
I WALKA STRONNICTWA NIEMIECKIEGO ZE SŁOWIAŃSKIM
PRZY WYBORZE BISKUPA DYECEZYI SZWERYŃSKIEJ.
(1191—1195) *).

PRZEZ

Stanisława Marońskiego.

U Brodzian przy pomocy hercoga saskiego Bernarda, monarchizm przywróconym został; ale za to też książęta ich stali się odtąd powolnymi sługami, a lennikami saskimi i „spokój, jak radośnie oznajmują niemieccy kronikarze ¹⁾, stale zapanował w ziemiach słowiańskich.”

Po wypędzonym Mieczysławie, o którym ze źródeł przynależnych dowiedzieć się nie można, czy powrócił do ojczyzny swój, wymienionym jest następcą Mściwój II ²⁾. Po nim objął rządy syn jego Przybigniew, który później dla przypodobania się Niemcom przybrał imię Udon ³⁾. Gdy jednak tenże nie chciał karku wedle woli duka zanadto pod jarzmo uginać niemieckie, okrzyczano go za „liczego chrześcianiua” ⁴⁾, wskutek czego padł około r. 1045 pod morderczym żelazem saskiego jakiegoś skrytobójcy ⁵⁾. O haniebną tę zbrodni dowiedziawszy się syn jego Goczałk ⁶⁾, który naówczas w klasztorze Ś-to Michalskim w Luniewie (Lunebug) przez mnichów niemieckich w naukach ćwiczo-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za lipiec.

¹⁾ Adam Brem., II, 47, 58, 64, 65, schol., 47, 69. Helmold, I, 15.

²⁾ Adam Brem., II, 64.

³⁾ Przybigniewem zwie go Saxo Grammat., p. 196; Udonem zaś Adam Brem., II, 64 i Helm. I, 19.

⁴⁾ „Male Christianus.“ Tamże.

⁵⁾ Tamże i Saxo Grammat., p. 196.

⁶⁾ Imię „Goczałk” dostał od biskupa Goczałka, przełożonego klasztoru gockiego, wymienionego w Luniewie. Jakiem jego było imię słowiańskie, niewiadomo.

nym był, gwoili wzięcia okrutnej zemsty, opuszcza potajemnie klasztor, a wpadłszy do ziemi niemieckich Nordalbingów, na czele Bardzian przebiegając takową, mordem i pożogą ją trapił. Lecz wychowanie jego niemieckie dawno już było zatruiło jego serce; dlatego „zachwiałwszy się w duszy, mówi Szafarzyk ¹⁾, pobiegił do Danów, gdzie przez jedenaście lat służył im wojskowo.”

Odznaczywszy się tutaj walecznością i bohaterskimi czyny i zaślubiwszy się z Syritą, córką Swena, króla duńskiego ²⁾, wrócił do ojczyzny, gdzie przy pomocy Duńczyków: Bernarda, duka saskiego i Adalberta, arcybiskupa hambursko-bremeńskiego, tron ojców swoich opanował. Żarliwym będąc wyznawcą wiary Chrystusowej, stał się niestety okrutnym ciemiężcą i prześladowcą ludu swojego ³⁾, obstarzającego uporczywie przy czci bogów swoich ojczystych. Wspólnie z co dopiero wymienionym arcybiskupem Adalbertem, zamierzającym utworzyć patryarchat północny, wziął się gorliwie do ponownego zaprowadzenia wypłenionej już prawie do szczętu wiary Zbawiciela. Z dawniejszego biskupstwa starogrodzkiego utworzono trzy nowe biskupstwa, a mianowicie: raciborskie (Ratzeburg) dla Połabian, mikułowskie dla mikułowskich Brodzian i starogrodzkie dla Ukraińców (Wagrów). Pierwszym biskupem mikułowskim został Jan, rodem Szkot. Poczem gorliwie zajęto się nawracaniem Słowian ⁴⁾. Zburzone kościoły i klasztory na nowo wznosić się poczęły; za to palono i niszczone bożyszcza i świątynie pogańskie; mnóstwo księży ciągnęło z Niemiec; sam Goczałk tłómaczył ludowi niezrozumiałe mowy tych dziwnych, bo języka słowiańskiego nie rozumiejących apostołów, na język słowiański ⁵⁾. Lecz niestety, Słowianie znali dotychczas tylko nawracanie mieczem i gwałtami; nawrócony Słowianin, jakeśmy już powiedzieli, to podbity niewolnik, którego chciwy Sas bez miłosierdzia łupił i odzierał. Posłuchajmy, co Niemiec Helmold w tym względzie mówi: „Tenże książę (Bernard saski) tak okrutnie przez swą chciwość gnębił naród Winazłów (t. j. Słowian), że zmusił ich z konieczności do bałwochwalstwa powrócić” ⁶⁾. „Całą chciwością przejęty, takimi podatkami obciążał sąsiednich Słowian, że ci ani o Bogu już nie pamiętali, ani kapłanom w niczem życzliwości nie okazowali” ⁷⁾. „Ztąd poznać można nienasyconą chciwość Sasów, którzy zawsze bardziej są skłonni do powiększania daniny, niż do jednania Boga” ⁸⁾. „Słowianie zbrojną dłonią zrzucili z siebie jarzmo służebnictwa i z taką zaciętością bronili swęj wolności,

¹⁾ II, 653.

²⁾ Adam Brem., III, 18.

³⁾ Adam Brem., II, 75.

⁴⁾ Adam Brem., III, 18, 19.

⁵⁾ Helm., I, 20.

⁶⁾ Tamże, I, 16.

⁷⁾ Tamże, I, 18.

⁸⁾ Tamże, I, 21.

że raczėj woleli umrzeć, niż znowu do chrześcijaństwa się nawrócić, lub daninę książętom saskim opłacać. Tę hańbę zaiste sprowadziła na książąt saskich nieszcześliwa ich chciwość¹⁾. Ale i współczesny kanonik bremeński Adam mówi z boleścią²⁾: „Słyszałem od sumiennego króla duńskiego, że słowiańskie plemiona dawno już mogłyby zostać chrześcianami, gdyby nie chciwość Sasów, którzy zdolniejsi są do wymagania danin, niż do nauczania bałwochwalców.” Dodajmy jeszcze, że chrześcijaństwo, przez Niemców głoszone, Słowianom język i narodowość wydzierało; a dziwić się nie można, że o „Bogu niemieckim”³⁾, jak chrześcijańskiego nazywali Boga, nic słyszeć nie chcieli.

Ztąd też poszło, że żarliwe zabiegi Goczałka nic innego nie wywołały, krom nieubłaganej nienawiści ludu przeciw niemu, która w krwawém powstaniu r. 1066 pod dowództwem Blusa⁴⁾, szwagra Goczałkowego, srodze się dała uczuć zwolennikom Chrystusa i poplecznikom germanizacyi. Do pierwszych, którzy padli ofiarą, należał sam Goczałk, przez własnych zamordowany ziomków w Łączynie (Lentzen)⁵⁾, mieście położoném nad Łącznicą (Lockenitz). Z księży i cudzoziemców, sprowadzonych przez Goczałka, co uciec nie zdołało, padło pod śmiertelnymi razami rozjuszonych Słowian. Domy boże zrabowane, lub w perzynę obrócone, by śladu po nich nie było. W Raciborzu (Ratzeburg)⁶⁾ mnicha Answera i wielu jego towarzyszków ukamienowano. Sam biskup Jan, oprowadzany najprzód po miastach słowiańskich, bity i wyszydzany, ostatecznie w Retrze, owęj stolicy ducho-

1) Helm., I, 25.

2) III, 22.

3) „Deus Teutonicus.” Ebbo, vita S. Otton., III, 1.

4) Domysł Suryna, str. 167, że „Blus” jest przekręceniem spieszczonej formy: Bolesł, Boluś, zdaje mi się być trafném.

5) Miasto to poraz pierwszy wzmiankowaném jest przez kronikarzy przy wypadkach r. 930. Zwaném jest ono: Lunkini, przez Widuk. Corb., I, 36; Annal. Saxo a. a. 930; Lunzin, przez Dytm., I, 6, ed. Wagner; Lunzini, w Calendar. Merseb. Raum. Reg., nr. 119. Najdawniejsza ta piśmiennie nam przekazana forma, wskazuje na pierwotną słowiańską nazwę: Łączyn. Miejsce tak zwanych więczej się znajduje w ziemiach słowiańskich: Łączyn w powiecie Kartuzkim. Adam Brem., III, 49, zlatynizował formę tę w Leontium. Helm., I, 22, mówi: „Leontium, quae alio nomine Lentzin dicitur.” Tak samo Lentzin w Chron. Luneb. Eccard., p. 1351. W Martyrol. coenob. S. Michael Luneb. Raum. Reg., nr. 565: Loncia. Teraźniejsza dalej zgermanizowana forma brzmi: Lentzen.

6) Słowiańskie bór w imionach miejscowych zwykli Niemcy na swoje „burg,” gród, przekręcać. Włościbór=Loasburg, w pow. Złotowski; Myślubór=Mützelburg. Koseg. Cod. Dipl. Pom., str. 572. Górnoślązki Racibórz chcieli, aszkolwiek podaremuie, średniowieczni niemieccy kronikarze na Ratiburg przekształcić. Chron. Polon., u Stenzla, Script. RR. Siles, I, 17, pisze: „terra Ratiburgensia,” duces Ratiburgenses.”

wnęj Słowian, śmierć poniósł męczeńską ¹⁾. Prerażony kanonik bremeński opowiada ²⁾, że „straszny kometa, co się około Wielkiejnocy nieszczęsnego tego roku okazał, był przepowiednią owego okropnego rozlewu krwi chrześcijańskiej.“

Synowie Goczałka, Budziwój, w historyi znany pod imieniem Butue ³⁾ i Henryk, obaj, jak to Adam bremeński powiada ⁴⁾: „na wielką zgubę ojczyzny swojej zrodzeni,“ ucieczką się ratowali, u wrogów własnego rodu szukając pomocy, Budziwój u Sasów, Henryk u Duńczyków ⁵⁾. „Nie ten (Budziwój) będzie nad nami panować, mówili Słowianie; ale Kruk ⁶⁾, syn Gryna. Bo na cóżby nam się zdało, żeśmy, aby uzyskać swobodę, Goczałka zabili, gdyby on miał władzę książęcą odziedziczyć? Toćby on nas jeszcze srodzej uciskał, aniżeli ojciec“ ⁷⁾. Tak więc Słowiańszczyzna, jak słusznie zauważył autor „Opowiadań historycznych“ ⁸⁾, starła z siebie poraż trzeci ⁹⁾ „na szczęście rdzę germańską, na nieszczęście zarazem wszelki ślad Chrystusowej wiary.“

Kruk, Ruńczyk (Rugiańczyk), to olbrzymia postać, pełna rycerskiego męstwa i heroicznej odwagi. Od stóp do głów nawskróś Słowianin, całkiem był przytęp oddany bałwochwalstwu. Dawną potęgę, dawną świetność ojczyzny swojej wskrzesić, nadwątloną cześć bogów ojczystrych w dawniej przywrócić chwale: to było celem jego. I gwoili tego przyszło mu się najpierw rozprawić z Budziwojem. Budziwój, nędzna to figura! By wyżebrać pomoc u Sasów, upadał siebie, własne kałając gniazdo, gdy im ziomeków swoich, jako łotrów przedstawiał ¹⁰⁾. A zyskawszy pomoc, wtargnął do ziemi Ukraińców (Wagrów); lecz pod Błoniem (Plöne) dobiegła go nemezys, gdzie poniósłszy klęskę, życie postradał ¹¹⁾. Kruk zaś oczyściwszy ojczyznę swoją ze zdrajców, nietylko potem saskich duków i wszelakich najezdników wypędził, ale i hardy kark germańskich Stormarów, Dytmarsów i Hoczatów ugiąwszy, pod swoją podbił władzę ¹²⁾. Rozżalony kanonik bremeński winę tego przypisuje niedołężności ówczesnego hercoga saskiego, mówiąc: „Duk nasz Ordulfus napróżno często przeciw Słowianom przez lat dwanaście

¹⁾ Adam Brem., III, 49, 50. Helm., I, 22, 23, 24.

²⁾ Adam Brom., III, 50.

³⁾ Już Frencelius: Etymol. Vand. ap. Westph., II, 4011, mówi: Butuo i. q. Budivojus. Sądzę, że na domysł ten zgodzić się można.

⁴⁾ Adam, III, 50.

⁵⁾ Helm., I, 25.

⁶⁾ Czy to nie forma przekręcona formy: Krześ, Krzesław?

⁷⁾ Helm., I, 25.

⁸⁾ St., I, 35.

⁹⁾ Autor, co dopióro powołany, myli się, utrzymując, że to powtórny był przewrót, I, 35.

¹⁰⁾ Helm., I, 25.

¹¹⁾ Tamże.

¹²⁾ Helm., I, 26.

walcząc, nigdy nie mógł odnieść zwycięstwa, każdą razą od pogan zwalczony, od swoich wysmianym i wyszydzonym jest ¹⁾).

Lat przeszło 30 panował Kruk, dzielny pogromca nieprzyjaciół, co postrachem im będąc, przez swoich wielbiony i czczony był. Wtém przez zdradę Henryka Goczałkowicza, będącego w zмовie z Sławiną, młodą żoną starego Kruka, traci on w r. 1100 z rąk najętego zabójcy życie swoje ²⁾), a państwo jego dostaje się w przemoc zdrajcy-zbrodniarza, zanim lud się jeszcze był dowiedział o gwałtownym zgonie pana swego.

Henryk był to mąż niepospolitych zdolności i rozumu, wielkiej odwagi a bohaterskiego mężstwa, co ożeniwszy się z Sławiną, wspólnicą zbrodni, potężnie zawładnął ziemią słowiańską. Chociaż z imienia uznawał się być wasalem krewniaka swego Magnusa, duka saskiego, był on poważanym u sąsiednich książąt, a zarazem pożądanym im sprzymierzeńcem. Sądząc, że tytuł księcia to za mało dla niego, jako pana rozległego kraju słowiańskiego między Eidorą a Odłą, przybrał tytuł króla słowiańskiego. Pełen dumy a poczucia godności i potęgi swojej, dalekim był od tego, by jak brat jego Budziwój, wsparty na podłości, chodził do obcych książąt zebrać pomocy. Zaiste, mąż ten mógł być się stać wybawcą ojczyzny swojej, trwale w takowej ustalając dla ziomków swoich byt narodowy i polityczny; a mając poza sobą współplemienną Polskę, silne ugruntowawszy władztwo słowiańskie, mógł być na zawsze położyć tamę zalewowi teutońskiemu, na zawsze odeprzeć Niemców z ich natrętnymi roszczeniami do połabskiej Słowiańszczyzny. Lecz niestety! nawpół zduńczony, nawpół zniemczony siostrzeniec Eryka, króla duńskiego, kuzyn Kauuta, księcia szlezwickiego, krewniak, jakeśmy to wspomnieli, Magnusa, hercoga saskiego, odbiegły myśli słowiańskiej, nie miał serca dla ziomków swoich. Nie aby zostać bohaterem narodowym, ale jakby wejść pomiędzy książęta Rzeszy niemieckiej, to zapewne jego było marzeniem. Forytował zatem Niemców, zrzekł się dobrowolnie panowania nad Holzatami, Stormarami i Dytmarsami, a zarliwym stawszy się takowych opiekunem, ziomków swoich rozbrajał, ciężkie na nich nakładał podatki, a patriotów, których wielebny proboszcz z Bozowa imieniem rozbójniczych opryszków (latrunculi) czci, z ziemi ojców swoich wypędział ³⁾).

I ztąd téż obcym był między swoimi, a lud, który uważał, jak Helmold świadczy, że zbliżenie się do Sasów kraj tylko w nieszczęścia płące, oburzony odwrócił się od niego, sądząc, że jak hercogi i grafy, tak i on czysza na ich zagładę ⁴⁾). I znów szeroką łuną buchnęło roku 1105 ogólne powstanie w całej Słowiańszczyźnie nadmorskiej, od Elby aż do Odry. W wiekić liczbie ruszywszy, zbrojne drużyny wkroczyły

¹⁾ Helm., I, 34.

²⁾ Tamże.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże.

do ziemi polabskiej, gdzie w Lubece, stolicy swój, przemieszkował Henryk. Groźne to było niebezpieczeństwo dla niego; ale i Magnus, hercog saski i nordalbingscy Niemcy, poznali, że niemniej ono i dla nich groźnym było. Podążyli zatem Henrykowi z pomocą, a w walnej bitwie na Śmiałowem Polu, w pobliżu Lubeki stoczonej, uległa słowiańskiego ludu siła. Henryk, Słowianin, „zrodzony na zgubę Słowian“, zadał tu cios śmiertelny ludowi swojemu. Klęska na Śmiałowem Polu, to krwawy początek już teraz nieuniknionej zagłady. Złamany, a przerażony lud kornie odtąd wypełniał rozkazy pana swego, nie mącąc mu już spokoju aż do śmierci ¹⁾.

Henryk w r. 1126 umarł, a wieść o śmierci jego, co szybko się rozniosła, napełniła, prawi Helmold ²⁾, ogromną żalostí serca, naturalnie wszystkich, tylko nie własnych jego ziomków. Helmold donosi wprawdzie, że naturalną umarł śmiercią; ale inne świadectwa, jak Kronika Luniburska, dają doźrozumienia, że mord przeciął wątek życia jego ³⁾.

Ze śmiercią jego rozpada się wielkie jego państwo, nie na sile narodowej oparte; ale tylko przemocą i cięženiem ku Niemcom podtrzymywane. Pozostawił on dwóch synów: Kanuta i Świętopełka. Ale w renegackim rodzie Goczałka nie było błogosławieństwa. Kanut w dwa lata później zamordowany, a w rok potém zabija Świętopełka ⁴⁾ skrytobójcza ręka Dasona, jednego z tych Holzatów, którym ojciec Henryk tak serdecznym był opiekunem. Syn zaś Świętopełka, Świętosław, czyli, jak go Niemieccy kronikarze zowią, Zwenko, Zwinike, wkrótce potém ginie w Artenburgu, w pośród szczerých przyjaciół dziada swego, śmiercią również gwałtowną ⁵⁾.

Z rozpadłego teraz państwa, co zostało, opanował Kanut Leward, książę szlezwicki, wzwyż wspomniony kuzyn Henryka. Aby się tu utrzymać, wypłacił znaczną sumę pieniędzy cesarzowi Lotaryuszowi, za co zyskał tegoż opiekę i koronę, ogłoszony przez niego królem Słowian ⁶⁾. Nowy ten, a nieproszony pan, pospieszył niebawem do nowego władztwa swego; naturalnie nie po co innego, tylko aby z biednych poddanych wycisnąć grosz ostatni. I tak udręczony Słowianin musiał teraz nietylko panu swemu wrócić pieniądz cesarzowi dany, ale także próżne jego napełniać jeszcze kieszenie. Lecz nie długo, bo za ledwie rok jeden, trwała ta wzorowa gospodarka tego uczciwca; Magnus bo-

¹⁾ Helm., I, 46.

²⁾ Tamże.

³⁾ *Ocoisus est Henricus rex Slavorum, cujus corpus est delatum Luneburg. Chron. S. Michael Luneb. Raum. Reg., nr. 800. Alb. Stadens.*

⁴⁾ Helmold, I, 48. *Annal. Cracov. vetust. 1122 Zuetopolk dux Odrensis interfectus est. Rok mylny. Odrensis, źle przez kopistów wyczytane zamiast: Obotritensis.*

⁵⁾ Helm., I, 48.

⁶⁾ Helm., I, 49.

wiem, kuzyn jego, królewicz duński, a zięć Bolesława Krzywoustego, zaprosiwszy go w gościnę do siebie, głowę mu rozpiął¹⁾.

Cóż dzieje się teraz w ziemi osieroconej po tym panie? Otóż dwóch naraz występuje pretendentów. Jednym z nich to Przybysław, syn osławionego owego Budziwoja²⁾. Temu udało się opanować Ukrainę i ziemię połabską, obejmującą dzisiejsze księstwa lawenburskie i raciborskie. Przecież już w r. 1139 z ziem tych ustąpić musiał. Pierwszą zagarnął Adolf, chytry hrabia Holzacyi; a drugą zabrał Henryk z Badwidu. Odtąd ziemie te nazawsze dostały się pod jarzmo panów niemieckich. Przybysławowi udzielono z łaski w dożywocie w Ukrainie powiatik starogrodzki, gdzie też w domowym zaciszu, jako osoba prywatna, życie swe zakończył.

Drugim pretendentem był protoplasta teraźniejszych książąt meklemburskich, Mikołaj czyli Nikłot, jeden z możnowładców ziemi mikułowskiej³⁾. Bohater to w całym znaczeniu tego wyrazu, godzien stanąć w rzędzie bohaterów, jakimi starożytni Grecy, jakimi starożytni szczycą się Rzymianie.

Zawładnąwszy ziemią mikułowską, oraz i zachodnią częścią ziemi lutyckiej między Warnową a Pianą, posiadając rodaków ufnosć i przywiązanie podwładnych, jako gorliwy obrońca starego obyczaju słowiańskiego, silnie Nikłot stanął na tronie swoim.

Było to w dzień Matki Boskiej Gromnicznej r. 1147, kiedy śty Bernard na zjeździe książąt niemieckich w Frankfurcie, w obecności cesarza Konrada, wzywał do podjęcia krucyaty przeciw Saracenom w Ziemi Świętej i przeciw bałwochwalcom Słowianom poza Elbą⁴⁾. Gorące a porywające jego słowa, pełne żaru i zapaku, nie pozostały bez skutku. Cesarz bowiem i południowi książęta niemieccy postanowili pójść na Saracenów; saskie zaś hercogi i grafy poprzysięgli, że wyruszą na sąsiedni sobie naród słowiański, z tém budującém postanowieniem, że albo go zmuszą przyjąć chrześcijaństwo, albo do szczytu wytepią⁵⁾. Nikłot, dowiedziawszy się, co się święci, a widząc, że nie-

¹⁾ Helm., I, 50.

²⁾ „Fratruelis Henrici Pribislaus.“ Helm. I, 49. Suryn p. 167 sądzi, że Przybysław był synem Blusa. Wielce się przecież myli; „Fratruelis” oznacza bratanka a nie kuzyna.

³⁾ „Fratruelis Henrici Pribislaus et major Obotritorum Niclotus.“ Helm. I, 49. Jasną zaśm, że Nikłot, nie będąc wcale krewnym Przybysława, nie mógł też synem być Budziwoja, jak to Narusz. IV, 172 twierdzi. Jest więc Nikłot, major terrae, pan, magnat, możnowładca; bratem jego: „Lubemarus quidam veteranus.“ Helm. I, 92. Przodkowie Nikłota całkiem nieznanymi i kończy się na nim rodowód książąt meklemburskich.

⁴⁾ Helm I, 59. Otto Frising. a. a. 1147. Alb. Stadens a. a. 1147.

⁵⁾ Ut vicinam sibi Solavorum gentem paganam aut omnino deherent aut cogerent Christianam fieri. Alberic. a. a. 1150. Alb. Stadens. Helm. I, 59.

bezpieczeństwo groźne, jak groźniejszém być nie mogło, nie czekał na paści, ale niebawem, umocniwszy Dąbin ¹⁾, gród nad jeziorem Szwe-ryńskiem, w pobliżu Wyszomirza (Wismaru) położony, wpadł do Ukrainy (Wagryi), ubiegł Lubekę, gdzie bogaci kupcy niemieccy grubo się jemu musieli opłacić; popalił, poniszczył sioła kolonistów, co dopiero przez hrabiego Adolfa z Westfalii i Fryzyi sprowadzonych, poczem, obławowany zdobyczą, do ziemi swój wrócił ²⁾.

Wieść o tak śmiałym napadzie powarzyła niepomału rycerzów krzyża, którzy nie tak prędko się zebrawszy, po długich przygotowaniach, w miesiącu sierpniu wreszcie ruszyli na wyprawę, już w lutym postanowioną ³⁾. Na czele krucyaty téj stanęli głównie Henryk Lew, książę saski, i Albrecht Niedźwiedź, margraf brodowiński (brandenburski), straszne wrogi Słowian, a najwybitniejsze figury wieku XII-go w dziejach wynarodowienia i wyniszczenia onychże. Byli to zresztą ludzie wcale niepospolici. Obaj mężni, pełni wysokiego rozumu i ambitnych planów i zabiegów, ale téż obaj bez serca, chciwi zdobyczy, i mało co zważający na prawo i ludzkość. O nich to i o cesarzu Fryderyku Rudobrodym śpiewał lud niemiecki:

Byli to trzój panowie tacy,
Coby świat cały przewrócili;
Trzój to byli dzielni junacy,
Co świat przestraczem napełnili ⁴⁾.

W sierpniu więc ruszyło wojsko niemieckich krzyżowców dwoma kolumnami. A na znak, że Słowianie nie tylko Chrystusowi, ale i cesarstwu niemieckiemu podbici być mają, że krom wiary ich pogańskięj i byt ich polityczny przeznaczono na zupełną zagładę, przystroili piersi swoje w symbol krzyża, stojącego na kuli świata ⁵⁾.

Pierwsza kolumna, w sile 40,000 ludzi, prowadzona przez hercoga Konrada z Zähringen, przez Allerta, arcybiskupa bremeńskiego, biskupa werdeńskiego i licznych grafów, wkroczywszy pod wodzą Henryka Lwa do ziemi mikułowskiej, obległa zamek Dąbin. Tutaj nadeszło także silne wojsko Duńczyków, bo i ci chcieli wziąć udział w sławie i w zyskach téj krucyaty. Druga kolumna, licząca 60,000 ludzi, gdzie główną figurą był Albert Niedźwiedź, obok niego Konrad, potężny margraf miszoński, falcgrafy saski i frankoński, Fryderyk, arcybiskup

¹⁾ Helm. I, 62.

²⁾ Helm. I, 43.

³⁾ Tamże I, 65. Annal. Magdeb. a. a. 1147.

⁴⁾ Dat waren drie Heeren,
De kunden de Welt verkehren;
Das waren drei Reken,
Die thäten die Welt erschrecken. Raum. Reg. n. 1381.

⁵⁾ Et hii tali se signabant contra Slavos Karactere ☩. Annal. Stad. a. a. 1147. Ap. Pertz XVI.

magdeburgski ¹⁾, biskupi: halberstadzki, monasterski, merseburgski ²⁾, brodowiński, hawelberski i inni panowie, wszedłszy nieomal równocześnie do ziemi owej, osaczyła twierdzę Dąbin (Demmin) nad Pianą ³⁾.

A Nikłot co? Nikłot ani się uląkł „junaków,” ani dał sobie przez nich kraju swego „przewrócić.” Zwołałszy lud swój waleczny pod broń, opatrzywszy grody wszystkie jaknajpilniej, groźnie, jak lew, stawił się bezmiernie liczniejszej przemocy najeźdźców. Dąbin szereg zwycięstw rozpoczął. Wycieczka, którą oblężeni przeciwko Duńczykom podjęli, szczęśliwie wypadła. Duńczycy sromotną ponieśli klęskę, a na dobitkę nadeszła wiadomość, że ruńscy (rugiańscy) Słowianie flotę ich napadłszy, część takowej zabrali ⁴⁾. Rozdrażnieni, widząc, że ich Niemcy zdradzili, którzy przez Nikłota przekupieni ⁵⁾, w pomoc nie przybyli, wynieśli się na pozostałe im jeszcze okręty, poczem do domu odplynęli ⁶⁾.

Ale i wojska niemieckie, od stóp do głowy w żelazo okute, chociaż pod ich nogami, jak to kronikarz głosi ⁷⁾, ziemia mikułowska zadrzęta, wcale niepocieszny przedstawiały widok. W biednym, spustoszonej kraju wnet im się uczuć dał niedostatek żywności; choroby się pojawiały; błakając po bezdrożach, wśród błót, moczarów i lesistych trzęsawisk, ginęli krzyżowcy od razów znienacka napadających Słowian, którzy ciągłymi podjazdami ich szarpiąc, ciągłą trwogą otaczając, nie dali im spokoju ⁸⁾. Opat Wibald, który był w obozie pod Dą-

¹⁾ Sądzę, że „Magdeburg” jest przekręceniem słowiańskiej formy „Międzybórz.” Analogią znajduję w „Magdeborn,” wiosce w królestwie saskiem położonej, która się dawniej „Medeburn” zwała (Castellum quod Medeburn vocatur. Annal. Saxo a. a. 970). Już Bogufał, p. 22, a za nim Długosz I, 67 mówią, że Magdeburg dawniej Międzybórzem się zwał. „Dziewin” jest przetłómaczeniem zgiermanizowanej formy: Magdeburg (Magddziewka) i wymysłem czeskich uczonych. Porów. Szafarzyk II, 644.

²⁾ Merseburg wykazuje w najdawniejszych odnośnych źródłach formę: Mesebur (Raum. Reg. II, 6. Charte nr. II). Oczywiście, że owo s, które Niemiec jak nasze z wymawia, zastępuje graficznie syczącą dz. Brzmiała zatem pierwotna forma: Międzybórz. Zgadza się na to również Szafarzyk II, 648.

³⁾ Annal. Magd. a. a. 1147. Abbas Cinnens. Chron. Petershusan. (Germ. sac. prodr. I, 384. Annal. Palidons. a. a. 1147. Annal. Stad. a. a. 1147. Helm. I, 62, 65. Chron. reg. Pantal. a. a. 1148.

⁴⁾ Helm. I, 65. Saxo Gramat. p. 398.

⁵⁾ Teutonici, accepta pecunia, vendiderunt Danos coeptoque proelio se subtrahentes, multa millia Danorum occidit Slavorum gladius. Anselm. Gemblac. a. a. 1148.

⁶⁾ Helm. I, 65. Saxo grammat. XIV.

⁷⁾ „maximo apparatu et comaeatu et mirabili devotione... tota terra a facie eorum contremuit.” Annal. Magd. a. a. 1147.

⁸⁾ Chron. Petersh. Germ. sac. prodr. I, 384.

binem, pisze do braci swoich zakonników w Korbei ¹⁾: „Wśród tylu niebezpieczeństw, na któreśmy dzień i noc wystawieni byli podczas wyprawy przeciw bałwochwalcom za Elbą, szczęśliwi jesteśmy, żeśmy z życiem bez szwanku uszli.”

Prócz tego tak pomiędzy dowódcami jak i żołnierstwem sromotna panowała demoralizacya. Przekupstwo ²⁾, zacięte klótnie ³⁾ o zdobytcz, której, jak kronikarz powiada ⁴⁾, wcale jeszcze nie mieli, brak karnośći w wojsku, gdzie żołnierz to gromadnie, to cichaczem z obozu się wynosił ⁵⁾, były przyczyną, że wszelakie wysiłki błahemi, mizernemi i bezskutecznemi pozostały.

Poznawszy to obaj owi „junacy,” Henryk Lew i Albert Niedźwiedź, poczęli przemyślać, jakby się z honorem wycofać. Przekładając więc sobie, że to właściwie rzeczą jest przewrotną wojnę tę prowadzić, „boć, mówią, lud, który podbijamy, jest naszym ludem, dla czegoż mamy być przeciw sobie, jakoby nieprzyjacielem i własne niszczyć korzyści“ ⁶⁾. A mądry Niklot, którego, jak świadczy kronikarz ⁷⁾, nie męztwo nieprzyjaciół, ale duch Boży ku zgodzie nakłonił, dowiedziawszy się o tak niespodziewanie ludzkiem usposobieniu zaniej owęj szajki, śmiał się z przezornych argumentów wrogów swoich. Ale zauważywszy, że to cofającemu się nieprzyjacielowi złote trzeba stawiać mosty, dał im, byleby ich się pozbyć z karku, przyrzeczenie, że wypuści jeńców na wolność, i że lud jego przyjmie wiarę chrześcijańską ⁸⁾. Kontenci z przyrzeczenia takiego, wrócili Krzyżacy z kąd przyszli. Współcześni zaś kronikarze, pełni żalu, jednym chórem biadają: „Otóż patrzcie, jak to na niczem spełzła szumna a dumna ta wyprawa” ⁹⁾.

Niklot zaś wydał z pomiędzy jeńców tylko chorych i kaleki, o przyjęciu chrześcijaństwa zaś ani on ani lud nie myślał ¹⁰⁾. Ale inaczej myślał arcybiskup bremeński, na seryo biorąc owe przyrzeczenie. Posłał zatem biskupa Emmeharda do mikułowskiego grodu, przed

¹⁾ Martene Durand. Coll. 2, 221.

²⁾ Zob. str. 210 uw. 5: Teutonici, accepta pecunia...

³⁾ Principibus inter se discordantibus. Otto Frising. Vit. Fridrici, p. 432 ap. Uratis, I. „Sane quid infausti contineat discordia, vel hinc datur intelligi.“ Annal. Palid. a. a. 1147.

⁴⁾ „quas necdum obtinuerant.“ Annal. Palid. a. a. 1147.

⁵⁾ „res undique turbantes, ordine neglecto... castrisque relictis discesserunt. Ibid.

⁶⁾ Helm. I, 65.

⁷⁾ „Operante Deo qui non fortitudine virorum sed propria virtute subjugat adversarios.“ Annal. Palid. a. a. 1147.

⁸⁾ Helm. I, 65.

⁹⁾ Helm. I, 65. Chron. Petersh. Germ. sac. prodr. I, 384. Annal. Stad. a. a. 1147. Wibald ap. Martene Durand Coll. II, 312.

¹⁰⁾ Helm. I, 65. Annal. Stad. a. a. 1147.

laty 80 stolicy biskupiej, by szczepił winnicę Pańską, w kraju nędzy i głodu,“ jak to Helmold prawi, „gdzie była stolica szatana i siedlisko wszelakiego nieczystego ducha ¹⁾.“ Lecz Emmehard nie miał powodzenia; praca jego bezowocna, bez żadnych pozostała skutków. Jest tradycja, że śmierć męczeńską poniósł. A chociaż takowa, jak się zdaje, z prawdą się mija, pewną jednak jest rzeczą, że niedługo w mikułowskiej pobawił ziemi ²⁾).

Dziesięć minęło lat, a żadnego tam nie było starania o chrześcijaństwo. Ale w tym czasie Henryk Lew, wysoko nader stanąwszy ponad książętami Rzeszy, w ogromną wzrósł potęgę, tak w cesarstwie jak poza cesarstwem; a czując się silnym dosyć, zaczął w obec Nikłota występować, jako pan zwierzchni! Dlatego też król duński, Walde-
mar, gdy Nikłot najazdami licznymi niepokoił kraj jego, udał się do Henryka, rzekomo tegoż zwierzchnika, z prośbą, by napadom tym koniec położył. Prośba ta tém łatwiej pożądaną wywarła skutek, iż parta była znaczną sumą pieniędzy, chciwemu Henrykowi ofiarowaną ³⁾. Ten jednakowoż w tym właśnie czasie, w r. 1159 wybierał się z cesarzem na wyprawę do Włoch, nie mógł zatem nic innego uczynić, jak tylko wezwać Nikłota, aby podczas jego niebytności, tak Duńczykom jak i kolonistom niemieckim dał spokój.

Lecz zaledwie Henryk był poza Alpami, aliści zbrojne drużyny słowiańskie śpieszą, by niszczyć siedziby kolonistów i pustoszyć ziemie duńskie ⁴⁾. Henryk, powróciwszy w roku następnym, gdy się o tém dowiedział, urażony do żywego, z licznym wpadła wojskiem do ziemi mikułowskiej. Nikłot, nie przygotowany na odparcie, widząc przeważną siłę nieprzyjaciela, spalił grody mniej obwarowane, a oparłszy się na silnym zamku Orle (Werle), ciągłemi podjazdami wroga niepokoił.

Razu jednego, gdy z takiego podjazdu synowie jego: Przybysław i Wrócisław, ucieczką się ratując, ze stratą wrócili, rozgniewany bohaterski ojciec, temi zgromił synów słowy: „Myślałem, żom mężów wychował, tymczasem hyżej oni niż baby uciekać potrafią” ⁵⁾. Poczém sam z kilkoma dzielnymi rycerzami ruszył na wroga; lecz, wpadłszy w zasadzkę, w rozpaczliwej obronie poległ śmiercią walecznych ⁶⁾.

Taki był koniec dzielnego tego Słowianina, co miał rozum, serce, i wolę po temu, by stać się ludu swego wybawcą, gdyby mu był los lepiej sprzyjał.

Henryk, przez śmierć męża tego, stawszy się panem całego jego

¹⁾ Helm. I, 69.

²⁾ Buchholz, Mehl. Gesch. p. 718. Hederichs Bischöfl. Historie w Gerdessa: Nützliche Sammlung. p. 381.

³⁾ Helm. I, 86.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Helm. I, 87.

⁶⁾ Tamże.

państwa, rozdzielił takowe niebawem pomiędzy swych niemieckich wasalów, z których najprzedniejszego Guncelina, hrabią ziemi szweryńskiej ustanowił, owego Guncelina „dzikie a krwiożerczę zwierzę,” co się nie wzdrygnął ohydny wydać rozkaz, by każdego Słowianina, idącego bocznemi ścieżkami, a nie prostą drogą, na najbliższem powiesić drzewie ¹⁾. Synom zgasłego bohatera, jakoby z łaski i miłosierdzia, oddał Henryk zamek Orle z ziemią Kiszyńską i Nadpieniańską, mniej więcej piątą część dziedzictwa ojcowego ²⁾.

Nie długo przecież kontentowali się oni tym datkiem, bo w roku 1163 na dobre już się krzątali, by rozpocząć na nowo walkę ku oswobodzeniu kraju swego rodzinnego. Henryk, uwiadomiony o tém przez Guncelina, wpada ze znaczną siłą w ich dzierżawy i potężnym wojskiem oblega twierdzę Orle, w której się Wróciśław z częścią rycerstwa słowiańskiego był zamknął. Przybysław zaś śmiało i skutecznie podjazdy szarpał i niepokoił najeźdźników. Lecz było to nadaremnie. Po rozpaczliwej obronie musiał się Wróciśław poddać; uczynił jednakowoż to tylko pod tym warunkiem, że tak jemu, jak całąż zakładze całość życia poręczoną została. Mimo to wysłał wiarołomny Henryk tak jego, jak przedniejszych panów załogi, okutych w kajdany, do Brunświku, gdzie do więzienia wtrąceni zostali. Przybysław, mąż czynu i niepospolitej odwagi ³⁾, nieustraszony tém niepowodzeniem, dalej prowadził wojnę podjazdową, tak, iż Henryk ostatecznie widział się zniewolonym, rozejm z nim zawrzeć ⁴⁾.

Po upływie roku, Przybysław wstępny bojem nową rozpoczął walkę. Znał go do jęj podjęcia głównie brat Wróciśław. Ten bowiem sądził, że tylko rozpaczliwa walka wolność przywrócić mu może. Przybysław wyciąwszy w pień załogę niemiecką w Mikułowie, która się poddać nie chciała, ruszył na Kucin i Małachowę, zamki przez Niemców zajęte. Wziewawszy tychże do poddania, obiecał im całość życia i mienia, a nawet ofiarował im zbrojną eskortę aż poza Elbę. Niemcy, by się jeno cało wynieść mogli, zaufali słowom Przybysława, które, gdy się poddali, wcale ich nie zawiodły. Pogański Słowianin umiał dotrzymać słowa, czego chrześcijański Niemiec Henryk, w nikczemności charakteru swego uczynić nie mógł ⁵⁾.

Na wieść o tych wypadkach ściągnął księżę Henryk z wszystkich stron wojska podwładnych sobie grafów, połączył się z królem duńskim Woldemarem i margrafem Albrechtem Niedźwiedziem, poczem zemstą dysząc, ruszył na Przybysława. A skoro srogi ten wróg na ziemi stanął słowiańskiej, pierwszym jego było czynem, iż Wróciśława i resztę jeńców słowiańskich, których ze sobą z Brunświku zabrał, sro-

¹⁾ Helm. II, 14.

²⁾ Helm. I, 87.

³⁾ „acris ingenii.” Helm. I, 92.

⁴⁾ Tamże.

⁵⁾ Helm. II, 2, 3.

motnie powiesić kazał. Przybysław cofnął się ku Dąbinowi (Demnin). Tutaj, odebrawszy posiłki od pokrewnych sobie książąt pomorskich, Kazimierza i Bogusława, z początku zwyciężkie staczał boje, w których Adolf, hrabia holzacki i tępiciel Słowian w Ukrainie (Wagryi), życie swoje postradał. Ostatecznie jednak okropną poniósłszy klęskę, schronić się musiał do ziemi pomorskiej, ziemię swoją rodzinną na państwę obcemu pozostawiając najezdnikowi ¹⁾.

I znów mord i pożoga, jakoby jedną płachtą, pokryła ziemię tę od końca do końca. A podczas, gdy Henryk w aktach urzędowych chełpliwie, a nieludzko dzieło swoje zniszczenia rozgłasza, mianując ziemię połabską miejscem „zgrozy i okropnej pustyni” ²⁾; szanowny Helmold najobojetniej zapisuje, że „cała ta ziemia jedną stała się pustynią, boć Pan Najwyższy sprzyjał naturalnie naszemu arcypobożnemu księciu, prawicę jego błogosławiąc” ³⁾. Zdeptane i zgniecione, prawi on dalej ⁴⁾, zostały siły Słowian, co się już teraz nie ważyli ani piśnąć ze strachu przed dukiem” ⁵⁾.

Aleć i duk jeno był człowiekiem, zależnym od innych ludzi, okoliczności i losu, „a w rzeczach ziemskich, jak to roztropnie Helmold zauważył ⁶⁾, niema nic trwałego.” Doznał tego i duk. Potężny ten, jakeśmy to już powiedzieli mąż, pozerany dumą i ambicyą, nie miał miru; a, party jakowąż siłą demoniczną, na coraz wyższe piął się szczeble. Na nieszczęście swoje miał on dwóch sąsiadów, mężów równie niepospolitych i ambitnych. Byli to: Wichman, arcybiskup magdeburgski i Albrecht Niedźwiedź, którym wielka jego potęga i bezmierna buta nieznosną była. Około nich czepiła się cała plejada duchownych i świeckich panów, których dumnie a bezwzględnie zwykł był Henryk traktować. Ci więc przyszli ostatecznie do przekonania, że Henryk to wcale niewielki człowiek, że to tylko chciwiec, sknera, zdzierca, pyszałek, wiarołomca, którego ambitnym zamiarom tamę położyć, a władzę jego ukrócić trzeba ⁷⁾. I w tym też celu spiknęli się oni wszyscy r. 1166 na Henryka ⁸⁾. Intryga ta ocalała Przybysława, owego, z ojcowizny swój wypędzonego, tułacza. Henryk bowiem, widząc nieuniknioną z wrogami swymi walkę,

¹⁾ Helm. II, 4.

²⁾ „...ita tam ut perfidorum servitia colla in nostris temporibus ferro conterere crebrius etiam destiterimus ac tributum ob ipsorum nequitiam multo super priora adauximus.” Dok. Henryka Lwa z r. 1158 ap. Klüver I, 348. „...in loco horroris et vaste solitudinis.” Dok. Henr. Lwa z r. 1171 ap. Lisch. Mehl. Urk. III, 24.

³⁾ Helm. II, 5.

⁴⁾ Tamże II, 5.

⁵⁾ Tamże II, 6.

⁶⁾ Tamże II, 7.

⁷⁾ Tamże II, 7.

⁸⁾ Tamże II, 7.

szukając sprzymierzeńców, i na Słowianach oprzeć się postanowił. Zwrócił zatem Przybysławowi nieomal całe dziedzictwo ojca jego, ziemię Szweryńską tylko hrabiemu Guuncelinowi pozostawiając. Od tego czasu przestaje Przybysław być owym walecznym a zagorzałym, chociaż nieszczęśliwym obrońcą wolności słowiańskiej, a żeniąc syna swego Burzywoja ¹⁾ z Matyldą, córką Henryka Lwa, uznał tegoż lennym panem swoim, szczerze przywiązanym odtąd aż do śmierci, stawszy się jego zwolennikiem ²⁾.

Ale z tego też poszło, że teraz wiara Chrystusowa, już nie tak ogniem a mieczem, jak słowami miru i chrześcijańskiej miłości krzewiona, z lepszym jak dotąd skutkiem, zapuścić mogła korzenie pomiędzy lud słowiański. Już zaraz po śmierci Nikłota, Henryk przystąpił był do ponownego a należytego ufundowania biskupstwa w Mikułowie. Gdy jednak wrzawa wojenna, rozruchy i niepokoje ze strony Słowian nie były ustały, przeniósł on niezdługo potem stolicę biskupią dla „barbarzyństwa pogan” ³⁾, jak to dokument dotacyjny zapisuje, do Szweryna ⁴⁾, odkąd biskupstwo, dawniej mikułowskie, nazwę świerzynskiego przybrało. Na stolicy zaś tej biskupięj osadzonym został cysters Bernon.

¹⁾ Arnold Lubec. III, 4. Annal. Stad. a. a. 1164. Tutaj mylnie Burzywój zwany jest synem Wróciśławia. Imię „Burzywój” w słowiańskiej tej formie nie znajduje się ani w kronikach, ani dokumentach, tylko zgermanizowane lub zlatynizowane formy się tam ukazują, jak: Borvinus (Arnold. Lubec. III, 305; Lisch. III, 65), Borewin (Lisch. II, 15), Burwinus (Lisch. II, 1), Burewūnos (sic) (Diplomat. Doberan. ap. Westph. III, n. 5). Sądzę jednakowoż, że pierwotną postacią imienia tego jest: Burzywój. Zakończenie bowiem imion osobowych: win nie jest słowiańskim, lecz germańskim: Alwin, Baldewin, Erwin, Edwin. Przez podobieństwo więc brzmienia woj i win, porzucili Niemcy niezrozumiałe im wój, zastępując je swojskiem win. Tak samo postąpili sobie, przekręcając Mściwój na Mestwin.

²⁾ Helm. II, 7. Prwn. Heinemann, Albrecht der Bär, 1864, p. 250.

³⁾ Dok. Henryka Lwa z r. 1167 ap. Klöver I, 357. Arnold. Lubec. IV, 24.

⁴⁾ Jakąby była pierwotna nazwa grodu tego, trudno dociec. Najdawniejsza forma u Dytmara VIII, 4 jest: Zuarina. Maresch. Thur. ap. Westpl. I, 40 zamarzył o Ptolomeuszowskich Swardonach, inni zaś o Warynach, mówiąc, że owe leges Werinorum z V-go wieku właściwie zwać się winny leges Sadinorum. Bajki wierutne! Lepsze jest wyprowadzenie Kosegartena, Codex Dipl. Pom. p. 69 od „zwierza.” Lecz i to bardzo jest wątpliwe. Nie znajdujemy bowiem w tym względzie żadnych analogii. Nie „Zwierzyn,” ale „Zwierzyniec” zowią się liczne miejscowości w pow.: Wieluńskim, Chełmskim, Krakowskim, Międzychodzkiem; Zwirnitz w Pomeranii. Miasto Schwerrin w W. Ks. Poznańskim, z niemiecka tak zwane, zowią Polacy „Skwierzyną.” Czy ta forma była pierwotną formą naszego mikułowskiego Szweryna, trudno dociec. Może nazwa ta stoi w związku z bóstwem: Swarzy o?!

Tutaj niech wolno mi będzie przytoczyć dziwny pomysł, na który Henryk wpadł był w celu propagowania wiary Chrystusowej. Otóż, aby Słowianie jak najczęściej spoglądali na znamię Zbawiciela, na krzyż, rozkazał piekarzom powyższej dyecezyi, aby chleb nieinaczéj, jak w formie krzyża wypiekali. Zwyczaj takiego pieczenia, jeszcze w przeszłym wieku w Wyszomirzu (Wismar) i innych miastach księstwa mikułowskiego był w użyciu. Aleć naturalnie ten rodzaj apostołowania na nicby się nie przydał, gdyby nie było skrzętnych a szczerých zabiegów Przybysława, i gdyby nie było gorliwéj a pełnéj poświęcenia pracy w winnicy Pańskiéj biskupa Bernona. Ich to wspólne starania miały skutek, że winnica Chrystusowa pomyślnie się rozkrzewiać poczęła. Niszczono cześć dawnych pogańskich bogów, stawiano kościoły, zakładano klasztory, które odznaczały się równie zaprowadzeniem nabożnéj praktyki i podniesieniem rolnictwa, jako téż niestety niechęcią ku rodzinnéj ludności słowiańskiéj i fatalną pożądlivością giermanizowania téjże. „Wykonywali oni pracę giermanizatorską w cichéj wierności i z starosaską wytrwałością,” mówi niezarumieniwszy się Winter w swojéj historii Cystersów ¹⁾.

Dycezya powyższa w r. 1170, na mocy dokumentu cesarza Fryderyka Rudobrodęgo ²⁾ uregulowaną co do granic swoich została. Sięgały one od jeziora szweryńskiego aż do rzeki Piany i Bałtyku i znów od Bałtyku aż do źródeł Hawoli i jeziora Morzyckiego. Objęte było temi granicami całe państwo Przybysława, składające się z ziemi mikułowskiej, kiszynskiej i warnowskiej; dalej ziemia trzebska ³⁾, na północ Piany książętom ruńskim podlegająca ziemia Doleńców, która pod władzą pomorskich książąt pozostawała. Z hrabstwa szweryńskiego, należącego do Guncelina, mały tylko skrawek około miasta Szweryna, stolicy hrabiego i biskupstwa, wchodził w skład dyecezyi biskupa Bernona.

Tenże Berno zakończył r. 1191 ⁴⁾ pełne zasług, również nabożne jak cnotliwe swe życie. Chodziło o następcę. Kapituła obiera proboszcza katedralnego, Niemca. Temu opiera się szlachta słowiańska, postulując na stolicę biskupią dziekana katedralnego Brunwarda, ziomka swego, który, jak to antycypando dodaje, w sprawie téj ostatecznie nad przeciwnikiem swoim odniósł zwycięstwo. Wiadomość owę, bez

¹⁾ Geschichte der Cisterzienser des nordöstlichen Deutschlands.

²⁾ Lisch. Mekl. Urk. III, 19—21.

³⁾ Po niem. Triebsees. Treboses, bula z r. 1140. Koseg. 36. Tribusses; dok. z r. 1136. Tam. 32. Tribuzes, dok. z r. 1170. Lisch. III, 21. Wyprowadza się od trzebić, miejsce z lasów wytrzebione. Analogie: Trzebech w pow. Chełmińskim, Trzebeszów w Czechach; Trzebice w pow. Wschowskim; Trzebiecierz w Kaliskiem; Trzebiszewo w pow. międzychodzkiem. Curiosum niemieckie: „Tribsess a tributo Cacsaris.” Maresch. Thuri. ap. Westphal. II, 1580.

⁴⁾ Lisch. Mekl. Urk. III. 511.

podania przecież imienia kandydata kapitulnego, przynosi wyciąg z oryginalnego dokumentu, na mocy którego spór powyższy załatwionym został, a który to wyciąg sporządził sekretarz książęcy Daniel Klandryan w XVII-tym wieku w Szwerynie ¹⁾. Ze kandydatem kapitulnym wzwyż wspomniony proboszcz był, wykrył w nowszych czasach z dokumentów archiwaryusz Lappenberg w Hamburgu ²⁾.

A teraz przystąpmy do zapoznania się bliższego z osobistościami, o które walka się toczyła wyborcza, a mianowicie z jakiego rodzaju, jakiego byli pochodzenia.

Z góry nam przecież przychodzi wyznać, że źródła, do wyświecenia punktu tego, mianowicie co się niemieckiego dotyczy kandydata, bardzo są skąpe i niedostateczne, i aby takowe uzupełnić, trzeba nam uciec się do kombinacji. Toć i kombinacje mają w historii swoje uprawnienia, jeżeli takowe wypływają z naturalnego związku stosunków i okoliczności.

O Hermanie sądzi Lisch ³⁾, książęcy archiwaryusz w Szwerynie, znakomity badacz i znawca historii mikułowskiej, że pochodził z hrabiów szweryńskich. Domysł ten, wedle mego zdania, bynajmniej się z prawdą nie mija. Rodziny bowiem niemieckie, książęce i hrabiowskie, ubiegały się w owym czasie o to, by z pomiędzy nich obsadzone były stolice biskupie. Boć stanowisko książęce biskupów, połączone z książęcami dochodami, uwalniało często niejednego księcia lub hrabiego od kłopotu dania temu lub owemu z synów swoich, mianowicie jeśli ich miał sporą liczbę odpowiedniej pozycji.

Zasadą tą kierowała się też i rodzina hrabiów szweryńskich; bo z 4 synów, pierwszego hrabiego na Szwerynie, Guncelina, najmłodszy, wstąpiwszy do stanu duchownego, po śmierci Brunwarda, dostąpił arcybiskupstwa w Szwerynie. Sądzić zatem poniekąd wolno, że już dawniej rodzina ta także miała pomiędzy sobą członków, aspirujących do wyższych dostojów kościelnych, i że do takowych policzyć nam Hermana wypada. Aleć i pewniejsze mamy wskazówki, uzasadniające domysł ten. Otóż w akcie urzędowym, około r. 1173 ⁴⁾ wystawionym, mocą którego biskup Bernon Cystersom w Draguniu (Dargun) z pewnych wsi dziesięcinę przekazuje, są jako świadkowie kanonicy szweryńscy wymienieni, lecz niema między nimi Hermana, a ponieważ tenże później pierwszym jest prałatem kapituły, której członkami równocześnie owi jeszcze są kanonicy, wnioskować wolno, że z inną diecezję na miejsce to powołanym został. Lecz za czyjąby się to sprawą łatwiej stać mogło, jeżeli nie za sprawą grafa niemieckiego Guncelina, w którego rezydencji katedra i kapituła miała swe umieszczenie, a który był ulubieńcem potężnego wówczas jeszcze Hen-

¹⁾ Lisch. Mehl. Urk. III, 511.

²⁾ Tamże p. 52.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże I, 7.

ryka Lwa. Herman, gdy go mitra minęła, przeniósł się, jak poniżej zobaczymy, na probostwo katedralne do Hamburga. A uczynił on to zapewne dlatego, że, gdy już jako electus urzędownie występował, a następnie kłeskę poniósł, nie tak może jemu, jak raczej Guncelinowi nieznośnem się wydawało, żeby krewniak miał mieć przełożonym swoim przeciwnika swego, a do tego Słowianina. Ale i Brunwardowi tranzlokacya owa bardzo pożądaną była, gdyż zależeć mu na tém musiało, by w przyjaźnych z hrabią żył stosunkach, coby obecność Hermana, przypominająca nieprzyjemny wypadek, niepomątu utrudniała.

Ależ i następujący wypadek zdaje się za powyższą przemawiać hipotezą. W roku 1222 wrócił wówczas panujący hrabia szweryński Henryk I, syn Guncelina, z pielgrzymki z Jerozolimy. Nabożny ten pan dostał tamże w podarunku od kardynała Palagiusza kilka kropel krwi Chrystusowej, które złożył w darze kościołowi katedralnemu w Szwerynie. Relikwią tę przeniósł biskup w Wielki Czwartek, w dniu 31 marca 1222 r. ¹⁾ z jaknajwiększą okazałością, otoczony wysokimi dostojnikami, tak duchownymi jak świeckimi, wśród pobożnych śpiewów licznie zgromadzonego ludu, wśród bicia dzwonów, w uroczystej procesyi z zamku hrabiowskiego do katedry. Pomiedzy dygnitarzami duchownymi znajdowali się delegaci biskupstw sąsiednich. Przede wszystkim jednakowoż wypadało, żeby arcybiskup hambursko-bremeński, jako metropolita, również przy tak ważnym akcie był reprezentowany. A ponieważ on w Bremie rezydował, spodziewały się można było, że proboszczowi kapituły bremeńskiej tak zaszczytną poruczy misyą. Tymczasem nie tego, ale proboszcza kapituły hamburskiej, byłego elekta Hermana w orszaku Brunwarda widzimy ²⁾. A stało się to zapewne dlatego, iż Hermana było życzeniem, by przy tej sposobności odwiedził zarazem i krewnych swoich hrabiów szweryńskich. Jakiemby to było pokrewieństwo, trudno dociec. To tylko pewnem jest, że synem Guncelina nie był. Potomstwo bowiem tego dowodnie jest znanem, a nigdzie najmniejszego nie ma śladu, żeby i Hermana do takowego liczono.

Przejdźmy do Brunwarda. Ten zostawszy w roku 1195 arcybiskupem, niemal 44 lat zasiadał na stolicy biskupiej. Ponieważ już w r. 1173, to jest lat 65 przed swoją śmiercią, w powyżej wymienionym dokumencie biskupa Bernona dla Cystersów w Draguniu wystawionym, między świadkami jako najmłodszy występuje kanonik ³⁾; przyjąć zatem wypada, że w młodym bardzo wieku i to zapewne zaraz po wyświęceniu na kapłana, wstąpił do grona kanoników szweryńskich. To zaś dowodzi, że z wysokiego pochodzić musiał rodu: jeżeli nie z ksią-

¹⁾ Lisch., III, 72—74.

²⁾ Tamże.

³⁾ „Canonici de Zuerin: Magister Haribertus, Remigius, Berno, Brunwardus.” Lisch. I, 7.

żęcego, to z pewnością z rodu przedniejszych możnowładców. Tęgoż zdania jest Hederichs, który nadmienia ¹⁾, że Brunward z przestawniej pochodził możnowładnej familii, obiecując zarazem, że później nad tem się rozwiedzie, do którejby on mógł należeć rodziny. Obietnicy jednakowoż nie dotrzymał. Tymczasem wykazał uczony Lisch ²⁾, że był on blizkim krewnym słynnego i znakomitego wielce możnowładcy słowiańskiego Detlafa z Chociborza (Gadebusch ³⁾), grodu nad rzeką Radgoszczą w Meklemburgii położonego. Tęgoż pochodzenie słowiańskie wątpliwem czynić nie może niemieckie jego imię. Od czasu kiedy Chrześcijaństwo między Słowiany wchodzić poczęło, a teutonizm się narzucał, imiona biblijne, a jeszcze bardziej narodowe, niemieckie rugować poczęły imiona słowiańskie. Szczególniej duchowieństwo niemieckie, które gdzie się jeno dało, jak najskwapliwiej otwierało śluzę zalewowi teutońskiemu, parło w tym kierunku, żeby słowiańskie imiona, rzekomo pogańskie, z życia usuniętymi zostały. A nie pomne ono na to było, iż Niemcy, nie tylko świeckiego ale i duchownego stanu nie tak biblijne, jak głównie narodowe, niemieckie mieli imiona, które w przeważnej części nie będąc imionami patronów świętych, pogańską również na sobie nosiły cechę. Lecz otóż i przykład. W dokumencie Izfryda biskupa raciborskiego z roku 1194 ⁴⁾, na trzynaście imion kanoników raciborskich, tylko jedno imię biblijne,

¹⁾ Bischöf., Historie ap. Gerdes, p. 410.

²⁾ Mekl. Jahrb., XIV, p. 83—94.

³⁾ Dzisiejsze „Gadebusch“ jest bezwątpienia przekształceniem formy: „Chocibórz.“ W starych kronikach i dokumentach pisano: Kothebus, Dypl. cesarza Karola IV z r. 1348, ap. Westph. II, r. 1348; Godebuz, dok. z roku 1219. Lisch. III, 64; Godebusch, Arnold Lubac. II, 33, ed. Bangert.; Godebuz u tęgoż wedl. wyd. Lappenberga, II, 20. Gród ten leży nad rzeką, która w górnym swym biegu Radgoszczą (Radegast) się zwie i która imię to wzięła od wsi „Radgoszcz“ (Radegast) nad nią położonej. Z imion tych: „Gadebusch i Radegast,“ Niemcy następującą utworzyli bajkę mitologiczną: „Gadebusch, jakoby złożone imię z Gott=Bóg i Busch=gaj—ma znaczyć: gaj Boży, lucus Dei, deastri silva. W tym zaś świętym gaju miała stać świątynia Radegasta. Por. Bangert. ad Helmold, p. 126. Klüver II, 195, I, 260. Westph. I, 51. Tenże Westphalen powiada nadto, że r. 1151 Niklot z Adolfelem świątynią ową w „Gadebuschu“ zburzyli. Bajki wierutne! Zajrzawszy do źródła (jest nim Helmold, I, 71) nic takowego nie znajdujemy. Ten bowiem tylko donosi, że owi dwaj książęta, najechawszy ziemię Kiszani i Nadpianów, tamże „fanum celeberrimum cum idolis et omni superstitione“ zburzyli. Ziemia zaś Kiszanów leży na wschodnich, podczas gdy ziemia Chociborska na zachodnich leży krańcach ziemi meklemburskiej. Wskazałem na takowe mitologiczne urojenia i dlatego, iż również wielu nowoczesnych naszych mitologów, z swemi mglistymi bożkami, na skrzydłach bujnej wyobraźni unosząc się w krainie marzeń, niestworzone prawią dziwy.

⁴⁾ Dipl. Raceb., ap. Westph., II, n. 20.

Filipa, czytamy, reszta to same niebiblijne imiona jak: Harthbertus, Fredelevus, Wigerus, Hardevicus, Gerardus i t. d. Owemu nowemu zwyczajowi poddać się musieli przedewszystkiem ci Słowianie, którzy do stanu wstępowali duchownego. Czyż mam wspomnieć ś. Wojciecha? Ależ i nasz Brunward z pewnością słowiańskie, dawniejsze swe imię, którego nam historia nie przekazała, złożyć musiał. Lecz nie tylko duchowni, ale i świeccy ulegli temu zwyczajowi. Jeżeli zaraz na chrzcie nie odebrali imienia niesłowiańskiego, takowe później im dodawano, ztąd też Mściwój, Przybigniew, Borzywój, książęta Brodzian, mają, jakżeśmy to widzieli, jeszcze imiona: Billung, Udo, Henryk.

Takim więc sposobem i Detlaf chociborski, aczkolwiek Słowianin, do imienia przyszedł niemieckiego. Mąż ten wysokie nader zajmował stanowisko w kraju. Był on zrazu kasztelanem w Chociborzu ¹⁾. Kasztelanie zaś poruczano tylko znacznym a dostojnym mężom; a nawet książęta takowe obejmowali. Synowie Wróciśława II, księcia pomorskiego, Bartłomiej, Kazimirz, Wróciśław, byli kasztelanami w Kocku (Gutkow ²⁾), Kołobrzegu i Szczecinie ³⁾. Nadto widzimy go często w orszaku książąt; a gdy przyszło świadkom kłaść imiona na dokumentach książęcych lub biskupich, czytamy imię jego między *milesami* na pierwszém miejscu ⁴⁾. Później odebrał od księcia meklamburskiego Jana Teologa, dziada Ludgardy Przemysławowej ⁵⁾, nawet ziemię

¹⁾ Koseg. p. 656.

²⁾ Chozcho. Dok. z r. 1140, ap. Koseg. 36. Chozkow. Dok. z roku 1176. Kos. 100. Gotzko. Dok. z r. 1184 v. 1185, Koseg., 136. Gotzkowe. Dok. z r. 1207. Koseg., 204. Cotzecowe. Dok. z r. 1241, Koseg., 644. Kock, w ziemi Łukowskiej zwany u Długosza, Liber beneficiorum, r. 1863, I. 5, Koczsko; identyczna forma z Chozcho, gdzie Ch oznacza brzmienie K.

³⁾ Por. Dok. z r. 1216, Koseg. 246; z r. 1228, Koseg. 393.

⁴⁾ Dok. z r. 1286, ap. Lisch. Mekl. Urk. III, 86.

⁵⁾ Przybysław, Wróciśław I, † ca. 1185, Mieczysław Stary, książę syn Nikłota, książę książę pomorski polski † 1202 Brodzian † 1181

Bogusław I, † 1187, żona: Anastazyja † ca. 1240

Burzywój Henryk I ks.
meklemb. † 1226 (?)

Burzywój Henryk II † 1228

Bogusław II † ca 1220

Jan Teolog † 1264

Barnim I † 1278

Henryk Pielgrzym † 1302, żona Anastazyja † po roku 1283

Ludgarda Przemysławowa † 1283

Genealogia powyższa na dyplomatach oparta, usuwa i Naruszewicza VIII, 15 niepewność i błędy Długosza, 803, 831, 840.

Łużycką (Loitz ¹⁾) jako lenno, do czego zapewne był mu pomocnym wpływ krewniaka jego, biskupa Brunwarda, który ściśle był zaprzyjaźnionym z powyższym księciem. Lisch, opierając się na tém, iż Detlaf tego samego jest herbu co Putbusowie na Rugii, którzy z książąt ruńskich pochodzą, utrzymuje ²⁾, że i Detlaf, a zatem i Brunward do téjże książęcej należeli familii. Lecz jeżeli innych nie ma argumentów, to sprawdzanie faktu jakiegokolwiek w historyi na podstawie li tylko herbów, równie jest wątplę jak zawodne. Bądź jak bądź, nie ulega wątpliwości, że Brunward z jednéj z najzamożniejszych pochodził rodzin słowiańskich.

Tyle o pochodzeniu naszych kandydatów, z których jeden się opierał na niemieckiej większości kapituły i na dobrych chęciach niemieckiego grafa w Szwerynie, drugi zaś na woli możnych swych ziomków. A i szlachta słowiańska mimo klęsk rozlicznych, mimo olbrzymich walk, które ją dziesiątkowały, była jeszcze znacznie liczną. Niemiecki szlachcic zrzadka jeszcze zaglądał do ziemi, gdzie dziwnie inny świat się jemu przedstawiał; zrzadka jeszcze przebywał na dworze księcia słowiańskiego rycerz teutoński, by najprzód z wolna a ostrożnie wcisnąć się w zaufanie książęce, a później wszechwładnym stać się jego doradzcą. Dokumenta ówczesne ninogo nam pokazują Jarosławów, Cieszymirów, Czesławów, Jaromirów, Jarogniewów, Przecławów, Raciborzów, Dierzysławów, Stojgniewów, Stojstawów, Budziwojów; a zrzadka zabłąka się pomiędzy nich jaki: Werner, Thiedrik, Reinbold, Gieselbert, Reinfried, chociaż i pod temi imionami, jakieśmy to wyżej widzieli, nie jeden się ukrywa Słowianin. Lecz poznajmyż też niektóre rodziny i osobistości, które do téj należały szlachty, co się na tém uparła, by posadzić rodaka na stolicy biskupiěj.

W okolicy Małachowa, w ziemi Warnowskiej, osiadła była rodzina Przedbórzyców, z których jeden wraz z Wrócistawem z rozkazu Henryka Lwa powieszonym został ³⁾. W roku 1215 Andrzej Przedborowicz w dokumencie jednym ⁴⁾ między świadkami do znakomitszej policzony jest szlachty. Piastował on u Kazimierza, księcia dębińskiego, urząd wojskiego (tribunus) ⁵⁾. Jan Przedborowicz odbył z synem Przybysławem, z księciem Henrykiem Burzywojem, pielgrzymkę do Ziemi świętęj ⁶⁾. W téjże saméj okolicy miała liczne posiadłości znako-

¹⁾ Lusitz, dok. z r. 1236, Lisch. Mekl. Urk. III, 85. Losize, dok. z r. 1170; tamże 21. Lositz, dok. z r. 1242, Koseg. 655. Dzisiaj z niemiecka przekręcone: Loitz.

²⁾ Koseg., 656.

³⁾ Klüver, I, 637.

⁴⁾ „Andreas Priburiviz, nobilior.“ Koseg., 236.

⁵⁾ Dok. z r. 1219, Lisch., Mekl. Urk. I, 26.

⁶⁾ Klüver, I, 638.

mita rodzina Gębów, z których jeden, wspólny dzieląc los z księciem Wróciśławem i Przedborzyczem, padł również ofiarą nieludzkiej zaciętości i wiarołomstwa Henryka Lwa ¹⁾. Henryk Gęba, w dokumentach zwykle Gamma pisany, jest na początku XIII wieku cześnikiem Mikołaja księcia na Roztokach (Rostock). W dyplomatach to jako „Slavus,” to jako „major“ często wspomnianym bywa ²⁾. Liczną była rodzina Mirogniewa, w ziemi Nowskiej około Gnojna zamieszkała, a odznaczająca się wielką pobożnością i ofiarnością ku szerzeniu chwały Bożej. Mirogniew, bracia jego Chocimirz i Monik, około roku 1180 cześnik księcia Kazimierza ³⁾, głównie się przyczynili do założenia klasztoru Cystersów w Draguniu, rozległemu takowy obdarzając włościami ⁴⁾. Syn Mirogniewa Rochil (Rogala?), jednym z najznakomitszych był panów. Będąc kasztelanem w Dębinie (Demmin) został w roku 1194 do króla duńskiego wysłany jako pełnomocnik księżniczki pomorskiej Anastazyi, córki Mieczysława Starego, która po śmierci męża Bogusława, szanowana przez wszystkich matrona, wielbiona i czczona przez dzieci i wnuków ⁵⁾, rządziła państwem w imieniu małoletniego syna swego ⁶⁾. Tenże Rochil, dobrodziej klasztoru draguńskiego, ufundował probostwo w Lewinie ⁷⁾. On także odbył pielgrzymkę do Ziemi świętej ⁸⁾. Synami jego byli Sulisław i Dobiesław ⁹⁾. W téjże samej ziemi mieszkali Skarbimierz, tegoż syn Rodziśław ze Skorzęcina, który Cystersom w Draguniu darował wieś Pierzkowo. Nadzimir, Jarogniew, Budziwój Małach ¹⁰⁾. W ziemi Międzyrzeckiej około Dębinia (Demmin) osiadłymi byli: Dzierzysław, kasztelan dębiński, syn jego Janek, później również kasztelan dębiński, krewniak ich Budziwój, dalej Zapacha, Jarosław, komorzy Kazimierza I ¹¹⁾; Przybysław, co w roku 1184

¹⁾ Klöver, I, 611.

²⁾ Dok. z r. 1218, Klöver, II, 396. Dapifer, dok. z r. 1231. Dipl. Dober. ap. Westph. III, n. 7. Henricus Gamme, Slavus. Dok. z r. 1219. Tamże, n. 3.

³⁾ Dok. z r. 1175, Kos. 95.

⁴⁾ Dok. z r. 1173, Lisch. Mekl. Urk. I, 3.

⁵⁾ „Venerabilis mater nostra,” dok. z r. 1208, Kos. 205, „quam pia ut debemur amplectimur devotione,” dok. z r. 1240, Kos. 529.

⁶⁾ Dok. z r. 1194, Koseg. 179.

⁷⁾ Dok. z r. 1257, Lisch. Mekl. Urk. I, 113.

⁸⁾ Dok. z r. 1226—1227; tamże, 35.

⁹⁾ Dok. z r. 1226—1227; tamże, 37. Dok. z r. 1208, Kos. 208.

¹⁰⁾ Ratizlaus Skarbimariz, nobilis. Dok. z r. 1215, Kos. 236. Ratizlavus de Scorintin. Dok. z r. 1216. Lisch. Mekl. Urk. I, 16; dok. z r. 1216; tamże, 17. Bodevi, Jarogneu, z r. 1175 v. 1176, Kos. 101. Małach, dok. z r. 1173, Kos. 86, 87. Naomer. z r. 1228, Kos. 391.

¹¹⁾ Dirsko, castell. Diminni. Budowoy, cognatus ejus. Dok. z r. 1168, Kos. 61. Johanni cast. de Dimmin. Dok. z r. 1170, Kos. 70. Janic de Ti-

wysłany był jako poseł do Frankfurtu, do cesarza niemieckiego ¹⁾; Mirostaw, kasztelan dębiński (?), Dobromir, komorzy księcia Wróciśława III, Cieszymir, Wierzchosław ²⁾, Sławomir, co wspólnie z Rochilem posłował od księżniczki Anastazyi do króla duńskiego ³⁾. W ziemi Doleńców miał swoją siedzibę możnowładca Ranisz, o którego „przesławnéj rodzinie Butyckiej biskup Kamiński w akcie urzędowym z roku 1210 świadczy ⁴⁾, że znakomitością swoją przewyższała wszystkie rodziny tamtejsze. Synowie jego Burzysław i Henryk ufundowali klasztor panieński w Trzebiatowie ⁵⁾ nad Dolenicą (Troptow a. d. Tollensee), hojnie go bardzo wyposażywszy ⁶⁾. Synowie Henryka, Janek, pan na Wierzchach (Verchen) ⁷⁾ i Dobiesław z Komorowa często bardzo jako świadkowie w dokumentach książęcych występują ⁸⁾. W ziemi trzebskiej (Triebess) przebywali Sławosz, Popiel, Krakus, Sulisław, Niedamir ⁹⁾. Z ziemi Iłowsko-Kiszyńskiej, około Rostoków grodu, pochodzili: ¹⁰⁾ Żulisław, Racibórz z Golków, Domamir, Przybysław, Budzisz, Warsz, synowie jego Henryk i Cieszymir Warszowice, Rawolin,

min; z r. 1187, Kos. 146. Jarislaus camerarius; z r. 1175, Kos. 95. Zapacha. Dok z r. 1174, Kos. 92.

¹⁾ Knytlinga saga, Kos. Index. s. v. Priba.

²⁾ Castellanus Mirozlaus. Dok. z r. 1228, Lisch. I, 43. Dobemarua camer. demin. Dok z r. 1222 Kos. 335. Virchozlaus. Dok. z r. 1228, Kos. 396. Thessomarus, dok. z r. 1228, Kos. 390.

³⁾ Slaumer, dok. z r. 1194, Kos. 179. Slavomirus de Dimin, dok. z r. 1208 v. 1212, Kos. 224.

⁴⁾ Illustri Luticiorum prosapia ceteros antecellentes, Kos. 219.

⁵⁾ Trebutowe, dok. z r. ca. 1210, Kos. 219. Trebetowe, dok. z roku 1250, Kos. 895. Analogie: Trzebiatów w sieradzkim; Trzebiatków w bytowskiem.

⁶⁾ „Heinricus et Borta,“ dok. z r. ca. 1210, Kos. 219.

⁷⁾ Virchen, dok. z r. 1228, Kos. 390. Virchina, dok. z r. 1230, Kos. 415. Verchin, dok. z r. 1243, Kos. 712. Virchwin, dok. z r. 1232, Kos. 444. Virchene, dok. z r. 1228, Kos. 391. Analogie: Wierzchy w Sieradzkim, Kaliskim. Forma „Virchwin“ wskazuje wprawdzie na nazwę: Wierzchowina, lecz znachodzi się ona tylko jako wyjątek.

⁸⁾ Janic de Virchene; dok. z r. 1228, Kos. 391. Johannes et Dobysca, filii Heinrichi, dok. z r. 1229, Kos. 409. Dobislaus camerarius, dok. z r. 1221—1225, Lisch. I, 29. Że był panem Komorowa, dziś: Kummerow, por. Kos. 1021. Wieś ta od jego urzędu—był podkomorzym—nazwę dostała.

⁹⁾ Crac, Zlavic, Nedamir, Zulizław, dok. z r. 1203, Kos. 198. Popel, Zlawos, dok. z r. 1207, Kos. 204.

¹⁰⁾ Zurizław, Retibursze, Raulinus, Dummamir, Wartia, Pribus, Newoper, Janich, Merezław, dok. z r. 1219, Lisch. II, 2—3. Zlantrich, Jordanus, Janike, Wartia, Henricus Grubo, Dummamarus, Pribislaus, Bitzprawie, Janike

Sławociecz, Mirosław, Jaromir i syn jego Janek Jaromierzyc, Radomir, Domasław i syn jego Henryk, Stojśław, syn jego Jan Stojśławowicz, Wrócisław, Janik, Jordan, Henryk Gruba, Bezpraw, Cieszye, Numoper. Jako obywatela ziemi orlińskiej znajdujemy Jana z Orla ¹⁾. Mógłbym więc jeszcze powołać, niestety dla niedostatecznych źródeł po większej części z imienia tylko znanych bitnych panów słowiańskich; lecz sądzę, że i to wystarczy, aby się przekonać, że silnym był jeszcze dosyć w wyższych warstwach społeczeństwa słowiańskiego żywioł narodowy, by skutecznie się oprzeć cudzoziemskiemu przybylcowi, narzucającemu się jako pasterz ludowi, którego ani języka, ani obyczajów, ani nawyków nie znał.

Dziwni przecież może się zdawać, zkąd szlachta słowiańska przychodzi do prawa mieszania się do wyboru biskupa i stanowienia o takowym. Aby to wyrozumić, trzeba mieć na względzie, iż obok ogólnej, zasadniczej praktyki przy wyborze biskupów, była różnemi czasy, w różnych krajach i wyjątkowa praktyka, dyktowana koniecznością, wpływającą ze zbiegu okoliczności i stosunków. Od najdawniejszych czasów zasadą było, że wybór ten władzy kościelnej się przynależy, ale że takowa winna przytém uwzględnić potrzeby, życzenia i świadectwa kleru niższego, jakotóż i ludu świeckiego. Wybierali zatem sąsiedni biskupi, wybadawszy opinią dwóch co dopiero wymienionych czynników, poczem arcybiskup udzielał potwierdzenie. Od wieku przecież VI potwierdzenia tego dochodzić poczęto w Rzymie, poczem przez długą praktykę prawo to potwierdzenia wyłącznie przeszło na papieża. Prawo zaś wyboru przyznanem zostało gronu kapitulnemu jako reprezentantowi kleru dycezyalnego; a lud świecki w przekładaniu życzeń swoich przez panujących zastąpionym został. Taką więc była wówczas praktyka ogólna, a współudział możnowładzców jedno do wyjątków należał. Nad zbiegiem okoliczności i stosunków, wśród których ta wyjątkowość wyboru w ziemi meklembursko-słowiańskiej wywołaną została, wypada nam się w końcu zastanowić.

Przedewszystkiém zauważyć trzeba, że w kraju, co dopiero do chrześcijaństwa powołanym, jak w ogóle hierarchiczne stosunki, tak i sposób i prawo wyboru biskupa ani ustalonymi nie były, ani pewnego jeszcze nie przybrały kształtu. Obaj pierwsi biskupi, Jan Szkot i Emerhard do ziemi mikołowskięj z ramienia arcybiskupów bremeń-

Germeritz, Meritzlavus, dok. z r. 1218, Klöv. II, 396. Firizlaff, Rademir, dok. z r. 1190, diplom. Dober., ap. Westph. III, n. 1. Henricus Damasc, Slavus; tamże, n. 4. Janic Stoizloviz, Zlautech, Wowirote, Numoper, Slavi. Dok. z r. 1219. Dipl. Doberan. ap. Westph. III, n. 3. Heinricus Warsussevit. Dok. z r. 1231. Lisch. Mekl. Urk. II, 9. Heinricus Wargussevit, Tessemarus frater ejus. Tamże, 12. ...a Slavo quodam Thessitze. Tamże, 17.

¹⁾ Johannes, miles de Werse. Dok. z r. 1219, dipl. Dober., Westph. III, n. 3.

skich posłani zostali. Berno zaś mocą wszechwładnego wówczas w ziemiach słowiańskich Henryka Lwa, i niby też za wyborem książąt Przybysława brodzińskiego, Kazimierza i Bogusława pomorskich, ustanowionym został na stolicy biskupiej ¹⁾). O współudziale zaś kapituły już dlatego mowy być nie mogło, iż ona jeszcze nie egzystowała. Ustanowioną dopiero została za rządów Bernona, jednakowoż bez pewnego, jasnego określenia jej praw. Ogólnikowe wyrażenie w dokumencie dotacyjnym, nadanym przez Henryka Lwa 1171 roku mówi wprawdzie ²⁾, że potwierdzają się „prerogatywy wolności kościelnej według prawideł świętych kanonów, jakoteż prawa cesarskie,“ lecz jakieby to były „prerogatywy,“ o tém nie mówi ów dokument, a o prawie wyborczém kapituły, to już wcale milczy. Przepisy zaś i postanowienia prawa kanonicznego w owym czasie, któremu co dopiero dekreta Gracyana (r. 1155) początek dały, nie dotyczyły jeszcze wszystkich stosunków kościelnych. Ta zaś niepewność sposobu wyboru biskupa, jakoteż praw kapitulnych dała szlachcie słowiańskiej, nauczanej zapewne przez księży słowiańskich, że to dawnemi czasy lud świecki wpływ miał na wybory biskupie, pochoch do zabrania głosu przy wyborze. Nadtó pełną mieli w tym względzie swobodę ze strony niemieckich duków i grafów. Ów stalogryz, Henryk Lew nie mógł, choćby to wedle starego zwyczaju chętnie był chciał uczynić, do wyboru się mieszać. Ręka jego żelazna już nie ciążyła na słowiańskim tym kraju. Potęgą jego zdruzgotana a miecz, którym dawniej rządził i sądził między Słowianami, mocno przytępiony. Pozbawiony przed dziesięciu laty przez cesarza Rudobrodego obudwóch swych księstw, saskiego i bawarskiego, jakoteż wszelkich godności, banita, tułacz, przebywał na pokrewnym sobie dworze angielskim. Wrócił on wprawdzie i to właśnie w czasie sedywakancyi szweryńskiej do Niemiec, ale bynajmniej nie po to, by dokazywać i rozkazywać Słowianom, lecz tylko by wziąć udział w rozruchach, zaburzeniach i zatargach, któremi swarliwe duki i grafy poszarpane wówczas cesarstwo napełniały. A kiedy mistrz tak nie domagał, toć i pomocnikowi jego, Guncelinowi, grafowi szweryńskiemu dogodnie nie było, choćby też z duszy serca pragnął krewniakowi swojemu dopomódz do zwycięstwa. Zdaje się wprawdzie, że miał poniekąd ochotę zbrojno w sprawę wyboru się wnieść, gdyż w ugodzie, mocą której sprawa ta załatwioną została, znajduje się paragraf, wedle którego szlachta słowiańska zobowiązała się bronić i chronić dóbr biskupich i kapitulnych przed napaścią Niemców ³⁾. Być więc może, że ów Guncelin się odgrązał, aleć odgrążanie to nie wiele więcej znaczyło, jakgdyby książe szabłą wiatry płatał.

¹⁾ Helm. I, 87. „...et ipsorum electione et gloriosi ducis Saxoniae Hinrici constitutione primus gentis illius episcopus efficitur.“ Dok. z r. 1170. Lisch., Mekl. Urk. III, 20.

²⁾ Tamże, p. 24.

³⁾ Por. niżej.

A cesarz co? Otóż i ten nie miał mocy, by się skutecznie wtrącić mógł na korzyść współplemiennika do sprawy wyborczej. Energiczny cesarz Fryderyk Rudobrody właśnie był w Azji utonął, a syn i następca jego, cesarz bez przynależnej powagi, już tylko z imienia był panem niemieckim. Urok potęgi cesarskiej niknąć począł, a dotychczasowa pretensja wszechwładztwa cesarskiego stała się bajką.

Gdy więc okoliczności kościelne i polityczne sprzyjały zamiarom Słowian, znajdowali oni i w tém jeszcze uzasadnienie wymagania swego, iż tak biskupia stolica, jak kapituła, kościoły i klasztory, głównie przez książąt i panów słowiańskich wyposażane były. Jużemy wyżej mieli sposobność wspomnieć o niektórych rodzinach możnowładzców, hojnie dotujących domy Boże. Jeszcze hojniej to czynili książęta słowiańscy. Przemysław darował biskupstwu całą ziemię Budziszewską (Bützau) ¹⁾, obejmującą nieomal 9 mil kwadratowych i dalej 10 wsi w ziemi Iłowskiej, 8 wsi w ziemi Mikułowskiej, kilka wiosek w innych okolicach ²⁾. Kazimir, książę pomorski na Dębiniu, udzielił ziemię Bytyńską ³⁾ przy Strzelewie (Stralsund) ⁴⁾ i 6 wiosek ⁵⁾. W obec takich darowizn, cóż znaczyła darowizna kilku wsi, które Henryk Lew był uczynił ⁶⁾. W końcu i poczucie dumy narodowej nakazywało im popierać rodaka, co dla ich cnót miał w sercu swém miłość, a dla wad wyrozumienie, co kość z kości wspólnie z nimi i radość narodu i bóle jego czuć potrafił, nie zaś jednego z tych, co to z małemi wyjątkami, pod płaszczykiem wiary na to godzili, by im język, by im poczucie odebrać narodowe. To téż, gdy po wyborze skutecznym przez kapitułę, Herman jako elekt urzędownie występować zaczął, sprzeciwili się temu niebawem panowie słowiańscy, a wpadłszy do mieszkania biskupa Bernona, wszystkie tamże znajdujące się pozabierali książki ⁷⁾. Cóżby to były za książki? Czyżby to być miała biblioteka? wątpić się godzi. Wszakżeż Słowianie, którzy Helmoldowi są „genus agreste et incultum,” ⁸⁾ do książek, zapewne teologicznej treści, tak wielkiej nie mogli przywiązywać wartości, chociażby ten i ów z pomiędzy nich, niedawno co dopiero chrześcianin, przez zabobon pogański sądził, że to czarodziejskie kreski, w których czarodziejska tkwi siła. Uгода wyżej wspomniana

¹⁾ Butissowe, dok. z r. 1171. Lisch., Mekl. Urk. III, 25. Butisso, dok. z r. 1177. Tamże, 35. Butessowe, bulla z r. 1185. Tamże, p. 40.

²⁾ Tamże, p. 12.

³⁾ Terra Pitne, tamże, 41. Pitina, tamże 35.

⁴⁾ „...civitati nostre Stralowe,” dok. z r. 1234, Kos. 478. „Sund,” północno-germański wyraz oznaczający cieśninę, późniejszym jest przydatkiem. Kos., p. 404.

⁵⁾ Lisch., III, 12.

⁶⁾ Tamże, III, 11.

⁷⁾ Lisch., Mekl. Urk. III, 51.

⁸⁾ Helm. I, 13.

obejmuje między innemi i ten warunek, że książki, przez szlachtę zabrane, należy zwrócić i złożyć w zakrystyi ¹⁾. Aleć mszały, książki liturgiczne, któreby może z téj przyczyny zabrano, ażeby uniemożliwić kanonikom odprawianie nabożeństwa, także być nie mogą. Wszakżeż nie trudnémby było, o nowe się postarać. Najprawdopodobniejszą będzie, że były to głównie dokumenta, zawierające w sobie przywileje fundacyjne i dotacyjne. Sądziłi oni, że zabranie ich pociągnie za sobą utratę prawa posiadania majątków przez nich, lub ich przodków kościołowi podarowanych; że wyrzuci będą kanonicy z swoich posiadłości, skoro nie będzie pargaminów, gdzie pod obwarowaniem pieczęci uroczyscie wygłaszano, że pismo na to się tam kładzie, aby ono wiernie a wiecznie zachowało to „coby niedbałość, ułomność ludzkiej pamięci, przewrotność, łakomstwo, niegodziwość, wiarołomność, potwarz, intryga zniszczyć mogły.” Aleć kanonicy nie myśleli ustępować z własności swojej. Rozpoczynają zatem panowie słowiańscy najeżdżać, niepokoić i szarpać dobra kościelne. A w owych czasach prawa pięści i grabieży, straszna to była klęska, gdy rozpasana szlachta nagabywać poczęła dobra kościelne, a prześladować kapłanów, nie bronionych przez żelazny oręż. Szczególniej w Niemczech praktykowano ten barbarzyński zwyczaj ucisku, gwałtu i przemocy. Dytmar, znany biskup międzyborski, niemal na każdej karcie swój kroniki z tego powodu skargi swe rozводи. „Otóż, biada on do żywego rozżalony ²⁾, z mnogich klątw biskupich to jeno sobie drwią.” „Bernard, duk saski, prawi Helmold ³⁾, powstał przeciw Chrystusowi, a wszystkie kościoły Saksonii w straszny zaniepokoił sposób.” Na Henryka Lwa skarży się Arnold lubecki ⁴⁾, że nie ma prawie kościoła, któryby nie uległ jego złupieniu. Ale i wysocy dostojnicy duchowni szli za przykładem panów świeckich. Co dopiero powołany Arnold donosi ⁵⁾, że Filip, arcybiskup koloński, najechawszy ziemię Henryka Lwa, palił i burzył kościoły i klasztory; a o Albrechcie, biskupie halberstadzkim, zapisały kroniki, że własnorecznie rzucił głównię do pełnej stodoły klasztoru panieńskiego w Helfta, by takową, oraz i wszelkie gumna klasztorne, z dymem puścić ku niebu ⁶⁾. Gdy więc takie wzory chrześciańskich panów świeciły panom słowiańskim, co dopiero ochrzczoneym, a w wielkiej części jeszcze nawpół poganom, cóż dziwnego, że i oni w sposób dokuczliwy dali się uczuć przeciwnikom swoim, paląc i niszcząc ich budynki gospodarskie, a rabując i zabierając im zboże, bydło i konie. Cóż kanonicy na to? Gdyby to ów „arcypobożny, najmeźniejszy, a pełen chwały, arcydobry

¹⁾ Lisch, tamże.

²⁾ IV, 10.

³⁾ I, 16.

⁴⁾ II, 16.

⁵⁾ II, 25.

⁶⁾ W Winter, III,

opiekun”¹⁾ Henryk był w stanie broić po staremu, gdyby to prze-różne duki, grafy i barony niemieckie sami zapamiętały między sobą za-łby nie chodzili; gdyby aureola potęgi cesarskiej tak znacznie nie była zbladła: toćby nie wielkim był kłopot, by upór Słowian przełamać, a wybryki ich ukrocić. Ale tego wszystkiego nie było. Udali się zatem do Rzymu. Tutaj niefortunny dla siebie przekładając przebieg obioru biskupa, rzekomo przynoszący uszczerbek swym prawom kapitulnym, szerokie zawodzili skargi na „niegodziwość przewrotnych ludzi”²⁾, a przedstawiając „szlachetnego męża”³⁾ Niemca Henryka Lwa, jako wyposażyciela biskupstwa, o prawdziwych tegoż słowiańskich fundato-rach i dobrodziejach milczą.

Wskutek tego bierze ówczesny papież Celestyn III na mocy buli z dnia 24 października 1191 r., kościół szweryński pod ś. Piotra i swo-ję opiekę i nakazuje: „że żadnemu bynajmniej człowiekowi nie wolno kościoła przerezczonego turbować, ani posiadłości jego zabierać, ani za-branych zatrzymywać, ani takowych uszczuplać, lub jakimikolwiek prześladowaniami i dokuczeniami niepokoić.” Potwierdza zarazem ka-nonikom wolność wyboru proboszczów, dziekanów i kanoników. O pra-wie zaś obioru biskupa, jako też i o sporze obiorczym zupełnie mil-czy⁴⁾. Zapewne stało się to dlatego, że kurya rzymska niedostatecz-nie poinformowaną była, nie wysłuchawszy jeszcze i drugiej strony.

Nie osiągnąwszy większość niemiecka kapituły, czego sobie wła-ściwie życzyła, to jest załatwienia sporu po swjej myśli, coż ona czyni? Otóż poprostu podrabia nowy dokument dotacyjny, rzekomo przez Hen-ryka Lwa nadany, a w którym i prawo obioru biskupa i prawa kapitul-ne dokładnie i jasno są określone⁵⁾. Posłuchajmyż, co o tém również sumienny, jak przenikliwy, wzyż wspomniony historyk Lisch powia-da⁶⁾: „Zdaje się, że w tym czasie, pomiędzy 1191 i 1195 fałszywy ów dokument przez saskich kanoników sfabrykowanym został, aby takim sposobem do tych przyjąć praw kapitulnych i takowe sobie zapewnić, o których dokument dotacyjny Henryka Lwa nie jasno się wyraża, lecz których dopiero bula, przez papieża Celestyna III w dn. 24 październi-ka 1191 kapitule udzielona, dotknęła i które jej na mocy ugody z dn. 18 czerwca 1195 na przyszłość zapewnione zostały. Z tém zgadza się pismo fałszywego dokumentu, które zdaje się być pismem męża z orsza-ku saskiego biskupa Bernona.” Lecz i fabrykat nic nie pomógł. Pa-pież wyznaczył komisją do zbadania i załatwienia rzeczy, złożoną z biskupa raciborskiego Isfryda, opata lubeckiego i Hermana, kanonika lubeckiego. Komisya ta niebawem rozpoczęła z obiema stronami ukła-

¹⁾ Helm., II, 5, 14.

²⁾ Bula z r. 1191, ap. Lisch, M. Urk., III, 47.

³⁾ Tamże.

⁴⁾ Tamże, 47—50.

⁵⁾ Tamże, 23—33.

⁶⁾ Tamże, 5, 6.

dy i pertraktacye, w ciągu których kanonicy niemieccy nie wahali się nawet na mgłą wodę osobistych puścić się zaczepkę, podając pewność i uczciwość charakteru kandydata słowiańskiego, a swego dziekana, w wątpliwość. Wyrażali bowiem obawę i nieufność do rządu i gospodarstwa Słowianina, utrzymując, że on nawet ich dobra kapitulne trwonić będzie, w czym mu krewniaki i współziomkowie niepomrotnie dopomagać będą. Zażądali zatem, żeby zawarowanem zostało, iż biskupowi nie wolno bez zezwolenia kapituły z dóbr tychże nic alienować, bądź-to drogą sprzedaży, bądź darowizny, zamiany, zastawu, lub w inny jakikolwiek sposób ¹⁾).

Że komisya, z samych składająca się Niemców, w serdecznej swęj predylekcyi ku ziomkowi swemu, jak najlepszą miała chęć i wolę temuż mitrę włożyć na głowę, to zapewne żadnej nie ulega wątpliwości. Ale nieszczęsna konstelacya polityczna, gdzie, jakeśny widzieli, brachium saeculare niemieckie tak mocno skruszało, iż nie warto było na niem się oprzeć, nie mogła ich widoków i chęci w tym kierunku podtrzymywać. A do tego trzeba się było liczyć z tym faktem, że Słowianie, niedawno wyrzekłszy się bogów swoich pogańskich, aczkolwiek ochrzczeni, do nich w ukryciu jeszcze tęsknili. „Chrystusa napozór wyznają, a potajemnie Go przesładują” ²⁾), woła proboszcz bozowski. Wszakżeż to i papież Celestyn III w bulli z r. 1197 nazywa Słowian brodowińskich (brandeburskich), aczkolwiek już 40 przeszło lat jarzmo dźwigali margrafów niemieckich, nieprzyjaciołmi imienia chrześcijańskiego ³⁾). A nieprzyjaźni takowej właśnie w tymże czasie krwawe dali dowody nasi Słowianie brodziańsko-lutyccy. Klasztor Cystersów w Draguniu, tak hojnie uposażony przez panów słowiańskich, stał pustkami; zakonnicy niepokojeni przez sąsiednich Słowian, widząc, że życie ich zagrożonem było, zawczasu się powynosili: „a gdzie dawniej część Boska była, mówi biskup Kamiński w dokumencie z r. 1216 ⁴⁾), tam powstało legowisko zwierząt dzikich i jama rozbójników.” Gorszym był los Cystersów klasztoru w Doberaniu. Tu po śmierci Przybysława r. 1181 przyszło do krwawej reakcyi pogańskiej. Okoliczny lud słowiański, pragnąc wznowić dawną część bałwochwalczą, rzucił się na klasztor, zburzył go i spalił a strumienie krwi pomordowanych zakonników gasiły ogień palącego się domu Bożego ⁵⁾). A że ta fala rozszałatego pogaństwa większej nie sprowadziła klęski, niszczenie zasiane go dopiero

¹⁾ Tamże, 56.

²⁾ Helm.: Chron. Slav.

³⁾ „in medio nationis pravae et perversae, scilicet inter Solavos et inimicos Christiani nominis constitutus.” Bula z r. 1197, ap. Gercken: Stiffts Historie v. Brandenburg; p. 394.

⁴⁾ Ubi prius fuerat cultus divinus, nunc esset feris domicilium et spelunca latronum. Lisch, M. Urk., I, 20.

⁵⁾ Sed quia per in cultum Slavorum, etc. Dok. Burzywoja, księcia mikołowskiego, z r. 1192. Diplomat. Doberan., ap. Westph., III, nr. 8

ziarna chrześcijaństwa, zawdzięczamy to roztropności i umiarkowaniu syna Przybysławowego, księcia Burzywoja, co umiał w łagodny, pełen dobroci i rozważi sposób, straszną zażegnać burzę. Otóż z tak groźnym faktem trzeba się było liczyć komisji, a nie wystawiać młodziutkiej Słowian pobożności chrześcijańskiej na zawiłą próbę, by wicher pogaństwa nie połamał w winnicy Chrystusowej młodocianej lato-rośli. Ogłędnie a przezornie sobie postępując, porzuciła też ona wszelkie swe osobiste asumpty i sympatyje a zwoławszy na dzień 18-go czerwca 1195 do Bytnia (Boitzenburg) obie strony, następującą ugodą położyła koniec walce, cztery lata już trwającej ¹⁾: 1) Przywileje kościołów w Szwerynie mają po wieczne czasy pozostać nienaruszone i nietknięte tak przez biskupa, jako i przez Słowian; 2) Kanonikom służy wybór biskupa, dziekana i kanonika; 3) Mają oni mieć te same swobody i prawa, jak kanonicy hamburscy i lubeccy; 4) Dochody kanoników mają być oddzielone od dochodów biskupich i kanonicy mają mieć prawo rozporządzać wedle swęj woli dobrami i wsiami; 5) Biskupowi nie wolno nic z dóbr biskupich alienować bez braci i bez szlachty rady i zezwolenia; 6) Gdyby wojna pomiędzy Niemcami a Słowianami powstać miała, mają Słowianie wsie biskupa i kanoników pod swoją wziąć opiekę i obronę; 7) Kanonicy mają po wieczne czasy w Szwerynie, zwoławszy uprzednio tam dotąd szlachtę słowiańską, biskupa obierać, a mają Słowianie obiór ten uznać i na takowy przystać; 8) Książki biskupa Bernona mają być kościołowi zwrócone, w zakrystyi złożone.

Gdy ugodę tę obustronnie przyjęto ustąpił elekt Herman, poczem niezadługo opuściwszy Szweryn, probostwo katedralne w Hamburgu objął; Słowianin zaś Brunward na stolicę biskupią wstąpił, na której lat 44 chlubnie i zaszczytnie poruczoną sobie zawiadywał dycezyą. Bogobojny, pełen cnót chrześcijańskich arcybiskup, wzorowym świecił przykładem. Staranny o chwałę Bożą, budował kościoły, zakładał klasztory. Dbały o zbawienie dusz powierzonych sobie trzody, nie ogniem i mieczem, nie przestachem i bojaźnią, ale drogą pokoju, miłości i nauki szczepił światło wiary Chrystusowej i stało się też, że przez jego gorliwość cześć batwochwalcza, do szczytu wykorzeniona, na zawsze ustąpiła wierze Zbawiciela wzrastającej bujnym plonem. Ale też i dochodów kościelnych bynajmniej nie uszczuplał; owszem: oszczędnością, skrzętnymi zabiegami, korzystając z przyjaznych i rodzinnych stosunków, w jakich do książąt i panów słowiańskich pozostawał, takowe znacznie pomnażał, niweczając niewczesną presumcją dawniejszych swych kolegów.

Porówn. Bacmeisteri Antiqu., Rostock, ap Westph., III, p. 986. Klüber, I, 274. Lisch, Mekl. Jahrbücher, II, 1—36.

¹⁾ Lisch, Mekl. Urk., III, 50—52.

O ARCHITEKTURZE U OBCYCH I U NAS.

(UWAGI ZE STANOWISKA ESTETYCZNEGO *).

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Wartość naszych architektonicznych tradycji.—Kraków i Warszawa.—Zabytki ostrołukowej architektury.—Powody tamujące wzrost Warszawy.—Jezuicka architektura warszawskich kościołów z XVII i XVIII wieku.—Style baroco i rococo.—Epoka Stanisławowska.—Powrót do włoskiego renesansu.—Znakomitsze gmachy.—Wynurzenie się sił krajowych.—Upadek Warszawy.—Epoka Księstwa Warszawskiego i Królestwa kongresowego.—Ruch budowlany.—Corazzi, Marconi, Gołowski, Aigner.—Główniejsze budowle.—Naśladowanie klasycznej architektury 1-go cesarstwa.—Stan miasta i ruchu budowlanego po 1831 roku.—Gmach teatrów warszawskich.—Restauracye katedry ś. Jana i kościoła P. Maryi.—Inne prace budowlane.—Gmach Towarzystwa Kredytowego ziemskiego.—Warszawa wchodzi w nową fazę rozwoju.—Nagły wzrost miasta.—Ożywienie się ruchu budowlanego.—Brak oryginalności.—Kościół W.W. Świętych na Grzybowie.—Synagoga na Tłomackim.—Kościół wyznania ewangelicko-reformowanego na Lesznie.—Potrzeba studyowania starożytnych zabytków ostrołukowej architektury.—Projekt kościoła ś. Barbary.—Myśl odrodzenia architektury XIV i XV wieku.—Projekt powiększenia kościoła ś. Aleksandra.—Najnowsze wille, pałace i domy.—Znakomitsi architekci współcześni.—Spekulacya budowlana i jej nadużycia.—Apatya pp. budowni-
czych i jej powody.

II.

Przechodnie fazy i stan obecny naszej architektury.

Wiemy już, jak w skutek bliższego z Włochami się zetknięcia, rozpoczęło się wprowadzanie do Polski form włoskiego budownictwa.

*) Dalazy ciąg — patrz zeszyt za lipiec r. b.

Byłoto w pierwszej ćwierci XVI wieku, kiedy na tronie, obok Zygmunta Starego, medyolańska zasiadła księżniczka. Dwór i możni panowie, co na obczyźnie poznali okazy téj architektury i nabrali do niéj upodobania, szczepili ją u nas z wielkiem zamiłowaniem. Nowy ten smak w budownictwie, wzmagając się ciągle, miał w następstwie doprowadzić do zupełnego zerwania z miejscową budowlaną tradycją, która już kilka wieków miała za sobą. Włosi, którymi odtąd postugiwano się prawie wyłącznie jako architektami, którym nietylko wznoszenie nowych lecz i naprawę dawnych powierzano budowli, pracowali najusilniej nad zagładą pomników ostrołukowój architektury. Mam tu naturalnie na myśli cenniejsze murowane budowle, jak: kościoły, kaplice, zamki i gmachy publicznego użytku. A należy pamiętać, że pomników tego rodzaju nie mogło być zbyt wiele w kraju, gdzie drzewo nie przestało być nigdy najpospolitszym, bo najobfitszym i najtańszym materiałem budowlanym, który lada cieśla miejscowy umiał obrabiać i wiązać w budowle według tradycyjnych wzorów. Jak w przed-Kazimierzowskich czasach prawie wyłącznie, tak i za Zygmuntów i później, nie zaprzestawano u nas przeważnie budować z drzewa; stawiano nietylko domy i dworki drewniane, lecz niemniej drewniane pałace, zamki, nawet kościoły. Z wyjątkiem miast, i to większych, gdzie mur w powszechniejsze wszedł użycie, kamień i cegła, jako materiał budowlany, pozostały długo jeszcze dla mieszkańca rolnéj a lesistéj Polski czémś obcém, zbytcezném, a nawet wstrętném. Wstręt ten do murowanych domów odbił się dosadnie w przysłowiu: „Szkoda szlachcica wiejskiego dla domu miejskiego” (oczywiście murowanego). Znaném téż jest podanie o szlachcicu litewskim, który zmuszonym będąc w interesach spadkowych udać się do Toskanii, a nie chcąc nawet chwilo-wo w murowanym zamieszkać domu, zabrał z sobą cieślę, żeby mu drewniany zbudował dworek. Wojny i towarzyszące im zwyczajnie łupieże i pożogi, zmiatały secinami takie drewniane budowle w dotkniętych niemi okolicach. Po każdéj klęsce kraj dźwigał się wprawdzie szybko z ruin, zabliźniał rany, naprawiał uszkodzone budowle lub w miejsce doszczętnie zburzonych stawiał nowe, często trwalsze i ozdobniejsze, atoli zarówno odnowione, jak z gruntu nowe budynki w niczém już dawnych nie przypominały. Pierwotne ich formy ulegały najczęściej zupełnemu przekształceniu.

Cóż dopiéro w okresie zapanowania u nas włoskiego smaku w budownictwie! Każda przeróbka, każda, choćby tylko powierzchowna naprawa gmachu, nastęrczała używanym do robót budowlanych Włochom sposobność do najzupełniejszego, o ile można, dawnych form zatarcia. Sędziwe ostrołukowe świątynie otrzymywały włoskie fasady; ostrołukowe sklepienia, za lada powodem, zastępowane były renesansowemi; uprzątano z wnętrz kościelnych stare gotyckie ołtarze, żeby je nowemi, odmiennego kształtu zastąpić. W przeszłym wieku oniemal że podobny los nie spotkał sławnego ołtarza Wita Stwosza w Maryackim kościele w Krakowie. A ileżto innych cennych tego rodzaju

sztuki zabytków paść musiało ofiarą, téj niewczesnej gorliwości, o którą, niestety, nie samych tylko cudzoziemców przychodzi nam obwiniać. O uszanowaniu pomników sztuki nie było wówczas mowy; nikomu na tém nie zależało, żeby starać się gmachy w ich dawnéj zachować postaci. Żaden z włoskich mistrzów potrzeby téj nie uczuwał; i jakże wreszcie mogłoby być inaczej, skoro sami ich protektorowie, omamieni włoskimi nowościami, tak mało okazywali poszanowania dla pomników ostrołukowego budownictwa. Sto lat nie upłynęło, a już miasta i zamki zmieniły swoją fizyognomią do niepoznania. Wprawdzie nowe zwłoska stawiane kościoły, zamki i pałace, choć piękne, nie bardzo wytrzymywały wpływ naszego powietrza i prawie ciąglej a troskliwej potrzebowwały odnowy; wprawdzie płaskie ich dachy zaciekały częściami od dawnych, wysokich i stromych, a świetne gipsowe sztukaterie odpadały od muru pod działaniem wilgoci; wprawdzie tynk nie zastąpił wypróbowanej wytrzymałości dawnéj polewanej cegły i byle kilka lat zaniedbania, piękny gmach w rudere się zamieniał; ale narazie wyglądało to wszystko pięknie, ponętnie, wesoło, przypominało obcyznę; a na niedogodności, wynikające z wpływów klimatu, była łatwa rada: toć zagranicznych mistrzów nigdy nie brakło. Pierwszy lepszy, wezwany do dzieła, zmieniał znów wszystko, przerabiał i zacierał jak mógł plan pierwotny, byle się jego artystycznemu widzi-mięciu stało zadość. Oto powody, dla czego tak mało zachowało się u nas pomników budownictwa, któreby w swéj dawnéj, pierwotnéj postaci do naszych dotrwały czasów.

W dziejach sztuki krajowej, a więc i architektury, zmuszeni byliśmy zapisać trwający blisko trzy wieki okres naśladowania, który tém się szczególniejszém upamiętnił, że żadnych prawie miejscowych sił do życia nie powołał, bo nas w téj naśladowczej pracy sami wyręczali cudzoziemcy. Budujące się kościoły i gmachy nosiły piętno stylów, jakie współcześnie na zachodzie Europy panowały; po krótkim więc cieszeniu się włoskim renesansem w jego pierwiastkowej czystości, w wiekach XVII i XVIII dostały się nam przekwitłe i spaczne jego forny: włoskie, francuzkie, nawet niemieckie. Atoli myśl swojska nigdy do tych form nie przyłgnęła, nie przyswoiła ich sobie, jak to miało miejsce ze stylem ostrołukowym; nie znalazła w nich dla siebie wyrazu. Łatwo się téż domysłu, czemu były nasze architektoniczne tradycje z końcem przeszłego i na początku bieżącego wieku, kiedy w oprzytomniałym narodzie i na tém polu, jak na wielu innych, poczynają się swojskie wynurzać siły.

Mówiąc o współczesnej naszej architekturze, zmuszony jestem ograniczyć się wyłącznie do Warszawy i dzieł jej budowniczych; nie posiadam bowiem pod ręką wystarczającego materiału, który pozwoliłby mi śledzić jej rozwój na całym kraju obszarze. Zresztą, miasto nasze, jako główne jego ognisko, najludniejsze i ześrodkowujące w sobie najwięcej sił, przedstawia téż obraz bardziej niż gdzieindziej ożywionego ruchu budowlanego; więc z téj racji, mojem zdaniem, słusznie

może być brane za pole do uwag nad objawami współczesnej naszej w zakresie budownictwa działalności. Otóż nasuwa się tu na wstępie konieczność choć pobieżnego obeznania się z architektoniczną przeszłością Warszawy, z tém wszystkiém, co warunkowało stan i charakter jej budownictwa; wypadnie, dalej, zastanowić się nad pytaniem: jaką nauką dla współczesnych nam budowniczych mogły być budowle z dawniejszych ocalałe czasów; innemi słowy: jaką dla nich wartość posiadała nasza miejscowa architektoniczna tradycja?

Przeniesienie środka ciężkości dawniej Rzeczypospolitej z Krakowa do Warszawy, przypada na koniec XVI wieku, a więc na czasy poczynającego się upadku sztuki, kiedy we Włoszech i Francyi architektura wychodziła już z granic, jakie jej starożytne wzory, logika i dobry smak sztukmistrzów zakresliły; kiedy kaprys i fantazyja tych ostatnich zaczynały w niej brać górę nad pierwotną form jasnością. Kraków spotężniał i zabudował się głównie w Jagiellońskim naszych dziejów okresie, w epoce największego blasku i bogactwa narodu. Posiadał on już liczne i najwspanialsze w kraju pomniki ostrołukowego budownictwa, a z chwilą wprowadzenia włoskiej architektury, przystroił się w kościoły, kaplice i pałace tym nowym nacechowane smakiem. Wszystko to nie omieszkałoby prawdopodobnie zczasem wytworzyć w Krakowie dość bogatej architektonicznej tradycyi, pod której kształcącym wpływem dojrzwałyby niewątpliwie miejscowe siły artystyczne; te zaś ostatnie i na sam charakter architektury, na jej u nas koleje, korzystnie oddziaływałyby musiały. Stało się atoli inaczej. Losy przeniosły ognisko życia politycznego na Mazowsze, a z tą chwilą zaczyna upadać i znaczenie Krakowa. Dawna stolica ubożeje, wyludnia się, ustaje w niej ruch budowlany, a wraz z tém znika i możność wytworzenia się tu swojskiej szkoły budowlanej. Kraków został wprowadzie długo jeszcze głównem centrum życia umysłowego, naukowego, ale na tej roli musiał poprzestać. Za dworem króla, pociągnęli ztąd do Warszawy dostojnicy i panowie ze swemi licznemi dworami, słowem to wszystko, co starój Piastów i Jagiellonów stolicy blask nadawało, co stanowiło główną dźwignią jej życia i ruchu. Straciwszy swe polityczne znaczenie, zniszczony kilkakrotnie przez pożary, z klęsk tych nigdy się już do dawniej nie podźwignął świetności, a z czasem zszedł nawet do stanu tego przynębnienia, w jakim go pod koniec zeszłego zastajemy wieku. Bądźco bądź jednak, z świetnej przeszłości pozostało tu i dziś jeszcze bardzo wiele, co mogłoby zbawiennie na wyrabiające się swojskie talenta w zakresie budownictwa oddziaływać, gdyby materialne warunki budowlanego ruchu tu, a nie w Warszawie, ześrodkowały siły naszych architektów.

Głównem polem naszej budowlanej działalności, poczynając od końca XVI wieku, stała się zatém nowa kraju stolica, która jednak, pod względem architektonicznych wzorów w nieskończenie mniej korzystnym przedstawiała się świetle. Sam stan kraju odmienił się wielce, i to odmienił na gorsze. Rzeczpospolita w warszawskim swych

dziesięć lat (że sobie pozwolę użyć tego wyrażenia), zachowała już tylko cień dawniej swęj pomyślności, bogactw i potęgi. Kronika Warszawy z tych czasów, to zarazem kronika klęsk i smutnych historycznych kolei, przez jakie kraj cały przechodził; a każda z tych klęsk w niej, jako władz siedlisku, tém silniej uczuć się dawała. Dawna mazowiecka stolica, ze skromnej swęj względnie przeszłości, z czasów poprzedzających osiedlenie się w niej dworu Zygmunta III, nie mogła posiadać wiele godniejszych uwagi pomników budownictwa. Dziś i o tych ledwie z tradycyi wiemy. Domy Starego i Nowego Miasta, których mury dźwigniętymi były w znacznej części jeszcze za panowania ostrołukowej architektury, zaledwie gdzieś zachowały jęj piętno. Ale przebiegłszy w myśli liczne a ciężkie klęski, jakie nasze miasto nawiedziły, dziwić się doprawdy można, że i tę trochę murów ze starożytnęj przeszłości swęj zachowało.

Za Jana Kazimierza pożar, wybuchł po sejmie 1607 r., pochłoniął część miasta; w latach 1625, 1628 i 1636 nęka je mór; w r. 1648, w skutek spustoszeń szarańczy, trapi je głód; wylew Wisły r. 1647 znosi część domów i zabudowań; r. 1650 pożar niszczy zamek; w roku 1660 płonie pałac Jana Kazimierza; w r. 1662 znowu nawiedza miasto mór. W 1655 r. Szwedzi wkracząc do Warszawy, plundrując zamek i domy; 1656 r. oswobadza ją od nich król Jan Kazimierz, posilkowany przez Tatarów, ale niebawem miasto ponownie wpada w ręce Karola Gustawa, który burzy jego mury warowne i pali przedmieścia. W roku następnym 1657 Rakoczy, książę siedmiogrodzki, z Węgrami, Kroatami i Wołochami wdzierają się do miasta i straszliwie je łupi. Po klęskach tych Warszawa tak opustoszała, że w Starém Mieście liczono wszystkiego (w r. 1659) domów 184, w Nowém 93; przedmieścia zaś z licznemi pałacami leżały w gruzach. W r. 1668 tłumy szlachty, zebranej na elekcyę po abdykacyi Jana Kazimierza, dopuszczają się w zubożonym mieście licznych nadużyć, nawet rabunków, a wynikły jednocześnie pożar pochłania część miasta. W latach 1675 i 1677—1679 znowu mór grasuje. W smutnych tych czasach kraj stracił miast przez wojny, głód, mór i emigracye do trzech milionów mieszkańców. W r. 1702 ponawia się najście Szwedów, pod wodzą króla Karola XII, w których ręku Warszawa przez lat 3 pozostawała; w r. 1705 wre w murach miasta i na przedmieściach zacięta bitwa, między Szwedami a dobywającemi Warszawę wojskami polskimi i saskimi, po których pokonaniu, miasto obłożone zostało przez zwyciężkich Szwedów kontrybucyami. Nowe te klęski i burze, częste a uciążliwe przechody wojsk polskich, saskich, rossyjskich i szwedzkich, połączone z gwałtami, kontrybucyami i kwaterunkami, plażyły ustawicznie stolicę, która jeszcze dawnych ran zagoić nie miała czasu. W r. 1708 znów pożar pochłonie część miasta, a wybuchł w tymże roku straszne morowe powietrze, do r. 1710 zabiera 30,000 ofiar. W r. 1712 nowy pożar i morowe powietrze; co nie wymarło, to rozproszyło się po okolicach i kra-

ju, tak że najludniejsze ulice porastać zaczęły trawą; w opustoszałym mieście grobowa zaległa cisza.

Po każdej z tych klęsk, Warszawa dźwigała się z upadku i gruzów, odnawiała lub wznosiła nowe domy i świątynie; przyczém oczywiście coraz bardziej nadierały się cechy jej starożytności. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tém, w jaki sposób te ciężkie warunki historyczne oddziaływać musiały na wzrost, zabudowywanie się i upiększanie stolicy. Sposobności do nowych prac budowlanych, właśnie z racyi tych ustawicznych pustoszeń, naturalnie nie brakło; atoli w zubożalém, ciągle wyludnianém, więc i zakwitnąć nie mogącym mieście, nie było mowy o wznoszeniu budowli wspanialszych, na większą zamierzonych skalę, jak w tych szczęśliwych miastach i stolicach, gdzie one bywają wyrazem zamożności mieszkańców. Do dźwigania murów zabierano się z pewnym pośpiechem, by je jaknajrychlej zdolnemi do użytku, do zamieszkania uczynić; nie chciano tracić na ich wznoszenie dużo czasu i pieniędzy, o które zrujnowanym mieszkańcom musiało być ciężko. Bez względu jednak na taki stan rzeczy, stawały mnogie, coraz nowe pałace panów, których tu życie stołeczne i sprawy publiczne ścigały; powstawały i zabudowywały się pod ich tarczą nowe jurydyki; ale te ostatnie właśnie podkopywały coraz bardziej interesa i dobrobyt miasta, które pod względem ruchu przemysłowego i handlowego, od chwili obrania go na królewską rezydencję, chyliło się ku coraz głębszemu upadkowi. W Jarzembskiego opisie współczesnej mu Warszawy (za Władysława IV), spotykamy szczegółowe wzmianki o tych pałacach magnackich, błyszczących zbytkiem i nadających miastu złudny pozór pomyślności i dostatku. Wglądając nawet w dzieje naszych świątyn, przekonujemy się, że były one budowane jakoś dorywczo, jakby tymczasowo; nadawano im najczęściej wymiary szczupłe, w wydatkach na budowę przestrzegano najmożliwszej oszczędności i prowadzono ją po lat kilkanaście; a niekiedy i kilkadziesiąt lat upłynęło, zanim świątynia zupełnie wykończona stanęła. W ciągu zaś tak rozwlekłe prowadzonych robót, przerywanych niejednokrotnie dla braku funduszków lub z powodu klęsk publicznych i po wielu latach znowu podejmowanych, zmieniano nieraz plany pierwotne, obcinano je i upraszczano: ponieważ środki wyczerpywały się, a ofiary płynęły skąpo w wyniszczonym mieście.

Tak np. założony w roku 1639 kościół ś. Józefa Oblubieńca (b. OO. Karmelitów) na Krak. Przedmieściu, po zburzeniu go w r. 1655, zaczął się dźwigać z gruzów nie prędkiej, jak w r. 1672, stanął zaś skończony dopiero w r. 1716. Budowa jego trwała zatem lat 44; a obecną swoją elewacją frontową z ciosowego kamienia otrzymał dopiero w r. 1783, dzięki hojności księcia Karola Radziwiłła (Panie Kochanku). Kościół Ś. Krzyża budowany był od 1682—1696 r.; późniejsza zaś znacznie budowa obu wież trwała od r. 1726—1754, lat 28; zaś fasada dopiero w następnym roku ukończoną została. Kościół Ś. Franciszka Serafickiego na Zakroczymskiej, zaczęty w r. 1679, stanął do-

pięro w roku 1737, to jest budował się lat 58; zaś wieżę i fasadę otrzymał w trzydzieści lat później. Dla Wizytek, sprowadzonych z Francji w roku 1654 przez Maryą Ludwikę, i początkowo w drewnianym osadzonych klasztorze, nierychło, bo dopiero w roku 1728 zaczęto stawiać kościół murowany; atoli wkrótce, z powodu śmierci fundatorki, roboty zostały zaniechane i dzisiejsza świątynia stanęła dopiero w latach 1755—1760. Poprzestanę na tych kilku przykładach. Niejeden z istniejących dziś kościołów, pierwotnie z drzewa był wystawiony, co jak na stolicę, dziwnem się conajmniej wydać musi. Z czasem dopiero, gdy okoliczności pozwoliły, skromne te drewniane kościółki murowanymi zastępowano. Takimi drewnianymi zrazu, skromnymi świątyniami, między innymi były: kaplica Ś. Jacka, wystawiona w r. 1603, w miejscu, gdzie stanął później istniejący dotąd kościół pod tymże wezwaniem (po-Dominikański) na Freta; Ś. Franciszka Serafickiego, zbudowany r. 1645, gdzie dzisiejszy murowany; Ś. Krzyża, rozebrany w r. 1682 dla zrobienia miejsca istniejącemu dotąd murowanemu kościołowi.

Wszystkie znaczniejsze budowle Warszawy noszą cechy względnie dość niedawnej przeszłości; z czasów Księstwa Mazowieckiego, to jest z epoki panowania ostrołukowej architektury, jak już napomknąłem wyżej, nic prawie nie ocalało. W kościele Ś. Jana, którego pierwsze mury datują z XIV wieku, przebudowywanym wielokrotnie po pożarach, rozszerzanym i przekształcanym różnemi czasy, niepodobna dziś nawet śladów odszukać dawniejszej jego postaci. Kościół Ś. Anny (po-Bernardyński) na Krakowskim Przedmieściu, temuż samemu uległ losowi; zaledwie w zakrystyi można jeszcze dopatrzyć się resztek jego starożytnych gotyckich murów. Podobnież zmienił do niepoznania swe kształty starożytny, bo w połowie XV wieku założony kościół Ś. Marcina (po-Augustyański) na ulicy Piwniej, który chyba w dzwonnicy ślad starych zachował murów. Jedyne kościół N. M. Panny na Nowém Mieście, zbudowany r. 1411 przez Annę Kiejstutównę, żonę Janusza, księcia mazowieckiego, choć łupiony był, jak inne, przez nieprzyjaciela i kilkakrotnie gorzał, zachował swe charakterystyczne, starożytne mury i z téj racyi jest drogą naszej przeszłości pamiątką, choć może nie imponującą pod względem artystycznej wartości.

Wiekі XVII i XVIII, z których po największej części pochodzą świątynie i godniejsze uwagi budowle świeckie Warszawy, w dziejach architektury nie najlepszej używają sławy. Były to czasy panowania stylu barokowego: jego włoskich, francuzkich i niemieckich odmian. W budowie świątyni przeważała podówczas ta kapryśna, niesfora forma baroku, której nadano miano jezuickiej architektury. Znamiona téj ostatniej, mniej lub więcej dosadne, charakteryzują téż wszystkie prawie nasze kościoły, zbudowane lub restaurowane w dwóch wspomnianych wiekach według planów i pod okiem włoskich architektów. Najcharakterystyczniejszym u nas wzorem téj architektury, w jej francuzkiej mianowicie odmianie, jest kościół Opieki ś. Józefa na Kra-

kowskiem Przedmieściu (pp. Wizytek), wzniesiony podobno według planu Józefa Bellotti r. 1760. Nie można odmówić rzeczywistej piękności jego proporcjom i formom; ale dość spojrzeć na fasadę tego kościoła, żeby pojąć, jak dalece w epoce jego powstania architektki lekceważyli sobie logikę konstrukcyi, jak mało dbali o to, żeby każdy członek budowli spełniał odpowiednią do swęj natury funkcją. Kolumny, których przeznaczeniem jest podpieranie architrawu, łuków, lub sklepień, pełnią tu rolę czczej, choć wykwintnej dekoracyi. Ustawione w dwa piętra, jedne lżejsze, nad drugimi cięższymi, nie mają tu nic zgoła do podpierania; udają tylko, że podtrzymują te kapryśnie połamane fryzy i gzemsy, mające tyleż, co one, logicznej racyi bytu. A ponad tém wszystkiem piętrzy się jeszcze attyka o powyginanych formach. W zasadnie rozwiniętej konstrukcyi, zewnętrzne formy budowli, jęj ozdoby, odpowiadać powinny jęj wewnętrznemu układowi: więc te dwie, a nawet trzy kondygnacye fasady, będące oddzielnymi niejako, skończonemi w sobie częściami, bałamuca oko widza, wmawiając w niego, że wnętrze świątyni na tyleż piętr jest rozdzielone; co, jak wiadomo, niema miejsca i mieć go nie może. Otóż z taką dowolną kombinacyą renesansowych form, zastosowanych jako dekoracye, stosownie do fantazyi budowniczych, bez względu na ich konstrukcyjne znaczenie, można się spotkać i w innych naszych świątyniach, choć w różnej naturalnie mierze.

Z innych kościołów tego mniej więcej charakteru na przytoczenie tu zasługują: kościół Ś. Jacka (po-Dominikański) przy ulicy Freta, wystawiony w r. 1638, największa do niedawna z świątyń warszawskich, z gotyckim praesbiterium, posiadająca siedmnaście ołtarzy i śliczną kaplicę po prawej stronie, ciemną zwaną; część frontu tego kościoła zastąpioną jest dziś od ulicy niskim gotyckim przybudowaniem (budow. Szpilowskiego), w którym mieszczą się sklepy. Kościół Ś. Józefa Oblubieńca (po-Karmelicki) na Krakowskiem Przedmieściu (1672—1716), jeden z gustowniejszych, z oryginalnemi dzwoniczami i pięknym wielkim ołtarzem, wykonanym (1701) według planu budow. Tylmanna. Ś. Ducha (po-Pauliński) przy rogu ulic Długiej i Podwała (1707—1717), zbudowany podług planu Józefa Piola, pod kierunkiem Józefa Belotti, o dwóch wyniosłych i kształtnych wieżach frontowych (14 ołtarzy). Ś. Franciszka przy ulicy Zakroczymskiej, wzniesiony (1679—1737) podług planu Dominika Ceroni, przy współudziale budowniczych Antoniego Solari, tudzież Józefa i Jana (syna) Fontana, którzy pierwotny plan zmienili, (posiadający 12 ołtarzy); front i wieże tego kościoła, jak je dziś widzimy, stanęły dopiero w r. 1788. Tu także zaliczyć wypadnie kościół Ś. Marcina na Piwniej (po-Augustyański), o 13-tu ołtarzach, noszący wszelkie cechy architektury XVII wieku. Z wymienionych świątyń niejedna odznacza się, wewnątrz osobliwie, imponującą architekturą i bogactwem szczegółów, ale wszystkie posiadają charakter barokowego stylu.

Najszcześliwszym z nich, najbardziej może wymaganiom estetycznym odpowiadającym, jest piękny, choć skromnych wymiarów kościół

Ś. Kazimierza (pp. Sakramentek) na Nowém Mieście, fundacji Maryi Kazimiry, żony Sobieskiego (1688 r.). W planie przedstawia się jako kwadrat o ściętych rogach, z występami przy każdym z czterech boków, które mu formę krzyża nadają. Kościół ozdobiony jest zewnątrz gustownie, choć skromnie, pilastrami w tokańskim porządku i nakryty kopułą, która jakkolwiek kształtem swym świadczy o wieku budowy, przecież z resztą budowli wiąże się w proporcjonalną całość, wewnątrz zaś pokryta jest pięknymi freskami. Okazuje się też oczom przedstawia—po kościele Ś. Jacka największa do niedawna jeszcze z świątyń warszawskich—kościół Ś. Krzyża, zbudowany podług planu Józefa Bellotti, zaczęty 1682, a skończony ostatecznie dopiero w r. 1756. Styl tu trzeźwiejszy, logiczniejszy, niż w kościele pp. Wizytek, wzniesionym podług planu tegoż samego architekta; w połamanych atoli gzemśach i krzywiznach elewacji frontowej wypowiada się tu wyraźnie panujący smak epoki. Zresztą jest to budowla poważna, imponująca; a imponowałyaby bezwątpienia bardziej jeszcze, gdyby pierwotny jej plan nie został obcięty, zepsuty, zarówno zewnątrz, jak wewnątrz; gdyby np. miejsce pomiędzy dwiema frontowymi wieżami wypełniała projektowana pierwotnie kopuła; fasada straciłaby przeto swoją nieproporcjonalną szerokość, rażącą szczególniej jeśli na kościół patrzymy z przeciwległej strony ulicy. Wyniosłe a błyszczące złożonemi ołtarzami wnętrze posiada szczegóły ciężkie, choć obiegający w górze dokoła gzemś zwraca na się uwagę pięknym profilem. Niewielki kościół Przemienienia Pańskiego (po-Kapucyński) na Miodowej, wzniesiony r. 1692 według planu Affatego, przerobiony przez Augustyna Locci, należy równie do gustowniejszych świątyń w naszym mieście; szkoda tylko, że go oszpecono zewnątrz przybudowaniem, stanowiącém wejście do kościoła podziemnego.

Ołtarze zdobiące wnętrza naszych kościołów, zarówno skromne jak te co się wykwinnością i bogactwem zalecają, wszystkie prawie posiadają formy mocno barokowane w duchu jezuickiej architektury, która właściwie w ołtarzach dopiero najwszechwładniej zapanowała, panuje w nich dziś jeszcze w całej sile i zdaje się że nie prędko chyba panować przestanie. W istocie, styl ten tak się zrośł jakoś z pojęciem architektoniki ołtarzy, że wszelka zmiana w tym względzie z pewnością raziłaby oko nawykłe do tego bogactwa form, do tych giętych i łamanych fantastycznie lub planowanych ukośnie (bez żadnej logicznej racyi) linii, gzemśów i t. p. Témbardziej że ołtarze ostrołukowego stylu zaniechane zostały już od wieków, wraz z upadkiem architektury co je zrodziła; że czyste wprawdzie, lecz zimne formy klasyczne nie nadają się jakoś ku temu celowi, zaś inné odpowiedniejszej architektury, innego stylu, dotąd nie posiadamy.

Obok włoskiego i francuzkiego baroku, z końcem XVII w. wynurza się w architekturze Warszawy styl rococo, a w XVIII w. następne jego we Francyi formy, tudzież barok niemiecki, pospolicie Zopfem zwany, który się do nas za Sasów wcisnął. Rococo we wszystkich

swych odmianach widzimy dotąd jeszcze panującym wszechwładnie w architekturze mebli, w bronzach, ramach złożonych, wyrobach galanterijnych i w ogólności w wewnętrznym urządzeniu i przyozdobieniu pałaców, salonów. A trzeba przyznać, że lekki, wykwintny ten styl, nadaje się ku temu celowi lepiej niż jakibądź inny. Ojczyzną jego nie mógł być inny kraj jak Francya, będąca właściwą ojczyzną wytwornego życia dworskiego i salonowej elegancyi. Tutajto, za Ludwików XIV i XV, wypielegnowanym został ten smak wymyślny, kapryśny, który wraz z obyczajem salonów francuzkich i modą paryżką po reszcie rozszerzywszy się Europy, nie omieszkiał i do nas zawitać. Rococo zrywa ostatecznie z architektoniczną logiką, z którą bądź cobądź baroko rachuje się jeszcze; nie stanowi już ona wędzidła na swawolną fantazyą artysty, którego myśli biegną tu i wiją się w najniespodziewańszych zwrotach, w najdziwniejszych ornamentach. Jestto, jak powiedziałem, styl mebli, salonów i buduarów, i z wnętrza apartamentów wychodzić nie powinien; zastosowany zaś do elewacyi frontowych, zmienia je w dziwaczne, czcze i zimne dekoracye, rozmiijające się z wymaganiami istotnego architektonicznego piękna. Z budowli świeckich zachowujących charakter francuzkiego baroku wymienię tu: piękny pałac hr. Stanisława Potockiego na Krakowskiem-Przedmieściu; pałac niegdyś Kossowskich, dziś Zawiszów, przy ulicy Bielańskiej, który odrestaurowany świeżo przez budowniczego W. Bobińskiego, posiada sale i schody jedne z najpiękniejszych w Warszawie i pałac Żubieńskich na ulicy Królewskiej. Pięknym okazem niemieckiego baroku (Zopfu) jest pałac Brühlowski na Saskim placu i ulicy Wierzbowej; cechy téj architektury noszą téż między innemi: gmach Staréj poczty na Krakowskiem-Przedmieściu i kamienica Bitschana na ulicy Długiej. W stylu rococo są budowle następujące: kamienica Prażmowskich, dziś Dobrycza na Krakowskiem-Przedmieściu (najcharakterystyczniejszy okaz) i pałac Krasińskich tamże (naprzeciw Uniwersytetu). Zresztą mniej więcej wyraźne cechy tego stylu z doby Ludwika XV i późniejszej, niekiedy z przymieszką Zopfu, noszą: Pałac Blanka na placu ratuszowym, pałac Karasia pod Kopernikiem, pałac Tarnowskich na Krakowskiem-Przedmieściu (dziś Bank dyskontowy), dom Roetzlera (front od podwórza od ulicy Senatorskiej), dom zwany Deckerta na Długiej ulicy i dom oznaczony Nr. 543b/10 tamże, dziś własnością Marguliesa będący. Z niewielkim wyjątkiem, elewacye wszystkich tych pałaców i domów są projektowane dziwnie sucho, bez urozmaicających je profilów; cała zewnętrzna ozdobność tych gmachów polega na zakończonej zazwyczaj szczytem lub attyką facyacie i rozrzuconych po murach luźnych ornamentach w kształcie girland, wisiorów, muszli, kwiatów, wiązanek i t. p. dodatków, nie mających nic wspólnego z konstrukcją.

I te formy przeżyły się wreszcie. Śród największego rozwielenia się ich w architekturze, przygotowywała się zwolna reakcyja, budziło się pragnienie form czystszych, szlachetniejszych; architekci

zaczynali wracać do wzorów włoskiego odrodzenia, a nawet do klasycznej architektury. Większa część budowli wzniesionych za panowania Stanisława Augusta, dowodzi tego dążenia do otrząśnięcia się z dziwactw architektonicznych: a były to czasy kiedy i miejscowe talenta zaczynały się wyrabiać. Włosi nie przestali być, co prawda, głównymi kierownikami budowlanych robót; ale obok nich widzimy już czynnych kilku swoich i zdolnych, wykształconych we Włoszech lub pod okiem cudzoziemskich mistrzów budowniczych, jak Jakób Kubicki, pułkownik inżynierii Stanisław Zawadzki i Piotr Aigner. W uporządkowanej znacznie i upiększającej się z każdym rokiem Warszawie, zawrzało życie niezwykle. Ludność miasta wynosząca w r. 1780 zaledwie około 70000, doszła w ostatnich latach tego panowania (roku 1792) do 120000. Dało to naturalnie pohop do znacznego ożywienia się ruchu budowlanego: zaludniały się bystro przedmieścia, tak że za murami miasta nowe powstawały dzielnice. Przybyło 20 nowych ulic, stanęło przeszło 300 nowych murowanych domów. Sam król, znający się pono lepiej na malarstwie i architekturze, niż na sztuce rządzenia narodem, wspierał swoją szkatułą ten ruch budowlany.

Z znakomitszych dzieł budowlanych tej epoki wymienię tu odbudowanie Zamku Królewskiego zniszczonego przez pożar, dokonane pod kierunkiem Dominika Merliniego (r. 1773), który mu dzisiejszą nadał postać; przyczem z dawnych murów, wzniesionych za Zygmunta III w r. 1622 podług planu Andrzeja Abrahamowicza, wieża w całości prawie została zachowaną. Frontowe ściany zamku od Krakowskiego-Przedmieścia, we trzy rzędy okien, upiększone pilastrami i ornamentami w duchu klasycznym, znamionują ten zwrot do czystszej renesansu, o którym powyżej napomknąłem. Według planu tegoż architekta, przy współdziale Jana Kamsetzera, Bacciarellego, Kubickiego i samego podobno króla, został przebudowany i do obecnego doprowadzony stanu pałac królewski w Łazienkach (1784 r.), istne arcydzieło wytwornego smaku, świadczące wyraźnie o budzącem się zamiłowaniu do form klasycznej architektury. Zwracam tu szczególnie uwagę na prześliczną elewację tego pałacu od strony pomnika Sobieskiego, będącą w zupełności dziełem Kubickiego. Pałac Krasińskich na placu téjże nazwy (b. gmach senatu, teraz Izba sądowa warszawska), najwspanialsze może z istniejących dotąd w Warszawie dzieło świeckiej architektury XVII wieku, odrestaurowany po pożarze przez Merliniego i Zawadzkiego (r. 1784) i do terażniejszej przywiedzony postaci, jest i dziś jeszcze jedną z najcelniejszych ozdób miasta. Pałac Prymasowski przy ulicy Senatorskiej (dziś na szkołę junkrów obrócony) dźwignięty został na miejscu dawnego pałacu (r. 1784), według planu budowniczego Efraima Schroegera. Około tych samych czasów staje (r. 1779) imponująca rozmiarami i pewną trzeźwością dekoracyi budowla kościoła ewangelicko-augsburskiego przy ulicy Królewskiej, w kształcie wielkiej rotundy, z portykiem głównym w stylu doryckim, nakryta śmiałą kopułą, zakończoną u góry latar-

nią o jońskich kolumnach. Plan tego kościoła wykonał budowniczy Szymon Zug; w budowaniu jego wziął też udział Kubicki. Jako wzór uszlachetnionego stylu, zastosowanego do pałaców prywatnych i domów, przytoczyć tu się godzi piękny samą proporcjonalnością swych wymiarów, chociaż pościągawie zewnątrz zdobiony, pałac niegdyś Tyszkiewiczów (dziś hr. Potockich) na Krakowskiem-Przedmieściu obok Wizytek, zbudowany r. 1792 przez Jana Kamsetzera. Szpecą go tylko ciężkie karyatydy dźwigające balkon, nie licujące z resztą budowli. Kościół ś. Anny (po-Bernadyński) na Krakowskiem-Przedmieściu otrzymał (1788 r.) dzisiejszą swoją elewację, zaprojektowaną przez Aignera. Z innych budowli wymienię tu jeszcze wykonane według planów Zawadzkiego: gmach b. Sądu apelacyjnego na ulicy Miodowej (dawniej konwikt Pijarów); pałac biskupów krakowskich albo Sołtyka na téjże ulicy, dziś własność Piotrowskiego; pałac niegdyś hetmana w. kor. Klemensa Branickiego na Miodowej i Podwalu, dziś zwany Dyzmańskich; koszary Sapieżyńskie przy ulicy Zakroczymskiej; koszary artylerji (Wołyńskie) przy ulicy Dzikiej, gdzie dziś sąd i więzienie wojskowe; przebudowanie pałacu Ujazdowskiego na koszary (gdzie dziś szpital wojskowy) i wiele innych mniejszego znaczenia; tudzież wzniesione pod kierunkiem Kubickiego: dom Teppera, dziś zwany Grabowskich, na Miodowej, ujeżdżalnię przy Ogrodzie Saskim i t. d. Można by jeszcze wiele innych wymienić gmachów i domów, któremi upiększyła się Warszawa w ożywionej Stanisławowskiéj epoce. W architekturze ówczesnej biorą stanowczą przewagę nad barokiem czystsze renesansowe formy. Ale zaznaczony tu w rozwoju miasta i jego ruchu budowlanym zwrot ku lepszemu, trwał niedługo. Ożywienie to było jakby ostatnim blaskiem płomienia, który niebawem miał zgasnąć. Po roku 1784 ustaje nagle ruch, miasto upada, publiczne klęski wyludniają je ponownie. Opustoszałe pałace stały pozamykane, o wznoszeniu nowych niebyło komu myśleć. W roku 1805 liczba mieszkańców Warszawy spadła do 68411, zmniejszyła się zatem prawie o połowę. I tak oto w chwili, kiedy handel, przemysł i sztuki, wzięte przez rząd w opiekę, zaczynają się podnosić z wiekowego upadku, kiedy wzmagające się miasto następuje pole do budowlanych przedsięwzięć, kiedy oczyszczenie się smaku zapowiada odrodzenie się architektury a rozbudzone siły krajowe liczniéj i z pomyślniejszym skutkiem zaczynają się uprawie téj tak długo zaniedbywanéj sztuki poświęcać—słowem, kiedy nareszcie warunki ułożyły się tak pomyślnie, iż pod ich wpływem mógł utworzyć się jakiś zawiązek szkoły polskich budowniczych, którzyby choć w przyszłości cudzoziemców u nas na tém polu zastąpić mogli—nagle urywa się wszystko.

W epoce Księztwa Warszawskiego, a bardziéj jeszcze z chwilą ustanowienia Królestwa kongresowego, kiedy organizm miasta po różnych wstrząśnieniach politycznych normalniéj zaczął funkcjonować, a handel i przemysł, do których ożywienia Staszic wszelkimi znierzał drogami, w pomyślniejszą wchodziły fazę, Warszawa znowu od-

żyła. Założony (r. 1817) uniwersytet, uczynił ją ogniskiem budzącego się w strapionym kraju życia umysłowego. Równoległe z wzrostem ludności, szło budowanie się nowych ulic i dzielnic, porządkowanie i upiększanie dawnych, z których z każdym rokiem znikwały rudery i lepianki, ustępując miejsca okazalszym budowlom. Oprócz znanych już nam architektów Aignera i Kubickiego, pod ówczesną dobę odznaczają się w zawodzie budowniczym między innymi: Lessel, Galle i Gołłoński. Z tém wszystkiém jednak, zastęp swojskich talentów nie mógł być jeszcze bardzo liczny, bo jak widzieliśmy, dawniejsze stosunki nie sprzyjały ich wyrabianiu się; wprowadzie na wydziale sztuk pięknych przy Uniwersytecie Warszawskim zostały otwarte wykłady budownictwa, ale wykształcenie nowych talentów potrzebowało czasu. Otóż w obec nowych potrzeb, swojskie siły architektoniczne, choć już godne zewszepochmiar uznania, okazały się niewystarczającemi, i trzeba było znowu odwołać się o pomoc do zagranicy. Zaczęło się tedy po dawnemu od tego, że sprowadzono architektów Włochów. W r. 1818 przybywa z Florencyi wezwany przez Staszica Antoni Corazzi, a nieco później (r. 1822) Ludwik Pac sprowadza Henryka Marconiego, który już do końca życia w Warszawie pozostał. Rozpoczęły się więc roboty, mury dźwigały się bystro i w niedługim przeciągu czasu, bo do r. 1830, stanęło w Warszawie, oprócz domów i podrzędniejszych budowli, mnóstwo wspaniałych pałaców i gmachów publicznych, jak obserwatorium astronomiczne (r. 1819), pałac Towarzystwa przyjaciół nauk (rok 1821), gmach b. komisji skarbu (r. 1824), pałac ministrów i Bank (r. 1826), pałace: komisji spraw wewnętrznych (przebudowany z b. pałacu Mostowskich) przy ulicy Przejazd, komisji sprawiedliwości (przerobiony z pałacu Raczyńskich) na ulicy Długiej: wszystkie zbudowane według planów Corazzi'ego. Ale wyboru co do tego architekta nie można nazwać szczęśliwym, a wzniesione pod jego kierunkiem gmachy, z wyjątkiem może jednego pałacu Towarzystwa przyjaciół nauk, posiadające istotnie piękne proporcje, ciężkie są i pretensjonalne. Jest on przedstawicielem tego rzekomo klasycznego kierunku w architekturze, jaki za Napoleona I we Francyi a potem i w innych krajach Europy zapanował. Hołdowali mu zresztą inni, czynni podówczas w Warszawie architekci, jak się o tém łatwo z pozostałych po nich budowli przekonać można.

Godniejszemi z nich wzmianki są: mennica przy ulicy Bieleńskich (dziś na fabrykę broni zajęta); gmach ratusza, przebudowany z pałacu Jabłonowskich (spłonął w r. 1862); gmach uniwersytetu wzniesiony na miejscu dawnego t. z. Kazimierowskiego pałacu, według planów budowniczego Szpilowskiego, wraz z sąsiednimi pawilonami; pałac namiestnikowski na Krakowskim-Przedmieściu, przebudowany przez Aignera z dawnego pałacu Radziwiłłów (r. 1818); pałac belwederski, będący dziełem Kubickiego (r. 1823), i odbudowany po pożarze pałac Mniszchów przy ulicy Senatorskiej, gdzie się dziś mieści Resursa kupańska. W tymże okresie czasu stanął piękny kościół ś. Aleksandra

(r. 1826) w kształcie rotundy z kopułą i z dwoma portykami o korynckich kolumnach, według planu Aignera, niewłaściwie porównywany przez niektórych z Rzymskim Panteonem, do którego niewiele ma podobieństwa, zaś proporcjami stanowczo się od niego różni. Tegoż architekta dziełem są jeszcze: obecna fasada kościoła ś. Andrzeja (PP. Kanoniczek) na placu ratuszowym (r. 1819) i galeria w jońskim porządku na arkadach zbudowana dla zastąpienia boku kościoła ś. Anny (po-Bernadyńskiego) a przerobiona w ostatnich latach na pomieszczenie wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Z tychże czasów piękny pałac Paca przy ulicy Miodowej (1829 r.), obecnie na sąd okręgowy zajęty, zbudowany w stylu włoskim odrodzenia (Palladyusza), jest pomysłem Henryka Marconiego.

Nie wyczerpałem tu listy wszystkich znaczniejszych, wykonanych podówczas prac budowlanych; ale już i z tej, dość zresztą pokąźnej ich liczby, czytelnik przekonać się może, że w pracy około upiększenia miasta nie ustawano. Wszystkie one wprowadzie noszą mniej lub więcej wyraźne cechy tego klasycznego kierunku, o którym już wyżej wspominałem. Było to jakby nowe architektury odrodzenie, nowy renesans; ale tym razem dźwięczy w nim jeszcze donośniej, niż dawniej, helleńska nuta. Fasady pałaców i gmachów przystrajały się więc arkadami, kolumnami, pilastrami i ornamentami motywowanymi na klasyczny sposób. Imponujące portyki doryckie, jońskie i korynckie weszły niejako na porządek dzienny. Po długich latach kapryśnego smaku i wszechwładztwa dekoracji, architekci zdają się lubować w tych szlachetnych, jasnych a majestatycznych formach klasycznej architektury, których zresztą nie zawsze z dobrym używają skutkiem; szerzą też zapamiętałe ich kult, bez względu na miejsce i okoliczności. Gdy jednak zastanowimy się, żeśmy narazie, nie posiadając w architekturze żadnych form tradycyjnych, zmuszeni byli obcemi posługiwać się nabytkami, to okaże się że ci, co nam takie a nie inne wzory przed oczy stawili, dobrze zastąpili się miejscowemu budownictwu. Nam, którzy dopiero zbieraliśmy się z siłami, wskazywały one tę prostą a logiczną drogę, jaką starożytni mistrzowie doszli do osiągnięcia architektonicznego piękna i jaką naszymi też architektom, przy należytem uwzględnieniu miejscowych czynników, obrać należało.

Naśladownictwo stało się więc znowu główną cechą naszej pracy w dziedzinie architektury, ale inaczej być jeszcze nie mogło. Zresztą, naśladowaliśmy dobre wzory, na czém rozwój talentów mógł raczej zyskać niż stracić; w każdym bowiem pracy kierunku trzeba przejść mozolne studia, poprzedzające nabycie wprawy i możności samodzielnego tworzenia: słowem, trzeba przejść szkołę; a gdzie szukać lepszej szkoły dla wyrabiających się architektów nad tę, jaką jest studyowanie i naśladowanie pomników klasycznej architektury? Z tém wszystkiem, trzeba wyznać, że niekiedy, jak np. w gmachu b. komisji skarbu, zanadto już suto częstowano nas temi kolumnami, podcieniami i tym podobnymi reminiscencyami greckiej i rzymskiej architektury, które z na-

tury swój potrzebują jaśniejszego nieba niż to, jakiem natura naszą obdarzyła ziemię.

Powstało też jednocześnie mnóstwo domów prywatnych, mniej lub więcej ozdobnych, ale budowle te, jako wznoszone jedynie w celach mieszkalnych, nie nastroczały architektom odpowiedniego do popisu pola; w mieście bowiem niezamożném oszczędność stawała się nieodzownym dla budujących warunkiem, a wymagania architektury jako sztuki, zchodziły tu z konieczności na plan ostatni. Pomimo to, kamienice dźwignięte w owych czasach, jak np. na Nowym-Świecie, który cały się prawie przed trzydziestym zabudował rokiem, przewyższają o wiele pod względem estetycznej powierzchowności owe masywne, ponure klatki wielopiętrowe, z porobionemi w murach bezładnie otworami (oknami), będące dziełem raczej mularskiego rzemiosła niż architektonicznej sztuki, a których dzielnice staréj Warszawy tak wiele z dawniejszych zachowały czasów. Z wielu wyróżniających się kamienic z owéj doby, wymienię tu tylko wielki dom na placu ratuszowym, zwany Petyskusa; dom Lewenberga przy zbiegu ulic Senator-skiéj i Bielańskiéj (Aignera) i Bürgera na Nowym-Świecie (Lessla).

(Dokończenie nastąpi).

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

A. Gorajską *).

Tom II.

XXIII.

Wojna ta w Afryce należała do najkrwawszych i najstraszniejszych. Bóg chciał, ażeby niwa cywilizacyi zraszaną była krwi potokami i użyźnianą ludzkim życiem.

Ale wojny te z barbarzyńcami są to wojny strasznie krwawe, pełne okrucieństw i srogich odwetów. Biedak, widząc, iż plemię wyższe wdziera się do jego szałasów, aby je wyrwać zdriczeniu, do jego świątyn, aby obalić jego bożyszcza, wyobraża sobie, iż wróg zasługuje tylko na zupełne wytępienie.

Ztąd afrykańscy barbarzyńcy, wśród tych obcych przybyszów, krwawe sieli mordy i rzezie straszliwe, a ze swęj strony europejskie wojsko kroku nie stąpiło, ani jednego nie odniosło zwycięztwa, nie osiągnęło ani jednego podboju, bez pozostawienia na okół po sobie na tych spiekłych piaskach okropnych śladów śmierci i spustoszenia.

W tak smutnych okolicznościach pomyślano o sprowadzeniu do

*) Dalezy ciąg — patrz zeszyt za lipiec r. b.

Afryki Sióstr Miłosierdzia, tych istot wyjątkowych, które niby skrzydlate anioły wlatują ponad niedolą i boleścią ziemską.

Ich tylko ogniste dusze mogą znieść niedogodności tych klimatów; ich tylko odwaga potrafi kroczyć po polach trupami zasłanych: tylko ich miłosierna żarliwość zdoła nastarczyć obsłudze tak licznych a nędznych szpitalów. Siostra Miłosierdzia biegnie na plac boju, bierze rannego w swoje objęcia, zatrzymuje w nim wymykającą się już z ciała duszę, opatruje i częstokroć powraca do życia biednego żołnierza, a jeśli go widzi umierającym, jest mu pomocą w tém ciężkiem przejściu: łąą i modlitwą uświęca martwe jego zwłoki.

W wojsku dawała się czuć gwałtowna potrzeba tych aniołów pokoju, potrzeba wzmagająca się z dniem każdym. Dlatego téż Siostry Miłosierdzia nietylko z Francyi lecz i z innych krajów, przybywały do Afryki na ratunek téj armii, dziesiątkowanej przez zarazę, głód i wojnę. Cóż może być bardziej wzruszającego, nad widok miłości w miejscu, gdzie wszystko tchnie nienawiścią! tam, gdzie jedynie zemsta panuje, ujrzeć działanie litości i współczucia!

Lecz, by się do Afryki udać, na to potrzebną była miłość bliźniego nadzwyczajna. Pewnego dnia dowiedziano się w Neapolu o nieszczęśliwém położeniu francuskiej armii. Wraz z tą smutną wiadomością, nadeszła odezwa do Sióstr Miłosierdzia, powołująca je na tę wojnę, z tém wszelako zastrzeżeniem, iżby postanowienie do téj podróży, wypłynęło z ich własnej i nieprzymuszonej woli, bez żadnego nakazu, a to ze względu na niesłychane trudy i niewygody, jakie je tam spotkać miały.

Aniela poszła do matki przełożonej klasztoru i przedstawiła jój swój zamiar udania się do Afryki.

— Siostro Aniello—odrzekła przełożona—czy rozważyłaś niebezpieczeństwa, na jakie się narażasz?

— Wszystko dobrze rozważyłam.

— Wiesz, że tam łatwo możesz grób swój znaleźć?

— Wiem, ale pragnę koniecznie tam się udać.

— O! to jest zbytek gorliwości.

— Wszakże po to przyszedłam tu, aby nieść ratunek chorym i cierpiącym, a tém więcej jest cierpiących, zatem potrzebniejszą jest tam moja pomoc. Czyż mogę lepiej odpowiedzieć memu powołaniu?

— I opuścisz tu tyle biednych i nieszczęśliwych?

— Dla biedniejszych jeszcze i nieszczęśliwych.

— Ale siły twoje nie wytrzymają tak ciężkich znojów?

— Jeżeli się stargają ze szczerem, wtedy umrę.

— To jest samobójstwo!

— Nie, jestto spełnianie obowiązku do ostatka.

— A tutejsze siostry zakonne! porzucisz je?

— Kiedy porzuciłam moje występy dla téj tu pracy, moję matkę dla klasztoru, nie po to rzuciłam to wszystko, aby się wiązać no-

wemi stosunkami, nowemi węzłami serca. Wszystkie pozrywałam dlatego, aby się stać podporą biędnych i potrzebujących ratunku.

— Siostro Aniello, nie porzucaj nas!

— Ach! wiedzieć, że tam giną tysiącami i nie módz ich ratować, tego na sobie przenieść nie mogę! Matko, ja muszę popłynąć do Afryki!

Matka przełożona, widząc, iż nic sama nie poradzi, wyszła z pokoju, gdzie Aniela tak natarczywie dopraszała się jój przyzwolenia na tę podróż, i udała się do szpitalnej infirmaryi. W kilka chwil potem wracała, prowadząc za sobą liczną gromadę rekonwalescentów i słabych obojój płci i różnego wieku.

— Wchodząc, cała rzesza, na widok Anieli, uderzyła w płacz i lament wielki.

— Nie opuszczaj nas, Siostro!—jęczało jedno ściskając jój kolana.

— Na miłość Boską!—wołali drudzy.

— Co się z nią, biedaczką stanie?—powtarzała największa część.

— Nasza pocieszycielka!—wołały liczne głosy chórem.

— Nasze wspomnienie!—dopowiadali inni.

— Nasz anioł..

— Nie, nie pojedziesz!

— My za tobą wszyscy pójdziemy!

I wszyscy kołem ją obstąpiwszy! nacierali na nią prośbami, jękiem, łzami...

— A widzisz, Siostro—mówiła przełożona do Anieli.

Ta, stojąc w pośrodku téj cizby biędaków, cała drżąca, zaledwie mogąc utrzymać się na nogach, ze stłumionym oddechem, nie była panią swego wzruszenia, i rozpłakała się rzewnie, a łzom jój towarzyszyły łkania i jęki obecnych.

— Już płacze—powiadali—już od nas nie pojedzie.

— Nie może nas porzucić—przywtarzali drudzy.

— Prawda, że nas Siostra nie porzuci?—mówiły dzieci.

— Aniela poruszyła głową, na znak, że chce coś powiedzieć.

— Nie pojedzie, nie pojedzie!—wołali radośnie wszyscy, a dzieci skakały i śmiały się z ukontentowania.

— Nie pojedziesz, Siostro? Wszak prawda?—pytała przełożona.

— Poczekajcie, poczekajcie chwilę... tak jestem wzruszona, że mówić nie mogę—odrzekła Aniela ciągle płacząc.

— Spróbuj, Siostro, czy będziesz mogła odjechać—mówiła jedna z chorych, która staraniom Anieli zawdzięczała życie.—Spróbuj, mówię; moje dzieciny uczepią się wam u szyi, ja pochwycę za kolana, i Siostra ani kroku ruszyć się nie będzie mogła.

— Pozwólcie mi mówić. Wzruszona jestem nad wszelki wyraz. Gdybym uczyniła ofiarę, oddając się obecnemu powołaniu mojemu, rozkosz, jaką czuję w téj chwili, jużby ją sownie nagrodziła. Żadna radość, żadna przyjemność, nie może iść w porównanie z tą, jakiej doświadczam. Chłodno przyjmowałam owacye tłumnej publiczności, lecz

w obec objawów waszego przywiązania, czuję się, jakby przeniesioną do nieba. Lecz dzieci moje, święta powinność mię woła. Uroczyście ślubowałam iść tam, gdzie najsrozsze nędzy, gdzie największe zagraża niebezpieczeństwo. Czyż ci żołnierze w Afryce nie są w bardzo niebezpiecznym położeniu? A nie sąż oni waszymi braćmi?

— Tak, tak.

— I w tej chwili oni na pustyniach afrykańskich, pod ciosami oręża nieprzyjacielskiego, pod grotami skwarne go słońca, giną bez ratunku, a ja nie miałabym przyjść im z pomocą?

Wszyscy milczeli.

— Widzę, że was to zastanawia. Na twarzach waszych maluje się politowanie. Widzę, iż sumienie wasze powiada wam, że ja powinam pośpieszyć tam, aby się opiekować waszą bracią. W sercu niebezpieczliwych nie mieści się egoizm. Sami cierpień doznawali, wiedzą co to cierpieć. Czyż pozwolicie na to, aby na piaskach afrykańskich ginęło bez pomocy tylu młodych ludzi, potrzebnych swoim dzieciom, tylu mężów użytecznych społeczeństwu?

— Nie, nie—odezwali się wszyscy jednogłośnie.

— Kto wie? może mi daném będzie niejedno zażegnać niebezpieczeństwo, niejedną ranę zagoić; uratować niejedno życie.

— Oh, pewno, bardzo wiele!

— A oprócz tego, moje dzieci, inny jeszcze jest powód. Idzie tu o cywilizacyą dla ludów barbarzyńskich, wrogów naszej wiary. Łudę te, znając nas tylko z wojen, ze spustoszeń, jakie wśród nich zrządzamy, muszą nas znienawidzić. Potrzeba, aby nas poznały z dobra, jakie czynimy, z pociech, jakie wlewamy w dusze. Otóż, mając przed oczyma taką religią, która zdolna jest w słabe niewiasty tchnąć tyle miłości, iż przebywają morza i na śmierć się narażają, jedynie w celu ratowania niebezpieczliwych, cierpiących, bez względu na ich wiarę, na ród, na obyczaj, uważając ich wszystkich za braci, może i oni uwierzą w to, co my wierzymy, i naszego Boga uwielbią.

— To prawda, prawda.

— A kiedy ja, nędzna istota, pragnę iść ratować biednych, mielibyście wy biédni temu się sprzeciwiać? Kiedy chcę nieść pomoc niebezpieczniemu, mielibyście wy, niebezpieczliwi, powstrzymywać moje kroki? Nie, ja was znam: w sercach waszych jest miłość bliźniego, w waszej duszy jest szlachetne uczucie: wy tego nie uczynicie.

— Nie, nie—mówili wszyscy razem.

Na dany znak przez Aniełę, wyszli z pokoju.

— Widzicie, Matko?—rzekła.

— Bardzo żałuję, że ich zdołała przekonać—odrzekła przełożona.

— Teraz was tylko błagam o wasze pozwolenie.

— Siostró, pozwala na to mój rozsądek, ale moje serce, nie. Ty nas masz opuścić!

— Moje serce tu, z wami pozostania.

- Narazić się na śmierć pewną.
- To moja powinność.
- Zastanów się, że to klimat zabójczy: dni skwarne, noce chłodne... ta pustynia stanie się twoim grobem.
- Odpowiem mojemu powołaniu.
- Ty nie wiesz, co to jest pobożowisko: jaka to rzecz straszna!
- Wy, Matko, byliście tam niejedną raz.
- Ale, co wycierpiałam!...
- O! egoistka!
- Zwiesz mnie egoistką? z jakiego powodu?
- Bo chcecie mnie pozbawić zasługi podobnego cierpienia.
- Nie, tego nie chcę. Daję ci pozwolenie i moje błogosławieństwo, niechaj niebo czuwa nad tobą, kochana Siostró!

XXIV.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Śródziemne morze srożyło się, rozhukane jak nigdy. Fale, miotane wichrem piętrzyły się i ryczały, rozwierając głęboko przerażające otchłanie. Niebo oponą chmur przesłonięte, to niebo tak urocze, grobowym przejmowało smutkiem.

Mimo to, majtkowie okrętu, który wyładowany stał na kotwicy w porcie Neapolu, gotowali się do wyruszenia pod żagle.

Na brzegu jeszcze smutniejszy przedstawiał się widok. Gromada ludzi z biędnego stanu, jak można wnosić z odzieży, napełniała powietrze skargami i wyrzekaniem. Pomiedzy tym tłumem widać było grono Sióstr Miłosierdzia, smutnych i zapłakanych; a w pośrodku tego grona stała Aniela, trzymając w objęciach nawpół omdlałą kobietę czarno ubraną.

Tą kobietą była Margarita, całkiem przeobrażona tak w sposobie życia, jak nawet w swojej naturze. Dawna gwałtowność zamieniła się w spokój, zdrożności ustąpiły miejsca cnotom. Pycha przeistoczyła się w pokorę, niewiara w głęboką wiarę, zazdrość i podejrzenia względem Anieli w ufność nieograniczoną. Balsam litości i współczucia, rozlany przez Anielę na jej serce, uleczył je, zagoił krwawiące się jego rany.

Ufna w Opatrzność Margarita, wdrożyła się w tryb życia ubogi, nędzny, lecz cichy i spokojny. Przypomniła sobie dawny talent do kobiecych robótek, prawie całkiem zaniedbany, i tym zajęciem mogła sobie zarobić na jakietakie utrzymanie. I tak w pracy, w pełnieniu cnót, pędziła ten biędny żywot, przedtém rozpasany na wszelakiego rodzaju nieprawości.

Aniela kochała w Margaricie to, co artysta kocha w swoim utworze. Ona tę zamroczoną duszę wydobyła z ciemnej toni i podniosła ją ku niebu. Ona wonności cnoty wiała tam, gdzie wprzód guiędździł się tylko jad skażenia. Ona wreszcie jasnym promieniem ze

swojego ducha zaświeciła w posepnej nocy sumienia téj nieszczęśliwej kobiety.

Margarita bolała nad oddaleniem się Anieli, jak gdyby dla niej miała się zaćmić jedyna światłość jój życia. Lękała się upadku, będąc pozostawioną własnym siłom. Aniela nie tała przed nią, iż do żarliwości jój miłosierdzia łączyło się pragnienie odnalezienia Edwarda na afrykańskich pustyniach i przypomnienia mu o rodzinnych jego obowiązkach. „Niebo, powiadała, natchnęło mię tą myślą; ja muszę dać ci szczęście...”

Mimo to Margarita rzewnemi zalewała się łzami, zarówno jak wszyscy otaczający tego anioła pociechy. Optakiwali jój blizki odjazd, i płakali na widok morza w takim stanie, jak się ono przedstawiało w tym dniu odjazdu. Stan to był niepokojący, groźny, złowrogi.

Wielki był szum morza, lecz niemniej głośno odzywały się żale tylu osób, zgromadzonych dla pożegnania Anieli. Wzruszona i rozrzuwniona temi objawami szczerzego uczucia; wydarła się jednak z ich objąć, rzuciła ostatnie słowo tkliwego pożegnania i wbiegła do czekającego na nią czołenka, oddając się na wolę żywiołów.

Ten krok odważny, wywołał głośną wrzawę: wszystkie usta jejknęły modlitwą lub skargą. Aniela, dostawszy się na okręt, wyciągnęła ramiona ku téj drogiej ziemi, kędy pozostawiała cząstki swojego serca, iskry swego ducha, i niebawem w mglistej zginęła pomroce. Bóg z nią! Ona idzie szukać nieszczęśliwych, będzie wlewać otuchę w zbolące dusze, wonny balsam na rozjątrzone rany moralne, dawać dobro i zdrowie biednym i schorzałym: Bóg będzie czuwał nad nią!

Okręt, na którym płynęła Aniela, wyruszył z rozwiniętymi żaglami na pełne morze. Zrazu wiatr, silnie wiejący, pędził go tak chyżo i tak gwałtownie, że rychło zniknął z przed oczu wszystkich, a za nim łód utonął we mgłach.

Uragając zdąsanym żywiołom, burzeniu się fali, gwałtowności wichru, kołatany statek zuchwale torował sobie drogę wśród odmętów. Kapitan okrętu czuł, iż była to śmiałość może nazbyt lekkomyślna puszczając się w taki czas na morze; lecz wyżej stawiał honor nad życie, a że tu szło o honor, o święcie dane słowo, rzucił się przeto do téj walki ze ślepymi potęgami przyrody.

Rzecz to nader smutna walczyć z istotą, pozbawioną woli, z żywiołem nieświadomym skutków, jakie mogą sprawić jego siły. Walka z człowiekiem może być zaciętą, krwawą, straszną; lecz w końcu jeden jęć słabego, błagalne słowo, łza, może poruszyć do litości i zmiłowania serce ludzkie, które nawet w przystępach najzacieklejszej złości ma czucie i samowiedzę, i zdola się upamiętać. Ale walka z nieczułym żywiołem, który na jęć odpowiada gwałtownym miotaniem, na łzę nowym pluskiem fali, na prośbę milczeniem i dalszą bez przerwy wściekłością, ach! taka walka z żywiołem rozszalałym a ślepym, jest okropną jak rozpacz!

Kapitan byłby chciał wracać do Neapolu, poznawszy popełnioną

nieroztropność i niedobre usposobienie morza; lecz pęd wichrów zbyt daleko uniósł jego statek, i nie było już ani możliwości powrotu, ani nadziei trafienia do jakiego portu. Przybliżyć się do brzegów było rzeczą niebezpieczną i trudną; niebezpieczną, gdyż gwałtowne zadęcie wiatru mogło roztrącić okręt o skały lub osadzić go na mieliźnie; trudną, albowiem wicher w jedną stronę pchał statek, i nawet najdoświadczeńsi sternicy nie byli w stanie obrachować, w którym punkcie można znaleźć bezpieczną przystań.

Noc przeszła w największej trwodze. Wszyscy nadzieję pokładali w dniu, który miał nadejść. Nadzieja tak w życiu duchowém, jak i w naturze, jest mdłym odbłaskiem słońca, przedzierającym się przez łono chmur czarnych.

Wreszcie dzień nadszedł, lecz podobniejszym był do przedłużenia się nocy, aniżeli do dziennéj doby. Niebo, ołowianej barwy, wyglądało niby olbrzymi gład grobowy, ciężący nad głowami; morze zakłócone, pieniające się, wściekłe, w fali głęboko rozwierające się jamy, i piętrzące się mokre góry, wicher, szalejący w olbrzymim rozpędzie i miotający bałwany jedne przeciw drugim, szczątki rozbitego okrętu, spływające po ciemnych wodach, podobnych do płynnej smoły, biała mewa strwożona, wydająca w przelocie wrzask przeraźliwy, istnie jęk konającego, niesiony falą powietrza, żeglarze bez nadziei, podróżni bez pocieszenia, śmierć, ukazująca się jak widmo na wodach i na skrzydłach wiatru, gotowa rzucić się na swoje pastwę, na podobieństwo żarłocznych rekinów, które otaczały rozkołysany okręt: wszystko, jedném słowem wszystko, było okropne, straszne, przerażające. Rzekłbyś, iż Bóg ma zstąpić na sąd powszechny, i że kraj Jego szaty, dotknąwszy morza i ładu, roztrącił je, w proch rozsypał, i w ostateczną cisnął zagładę.

Ta sama groza, która, jak cień czarny rozpostarła się na morzach, oblała także zsiniałe oblicza tych nieszczęśliwych, skazanych na długą katuszę przetrwania téj straszliwéj burzy. Jedni drżeli ze strachu, z obawy przed śmiercią, i zęby zaciskali, jakby do rozpaczliwéj obrony; inni napełniali powietrze jękami, błaganiem, jakby w nadziei, że morze usłyszy ich skargi. Byli i tacy, którzy się może nigdy nie modlili, a tu na klęczkach, ze złożonemi rękami, ze łzami w oczach wzywali Bożego zmiłowania. Wszyscy jednakowo byli strapieni, jednakowo strachem zdjęci. Matki gromadziły swoje dzieci i tuliły je do siebie, chcąc pospołu zginąć i wszyscy razem przejść do innych światów.

Wśród téj ogólnej rozpacz, w jednéj tylko osobie widać było spokój i rezygnacyą. Na twarzy Anieli nie malowała się śmiertelna trwoga. Z myślą zwróconą ku Bogu, spokojnie oczekiwała ostatecznéj chwili zgonu. Dla niéj śmierć była tylko błogiém przeobrażeniem bytu. Nie tworzyła sobie złudzeń, nie usiłowała zamykać oczu na niebezpieczeństwo. Przekonana, iż ciemna noc grobowa zapadnie nad jéj głową, z korném poddaniem się pochylała czoło. Wstecznym rzutem

oka na świat, na ubiegłe życie, widziała, iż uczyniła wszystko, co było w jej mocy, a zatem gotowała się do zatonięcia w morskich głębinach z tym samym spokojem, z jakim się dziecię niewinne do snu zabiera.

Śmierć może być straszną dla takiego, który nie dopełnił swego postannictwa na ziemi, który obojętném okiem patrzył na dolę swych braci; dla takiego, który nikomu nic dobrego nie wyświadczył i w twar-dém zamknawszy się samolubstwie, patrzył jakby na przesuwające się cienie w latarni czarnoksiężkiej, na ludzkie boleści, nie darząc ich łą-ani pociechą. Lecz taki, który żył życiem wszystkich, który swoim ser-cem i darami swojego umysłu, dzielił się ze światem, który nic za swoje osobistą nie uważając własność, przyczyniał się swoim życiem do życia ogółu, ten, umierając, wie dobrze, iż skarby jego żywota, które rozsypał po ziemi, nie przeminą marnie, lecz podobnie, jak światłość, zagasłszy na zachodzie, barwi horyzonty swojemi odbłaski i promieniami swo-jemi poztłacza księżyc i gwiazdy; tak samo i ten jasny żywot, spożytko-wany na miłosierne uczynki, na krzewienie wielkich idei, na hołdowa-nie sztukom, ozłoci swojemi promieniami i treścią swoją ożywi liczne pokolenia, liczniejsze może, niż gwiazdy na niebie.

Anieli w tych groźnych chwilach, tak samo jak we wszystkich ważnych okolicznościach, zapominają o sobie, mając tylko na pamięci tych, którzy ją otaczali. Każdym się zajmowała i przemawiała do wszystkich. Wyobrażnia jej, nie bacząc na zamęt żywiołów i na otchła-nie roztwierające się pod jej stopami, malowała śmierć w różowe farby. W tych chwilach huk i szum żywiołów był niby wielką symfonią, to-warzącą melodią słodkiego głosu i pocieszających słów Anieli.

Umrzeć! Cóż to znaczy umrzeć? Nie umrzemy, nie, mówią. Może ten statek roztrzaskać się w tysiące kawałków, mogą nas zalać te ry-czące bałwany, pożreć mogą nasze ciała te potwory, co w około nas krążą; lecz ani morze wściekle rozhukane, ni wichry, ni najstraszniej-sze orkany, nie zdolne zadać nam śmierci! W tych chwilach, kiedy napozór przybliża się kres życia, przypomnijmy sobie, żeśmy nieśmier-telni; w chwili, kiedy nadchodzi trwoga konania, pomnijmy, że to jest rozdarcie chwilowe, i kiedy nas ze wszech stron ogarniają ciemności, pamiętajmy, iż Bóg, jako wiekuiste słońce duchowego świata, jaśnieje wśród burz zawiei. Niech przyjdzie śmierć. Cóż nam to szkodzi? Wypełniliśmy, co człowiekowi przynależy. Jedni z was pracą i prze-mysłem uwiecznili się w świecie; drudzy w uczuciu i w rodzinie zawsze pozostaniecie obecnymi wśród ludzi; inni przez wielkie dzieła miłosier-dzia pozostają na ziemi w dobrem, jakie uczynili, a wszyscy nadzieją zbliżamy się do nieba. Nie traćmy nadziei, nie rozpaczajmy. Śmierć tém więcej zatrważa, im mniej się jej przypatrujemy. Od dziecka przyzwyczajamy się odganiać ją od siebie, niby straszną marę, więc schodzi nas zawsze znienacka. Aby się udoskonalić i ugodzić powin-niśmy pamiętać, iż tę burzę, która się teraz tak sroży, nosimy zawsze

w nas samych, że ta śmierć błada, co nam staje przed oczyma, jest samą słodyczą i wonnością, którą czara życia chowa na dnie swoim.

„Przygotujmy się. Zgon jest tak przyrodzonym, jak życie, a wszystko, co przyrodzone, nie może być zgubnem. Zaprawdę, ta śmierć gwałtowna może nas unieść do nieba. Owad rozdziera swoją powłokę, ptak przebija skorupę jaja, bo tym tylko sposobem mogą się uskrzydlić i latać, i kapać się w eterach życia. My także jesteśmy więźniami; myśmy też zamknęci w cieśni. Zbliża się chwila swobody, wielki moment wyzwolenia. Więzienie rozpada się w gruzy, kruszą się kajdany, więzień uderzon świętą wolnością. Czy kiedy nie zapragnęliście pobujać po przestworzach niebios? Nie tonęliście myślą w smętnych promieniach miesiąca, gwiazd? Czy w pewnych chwilach smutku i skupienia ducha nie widzieliście przez mgły przyrody przeświecający blask Bożej istności, odbicie prawdy przedwiecznej? I nie zapragnęliście oglądać Boga? Otóż więc ta śmierć tak groźna, ta śmierć ponura, straszna, może na głowy wasze spuścić, jak chrztu wody, rosę niebieskiego żywota.”

Słowa Anieli kołły okropną, trwogę wielu z tych nieszczęśliwych. Podnieść ducha ku Bogu, gdy bliska śmierć grozi, jest to tchnąć weń nadzieję i zgładzić w nim cień obawy. Myśl rozbitków goniła za myślą tej natchnionej kobiety, wzbijającej się ponad burzę, jak skowronek pod czyste i bezchmurne niebiosy.

Tymczasem burza nie uciszała się; owszem, wzmagalo się wycie wiatru i miotanie się fali. Zabiegi majtków, trafne rozporządzenia kapitana, nadludzkie wysilenia sternika, coraz bardziej okazywały się bezskutecznymi. Rozpacz w całej swój grozie zaczynała się malować na obliczach żeglarzy i głuche przekleństwa, niby złowrogie echo, odzywały się wpośród szalonej wrzawy, jaką huczała natura.

Na podróży tak podziały tklive i pełne namaszczenia przemowy Anieli, iż większość ich w wysokim nastroju ducha z rezygnacją patrzyła na wiszące nad nimi groźne niebezpieczeństwo. Lecz burza wzmagala się bezustanku; stracono kierunek, siły się wyczerpywały, gwałtowne prądy ciskały wółą nawą, jakby żdźbłem słomy. Niebo okazywało się głuchem na tyle skarg i błagań. Burza czarnym całunem przestoniła całe morze, całą ziemię.

Nadeszła noc, dopełniając miary tych ponurych cieniów, noc zimna i straszna, która spotęgowała trwogę i boleść. Okręt utracił maszt, rudel na nic się już nie przydał, wszelkie usiłowania marynarzy niczemu podołać nie mogły, wszelkie środki sztuki żeglarskiej nie dawały się użyć; słowem, nic innego już nie pozostawało, jak zdać okręt na łaskę fal i wichrów.

Smutna godzina! rozpaczliwe położenie! Kapitan założył ręce na piersiach, opuścił głowę, jak ten, co już wszystko wycierpiał i spokojnie wyczekuje śmierci; majtkowie pokładli się na pomoście, bez sił, bez nadziei; statek ogołocony z masztów, z lin, ze steru, z żagli, wyglądał niby ogromna trumna, bujająca po falach; z jego wnętrza odzy-

wały się głuche skargi, jęki stłumione, płacz, klątwy, błagania, modły pobożne, drogie imiona wspominane w ostatnich konania chwilach: słowem, wszystko, co się działo tak w naturze, jak w duchu tych ludzi walczących z naturą, wszystko było tak smutne, tak ponure, straszne, rozpaczliwe, jakby w jednym z oddziałów Dantejskiego piekła.

Ukojenie sprawione mową Anieli w tych rozdrażnionych umysłach znikło zupełnie, skoro się uwidoczniło zwycięstwo morza nad siłami człowieka. Dopóki człek walczy, dopóty nadzieja tkwi w jego duszy; lecz skoro wyczerpią się jego siły, gdy zbraknie przestrzeni dla jego działalności, gdy się zużyje cała potęga jego władz umysłowych, wtenczas już upadek ducha nie zna miary, ni granic.

Powstał więc ogólny popłoch i zamęt. Ojcowie przywoływali do siebie swoje dzieci, bracia swoich braci, przyjaciele swych przyjaciół, ażeby umierać razem, połączeni uściskiem, jak gdyby jednym byli ciałem, jedną duszą. Przypominanie drogich osób, które gdzieś na świecie pozostawały, żegnanie się z ziemskim żywiołem, do którego tak silne mamy przywiązanie, pasowanie się życia ze śmiercią: wszystko to było nader smutne, bolesne. Niejedni już z tych biedaków łyżę wszystkie wypłakali i suche ich żrenice błyszczały ogniem rozpacz; przy omdlewających siłach z niektórych piersi wydobywało się głuche chrapanie, jak w chwilach, gdy dogorywa życie.

W tak rozpaczliwem położeniu, kapitan okrętu nabrał chwilowo nieco otuchy. Wiatr przynosił mu do ucha dźwięk ludzkich głosów, jakieś niewyraźne wołania, których nie można było zrozumieć wśród huku żywiołów.

Niestety! wnet zagasł ten wąły promyk nadziei i zamienił się w okropniejszą jeszcze rozpacz. One wołania były to bolesne krzyki; one głosy ludzkie, to jęki konających; ona spodziewana pomoc, to rozbicie się i zatonięcie: drugi jakiś okręt stał się pastwą rozhukanego morza i wielu nieszczęśliwych znalazło swój grób w falach! Gdy się o tem przekonali nasi podróżni, zaczęli się gotować na śmierć.

Jedni wielkim głosem wołali o spowiedź. Inni modlili się na pomoście, wygłaszając Boże imię żywiołom, jakby dla ich uspokojenia. Niektórzy wili się w konwulsjach rozpacz, z suchém okiem, z pianą na ustach.

Burza szalała coraz to straszliwiej, nadziei żadnej być nie mogło, chyba w opiece niebios, w Boskiej pomocy. Woda ze wszech stron wciskała się do okrętu. Przeciwno rozhukanemu żywiołowi żadne siły nie byłyby wystarczające, żadna walka nie była możliwą. Ostatnia iskra życia, nadzieja, zagasła pod tym ostatecznym ciosem. Wszyscy już za życia byli umarli i wiekuiste przechodzili męki. Bronili się jeszcze śmierci ze strachem, lecz z nieopisaną siłą.

Stopniowo widzieli, jak statek napełniał się wodą. Już niepodobieństwem było pozostawać w kajutach. Wszyscy wyszli na pokład. Deski te już były ostatnią podporą życia, ostatnią nadzieją na tym świecie: a kruche te deski już się zanurzały w morskie topiele. Poznali

biędne rozbitki, że wszystko się dla nich skończyło. Świat już im zniknął z myśli, przypominali sobie o Bogu. Wielu z nich będąc katolikami z przekonania, spowiadali się jedni drugim ze swoich grzechów i żalnym tonem błagali Pana o odpuszczenie. Inni, nie mający téj wiary, założywszy ręce na piersi, czekali na śmierć z zimną krwią stoików. Zamęt, szal, krzyki, ustały; nie słychać już było ani skargi, ani jęku, ani westchnienia: głucha cisza panowała w téj istnie Charonowej łodzi, napełnionej widmami nieboszczyków.

Ten stan ciszy, ponurego smutku, chłodnej obojętności, milczenia, przypominał owe okropne chwile, które poprzedzają śmiertelne konanie, ostatnie wyzionięcie ducha. Oddychanie tyłu piersi wzburzonych jednakową i nieprzerwaną boleścią, wydawało się jak rżenie przedśmiertne.

W tych ostatnich chwilach życia Aniela myśl swoją zwróciła na siebie. Sumienie stanęło przed nią, jako sędzia surowy. Zdając przed niem sprawę ze swego życia, pytała siebie, czy jedynie miłość dla ludzkości wiodła ją do Afryki? Zadając sobie to pytanie, pobladała: sumienie odezwało się z gorzkim wyrzutem. Nie chcę, mówiła, ukrywać przed sobą moich ułomności, ani przed Bogiem, który mię widzi, który czyta w tajnikach mojej myśli i liczy uderzenia mego serca. A zaprzeczyć się przed sobą nie mogła i nie chciała, iż wiedziała o tém, że Edward znajduje się w Afryce, że on tam poszedł szukać śmierci; wiedziała, iż ję tam obecność mogła być potrzebną do ocalenia mu życia, może dla przyniesienia mu szczęścia. A więc głównie dla jego miłości rzuciła wszystko, co ją otaczało; wszystko, co ję miłe i drogie, narażała się na morskie burze, na okropny pobyt w pustyni. Ażaliż powinna kochać go do tego stopnia? Wiecznie będzie odzywać się w głębi ję serca ta bolesna skarga, upewnijająca ją, że serce ję nie może żyć bez tego kochania? Tak, miłość bez miary przepełnia ję łono; im usilniej ją zwalcza, tém ona możniej się rozrasta; im bardziej stara się ją zabić samotnością, chłodem klasztornym, tém ona żywszym ogniem płonie; im więcej usiłuje ją zawładnąć, tém ona potężniej nad nią panuje, zwycięża ją i całą ję duszę ogarnia. Tak, to uczucie w wieżach swoich trzyma całą ję istotę, jakkolwiek od chwili, gdy w nią zagościło, zawsze ję za to poświęcenie się mu bez granic płaciło najboleśniejším udęczeniem, które i w téj oto chwili serce ję trapi.

Jestem niegodna, jestem wiarołomna, jestem występna, mówiła. O! tak, serce moje powinno było stłumić głos tych uczuć, nieszczęsne te pragnienia zawrzeć w głębi łona. Nieskazitelność ciała nie ma znaczenia tam, gdzie wola nie jest czystą, gdzie dusza nie jest wolną od skazy. Cóżto warto, choćby ciało moje jaśniało przezroczystością kryształu, jeśli niebiańska duszy światłość zagaśnie pod brzemieniem tych ziemskich myśli, które w nią zgładzają wszystko, co piękne, co Boskie? Niestety! czyżbyśmy tylko do kochania byli stworzeni? W téj oto chwili, kiedy wszystko drży i jęczy, wszystko w rozpacz na widok zbliżającej się śmierci, kiedy wszyscy z pochyloną głową nad otchłanią

wieczności badają jej głębie, ja tutaj, patrząc na to groźne niebo, na to rozbałwanione morze, czując się blizką zgonu i jak trup zlodowaciałą, myślę nieszczęsna! tylko o tej miłości, która mi ciągle na pamięci stoi, więcej niż mój duch własny, zaprzęta cały mój umysł, porusza wszystkie tętna mojego serca. Czyliż ta miłość, która się wiecznie odżywa, która nie zamiera, choć się się, aby ją zgniebić, czy miłość ta stanie się dla mnie koroną męczeńską, albowi też łańcuchem potępieńców? ogniem niebieskim, co ożywia i podnosi ducha, lub piekielnym płomieniem, który mi strawi ciało i kości przepali?...

Myśli te, jakby skutkiem tajemniczych związków, istniejących pomiędzy przyrodą a duchem; myśli te, wzburzające duszę Anieli, zdawały się wpływać na rozstrojenie się wściekłości żywiołów. Naraz ogromny prąd wихru wyrwał się niewiedzieć z kąd, pochwycił okręt w swoje obroty, jak żdźbło lekkie, przez długi czas nim młotał i pędził szalenie, aż w końcu cisnął go na piaski przy niedalekim już brzegu.

Podróżni sądzili, że to już stanowcza chwila ich śmierci, hasło ostatecznego rozbicia i zguby. Lecz kapitan widząc, iż statek się nie rusza pomimo wściekłego wихru i rozbujanych bałwanów morskich, zawołał: „Jesteśmy uratowani! okręt stracony, lecz zato ocalone życie!”

Na te słowa dowódcy okrętu odpowiedział ogromny okrzyk radości i płacz powszechny. „Lecz jeżeli chcemy się ocalić, mówię znów kapitan, potrzeba opuścić okręt i dostać się na brzeg: dalej do szalup!”

Usłyszawszy to, w ten moment wszyscy chcieli na brzeg wyskoczyć. Najśmielsi pochwycili szalupę i w nią się rzucili. Lecz tak wielu pragnęło dotrzymać im towarzystwa, iż łódź była do zbytku przepełnioną i zanurzała się w wodzie. Niepomiarowana żądza życia zgubiła ich.

Fale, które ku brzegom łagodniejsz się zbliżały, pochwyciły małą szalupę i uniosły ją z sobą na pełne morze. Niektórzy z majtków patrząc na to okropne widowisko, rzucili się do morza w chęci powstrzymania łodzi; lecz nie było to możebnem i sami padli ofiarą śmiałego przedsięwzięcia.

I ci, którzy w szalupie puścili się na rozhukane fale morza, także zginęli. Mała łódka nie mogąc oprzeć się bałwanom i unieść zbyt ciężar, poszła na dno na największej głębiny.

Krzyki, lament, rozpacz tych biedaków, którzy ginęli wtedy właśnie, gdy niebo ukazało im promyk swojego światła i obudziło w nich otuchę; krzyk i lament tych, którzy pozostali w okręcie osadzonym na mieliźnie i patrzyli na tonące w falach najdroższe sobie istoty, nie mogąc ich ocalić, ani nawet iść im na ratunek, a przytém bez przerwy szalejąca burza i piętrzące się bałwany, wszystko to było okropniejszem, niż pióro zdoła opisać. Niektórych rozpacz do takiego dochodziła stopnia, iż zabierali się rzucić w morze, aby w gorzkich jego wodach znaleźć śmierć słodsza od swojej boleści.

W tym razie więcej, niż kiedykolwiek, wyszły na jaw nieprzebrane skarby miłosierdzia bez granic, jakie się mieściły w sercu Anieli,

Ona wlewała siłę w osłabłych, nawracała niewierzących, zwątpiałych ukrzepiała na duchu, na wszystkie strony niosła ratunek cierpiącym, zrozpaczonych odwodziła od samobójstwa i wśród téj zbolalej ludzkości zdawała się być nie kobietą, a raczej aniołem litości i pocieszenia. Iluż z tych nieszczęśliwych uchroniła od śmierci! Ilu niedowiarków natchnęła pojęciem Boga i uczuciem religijném! Ilu chorym przywróciła zdrowie! O! bo prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie jest nieograniczone! ono leczy rany ciała i goi także rany duszy; ono jest nad wszystko inne ideałem cnoty na ziemi.

Nakoniec ci, którzy wyszli żywi z tego rozbicia, mogli dostać się na ląd. Byli to po większej części z pomiędzy podróżnych najslabsi na siłach, chorzy, a z niemi Aniela. Wszyscy zaś, którzy uniesieni zbyt ciężnem przywiązaniem do życia, bez względu na nic usiłowali je zachować, ci straszną zginęli śmiercią i to wtenczas, kiedy już prawie rękami dotykali lądu, kiedy im zaświtała pocieszająca nadzieja...

Znalazłszy się wreszcie na lądzie, rozbitki dowiedzieli się, iż nie daleko odплыnęli od lądu i że ich okręt uwiązł przy brzegach Sycylii. Przez trzy dni trwała ta straszliwa burza i nie dopuszczała żadnej komunikacyi pomiędzy wyspą a statym lądem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wystawa inwentarzy żywych w Warszawie.

PRZEZ

Stanisława Rewieńskiego.

Towarzystwo wyścigów konnych w Warszawie, po kilkudziesięcioletnim istnieniu swoim, w którymto czasie nie wywarło wyraźnego wpływu na stan hodowli w kraju, zapragnęło uareszcie wyjść z dotychczasowego, odrębnego swego stanowiska, okazując czynnie chęć zsolidaryzowania się z krajem pod względem dążności jego w przedmiocie hodowli, dotąd jeszcze przeważnie omackiem prowadzonéj. Owocem starań Towarzystwa w tym celu podjętych, była zeszłoroczna wystawa koni w Warszawie, o której w swoim czasie złożyliśmy na tém miejscu sprawozdanie ¹⁾.

Pierwsza ta próba, pomimo wszystkich stron ujemnych, które wykonanie jéj wykazało, wydała wszakże dobre rezultaty, gdyż dyrekcyja Towarzystwa, zachęcona powodzeniem zeszłorocznej wystawy i żywém zajęciem, jakie ona w publiczności warszawskiej wzbudziła, nie szczędziła starań, w celu otrzymania zezwolenia na urządzenie w sześćioletnim okresie czasu szeregu podobnych wystaw, lecz znacznie już większój dla krajowego rolnictwa doniosłości, bo obejmującej wszystkie gatunki zwierząt domowych.

Powtarzanie się jednak w jednorocznych zaledwie odstępach czasu podobnych wystaw, miałoby wadę nużącój jednostajności, gdyż nie pozwalałoby powzięcia chociażby przybliżonego pojęcia o hodowli w kraju, pod względem jéj postępu lub cofania się, gdyby to ponawianie się wystaw nie miało innego, praktycznego celu, którego ekonomiczna doniosłość, już w bardzo blizkiej przyszłości, może okazać błogie dla krajowego rolnictwa skutki.

Szczęśliwe położenie Warszawy, w zbiegu pięciu linii dróg żelaznych, czyni ją punktem niezmiernie ważnym dla handlu, łącząc odle-

¹⁾ Patrz: „Biblioteka Warszawska,” 1880 r., zeszyt wrześniowy, str. 459 472.

gły Wschód z Zachodem. Przeludnienie krajów Zachodu, czyni w nich produkcję zwierzęcą coraz droższą, obok wzrastającego zapotrzebowania jej produktów.

Ztąd więc otwiera się droga łatwego zbytu tych produktów ze Wschodu otrzymywanych taniej, bo przy mniejszem zaludnieniu i większej obfitości łąk i pastwisk naturalnych.

Tak więc wystawy nasze stać się mogą jarmarkami, na których kupcy z Zachodu znajdą potrzebny im towar, którego ceny, chociaż zwiększone kosztami dalekiego transportu będą jeszcze dość niskie, aby wytrzymać konkurencję z produkcją miejscową. Wystawowe także jarmarki, zostające pod ścisłą kontrolą i kierownictwem komitetu, urządzającego te handlowe popisy, będą dostateczną gwarancją dla kupujących, że towar, którego poszukują, jest rzeczywiście w dobrym gatunku i odpowiada ich wymaganiom. Gwarancja taka, jak każde nabyte dobro, musi mieć pewną wartość, wyrażającą się widomie w cenie, stanowiącej z jednej strony wynagrodzenie dla sprzedającego za poniesione koszty, trudy i ryzyko, z drugiej zaś dla kupującego, za otrzymane zabezpieczenie od skutków zwykłego jarmarcznego szalbierstwa i natrętnego faktorstwa.

Wychodząc z tego stanowiska, wróźmy naszym wystawom świetną przyszłość, o ile jej nie zwichnie nieudolne lub niezręczne kierownictwo. Dalecy od pesymizmu, chcemy wierzyć, iż komitet przyszłych wystaw zechce i potrafi uniknąć tak smutnej ewentualności. Miniona wystawa, jako pierwsza w szeregu, nie zdołała jeszcze ujawnić we wszystkich szczegółach tej dążności; ztąd w sądach naszych musimy być pobłażliwymi na niektóre usterki, które opinia publiczna, wyrażająca się w organach prasy, ze zbyt może silnym naciskiem wytknęła.

W uwagach naszych nie będziemy ściśle się trzymać katalogowego spisu wystawionych okazów, gdyż wiadomość o nich prasa codzienna podała już swym czytelnikom; korzystać wszakże z niego będziemy o tyle, o ile nam się wydawać będzie potrzebnem do uwydatnienia widocznych kierunków hodowli w tym lub owym danym razie, jako też do poparcia naszego zdania żywym przykładem.

Przegląd nasz rozpoczniemy od działu koni, przez wzgląd na instytucję, za której staraniem wystawa do życia powołana została, jako też z powodu zajęcia, jakie to wszystko, co ma jakąkolwiek styczność z końmi i ich chowem, nieledwie w każdym mieszkancu kraju obudza. Już w zeszłorocznem naszym sprawozdaniu, zmuszeni byliśmy wyznać, iż, pomimo całej zewnętrznej świetności wystawy, hodowla koni pozostaje u nas na niskim jeszcze stopniu rozwoju i w stanie ujemnie przejściowym, gdyż hodowcy dopiero szukają właściwej drogi, aby ją z tego położenia wyprowadzić.

Przyczynę tego może nam tylko wyjaśnić stanowcza odpowiedź na pytanie, czy hodowla koni u nas się opłaca, czy nie? Zanim jednak odważymy się odpowiedzieć na to żywotne pytanie, przyjrzyjmy się

rzeczy zblizka i przekonajmy się za pomocą rachunku, co nas wychów czteroletniego, zdolnego na sprzedaż konia kosztować może.

Koszta te wypadną jak następuje:

1-szy rok. Opłata za odstanowienie klaczy średnio rs. 15. Utrzymanie średniej klaczy bezczynnie, przez miesiąc przed i miesiąc po oźrebienu, po kop. 40 dziennie uczyni za dwa miesiące rs. 24.

Uwaga: właściwa bezczynności, to jest zupełne oszczędzenie klaczy wszelkiej pracy, trwać będzie tylko kilka dni przed oźrebiem i parę tygodni po oźrebienu, nim źrebię nabierze tyle siły, iż będzie mogło za matką biegać; lecz, że w skutek nieuchronnej ostrożności i potrzeby oszczędzania klaczy, ledwie połowa zwykle wykonywaną roboty, wymagana być może w ciągu dwóch miesięcy poprzedzających oźrebie i tyleż czasu po oźrebienu, przeto średnio z czasu roboczego klaczy strącamy dwa miesiące. Dodatek paszy dla klaczy, po upływie czterech miesięcy życia źrebięcia, gdy to już przy matce jeść zaczyna, 2 funty siana po 1 kop. za funt, $\frac{1}{2}$ garnca owsa po 10 kop. za garniec, uczyni razem za dwa miesiące rs. 4 kop. 20.

Po odsadzeniu źrebięcia, od października do maja następnego roku, 1 garniec owsa po 10 kop., siana 8 funtów po 8 kop. dziennie, za 7 miesięcy czyli 210 dni uczyni rs. 37 kop. 80.

Premium dla fornała lub stangreta, doglądającego klaczy, za szczęśliwe przyjście na świat i wychodowanie źrebięcia rs. 3.

Źrebię zatem urodzone w marcu, kosztować będzie po upływie 14 miesięcy rs. 84.

Rok drugi. Pastwisko letnie od maja do października 10 rubli.

Pasza zimowa; 10 funtów siana dziennie 10 kop., a na 210 dni rs. 21; owsa garniec 1 dziennie po kop. 21. Razem w drugim roku rs. 52.

Rok trzeci. Pastwisko letnie, jak wyżej, rs. 10. Pasza zimowa: 12 funtów siana dziennie 12 kop.; siewki z owsa niemłóconego 1 garniec po kop. 3, razem 15 kop., a na 210 dni rs. 31 kop., 50 czyli razem w trzecim roku rs. 41 kop. 50.

Rok czwarty. Pastwisko letnie, jak wyżej, rs. 10. Pasza zimowa: siana 10 funt. dziennie 10 kop.; siewki z owsa niemłóconego po 2 garnce dziennie 6 kop., razem 16 kop.; przez 210 dni uczyni rs. 44 kop. 10, czyli razem w czwartym roku rs. 54 kop. 10.

Koszta więc wynoszą: w pierwszym roku rs. 84 kop. —

„ drugim „ „ 52 „ —

„ trzecim „ „ 41 „ 50

„ czwartym „ „ 54 „ 10

Razem rs. 231 kop. 60

Dla okragłego rachunku, dodając do powyższej sumy jeszcze rs. 8 kop. 40 na ryzyko lub nieprzewidziane wydatki; ogólna suma kosztów wychowania konia czteroletniego wyniesie rs. 240. Cenę przeciętną takiego konia przyjmując musimy na rs. 275; będzie zatem przy sprzedaży czystego zysku 35 rubli, czyli około 14%, czyli rocznie

po 3½%. Zysk to wcale mały, jeśli zważymy ryzyko i nieprzerwane starania, aby dopiero po upływie lat czterech osiągnąć za nie wynagrodzenie.

Może ktoś zrobić zarzut, iż nie uwzględniliśmy w wychowie młodego konia tańszych surrogatów paszy, t. j. okopowizn, jako to: marchwi, kartofli, buraków pastewnych i t. p. Na to odpowiadamy, iż w wychowie konia chodzi nam przedewszystkiem o normalne wykształcenie szkieletu i mięśni, nie zaś o nadmierny rozrost i zasób tłuszczu w skutek ekstensywnego żywienia węglowodanami. Wykształcenie szkieletu jest głównem i najtrudniejszem zadaniem hodowcy. Ileżto widzimy koni, nieraz nawet ras bardzo szlachetnych, odznaczających się nader pięknymi kształtami, lecz posiadających przytém wady w postaci wysięków materji kostnej, jak martwe kostki, kółka kościane, modzele, włogaciznę (szpat) i t. p., będące skutkiem wczesnej i natężonej pracy przy niedostatecznem skostnieniu (osyfikacji), części szkieletu, czego znowu przyczyną jest brak odpowiedniego materiału plastycznego, t. j. fosforanu wapna w paszy, albo téż niemożność jego przyswojenia z powodu braku właściwego stosunku materji azotowych do bezazotowych, gdyż, jak w świecie roślinnym, tak i w zwierzęcym, obie te materje, t. j. azot i kwas fosforny pod względem fizyologicznym, znajdują się w ścisłej od siebie zależności; brak jednej z nich lub niedostateczna jej ilość powoduje nieuchronnie niemożność zupełnego przyswojenia drugiej. Kto więc zbyt znacznie liczy na okopowizny, jak: marchew, buraki i t. p., jako tańszy surrogat, mający zastąpić treściwszą paszę, w żywieniu młodych koni, w celu zmniejszenia kosztów wychowu, ten sam siebie oszukuje. Uda się mu pozyskać wzrost i tuszę, lecz do budowy dobrego szkieletu nie dojdzie.

Drugim zarzutem, jaki nam uczynić można, są wysokie ceny, jakie na paszę kładziemy. Zważywszy jednak, iż pasza ta dopiero po czterech latach ma się nam opłacić przez sprzedaż wyhodowanego konia, nie możemy jej liczyć po cenach produkcji, lecz przyjąć ceny targowe, za jakie moglibyśmy ją sprzedać i to nie na targu większych miast, lecz na wsi na miejscu. Sprzedajemy ją zatem, podług wyrażenia angielskich hodowców „w skórzanym worku.”

Zobaczymy teraz, o ile przyjęte przez nas teoretyczne ceny, zgadzają się z rzeczywistością. Podług danych, dostarczonych z całą sumiennością przez jednego z wystawców, właściciela niewielkiej stadniny, lecz prowadzonej z zamiłowaniem i w sposób racjonalny, p. Antoniego Tukałto z Rackowszczyzny (pow. Sejneński), widzimy z cen, jakie otrzymał za sprzedane konie swego chowu; wyliczone przez niego cztery sprzedane konie, przyniosły mu: pierwszy 600, drugi 500, trzeci 700, czwarty 300 rubli, czyli każdy w przecięciu po 525 rubli.

Z ogólnej liczby wystawionych koni, ośmdziesiąt siedm miały oznaczone ceny, których suma ogólna wynosiła 54,640 rubli. Z sumy téj, strącając część trzecią, aby dojść do ceny przybliżonej, którąby kupujący rzeczywiście mógł zapłacić, znajdziemy liczbę 36,427 rubli,

jako ogólną cenę koni, wystawionych na sprzedaż, co podzielone przez 87, da nam przeciętną cenę konia na wystawie w kwocie 418 rubli.

Liczbę tę przekonywają, że hodowla koni dobrych, cennych wierzchowych, kareciany, zdalnych do potrzeb dla wojska, t. j. pod oficerów i dla artylerji, może się u nas sowing opłacić; to zaś z przychówku, co by się w kraju nie sprzedawało, znajdzie zbyt zagranicą, bylebyśmy mieli punkt handlowy, w którymby racjonalnie prowadzony handel, mógł się ześrodkować. Potrzeby takiego punktu handlowego, dowodzi okoliczność, przytoczona przez wspomnianego już wystawcę p. Tukatlę, który powiada, iż posiadał wiele koni wcale nie niższych wartością, od tych, za które wziął wyżej wyrażone ceny; lecz że w jego okolicy nie było na nie ani dość zamożnych, ani dość chętnych nabywców, musiał więc je obrócić na własny użytek: pod siodło, do zaprzęgu i do pracy w roli. Stwierdzają to dwie przedstawione przez niego klacze, które u niego chodziły w bronie, woziły nawóz, następnie służyły jako konie powozowe, a chociaż pod wierzch nie ujeżdżone, pod siodłem okazywały wszelkie zalety, wymagane od dobrego wierzchowego konia; tylko, że jako matki stadne, nie były do sprzedania.

Wspomnieliśmy już dawniej, mówiąc o wystawie zeszłorocznej, iż w krajowej hodowli koni widnieją rozmaite kierunki, jako próby w celu wybrania najwłaściwszej do postępowania drogi. Z kierunków tych dwa najwybitniej się okazują w wyborze odpowiedniej dla potrzeb kraju rasy. Rasami temi są: używające tradycyjnej wziętości arabska i angielska pełnej krwi, która w ostatnich czasach, jak w całej Europie, tak i u nas coraz więcej zjednywa sobie zwolenników. Zamiłowanie pierwszój widnieje w stadninach, znajdujących się w południowo-zachodnich prowincjach. Takie mianowicie okazy przedstawili: hr. Karol Brzozowski, hr. Działyńska, hr. Stadnicka, baronowa Raden i kilku wystawców, nie hodowców wprawdzie, lecz tylko właścicieli koni, pochodzących ze stadnin ks. Sanguszki i hr. Branickich. Drugiej przedstawicielami są właściciele stadnin w okolicach kraju ku zachodowi i północy położonych. Ze stadnin hodujących krew pełną, na pierwszém miejscu wymienić musimy stado p. Ludwika Grabowskiego w Sernikach. Zalety koni jego pełnej krwi na torach wyścigowych w Warszawie, w Wilnie, w Moskwie, w Carskiem Siole, są aż nadto dobrze znane, abyśmy je tutaj wyliczać mieli. Z koni tych, właściciel przedstawił na wystawie kilka egzemplarzy pełnej krwi, jako reproduktory, jako też i parę koni pół-krewi, ujeżdżone pod wierzch. Zważywszy trudności i kosztą wychowania koni krwi pełnej, powołanych do stwierdzenia domniemyanych swych zalet w ciężkiej próbie wyścigu, przyznać musimy, iż ceny przez właściciela podane, jakkolwiek wysokie, nie były wcale przesadzone. Właściciele innych stadnin w kraju, hodujący konie krwi pełnej, nie nadesłali okazów swoich na wystawę, a szkoda; pożądaném bowiem byłoby wiedzieć, jaka w kraju znajduje się liczba rozródników krwi pełnej i ztąd wnosić, ileby można otrzymać ogierów pół-krewi, dla zaspokojenia potrzeb stacyi prowincjonalnych, których

i liczba jest niedostateczna i te, które istnieją, nie są jak należy obstarżone. Rządowe stado w Janowie nie zaspakaja tej potrzeby; pomiędzy ogierami prowincjonalnemi, wysyłanemi corocznie na stacye, wiele bywa takich, które nie pozyskują uznania hodowców; wprawdzie dwa ogiery: jeden pół-krwi, drugi $\frac{3}{4}$ krwi, przedstawione przez zarząd stada, zwracały na siebie uwagę, jako odpowiadające warunkom, wymaganym od dobrych reproduktorów.

Z koni czysto roboczych i pociągowych widzieliśmy najwięcej perszeronów i pół perszeronów, tak wychodowanych w kraju, jak i sprowadzonych z zagranicy. Zdaniem jednak naszém, rasa ta nie kwalifikuje się do potrzeb i warunków naszego kraju, pod względem stanu dróg i robót, do jakich konie takie u nas mogłyby być użyte. Dobrych dróg zwirowanych mamy zamało, handel i przemysł nie stoją jeszcze na takim stopniu rozwoju, aby konie, przeznaczone do przewożenia znacznych ciężarów na niewielkie odległości, mogły korzystnie się opłacać. Nam potrzeba przeważnie koni zdatnych do wszystkiego i jako typ stadniny, prowadzonej w tym kierunku, przytoczyć znowu musimy wspomnianą już stadninę p. A. Tukały. I on też w początkach trzydziestoletniej swojej na tém polu pracy hołdował ideałom, jakie powszechnie w krwi arabskiej upatrują. Wieloletnie wszakże doświadczenie przekonało go, iż droga taka dla nas nie jest właściwą; zwrócił się więc do koni angielskich krwi pełnej, obierając za materiał hodowlany, to jest matki stadne, kłacze sprowadzane ze środkowych gubernii Cesarstwa. Tą drogą postępując, doszedł do znakomitych rezultatów. W ogólności, hodowla koni u nas w tém mianowicie szwankuje, iż spodziewamy się wszystkiego po ogierze, który ma wszystkie braki i wady matki w potomstwie naprawić, gdy tymczasem i matka i ojciec zarówno jednak wpływ na potomstwo wywierają. Dobór więc matek stadnych jest pierwszym warunkiem, tak dla większych stadnin, jakoteż dla hodowców prowadzących chów na mniejszą skalę, gdzie kłacze, stanowiące co drugi rok, używane są do wszelkich robót, czy to w polu, w bryczce, lub powozie, lub pod siodło.

Jak było do przewidzenia, koni włościańskich na wystawie prawie nie było. Niepodobna bowiem sądzić, aby gospodarz w porze roboczej mógł się oderwać wraz z koniem od pracy koło roli i ponieść kosztą podróży i pobytu przez parę tygodni w Warszawie, jedynie w celu ubiegania się o nagrodę w postaci medalu, listu pochwalnego, lub choćby nawet wynagrodzenia pieniężnego, wynoszącego kilkanaście rubli. Wyjątek stanowili tylko: Antoni Jarota z pod Łowicza, który przedstawił ogierka trzyletniego po ogierze jakoby arabskim (?), hodowanego z wielkim kosztem i mozołem w domu, bo w miejscowości zupełnie pozbawionój pastwisk. Nie jest to więc właściwa gospodarska hodowla, lecz poprostu upodobanie i amatorstwo, które się też wyraziło w cenie, jakiej za swój okaz żądał. Tysiąc rubli, od których odstąpić nie chciał, było to prawdziwe pretium affectionis; nie powinien wszakże narzekać na wystawę, gdyż komitet wynagrodził go po-

każną sumą 100 rubli. Drugiego wystawcy z téj kategorii, Jana Woźnickiego, z pod Węgrowa, siwy pięcioletni ogier więcej już odpowiadał warunkom gospodarskiej hodowli, chociaż i naznaczona za tego konia cena 500 rubli mogłaby być zredukowaną o połowę. Tutaj następuje się uwaga, dlaczego włościanie z Czerniakowa i Willanowa, popisujący się przecie co rok ze swemi w bronie i w wozie tresowanemi szkapkami, w ostatnim dniu wyścigów, nie uznali za stosowne przedstawić swoich okazów. Z klaczy mianowicie takich, dałby się nieraz wybrać bardzo cenny materiał hodowlany.

Gdy więc zapatrując się na całą wystawę koni z poważniejszego stanowiska, przysnąć musimy, iż pozorna jej świetność nie zdołała pokryć całego naszego pod tym względem ubóstwa, wystawa była przyjemniejsze na nas uczyniła wrażenie. Wystawców koni było wielu, gdyż każdy, kto tylko był posiadaczem konia obdarzonego większemi w jego mniemaniu zaletami, spieszył z nim na plac popisu, żądny odznaczenia i nagrody, jakby już tylko sama możność nabycia drogiego zwierzęcia dawała mu prawo do wyróżnienia go wśród innych, którzy może ciężką pracą i mozolem torują sobie drogę wśród błędnych nieraz manowców. Z byłem dzieje się inaczej: tutaj widzimy odrazu gospodarczą, że tak powiemy, dążność do jak najkorzystniejszego wyzyskania kapitału, który przedstawia pasza, czyli innemi słowy do jak najtańszej produkcji nawozu, owego „malum necessarium” każdego gospodarstwa. Nie bezwzględna bowiem jego ilość, lecz sposób, w jaki się opłaca, stanowi o racjonalności gospodarstwa i jeśli rolnik gospodarujący intensywnie, np. w okolicach buraczanych, przekonywa nas ścisłym rachunkiem, iż mu się opłaca sprowadzanie drogiego guana, mąki kostnej, saletry chilijskiej i tym podobnych pomocniczych nawozów; rolnik w innych postawiony warunkach ograniczy się na oborniku, bacząc pilnie, aby było swoje utrzymywać nie dla gnoju, lecz dla produktów, które z niego pozyskuje, to jest dla mleka, mięsa i siły do pracy. Doświadczenie przekonało, iż niema rasy bydła, któraby wszystkich tych trzech produktów w równej mierze i w największej ilości dostarczała; najwyżej dwa z nich tylko z pewnej danej rasy osiągnąć się dadzą. W naszych ekonomicznych warunkach na pierwszém miejscu stoi mleko, potem przydatność do pracy, nareszcie zdolność do opasu. Lecz ponieważ hołdując jednemu tylko kierunkowi w hodowli nie osiągnęlibyśmy w zupełności zamierzonego celu, to jest najtańszej produkcji nawozu, przeto w wielu okolicach kraju hodowcy starają się przez stosowny wybór rasy połączyć w swych oborach mleczność krów ze zdolnością do pracy wołów. W bliskości miast, lub osad fabrycznych, inny zachodzi stosunek: tutaj zbyt mleka w stanie świeżym takie następuje korzyści, iż największa wydajność mleka staje się głównym celem hodowli. Do tego najlepiej się nadają rasy nizinne, których głównemi przedstawicielkami są holenderska i oldenburgska, jako też pochodzące od nich: żuławska i chołmogorska. Krowy tych ras dają, jak wiadomo, bardzo wiele, ale chudego mleka; lecz ponieważ tutaj głównie

chodzi o ilość, nie zaś o jakość, przeto w odpowiednich miejscowościach krowy holenderskie najwyższe przynoszą korzyści. Rasa ta jednak, wykształcona na żyznych pastwiskach swój ojczyzny, przeniesiona w obcy sobie klimat, wymaga szczególnego dozoru i pielęgnowania, jako też zastąpienia przez silną, sztuczną paszę, obfitego pożywienia, które na miejscu, na samorodnych pastwiskach znajdowała; bez tych koniecznych warunków wyradza się i marnieje. Ztąd sprowadzanie oryginalnych sztuk rozplodowych połączone jest, oprócz kosztów, z wielkiem ryzykiem. Niedogodności tej zaradzają obory tak zwane zarodowe, hodujące, na wzór stadnin pełnej krwi, rasę czystą, z oryginalnych, starannie na miejscu wybranych sztuk rozplodowych rozmnożoną; dla nabywców, sztuki z takich obór pochodzące przedstawiają tę nad oryginalnymi wyższość, iż jako urodzone i wychowane w kraju, są już do pewnego stopnia zaaklimatyzowane i lepiej się opierają szkodliwym wpływom klimatu. Lecz prowadzenie obory zarodowej nie jest rzeczą łatwą. Nie dosyć jest sprowadzić buhaja i kilka jałówek, aby już być pewnym korzyści. Już w drugim pokoleniu zachodzi nieodzowna potrzeba t. zw. odświeżenia krwi, aby sztuk rozplodowych nie łączyć z sobą w blizkiem pokrewieństwie. Ztąd następuje konieczność sprowadzenia nowego oryginalnego buhaja, równego pierwszemu przymiotami, lecz pochodzącego albo z innej obory, albo takiego, o którym z pewnością wiadomo, iż z poprzednim nie był zbyt blisko spokrewnionym i to się musi powtarzać ciągle. Ztąd sztuki rozplodowe w zarodowych, dobrze prowadzonych i w czystości krwi utrzymywanych oborach nabywane, taniemi być nie mogą. Na tę okoliczność zwracamy uwagę tych, którym naznaczone na niektóre sztuki ceny wydają się przesadzonemi.

Do takich obór z których okazy przedstawione były na wystawie należą: p. Ciechanowskiego z Grodzca (w pow. Będzińskim), p. Wodzińskiego z Suchy (w pow. Radomskim), hr. Platerowój z Hruszniewa (w pow. Konstantynowskim). Inne znowu obory przedstawiły okazy bydląt pochodzące z krzyżowania krów krajowych z buhajem holenderskim, jak p. Janasza z Wolicy (w pow. Błońskim); jedna krowa z tej obory przedstawiona na wystawie, dała w roku zeszłym 1075 garncy mleka. Podobną mlecznością odznacza się obora p. Bertholdi'ego z Grochowa (pod Warszawą), gdyż jedna z krów przez sześć tygodni po ocieleniu dawała po dziewięć garncy mleka dziennie.

P. Natanson z Sannik (w pow. Gostyńskim) przedstawił buhaja czystej krwi oldenburskiej, dwie krowy i cztery jałowice po tymże buhaju pół-krwii.

W ostatnich czasach zaczęła i u nas w kraju zwracać na siebie uwagę rasa angielska krótkoroga (shorthorn). Rasa ta, pochodząca z Holandyi, w Anglii wykształconą została na przeważnie mięsną; posiada ona nogi krótkie i cienkie, głowę bardzo małą: zato tułów niesłychanie rozwinięty, przedstawiający kształt prawie regularnego prostokąta, co wszystko świadczy o wyrobieniu w bydle tej rasy, niezwy-

kłej zdolności do opasu. Przytém krowy są bardzo mleczne. P. Michalski z Borowna (w pow. Noworadomskim) sprowadziwszy od hr. Renard'a na Szlázku buhaja téj rasy, łączył go z krowami krajowemi, skupowanemi po jarmarkach u włościan i z rezultatów takiego krzyżowania, które na wystawie przedstawił, bardzo jest zadowolony.

Te były rasy nizinne na wystawie; innych, jako to żuławskiej i chołmogórskiej nie było wcale. Wymieniliśmy kilku tylko wystawców i ich obory dla wykazania niejako typu hodowli, któremu téż odpowiadają okazy w mniejszej lub większej ilości przez innych wystawców dostarczone.

W okolicach kraju znajdujących się w innych warunkach, zbyt mleka w świeżym stanie jest albo utrudniony, albo zupełnie niemożliwy; nabiał więc musi być spieniężany w postaci sérów tłustych, lub masła i sérów chudych. Korzyści w takim razie są znacznie mniejsze, gdyż w pierwszym razie pozostają odpadki w postaci serwatki słodkiej, w drugim zaś, jako maślanka i serwatka kwaśna, nie stanowiąca towaru targowego i nie dająca się zbyć, chyba po bardzo niskich cenach, nie opłacających rzeczywistej ich wartości odżywczej. Nawet w okolicach dalej ku wschodowi i północy posuniętych, a w miarę mniejszego zaludnienia, często zbyt séra chudego staje się niepodobnym, tak że ten produkt musi być zużytkowany na miejscu. W takich zatem warunkach, wysoka pod względem ilości wydajność mleka krów ras nizinnych staje się mniej korzystną, gdyż głównie jakość mleka, czyli zawartość w niem tłuszczu stanowi o korzyściach z obory; lecz że te korzyści niezupełnie opłacają kosztu wychowu i utrzymania bydła, zachodzi potrzeba wytworzenia jeszcze innego, że tak powiemy dodatkowego produktu, podnoszącego spodziewane zyski z obory. Produktem tym jest siła do pracy, czyli wychów wołów roboczych. Do podwójnego tego celu nadają się przeważnie górskie rasy bydła. Odznaczająca się pięknemi kształtami i znaczną stosunkowo wydajnością bardzo tłustego mleka, rasa algauska (w Bawarii), niezupełnie odpowiada tym wymaganiom z powodu drobnego swego wzrostu. Mało téż widzieliśmy jej okazów na wystawie i to krzyżowane ze szwajcarską rasą Schwytz, mianowicie trzy buhaje przedstawione przez p. Suskiego z Golian (w pow. Grójeckim). Zato na ostatku wspomniana rasa Schwytz znajduje wielkie uznanie w kraju i hodowaną jest w wielu oborach zarodowych. Nie braknie i takich, które obok holenderskiej hodują także i rasę Schwytz; do nich należą: hr. Stan. Zamoyskiego w Maciejowicach (pow. Garwoliński) i hr. Platerowej w Hruszczewie; u p. Jakóba Natansona w Sannikach, obok rasy oldenburskiej, prowadzoną jest hodowla rasy Schwytz.

Z obór odznaczających się hodowlą rasy Schwytz, przytoczyć musimy oborę p. Tomickiego z Kozuszek (pow. Sochaczewski) jako uwydatniającą oba kierunki hodowli; oprócz bowiem buhaja, dwóch krów i sześciu jałowic, widzieliśmy tu cztery woły robocze jasno buréj

maści, dużego wzrostu i ogromnej siły; na próbie bowiem uciągnęły one w parze 69 centnarów ciężaru.

Drugą rasą szwajcarską, walczącą z poprzedzającą o pierwszeństwo, jest rasa Bern-Simmenthal. Hodowaną jest ona albo obok holenderskiej, albo wyłącznie. Do pierwszej kategorii należy obora pana Wodzińskiego z Suchy, do drugiej p. Augusta Schürr z Grodziska, gdzie znajdujemy rasę tę czystą, jakoteż krzyżowaną z bydłem krajowego pochodzenia. Takież okazy półkrwi Bern-Simmenthaler, przedstawiła obora p. Heltman'na z Trzylatkowa. Podobnie pp. Żubieński i Schürr z Łukowych (pow. Makowski) przedstawili, obok byczka i krowy czystej krwi, ośm wołów pochodzących z krzyżowania krów krajowych z buhajem Bern-Simmenthaler. Dwa z tych wołów starsze, jeden 10, drugi 12 lat wieku, jako wybrakowane, były już upasione; cztery po lat 8 i 9, przedstawiały niejako typy wołów roboczych, o których sile mieliśmy sposobność naocznie się przekonać na próbie orki w najniekorzystniejszych, rzec nawet można niemożliwych warunkach, zarówno dla pług, dla oracza i dla zwierząt pociagowych; dwa ostatnie woły były młode, do pracy jeszcze nie używane. Szereg tych wielce nauczających okazów zamykała trzyletnia krowa dojna o bardzo zadawalniającej wydajności mleka wybornego smaku. Z powyższych względów oborę tę można uważać z wszelką słusznością za wzorową; łączy bowiem ona w możliwym stopniu wszystkie kierunki hodowli. Smakosz wprawdzie lekceważyć będzie mięso z przytoczonych opasów, twierdząc iż jest włókniste i łykowate w porównaniu z mięsem delikatnym tłuszczeni przerostem, pochodzącym ze shorthornów. Właściciel mleczarni w Grochowie porównawszy mleczność krowy z tej obory z mlecznością swojej, dającej po dziewięć garncy mleka dziennie, z politowaniem wzruszy ramionami; ale gospodarz rolnik, trafnie oceniający stosunki ekonomiczne kraju, może i powinien oddać należny hołd usiłowaniam pp. Żubieńskiego i Schürr'a. Naszemu zdaniem, obora ich takie ma znaczenie dla hodowli bydła w kraju, jakie przyznaliśmy stadninie p. Tukały pod względem chowu koni; nie jaśniej ona wyjątkowymi okazami, nie szuka rozgłosu przez otrzymane najwyższe nagrody, lecz jest taką jakich pragnęlibyśmy widzieć w kraju jak najwięcej.

Na tém jednak nie koniec; oprócz powyższych, znanych już i u znanych ras górskich, widzieliśmy oborę p. Dembowskiego z Nacpolska (w pow. Płońskim) przedstawioną przez trzy buhaje, cztery krowy i dziewięć jałowic rasy Montafoun krwi czystej, oraz krowę i jałowicę pół krwi. Rasa ta, pokrewna tyrolskiej, mało u nas znana, do tego stopnia, że nawet pisownia jej nazwy niezupełnie jest ustaloną, zjawia się poraz pierwszy jako oddzielna rasa na powszechnej wystawie wiedeńskiej w 1873 r. Ogół okazów pozyskał dla wystawcy medal złoty. Wolelibyśmy wszakże rasę montafuńską równie jak i następną morawską Kuhlandl nazwać podrasą, aby nie wprowadzać zamieszania w pojęciach. Tę ostatnią przedstawiła na wystawie warszawska mleczar-

nia lecznicza, słynąca wyborowym gatunkiem mleka i... wysoką jego ceną. Paszenie krów przez rok cały paszą suchą, złożoną z koniczyny porzniętej na sieczkę, mąki jęczmienną i pszennej, z dodatkiem po dwa łuty soli na sztukę, obok ceny najmu lokalu i obsługi, wpływa znacznie na podniesienie ceny mleka, które pomimo to bardzo jest poszukiwane dla wybornych swoich przymiotów.

Jak w hodowli koni, przyczynami tamującymi odpowiedni jej rozwój są: brak ścisłej kontroli nad przyplódkiem, w skutek czego młode jednoroczne, najczęściej wadliwej budowy ogierki pasąc się na wspólnych pastwiskach, płodzą dziesiątki i setki im podobnych, bez żadnej rzeczywistej wartości zwierząt; wreszcie rozwielenia kradzież koni, która sprawia, iż w okolicach najwięcej hodowli konia sprzyjających, mniejsi zwłaszcza właściciele strzegą się jak największego niebezpieczeństwa wyhodowania konia dobrego, bojąc się aby się nie stał pastwą złodziei, tak znowu w hodowli bydła, ciągła obawa zarazy księgosuszu tём straszniejsza, iż do ubezpieczenia nie można cenić wyborowych sztuk wyżej nad ustanowioną normę, ujemnie wpływa na prawidłowy rozwój tej gałęzi produkcyi, która bez tej przeszkody mogłaby się najpomyślniej rozwijać.

Mówiąc o rasach bydła właściwych dla okolic przerabiających nabiał na sery i masło, wspomnieliśmy o odpadkach pozostających przy tym przerobie i o najkorzystniejszym ich użytkowaniu. Osiągając to możemy zapomocą trzody chlewniej, będącej niejako niezbędnym dopełnieniem każdego mlecznego gospodarstwa. Aby jednak skutek był zupełnie pomyślny, rasa świń powinna posiadać wszystkie zalety, które ją czynią odpowiednią celowi. Ponieważ świnię za życia żadnego nie przynoszą użytku, powinny zatem posiadać zdolność prędkiego wykształcania się, ażeby w możliwie najkrótszym czasie osiągnęły zupełnego swego wzrostu i zadawaną sobie karmę obracały nie na dalszy wzrost i wykształcenie szkieletu, o który nam wcale nie chodzi, lecz na osadzanie się mięsa i tłuszczu. Krajowe nasze rasy, zdrowe, silne, zahartowane na ostrość klimatu i niewygody, nie odpowiadają jednak powyższemu warunkom. Zwykle mają budowę kości grubą, osadzone są na wysokich nogach, grzbiet mają ostry i krzyż spadzisty, głowę wielką, słowem cały ich skład wskazuje, iż po zabiciu, stosunek wagi części użytecznych, to jest mięsa i tłuszczu do części nieużytecznych, czyli kości, skóry i szczeciny będzie niekorzystny. Prócz tego wzrost ich jest bardzo powolny; bo wieprz ras pospolitych dopiero po czterech latach dochodzi do zupełnego swego wzrostu, a wtedy utuczony, daje wprawdzie dużo i dobrej stoniny lecz mięso jego jest włókniste, twarde i niesmaczne. Anglicy, owi mistrze w hodowli zwierząt wszelkiego rodzaju, ocenili jak należy wady świń ras pospolitych i ze świni chińskiej zapomocą umiejętnego dobierania sztuk rozplodowych, przy właściwem żywieniu i pielęgnowaniu, wytworzyli kilka odrębnych ras, różniących się pomiędzy sobą wzrostem i barwą skóry, są bowiem białe, czarne i łaciaste. Wszystkie jednak mają wspólne cechy: małe

głowy, krótkie ryje, małe, do góry skrócone uszy, bardzo krótkie i cienkie nogi, kadłub prawie walcowaty, leniwy, powolny temperament, sierć rzadką i miękką i wielką żarłoczność. Nie można wszakże zaprzeczyć, iż w tém ubieganiu się o wytworzenie w najwyższym stopniu żądanych w nierogaciznie przymiotów, niektórzy angielscy hodowcy posunęli się zadaleko; tak np. mała rasa Lincoln, po utuczeniu, przedstawia nieforemną, zaledwie zdolną się poruszać bryłę tłuszczu, dochodzącą do potworności. Nagradzanie na wystawach podobnych okazów wprowadza w błąd i publiczność i samychże hodowców, gdyż wątpić należy aby z nich który chciał pokosztować mięsa całkowicie przejętego nawpół ciekłym tłuszczem z tak utuczonej świni.

Nasi hodowcy szczęśliwie uniknęli podobnych ostateczności. Wystawców w tym dziale było wprawdzie nie wielu, ale wszystkie okazy należące do białych, wielkich ras Yorkshire i Lincoln, odznaczały się wzrostem i tuszą. P. Tomicki z Kożuszek i p. Wodziński z Suchy tak w tym dziale wystawy jak i w okazach obór swoich, zajęli pierwszorzędne stanowisko; knury i maciory przedstawione przez nich należą do rasy Yorkshire; p. Makulski zaś z Przerębu (w pow. Noworadomskim) hoduje rasę Lincoln i krzyżuje ją z krajową; takie sztuki z krzyżowania pochodzące przedstawiają największą użytkową wartość.

Przechodzimy teraz do działu wystawy bodaj najważniejszego pod względem ekonomicznym, mianowicie do działu owiec. Przeważna większość gospodarstw w kraju posiadającym klimat śródładowy a zatem więcęć suchy, w którym produkcja zbożowa pierwsze trzyma miejsce, nadaje się szczególnie do chowu owiec cienkowiełnistych z powodu obszarów pastwisk mniej żyznych, które tylko za pomocą tego gatunku inwentarza korzystnie mogą być zużytkowane.

Przed dziesiątkiem lat, nadzwyczajny rozwój owczarstwa w Australii zdawał się zagrażać hodowli owiec cienkowiełnistych u nas; obawy jednak tej groźnej konkurencji szczęściem się nie sprawdziły, gdyż się pokazało że w skutek klimatycznych warunków, wełna australaska nie odpowiada wymaganiom fabrykantów, poszukujących na cieńsze sukiennicze wyroby wełny obdarzonej innym charakterem. Z drugiej znów strony, wielki przyrost ludności w krajach zachodu Europy, wraz ze zmniejszeniem obszarów pastwisk, chów owiec cienkowiełnistych, których żywy temperament wymaga koniecznie przestrzeni, uczynił prawie niemożliwym. Owczarstwo zatem w tych krajach zwróciło się przeważnie do produkcji wełny grubszej, tak zwanęj chesankowej, jako też mięsa. Tak więc sąsiedni nam i pobratymczy Szlązk wespół z Królestwem Polskiem i częścią Galicyi, są dzisiaj nieledwie jedynemi krajami w środkowej Europie, mającemi zaspakajać potrzebowanie cienkiej wełny zachodu i wschodu Europy. Chów owiec cienkowiełnistych i u nas różne przechodził koleje. Sprowadzane w końcu zeszłego i na początku obecnego stulecia owce z Hiszpanii, pod wpływem klimatu, paszy, utrzymania i doboru sztuk rozplodowych, uległy rozmaitym zmianom. We Francyi przetworzyły się one na rasę Rambouillet-

let zwaną, o wielkiej, silnej budowie, o wełnie gęstej lecz grubszej, tak zwaną czesankową, zdolną nie na wyrób sukna lecz tkanin gładkich. W Saksonii, gdzie hodowcy w celu dogodzenia żądaniom fabrykantów, głównie cienkość włosa mieli na celu, powstała rasa elektoralna, małego wzrostu, lecz wydająca najcieńszą wełnę. Przekonano się jednak niebawem, iż ten kierunek hodowli zbyt był jednostronnym, aby mógł producentom zapewnić rzeczywiste korzyści. Nadzwyczajną cienkość i delikatność wełny pozyskano kosztem jej obfitości i jedności, tak że pomimo wysokich cen za taką wełnę płaconych, korzyści były mniejsze niż z owiec z mniej cienkim lecz obfitym runem. Nie rzadko dawały się widzieć całe owczarnie z wełną wiotką, rzadką, z gołymi nogami i brzuchami, tak iż przeciętna wydajność strzyży z całej owczarni nie dosięgała dwóch funtów ze sztuki. Oczywiście, stan taki nie mógł zadowolnić hodowców. Usilne starania w celu zaradzenia złemu, doprowadziły nareszcie, zapomocą baranów sprowadzonych z Hiszpanii i umiejętnego doboru sztuk rozplodowych do wytworzenia rasy zwaną Negretti o większym wzroście, silniejszej budowie, mocno pożądaną skórą, gęstym obrostem lecz grubszą nieco, chociaż jedną i wyrównaną wełną. Lecz i taki kierunek nie był wolnym od jednostronności. Wełna ta przejęta była tłuszczopotem gęstym, nie ustępującym łatwo w zwykłym praniu wełny na owcach, lecz dającym się dopiero usunąć w praniu fabrycznym zapomocą środków chemicznych, co znowu wpływać musiało na znaczne zniżenie wagi netto wełny, w porównaniu z wagą brutto otrzymaną po strzyży. Prócz tego grube fałdy na szyi i innych częściach ciała porastały wełną mniej szlachetną, co wyrównaniu runa szkodziło. Ujemne te strony wzmiankowanej rasy skłoniły hodowców do nowych usiłowań w celu wytworzenia rasy pośredniej, łączącej w sobie zalety wspólne obu, bez wad właściwych każdej z nich z osobna. Tak powstała rasa elektoral-negretti zwana, jako najdoskonalszy typ owiec cienkowiełnistych, celująca cienkością i jednością wełny, wyrównaniem i gęstością runa, dobrym obrostem i silną budową owiec, wolnych od chorób spadkowych, dziesiątkujących nieraz całe owczarnie. Rezultaty takie osiągnąć się dały tylko zapomocą znacznych kosztów, gruntownej znajomości rzeczy i nieprzerwaną bacznością w dobieraniu sztuk rozplodowych. Zadosyćuczynienie tym warunkom nawet dla hodowcy dostatecznie obznajomionego z przedmiotem jest rzeczą trudną, tak że musi się uciekać do pomocy specjalisty, który cały swój czas i umiejętność swoje poświęca prowadzeniu owczarni jego pieczy powierzonych. Nabycie tryka z takiej wzorowej owczarni, jest zawsze pożądanem dla gospodarza pragnącego gromadkę swoją poprawić. Ztąd powstały owczarnie zarodowe, których celem jest oprócz produkcyi wełny na potrzeby fabryki, dostarczanie hodowcom tryków rozplodowych. To cośmy mówiąc o bydłe, powiedzieli o oborach zarodowych, daje się w zupełności zastosować i do owczarni, z tą jeszcze różnicą, iż wszelkie warunki nie-

zbędne do prowadzenia takiej owczarni, przestrzegane być winny z drobiazgową ścisłością.

Szląskie owczarnie zarodowe liczyły szczególnie na korzystny zbyt tryków u nas i to stanowiło bardzo znaczną rubrykę w ich dochodach, gdyż ceny na celne tryki były nieraz bajecznie wygórowane; dochody te wszakże znacznie się zmniejszyły, skoro i u nas powstały owczarnie zarodowe, dostarczające równie dobre sztuki, lecz po cenach znacznie niższych. Pod tym ostatnim wszakże względem wyjątek stanowi piękna owczarnia rasy czystej negretti p. Wacława Kuszczewskiego z Kociołek (w Piotrkowskim). Widzieliśmy tutaj ośm tryków, dziewięć maciorek i ośm dwulatek z tej owczarni, lecz mamyż wyznać prawdę? spojrzawszy na ceny w katalogu wyrażone, doznaliśmy uczucia graniczącego z przestrawieniem, które nas powstrzymało od bliższego rozpatrywania się w przedmiocie dla nas nie pojętym. Trzy tryki po rs. 1200 za sztukę, jeden za 1000, jeden za 500 a dwa tylko roczniaki po 200 rubli, są chyba przeznaczone na sprzedaż do Ameryki, bogatym Yankes'om, bo u nas z trudnością się znajdzie gospodarstwo, któreby mogło ponosić takie wydatki na kupno... baranów. Chybaży równocześnie zakupiło wszystkie cenne oryginalne perszerony, normandy i huntery znajdujące się na wystawie dla sprzęgania z nich fornałek, w celu doprowadzenia wszystkich szczegółów do ogólnej harmonii; ceny dwulatek po 40 rubli za sztukę również są wygórowane i sądzimy, iż się nie dadzą ekonomicznie usprawiedliwić.

Zrozumiawszy już dla nas były ceny tryków ze słynnej owczarni p. Skórzewskiego z Chełma (w pow. Noworadomskim) ceny te chwieją się pomiędzy 151 a 351 rubli, ale bo też niektóre okazy już jako roczniaki wydawały po ośm funtów wełny pranej; podana waga pojedynczego runa sztuk wystawionych jest mniej więcej jednakowa i świadczy o wyrównaniu pod względem jakości, obrotu i nabytości wełny całej gromady, której przeciętna waga ze strzyży wynosi po 3½ funta.

W owczarniach zarodowych a więc mających tryki na sprzedaż, do wielkich zalet zaliczamy przystępność ceny, gdyż w takim tylko razie zdolne są one spełnić swoje zadania, dostarczając hodowcom potrzebnego materiału ulepszającego, tak aby tenże mógł być nabyty. Do takich też owczarni należy owczarnia p. Przyłubskiego z Zator (w pow. Pułtuskim); owczarnia ta, nabyta przed kilku laty od p. Trylskiego z Pawłowic, prowadzona stale w racjonalnym kierunku przedstawia oprócz maciorek, dwadzieścia trzy tryki, wszystkie, z wyjątkiem jednego i to wcale nie najdroższego, urodzone na miejscu u właściciela. Naznaczone na nie ceny ustanowione być musiały po dojrzałej rozwadze, gdyż skala ich wznosi się stopniowo od 45 do 250 rubli, nabycie ich zatem staje się dla każdego, pragnącego ulepszyć swoje owczarnię dostępną.

Do téż kategorii zaliczamy owczarnię p. Szczanieckiego z Migdzychodu (w W. K. Poznańskim) prowadzoną starannie i umiejętnie

już od lat pięćdziesięciu; jubileuszową tę cyfrę cena tryków podana w katalogu przewyższa tylko w trójnasób a więc widoczném jest, że i w téj owczarni dbano o możliwe uprzystępnienie cen, gwoili pożytku powszechnego.

Możemy tu jeszcze zacytować kilka owczarni jak p. Górskiego z Woli Pękoszewskiej (w pow. Skierniewickim), której okazy odznaczają się dużym wzrostem, p. Mieleckiego z Szydłowa (w pow. Łódzkim), p. Unrug'a z Ryk (w pow. Garwolińskim), które chociaż nie zarodowe, mają na celu produkcją wysoko cienkiej i szlachetnej wełny i spieszymy przejść do innej kategorii wystawionych owiec, mianowicie produkujących wełnę czesankową i mięso. Rasa Rambouillet odgrywa tu główną rolę, tak czysta jak i krzyżowana z elektoralną i negretti. Czyste Rambouillety przedstawił p. Niemojewski ze Słupi, p. Bertram z Reksin (pod Gdańskiem) cztery tryki i dwie maciorki elektoral-rambouillet; także p. Koeppl z Ustkowa (pow. Krotoszyński w W. K. Poznańskim), p. Kwilecki z Oporowa (pow. Szamotulski, tamże) i p. Antoni Kalkstein z Pluskowców (Prusy Zachodnie). Widzimy w tych krzyżowaniach dążność do osiągnięcia podwójnego celu w hodowli, mianowicie wełny zdatnej na wyrób grubszych gatunków sukna a zarazem większej wydajności mięsa; jest to jakoby przejście od chowu owiec wyłącznie dla wełny, do hodowli owiec czysto mięsnych, jakimi są rasy angielskie. I w tym kierunku nastąpił od niejakiemu czasu nowy zwrot. O dawnym typie mięsnej rasy Dishley, wytworzonej niegdyś przez Bakewell'a, dzisiaj już nie słychać; miejsce jego zastąpiły southdown'y a i z temi stają do konkurencyi Oxford'y, Lincoln'y i Hampshir'y; wprawdzie na wystawie widzieliśmy tylko dwa okazy dwóch tych ostatnich odmian, wystawione przez p. Kwileckiego z Oporowa.

Są i u nas okolice, w których miejscowe warunki, a głównie gatunek łąk i pastwisk, nie sprzyja hodowli owiec cienkowiełnistych, mianowicie w miejscowościach nisko położonych i mokrych. Dla wytworzenia rasy, takim warunkom odpowiedniej, p. Wodziński, z Suchy, krzyżuje rambouillety z owcami holsztyńskimi (Eiderstadt), w celu otrzymania owiec o wielkiej wadze żywój, z wełną czesankową średniej cienkości, zdolnych do opasu, a nadewszystko zwyciężko opierających się wpływom zimnego i wilgotnego powietrza i mokrych pastwisk, które dla innych ras owiec byłyby zabójczemi.

P. Ludwik Rossmann, z Bielawy, pod Warszawą, posiadał owczarnią wysoko poprawną i wełnę z niej sprzedawał po wysokich cenach; gdy jednak cena jej w roku 1868 nagle spadła, wtedy zaniechał hodowli owiec cienkowiełnistych, i sprzedawszy owczarnią, na jej miejsce zaprowadził owce mięsne, pochodzące z krzyżowania ze Southdownami; następnie kupował owce u włościan i krzyżował je z trykami z Anglii sprowadzonymi, rasy Oxfordshire. Celem téj hodowli jest wyłącznie produkcja mięsa, znajdującego z powodu bliskości Warszawy zbyt zawsze łatwy; samo zaś położenie gruntów dóbr Bielawa, na

Powisłu, a więc podległym częstym mgłom, w ogóle nie sprzyja hodowli owiec cienkowiełnistych i bardzo być może, że i ta okoliczność nie pozostała bez wpływu na postanowienie właściciela co do zmiany kierunku hodowli.

Widzieliśmy też kilka okazów owiec pospolitych, tak zwanych świniarek, przedstawionych przez Jakóbczaka, włościanina z Wólki Lenczewskiej. Wspominamy tu o nim, jako o jedynym wystawcy owiec, należącym do stanu włościańskiego. Nie dostrzegliśmy w tych owcach żadnych cech wybitniejszych i skłonni jesteśmy do mniemania, widząc jak właściciel z zajęciem przypatrywał się innym okazom, czy w umyśle jego nie zaświtała myśl, nabycia z której owczarni jagnięciabaranka, z którego mógłby się dochować tryka dla poprawienia swojej gromadki. Myśl dobra i płodna w skutki, gdyby się urzeczywistnić mogła na podstawie trafnego wyboru, przyczem należałoby uwzględnić rodzaj pastwisk, zasoby paszy zimowej i t. d., aby ustrzedz się błędów, ale dojść do rezultatów, które mogłyby się stać przykładem dla innych drobnych właścicieli ziemskich.

Przeskok od tak ważnego przedmiotu gospodarskiego, jakim są owce do innego, samo tylko amatorstwo mającego na celu, byłby zbyt nagłym, gdyby nie było pomiędzy nimi na wystawie łącznika, jakim był pies owczarski p. Jeszke, owczarza z Kociołek (owczarni p. Łuszczewskiego). Niepozorny ten piesek zadziwił widzów zmyślnością i doskonałym ułożeniem w swoim, iż tak powiemy, fachowym zawodzie. Podług zapewnień wystawcy, strzeże on owiec, prowadzi je na pastwisko i do domu po najwęższych drogach, nie pozwalając żadnej zboczyć na stronę, ani też biedz pędem, a ponieważ sam liczyć nie umie, po odprowadzeniu gromady do domu, sam, bez rozkazu, wraca na pole, aby zobaczyć czy się która owca nie została. Znalazszy taką zbłąkaną owcę, stara się ją odprowadzić, a gdy ta jest słaba i iść nie może, wtedy pozostaje przy niej na straży, czekając, nim kto nie nadejdzie. Instynktowy ten popęd objawiał się w nim i na wystawie, gdyż często zrywał się z miejsca i obleciawszy cały plac wystawy i zając wszystkie kąty, jakby upewniwszy się, iż wszystko w porządku, wracał na miejsce naprzeciwko klatek swojej owczarni.

Z innych gatunków psów, najwięcej było wyżłów, dwóch głównych rass angielskich: jeden prześliczny, śnieżnej białości z żółtymi uszami, setter, nazwiskiem „lord” i kasztanowaty, pięknych kształtów pocister. Za pierwszego naznaczona była pokaźna cena 1,000 rubli. Jakkolwiek sami osobiście liczymy się do przyjaciół wszystkich domowych zwierząt w ogólności a psów w szczególności, nie czujemy jednak w sobie dość siły, aby nawet wtedy, gdyby możliwe wielkie środki materialne na to pozwalały, wznieść się do takiego szczytu amatorstwa i zapłacić za psa taką cenę; chociaż znowu snadniej nam jest pojąć takie amatorstwo, niż ekonomicznie usprawiedliwić cenę 1,200 rubli za barana.

Kilkoro bardzo pięknych szczeniąt, obu wyżej wymienionych ras,

parę legawców innych, mieszanych ras, jako też wyżej rasy zwanéj u nas kurlandzką, lecz w nadbałtyckich prowincjach noszącéj nazwę kasselskiej, dopełniały tego działu wystawy; do powyższych okazów doliczyć jeszcze należy dużego, pięknej budowy charta, lecz ten już dzisiaj w gospodarném myślistwie współ z ogarem do anachronizmów należy.

Wystawa drobiu składała się przeważnie z kur rozmaitych ras: kochinchiny, bramaputry, angielskie dorkingi, francuzkie crèvecoeur'y i houdan'y, walczyły z sobą o pierwszeństwo. Ciekawych przywabił ozdobny pawilon pani Schürr'owéj z Grodziska (pow. Ostrołęcki), w którym uprzejmie okazywano przyrząd do sztucznego wylęgania kurcząt. Wiadomo, iż francuzkie rasy, houdan i crèvecoeur wyborne są na mięso i przy dobrém żywieniu dużo jaj niosą, lecz do wysiadywania kurcząt trudno je nakłonić; powyższy zatem przyrząd ma zastąpić ów brak pocucia macierzyńskich obowiązków... w kurach. Składa się on ze skrzynki drewnianej, mieszczącej wewnątrz drugą blaszaną, czy też cynkową, do której za pomocą dwóch rurek na wierzchu umieszczonych, nalewa się gorąca woda; znajdujący się z boku wodowskaz (rurka szklanna) wskazuje wysokość wody w skrzynce. Wodę tę, w miarę potrzeby wypuścić można kurkiem, znajdującym się u dołu. Do szufladki szczelnie zamykanéj i mieszczącej się na spodzie przyrządu i wybitéj suknem, wkłada się 50 jaj; znajdujący się tamże ciepłomierz, służy do regulowania temperatury, która powinna wynosić stale 40° C. W miarę stygnięcia wody, część się wypuszcza przez kurek, a przez rurki wierzchnie dolewa się nowa ilość gorącej. Po trzech dniach jaja się wyjmują i pojedynczo przeglądają się pod światło lampki, w umyślnie do tego zbudowanym przyrządzie. Zupełnie jasne odbierają się do użycia, zalegnięte zaś pozostają w szufladce przez trzy tygodnie, to jest tyleż czasu co i pod kurą, aż do wyklucia się kurcząt.

Dodatkowy dział wystawy stanowiły, jak program opiewał, wszelkie przedmioty, mające związek z chowem i pracą koni i bydła. Mielśmy więc tutaj wyroby wszystkich celniejszych fabryk powozów w Warszawie. Karet i faetonów naliczyliśmy bardzo wiele, ale za to trzy tylko wozy półtoraczne, z których dwa, t. j. jeden kuty, a drugi bez okucia, dostarczyła osada rolna w Studzieńcu; trzeci, staranniej wykonczony, pochodził z fabryki w Szydłowcu: taż fabryka przedstawiała także parę bryczek swego wyrobu. Znakomite firmy siodlarskie i rymarskie w Warszawie, oraz jedna lubelska, wystawiły swoje wyroby, godnie odpowiadające uznaniu, jakim oddawna się cieszą. P. Pik przedstawił narzędzia weterynaryjne, modele z masy papierowej, przedstawiające anatomiczną budowę kopyta końskiego i wymię krowy; odlew gipsowe kopyt wadliwych i wiele innych przedmiotów, które tu pomijamy, jako niemające pośredniego nawet związku z chowem lub pracą inwentarzy. Toż samo rzecz można o wyrobach gumowych, firmy Wierzbicki i S-ka, której tylko podkłady gumowe pod podkowy, w bezpośrednim związku z wystawą, zostawały. P. Wilman przedsta-

wił przyrząd do zadawania koniom i bydłu wszelkich lekarstw, wynalazku d-ra Rueffa. Fabryka akcyjna wyrobów galanteryjno-koszykarskich, pod firmą „Wanda,” mnóstwo ładnych damskich koszyczków i jako usprawiedliwienie obecności swój na wystawie powozik, wyplatany trzcina i wikliną.

P. Zakrzewski z Woli Trębskiej (w powiecie Gostyńskim) przedstawił model żłobu przenośnego, na ośm koni fernalskich, własnego pomysłu, wykonany na miejscu w połowie naturalnej wielkości. Żłob ten ma zastosowanie w takich fernalskich stajniach, z których gnoj się nie wyrzuca, lecz pozostaje pod końmi. W miarę zatem podnoszenia się jego powierzchni, żłob się podnosi i umocowuje zakopując jego podstawę w gnoju. Drabki żelazne, spięte łańcuszkami, zapobiegają rozrzucaniu siana przez konie.

Taką była tegoroczna wystawa; staraliśmy się podnieść dodatnie jej strony, uznając w zupełności pożytek, jaki podobne wystawy dla kraju przynieść mogą, lecz obok tego ujawniły się niektóre strony ujemne, o których zamilczeć niepodobna. Zarzucano zeszłoroczną wystawie za wiele blasku, mamiącego oko i noszącego czasem charakter teatralnego przedstawienia. W tym roku nie było średniowiecznych kostiumów, ale też nie brakło zbyt długo trwających popisów nieraz zbyt ekscentrycznych ekwipaży, ze stangretami w pstrój barwie, przemawiających nadsekwąską lub albiońską mową. Popisy jeźdźców nie udawały się jakoś w tym roku; głównym powodem tego, był deszcz, który grunt rozmoczył i uczynił go ślizgiem, w skutek czego było kilka upadków koni z jeźdźcami przy przesadzaniu przeszkód, którym towarzyszyły lżejsze lub silniejsze stłuczenia. Rzecz godna uwagi, że właśnie najlepszym jeźdźcom los tak nie służył. Jakby na zabicie nudów, spowodowanych uprzykrzoną słotą, widzieliśmy popisy artystki, która znalazła się w miejscu dla siebie zupełnie niewłaściwym, co wywołało pewien niesmak i szemranie w publiczności.

Jeszcze jedno słowo: są tacy, którzyby pragnęli z wystaw w przyszłości usunąć wszelkie popisy, jako to przeprowadzanie koni, przejeżdżanie zaprzęgów, gonitwy konne z przeszkodami i t. p. Nie podzielamy tego zdania. Poczciwa publiczność warszawska, pracująca po warsztatach, biurach, kantorach, sklepach przez cały dzień, aby zdobyć sobie panem zasługuje też i na circenses, do których ma niewystawiony pociąg, tem bardziej, że je utrzymuje za swoje pieniądze. Podczas, gdy po zeszłorocznej wystawie zamknięcie rachunków okazało saldo w debet, a więc w przychodzie, w tym roku saldo było po stronie credit, na sumę, jeśli się nie mylimy, 790 rubli. Przyczyną tego była słota i przejmujący chłód w niedzielę, zaraz po otwarciu wystawy, co pozbawiło kasę wystawy kilkunastu tysięcy złotych; toż samo powtórzyło się i we czwartek, w święto Bożego Ciała.

Sprzedaż koni szła opieszałe, zato sprzedaż bydła bardzo żywo i po dobrych cenach. Ten handlowy charakter wystawy nasuwa nam

myśl, czyby nie dobrze było dopuszczać na nią próby masła solonego i serów, wyrabianych na sposób szwajcarski, holenderski lub angielski, nie jako okazy, niezdolne budzić w publiczności interesu, lecz dla zbadania przez biegłych i wydania o tych wyrobach bezstronnego sądu, prosząc przytém pp. wystawców o podanie dokładnej wiadomości o wysokości rocznej produkcyi i o miejscach zbytu. Chcielibyśmy téż, aby publiczność, zwiedzająca wystawę, mogła się choć pobieżnie obznajmić z nowemi wynalazkami na polu mechaniki, stosowanej do potrzeb gospodarstwa nabiiałowego, jak np odśrodkowiec Lefeldt'a do oddzielania śmietany od mléka, chłodnica Lawrence'a i t. p. Inicytywa w tym względzie należy do tak licznych w Warszawie składów machin i narzędzi rolniczych, które z małemi wyjątkami, bardzo obojętnie względem tegorocznej wystawy się zachowały.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowy zbiór poezji Wiktora Hugo: „Les quatre vents de l'esprit.”—Zmarły Emil Littré.—Wystawa rzeźb i obrazów: Baudry: „Apoteoza prawa.”—Blanc: „Tryumf Kłowisa.”—Leroux: „Herkulanum.”—Brozik: „Krzysztof Kolumb, Petrarka i Laura.”—Detnille: „Rozdanie sztandarów.”—Bertrand: „Ojczyzna.”—Neuville: „Wojenne sceny.”—Obrazy ludowe.—Portrety.—Rzeźby.—Allard: „Śmierć Alcesty.”—Barrias: „Obrona Paryża” i t. d.—Rzeźbiarze polscy, pp.: Godebski, Boryczewski, Guyski, Hegel, Łozik, panna Dąbrowska, pani Matylda z Warszawy.—Malarze polscy: p. Merwart: „Scena z potopu.”—P. Alchimowicz: „Obrona Olsztynu.”—P. Chełmoński: „Konie ukraińskie.”—P. Piotrowski: „Scena wiejska,” „Pochód z rannym.”—P. Nikutowski: „Modlitwa przed bitwą.”—P. Bakalowicz: „Uczta na dworze Henryka Walezyusza.”—P. Szyndler: „Portret,” „Odaliska.”—PP. Zier: „Portrety,” „Echo,” „Auda.”—P. Horwitz: „Portret.”—PP.: Przepiórski, Cetner, Kowalski, Słaczynski, Karbowski, Gąsowski.—Akwarele i porcelany: pp. Ostrowski, Kwiatkowski; panie: Zuliwska, Zaborowska, Grabowska, Konstancja Boulard, panna Helena Duchńska.—Arcydzieło Munkaczego: „Chrystus przed Pilatem.”—
Notaty Mandaryna chińskiego.

Od ostatniej kroniki naszej, najważniejszy wypadek w literaturze stanowią dwa tomy poezji Wiktora Hugo, wydane pod dziwacznym nieco tytułem: „Les quatre vents de l'esprit humain” (Cztery wiatry umysłu ludzkiego). Pierwsza to publikacja poety od czasu wielkiej manifestacji, jaką Paryż wyprawiał mu niedawno. Prasa biła w bębny i dzwony na uroczystość, prasa też zmuszoną była bądź cobądź sypać hojnie kadzidło na cześć bożyszcza; znalazła się jednak w pośród niej mała, ale zawzięta garstka przeciwników. Krytycy podzielili się więc na dwa obozy; podczas gdy jedni splatają świeże bluszcze na głowę mistrza, drudzy dalej—że krajać nowy zbiór anatomicznym nożem i szarpać go ostrzejszemi jeszcze zębami. Pierwsi utrzymują, że ośmdziesięcioletni orzeł nigdy jeszcze nie rozwinął skrzydeł tak wysoko, nie wzbił się nigdy tak śmiałym lotem w podstępne wyżyny; inni, jak Emil Zola, widzą w tym nawale syntez i abstrakcyi, w tym dźwięku

brzmiących a pustych zwrotek, jakoby echo zagrobowe, wybiegające z pod głazu, którym naturalizm przywalił romantyczną poczętą.

Zobaczmy naprzód, jak Hugo usprawiedliwia ekscentryczny tytuł zbioru swego. W wierszu wstępnym stawia on paralełę między wicherami, szumiącymi w przestworzu, a szalonym uraganem, miotającym duszą poety. Aby dać pojęcie tego nawału szumnobrzmiących frazesów, których Wiktor Hugo tak dziwnie nadużywa, przytaczamy w dosłownym przekładzie część prologu; usuwamy rym dla tém większej wierności.

Cztery wiatry pędziły. O, wiatry! zawołam,
Wiatry z nieba! was tylko czyż rydwany niosą?
Maszkary z dzikiém licem! nawały szatanów!
Wam-że tylko przebiegać z głębi fal na góry?
Te polyski piorunów, ten pęd rozhukany,
Również je ma duch ludzki, o, wichry tragiczne!
Dusza jak przestwór niebios, ma cztery swe prądy,
Dusza ma swe bieguny i mocne ma osie!
Myśl orzeł czteroskrzydły, leci z tej otchłani,
Kędy żeglował Noe, na wyspę, gdzie we śnie,
Kreślił Jan wieszczby w Patmos, a każde z tych skrzydeł
Epopeą, dramatem, odą, lub satyrą,
A każde skrzydło rąbie niby ostrze miecza.
Dusza ludzka, o wiatry! jak wy szumna grupo,
Ma północ, ma południe, ma zachód i zorzę,
Śmiała, czterema kroki, od krańca do krańca
Przebiegnie pole sztuki, jak wy błękit niebios!

Po tym szumnym wstępie na cześć czteroskrzydlatej poezji, następuje szumniejszy jeszcze, którym poeta wyprowadza na scenę rogatego satyra. Występuje tu cały Olimp, parska homerycznym śmiechem. Niektórzy bogowie kichają odurzeni wyziewem, buchającym z czarnego kotła. Izajasz duma wsparty o mur bezbożnego Babilonu; Eschyles, czciciel Prometeusza, urąga Jowiszowi; Tacyt gniecie nogą dwunastu smoków, nazwanych Cezarami!

Śladem tych wielkich poprzedników, Hugo wydobywa z kołczanu zatrute strzały, godzi niemi w pierś ofiar swoich, na licu ich wyciska piętno hańby. Sztydzi z dawnych satyryków, którzy, jak Boileau, chłostali bez litości pysznych markizów, lub doktorów w piętrząstych fryzurach, a chylili głowę przed zbrodnią, odzianą w purpurę i gronostaj. Tu poeta wpada na ton owego oska, który w ostatnim poemacie tak gorzko urągał szkołom i profesorom: Sorbonę zowie miejscem zapowietrzonym, mistrzów jej nieukami i pedantami.

Przewiał wreszcie duszący wiatr satyry, po nim zrywa się wicher dramatu, szczerze też zaprawiony satyrą. Fantastyczny utwór, złożony z dwóch części, jest i komedią i dramatem. Bohaterem obu ten-

że sam książę Gallus, rodzaj Fausta, a zarazem Don Juana. Rzecz dzieje się w XVIII wieku; chorobliwy szal ogarnia wszystkie głowy.

Gallus, udzielny książę szwabski, nastąpił na tron po bracie, z krzywdą bratanka, którego wychowuje w jakimś zakątku leśnym. Prawy dziedzic nieświadomy rodu swego, kuje młotem żelazo w kuźni; uzurpator tymczasem błyszczy w Wersalu, pełną garścią rozsiewa złoto. Nieodrodny syn wieku, szydzi ze wszystkiego, nie wierzy w nic, szczególnie w zachość kobiet. Znudzony obłudą i zepsuciem pań dworskich, puszcza się z szambelanem swoim w głąb lasów, tam napotka może jakiś dziko wyrosły kwiatek, odrębny od innych barwą i wonią. W wędrówce swojej zatrzymuje się naprzód koło gruzów starożytnego zamczyska. Tu mieszka piękna Nella z siwym ojcem, niegdyś możnym burgrafem, dziś zmuszonym w pocie czoła pracować na kęs chleba. Podczas, gdy starzec orze zagon, książę usiłuje zniewolić sobie śliczną Nellę, roztacza przed jej okiem cały urok wielkości ziemskich. Ale dziewczeczka odrzuca go z pogardą; kocha ona biednego kowalczyka, sierotę bez rodu i krewnych; drży na myśl, że ojciec, stary burgraf, nie zgodzi się na taki związek. Widok serc zakochanych rozbija księcia; jak łatwo zgadnąć, kowalczyk jest owym wydziedziczonym bratankiem. Gallus oddaje mu tron i koronę książęcą, zachowuje tylko złupione skarby, rad, że odzyskał wolność. E finita la comedia.

W drugiej części rozwija się dramat. Nie szukać w nim prawdopodobieństwa; to poprostu szkic fantastyczny, rzucony dorywczo śmiałym piórem.

Poeta przenosi nas do ubogiej wioski, dotykającej ciemnego lasu. Przed chatą o zapadłych ścianach, poszytej słomą, przejeżdża karetą z herbem książęcym, cała błyszcząca od złota. Po drugiej stronie toczy się wózek zbity z desek, naładowany mierzwą; ciągnie go biedny osioł: przy wózku stąpa wieśniak w błękitnej bluzie. W okienku młoda Elżusia zaplata długą kosę.

— Jaka cudna dziewczyna! — rzecze Gallus z uśmiechem.

— Jaki prześliczny powóz! — zawoła Elżusia i oko jej zabłyśło.

Elżusia od dziecka sierota, wyrosła w ubóstwie, umie jednakże czytać; a to, co wyczytała w książkach, zbudziło w jej głowie dziwne jakieś ideały. Ma zaślubić wieśniaka z ogorzałą cerą, z rękoma czarnymi, jak ziemia, w której grzebie od młodu, z mową prostaczą, postawą gburowatą. Dziś oto Haron powiedzie Elżusię do kościoła; w Elżusi głowie tymczasem roją się dziwy o jakimś zaklętym królewiczu, co przybędzie z daleka do niej. Oto rozhovor młodej pary.

HARON.

Zrzucę mierzwę, przybędę za chwilę do chaty.
Pojeżdżem do kościoła; już grajek i swaty
Czekają...

ELŻUSIA.

Niech tak będzie.

HARON.

Tyś dobra i gładka.
 A więc żenię się z tobą! nie lada to gratka,
 Zostać biedną sierocie gospośią bogatą,
 Wiejskie dziewy czekały na to jak na lato!
 Lecz jam cię upodobał jedną z pośród wielu,
 Choć prostą wyrobnicę. Zaraz po weselu
 Wyniesiesz się z téj dziury, gdzie od listopada
 Drżałaś przez długą zimę skurczona i blada.
 Kurnoszki będą krakać i wytrzeszczać ślepie,
 Jak ptastwo, co na słoć w czarne skrzydła trzepie.
 Rad-że się z nich naśmieję! kraczie sobie wrony,
 Ożenię się i kwita... wara od méj zony!
 Jedną masz tylko wadę, czytasz książki oto;
 Ja nie, bo jak czytanie pogodzić z robotą?
 Gdzie pani sługą nie jest, źle się w domu dzieje,
 Musisz zerwać się rankiem, ledwie kur zapieje,
 Żąć w polu sierpem kłosa, zgarniać kopki siana,
 Wygnać bydło na łąkę, zamieść izbę z rana,
 Prać chusty, myć podłogę i garnki i miski,
 A jak Bóg da dzieciątko, śpiewać u kołyski.
 Gdy pójdiesz do kościoła, lub na targ do miasta,
 Masz w ręku nieś trzewiki, jak baczna niewiasta.
 Swój skórze nie zaszkodzi, gdy przesiąknie rosą,
 I żyć będziem bogaci, szczęśliwi, choć boso.
 Miło przecież zwać mężem pocziwego człeka?
 Spiesz-że się panno młoda, wesele nas czeka.

(Przygląda jęj się bacznie).

Tyś mi trochę za chuda, jak zostaniesz panią,
 Będziesz jadła schab tłusty i pieczeń baranią.
 To wnet krasą przybladłe zakwitną jagody,
 Dobra strawa niewieście dodaje urody!
 Osioł chudnie bez ostu, owca schnie bez paszy,
 Życie nam się potoczy słodko w chacie naszéj;
 Ja rankiem woły z pługiem na rolę powiodę,
 Ty będziesz karmić wieprzki i piosiatka młode:
 W chlewku zmoczą się nóżki, ale to rzecz mała,
 Ba!

ELŻUSIA *(na stronie).*

Niedawno w książeczce jam dziwy czytała:
 Zdarza się, że królewicz w jedwabiu i złocie,
 Nagle zjedzie do chaty i rzecze sierocie:
 — Bądź moją, dam ci pałac z złocistymi ścianą,
(Patrzy smutném okiem na wieśniaka).

On nie taki!

Haron odjeżdża, trzaska z bicia na znak radości. Elżuska stoi chwilę zadumana w okienku, potem wybiega na podwórkę; pochyłona nad źródłem przygląda się własnym licom i splata długie włosy. Nagle jakaś niewidzialna ręka wpina jej w warkocz kłós dyamentowy. Dziewczyna ogląda się, a oto mały karzełek wypada z zarośli, trzymając przed nią zwierciadło w złotych ramach. Ona przypatruje się własnym licom i znów tajemnicza ręka zawiesza jej perły na szyi. Po chwili wchodzi Gallus: łatwo odgadnąć resztę. Słowa kusiciela padły na rolę dobrze przygotowaną; Elżuska waha się; wtem coś zaturkotało, zarzempoliły skrzypki: z jednej strony prosty wieśniak i wózek, z drugiej książkę i złocista karetę, dyamenty i perły! Dziewczkę jednym poskokiem rzuca się do karety, znika z przed oczu kmiecia.

Drugi akt przenosi nas do pałacu. Elżuska zostaje markizą; żyje otoczona zbytkiem, obsypana kwiatami, odbiera hołdy panów dworskich. Lecz hołdy te, zaprawne szyderstwem i pogardą, ranią do żywego jej serce. W ostatniej scenie, siedząc przy uczcie z Gallusem, rzuca mu w oczy przekleństwo, zdziera z siebie drogocenne klejnoty, kruszy je, depcze nogą; poczem zdejmując z palca dyamentowy pierścień, połyka ukrytą w nim truciznę i pada trupem u nóg kusiciela.

Po tym palącym uraganie dramatycznym powiewa trzeci wiatr liryczny. I ten powiew, częściej duszący, niż łagodną zaprawny atmosferą. „Jam maguesem przyrody! moja dusza przebiega olbrzymią jej gamę, woła upojony pychą poeta; jam żywym psalterzem, na lirę moję, poruszaną tchnieniem Zoroastrów, padło niegdyś siedm nut, z siedmiu promienistych gwiazd septentrionu!” A jednak w liczbie pięćdziesięciu kilku pieśni lirycznych znaleźliśmy kilka nastrojonych na rzewną i pełną wdzięku nutę. Pieśni zwłaszcza wyśpiewane na ziemi wygnania, odznaczają się prostotą: snuć wypłynęły z głębi duszy. Jakieżto naprzykład głęboki spokój, jaka prawda w tém ostrzeżeniu:

O, tułacze! wygnani ze mną w oudze strony,
Bądźmy jak Trazansze, bądźmy jak Katony!
Niech widok obcych ludzi nie chmurzy nam oka,
Bo przepaść od tubyloów dzieli nas głęboka.
Oni tu w gnieździe własném, my przelotne ptaki,
Od czasów Arystyda los nasz był jednaki;
Wygnanie to zagadka, widmo tajemnicze,
Jeżeli nikt nam dotąd nie plunął w oblicze,
Bądźmy i za to wdzięczni!

Ileż tęsknoty w tój oto piosnce, słabo oddanej w wolnym układzie naszym:

— Tułaczu! widzisz te róże,
Maj nam je przynieść bogaty;
Słoneczko przyświeca w górze;
Tułaczu! spojrzaj na kwiaty.

- Ja dłońmi w kraju własnem,
Sadziłem róże radosny,
Tu zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny.
- Tułacz! spojrzysz na groby,
Maj w bluszcz je wieńczy na nowo,
Gołąbek jękiem żałoby,
Kwili umarłym nad głową.
- Jam łzami groby rzewnemi,
Zlewał, sierota żałosny,
Tu, zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!
- Tułacz! spojrzysz na drzewa,
Słyszysz pisklatek szmer głuchy,
Wiosna do lotu odziewa,
Skrzydółka miękkimi puchy.
- Tam z gwary ptasząt słodkimi,
Szumiały dęby i sosny,
Tu, zdala rodzinnej ziemi,
Nie znam ni maja, ni wiosny!

Na też samą nutę pobrzmiewa inna, niemniej smętna piosenka:

Gdybyż w ogródku mym wiosną,
Widzieć kwiat swojskich jabłoni,
Jak niegdyś pisać radosno,
Po błoni!

Gdybyż tam, drodzy rodzice!
Syn nieutulon w żalobie,
Łzawe ukazał wam lice,
Na grobie!

Gdybym mógł syty boleści,
Pod trumną, co was przygniata,
O, bracia! szepnąć wam wieści
Ze świata!

Gdybym mógł, gołąbko biała
Co górą latasz nad nami,
Drogi proch twojego ciała,
Zlać łzami.

Uklęknąć przy téj, co drzemie,
W cichéj mogile pod darną,
I usta całować ziemię
Cmentarną.

Jak ptak na suchej gałęzi,
Za wami tęsknię i płacę;
Smutny los kroki me więzi,
Tułacze!

Żle iść bez rosy, bez słońca,
Gdy żalność serce nam bodzie;
Lecz tułacz wytrwa do końca
W pochodzie!

A teraz przejdźmy do czwartego, to jest do epicznego wichru. Dział ten uwydatniony w jednym tylko poemacie pod tytułem „Rewolucya.” Przypomina on potęgę rzeźby i siłą kolorytu ustępy z „Legendy wieków.” Jak tam tak i tu, poeta nadużywa ozdób retorycznych, wpada w przesadę i napuszystość, jak owi niegdyś mistrze dłuta, którzy nie pojmując piękna w prostocie, stworzyli styl baroko.

Noc zapadła; wściekły uragan napędza czarne chmury; błyskawica rozjaśnia przelotnie szczyty maryańskich wieżyc. Arkady mostów trzeszczą, gmachy wstrząsają się w posadach. Paryż śpi, drżący od grozy, pijany krwią i szałem. Teroryzm rozpasał się w mieście, co dnia pochłania setki ofiar.

Poeta ukazuje na nowym moście konny posąg Henryka IV. Z pogwizdem uraganu głos tajemny szepnął do śpiżowego olbrzymia:

„Idź, zobacz, żali syn twój na miejscu jest jeszcze!” I olbrzym porusza się: biegun posłuszny woli pana, zstępuje z piedestału, siecią pustych ulic, zwolna sunie na plac królewski, do posągu Ludwika XIII.

Wprost posąg do posągu wśród ciemności kroczy,
Ten co siedł staje nagle, wlepił bystre oczy
Ku tamtemu, co smętny z żrenicą przymgloną,
Duma, pół osłonięty, ciemną drzew koroną.
Do męża kamiennego rzeczże mąż śpiżowy:
— Synu mój, chodźże za mną, przerwij sen grobowy;
Zobaczymy żali syn twój na miejscu jest jeszcze!

I mąż kamienny z mężem śpiżowym suną do posągu Ludwika XIV. Minęli straszne zwałiska Bastylji, stają przed wykutym z brązu olbrzymem, budzą go i wszyscy trzej ciągną wzdłuż tuilleryjskiego ogrodu na wielki plac, gdzie niegdyś Ludwik XV uczczony był pomnikiem.

Tajemniczo kopyta o bruk zatętniały:
Suną dwaj czarni jeźdźce, z nimi jeździec biały.

Nagle spostrzegali dwa czarne słupy i trójkąt wykuty ze stali.

Przemkła w nocnym pomroku głowa trupio blada,
Krew grubemi kroplami z szyi ściętej spada;
Wstrząśli się trzej mężowie: Dziad nasrożył lice,
Oburącz za żelazną pochwycił szabllicę;
Oczy mu żarem płoną i olbrzym śpiżowy,
Głuchym ozwie się głosem do uciętej głowy:
— Jakież były twe zbrodnie, że lud pomsty szuka?
Głowa na to: Jam, panie, wnukiem twego wnuka!

Zkąd idziesz?—idę z tronu! zła dla nas godzina!
Zmoro! mówże co znaczy ta straszna machina?
To kres nasz!— z głuchym jękiem głowa mu odpowie.
Mów... ktoś ją tu zbudował?—Wy, moi ojcowie!

Jeśli trzech Ludwikowie podkopali tron Burbonów bądź niedo-
łężstwem, bądź wyuzdaniem w zbytkach; jeśli oni zbudowali giloty-
nę, godziż się oskarżać o to Henryka IV, drogiego po dziś dzień Francu-
zom? Wiktor Hugo surowszym się okazał od samychże Robespierów
i Maratów, którzy zburzywszy na placach paryżkich pomniki, przypo-
minające dawny porządek, pomnik Henryka tylko zachowali na No-
wym moście. Budowałże giloty-
nę dobry król, który, jak mawiał, wów-
czas tylko mógłby nazwać się szczęśliwym, gdyby najuboższy z jego
poddanych miał co niedziela kurę w garnku? budowałże giloty-
nę król, który podniósł Francję z poniżenia, w jakim pograżyli ją smutnej
pamięci ostatni Walezyusze? Budowałże ją ów król, przyjaciel Sullego,
który z tym mężem stanu powziął genialną myśl utworzenia wielkiej
federacji państw europejskich, gwarantujących solidarnie wspólne bez-
pieczeństwo? Gdyby ta myśl stała się czynem, śmiałżeby Ludwik XIV
wyrzec jak rzymski cesarz l'éta t c'est moi?

Pocisk, wymierzony w oblicze najpopularniejszego z królów fran-
cuzkich, rzuca cień na całą epopeję: nie okupiły jej rozsiane tu i ow-
dzie błyszczące rzuty pióra?

W pierwszych dniach czerwca (dnia 2 czerwca) ¹⁾, umarł jeden
z najznakomitszych erudytów francuzkich; mąż wszechstronnej nauki
i żelaznej wytrwałości; mówimy tu o Littrém, członku Akademii fran-
cuzkiej. Ostatnie chwile tego słynnego pozytywisty, który na łożu
śmiertelném przyjął chrzest święty i pojednał się z Kościołem, dały
powód do zawziętych polemik po dziennikach. Nie wdając się w te
spory, nie wchodząc w sumienie człowieka spoczywającego pod kamie-
niem grobowym, mamy za obowiązek wspomnieć tu o uczonym, który
zostawił Francji w spuściznie wielki słownik, owoc trzydziestokilkole-
tniej pracy.

Emil Littré urodził się w Paryżu w roku 1801. Ojciec jego sta-
ry żołnierz, miłośnik nauki, zawzięty Wolteryanista, wychowywał go
surowo, naganiał pilnie do pracy; ale nie zaszczerpił w umysł dziecka
żadnych zasad religijnych, odmówił mu nawet chrztu, jak świadczy
okoliczność, że syn przyjął go na łożu śmiertelném. Od młodu wy-
szarobdarzony zdolnością, odbierał co rok najpierwsze nagrody szkol-
ne. Wyuczył się po łacinie, po grecku i sanskrycku, z żywych języ-

¹⁾ Stosownie do tego, należy sprostować wiadomość zamieszczoną
w tomie drugim „Bibl. Warsz.” z r. 1881, str. 161. *Red.*

ków poznał dokładnie angielski, niemiecki, włoski i hiszpański. Pracował niemniej nad medycyną; ale dla braku funduszków nie mógł się doktoryzować.

Po rewolucyi lipcowej, w której wziął czynny udział, pracował przy dzienniku „National;” tłómaczył wiadomości polityczne z niemieckich gazet; po trzech dopiero latach, redakcja spostrzegła, że młodzian spożytkować może talent i wiedzę na polu daleko rozleglejszém, w czém też ułatwiła mu drogę.

Wyrobiwszy sobie imię i stanowisko, Littré zaślubił w r. 1835 panienkę pełną głęboko religijnych uczuć. Później zajął się sam kształceniem jedynéj córki, nie bronił jednak matce wychowywać ją w chrześcijańskich zasadach. Córka ta nie opuściła nigdy rodzicielskiego domu. Wraz z matką pomagała ojcu w trzydziestoletniej pracy nad słownikiem. Littré oprócz nich nie miał żadnego pomocnika.

Niepodobna wyliczyć nam wszystkich jego prac ściśle naukowych i lingwistycznych, drukowanych to w osobnych dziełach, to w „Przeglądzie dwóch światów.” Rozpoczął od przekładu Hypokratesa i Pliniusza, następnie przełożył dzieło Strausa „O Chrystusie.” Zwolennik filozofii Comte’a, rozbierał szczegółowo jego doktrynę tak w osobném dziele jak w założonym przez siebie „Dzienniku pozytywistów,” którym kierował od r. 1863. Na polu lingwistyczném opracował nasamprzód „Historję języka francuzkiego“ w dwóch tomach, następnie pomnikowy „Słownik,” którym uwieńczył swój naukowy zawód.

Słownik ten otworzył Litremu, lat temu dziesięć, podwoje Akademii francuzkiej. Ze względu na jego opinie religijne, biskup Dupanloup wystąpił z najsilniejszą opozycją; walka ukończyła się jednak przyjęciem kandydata i dymisyą biskupa Orleanu.

Littré mieszkał w Paryżu, usunięty całkiem od świata, zagrzebany w starych foliach; jego cera przybrała też zwolna barwę żółtkłego pargaminu. Rysy jego niekształtne były: szczeka niższa naprzód wysunięta, wargę zwieszoną, włos kruczy do lat ośmdziesięciu, zaostbrał tém bardziej wyraz twarzy. Wymowę miał trudną, w odczytach wyręczał się drugimi. Pod tą nieestetyczną powierzchownością kryła się jednak dobroć wrodzona i prostota właściwa ludziom prawdziwie uczonym, jak świadczą o tém własnoręczne jego zapiski.

Na lato przenosił się z rodziną i książkami do małej wioski, gdzie posiadał własny swój domek. „Przez lat trzydzieści, mówi on, urzeczywistniłem hoc erat in votis Horacego: mały ogródek w małej wiosce. Jakim sposobem wiedziano tam, iż się zajmuję medycyną? tego doprawdy nie zgaduję. Rzecz jest, iż wieśniacy sąsiedzi moi, gdy który zachorował (idylla bowiem nie broni od choroby), wzywali rady mojej! Pełnić medycynę gratis, byłbym miał rozległą klientelę; ograniczyłem téż ściśle koło mego działania: bliższych tylko odwiedzałem sąsiadów, pielęgnowałem ich z troskliwością i zyskałem ich przyjaźń.”

W téjże rozprawie autobiograficznój, znajdujemy ciekawe uwagi o życiu rodzinném.

„Jeśli życie jest dla niektórych, mówi Littré, głośnym i świetnym romanssem, dla większej części skromną bywa nowellą. W młodości chcielibyśmy spożytkować to co umiemy, co możemy, do czego usposabia nas wrodzona zdolność i osobisty charakter. Znalazłszy drogę ku temu, jeśli znaleźć się uda, urządzamy sobie dom, ženimy się, pracujemy, mamy na przemian powodzenia i zawody; czasem przychodzi radość, częściej łzy, a potem spostrzegamy z podziwem, że młodość uciekła, że starość coraz to bardziej cięży, że motek życia wysnuje się wnet do ostatniej nitki. Któryż starzec nie doznał takiej niespodzianki? któryż na téj pochyłej drodze nie powtórzył z ośmdziesięcioletnim Wolterem: „kiedy byłem w pięknym wieku, gdym miał lat siedmdziesiąt!“

„Jeśli rodzina sprawia nam radość nieskończoną, mówi dalej, bywa téż częstokroć powodem ciężkiej zgryzoty. Wiele jest gorzkich łez w życiu, nie znam jednak boleśniejszych, jak nad grobem drogich nam istot. Tracimy i młodych i starych! zgrybiały wiek tych, którzy nas opuszczają, nie umniejsza boleści naszej. Śmierć matki, która nas wychowała, jakże krwawo rozdziera nam serce!

„Na łożu śmierci matka rzekła: „czas mi już iść do swoich!“ Była ona dobrą córką, pełną zapału i poświęcenia. Długo przebywała z ojcem w więzieniu w Lyonie, po powstaniu tego miasta w r. 1793. Gdy republikanie oblegli wały, uciekła, zebrała oddział włościan, w górach Vivarais, poprowadziła ich do obozu. Nakoniec skoro Lyon zdobyty został, na wieść, że ojciec poległ, śpieszy co tchu na miejsce, aby wydobyć przynajmniej drogę zwłoki. Jakaż jój radość, gdy w drodze spotyka go w pełni życia i siły. Dobra córka, umiała być niemniej dobrą matką, to téż dziś jeszcze, gdy o wiele prześcignął lata, jakie jój przeżyć dano, gorycz przepęlnia mi serce, na myśl o téj ostatniej nocy, spędzonej przy śmiertelném jój łożu.

„Odtąd, ciągnie Littré, filozofia nauczyła mnie wysoko szanować tradycyą i konserwacyą; żałowałem nieraz, że w ciągu średnich wieków rodziny mieszczańskie nie pomyślały o utworzeniu skromnych regestrów, w którychby zapisywano głośne wypadki życia domowego i przekazywano je z pokolenia na pokolenie. Jakże ciekawe byłyby te zapiski, gdyby doszły epoki naszej! Jakiż skarb doświadczenia zatracony dzisiaj na zawsze! Wielkiego zaprawdę potrzeba wysilenia, aby utrwalić tradycyą. Człowiek przez grzeszne niedbalstwo zaciera własne ślady i ślady swych naddziadów!“

Słowa te, wybiegłe z pod pióra naczelnika szkoły pozytywistów, zasługują na szczególną uwagę. O ileż zwolennicy téj szkoły odstąpili od zasad mistrza, zrywając z tradycyą, jako z zaporą stojącą na drodze do przyszłości!

W tych dniach zamknięto wystawę obrazów i rzeźb na Polach elizejskich. Salon, powiedzmy śmiało, zawiódł w tym roku powszechne oczekiwanie i nie jednemu nasunął smutną myśl, jakoby sztuka francuzka chylić się miała do upadku. My jednak nie przypuszczamy tego; zdaniem naszym jestto jakaś chwilowa posucha, po której rzeźwiąca rosa musi zwilżyć wyjałowioną rolę.

Nie zbrakło w tym roku artystom energii do pracy; świadczy o tém dziewięć tysięcy nadesłanych obrazów, z których dwa tysiące czterysta umieszczono w salonie. W wielu z nich uderza niepospolita biegłość pędzla i głęboka znajomość techniki; ależ to wystarczyć nie może: brak tu owęj iskry twórczej, co zrodzona w duszy artysty, ożywia płótno i magnetyczną siłą porywa oczy, porusza serca tłumów.

Brak wyższego polotu ducha widoczny z samego wyboru przedmiotów. Trzecią prawie część wystawionych dzieł, tworzą same portrety; naliczyliśmy ich sześćset dwadzieścia cztery! Wszelkiego rodzaju domowe zwierzęta: owce, krowy, osły, nie wyłączając trzody chlewniej, zapełniają przeszło sto płócien, martwa natura, oddana w dwustu dwudziestu obrazach: smutny to dowód, że artyści gonią głównie za tém, co łatwo zamienić na brzęczącą monetę, z przepomnieniem wzniosłego celu sztuki.

Wielkie obrazy, tak religijne jak historyczne lub symboliczne, jeśli biją w oczy ogromem rozmiarów, tém bardziej rażą nas ubóstwem w pomysłach i brakiem wyższego natchnienia. Zobaczmy np. wielki obraz p. Baudry, zaszczycony medalem honorowym, a więc uważany przez sędziów za najcenniejszą perłę wystawy. Obraz ten przeznaczony na sufit do pałacu sprawiedliwości, nosi tytuł: „Głoryfikacja prawa.“ W pośrodku na piedestale marmurowym, siedzi młoda niewiasta, symbolizująca prawo: w lewej ręce trzyma kodeks, drugą wyciąga ku stojącej poniżej niewieście, osłoniętej bogatą draperią, z trójkolorową chorągwią w ręku: jestto uosobiona Francya. Powyżej ulatują dwie postacie: Sprawiedliwość w tunice błękitnej z wagą i Siła uzbrojona mieczem. U stóp piedestału stoi sędzia z głową odkrytą, w purpurowej todze i gronostajach. Obok siedzi na ziemi niewiasta, symbol Pokoju, rękę oparła na grzywie lwa, do kolan jęj tuli się dzieciątko, śpiące spokojnie pod tarczą Prawa, Siły i Sprawiedliwości.

Co do nas, nie widzimy rękojmi bezpieczeństwa w tych elegancjach paryżankach, przystrojonych w godła jakby na bal karnawałowy. Niektórzy chwalą obraz dla tego właśnie, że mistrz zerwał z klasyczną rutyną a przedstawił współczesne typy; ależ symbolistyka sama przez się zanadto jest klasyczną, aby dzisiejsze typy mogły jęj odpowiedzieć. Jeśli mistrz chciał oddać na obrazie typy z życia obecnego, czemuż nie odmalował kmiecia z pługiem, rzemieślnika u warsztatu, działwy w szkole, matki nad kołyską, żołnierza z karabinem, sędziego z księgą ustaw? Takie typy dałyby nam lepszą rękojmię społecznego porządku, niż to błyszczące grono paryżanek, „wietrznych istot i marnych puszaków,” tak cudnie określonych piórem naszego poety.

O religijnych obrazach przemilczmy lepij, żaden bowiem nie odznacza się wyższm natchnieniem ani oryginalnością pomysłu. Jeden przecież zasługuje na uwagę: mówimy tu o wielkiej fryzie wykonanej do Panteonu przez p. Blanc, przedstawiającej „Tryumf Klowisa.“ Na tle mozaiki złotej defiluje z królem Franków na czele, długi szereg dostojników świeckich i duchownych. Otwiera pochod królowa Klotylda z amforą w ręku: obok król w koronie, odziany napół po barbarzyńsku; dalej biskupi w infułach, rycerze okuci w żelazne pancerze. Obok Franków występują starzy Galle, wieśniacy zbrojni w kosy, siekiery i motyki. Wielka różnorodność tak w ruchu jak i w typach i ubiorze defilujących osób. Obok tej strony poważnej, jest tu i strona komiczna. Malarz nagromadził postacie znane powszechnie w Paryżu, poprzestrzał je w średniowieczne kapy i zbroje. Wyobraźmy sobie np. Gambettę w białym płaszczu, z mitrą i pastorałem opata Benedyktynów; deputowanego Lockroi w hełmie Sikambra; radcę magistratu Clemenceau i Naqueta w kapturach mniszych! Ci zawzięci antikle rykały dziwnie będą wyglądać w kościele, dokąd droga zupełnie im nieznana! Dzienniki powstały na taki anachronizm; malarz tłómaczy się, że Rafael odtworzył oblicza współczesnych w sławnych łozach Watykanu, że Michał Anioł w Sądzie ostatecznym, na ścianach Sykstyńskiej kaplicy pomieścił nieprzyjaciół między potępionymi, przyjaciół zaś ukazał wśród wybranych.

Historycznych obrazów liczba nie wielka, a przedmioty obrane przez malarzy, budzą niesmak, niekiedy zgrozę. Widzimy tu morderstwo Agrypiny, dokonane na rozkaz wyrodnego jej syna Nerona; widzimy delikwentów, jęczących pod różnego rodzaju torturami: odwracamy oczy ze wstrętem.

Podobał się tu powszechnie obraz p. Leroux p. t. „Herkulanum 23 sierpnia 79 r.“ Jakoż wykonany biegłym pendzlem, w układzie wielka harmonia; wszystkie ma zalety, oprócz jednej ale najgłówniej-szej: brak mu zupełnie prawdy. Po lewej ręce wulkan wybucha płomieniem, lawa stacza się po krawędzi skał, niby potok ognisty; tuman dymu zczzerwienione pożarem, kłębią się szeroko po niebie. W środku sceny na pierwszym planie widzimy grupę rzymianek. Jedna siedzi napół omdłała, druga tuli się do niej, trzecia podtrzymuje towarzyszkę bez zmysłów, oczy wlepiła w widowisko, patrzy jak na finał fantastycznego baletu. Nie tak zapewne herkulańskie niewiasty pogładały na krwawy dramat!

Na polu sztuki historycznej odznacza się wielki obraz Czecha Brozika, który pracuje w Paryżu pod kierunkiem węgierskiego mistrza Munkaczego. Przedstawia on Krysztofa Kolumba na dworze Ferdynanda i Izabelli. Snadź słowa jego poruszyły królowę, dobywa bowiem ze skrzynki drogocenne klejnoty, składa je w ręce nawigatora. Obraz ten uderza w oczy; trudno mu zaprzeczyć wysokich zalet, lecz brak mu tej siły twórczej, co zapala wyobraźnię widzów.

Więcej życia dostrzegamy w innym utworze Brozika: tu Petrar-

ka przedstawia Laurę Karolowi VI w Awinionie. Pytamy z kądem malarz czerpał myśl do obrazu? Petrarka, jak wiadomo, u wodospadu pod Awinionem opiewał miłość swoją, ale śmiałżeby przedstawić cesarzowi małżonkę cudzą, matkę jedenaściora dzieci i to jeszcze na dworze papieżkim?

Pomijamy obojętnie mitologiczne obrazy. Nie porusza nas wcale olbrzymi Mars pędzący na biegunie, otoczony chmarą drapieżnych kruków; mniej jeszcze poruszają nas skrzydlate Amory, śpiewne Orfeusze i Nimfy u źródeł, których sztuka tak bardzo nadużyła. Ów Orfeusz szarpany zębami bachantek, żywo nam uwydatnił Wiktora Hugo, szarpanego przez Zolę i całą szkołę naturalistów, chórem wołających: „precz z poezją! precz z ideałem!” Walka dzisiejsza nie tak jednak straszna dla poety; Hugo wysoko nosi głowę, gdy tymczasem widzimy na obrazie głowę boskiego Orfea, starzaną we krwi, porzuconą na pastwę sępom!

Od grecko mitologicznych przedmiotów, które nasz archeolog p. Michał Żmigrodzki, trafnie nazwał martwymi ideałami, przejdźmy do przedmiotów wziętych z dzisiejszego życia. W pośród tych panuje ogromem obraz p. Detaille, przedstawiający „Rozdanie sztandarów 14 lipca 1880 r.” Właściwie nazwano ten obraz olbrzymią kolorowaną fotografią. Widzimy tu w figurach naturalnej wielkości cały skład rządu dzisiejszego, poczynawszy od prezydenta rzeczypospolitej, p. Grévy, od prezydenta izby Gambetty, od wszystkich ministrów, wielkiej części senatorów i deputowanych, do generałów i pułkowników, do prostych szeregowców. Obraz to zimny, bez życia. Obojętnie patrzymy na te sztandary, świeże, jak zdjęte z igły, które nie czuły jeszcze prochu i nie prędko poczują go, jeśli doktryny tyłu głosicieli stałego pokoju, znajdują oddźwięk w narodzie, jeśli pragnienie dobrobytu przeważa na długo w umysłach, nad ideałem godności narodowej.

Ów dzień rozdania sztandarów, podniesiony dziś do znaczenia narodowego święta, dał pobudkę aż czterem malarzom. Zostawiamy na boku te urzędowe płótna: zatrzymajmy się lepiej przed wielkim obrazem młodego malarza Bertrand, p. t.: „Ojczyzna” (Patrie). I tu widzimy sztandar, lecz obłany krwią, osinalony prochem bojowym, o ileż zatem wymowniejszy!

Warto rzucić okiem na ten obraz. Grupa kirasyerów prowadzi z pola bitwy ranionego śmiertelnie druha. Orszak spuszcza się ze wzgórza na dolinę. Ugodzony kulą żołnierz, ściska oburącz sztandar, którego do końca z rąk nie wypuścił. Dosiada on znużonego bieguna, jeden towarzysz podtrzymuje go wpół, drugi prowadzi konia za uźdzę; inni postępują smutno za nimi. Obraz to nadzwyczaj dramatyczny, postacie pełne prawdy i charakteru. Młody artysta otrzymał złoty medal.

Do téjże kategorii należy obraz p. Moreau, p. t.: „Ofiara dla Ojczyzny.” W pośrodku stoi niewiasta, przysłonięta czarną draperyą

rękę podniosła w górę. Do nóg jej tuli się dwoje dzieci. Po prawej ręce dziarski młodzian ściska starego ojca; po lewej, z głębi nadbiega tłum ochotników, z pieśnią na ustach, z oczyma błyszczącymi: na znak radości rzucają czapki w górę.

Neuville, słynny malarz scen wojennych, wystawił dwa obrazki pełne życia i patryotycznego zapału. Na jednym widzimy rozpaczliwą bitwę na cmentarzu w Saint-Privat. Oddział francuzki wściekle się broni przed chmarą nacierających Prusaków. Ziemia zasłana trupem; nieprzyjaciół wdziera się przez wielki wyłom w murze; kule migoczą wśród czarnych kłębow dymu. Zgiełk, zamęt, ruch szalony.

Drugi obrazek, piękniejszy jeszcze, dziwnie dramatyczną przedstawia scenę. Pod oblężonem miastem Metz, patrol pruski schwycił Francuza w wieśniaczej świcie, niosącego tajemną depezę. Przywiódł go do baraku, gdzie oficerowie pruscy piją kawę i palą fajki. Dwaj żołnierze szarpią odzież na nieszczęśliwym, dobywają z zanadru ukryty papier. Wystaniec wić, że śmierć go nie ominie; spokojna postać jego pięknie odbija od szyderczej a tryumfalnej postawy nieprzyjaciół.

Obrazki rodzajowe z życia wieśniaczego ludu na szczególną zasługują uwagę. Szkoła ta, stworzona przez Milleta, prowadzona dalej przez Juliusza Bretona, zdolnych liczy zwolenników, między młodymi malarzami; kilku z nich w tym roku otrzymało medale. Wymieńmy tu nasamprzód piękny typ dziewczyny wiejskiej naczelnika szkoły, Bretona. Córka tego mistrza, pani Demont-Breton, wystawiła dwa bardzo ładne obrazy, nagrodzone medalem; na jednym dwóletnie dzieciątko siedzi zanurzone w trawie, dmucha w przekwitłe ziele, pokryte białym puszkien. Na drugim młoda rybaczka wynosi ze strugi dwie skąpanych dzieci; stąpa ostrożnie po kamkach, napół zanurzonych w rzeczulce.

Musimy pominąć śliczne sceny rybaków, żeńców i kosiarzy, zatrzymajmy się tylko przed obrazem Anglika Hawkingsa. Na wiejskim cmentarzu widzimy dwoje sierotek, chłopczyka i dziewczkę. Z pełkiem polnych kwiateczków w ręku, szukają grobu matki. Smutek ich oddany z całą prawdą, głęboko też porusza; tłumy otaczają zawsze ten obraz.

W pośród sześciuset portretów, są niektóre i piękne, w ogóle jednak liczba dobrych nie dorównywa zeszłorocznym. Bonnat wykonał wielki portret hrabiny Mikołajowej Potockiej. Mimo pięknych włoskich rysów modelu i biegłości mistrza, portret ten przecież mniej udany od tych, które podziwialiśmy na dawniejszych wystawach: drape-rye tylko oddane po mistrzowsku. Na ciężkiej, białej sukni, z długą powłoką, wspaniale odbija płaszczyk z połyskującej wydry.

Wspomnieliśmy już o wielkiej liczbie zwierząt, przedstawionych w obrazach. Na tém polu artyści francuzcy doszli do wielkiej doskonałości. Villefroy w malowaniu krów, nie ustępuje słynnemu niegdyś flamandzkiemu Potterowi. Barany Szenka zyskały europejską sławę.

Mistrz ten rozmiłowany w owcach, każdą jesień przepędza w górach Auvernii, a co wiosna przysyła do salonu jakąś gromadkę, to napół zasypaną śniegiem, to spokojnie pasącą się wśród wrzosów. Znużyła w końcu krytyków ta jednostajność, jęli powtarzać chórem: „dlaczego Schenk maluje wiecznie barany?” Te pociski dobodły malarza, ostro też pomścił się w tym roku. Na wielkiem płótnie widzimy zatknięty w ziemię parasol ogromnych rozmiarów; pod cieniem jego na stalugach zaczęty obrazek przedstawia gromadkę owiec, którą też widać w oddaleniu, skupioną około stogu siana. Snać malarz odszedł na chwilę, tymczasem zbiegły gęsi całym stadem, okrążyły obraz; dalejże przekreślać długie szyje, mrużyć oczy z wyrazem niezadowolenia i udzielać sobie uwag przeraźliwem gęganiem, co pokazują szeroko roztwarte dzioby. Artysta bardzo trafnie oddał znane przysłowie:

„La critique est aisée, mais l'art est difficile.“

Przejdźmy teraz do rzeźby. I ten dział sztuki, jak wiadomo, kwitnący we Francyi, słabiej reprezentowany w tym roku, niżli w poprzednich latach. Medal honorowy przysadzono panu Allard, za piękną grupę, wyobrażającą „Śmierć Alcesty.” Małżonka Admeta, ostonięta długą draperią, leży wsparta o poręcz starożytnego krzesła; do boku jęj tuli się dwoje dzieci. Jedno z nich trzyma konająca matka, drugiemu położyła rękę na głowie. Oblicze jęj tchnie całą potęgą macierzyńskiej miłości; w postawie dzieciak żal połączonej z trwogą.

Panuje nad innemi ogromem rozmiarów pomnikowa grupa, dłuta Barryasa: „Obrona Paryża w roku 1870.” Miasto uosobione w postaci niewiasty, w mundurze wojskowym. W prawęj ręce, wspartęj o działo, trzyma miecz zwrócony ku ziemi, w lewéj ścisła sztandar, zasłaniając go własném ciałem. U nóg jęj ranny żołnierz, szuka ostatniego naboju w ładownicy. Zbolała ojczyzna, w postaci innej niewiasty, wpół okrytę żałobnym welonem, siedzi smutno na drugim planie. Pomnik ten ulany będzie ze spiżu, i ozdobi jeden z głównych placów paryzkich.

Z pomiędzy religijnych przedmiotów pociąga oczy Święty Jan w dzieciennych latach, dłuta Daumpta. Dziecię kłęczy, drobne rączką złożyło do modlitwy, oczy podniosło ku niebu: postać cała tchnie nąwną, pełną wdzięku prostotą.

Do najoryginalniejszych należy grupa p. Carlier p. t.: „Z epoki przedkamiennéj.” Jestto walka pierwotnego człowieka z drapieżnym, dziś już nieznany zwierzem. Zapaśnik niema innego oręża, oprócz zylastéj pięści i muskularnéj siły, wybornie uwydatnionej dłutem. Dziki zwierz rzuca się na człowieka, z paszczą rozwartą, najeżoną szeregiem ostrych zębów; nieustraszony człowiek chwytą go za łeb, jednym zamachem oddziera dolną szczękę potworu.

W pośród rzeźb znajdujemy do dziesięciu utworów polskich. Są to po większej części biusty i medaliony, wykonane przez panów: Boryszewskiego, Guyskiego, Hegla, Łosika, pannę Dąbrowską z Wilna,

panią Matyldę z Warszawy. Sam tylko p. Godebski wystąpił z grupą, wykonaną śmiałością i biegłością dłutem p. t.: „Rozpusta i Niewinność;” pierwszą postacią wyobraża Satyr, drugą młoda dziewczeczka, skłaniająca trwożliwe ucho na słowa kusiciela.

Dwudziestu malarzy polskich nadesłało w tym roku swoje utwory do salonu. Pomiedzy nimi nie błyszcza imiona Matejki ani Siemiradzkiego, w każdym razie jednak sztuka polska bardzo dobrze reprezentowaną była na wystawie.

P. Paweł Merwart, uczeń Lemana, wykonał znakomitą scenę z potopu. W zeszytym już roku młody artysta zwrócił powszechną uwagę, pełnym zalet portretem matki swojej, w całkowitej postawie, ale tegoroczny utwór pokazuje niezaprzeczony postęp. Potrzeba było wielkiej odwagi, aby podjąć tak olbrzymi przedmiot, p. Merwart dobrze jednak obliczył siły swoje i zwycięzko pokonał trudności.

Szalona walka toczy się w przyrodzie; niebo ciemną pokryte chmurą; spienione fale kłębią się po szerokiej przestrzeni, zaledwie że z łona wód wybiega strona opoka, niegdyś szczyt niedostępnej góry. Na tę opokę wdziera się z wysileniem krzepki młodzian; trzyma w objęciu napół omdłą oblubienicę. Mają zginąć, niechajże zginą razem! Sara mogła ocaleć: wczoraj jeszcze młody Jafet rzekł do niej: „Przyjdź na wierzchołek Gelboe, jam synem Noego, zostań małżonką moją, zabierem cię do arki. Wszystko, co żyje, skazane na zatrącenie, my tylko wypłyniemy z odmgotu! Ale Sara nie przyjęła ofiary, woli śmierć z ukochanym. Scena to nadzwyczaj dramatyczna: ślicznym poematem oddał ją niegdyś Alfred de Vigny; p. Merwart wniknął wybornie w myśl poety:

Wszystko już rozhukane pochłonięły fale,
Wszystko, prócz dwojga dzieci: na Araru skale,
Co słupem granitowym wyrasta z wód łona,
Tój pary, jeszcze powódź nie zmogła szalona,
Nie tknęły prądy wichrów, ni piorunów groty.
Padła wążka dziewica w objęcia sieroty,
Młodzian schwycił ją krzepko, tak błądą i drżąca,
Oblał lica dziewczeczki strugą łez gorącą.
Nagle padł jój na czoło brzask porannej zorzy,
Ona podniesie główkę, powieki otworzy,
Jak lilijka, gdy rosę otrząśnie z kielicha:
— Patrz, niebo nam łaskawe, poszeptnie mu zcicha;
Widzę białą gołąbkę poza mgły zasloną,
Leci tam... w dziobku trzyma gałązkę zieloną.

Gołąbka w inne przeleciała strony!.. Woda wzbiera a wzbiera: zgasa krasa na licu dziewczyny, martwa jój główka zwisa na ramieniu młodziana. Okrzyk rozległ się po przestrzeni:

Okrzyk to smiertelnika ostatni na ziemi!
Długo jeszcze nad wody wciąż wzbierającemi,

Unosi martwe dziewczę, wieher nim szamota,
 Aż w końcu siły stracił... pękła nić żywota!
 Gdzie powieść tylko wzrokiem, niebios a i morze,
 Błysła tęcza... wyroki spełniły się Boże!

W młodzińcu artysta wyraził siłę męzką, w Sarze urok dziewczyny. Kipiące wały oddał wybornie, śmiałym pędzlem. O ile wiemy, p. Merwart odbył z umysłu podróż do Bretanii, i to w porze roku najburzliwszej, aby przypatrzeć się szalonej grze fal morskich.

Oprócz tego artysta nasz, wystawił jeszcze piękny portret pięcioletniej dziewczynki.

Pan Alchimowicz wziął za przedmiot jeden z najdramatyczniejszych ustępów w dziejach naszych: „Obronę Olsztyna.” Na wałach oblężonego grodu, widzimy Karlińskiego z garstką rycerstwa; stoi przy działach, trzyma w ręku lont zapalony. Klęcząca obok żona, chwytając go rozpaczliwie za rękę. Oko macierzyńskie dopatrzyło w oddali, maleńkiego synka, którym Rakuszanie zasłonili się, jakby tarczą, w mniemaniu, że patriotyzm dowódcy ustąpić musi przed ojcowskiem uczuciem. Polskie typy dobrze oddane, koloryt harmonijny, technika śmiała. W katalogu czytamy dokładne określenie czynu bohaterskiego, bardzo pożyteczne dla cudzoziemców, źle obznajmionych z dziejami naszymi.

Zdaleka uderza w oczy rozchukana czwórka p. Chełmońskiego. Pełne żaru bieguny pędzą naprzód, gotowe wyskoczyć z ram i uderzyć na widzów!.. ale obawa próżna! powstrzymuje je w biegu dzielny Ukrainiec w szarój świcie i wysokiej czapce baraniiej, przechylonej na bok z fantazyą. Nie znamy rasy ukraińskich koni, nie mamy też prawa sądzić, o ile są wiernie oddane; ale widzieliśmy Ukraińców tak zachwyconych niemi, iż nie mogli oderwać się od obrazu: to nam daje rękomię ich wartości.

Drugi obraz tegoż artysty, przedstawia pochod kozaków stepem.

Dwa obrazki p. Piotrowskiego, prawdziwie nas zajęły i umiejętnym wykonaniem i tą silną cechą osobistości, jaką artysta umie wycisnąć na każdym utworze swego pędzla. Tę żywsze obudziły w nas zajęcie, że uprzytomniają w oczach naszych polską wieś z wybitnym jej charakterem. Jeden ukazuje nam podwórko folwarczne: w pośrodku stoi drewniany budynek, jestto, jak widać, dworska kuchnia; na przyzbie samowar bucha kłębami pary. Przybyły poślaniec uwiązał konia u płotu, zaleca się do dziewcząt; z tych jedna niesie wodę ze studni, druga posypuje ziarno kurom. Wszystko tu nosi swojską cechę i gołębie na dachu i stary kundel i garnki i poduszki na płotach; nie brak nic, nawet kałuży wśród podwórka.

Drugi obrazek mniejszych rozmiarów, ukazuje nam o zmierzchu wieczornym wąską drożynę prowadzącą od lasu; dwóch towarzyszy niesie trzeciego, mocno rannego, z obwiązaną głową, ubrozonego we krwi; za nimi konny sługa prowadzi trzech osiodłanych wierzchowców.

Wieśniacy przyglądają się zdaleka. Ton bardzo szarawy, lecz bardzo harmonijny.

P. Nikutowski wystawił niewielki, ale ładny obrazek, p. t.: „Modlitwa przed bitwą.” Garstka zbrojnych ludzi, w rozmaitych postawach powtarza modlitwę za kapłanem, gotowa podążyć na śmierć za tymi, którzy biją się w oddaleniu. Pełno tu ruchu, życia i prawdy; obrazek też powszechną ściąga uwagę.

P. Bakałowicz wystąpił jak w roku zeszłym z uczcią na dworze Henryka Walezyusza. Przedmiot to ulubiony artysty, daje mu bowiem sposobność do okazania biegłości w wykonaniu atlasów i aksamitów.

Zwrócił uwagę naszą piękny portret pendzla p. Szyndlera. Artysta poszedł za panującą dziś modą, polegającą na wydobyciu efektów z gamy jednego tonu. Widzimy tu na białém tle starca z siwym włosem, w białej odzieży; na kolanach trzyma białego kota, łokciem wspiera się o stół przysłonięty białą draperyą. Mimo téj jednostajności koloru, niebrak siły i wyrazu w portrecie. Drugi obrazek p. Szyndlera przedstawia odaliskę w seraju: tu we wszystkich akcesoryach panuje znów kolor niebieski.

Panowie Zier, ojciec i syn, wystąpili z czterema utworami. Ojciec wystawił piękny portret mężki i mitologiczny przedmiot: „Echo opłakujące Narcyza.” Syn wykonał portret dziecka i obraz wielkich rozmiarów: „Aude” konającą w objęciach Karola Wielkiego, na wieść o skonie oblubieńca swego Rolanda, w wąwozach Roncewalu.

Pan Horowitz przysłał portret mężki, o siwych krętych włosach, pełen wyrazu typowego. Ten portret, bez zaprzeczenia, należy do najcenniejszych w salonie tegorocznym.

Pan Pruszkowski wystawił portret kobiety, cały w półcieniu, o ile wiemy, znany on już w Warszawie.

Pan Przepiórski, pod tytułem „Objects precieux,” nadesłał zbiór przedmiotów archeologicznych, ułożony zrecznie i bardzo starannie wykonany.

Wspomnijmy tu jeszcze „Widok włoskiego zamku” p. Cetnera, sielankowy obrazek: „Dafnis i Chloe” p. Kowalskiego i parę udatnych pejzaży pp. Słaczyńskiego i Karbowskiego.

Na szczególną uwagę w tym dziale zasługuje krajobraz p. Gąsowskiego; przedstawia on „Leśną polankę” w piękny ranek wiosenny. Koloryt bardzo świeży: światło skoncentrowane na pierwszym planie, wydobywa nadzwyczaj żywy efekt. Dalszy plan przymglony unoszącą się w powietrzu rosą. Pejzaż ten śmiało policzymy do najcenniejszych na tegorocznój wystawie.

W galerii poświęconej na rysunki, akwarele i t. d., spotykamy także kilka imion polskich. Są tu akwarele pp. Ostrowskiego i Kwiatkowskiego; miniatury pań: Zaliwskiej i Zaborowskiej; kwiaty panny Grabowskiej. Zwróciły tu uwagę naszą dwa portreciki, malowane na porcelanie przez panią Konstancją Boulard, a szczególnie portret zna-

cznych rozmiarów pani Lesseps, pięknie wykonany przez pannę Helenę Duchyńską.

Artyści sami urządzali tegoroczną wystawę, bez współdziału rządu; nowy ten ład poraz pierwszy wprowadzony tu został. Jak się zdarza młodym republikom, tak się i tej zdarzyło popełnić parę błędów, które zachwiały jej powagę i wywołały surowy sąd publiczności. Największym z tych błędów odrzucenie obrazu Munkaczego, z powodu, że przystany był do salonu w kilkanaście godzin po naznaczonym terminie. Munkaczy urządził osobną wystawę obrazu swego, otworzył ją równocześnie z salonem i tłumy widzów, zachwycone widokiem arcydzieła, zgadły odrazu, czemu artyści, trzymając się zbyt ściśle prawnej formalności, zamknęli przed nim salon. Munkaczy, lubo uczeń szkoły francuskiej, rodowitym jest Węgrem. Obraz jego byłby przyćmił całą wystawę; miałby cudzoziemiec otrzymać medal honorowy? a można było odmówić mu tak zasłużonego odznaczenia? Próżność jednak artystów słuszną odebrała karę, pobudka ich dla nikogo nie była tajemnicą. Głos powszechny surowo potępił odrzucenie arcydzieła i rzucił śmieszność na tych, którzy chcieli ukryć światło pod korcem.

Obraz Munkaczego przedstawia „Sąd Piłata.” Scena odbywa się w wielkiej sali rzymskiej, a raczej w rozległym przedsionku, oddzielnym od dziedzińca wspaniałym portykiem. Z poza kolumn na błękitnym niebie rysują się mury bramy jerozolimskiej. Na pierwszym planie po prawicy siedzi w kurulnym krześle Poncyusz Piłat, odziany białą togą, otoczony starszyzną i gromem Faryzeuszów. Z tych jeden wyciągnął rękę do góry, snąc podżega do potępiającego wyroku. Inni siedzą lub stoją w rozmaitych postawach, oczy wszystkich wlepione w Chrystusa. Zbawiciel w białej, długiej do ziemi szacie, z rękoma ściśniętymi powrozem, zajmuje sam środek obrazu; widać tylko profil oblicza, zwróconego ku sędziom. Za Chrystusem tłoczy się rzesza: najsprzeczniesze uczucia malują się w rysach i postawie obecnych. Tu przemaga złość, tam postrach, tam znów jakieś wahanie. Zbir pochylony naprzód, z wyciągniętą szyją, urąga w oczy niewinnemu, drugi zda się krzyczeć: „Ukrzyżować go! uwolnić Barabasz!” Żołnierz w hełmie i ciemnym płaszczu, z długą dzidą poziomo schyloną, zatrzymuje gwałtem wściekłą rzeszę. Wśród tego tłumu odznacza się piękna niewiasta, piastująca małe dzieciątko; oparta o arkadę, przygląda się obojętnie napozór, ale głęboki żal odbija w jej spojrzeniu. Postać Chrystusa biała, promienista, panuje nad obrazem. Niektórzy zarzucają, iż oblicze Zbawiciela zbyt surowe; w spojrzeniu i na czole dopatrują jakoby cień pogardy. My tego nie widzimy. Łatwo nam jednak wyrozumieć surowość krytyków. Ideał to tak wielki, że ani pendzel ludzki odtworzyć go nie zdoła, ani myśl ludzka na oddanie go nie znajdzie odpowiedniej formy. Nie obwiniajmy też artysty, jeśli stworzyłszy świętą postać, na miarę własnej modły, nie zdołał zadowolnić wszystkich, ale przyjmijmy ideał jego takim, jak on go pojął.

Obraz to ogromnych rozmiarów. Widzimy na nim do trzydziestu osób naturalnej wielkości, prócz niezliczonych tłumów, zapelniających dalsze plany. Uderza tu przedewszystkiem jedność kompozycji; wszystkie oczy do jednego skierowane celu, myśl wszystkich jednym zajęta przedmiotem. W ciżbie żadnego nie dostrzedz zamieszania: każda postać przedstawia się jasno w całości. W kolorycie Munkaczy okazał się prawdziwym mistrzem: mimo świetności i przepychu barw charakteryzujących wschodnią odzież, wszystkie tony zlewają się razem, tworząc najdoskonalszą harmonię. Jednem słowem, mistrz węgierski utworzył arcydzieło i jakkolwiek nieobecny w salonie, przyćmił go odniesionym tryumfem.

Po zamknięciu wystawy, za inicjatywą ambasady austriacko-węgierskiej, urządzono bankiet na cześć artysty. Wzięto w nim udział dwieście osób, a wśród nich kilku najstynniejszych malarzy francuzkich. Munkaczy postąpił z wielkim taktem: nie dał uczuć ani cieniu urazy. W mowie swojej wyraził się o sztuce francuzkiej w najchlubniejszy sposób.

„Kiedy, rzekł, przybyłem do Paryża, posiadałem ledwie pierwsze zarody talentu, który mi w pobłażliwości swojej przyznajecie. Pod gorącym tchnieniem sztuki francuzkiej, ów zaród rozwinął się i dojrzał. Wśród francuzkich oto artystów, w ognisku tak intelektualnem, jakim jest Paryż, mogłem pracować, wzmacniać siły głęboką nauką i dojść tam, gdzie dziś jestem. Kocham więc ten gościnny Paryż, jakby drugą ojczyznę moję, tu bowiem spędziłem najpiękniejsze lata życia, tu znalazłem powodzenie, tu otrzymałem wziętość.”

Dodajmy jeszcze słówko o dzisiejszym tryumfatorze. Ma on lat blisko pięćdziesiąt, co pokazuje włos już siwiejący. Urodzony w Węgrzech w ubogim stanie, chłopcikiem pracował w warsztacie wiejskiego stolarza: malował na skrzynkach wieśniaczych kwiaty i rozmaite ozdoby. Znawcy upatrzili zdolność w tych zarysach i wystali chłopca na naukę do Dusseldorfu. Ztamtąd w r. 1867 przybył na wystawę międzynarodową do Paryża, gdzie przebywa stale od lat czternastu.

Widok dzieł nowożytniej sztuki francuzkiej, zgromadzonych w pałacu wystawy, zachwycił Munkaczego, poznanie arcydzieł w muzeach rozbudziło w nim iskłę twórczą. „Tu ja żyć powinienem!” poszepnął sam do siebie. Ale jak tu żyć nieznanemu, bez dostatecznych zasobów? Czegoż jednak nie zmoże silna wola? Zabrał się też skrzętnie do pracy, malował z żelazną wytrwałością. W trzy lata potem, r. 1870, wystawił w salonie „Skazanego na śmierć delikwenta.” Obraz ten uderzył wszystkich oryginalnym pomysłem i wielką siłą dramatyczną. Wymownaż to postać tego delikwenta w ciemnej, wilgotnej celi! u drzwi czuwa dozorca; więzień siedzi wsparty łokciami o stół; przed nim krzyż i dwie płonące świece. Niebawem przybędzie kapłan, potem przyjdzie kat z mieczem. Według przyjętego w Węgrzech zwyczaju, tłum ludu ciśnie się do celi: w ryszach obecnych widoczna trwoga, połączona ze zgrozą, lub politowaniem.

Malarz zyskał odrazu imię. Piękna próba wróżyła świetniejszą jeszcze przyszłość. Poczęto zamawiać obrazy; nagle wybuchła wojna. Munkaczy opuścił Paryż, wrócił z końcem następnego roku. Wziął się znowu do pracy, malował sceny z życia Madżarów; ale niestety! żaden ówczesny utwór nie dorównywał pierwszej próbie. Zwrócono w salonie uwagę na „Włóczęgów nocnych” i inne obrazki ludowe, lecz bez tego zapału, z jakim przyjęto „Delikwenta.” Sam artysta boleśnie uczuł ogarniającą go niemoc. Co wieczór przeglądał smutno plon całodzienniej pracy i przeciągał pendzel po płótnie, zacierając ślady próżnego mozółu. Wkrótce trawiący go smutek zamienił się w rozpacz gwałtowną; dnia jednego poszarpał namalowane płótna, rozbił paletę, w przekonaniu, że ukończył artystyczny swój zawód.

Blady, trawiony gorączką, z najeżonym włosem i obłądnem oczyma, przebiegał najdalsze ulice miasta, chroniąc się oczu ludzkich. Z tak opłakanego stanu wyrwał go nakoniec możny i szlachetny przyjaciel: uwiózł go gwałtem do majątności swojej w księstwie luksemburskiem. Tam pod wpływem ciszy wiejskiej, pięknej przyrody i życzliwego otoczenia, umysł chorego przyszedł do równowagi. Artysta podjął znów zaniedbany oddawna pendzel; wywdzięczając się przyjacielowi za gościnność, pomalował mu ściany zamkowej sali. Ukrzepiony powrócił do Paryża, z nowym zapałem rzucił się do krajowych obrazków; co rok występował w salonie i coraz nowe odbierał oklaski, a w miarę powodzenia coraz to więcej ufał we własne siły.

Bogate małżeństwo zmieniło nagle położenie Munkaczego. Widząc być zapewniony, wziął się z zapałem do wielkiego dzieła. Na wystawę międzynarodową r. 1878 wykonał pyszny obraz: „Milton wśród trzech córek.” Był to nowy a stanowczy krok na drodze artysty. Obraz zachwycał wszystkich bogactwem kolorytu i poetyczną harmonią, rozlaną w całym utworze. Nabyty przez amerykańskiego nababę, obwożony po Londynie i innych miastach, chlubnie głosił sławę malarza. Przysądzono Munkaczemu honorowy medal na wystawie paryskiej; cesarz austriacki zaszczycił go przyjęciem do grona szlachty węgierskiej. Płomień geniuszu wybuchnął z całą potęgą pod wpływem tych powodzeń. Ostatnie arcydzieło: „Chrystus przed Piłatem” stawia Munkaczego w rzędzie pierwszych mistrzów europejskich tej epoki.

Angielski przegląd: „The Nineteenth century” (Wiek dziewiętnasty), ogłosił niedawno wyciągi z Dziennika dyplomaty chińskiego Liu-Ta-You, wysłanego do Anglii w końcu 1876 r. Rząd chiński pragnąc poznać stan rzeczy w Europie, żądał od reprezentantów swoich wiernego sprawozdania ze wszystkiego, co im wpadnie w oko. Chińczycy nie nowego nie spostrzegli; ale ponieważ ustrój ich myśli różni się całkiem od naszego, sądy ich przeto na szczegółową zasługują uwagę.

Liu-Ta-You, jakkolwiek wysoko ukształcony, liczy się przecież do Chińczyków stariej daty. Przekonany o wyższości obyczajów i idei w swoim kraju, patrzy z pogardą, na powierzchowny blask zachodniej

cywilizacyi. Nie może też przebaczyć Japończykom zbytniego popohu do chwywania nowości.

„Japończycy, mówi on, zmienili system administracyjny na wzór europejskiego, naśladowają ubiór i zwyczaje europejskich ludów; to też Europejczycy szydzą z nich, że przestali być sobą, że się wyrzekają tradycyi narodowych. Tkai-Kuo-Ksiang, komendant wojennego statku naszego, mówił do mnie: „Kiedy jesteście na obiedzie z Europejczykami, powinniśmy jeść po chińsku, kiedy Europejczyk zdejmuje przed nami kapelusz, powinniśmy pochylić głowę i podnieść w górę obie ręce. Przeciwnie, jeśli przyjmujemy ich zwyczaje, staniemy się celem pośmiewiska.”

Z niechęcią podziwieniem Liu-Ta-You, za przybyciem do Anglii, przekonał się, że Anglicy nie są barbarzyńskim narodem, jak sobie wyobrażał: rad im też oddaje sprawiedliwość.

„Uważałem, mówi on, Anglików za lud gwałtowny i niewdzięczny, bez poszanowania dla obcych. Zdziwiłem się też nie pomatu, widząc, jak wielcy i mali spełniają obowiązek gościnności i obchodzą się z nami w godny i przyzwoity sposób.”

Niektóre zwyczaje bardzo go jednak rażą: powstaje szczególnie na strój kobiet i poufale obejście ich z mężczyznami. Ze zgorszeniem opisuje bal w pałacu Buckingham.

„Wszystkie kobiety, mówi ze zgrozą, miały odkrytą szyję i ramiona; trzymały w ręku kwiaty. Suknie ich były różnobarwne; spodnice podpinane w fałdy, przypominały guiazda os; za każdą ciągnęła się długa na kilka stóp powłoka. Podawały mężczyznom rękę na powitanie!”

Widok rozgałęzionych kolei żelaznych przejmując go najwyższą zgrozą, wyprowadza stąd zgubne następstwa. Lęka się, aby intrygantcy angielscy nie chcieli zaprowadzić ich w Chinach, z wielką krzywdą ludności.

„Gdyby, uważa on, zaprowadzono u nas drogi żelazne, mnóstwo biednych ludzi, zajmujących się przewozem tak podróźnych, jak i towarów, musiałoby znaleźć się bez chleba. Otóż rząd nasz od wieków wziął za zasadę opiekować się biednym ludem. Koleje wreszcie nie opłaca się u nas. Z powodu wysokiej ceny transportu, przemysłowcy nie powierzą im ładunków. Dzięki dobroczynnej opiece rządu, każdy żyje u nas w pokoju i pomyślności: nikt nie myśli porzucać wioski swojej. Sami tylko bogaci podróżują niekiedy, a i to niedaleko. Jeśli zbudowaną będzie droga żelazna w Chinach, tłumy zrazu rzucą się na nią, spragnione nowych, nieznanych wrażeń; ale w pół roku potem mała liczba podróżnych nie zdoła pokryć kosztów węgla, służby i t. p. Rząd chiński czuwa nad dobrobytem poddanych, nie zechce też nigdy mącić życia ludom spokojnym, nie pozwoli im roztrwania bogactw, na korzyść chciwych zarobku przedsiębiorców. Drogi żelazne tak niepotrzebne w Chinach, jak Budaizm w Europie. Jeśli cudzoziemcy nalegać będą, odpowiemy im: „to rzecz tycząca się administracyi wewnętrznej;

nikt nie ma prawa rządzić u nas, gdyż Chiny są niepodległym państwem." Tak zamknijmy im usta."

Nie z samych względów ekonomicznych Liu-Ta-You przeciwny jest kolejom; mieszają się do tego i względy polityczne. Odgadł on tajemne pobudki Anglików, zwłaszcza gdy ujrzał w Instytucie politechnicznym w Schang-Hay, plan drogi żelaznej pomiędzy Chinami a Indją. Zaprojektowana linia przebiega państwo chińskie w całej długości. Zrozumiał on, że celem dla Anglików nie same widoki handlowe: widzi niepodległość Chin zagrożoną. Wreszcie, kolej żelazna jego zdaniem, zarówno niebezpieczna dla Anglii jak i dla państwa chińskiego.

"Uczucia nienawiści ku cudzoziemcom, mówi dalej, żywe jeszcze w narodzie naszym. Gdyby dla budowy drogi żelaznej zniszczono groby, domostwa i role uprawne, musiałoby nastąpić gwałtowne rozdrażnienie a zli ludzie korzystając z tego, gotowi wymordować Anglików. Bezrząd spowodowany tem, byłby równie groźnym dla nas jak i dla cudzoziemców osiadłych w kraju naszym. Nowa kolej rzuciłaby na Indyę rozhukane tłumy, a gra mogłaby łatwo obrócić się przeciw Anglii. Lud cały, wspólnem ożywiony uczuciem, trudny do pokonania! To potok co wszystko rwie i popędza naprzód; aby go powstrzymać, nie wystarczą na to działa i karabiny. Niechaj Anglicy pamiętają że wiatr obrócić się może, a pożar rozdmuchany przeciw drugim, łatwo ich samych pochłonie. Kiedy słońce wzbije się najwyżej, zaczyna zstępować z widnokregu, gdy księżyc stanie w pełni, zniższa się natychmiast jego tarcza. Wielcy cesarze chińscy, nie ustępują w mądrości ludziom Zachodu; nie urągają przecież niebiosom, nie szarpiają wnętrza ziemi. Nie położyli jedynie ufności w siłach mechanicznych i brutalnych, nie toczą walk z potęgą przyrody, aby urosć w moc i bogactwa. Rozum ich opiera się na niewzruszonych zasadach i spostrzega dalekie niebezpieczeństwo. Anglicy tymczasem znają tylko drogi wiodące do dostatków, rzucają się na przód jak szaleńcy, nie patrząc nigdy poza siebie."

Ostro Liu-Ta-You wyrzuca naszej cywilizacji dążność wyłącznie materialną, zmieniającą człowieka w maszynę. Z pogardą patrzy na dzisiejszy rozwój nauk, skierowany głównie do przemysłu. Z uczuciem dumy narodowej, stawia przeciw nim cywilizacją chińską, rozwiniętą pod zbawienym wpływem wysokiej uprawy literackiej i filozoficznej, wyrażającej w jego oczach najwyższy ideał moralności.

"Wszystkie istoty pod słońcem, mówi autor chiński, mają oczy i uszy, mają zęby i szczęki; każda usiłuje zdobyć większą od innych ilość pokarmu i napoju. Sam tylko człowiek, zdolny położyć granicę swjej chciwości. Jeżeli człowiek wyższym jest od zwierząt, to tem jedynie, że ma jasne pojęcie czasu i powinności, że ma ideę cnoty i prawa abstrakcyjnego, a więc pojmuje iż siła materialna i osobista korzystać nie mogą być wszystkiem dla niego. Dziś narody europejskie, uważają za rzecz słuszną wspierać ubogich, przynosić ulgę nieszczęśli-

wym; w tym względzie okazują uczucie ludzkości. Gdyby Europejczycy zrozumieli dobrze obowiązki wytykające z pięciu zasadniczych związków, ważne ztąd w ich życiu nastąpiłyby zmiany. Z miłości pomiędzy monarchą a ministrem, między ojcem a synem, między bratem starszym a bratem młodszym, między mężem a żoną, między przyjacielem a przyjacielem, musiałoby wypłynąć wierne dopełnienie wzajemnych obowiązków! Nie widzielibyśmy tych nienawistnych współzawodnictw, téj chciwości bez granic, zakrwawiających biedną ludzkość. Ażaliż ludy zachodnie stanęły na téj drodze? Bynajmniej! Cała ich działalność polega na budowaniu statków parowych i lokomotyw, w celu rychłego zdobycia wielkich bogactw! na wyrabianiu dział i karabinów zadających śmierć bliźnim! Wszyscy przesadzają się w chciwości, szukają środków wzbogacenia, pyszną się z dostatków i potęgi i wystawiają mniemaną mądrość swoją."

Te gorzkie prawdy, rzucone przez Chińczyka w oczy społeczeństwu zachodniemu, dotkliwie ubodły miłość własną europejskich ludów. Francuzi protestują przeciw nim słowy Renana, który wyrzekł o Chinach: „cywilizacya ich nacechowana charakterem materialistycznym, instynkta religijne i poetyczne mało rozwinięte; słabe poczucie sztuki, obok pojęcia wytwornej elegancji, wielka zdolność do sztuk rękodzielniczych i do nauk zastosowanych; literatura bardzo rozgałęziona ale bez ideału, umysł pozytywny, zwrócony do handlowych obrotów, w życiu dobrobyt i poszukiwanie przyjemności."

Oba sądy wprost przeciwne sobie, zbijają się nawzajem. Przy kim prawda? zapytuje krytyk jeden francuzki. To jedno nie ulega wątpliwości, dodaje, że widzimy żdźbło w cudzém oku, a nie dostrzegamy belki w naszym własnym.

Francuzi broniąc honoru cywilizacyi europejskiej, utrzymują że statysta chiński zbyt krótko był w Europie, aby mógł poznać ją do gruntu i śmiało wyrokować o niej. My odpowiemy na to, iż Chińczyk nie potrzebował szukać na Zachodzie Europejczyków, miał bowiem sposobność spotkać ich w własnym kraju. Spalenie pałacu Bohdyhana w Pekinie, zadało mu ranę której czas jeszcze nie zabił. Prawo zalewania Chin durzącym zmysłu narkotykiem, popierane siłą oręża, słabe dały mu pojęcie o moralnych zasadach angielskiego rządu.

Dodajmy jeszcze i to, że jeśli Liu-Ta-You zbyt krótko był w Europie, aby mógł ją osądzić, pan Renan nie był nigdy w Chinach; sądzi on społeczeństwo chińskie, jedynie tylko z książek i z opowieści podróżników.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Correspondence inédite du prince de Talleyrand et du roi Louis XVIII. Pendant le Congrès de Vienne par Pallain.
Przejrzał Ludwik Żychliński.

Thiers, w dziele swém „Du Consulat et de l'Empire,” zużytkował był wprawdzie wydaną dziś dopiero korespondencyą Talleyranda, również jak czerpał był z niej i Vieil-Castel w swój „Histoire de la restauration,” mimo to budzi korespondencya ta żywszy interes przez swe szczegóły mnogie, które sytuacyą na gorącym, że się tak wyrazimy, pochwytują uczynku, a pozwalają zarazem, bądź uzupełnić charakteru działających osób, bądź przedstawić w jaśniejszych barwach, krzyżujące się na szachownicy dyplomatycznej pociągnięcia. Dla nas, specyalnie, zawierają listy te pewien materiał, tak co się tyczy położenia sprawy narodowej ze stanowiska dyplomatycznego, jak i co do zarysów roli, jaką odgrywał na kongresie książę Adam Czartoryski.

Z instrukcyi, jakie otrzymał od króla Talleyrand, widzimy, że na pierwszém miejscu dbać miał ambasador o to, aby niedopuszczyć Austrii do zagarnięcia posiadłości domu Sardyńskiego i nie pozwolić Miuradowi na dzierżenie dalsze korony neapolitańskiej. W trzecim dopiero rzędzie stała kwestya polska, którą instrukcyja tak określa: „Rossya niema w żadnym razie posieść całego Księstwa Warszawskiego.” Kwestya saska stała na ostatku. Ambasador miał dbać o to, aby Prusy nie zagarnęły całej Saksonii.

Mocarstwa sprzymierzone, Austria, Anglia, Prusy, Rossya, zwycięższy Francyą, ukończyły były wprawdzie z nią wojnę traktatem z 30/5 1814 r., ale dlatego jeszcze nie zaniechały porozumiewać się bezustannie ze sobą, co do wspólnego traktowania spraw na kongresie, celem zepchnięcia Francyi na stanowisko całkiem bierne. Kiedy poselstwo francuzkie przybyło do Wiednia, unikano wszelkiej z niem styczności. Stan ten trwał dłużej niż 2 miesiące, a tymczasem toczyły się między ministrami sprzymierzonych państw, negocyacye.

Rossya żądała posieść całe Księztwo Warszawskie. Prusy popierały to żądanie, a same rościły pretensyą do całej Saksonii, na co znów zgadzała się Rossya. Anglia i Austria tak zaś do obu tych spraw się postawiły. Anglia zezwalała, aby Prusy całą zagarnęły Saksonią, wszelako nie jako ekwiwalent utraconych ziem polskich, tylko jako przyrost potęgi. Austria zezwalała także, ale z zastrzeżeniem, że zgodzi się uprzednio z Prusami o pociągnięciu stosownej wojskowej granicy. Metternich, poparty przez strategików austriackich, ją przedstawił Prusom, że w żaden sposób brać nie mogą całej Saksonii, dawał do poznania zresztą, że Austria przystanie tylko o tyle na wzięcie Saksonii, o ile Prusy nie będą mogły w żaden sposób inną otrzymać kompensaty, przez co rozumiał część Księztwa Warszawskiego. Widzimy ztąd, że tak lord Castlereagh, jak Metternich podporządkowali kwestyą Saksonii kwestyi polskiej, ale w sensie przeciwnym. Lord Castlereagh miał na głównej myśli złączenie ścisłym sojuszem Prus i Austrii pod egidą Anglii, aby odosobnić, z jednej strony Francją, z drugiej poróżnić Prusy z Rossyą. Kwestyą polską odosobnił jaknajzupełniej, nie powiązał jej z żadną inną. Talleyrand donosi królowi pod d. 7 grudnia 1814 r.: „Lord Castlereagh nie tylko ni razu nie wystąpił z kwestyą Polski niezawistą, ale ni razu nawet nie objawił podobnego życzenia; gdy zaś odzywał się o narodzie polskim, odzywał się w słowach, które zawierały w sobie raczej odradzanie od tego kroku, aniżeli doradzanie takowego.”

Że Talleyranda osobistém przekonaniem było, iż kwestya spokoju Europy spoczywała w Polsce, potwierdzają to wyszłe w roku zeszytym pamiętniki pani Rémusat. W tomie III tychże, wyraźnie autorka pisze, „jedną z idei trwałych Talleyranda, była idea Polski.” W instrukcyi, jaką otrzymał od króla, stała wprawdzie kwestya polska, ale postawioną była raczej negatywnie, skoro chodziło tylko o to, aby Rossyi nie dopuścić do zagarnięcia całego Księztwa Warszawskiego. Talleyrand nie mógł nie wiedzieć, że kwestya Polski służyć chyba będzie za straszaka na kongresie. Na seryo i on więc nią się nie zajął. Oto np. co pisze w liście z 21 października 1814 r.: „Książę Adam Czartoryski, dla którego le monde entier est dans la Pologne, odwiedził mię i wyznał, że spóźniona jego wizyta ztąd pochodzi, iż mu powiedziano o mojem bardzo niedobrem w kwestyi polskiej usposobieniu. Ależ ono lepszem jest, mości książę, odpowiedziałem, aniżeli wszystkich innych.” Gdy zaś na to odezwał się książę Czartoryski: że mocarstwa, niestety, nigdy na to się nie zgodzą, rzekł Talleyrand: „W takim razie przestaje być kwestya ta pierwszorzędną dla Francyi wśród kwestyi, dotyczących Północy. Od chwili, gdy kwestya polska staje się kwestyą granic, rzeczą jest Prus i Austrii zawarować sobie dobre granice. Skoro to nastąpi, Francya nie będzie przeszkadzać cesarzowi Aleksandrowi, gdy zechce odstąpić sobie krajowi nadać formę rządu, jaka mu się będzie podobać. Za tę z naszej strony powolność żądamy zachowania Królestwa Saskiego.”

Zkądinąd, a mianowicie z listu p. de la Besnadières, dowiadujemy się, że sprawa polska byłaby jednak inny mogła wziąć obrót, gdyby lord Castlereagh był chciał, a Metternich był śmiał coś zaryzykować. Alians bowiem, jaki na d. 3/1 1815 r. zawarły ze sobą przeciw Rossyi i Prusom, Francya, Anglia i Austria, mógł być w konsekwencji doprowadzić do przywrócenia Polski. Alians ten, jak stwierdza pilne wczytanie się w listy Talleyranda, głównie on przyprowadził do skutku cierpliwością swą, rozumem i taktem. Gdy bowiem perswazyje Anglii i Austrii nie potrafiły oderwać króla pruskiego od Rossyi, a Rossya odstąpić nie chciała od swych zamiarów na całe Księstwo Warszawskie, poznała Anglia i Austria, że nie są dość silne, aby zmusić do ustępstw oba te mocarstwa. Tego położenia rzeczy nie zaniedbał wyzyskać Talleyrand. Z jednej strony utwierdzał on upór Rossyi, udając obojętnego w dotyczącej kwestyi, z drugiej strony zgrabnie ofiarował współdziałanie swego rządu, tak Austrii jak Anglii. Odkąd pomoc Francyi przyjętą została, alians dawny czterech mocarstw przeciw Francyi, rozerwany został, a nadto poszukiwać zaczęły wszystkie mocarstwa przyjaźni francuzkiej. Nadmieniliśmy na początku, że Anglia, Prusy, Austria i Rossya, porozumiały się były zrazu ze sobą co do wspólnego traktowania spraw na kongresie, z pominięciem Francyi. Aby ją i moralnie odosobnić, głoszono, że Talleyrand podwójne ma instrukcye, że występuje głośno z zasadą niewzruszoną prawowitości tronów, a po cichu intryguje, aby poróżnić alian-tów. Tymczasem już w dwa miesiące później tryumf Talleyranda był widocznym. Zasada prawowitości tronów, przezeń forytowana, odnosiła zwycięstwo. Talleyrand nie był przecież, jakby ztąd nieświado-mość wnosić mogła, legitymistą. Je m'attache au logis et pas au maitre, zwykły był mawiać. Uprzytomnijmy sobie teraz sytuację. W chwili, kiedy zasada suwerenności ludu straciła była praktyczną wartość, wydobyl Talleyrand z niedawnej przeszłości zasadę prawowitości, czyli legityzmu, która ochronić miała Francją. Bystry rozum jego poznał, że jedynie prawowitość dynastyczna mogła mu dopomóc do ocalenia Francyi i do utworzenia, chociaż na pewien przeciąg czasu, niejakięś równowagi europejskiej, pod której zastłoną Francya nabrać miała nowych sił. Miał on do wyboru: sojusz z Rosyją, albo z Anglią i Austrią. Wybrał ten drugi. Prus mianowicie obawiał się Talleyrand. Pisał np. do króla: że sama konstytucya terytoryalna tego państwa zmusza je do ambicji straszliwej. „Każdy pozor, powiada dalej Talleyrand, jest dla nich dobry; nie znają one żadnych skrupotów.” Chodziło więc Talleyrandowi o to, od chwili, gdy kwestya polska zesłała na stanowisko kwestyi granic, aby nie dopuścić Prus do przewodnictwa w Niemczech, to zaś osiągnąć tylko było można: 1) da-jąc Prusom jaknajmniej niemieckich ziem, a w tym przypadku, jak naj-mniej Saksonii; 2) paraliżując wpływ ich przez odpowiednią organizację rzeszy niemieckiej. Oba zamiary przeprowadzone zostały. Kto miał spo-

sobność wertować dzienniki pruskie z owych czasów, przekonał się, z jaką zajadłością miotały obelgi na Talleyranda i na Francją. Talleyrand myśl porozumienia się z Prusami z góry odrzucił, bo porozumienie to mogło, wedle jego zdania, przyspieszyć tylko jedność Niemiec, a jedność ta znaczyła wówczas wojnę, skoro protestanckie Prusy byłyby dążyły do zagarnięcia większości niemieckiej, składającej się z protestantów, na co Austria w żaden sposób nie byłaby przystała.

Nie będziem śledzić perypecyi kongresu samego, bo nie w tym celu wzięliśmy za pióro, zwrócimy natomiast uwagę na trzy osobistości, jakie nam korespondencya Talleyranda dość żywo uobecnia. Nasamprzód król Ludwik XVIII występuje w niej, a mianowicie w listach swych do Talleyranda, jako osobistość, której wiara w legitymizm nie przeszkadza do zrozumienia prądów czasu. Ludwik XVIII lubi bardzo i cytacye z autorów klasycznych, któremi popiera swe instrukcyje i zapatrywania. Jako Burbon, ma się za pierwszą na świecie figurę, za wyższego nad wszystkie inne ukoronowane głowy, a chociaż nie jest naiwnym, żywi przecież przekonanie, że *hors les Bourbons, point de salut pour la France*. Że miał siebie za najdostojniejszego z pomiędzy monarchów i żądał, aby się inne głowy ukoronowane doń pierwsze zbliżały, zdradza zlekka taki np. ustęp jego listu z 10 grudnia, z okazji wzmianki Talleyranda o księciu Czartoryskim. Talleyrand pisał był: „Chociaż książę Adam jest partie intéressée w naszych rozprawach, mam go przecież za najpożyteczniejszego pośrednika między mną a cesarzem Aleksandrem.” Na to odpowiada mu król: „Znam księcia Czartoryskiego. Wybór jego na pośrednika, każe mi przecież wnioskować, że cesarz Aleksander chciałby raczej, abym ja się zbliżył do niego, aniżeli on do mnie.”

Drugą osobistością, która nas przeważnie obchodzi, jest książę Adam Czartoryski. Jak jego uczucia narodowe oddał w kilku słowach Talleyrand, nadmieniliśmy już, przytaczając ustęp listu Talleyranda z 21 października 1814 r. Że posiadał w miesiącu listopadzie r. 1814 zupełne zaufanie cesarza Aleksandra, wyraźnie pisze Talleyrand w liście z 30 listopada, dodając, że prócz księcia Adama, tylko Capo d'Istria i baron pruski, Stein, przypuszczani są do rady przybocznej cesarskiej. Kiedy przed mniejwięcej 20 laty, Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie poleciło było jednemu z członków przetłumaczenie na język polski ustępu z historii Thiersa, dotyczącego kongresu wiedeńskiego, były niepłonne widoki, iż książę Adam zechce z bogacić i uzupełnić tłumaczenie to relacją o swęj na kongresie działalności. Losy przeszkodziły temu i tłumaczenie wyszło bez komentarzy tyle pożądaných. Zapewne relacya działalności księcia na rzeczonym kongresie znajduje się w papierach, pozostałych po historyku księcia, ś. p. Bron. Zalewskim. Śmierć zabrała go, nim zdołał dokończyć dzieło, którego tom I tylko ukazał się na widowni, nie sięgając dalej, jak do samych początków wieku bieżącego. Jeżeli książę Adam, pod

koniec r. 1814 należał do zaufanych cesarza Aleksandra, tedy w lutym r. 1815 już nastąpiła zmiana, mianowicie co się tyczy nadziei narodowych, jakie żywił książę Adam. Talleyrand pisze pod koniec lutego 1815 r. „Książę Adam dostrzega, że nadzieje jego były płonne. Zaczyna się użalać.”

Trzecia osobistość, którą Talleyrand żywo uobecnia, ale i jaskrawemi, chociaż dyplomata, maluje barwami, jest książę Metternich. Zdaliśmy sprawę co dopiero o wydanych przez syna jego pamiętnikach i dokumentach i zauważyliśmy, że nietylko nie udało się synowi wydatnić korzystnie pamięci ojca, jako dyplomaty, ale że owszem pamiętniki i dokumenta te potwierdzają raczej sąd, jaki i krytyka i ogół objawiły o Metternichu. Tutaj zestawimy, dla uzupełnienia wizerunku Metternicha, to, co o nim pisze Talleyrand. Donosi on pod d. 29 września 1814 r. „Ten, który stoi dziś na czele rządu w Austrii i który ma pretensją urządzać Europę, ma się za genialnego, objawiając z jednej strony une legereté, posuniętą aż do śmieszności, z drugiej aż do tego punktu, iż staje się poprostu une calamité. W liście z 7-go grudnia pisze Talleyrand: „Le grand art de Metternich est de nous faire perdre du temps, croyant par là en gagner.” Dziesiątego stycznia 1815 r. tak się odzywa: „Kwestya Saksonii jest kwestyą austryacką pod względem równowagi. A przecież Metternich traktuje ją avec une legereté et une insouciance, dont je suis toujours émerveillé, quelque habitude que j'aie de les lui voir.” Dwódnastego pierwszego stycznia 1815 r. donosi Talleyrand, jak dalece Metternich musiał chwilowo stracić zaufanie swego cesarza, skoro tenże przysłał doń osobę poufną, aby sprawdziła, czy Metternich zdał lub nie zdał prawdziwej relacji o ostatniej konferencji. Pierwszego lutego pisze znów: „Ministeryum w Austrii jest bardzo słabe, pour ne rien dire de plus i lord Castlereagh pragnie jego zmiany.” Wreszcie w liście z 15 lutego 1815 r. wręcz znów skarży się Talleyrand na „la grande présomption et la grande legereté de Mr. de Metternich.”

Na zestawieniu słów tych Talleyranda o Metternichu, zamykamy sprawozdanie nasze niniejsze. Zapowiedziane wydanie pamiętników Talleyranda, niejedną zapewne ważną rozświeci nam lepiej chwilę, niejednen uzupełni wizerunek... chociaż krytyka dojrzała mieć się będzie musiała na baczności ciągłej, w obec dyplomaty, który umiał być mistrzem w sztuce mówienia często tego, czego nie myślał, i przeciwnie.

„O geograficznych błędach“ na których się opierają histyriozoficzne (!) poglądy profesora Duchńskiego. Warszawa, 1881 r. W 8-ce, str. 55.

Czytając tytuł téj książki, żałowaliśmy autora, że niedbalstwo korektora (choć może i jego własna nieuwaga) zmieniając nazwisko wysokości nauki histyriozofii na histyriozofią, rzuciło jakiś arlekiński znaczek na poważną postać jego rozprawy. Ale przeczytawszy ją, pogodziliśmy się z korektorem, nie przestając żałować autora, o ile go, jako już cokolwiek znanego w piśmiennictwie, w nielicznym szeregu naszych pracowników krajoznawstwa, radzi widzieliśmy.

Zaraz na pierwszej stronicy znaleźliśmy wskazówkę, że mniemamy, podług nas, błąd korektorski, spełniony został za wiedzą i wolą autora.

Uczyniwszy naszym historykom wyrzut, że czyto „w skutek braku geograficznego wykształcenia, czy... z idealnego wstrętu do szukania czynników dziejowego rozwoju w warunkach tellurycznych“ „ignorują geograficzny element w dziejach,“ że „wołą puszczać się... na metafizyczne a nawet mistyczne bezdroża,“ oświadczają, że prof. Duchński lubo wyjątkowym sposobem oparł swe badania na geografii, należąc atoli do szkoły... co „z idei tworzy kamienie,“ wysnuł sobie idealną teorię a priori a chciał jęj gwałtem dać materyalne, geograficzne podstawy... w skutek czego rzeczywistość... musiała uleść potwornej karykaturze a sam autor halucynacyi i niesumienności,“ że naciąga i wykoszlawia geograficzne fakta, w tak dziwny a tak niezgodny z prawdą sposób, że to poprostu zakrawa na drwiny z czytelników.”

Po takim wstępie, dziwić się tylko można że krytyk poświęcił 50 przeszło stronic na zbijanie geograficznych „halucynacyi“ prof. Duchńskiego. Jednakże przywodzi niemało faktów i cytat na odparcie zwłaszcza tego założenia, że właściwą granicę pomiędzy Europą a Azją stanowi nie Ural ale Dniepr i Dźwina, czy téż dział wodny pomiędzy temi rzekami a porzeczem Wołgi i Donu. Nie potrzeba wspominać, że wschodnio europejska równina nie posiada naturalnych granic od strony Azji, przynajmniej na znacznej przestrzeni; ztąd chwiejność jęj u geografów, z których jedni kreślą ją podług linii skierowanej od morza Białego do Kaspijskiego; drudzy, od Azowskiego, inni od południowego końca pasma Uralskiego do ujścia Donu. Upowszechnione w podręcznikach geografii rozgraniczenie wzdłuż rzeki Uralu i morza Kaspijskiego, jest fikcją tłómaczącą się jedynie zamiarem ułatwienia pamięci uczniom początkującym w geografii. Sam p. Natkowski, który mocno obstaje za pasmem uralskiem jako granicą Europy, wątpi o możności uważania za takową rzeki Uralu, ale jakby naprzekór panu Duchńskiemu, który ją przysuwa ku zachodowi—wcielił do Europy

nietylko stepy pomiędzy Donem a Wołgą, ale całe porzecze Uralu i wschodni brzeg morza Kaspijskiego aż do łańcucha wzgórz Czink przez Ust' Urt ciągnącego się do dawnego łożyska Amudaryi (str. 14). Jak to pogodzić ze zdaniem (str. 10) że Ural jest zupełnie odosobniony od gór azyatyckich, że morze Kaspijskie zlewało się z Aralskim a nawet że dolina Obi i Irtyszu była komunikacją tych wodozbiorów z morzem Lodowatym Północnem. Tylko p. Nałkowski niewspomniał, że jednocześnie tak zwane morze Kaspijskie zlewało się z Czarnem i Azowskiem a doliną Wołgi, która od Rybińska ma poziom mało co wznoszący się nad powierzchnią morza, oraz niziną rzek północnej pochylności Rosyi, cały ten wodozbiór śródlądowy łączył się z morzami podbiegunowemi. Wiadomą jest przytém rzeczą, że jak pasma gór przerzynają łożyska rzek (np. brama Turn Sewerin na Dunaju, albo Laba na granicy Czech i Saxonii), tak morza przedzierają się przez pasma gór (np. cieśnina Jenikale pomiędzy pasmem tauryckim a kaukazkiem; kanał Messyński wdzierający się pomiędzy pasmo sycylijskie a góry Kalabrii); że przeto granica zakreślona pasmem gór, podobnie jak i granica wzdłuż łożyska rzeki, nie zawsze wolna jest od niepewności.

Pomosty wyżyn łączące Ural z górami Europy, na które p. Nałkowski mocny kładzie nacisk (str. 10 i nast.), są poprostu działami wodnemi, zapomocą których wszystkie prawie góry w świecie skomunikowaćby można. Wyżynę Wałdajską taksamo skomunikować można z pasmem karpackiem zapomocą działu wodnego Dźwiny a Niemna, wyniosłości odgraniczającej Polesie od właściwej Litwy i Podlasia, wzgórzystości Nadbużnych, wreszcie gór lubelskich i sandomierskich, jak z Uralem zapomocą mniemanego pasma Szemachińskiego, które jest właściwie działem wodnym odgraniczającym porzecze Wołgi od północy i którego najwyższe punkta nie dochodzą 900 stóp. Wcale nie jest „fałszem, że wyżyna Wałdajska jest odroślą gór Skandynawskich” (str. 16). Wprawdzie formacja Wałdajska jest odmienna od Finlandzkiej, ale czyż jednakowy jest skład licznych łańcuchów gór od Karpat do Renu przerzynających w różnych kierunkach środkowe Niemcy? Wyżyna Wałdajska łączy się z pasmem Finlandzkim zapomocą wyżyny Otoneckiej, której średnia wysokość około 900 st. przewyższa najbardziej sterczące punkta na tak zwanem pasmie (griada) Szemachińskim. Kotłowiska zapelniające porzecze Dźwiny, Infanty, Żmudź i całe Pomorze na południe od Bałtyku do wyspy Rugii, jakkolwiek nie mające fizyognomii pasma gór, uważać także możnaby za pomost łączący wyżynę Wałdajską drugim końcem z systematem Skandynawskim, przez wyniosły brzeg wschodniej Jutlandyi do Ska-gerraku. Pasma Uralskie jakkolwiek na całej wielkiej równinie od morza Bałtyckiego do wyżyny środkowo azyatyckiej, największém jest wyniesieniem poziomym, w kilku jednak miejscach osobiłwie około 56° szer. tak się spłaszczają, że cały szereg rzek biegnie na poprzek linii stanowiącej ich pasmo; w ogóle zaś koniec południowy i część środkowa

wego Uralu nie stanowią granicy nie tylko Syberyi od Rosyi właściwej, ale nawet pomiędzy położonemi tam guberniami, z których np. Permska i Orenburska rozciągają się po obu stronach Uralu. Wszystko co p. Nałkowski przywodzi o różnicy natury, krajobrazu, klimatu i roślinności z tej i tamtej strony Uralu jest fikcyjnem. Za Uralem pas stepowy zachodzi dalej na północ, taksamo jak za Dnieprem, dalej niż przed Dnieprem; klimat jest coraz bardziej kontynentalny, suchszy, ostrzejszy jak wszędzie pośród łąd w miarę posuwania się w kierunku wschodnim. Godne przytém uwagi, że (o ile z niedostatecznych dotąd obserwacji meteorologicznych sądzić można) różnice klimatu za linią Dniepru są znaczniejsze niż dalej na wschód Wielkorosyi. Tak miasto Horki w gubernii Mohilewskiej położone pod $54^{\circ} 17'$ szerokości $30^{\circ} 59'$ długości, ma średnią roczną temperaturę $5^{\circ},2$ C. Moskwa pod $55^{\circ} 46'$ szer. a $37^{\circ} 40'$ dług. a więc mniej niż o $1\frac{1}{2}^{\circ}$ dalej na północ, ma temperaturę $3^{\circ},3$ C.; Kazań pod tymże stopniem szerokości a $49^{\circ},8$ dł. ma temperaturę $3^{\circ},1$ C. Moskwa więc leżąca o 7° dalej na wschód, ma temperaturę blisko o 2° niższą, niż Horki a Kazań na jednym równoleżniku z Moskwą, a o 12° dalej na wschód, ma temperaturę zaledwie o $0^{\circ},3$ C. niższą. Dodajmy jeszcze że poziom Moskwy jest przeszło o 50 metrów niższy od Horków, leżących nieopodal wierzchowisk Dniepru. Horodyszcz, stacya w południowej części guberni Kijowskiej pod $40^{\circ},17$ szerokości a $31^{\circ} 23'$ długości, ma średnią temperaturę $8^{\circ},25$ C. Pułtawa, miasto głównej sąsiedniej gubernii za Dnieprem pod tym samym równoleżnikiem szerokości a tylko o 2° dalej na wschód, ma temperaturę $5^{\circ},9$ C., to jest o $2^{\circ},1$ niższą. Spadek wody roczny w Horodyszczu 525 milim. to jest mało co mniej niż w Warszawie (597), w Puławie zaledwie 400 m.; dni śniegu w Horodyszczu 37, w Puławie 48, temperatura zimy w Horodyszczu $3^{\circ},5$ C., w Puławie 5° . To znaczy, że okolice położone za Dnieprem, mają klimat znacznie ostrzejszy i suchszy niż sąsiednie ziemie tuż przy prawym brzegu tej granicy dawniej Polski. Różnicy tak znacznej nie tłumaczy sama odległość w kierunku wschodnim, jak to pokazało się z małej różnicy klimatycznej pomiędzy Moskwą a Kazanią—ale warunki topograficzne: otwarte położenie zadnieprza, gdzie pas stepowy dochodzi w gubernii Kurskiej np. do $51^{\circ},1$ szerokości, gdy z tej strony Dniepru pod tą szerokością zalegają obszerne jeszcze lasy; kierunek wiatru wprost od północy, gdy na Litwie i Rusi wiatr północny złagodzony jest wpływem Bałtyku, wreszcie pochyłość wschodnia porzeczka Wołgi, w południowej zaś części Wielkorosyi sąsiedztwo wielkiego obszaru stepów gubiącego się we wnętrzu Azji.

P. Nałkowski widzi z tej i z tamtej strony Dniepru jednostajną równinę, nad górnym i średnim Dnieprem piaszczysto-gliniastą, przepłatana „piaskami i błotami,” na niższym, „od Karpat do Uralu” pas czarnoziemu, dalej na południe nieurodzajne stepy (str. 32). Przyznajemy słuszność w tém co mówi p. Nałkowski przeciwko profesorowi Duchieńskiemu, że za Dnieprem czarnoziem zajmuje daleko większą

przestrzeń, bo właściwie jego strefa tam się dopiero znajduje. Podole i ziemie Naddniestrzańskie które p. Nałkowski widać zalicza do strefy rosyjskiej czarnoziem, mają grunta równie żyzne, ale nie czarnoziem tylko opokę z wapna, marglu i gliny, pokrytą warstwą próchnicy żółtobrunatnej, podobnej do tłustej gleby w Krakowskim i Sandomierskim. Taką samą glebę ma Kijowskie, z wyjątkiem części północnej podobnej do Polesia. Czarnoziem (humus) występuje tu miejscami pomieszany zwykle z gliną lub piaskiem a mieszanina ta stanowi doskonałe grunta pszenne, jakich mało za Dnieprem, gdzie rdzenny czarnoziem ciemnobrunatny najlepiej przydatnym jest pod żyto. Ale jeżeli za Dnieprem nierównie szerszy jest pas czarnoziemny, zato bez porównania więcej zalegają tam obszerne stepy, które nie są jak na Ukrainie przeddnieprskiej trawiastymi równinami, ubogimi tylko w drzewa, a wszędzie prawie przydatnymi pod rolę; ale, w znacznej części prawdziwymi pustyniami, bez roślinności, bez wód bieżących, pełnemi moczarów solankowych. Taki jest krajobraz całej prawie guberni Astrachańskiej, Stawropolskiej, większej części Saratowskiej, Tauryckiej, Jekaterynosławskiej. Nic podobnego nie znajdzie w granicach dawnej Polski; tylko wybrzeże morza Czarnego między Dniestrem a Dnieprem daje na małą skalę wyobrazenie tego, co za Dnieprem ciągnie się (z przerwami jak oazy w pustyni) setkami i tysiącami mil kwadratowych. Dość wyrzść z Kijowa na drugi brzeg Dniepru, aby się ujrzyć w zupełnie innym świecie. W stronie północnej od Białej Rusi różnica krajobrazu nie jest może tak wydatna, ale w ogóle Zaddnieprze różni się od Przeddnieprza już przez to, że tam strefy analogiczne gleby leżą znacznie dalej ku północy. I tak za strefą lasów, łąk i bagien Białej Rusi leży na wschód polisty, średnio urodzajny pas środkowej Wielkorosyi (gub. Kałuzka, Tulska i t. d.); pod równoleżnikiem naszego Polesia za Dnieprem, leży pas czarnoziemny, a strefie naszego Podola odpowiadają solankowe stepy nad Donem i dolną Wołgą. Jeżeli teraz zwrócimy uwagę że w Rosyi wschodniej klimat pod tym samym równoleżnikiem jest znacznie ostrzejszy niż u nas, to łatwo zrozumiemy, że flora i fauna Rosyi właściwej musi się cokolwiek różnić od krajów przeddnieprzańskich. To też tłumaczy małą w ogóle ilość lasów liściastych w Wielkorosyi a w tych rzadkość, choć nie zupełny brak, niektórych gatunków wymagających łagodniejszego a wilgotniejszego klimatu jak dąb, olcha i buk (któremu p. Nałkowski każe zniknąć za południkiem wschodnim Wilna, gdy sami widzieliśmy lasy bukowe na Podolu i w Kijowszczyźnie); częstsze tam są stosunkowo lipy, które mają się znajdować podobno aż koło Kazani; topoli zaś nie widują dalej jak w gub. Czernichowskiej.

Właściwości plemion aryjskiego i turańskiego, uogólnione przez prof. Duchńskiego, p. Nałkowski zbija dogodnym w tym razie, ale do żadnego rezultatu określonego nie prowadzącym sposobem, że warunki przyrodzone zmieniają stan ekonomiczny, a za nim i obyczajność narodu. Twierdzenie to w tym razie możnaby porównać do *petitio prin-*

cipii. Charakter narodu wyrabia się najprzód pod wpływem natury ojczyźnej jego ziemi; tak wyrobiony modyfikuje się wprowadzie skutkiem różnych wpływów dziejowych, albo przy zmianie siedlisk; ale rdzeń jego pozostaje niezmienny, o ile nowe warunki, w jakich został postawiony, zupełnego wyrodzenia nie sprawią. Faktem jest, że w plemienu aryjskiem wszędzie rolnictwo i połączony z niem przemysł jest zajęciem głównym, pasterstwo wyjątkiem; plemię turańskie wszędzie jest ludem pastersko-kupieckim i upodobanie to zachowało nawet tam, gdzie cywilizacja i otoczenie aryjskie zmieniły nawet jego obyczaje i typ fizyczny. Dowodem Turcy Osmańscy i Węgrzy ¹⁾. Napróżno p. Natkowski przypisuje skłonność do wędrowek i kupiectwa Wielkorusyan fizycznym warunkom ich ziemi, gdy właśnie z przytoczonego przezeń wykazu (str. 49) widzieć można, że w szeregu gubernii mających nadmiar zboża nad miejscowe potrzeby, z wyjątkiem Wołynia, Podola i Kijowszczyzny, figurują same wielkorosyjskie. Nawet północna część Wielkorusyi środkowej (np. gub. Jarosławska, Włodzimierska i t. d.), dlatego tylko produkcją swoją, nie pokrywają miejscowych potrzeb, że ludność ich wiejska przekłada drobny przemysł lub najem przy spławach i przewozach nad właściwe gospodarstwo wiejskie, które w ostrym tamtejszym klimacie krótkotrwały daje zarobek.

Napróżno także krytyk pomawia o mrzonki i aberacyą umysłową p. Duchinińskiego, z powodu przypisywanej przez niego skłonności Aryjczyków do swobody, a despotyzmu i niewolnictwa nomadycznych Turańczyków.

W licznych przekładach na obalenie twierdzenia p. Duchinińskiego krytyk pomieszał despotyzm patryarchalny z kastowością i możnowładztwem, które jakkolwiek mogły wywierać ucisk do despotyzmu podobny, są przecież zasadniczo mu przeciwne. Cechą bowiem niewoli jest, jak w stanie pierwotnej dzikości, zupełna równość osobników, oparta na nicości jednostki ludzkiej. Organizacja arystokratyczna jest właściwie aryjskiego autoramentu. Z ludów nie aryjskich jedni tylko Japończycy wytworzyli u siebie ten system społeczny: oni też, jak dziś widzimy, najprzystępniejszymi okazują się dla cywilizacji europejskiej.

Argumentów p. Natkowskiego w szczegółach rozbierać nam niepodobna; musielibyśmy napisać tyle prawie, co jego obejmuje broszura. W wywodach prof. Duchinińskiego, pod względem geograficznym, jest zapewne niemało szczegółów potrzebujących sprostowania. Czyniąc

¹⁾ Węgrzy z wyjątkiem Szeklerów siedmiogrodzkich obsiedli samą prawie równinę środkowej Panonii, gdzie są rozległe stepy. Turcy w Europie, oprócz Stambułu, licznymi gromadami rozsiadli się tylko na równinach Tracji i Tesalii, gdzie zamieszkali głównie po miastach; a nawet po wsiach znajdujący się zajmują się raczej drobnymi rzemiosłami i handlem, niż rolnictwem.

to p. Nałkowski mógłby zapewne przysłużyć się i nauce krajoznawstwa, która, wyznajemy to, nawet pośród oświeconych ludzi naszego społeczeństwa, zbyt długo, a z wielką naszą szkodą, była lekceważona. Lecz te poprawki nie necessarily mają doprowadzić do odmówienia naukowej podstawy wywodom prof. Duchńskiego, które są rezultatem głębokich studyów i wieloletniej, sumiennej, a prawdziwie obywatelskiej pracy. W historyzofii, która jest nauką dosyć jeszcze świeżą, każdy krok naprzód przychodzi zwykle po długim błakaniu się manowcami. Zarzuty w rodzaju tych, jakie p. Nałkowski czyni autorowi „Zasad dziejów polskich,” czynione były najstateczniejszym pracownikom niniejszej nauki: wszakże i Bukle’a pomawiano o naciąganie i wykrzykiwanie faktów dla idei powziętej a priori, o zmyslenia i t. p. Występując przeciw utartym już od połowy XVIII wieku i przez głośnych koryfeuszów wiedzy potwierdzonym wyobrażeniom historycznym i geograficznym o Słowiańszczyźnie północno-wschodniej, prof. Duchński tém silniejsze musiał ściągnąć na siebie zarzuty, że w poglądach jego dostrzeżono konsekwencye niedogodne dla pewnych dążeń politycznych i że wbrew oświadczeniu p. Nałkowskiego, pomiędzy tymi właśnie, którzy zbijają jego „pseudo-prawdy” historyzoficzne, najwięcej jest takich, którymi powoduje nie „objektywna prawda, lecz namiętność.” Komu, jak sądzimy, obce są te powody, kto zapewnia, że nie miał „innego celu, jak tylko obalenie geograficznych błędów i wykazanie prawdy w interesie nauki,” ten powinien pamiętać, że zbyt łatwą, ale niebezpieczną jest bronią pomawianie tego, kto podobnie, jak my sami, mógł się omylić, ale kto może wiedzieć i to, czego my nie wiemy—o halucynacyą, o obłąd, o niewiadomość elementarnych zasad nauki, o dziecinną naiwność, zarozumiałość, samochwalstwo i t. p. Niewiadomo, czy tych dwóch ostatnich zarzutów nie postawi kto autorowi, który „spojrzawszy poza siebie na zaatakowane zastępy geograficznej armii p. Duchńskiego,” zapytuje czytelnika, co się z tych nieśmiertelnych, nie mogących być nigdy zniszczonych zastępów, zostało?” Gdyby też nas zapytano o wrażenie, jakie sprawia niniejsza książeczka, pożyczylibyśmy słów p. Nałkowskiego, że odpowiedź będzie dość smutna.

R. B.

Typy i obrazki krakowskie p. Michała Bałuckiego. Wilno.
Nakład E. Orzeszkowej i S-ki, 1881 r., w 8-ce, str. 262.

Ze wszystkich miast polskich, Kraków najlepiej, a przynajmniej najdłużej zatrzymał cechy odrębne, których, przebudowanie

miasta po wielkim pożarze r. 1850, napływ obcych żywołów i zmiany w stosunkach społecznych, dotąd jeszcze zatrzeć nie zdołały. To miasto ma zawsze dla nas pewien urok wspomnień historycznych i choć piękniejsze może położenie Wilna, więcej ożywiony Lwów, okazalsza Warszawa, jednak nie wydają się nam przesadą albo zmyśleniem, słowa poety ukraińskiego:

Kraków stolica, miasto co się zowie;
Ile jest grodów wspaniałych na ziemi,
A Kraków najwspanialszy między niemi.

Nietylko budowle, świątynie i widoki okolic Krakowa, ale sam jego lud, choć nie jest w rzeczywistości taki ochoczy i zwawy, jak go zwykle wystawiają, i dziś jednakże, choć demokracja wszędzie zawróciła głowy pospólstwu, harda swoją rubasnością przypomina, że jest „bliżej króla.“ A cóż dopiero mieszczenie krakowscy, którzy się ze szlachtą równali.

W 16-stu powiastkach i opisach, zawartych w niniejszej książce, akcja zamyka się całkiem w murach Krakowa. Autor chciał przedstawić rdzenną krakowską ludność, która zachowała właściwe, miejscowe cechy: emerytów i wdowy po urzędnikach z czasów Rzeczypospolitej, obywateli środka miasta i Kleparza, zaledwie sylabizujących na książce, ale tak dumnych, jak obywatele ziemscy z dawnych polskich czasów; podupadłą szlachtę, wiernie trzymającą się „pańskiej kłamki,“ możnowładców, także podupadłych, podupadłych też obywateli miejskich, świecących szczątkami dawniej zamożności na procesyi Bożego Ciała i t. p. We wszystkich atoli niemal, pocziwiał rolę odegrywa lud właściwy, ów ludek Boży, w którym, jak to przynajmniej autor chce widzieć, z pod grubiej opony jaśniej cześć wzbudzająca cnota. Cóżto np. (Obrazek II) za dorożkarz, który darmo wozi podupadłego adwokata i sam jeden oddaje mu ostatnią przysługę; a to wszystko przez pamiętać za przeprowadzenie mu procesu, choć mu za to i honorarium wypłacił i jeszcze dodał głowę cukru i sześć funtów kawy. Albo ów biedny rybak, co wzięwszy w depozyt pulares, o którym mniemał, że zawiera duże pieniądze, przez dwadzieścia lat przechowywał go najskrupulatniej, nie zaciekawwszy się nawet obejrzyć, coby zawierał, lubo sam znalazł się w największej potrzebie (obrazek XI). Bardzo też idealny jest oto stróż, który po nocach ślęczy nad książką, a nauczysz się sam czytać z wielkim mozołem, traci wiarę do książek, gdy się dowiaduje, że jeden literat, którego posiadanie wielkiego księgozbioru niezmiernie podnosiło w jego oczach, jest człowiekiem nieuczciwym (obrazek V). Również ów rolnik, który nietylko z rezygnacją dowiaduje się, że jego oblubienica oddała rękę komu innemu, ale dla tej, która go tak zawiodła, ponosi ofiary, a opuszczoną przez męża, przytuła do siebie i dzieci jej chowa jak własne (obrazek XII).

P. Bałucki duchem jest pokrewny z tą dawną szkołą literatów,

która święcie wierzyła w cnotę pod słomianą strzechą. W dedykacji swjej książki powiada: „Wśród wad i śmieszności ludzkich, które smagać ostrym piórem satyry, uważałem sobie za obowiązek, zdarzyło mi się napotkać nieraz, jak perłę wśród śmieci, jak kwiatek wonny wśród chwastu, ciche cnoty, pocziwe serca, piękne uczynki...“ Otóż te perły, te kwiaty, znajduje koniecznie wśród pospółstwa. Podług nas, cnota nie jest przywilejem, ale obowiązkiem szczególnym arystokracji, człowieka zaś z pospółstwa, podnosi do wyżyn społecznych; ale, jak w każdym stanie, tak szczególnie w niższym, wielką jest rzadkością. Najmniej zaś wierzyć nam się chce w pocziwość pospółstwa dzisiejszych czasów, któremu nowoczesna demagogia wmawia, że bez wywyższenia się zasługą, równem jest arystokracji. Cnota ludzi, nie posiadających ani edukacji ani środków niezależnego bytu, tém jest zapewne cenniejszą; ale tę cenność jej podnosi ta właśnie okoliczność, że tu jest mniej spodziewaną, że musi być tu rzadszą. Inaczéj sądzić, byłoby to doprowadzać do sofizmu, że im mniej czynników umoralniających, tém większa moralność.

Nie można wprawdzie czynić p. Bałuckiemu zarzutu, że różowo zapatrując się na ludek, pomalował sadzą możnych. W jednym tylko obrazku: „U pańskiej kłamki“ (obrazek XVI), skreślił ich profil, którego o karykaturę posądzać nie chcemy. Nie znalazł w téj sferze kwiatków, ale też „zwiędłym liściom“ dał pokój. Chętniej przestaje i maluje dodatnie strony charakterów mieszczańskich. W nowelce p. t.: „Dla kogo zbierał“ (obrazek X), stawia przykład abnegacji niesympatycznej wprawdzie, bo mającej pozory wygórowanego sknerstwa. Właściciel kamienicy w Rynku głównym, człowiek zamożny i bezdzietny, żyje jak ostatni ngdzarz, na lokatorów, zalegających w komornem, czatuje do późnej nocy; a wszystko to dla zebrania pieniędzy na stypendya dla młodzieży akademickiej, aby dopomódz wykształceniu „bodaj kilku Herkulesów, co pożytek prawdziwy przyniosą krajowi i sprawie demokratycznej!“ Wiara tego człowieka, godna chrześcian pierwszych wieków, żalować każe bladego odmalowania jego postaci, która, pomimo wzmianki o „wzniosłych marzeniach głowy staruszka“, wygląda na jakiegoś dziwaka, gdy tymczasem pod nią ukrywał się prawdziwy heroizm. Pocziwą także duszę wystawia autor w nowelce: „Niespodzianka Filipka“ (obrazek VII). Filippek pochodzi także z ludu, syn płóciennika, ale zamożnego; pochodzenie jego plebejskie, ma tylko to znaczenie, że edukacja jego o kilka lat się spóźniła. Ta okoliczność, obok pewnej ociężałości wrodzonéj, nadaje jakies żółwie tempo jego umysłowi, wcale jednak nie zamkniętemu dla szlachetniejszych myśli, które powolnie nurtują sobie do niego drogę, ale utorowawszy ją, trzymają go tak mocno, że nie opuszczają aż je w czyn zamieni. Filippek poślubia ubogą panienkę, którą w oczach jego to podniosło, że widział jej poświęcenie dla starszej siostry.

Jak sądzić wypada z niniejszych obrazków, społeczność krakowska bardzo już jest demokratyczną w obyczajach towarzyskich. Syn

lokaja jest obywatelem ziemskim (obrazek I), na czém nie nie cierpi stosunek towarzyski, choć ojciec służy w staroświeckim domu, gdzie hołdują dawnym wyobrażeniom. Żona sędziego apelacyjnego trzyma się bardzo skromnie na weselu mieszczańskim, pośród osób, które nie już stanem, ale stopniem ukształcenia i obyczajami prawdziwymi są dziećmi ludu (obrazek IV). Przesądu towarzyskiego, który nie zasługuje i opartą na niej powagę, ale rodzajem służby publicznej, profesją, zatrudnieniem, sposobem do życia, chce mierzyć stopień wyniesienia jednostki w społeczeństwie, z pewnością nie potrzebujemy żałować i przeciw demokracji na tej drodze nic nie mamy; idzie tylko o to, żeby oświatą i obyczajnością, włościanin lub rzemieślnik, nie stawiał się w dysharmonii z wyższą sferą towarzyską. Na tę drogę wchodzimy, ale do zupełnego jej wygładzenia potrzeba czegoś więcej, niż bałamucenia tych ludzi, równością z mocy samego prawa naturalnego.

O ile ze stanowiska społecznego, wizerunkowi skreślonemu przez p. M. Bałuckiego, musimy zarzucić niezupełnie właściwą perspektywę, o tyle artyzmowi jego, pomimo zaniedbania i błędnego nieraz kolorytu, teź zalety odmówić nie możemy, że umie ująć czytelnika świeżością materii, naturalnością i prostotą opowiadania, że zajmuje, choć świat, do którego wprowadza, jest tak już dobrze znany, choć sytuacje i dzieje bardzo mało odbiegają od pospolitego życia. „Typy i obrazki krakowskie“ mają pewien powab sielankowy; zabawiamy się chętnie w tej małej sferze; znużeni, przepełnionem efektownemi scenami i napuszonem powieściopisarstwem nowoczesnem, jakby wybiegłszy z kurzu wielkiego miasta, na świeże wiejskie powietrze. Najlepiej też nam przedstawiają się te ustępy, w których najmniej wątku powieściowego; np. „W Boże Ciało“ (obraz. II); „Mieszczańskie Wesele“ (obraz. III); „Ostatni z Pięciu“ (obraz. XIII). Nie bez zalet także, pomimo grubych rysów, są: „Mamuty“ (obraz. VIII); „Garkuchnia pod schodami“ (obraz. IX); z zastrzeżeniami pod względem społecznym. „W starym domu“ (obraz. I); „Nie zapomniat do śmierci“ (obraz. III); „U pańskiej kłamki“ (obraz. XVI). Z powiastek „Chata za wsią“ (obraz. XIV), celuje moralnością. Córka skromnego urzędnika, nieładna i już nie pierwszój młodości, ale dobrze wychowana, wychodzi za mąż za rzemieślnika, gburą i hulakę. Ciężki był jej los z mężem, który wieczory przesiadywał po szynkowniach, a powróciwszy do domu, podchmielełony, wyprawiał awantury: wytrzeźwiawszy, i wstydząc się postępku przed żoną, której czuł moralną wyższość, złość, którą miał, do samego siebie, gderaniem i dokuczaniem na żonę wymierzał. Wracając raz z jakiejś birbantki, nabawił się choroby, która go na kilka tygodni złożyła do łóżka. Dla zabicia nudów, z długiego leżenia w łóżku, pomimo wstrętu do książek, zgodził się na to, żeby mu żona co przeczytała. Powieść Kraszewskiego „Chata za wsią“ obrazkami z życia cygańskiego, przypominała mu czasy dzieciinne i obudziła upodobanie do książek, za które nieraz dawniej dokuczał żonie. Powróciwszy do

zdrowia, zaczął być powściągliwszym i coraz mniej gustować w pijackich kompaniach, a przestając więcej w towarzystwie ukształconej zony, okrzesał się i przywykł do porządnego życia.

Książka niniejsza ma tę wartość w naszych oczach, że widzimy autora we właściwej sferze. W utworach „Elpidona“ widzieliśmy młodociane pióro, rwące się do lotu, przechodzącego siły. W „Radcach“, „Pracowitych“, „Próżniakach“, „Siostrzenicy“, „Proboszczu“, „Sabinie“ i t. p., manierę ckliwą, pomimo znacznego już kunsztu. Niniejsze obrazy, podobnie jak: „Scherco“, „Ciche bohaterstwo“ i t. p., skłaniają do życzenia, żeby autor, tak dobrze już znany na polu dramatyki i powieściopisarstwa, nie przeniewierzał się tej szkole, która po Wasilewskim, Zychlińskim, Czajkowskim, w nim zdaje się mieć zdolnego przedstawcę w obec literatury nowoczesnej.

R. B.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Lipiec, 1881 r.—W początku miesiąca lipca (3, 4, 5, 6) zajmowała uwagę ludów słowiańskich uroczysta pielgrzymka Słowian katolików i unitów (Polaków, Czechów, Kroatów, Rusinów, Bułgarów i i.) odprawiona do Rzymu, dla uczczenia pamięci apostołów słowiańskich, śś. Cyryla i Metodeusza, których terazniejszy papież Leon XIII całemu światu katolickiemu jako wiernych sług Kościoła szczególniej czci zalecił. (Zob. Encyklikę „Grande munus” (30 września 1880 r.). Nie może być naszym zadaniem opowiadać szczegóły tej uroczystości religijnéj, którą pisma codzienne, a mianowicie gazeta „Wiek” z wielką dokładnością opisały; ale zaznaczamy tylko, że znalazło się u stóp Stolicy apostołskéj około 1400 pielgrzymów różnych plemion i narodów słowiańskich, a między nimi i sędziwy nasz poeta Bohdan Zaleski. Biskup Strossmayer na uroczystém posłuchaniu wszystkich pielgrzymów u papieża złożył adres w języku łacińskim, na który odpowiedział Ojciec Ś., również po łacinie w mowie wyłącznie religijnéj treści. Uroczystości kościelne zakończyła tak zwana Akademia w Watykanie u Ojca Ś., to jest posiedzenie publiczne, sprawom nauki i literatury poświęcone, na którém obok włoskich i łacińskich deklamacyi, odnoszących się do działalności apostołów słowiańskich, uczeni słowiańscy w obecności Ojca Ś. deklamowali w rodzinnej mowie większe i mniejsze poemata na tę uroczystość napisane. Prof. hr. St. Tarnowski wypowiedział wiersz polski, napisany przez J. Szujskiego; prof. Jan Gwałewicz wiersz rusiński, książdź Sotta czytał poezją słowiańską, prafat Sztulc piękną mowę czeską, kanonik Michał Paolinowicz wiersz kroacki i i. Te utwory poetyczne, przeplatane muzyką i wierszami łacińskimi i włoskimi na cześć Cyryla i Metodego, zabrały przeszło czterdzieć godzin czasu. Ojciec Ś. pozostał do samego końca, a mury Watykanu może pierwszy raz słyszały w tak uroczystej formie dźwięki mowy polskiéj i innych słowiańskich. Wiersz prof. Szujskiego na cześć śś. Cyryla i Metodego, deklamowany przez hr. Tarnowskiego, podajemy czytelnikom Biblioteki z gazety „Wiek” (Nr. 154, z d. 14 lipca, 1881 r.).

Tysiąc lat temu, Apostolski Panie,
 Zkąd mnogi dzisiaj pielgrzymi wędrowiec,
 Ku świętej Romie, gdzie brata grobowiec
 Szedł Metod święty. Kapłana ubranie,
 Pośpiech i boleść serce mu rozwiała,
 Lecz wiarą krzepił słabnącą moc ciała:
 Szedł, by odeprzeć, czem niesłusznie mierzył
 Wróg w siwy jego włos: on prawdę szerzył,
 On sojusz z Rzymem dźwierzył niezachwiany
 Nad dziećmi duszy swojej:—nad Słowiany.

Szedł, a poza nim światłem lśniły drogi,
 Którymi chodził za celem żywota:
 Sielun mu świadczył i kopuła złota
 Hagii Zofii. I zkąd greckie bogi
 Mnichów Olimpu wygnała modlitwa
 I za dusz ludzkich zbawieniem gonitwa,
 Świadczyła w modre Chazarów wybrzeża
 I męczeńskiego relikwia Papieża
 Zbożnemi braci dłońmi wydobyta.
 Świadczy, pociesza szmer, co Słowian łanem
 Płynie z poszumem pszenicy i żyta,
 Dunajskiej fali przezroczyim limanem
 I kędy Wiła siny Bałtyk wita,
 Gdzie synów Piasta biorą prawdy dreszcze,
 Gdzie jutro staną pauny chrześcijańskie,
 Pojutrze staną wyznawcy i wieszczce.

Przyszedł i znalazł, co przez długie wieki
 Znalazł tu każdy wędrowiec daleki,
 Człowiek czy naród: Miłosierdzie Pańskie,
 Prawdy i sądu wiekuiste słowo.
 Arcypasterzem powrócił nanowo:
 Zmarłego brata miłością objęty
 Wrócił radosny, silny, korny, święty;
 Twarz jego, dziwną pewnością natchniona,
 Bo czuł, że z Bogiem unia przywrócona,
 Czuł, że Sielunskich Apostołów para
 Na klamry związku da swe święte kości,
 Że Cyryl złożon gdzie Prawda i Wiara,
 Że Metod legnie gdzie lud ich miłości.

Tysiąc lat odtąd, Apostolski Panie,
 Drogą znaczoną dwu świętych stopami,
 Światła Bożego płynie zmiłowanie;
 Sól Bożej płynie Słowianom mądrości,
 Na chlebie Pańskim z powłoki dziecięcej,
 Za wielkiem słowem z Męczenników wzgórza,
 Już nie szczepami ale narodami,
 Rycerstwem Bożem w dziejach się wynurza
 Słowiańska rzesza; tysiące tysięcy:
 I w krzyżach życia krzyżem przyodziana,
 Na kresach stoi w służbie swego pana;
 W dopustów Bożych bezbożnej tkaninie
 Radość i boleść drogą swoją płyną
 Ku sercu matki—od matki ku synom.
 W jednego serca nie zmieścić głębinie,
 W szerokiej harfy nie zmieścić bezdeni,
 Wszystkich tych płaczów, wszystkich tych promieni!
 Gromu, co podał świat wiernych w rozterkę,
 Gromu, co Hagie rzucił w poniewierkę.

Gromu, co wisiał w chmur topieli czarnej
 Katki nie zalan krwią, Kossowa, Warny,
 Aż dan był ten, któremu Jan na imię—
 Więc jak anielska niech płynie kapela
 Do duszy Twojej, Apostolski Panie:
 Czém tchnęli w dziejach, czém tchną dziś Słowianie,
 Co rozszczepieni stuleci robotą
 Co wiek ich wiąże klamrą szczerozłotą,
 Co pod pasterskie ściele ich sandały
 Snopek narodów, boleścią dojrzały.
 Zbożnego ludu pacierz niechaj łanem
 Słowiańskiej płynie pszenicy i żyta:
 Dunaju fali szeleszcząc limanem,
 I kędy Wisła siny Bałtyk wita.
 I od Węłtawy, od Łaby przezroczy,
 Gdzie smętny Niemen, gdzie Dniepr fale toczy;
 I jak daleko tęskni dusza jaka
 Tam—bez ołtarzy strzeliste przebojem,
 Szląc modlitwy w Zachodu wpatrzone
 Blaski, gdzie Ojciec podnosi ramiona!
 Wszędzie tam korni niech padną na twarze,
 Wodze narodów, uczuć ich harfiarzo,
 W ślad tych, co światu stawali na stróży,
 W ordynku wojny, w rycerstwa obróży.
 Krzyż chroniąc Pański hełmów pióropuszem,
 Nie zdradą zbrojni, ale animuszem;
 W jedną miłością natchnione narody,
 Ranę rozterki, co krwią serca płynie,
 Wielkim dniem Brzeskiej łagodzili zgody!
 W ślad tych przy Tobie ciałem, mieczem, duchem,
 Krzyżem, anielskim walczącego ruchem
 Kościoła, wierny Twym słowiański Panie,
 Rwać się ku niebu, rwać na Zmartwychwstanie;
 Wierzyć i kochać, czynić i przebaczać,
 Światłości pełnią w cieniu błędu wkraczać,
 Jak czynił Cyryl, jak czynił Metody:
 Struna na lutni słowiańskiej napięta,
 Gdzie ul Piastowy i gdzie Roma święta.
 W przeczucia burzach drży świat Chrześcijański,
 Z Chrystusem w walce żyją ludy świata:
 O, Ty błogosław, coś Namiestnik Pański,
 Wieńcu narodów, coś stopy oplata.
 Z Tobą i prawdą często pogrzebiony
 Z Tobą i w prawdzie chce palmy zwyciężkie!
 O! Ty mu wyproś duch wytrwania mężki,
 Ty mu Anioła dobrej wyproś rady,
 Ty ducha zgody i z błędów powstania!
 Ty bez Bożego nie puść zmiłowania
 Twoich, co pójdą Metodego drogą
 Z Bogiem—w twarz stanąć bałwochwalczym Bogom!
 W Krakowie, w dniu Bożego Ciała, 1881.

Oprócz tego wiersza Szujskiego, przygotowane były jeszcze dwa
 inne: jeden St. Koźmiana z Poznania, drugi „Bezimiennego” z Warsza-
 wy, których dla krótkości czasu niepodobna już było wygłaszać, ale

dla trwalszej rzeczy pamięci i dla ich poetycznego nastroju, chętnie je tutaj zamieszczamy.

Koźmian napisał rzecz swoją pięknymi aleksandrynami.

„Ciche, zgodne, cnotliwe, pracowite plemię
Osiadło piękną, żyzną a rozległą ziemię;
Stały mu się doliny zielenią pokory,
A o świecie nadziemskim szumią mu bory;
Brakło mu tylko wiary. I tę mu przyniosły
Ze źródła wszechświatłości dwa anielskie posty,
Co Krzyż przodem, a górą wznosząc Imię Boże,
Plemię to mu usłali na wdzięczne podnóże.
Bo jak kwiaty u stóp ich, tak w pobożnej skrusze,
Pod ich natchnionem słowem zginały się dusze.
A gdy przyjął z dziecięcą prostotą ród młody,
Wszystko co weń wpajali Cyryl i Metody,
Błysły wszędzie ołtarze, błysły świątynń szczyty,
A nad niemi spokojem jaśniały błękity,
I tęczowemi barwy kraina oblana,
Była rajem dla ludzi a hymnem dla Pana.
Ale z czasem podboje i straszliwe wojny
Zwaliły brzemię nieszczęść na naród spokojny.
A krwawsze, bo chytrzejsze sąsiady zachodnie
Pozorami oświaty pokrywając zbrodnie,
Szarpały, rozbijały słowiańskie dziedziny.
Bój trwał wielki i spadał wciąż z ojców na syny;
Każdy z nich dzielny rycerz i rolnik zarazem,
Bronił ziemi tém samem co orał żelazem,
A równie w szczęściu korny jak w nieszczęściu mężki,
Ile mógł ciężką pracą naprawiał swe klęski.
Siła w końcu przemogła. Zbyt mnodzy wrogowie,
Możne włości i tany zmieniawszy w pustkowie,
Rozbili ród na cząstki, a w każdym odtamie
Zacierając co rychłej pierworodne znamię
Niszczyli prawa, język i obyczaj stary
Przetwarzali w odstępstwo, truli świętość wiary;
Brat bratu stał się obcym, musiał nawet boje
Z nim staczać za kraj nie swój i wiarę nie swoją.
Długo najstarszy bronił ród swój od zagłady
Lecz gdy i tego zdraudne zwaliły sąsiady,
Ciemność wkoło zaległa... Aliści raz drugi
Padł z źródła światła promień na słowiańskie smugi;
A gdy dał Ojciec wiernych wspólnej wiary hasło,
Wraz wskrzesił w naciśnionych nadzieję przygasłą.
Ze wszech krańców słowiańskich dziś pątników rzesza
! o trouu nieomylniej nauki pospiesza;
Zda się, że znów Metody i Cyryl oddaje
Połączone duchowym węzłem Słowian kraje,
Temu, w którym najtrwalsza odtąd ich obrona,
Z nim już dla nich rozkwita różeczka Aarona:
Z nim szczęśliwszej przyszłości promienna otucha:
Z nim męstwo i wytrwałość, z nim potęga ducha.
Oto, Wielki Leonie, przed twym tronem stoją
Posłuszne dzieci, weź je w świętą pieczę swoją.
Błogosław, przywódz, Ojcze, sierocęj rodzinie;
Bo czyż nie jest ten ojcem prawdziwym jedynie
Co daje bratu poznać i pokochać brata....”

Wiersz „Bezimiennego“ z Warszawy jest krótki, ale tchnący myślą poważną, szlachetną:

„Na zegarze dziejów w Rzymie
Nowej ery bije chwila.
W odwieczne ślady pielgrzymie
Metodego i Cyryla
Przychodzą ludy słowiańskie,
By w dzień swego Apostoła

Ślub braterstwa w Imię Pańskie
Zawrzeć w obliczu Kościoła.
Błogosław im, Ojczy Świąty,
Z wyżyn Piotrowego tronu,
Aby siew, z Boga natchnięty,
Zbożnego doczekał plonu.“

— P. Albin Dziekoński, obywatel ziemski z powiatu Kobryńskiego w gub. Grodzieńskiej, ogłasza w „Wędrowcu“ konkurs na najlepsze opracowanie podręcznego i zwięzłego dziełka, któreby zawierało: 1) Chronologiczny wykaz publicznych instytucji polskich, we wszelkich gałęziach od r. 1800 do r. 1879 (w téj liczbie i dobroczynnych), istniejących w państwie rossyjskiem, austriackiem i pruskiem. 2) Chronologiczny wykaz dziejów narodu polskiego od r. 1800—1879, panowania Aleksandra I, Mikołaja, Aleksandra II. Dzieje Poznania i Galicyi. 3) Wstawieni Polacy w chronologicznym porządku od r. 1800—1879 w administracyi, usługami publicznymi w Królestwie, Cesarstwie, Galicyi, Poznaniu: prawnicy, historycy, kronikarze, publicyści, dziennikarze, finansisci, autorowie, literaci, poeci, malarze, snycerze, rzeźbiarze, architekci, mówcy, matematycy, fizycy, mechanicy, muzycy, inżynierowie, medycy, profesorowie, politycy, kaznodzieje, heraldycy, agronomowie, geografowie, podróżnicy, filologowie, teologowie, filozofowie, dobroczyńcy, kapłani, rysownicy, administratorowie, w ogóle wstawieni naukami, sztukami pięknymi, administracją, usługami publicznymi, profesjami i naukami wojennymi lub orężem od r. 1800 do 1879. 4) Wykopaliska i ważniejsze odkrycia lub czynności, mające wszechświatowe znaczenie, dokonane przez Polaków od początku istnienia tego narodu do r. 1879. Tytułem nagrody inicjator konkursu przeznacza rs. 250. Prace powinny być nadsyłane do redakcyi „Wędrowca“, w terminie do dnia 1 stycznia 1882 r. Pierwsze wydanie rękopisu staje się bezwzględnie własnością p. Dziekońskiego, który dochód z niego na użytek publiczny przeznacza.

— Wydział krajowy Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Księstwem Krakowskiem, ogłasza konkurs na dzieło lub podręcznik o wyrobie nafty i zużytkowaniu wszelkich przy tym wyrobie otrzymywanych pobocznych produktów. Za dzieło, najlepiej opracowane, obejmujące najmniej 10 ark. druku dużej ośmi, przeznaczona jest nagroda zhr. 800; za drugie z porządku dzieło zhr. 400. Za pracę, któraby się odznaczyła przynajmniej starannem zebraniem dat i opracowaniem gotowych materyałów zhr. 200. O wyszczególnione nagrody ubiegać się może każdy, kto przed d. 1 stycznia 1883 r. złoży swą pracę w wydziale krajowym wraz z kopertą opieczętowaną i opatrzoną w to samo, co i praca, godło, a zawierającą nazwisko. Dzieło to konkursowe powinno obejmować: 1) Krótki opis natury, znajdowania się i pochodzenia oleju ziemnego. 2) Wyczerpujący opis własności oleju ziemnego, wszelkich znanych jego przetworów oraz ich wyrobu w ogólności. Wszystko to

powinno być jaknajtreściwiej, lecz przystępnie opisane, gdyż książka przeznaczoną jest nie tylko dla fachowych technologów. Skutkiem tego też, przy opisywaniu pojedynczych odczynów chemicznych, każdy z nich winien być gruntownie i zwięźle wyjaśniony, bez odwoływania się do dzieł specjalnych. 3) Krótki opis historyczny wynajdywania i wydoskonalenia sposobu otrzymania i przerobu nafty i wszelkich jej pobocznych produktów, już to u nas, już gdzieindziej używanych, już też i takich sposobów, które obecnie znajdują się dopiero w stadium prób. Opis ten ma mieć na celu obznajmienie przedsiębiorstw lub właścicieli fabryk z metodami dawnymi, o których niedostateczności praktyka już stanowczo orzekła, a które bywają tu i owdzie wprowadzane jako nowości i narażają tychże na niewątpliwie straty. Po tych właściwie wstępnych wiadomościach, należy podać: *B.* 1) Szczegółowy opis metod u nas obecnie używanych do przerobu oleju ziemnego, poczynając od najprostszych t. zw. połowych, aż do najwięcej udoskonalonych. 2) Taki sam szczegółowy opis metod obecnie używanych zagranicą, a mianowicie: w Ameryce i w Niemczech. 3) Podać krytyczną ocenę powyżej wymienionych metod i to z uwzględnieniem tego, jakie surowe materiały (stosownie do wartości i własności), w jakich przyrządach najodpowiedniej dają się przerabiać, aby ich przeróbka najkorzystniej pod względem handlowym i ekonomicznym wypadła. 4) Nakoniec podać i uzasadnić własne wnioski, a ewentualnie wyniki ze swych badań w kierunku powyższym wykonanych, zwłaszcza pod względem techniczno-chemicznym, a któreby z korzyścią dla przemysłu krajowego zastosowane być mogły. Obok opisu metod i przyrządów, jakie są lub mogą być używanymi do przerobu olejów ziemnych, należy przedstawić: *C.* 1) Kilka wzorów z już istniejących fabryk naftowych wraz z ich krytyczną oceną. 2) Samodzielnie i szczegółowo opracowany przynajmniej jeden plan fabryki naftowej, względnie do naszych warunków miejscowych, aby takowy lub takowe mogły posłużyć jako wzór do zakładania tego rodzaju fabryk u nas. Nakoniec, ze względu na to, iż tak nafta jak olej ziemny i wszelkie jego przetwory znajdują coraz to rozmaitsze zastosowanie; jak z drugiej strony, ze względu na ich opodatkowanie i oprocentowanie, należy: *D.* 1) Podać w krótkości, lecz zwięźle a dokładnie, sposoby oznaczenia składu, własności i wartości chemicznej, fotometrycznej, kalorymetrycznej tak surowych olejów ziemnych, jako też i ich produktów, t. j. przetworów. 2) Podać treściwy krytyczny obraz opodatkowania surowego oleju ziemnego i wszelkich jego przetworów, nie tylko w Austrii, lecz i w innych krajach praktykowanego, tak, aby mógł służyć za podstawę do kombinacji ekonomicznych i handlowych, a względnie do zmiany kierunku fabrykacji i jej odpowiedniego udoskonalenia.

— W ostatnich dniach m. lipca, komitet ministrów w Petersburgu zatwierdził ostatecznie budowę drogi żelaznej Iwanogrodzko-Dąbrowskiej, na rzecz Spółki przedsiębiorczej, złożonej z pp. Zyg. margr. Wielopolskiego, ord. T. hr. Zamoyskiego, A. hr. Ostrowskiego, St. Karaskiego, Wilhelma Raua, spadkob. Karola Scheiblera, J. G. Blocha,

Aleks. Goldstanda i Wład. Laskiego. Budowa nowej drogi żelaznej, najdłuższej, jaką mamy w Królestwie Polskiem, jest faktem nadzwyczaj ważnym pod względem ekonomicznym; a oddanie téj sprawy w ręce obywatelskie, złączone z kapitalistami krajowymi, nie jest bez wielkiego znaczenia i pod względem moralnym. Znane i szanowane w kraju naszym nazwiska, z których, jak słusznie zauważyło „Echo“, „jedne reprezentują zasługę historyczną, inne uzdolnienia fachowe, inne wreszcie dobrze zasłużoną opinią na polu przemysłowym i handlowym, dają nam pewną gwarancją, że nie będzie to zamaskowanie spekulacji kolejowej kilku herbowymi tarczami, ale rzeczywisty udział w zaszczytnej pracy około podniesienia dobrobytu kraju. W naszych stosunkach jestto zaszczytna droga dla szlachetnej ambicji służenia społeczeństwu. Mająca się budować droga, będzie nadzwyczaj ważną arterią komunikacyjną, łączącą przestrzeń kraju bogato uposażoną, lecz niedostatecznie, z powodu utrudnionej komunikacji, eksploatowaną, z wielkim traktem handlowo-przemysłowym z Zachodu na Wschód. W skutek czego może ona znakomicie wpłynąć na rozwój przemysłu fabrycznego i górniczego, podając równocześnie i rolnictwu łatwiejsze środki zbytu. Z drugiej strony przedsiębiorstwo takie puści w ruch znaczne kapitały, potrzebować będzie znacznej ilości sił tak fizycznych jako i umysłowych, które znajdą sposobność szlachetnej emulacji w inteligentnej pracy dla dobra kraju, tudzież szerokie pole dla zapewnienia sobie swobodniejszego bytu materialnego. Nie wątpimy też, że spółka w tak szczęśliwym składzie sformowana i przez obywateli reprezentowana, nie zapomni ani na chwilę o zasadzie: dignissimo detur, która w sprawach publicznych zawsze ostatecznie decydować powinna.

— Wystawę dzieł sztuki, zastosowanej do rękodzieł, zwiedziło przez pięcioletniowy czas jej trwania około 18,000 osób, tak że dochód brutto wynosi około 4,000 rs., które, połączone z darami, jakie niektórzy z pp. wystawców poczynili na rzecz zakładającego się Muzeum dzieł sztuki, stosowanej do rzemioł, stanowią już ładny początek potrzebnych na ten cel funduszy. Przygotowaną o zamkniętej wystawie dzieł sztuki rozprawę p. K. Matuszewskiego p. t.: „Estetyczne znamiona czasów i ich odbicie się w wyrobach kunsztu i przemysłu, począwszy od XVI w. do chwili obecnej. Szkic o wystawie dzieł sztuki w pałacu Brühlowskim,“ musiny z powodu braku miejsca w niniejszym zeszycie odłożyć do zeszytu następującego, w którym znajdzie także miejsce odebrane w chwili zamknięcia zeszytu przez Redakcję, sprawozdanie p. R. Z. „O XV zjeździe pedagogicznym w Krakowie“ (d. 18, 19 i 20 lipca).

— Trzeci zjazd lekarzy i przyrodników polskich, odbył się w Krakowie w dniach od 21—25 lipca włącznie. Wypadł on niezwykle świetnie, tak ze względu na liczbę uczestników, dochodzącą do 600 osób, jak i z uwagi na ważność poruszanych na nim przedmiotów. Zapowiedziany program wypełnionym został doszczętnie w ogólnych za-

rysach, natomiast jak się to zwykle na zjazdach dzieje, wiele kwestyi szczegółowych i prac specjalnych po sekcjach pominiętych być musiało, z powodu braku czasu. We czwartek 21 lipca nastąpiło otwarcie zjazdu piękną powitalną przemową dr. Jordana, wyborem honorowego prezesa dr. Józefa Majera i przesów rzeczywistych: Szokalskiego z Warszawy, Radziszewskiego ze Lwowa i Rollego z Kamieńca Podolskiego. Po przemówieniu przesów zjazdu, po powitaniu gości przez prezydenta miasta p. Weigla, a wreszcie po odczytaniu licznych telegramów i listów, nadesłanych od tych z lekarzy i przyrodników, którzy udziału przyjąć nie mogli, nastąpił pięknie wypowiedziany odczyt uczonego profesora Radziszewskiego o fosforescencji, nad zbadaniem której chemik ten pracuje od lat wielu. Tegoż dnia o godzinie 3 otwartą została wystawa przyrodniczo lekarska w Sukiennicach, przedstawiająca się dość pokaźnie, a w każdym razie pouczająco. W godzinę potem rozpoczęły się prace w sekcjach zjazdu. Następnego dnia podobnież posiedzenia trwały po kilka godzin z rana, a popołudnie zajęła wycieczka do salin w Wieliczce. W sobotę o godzinie 11-jej odbyło się drugie publiczne posiedzenie w pięknie przybranей sali gimnazjum Nowodworskiego, a znaczną część tegoż posiedzenia zajęło złożenie hołdu półwiekowej pracy Józefa Majera, któremu Kraków wręczył dyplom honorowego obywatela, uniwersytet Lwowski dyplom na doktora filozofii, a towarzystwa naukowe różne albumy lub dzieła. Sędziwy jubilat wypowiedział obszerną mowę dziękczynną, a zarazem jak się wyraził, spowiedź z epizodów żywota. Na zakończenie posiedzenia, delegat Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, odczytał ceną dla ogółu pracę „O zasadach badania przyczyn chorób w ogólności.” Poruszoną przez prelegenta sprawę uhonorowano na wniosek dr. Szokalskiego poleceniem wyboru komisji, któraby owe zasady badania bliżej rozpatrzyła. Kilka popołudniowych godzin pracowano po sekcjach, gdzie wykłady, odczyty, krytyki lub uwagi przeplatały się z sobą. Wieczorem w ogrodzie Strzeleckim daną była uczta na cześć jubilata; przyjęło w niej udział przeszło 300 osób. Zwiedzanie osobliwości miasta z rana, udatna wycieczka do Tenczyńska, pod Krzeszowicami, po południu, zajęły całą niedzielę. Po odbyciu rannych posiedzeń sekcyjnych w poniedziałek, nastąpiło o godzinie 5-tėj po południu trzecie ogólne posiedzenie i zamknięcie zjazdu. Przemawiał tu dr. Domański w sprawie podniesienia wydawnictw dzieł lekarskich i przyrodniczych, odczytano nazwiska wystawców, którzy otrzymali dyplomy, medale lub pochwały, obrano według ustawy miejsce przyszłego zjazdu, którem ma być, w razie możności, Warszawa w 1883 r., lub w razie przeciwnym Poznań w 1884 r. Nakoniec profesor Rostański miał wykład o wpływie zewnętrznego świata na postać ciała, a dr. Jordan, jako przewodniczący w wydziale gospodarczym, zamknął zjazd gorącą przemową dziękczynną za udział, życzeniem powodzenia dla poruszanych na zjeździe kwestyi lub dla mających wejść w życie projektów. Wieczorem zebrano się w ogrodzie Strzeleckim, gdzie przy fantastycz-

nój illuminacyi, wśród dźwięków wyborniej orkiestry, zegnali się ci, których naukowa praca zbliżyła do siebie, a zegnali do niedalekiego widzenia. Bliższe szczegóły o pracach zjazdu, możemy podać dopiero w następnym zeszycie „Biblioteki,” w tém miejscu wymieniamy wystawców z Królestwa, którzy otrzymali nagrody. Dyplom honorowy Girdwoyn, Towarzystwo lekarskie, wydawnictwo „Pamiętnika fizyograficznego. Medale: wydawnictwo „Słownika geograficznego,” dr. Filipowicz. Listy pochwalne: Zakład kąpielowy w Busku, dr. Talko, dr. Dobrski.

B. P.

— W połowie miesiąca lipca r. b. wyszedł na widok publiczny tom I-szy „Pamiętnika Fizyograficznego,” wydany staraniem pp. E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza, magistrów nauk przyrodzonych b. Szkoły Głównej warszawskiej. Wydawnictwo naukowe u nas jest zjawiskiem nie powszedniem, tém życzliwszego zaś godne powitania, że jest niejako zapowiedzią i na przyszłość trwałej w tym kierunku pracy: zespolenia badań nad rodzinnym krajem pod względem przyrodzonych jego właściwości i uposażenia. Zamiar ten wypowiadają jasno wydawcy w przedmówieniu na czele dzieła umieszczonem. Zbytecznem tutaj zdaje się przypominać, jak mało znany jest dotąd pod temi względami kraj własny, jak nielicznych na tém polu pracowników usiłowania marniały w ukryciu lub rozproszeniu, jak wreszcie niezbędną jest potrzeba zbadania gruntu, na którym ma się budować cokolwiek na przyszłość. O ważności przeto podjętego zadania nie ma co prawie, idzie o to, co nam dali wydawcy. Rozbiór wszakże dzieła szczegółowy i ocenienie każdego artykułu w jego skład wchodzącego nie da się pośpiesznie i zlekka wykonać. Samo uważne przejrzanie materiału tak różnorodnego już o tém przekona: na początku zaraz staje potężny zastęp cyfr, z okresu przeszło stuletniego, streszczający spostrzeżenia robione nad klimatem Warszawy. Następuje cyframi również ładowny artykuł o Wiśle, będący poniekąd dalszym ciągiem i dopełnieniem monografii tej głównej arteryi ziemi naszej, wydanej przez W. Kolberga przed 20-tu laty, lecz niedokończonój. Dalej wydobyte z ukrycia, po zasłużonym Puszu pozostałe rozprawy, obejmujące ostateczne jego poglądy na geognozyą kraju i prostujące niekiedy dawniejsze określenia w jego dziele: „Geognostyczne opisanie Polski” pomieszczone—rzecz wymagająca sprawdzenia na gruncie. Inne artykuły powinni rozebrać i ocenić specjaliści, a to nie z samego tylko literackiego stanowiska. Tu więc informacyjne tylko podać możemy sprawozdanie. Książka wygląda poważnie, nawet okazale, formatu wielkiej 8-ki, o 464 stronicach druku, z kartą tytułową klasycznej prostoty, bez żadnych modnych u nas floresów i winietek. W tekście druk piękny i czytelny, rysunki dokładności wzorowej, kolorowanie czyste i gustowne; tablica np. IX, przedstawiająca ślimaki krajowe, nigdzie zagranicą nie mogłaby lepiej być wykonaną. Przedstawienia graficzne zjawisk ułatwiają znakomicie ich objęcie i uogólnienie. Są to wszystko niepoślednie zalety wydawnictwa. Okoliczności nagliły do pośpiechu z drukiem: ma-

jąca rozjeżdżać się na wakacje młodzież akademicka miała otrzymać pobudkę i wskazówki do robienia poszukiwań w różnych częściach kraju; zbliżający się termin zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie zachęcał do zdążenia z tym objawem ruchu naukowego, który odwykł już dawno wychodzić z Warszawy. Pośpiech atoli pożyteczny w wielu zadaniach ludzkich, dla dzieł nauki bywa niebezpiecznym. Wskutek pośpiechu ucierpiała korekta druku; żałować trzeba, że przynajmniej nie dopilnowano z całą ścisłością, naukowym rzeczom odpowiednią, dygnoz łacińskich i że przeoczono kilka rażących błędów w tłumaczeniu tytułów na język francuzki. Są to napozór drobiazgi podrzędne, ale drażliwe wobec nieżyczliwych. Zapewne, że obeznany z rzeczą czytelnik łatwo sobie poradzi tak z pierwszemi, jak i z drugiem i omyłkami; że cudzoziemcy gorzej jeszcze kaleczą w cytatach nasz język i nasze nazwiska, ale wymówek takich lepiej było uniknąć. Pisownia polska przyjęta w dziele, jak już z tytułu widać, jest tak zwana postępową, z samogłoskami przedjotowanemi, której to pisowni od pewnego czasu i w Warszawie, mianowicie między wychowañcami szkół nowego ustroju, liczba wzrasta. Ze wszystkich w pisowni naszej punktów spornych ten najtrudniejszym jest do rozstrzygnięcia. Zwolennicy i krzewiciele jotowania samogłosek, idących po inną samogłoskę, argumenta swoje opierają na właściwości jakoby organicznej mowy słowiańskiej, stanowczo nie znoszącej rozziwów, a choć łacina i inne nowsze języki europejskie potrzeby tej nie czują, dla Słowianina, wżorem Greków, ma być ona koniecznością. Przeciwnicy uważają teorią tę za stanowczo dla języka naszego szkodliwą, nie uznającą praw rozwoju historycznego, usiłującą gwałtem cofnąć postęp na tory od dziewiciu przeszło wieków opuszczone. Nie zaprzeczają oni wcale skłonności do jotacyzmu, ale zamiast schlebienia jej, doradzają raczej edukacyą organów mowy, jakiej inne organa ciała, tudzież spełnianie przez nie czynności są poddawane; nogi nasze stąpają dziś inaczej, niż człowieka pierwotnego, niż nawet człowieka warstw społecznych w upośledzeniu pozostałych, ruchy rąk, i wiele innych jeszcze, uległy zmianie pod wpływem wymagań towarzyskich: wpływom takim niezaprzeczenie ulegają i organa mowy. Dziecię Chińczyka, wychowane w Europie, umie wymawiać *r* gardłowe, gdy wzrosło w Paryżu; czysto podniebienne, wychowane gdzieindziej. Dosyć zresztą przysłuchać się mowie ludzi ukształconych, a tylko w skutek teorii (częścić w skutek bezwiednego nałogu, bo tak nauczono), używających pisowni praetotacyjnej, czy oni wymawiają tak jak piszą, bynajmniej. Nakoniec teoretycznie nawet są oni z sobą w rozterce: wyrazy, wymagające niby takiego jotowania, są wszystkie pochodzenia obcego, choć mowie naszej przyswojone, zachowały jednak pewne znamiona, świadczące o ich budowie odmienniej od pozornie podobnych swojskich, znamieniem tém jest właśnie charakter ściągnięcia (*contractio*), w odmianach zachowują się one jak nasze wyrazy ściągnięte, t. j. przymiotniki (na co oni uwagi zwykle nie zwracają) np. z jednej strony: *czcij matkę swoją*; ma

jedną szyję a dwie głowy; zabić żmiję (lub gminu bestyję); z drugiej: znać nową chemią; zwiedzić bogatą Anglią; ubić srogą bestyją. Ponieważ nie miała to być polemika, lecz sprawozdanie, gdy człowiek prywatny nie może narzucać innym swego poglądu i swoich wyrobionych przekonań, gdy z drugiej strony żaden sąd dotychczas nie może rościć sobie prawa do uznania kompetencji wyrokowania w tej sprawie, na wyrok może długo jeszcze trzeba będzie czekać, tymczasem złota swoboda. Nikt zatem dzisiaj wzbronić nie może pisania Fizyjoğrafija, można nawet podziwiać umiarkowanie w sprawie stosowania tych ulepszeń, nie daje się dotąd spotykać np. giejologija, chociaż u Greków i po e bywa samogłoska jotowana (Odysseja). Niechże więc przynajmniej będzie zgoda z sobą, niech będzie albo geo, albo geologia, byle nie naprzemian, niech pozostanie w tekście polskim hidrografija, ale po co częstować tą naszą swobodą tych, którzy jej cenić nie umieją. Piszac po francuzku Hydrographie, znajdziemy niewątpliwie mniej, niż u swoich wyrozumiałości¹⁾. Tyle o zewnętrznej stronie wydawnictwa, co się tyczy treści, podać można tylko ogólny wykaz. Tytuły artykułów wskażą przynajmniej naturę traktowanych przedmiotów, nazwy autorów, poczet osób, które przyjęły udział w tej zbiorowej pracy. Pamiętnik składa się z 5-ciu działów: 1) Meteorologia i Hydrografia. 2) Geologia z Chemią. 3) Botanika i Zoologia. 4) Antropologia. 5) Dodatek z artykułów spóźnionych. Dział pierwszy obejmuje artykułów 7. Kowalczyk J.: „O spostrzeżeniach meteorologicznych w Warszawie.“ Dr. Jędrzejewicz: „Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku.“ Słowikowski J.: „Stan wody na Wiśle pod Warszawą od roku 1869—1880 z oznaczeniem stawania i puszczania lodów; Osuszenie błot poleskich.“ Dziewulski E.: „Ołowianka i jej użycie przy mierzeniu głębokości wód; Pięć stawów w dolinie Roztoki w Tatrach polskich; Jezioro Rypińskie; Jezioro Firlejowskie.“ W dziale 2-gim artykułów 8. Choroszewski W.: „Poszukiwania geologiczne, dokonane w ostatnich latach na Polesiu.“ Pusch J. B.: (tłóm. dr. Rejchman) „Nowe przyczynki do geognozyi Polski.“ Kontkiewicz St.: „Sprawozdanie z badań geologicznych, dokonanych w południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego w 1880 r.“ Trejdosiewicz J.: „O występowaniu pięttra Sarmackiego i górnego Śródziemnego formacyi miocenicznej w gub. Lubelskiej.“ Kontkiewicz St.: „Kilka słów o karcie geologicznej Wołynia“ Gotfryda Ossowskiego; Zbiory geologiczne, pozostałe po Ludwiku Zejsznerze. Pawlewski Br.: „O wodach mineralnych buskich.“ Znatowicz Br.: Rozbiory chemiczne 4-ch skał tatrzańskich. W dziale 3-cim artykułów 9. Łapczyński K: O łukowskiem płasko-

¹⁾ Potrąconej tu pobieżnie kwestyi ortograficznej, nie można przy tej krótkiej relacyi szczegółowiej rozbiierać, zwłaszcza, że i wskazówki sz. referenta mają na względzie przeważnie stronę historyczną i praktyczną, nie wchodząc w głębokie wywody lingwistów, ani w teoretyczne prawidła gramatyki porównawczej.

wzgórzu i nieco o jego roślinności jawnokwiatowej. Wiadomość o trzech roślinach z rodziny złożonych, znalezionych w Lubelskiem. Karo F.: Flora okolic Częstochowy (spis). Filipowicz K.: Spis mchów, wątrobowców i porostów z niektórych stanowisk w Królestwie Polskiem. Wałęcki A.: Fauna zwierząt ssących Warszawy i jej stosunek do fauny całego kraju. Ślósarski A.: Materyały do fauny malakologicznej Królestwa Polskiego. Wrześniowski Au. Goplana polonica, nowy rodzaj i gatunek skorupiaka obunogiego z okolic Warszawy. Nusbaum J.: Uzbrojenie gęby i mechanizm wysysania pokarmów mrówkolwa. Sznabl J.: Spis owadów dwuskrzydłych zebranych w Królestwie Polskiem i gub. Miński. W dziale 4-tym artykułów 5. Tymieniecki S.: Żalnik w Kwiatkowie. Glogier Z.: Wykopalka maryenhauzkie. Dudrewicz L.: O czaszkach ludzkich z cmentarzyska w Maryenhauzie; Czaszka z torfiska wsi Salwaaki. Karłowicz J.: O imieniu Polaków i Polski. W dodatku artykułów 5. Kowalczyk J.: Krótka wiadomość o robieniu spostrzeżeń meteorologicznych; O spostrzeżeniach meteorologicznych, dokonywanych bez pomocy przyrządów. Choroszewski W. Wyniki z doświadczeń meteorologicznych, dokonanych w ciągu ostatnich lat pięciu w Pińsku. Żuniewski T.: Brzegi i dolina rzeki Liwca. Ślósarski A.: Skamieniałości nadane do wydawnictwa Pamiętnika Fizyograficznego. Ogółem artykułów obszerniejszych i krótszych 35. Osób uczestniczących 23. A. W.

— Zawiązane w Warszawie Towarzystwo pomocy dla sług, ogłosiło projekt do swjej ustawy, zapowiadającej bardzo pożądaną instytucją. Dla ważności sprawy, która wymaga głębszego rozbioru, zwracamy tymczasem uwagę czytelników na ustęp projektu, zawierający treść zadania Towarzystwa. I tak: § 1. Zadaniem Towarzystwa jest: przychodzenie sługom z pomocą materyalną i moralną, tudzież rozwijanie w nich poczucia obowiązku i samopomocy. Na początku ma Towarzystwo na względzie służbę żeńską; dopiero w miarę rozwoju rozszerzy swoją działalność i na służących mężczyznu. § 2. Towarzystwo rozciągać będzie opiekę nad tymi sługami, którzy się zadeklarują, iż chcą być pod opieką Towarzystwa i stosować się będą do jego ustawy. § 3. Dla osiągnięcia swych celów Towarzystwo w miarę środków: a) urządza kantory stręczących sług; b) stara się o przysposobienie wykwalifikowanych piastunek, kucharek, praczek, oraz innego rodzaju sług, przez umieszczanie na naukę sług, lub kandydatek na sługi, u osób prywatnych, lub w odpowiednich zakładach; c) urządza gospody dla sług, w którychby mogły być urządzone wesela sług i inne zebrania w celu zabawy; d) urządza dla sług pogadanki o ich zajęciach i obowiązkach; e) zapewnia bezpłatną poradę lekarzy dla chorych sług; f) urządza zmarłym biednym sługom pogrzeby; g) stara się zapewnić przytułek sługom, które, czy to z powodu starości, czy też z powodu niemocy, lub kalectwa, pracować nie mogą; h) rozdaje nagrody za wzorową służbę, przyczem długoletnia służba w jednej rodzinie szczególnie uwzględnio-

ną będzie; *z*) urządza kasę przezorności i pomocy dla sług; *k*) w ogóle przedsiębiorze środki, zmierzające do osiągnięcia zadań Towarzystwa.

— P. Jul. Sypniewski zapowiada wydanie dzieła p. t.: „Owczarstwo,” którego osnowę przedstawiają następujące rozdziały. I. Pocho-dzenie, rasy i odmiany owcy. II. Historia i rozwój owczarstwa. III. Rozwinięcie ogólnych zasad hodowli na naukowych podstawach w ści-słym zastosowaniu do praktyki. IV. Hodowla owiec: 1. Parzenie: *a*) gromadne, *b*) klasowe, *c*) z ręki. 2. Rozpłód: *a*) wybór baranów i matek rozplodowych, *b*) obchodzenie się z baranami i matkami roz-plodowymi, *c*) kotelnia. V. Żywnienie: 1. Ogólne podstawy żywie-nia: *a*) strawność i pożywność, *b*) składowe części środków karmo-nych, *c*) środki karmowe. 2. Utrzymanie jagniąt i roczniaków: *a*) w porze letniej, *b*) w porze zimowej. 3. Utrzymywanie starszych owiec: *a*) na pastwisku, *b*) w owczarni, *c*) na opas. VI. Wełna: 1) Anato-mia i budowa włosa. 2) Własności włosa. 3) Stożkowanie. 4) Uży-tkowanie wełny: *a*) sukienniczej, *b*) czesankowej, *c*) pół-czesanko-wej, *d*) innych gatunków. 5. Strzyż owiec. 6. Mycie wełny. 7. Pa-kowanie wełny. 8. Sprzedaż wełny. VII. Owczarnia i owcza-rze. VIII. Choroby owiec i sposoby leczenia. Całe dzieło wyjdzie w sześciu dwumiesięcznych poszytach, z dzeworytami w tekście. Ce-na poszytu 1 rs. i na przesyłkę pocztową 10 kop. Przy zamówieniu dzieła opłaca się pierwszy i ostatni poszyt z góry, czyli razem rs. 2 kop. 20. Dla prenumeratorów „Gazety Rolniczej” i „Tygodnika Rol-niczego” cena całego dzieła zniżona na rs. 5.

— Głośna w wieku XVI możnowładcza ambitna rodzina Łaskich nie przestaje zwracać na siebie uwagi tak krajowców, jako i zagranicz-nych uczonych. Znany w literaturze i z działalności na arenie sądo-wniczej adwokat Aleks. Kraushar, autor „Historii żydów w Polsce” (1862), napisał monografią w 2-óch tomach p. t.: „Olbracht Łaski, wo-jewoda sieradzki.” Wizerunek historyczny na tle dziejów Polski XVI wieku. Warszawa i Kraków, 1882, str. 272—300. Hermann Dalton, radzca konsyst. w Petersburgu, wydał w Lipsku dzieło w języku nie-mieckim p. t.: „Johannes a Lasco. Ein Beitrag zur Reformationsge-schichte Polens, Deutschlands und Englands.” Już sam tytuł pracy p. Kraushara wskazuje, że autor nie ograniczał się na przedstawieniu sa-mego obrazu swojego awanturniczego, burzliwego i ambitnego bohatera: ale, rozporządzając nieznanym dotychczas archiwalnym materyałem, ro-zebrał czyny jego w związku z ważniejszymi wypadkami kraju, na któ-re Olbracht wywierał wpływ niemały. Z tego wynikało, że dzieło trzy-mane w formie opowieści, przekroczyło granice biografii, za co jednak czytelnik, szukający informacji o wielu szczegółach przeszłości naszej, autorowi wdzięcznym będzie. Krytyka uznać musi stanowisko autora przedmiotowe bez żadnej naprzód powziętej tendencji, chociaż w nie-których szczegółach (np. idea kościoła narodowego) z poglądami auto-ra różnić się może. Pan Dalton widzi bohatera swego Jana, stryja Ol-

brachta, w zwierciadle protestanckiem i z tego stanowiska działalność jego ocenia.

— Na polu literatury ekonomicznej pojawiło się w języku niemieckim dzieło p. Franciszka Stöpel p. t.: „Die freie Gesellschaft. Versuch einer Loesung des Streites zwischen Individualismus und Socialismus.“ Chemnitz, 1881, str. 300 (Organizacya społeczeństwa na podstawie wolności. Sposób rozwiązania sporu między indywidualizmem a socyalizmem). Autor wychodzi z zasady, że równouprawnienie razem z zupełną swobodą pracy w życiu praktycznem stanowi fundament prawdziwego liberalizmu. Idea równo-uprawnienia, tudzież idea wolności w dziedzinie pracy są też głównymi postulatami wszelkiej sprawiedliwości tak w sferze dążeń politycznych, jako i w zakresie interesów społecznych: takie tylko społeczeństwo opiera się na niewzruszonych fundamentach, w którym idee te znalazły wszechstronne swoje urzeczywistnienie. Równość w obec prawa i swoboda pracy, są dzisiaj zagwarantowane we wszystkich państwach cywilizowanych. Mimo to spostrzegamy, że właśnie w najoświecenijszych krajach opłacała społeczeństwo pewna trwoga, wskazująca na ten fakt, jakoby do konstrukcyi samej budowy politycznej i społecznej wkradły się niebezpieczne wady i błędy, które zagrażają pokojowi powszechnemu. Oczywiście ztąd dla nas wniosek, że mniemane równouprawnienie i pozorna swoboda ruchu we wszystkich interesach nie zabezpiecza sprawiedliwie i dostatecznie korzyści zarobku; ale pozwala na to, że z jednej strony gromadzą się przeważnie w jedną tylko masę kapitały, a z drugiej nie chroni ludzi pracowitych, przy najlepszych ich chęciach i staraniach od śmierci głodowej. Co więc: nie sam tylko apetyt żołądka podnieca niepokój, przeciskający się tajemniczymi kryjówkami na wszystkie strony wśród pracującej rzeszy; ale głębsze i silniejsze uczucie doznanej krzywdy wśród tej rzeszy kipi i przy lada sposobności z jaknajwiększą gwałtownością wybuchnąć może. Napróżno usiłują zaprzeczyć oczywistym faktom, na które się klasy pracujące już to potajemnie, już to jawnie i głośno skarżą. W obec tego nie można też twierdzić, żeby podział dóbr ziemskich, jaki faktycznie się dokonywa, miał być sprawiedliwym i jakoby nie mógł uleść żadnej zmianie. Instynkt społeczny mas, tudzież uczucie, pojaśnione cokolwiek przez gruntowne studia bystrych socyologów, buntuje się gwałtownie przeciwko istnjącemu porządkowi rzeczy i oburza się na tych, co tego porządku, co tego stanu rzeczy bronić nie przestają, co go usprawiedliwiają. Domaganie się reform społecznych, staje się z każdym dniem głośniejszym i natarczywszym. Nietylko sami socjaliści, ale i inne stronnictwa albo raczej pierwiastki stronnice, mieszą się do tych głosów. Odpychając względem tych głosów, zachowuje się istotnie tylko jedno stronnictwo liberalne; gdy tymczasem stronnictwo konserwatywne, albo jeśli wolisz, reakcyjne, znajduje punkt zetknięcia z socyalistami we wspólnym wstępie do zasady wolności, której nieograniczone panowanie może, według ich zdania, spowodzić tylko roz-

kład i dysharmonią w organizmie społecznym. Różnica między reakcyonistami a socyalistami polega tylko na tém, że reakcyoniści walczą nietylko przeciw wolności, ale do pewnego stopnia i przeciwko równouprawnieniu, gdy tymczasem socjaliści pragną nietylko równouprawnienia, ale dążą do równości zarobku i do zrównania własności, choćby za pomocą środków gwałtownych, choćby przez podeptanie wolności. My zaś stoimy na gruncie i po stronie tych, którzy uważają wolność za równie niezbędny i konieczny warunek zdrowego życia społeczeństwa, jak równouprawnienie. Przy tém wszystkiém uznajemy wiele skarg i wiele grawaminów socyalistów za słuszne i usprawiedliwione. Lecz nie szukamy lekarstwa na te boleści ani w spełnieniu ani w ograniczeniu wolności indywidualnej; lecz widzimy je w zupełném, całkowitem wykonaniu idei równouprawnienia, w zupełném wprowadzeniu w życie zasady równouprawnienia (Rechtsgleichheit), widzimy głębszy i silniejszy fundament szczególności ogólnej. Panujące niby na oko we wszystkich państwach europejskich równouprawnienie (Rechtsgleichheit) jest w istocie swojej, jest w gruncie rzeczy niezupełne i potrzebuje udoskonalenia, uzupełnienia. Wiele instytucji państwowych, liczne prawodawstwa, stanowią prócz tego monopole, które w rzeczywistości niweczą zupełnie swobodę konkurencyi. To są twierdzenia, które dzieło niniejsze pragnie udowodnić. Jeśli autor potrafi pogląd powyższy usprawiedliwić bez obrażenia zasady własności, sprawiedliwości i wolności, to zdobędzie grunt, na którym można będzie przedsiębrać reformy socyalne na szeroką skalę w zupełnej zgodzie z prawami i interesami wolności indywidualnej. Kwestye przez autora wskazane, są wielkiej doniosłości i zasługują na uwagę i na gruntowny rozbiór ze strony każdego, kogo organiczny rozwój społeczeństw europejskich obchodzi.

— Ant. Rembieliński napisał rozprawę i wydał ją p. t.: „Salomon Majmon, przyczynek do dziejów filozofii w Polsce.“ Warszawa, 1881 r., str. 56. Nie chcielibyśmy zrazić młodego pracownika na zaniedbywaną u nas niwie gruntownych badań filozoficznych; ale sądzimy, że nie robią mu żadnej przysługi ci, którzy pracę jego, zdaje się primicyalną, za wielkie głoszą dzieło. I my oddajemy wszelką sprawiedliwość szlachetnym intencyom p. Rembielińskiego, ale na wiele jego poglądów, albo raczej na sposób ich usprawiedliwienia zgodzić się nie możemy. Salomonowi Majmon'owi należy się wcale poczesne miejsce w rozwoju filozofii nowszej, mianowicie w Niemczech; ale przez co-by filozof, który ani słówka po polsku nie napisał, „wywarł wielki wpływ na cały późniejszy rozwój filozofii w Polsce,” tego pojąć nie możemy. Trentowski, Cieszkowski, Mickiewicz, nie wywierali wpływu na oświatę polską przez swoje niemieckie lub francuzkie dzieła; ale tylko przez te, któremi masa narodu karmić się mogła. Prócz tego ośmielamy się zrobić p. Rembielińskiemu uwagę, że wiele jego twierdzeń nie opiera się na faktycznej podstawie, ale jest naciągniętą aplikacją zjawisk ogólnych do naszych wyłącznie stosunków. Pogląd autora na przyczyny upadku filozofii i nauk w ogóle w dawną Polskę jest także

nie jasny. P. Rembieliński powtarza znaną na ten temat piosenkę; ale w grunt rzeczy nie wejrzał, stopniowi równoczesnej oświaty w Europie się nie przypatrzył. Powtarzając głoszoną powszechnie opinią, łaje nas za to, czego sprawcami nie my wyłącznie byliśmy; ale właśnie owe oświecone Potentaty europejskie. Jeśli sz. autor dowiedzie, że we Francyi, w czasie wojen religijnych, a w Niemczech w epoce wojny 30 letniej kwitnęła filozofia, literatura i sztuka, to wtórować będziemy jego potępiającym wyrokom na naszych przodków XVII i XVIII wieku za to, że podczas ciągłych najazdów Szwedów, Brandenburgów, Siedmiogrodzian, Moskwy, Tatarów, Turków i w. i., podczas elektryzujących cały naród, a pustoszących kraj przechodów wojsk francuzkich, nie zdołali wznieść się na taki stopień oświaty, jaki widzimy w innych krajach, używających dobroczynnych owoców trwałego pokoju. Autor zdaje się także oddychać tem fatalnem złudzeniem, że dziś imponujemy światu naszą nauką: nie chcielibyśmy mu rozpraszać tej illuzyi, ale patrząc okiem trzeźwem na fakta, mamy słuszne powody obawiać się, że tam, gdzie język nasz jest w poniewierce (wyjątek stanowi tylko Galicya od lat kilku), tam, gdzie swojskość, t. j. Kościół, Zwyczaj i Obyczaj jest wstecznictwem, a tylko idee indo-europejskie, t. j. bezwyznaniowe postępem; tam, gdzie coraz mniej pisarzy umie używać czystego polskiego języka i poprawnego stylu w dziełach ściśle naukowych, że tam blask tej nowój epoki więcej jaskrawością frazeologii, niżeli powagą wykładu znamienitej, może bardzo szybko zniknąć. Któż bowiem zostanie na niwie naukowej, aby to światło nietylko utrzymać, ale i podsycać; gdy ten, co się kształcił do zawodu nauczycielskiego, szukać musi kawałka chleba w biurach dróg żelaznych; gdy przyszły filolog zarabia na kawałek chleba w kantorze Ubezpieczeń; przyszły chemik w kantorze bankierskim, przyszły fizyk za stołem kupców towarów bławatnych; kandydat lub magister nauk przyrodzonych w kancelaryi urzędu gminnego, doktor filozofii, prawa, literatury, dziejów, pracuje jako wyrobnik codzienny dla różnych redakcyi, które nigdy szkoły nie zastępują, chociaż nowemi szkołami się być mienia! Nie przeceniajmy tedy tego nowego światła kosztem prawdziwych zasług przeszłości! Szkoły niemieckie w W. Ks. Poznańskim dokazały już tego, że rzadko który z ich uczniów dobrym stylem polskim pisać potrafi: te same przyczyny sprowadzają te same skutki! Oddajmy Majmonom, co Majmonowogo; a Śniadeckim i Kołłątajom, co Śniadeckich i Kołłątajów!

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

ESTETYCZNE ZNAMIONA CZASÓW
I ICH ODBICIE SIĘ W WYROBACH KUNSTU I PRZEMYSŁU
OD XVI-go WIEKU DO CHWILI OBECNÉJ.

(SZKIC O WYSTAWIE DZIEŁ SZTUKI STOSOWANEJ DO PRZEMYSŁU, W PAŁACU
BRUEHLOWSKIM, OD 14 CZERWCA DO 17 LIPCA 1881 R.).

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Stosunek sztuki do przemysłu.—Potrzeba estetycznego ukształcenia rękodziel-
ników.—Projekt otwarcia przy Muzeum przemysłu oddziału sztuki.—Dekora-
cyjny charakter wystawy.—Garncearstwo.—Okazy fajansu zagranicznego.—
Garncearstwo w dawnéj Polsce.—Okazy krajowego fajansu.—Porcelana sewr-
ska, saska i inna.—Krajowe fabryki porcelany i ich okazy.—Współczesne
próbki malarstwa na porcelanie.—Szkło i jego estetyczne własności.—Okazy
szkła rżniętego.—Wyroby polskie.—Malowane szyby.—Złotnictwo.—Okazy
sztuki gotyckiej.—Stan złotnictwa włoskiego w epoce odrodzenia.—Charakter
odrodzenia u ludów północnej Europy.—Okazy złotnictwa z XVI i XVII wie-
ku.—Złotnictwo w dawnéj Polsce i jego okazy.—Wyroby złotników z XVIII
wieku i tegocześnie.—Bronzy.—Czasy Ludwika XIV.—Estetyczny charakter
epoki Ludwika XV.—Styl rococo.—Bronzy w stylu Ludwika XVI, Dyrekto-
ryatu i Cesarstwa.—Bronzownictwo współczesne.—Meble z epoki odrodzenia.
—Okazy włoskiego stolarstwa z XVII wieku.—Artystyczne stolarstwo za Lu-
dwika XIV i jego okazy.—Rococo w meblach z doby Ludwika XV.—Okazy
mebli w stylu Ludwika XVI i pierwszego cesarstwa.—Bezystylowość wyrobów
współczesnych.—Warszawskie zakłady stolarsko-tapicerskie.—Ich okazy me-
bli zbytkownych.—Jedno z zadań tegoczesnego przemysłu.—Naśladowanie
francuzkich szablonów.—Gobeliny, hafty, koronki, uzbrojenia i t. d.—Glip-
tyka i miniatury.—Różne wyroby.—Zakończenie.

W naszym wieku, który wypowiedział walkę wszelkim przywile-
jom i zwycięzko ją przeprowadził, przestała i nauka być wyłączną wła-



сноścią szczupłego koła wtajemniczonych w jęj skarby adeptów; owszem, jedną z jęj cech charakterystycznych za dni naszych, jest wyraźne dążenie do zataczania jak najrozleglejszych kręgów na powierzchni społeczeństwa, do przenikania w najgłębsze jego warstwy; ku czemu posługuje się bardzo skutecznie, między innemi, całym olbrzymim aparatem ruchliwego dziennikarstwa, popularnemi wydawnictwami i publicznemi odczytami. Ten sam duch nowych czasów zamanifestował się wyraźnie i w dziedzinie sztuk pięknych, sprowadzając je z wyżyn ideałów, gdzie się przez wieki wygodnie lokowały—dostępne zaledwie dla szczupłej liczby szczęśliwych wybrańców losu—na padół powszedniego życia, gdzie przychodzą w bezpośrednie zetknięcie z całemi masami narodu, stając się niezaprzeczonym ich udziałem. Z tego stosunku do siebie dwóch różnych epok w rozwoju sztuki, nie zawsze zdajemy sobie jasno sprawę, jak to widać choćby z wynurzających się od czasu do czasu w prasie utyskiwań na brak dziś mecenasów protegujących sztuki i artystów. Czasy takich mecenasów, kiedy sztuką zajmowali się tylko książęta i wielcy panowie, kiedy ta służyła jedynie do uprzyjemnienia im życia, należą już do bezpowrotnej przeszłości. Dzisiejsza sztuka nie potrzebuje poparcia możnych protektorów; szuka go ona natomiast w masach narodu, w całej jego mniej lub więcej inteligentniejszej warstwie; i dziś tę tylko sztukę za racjonalną uważać musimy, i po tej też jedynie przyszłości się spodziewać mamy, co się na tym zdrowym opiera gruncie. Pieczeniartstwo artystyczne, jak każde inne, nie godzi się z nowszemi pojęciami obywatelskiej godności; wszelkie zaś wzdychania zapoznanych rzekomo geniuszów do nierodzących się dziś mecenasów, są chorobą imaginacyi.

Prawda, że jeśli weźmiemy sztukę na jęj szczytowych wyżynach, jeśli na względzie mieć będziemy tylko dzieła malarstwa, rzeźby i architektury, to okaże się że te i dziś nie o wiele się dla mas przystępniejszemi stały. Są one niewątpliwie najszczytniejszemi sztuki wytworami, atoli na nich nie kończy się jeszcze jęj rozległa sfera. Tę ostatnią wypełniają inne pomocnicze jęj gałęzie, jak rytownictwo, litografia i różne sztuki reprodukujące, których zadaniem jest właśnie popularyzować owe nie dla wszystkich w oryginale dostępne kreacje geniuszu. Zdemokratyzowana dziś sztuka brata się wreszcie z rzemiosłem i przemysłem, uszlachetnia wzory tkanin, kształty wyrobów powszedniego użytku, i wraz z niemi dociera do najgłębszych warstw społecznych, oddziaływając tą drogą na podniesienie się ogólnego poziomu estetycznego uczucia, smaku. Wytwory przemysłu, który nasze codzienne zaspakaja potrzeby, stają się również dziełami sztuki swego rodzaju, o ile je idea piękna przenika. Są całe gałęzie przemysłu, będące w bardzo blizkiem z sztuką powinowactwie: jak złotnictwo, bronzownictwo, stolarstwo, jubilerstwo, fabrykacya szkła, fajansów i porcelany, obicia i tkaniny wzorzyste i t. d. Ale pięknym po swojemu być może zarówno każdy przedmiot do użytku służący, byleby dobry smak przewo-

dniczył przy jego wyrobie, byle rzemieślnikowi czy fabrykantowi nie zbywało na odpowiedniem technicznem i estetycznem ukształceniu.

Pierwszego nabywa się na drodze zwykłej rzemieślniczej praktyki; zdobycie drugiego jest trudniejsze i niekoniecznie idzie z pierwszym w parze. W nowszych czasach pomyślano tedy o tém, żeby rzemieślnikom umożliwić i ułatwić estetyczną edukację; a za właściwszy środek do osiągnięcia tego celu, uznano zakładanie muzeów przemysłu i sztuki. Nie jedna gałąź kunsztownego przemysłu posiada już bogatą artystyczną tradycję, szło zatem o to, żeby ułatwić obeznanie się z nią, żeby zgromadzić w jednym miejscu cenne wzory, na którychby rzemieślnicy poglądowo i praktycznie kształcić swój smak mogli. W stolicach i większych miastach zachodniej Europy istnieją już oddawna takie muzea, a dobroczynny ich wpływ nieomieszkają się istotnie wyrazić w podniesieniu się estetycznej wartości produkowanych przedmiotów i w pomyślnym rozwoju różnych gałęzi kunsztownego przemysłu. Dość tu powołać się na bogate tego rodzaju zbiory istniejące w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, a osobliwie w Londynie, gdzie na tej drodze najwięcej bodaj zdziałano, jak o tém świadczą imponujące bogactwem muzea w Sydenham, Bethnal Gren, South-Kensington i t. d.

Potrzeba podobnego muzeum dawno się już czuć dawała naszym wytwórcom, którym coraz trudniej współzawodniczyć z przemysłem zagranicznym, postawionym pod wielu względami w korzystniejszych od naszego warunkach. A współzawodnictwo to zwłaszcza w wyrobach mniej lub więcej w dziedzinę sztuki wkraczających, stało się prawie niepodobnem. Pomyślano wreszcie i u nas o przyjsciu w pomoc krajowemu przemysłowi w trudnej jego walce z zagraniczną produkcją, i pierwszych tych starań owocem było otwarcie przed kilku laty Muzeum przemysłowego, którego zarząd, nie poprzestając na tworzeniu kolekcji, urządzeniem czasowych wystaw, odczytów i t. p., daje ciągłe oznaki poważnego krzątania się w obranym kierunku. Nowym dowodem jego troskliwości o losy krajowego przemysłu, jest myśl otwarcia przy istniejącem Muzeum, oddziału sztuki stosowanej do przemysłu. Bacząc zaś na energią, z jaką sobie zarząd w tej mierze poczynił, wspierany przez ludzi dobrej woli i po obywatelsku myślących, jesteśmy pewni że od tej myśli niedaleko do jej urzeczywistnienia. Dla większego zainteresowania publiczności tą sprawą, zarząd Muzeum urządził w pałacu Brühlowskim wystawę dzieł sztuki stosowanej do przemysłu, w czém mu posiadacze zbiorów prywatnych z najchętniejszą przyszli pomocą. Dzięki im, wystawa ta wypadła nadszpodziewanie świetnie; dochód zaś z jej zwiedzania jest przeznaczony na pierwsze potrzeby mającego się urządzić przy Muzeum nowego oddziału.

Zanim jego otwarcie nastąpi, postanowiliśmy korzystać z tej czasowej wystawy i rozpatrzeć się w bogatych kolekcjach, na jakie się tu artystyczny przemysł krajowy i zagraniczny złożyły. Nie mogą nas nie zajmować te koleje, jakie pojedyncze jego gałęzie przechodziły; a wystawione dzieła różnych kunsztów, głównie od XVI wieku począw-

szy, noszą na sobie znamiona wszystkich główniejszych momentów w rozwoju sztuki nowożytniej, odbijając najwierniej te zmiany, jakim ulegał smak w ciągu ostatnich kilku wieków i dając nam nauczający obraz wyróżniających je znamiona stylowych.

Brak czasu potrzebnego na naukowe uporządkowanie zbiorów, warunki miejsca, wreszcie życzenia niektórych właścicieli prywatnych zbiorów, którzy nie życzyli sobie widzieć ich rozproszonych na wystawie—tłómaczą nam brak systematycznego ładu w jej urządzeniu. Utrudnia to oryentowanie się szybko w nagromadzonych przedmiotach, których wspaniałe kolekcje zrazu nie tyle uczą jak olśniewają oczy. Okazów jednorodnych wypada nam szukać częstokroć po wszystkich salach, co jest trochę niewygodnem dla tych, co pragnęliby poważnie z tych zbiorów korzystać. Zato sale same zyskały estetycznie na tym układzie; pod względem dekoracyjnym urządzenie ich jest wspaniałe: wytworne brzozy złożone z epoki Ludwika XV i cesarstwa, inkrustowane bogato stoły, szafy i biurka z przeszłego i zaprzeszłego wieku; wysokićj wartości artystycznej wyroby włoskich, niemieckich i polskich złotników z doby odrodzenia wytłaczane i cyzelowane, szafy napełnione cennemi okazami rżniętego szkła, fajansu i porcelany najświetniejszych fabryk, zwierciadła, gobeliny, wyroby z marmuru, szylkretu, kości słoniowej i drzewa—wszystko to składa się tu na wykwinną dekorację, wszystko to mamy, nęci, zaciekawia i oczy widza zaledwie na jednym spoczną przedmiocie, już jego uwagę tysiące innych nie mniej zajmujących na siebie ściąga. A cóż powiedzieć o tych ornatkach połyskujących złotem i sianych drogiemi kamieniami, o przepysznych makatach, złotogłowiach, haftach i pasach, których tu tak znakomitą spotykamy kolekcją, o tych wreszcie koczugach, pancerzach husarskich i przyłbicach, buławach i buzdyanach, sadzonych szablach, kosztownych pawężach, bogatych rzędach i t. p. zabytkach przeszłości, wśród których, niby w świetle drogich pamiątek, tak błogo zatrzymać się, podumać i wybiedz choć myślą ze świata twardej rzeczywistości. Ludzie, których serca biły niegdyś pod temi stalowemi pancerzami, gdyby się obudzili ze snu wiecznego nie poznaliby dziś ziemi, za którą strumienie krwi wylewali, czyto krusząc potęgę chytrego niemieckiego zakonu na polach Grunwaldu i Tannenbergu, czy ścigając srogięgo Szweda, lub stawiając tamę muzułmańskiej nawale pod Chocimem i Wiedniem. Naród, którego najlepsze siły zużywały się w wojennych potrzebach, który zmuszonym był czuć niemal w ustawicznem gotowości bojowej, niebardzo miał czas i ochotę zajmować się przemysłem i sztukami; ale najgorsze dla tych ostatnich czasy nastały za Wazów i Sasów, kiedy w złupionych, wyludnionych i zubożałych miastach zamarło wszelkie życie, a handel, rzemiosła i sztuki do najgłębszego przyszły upadku: tak że cenniejsze i kosztowniejsze wyroby przemysłu, musiano sprowadzać z zagranicy.

Od tego czasu zmieniło się wiele, podźwignął się nasz przemysł znacznie; nie pozbył się jednak zupełnie pewnych braków, które zaw-

sze jeszcze pozwalają zagranicznemu przemysłowi, zwłaszcza artystycznym jego gałęziom, zasypywać nas swemi wytworami. Braki te są głównie estetycznej natury a wyrażają się mianowicie w niższej pod artystycznym względem wartości naszych wyrobów. Dziś każdy krok na drodze do wyzwolenia i pod tym względem naszego przemysłu z pod zależności od zagranicznej produkcji, powinien być z radością witany, a takim krokiem będzie niewątpliwie otwarcie przy istniejącem Muzeum, oddziału sztuki zastosowanej do przemysłu.

Kilka salonów wystawy przeznaczono na pomieszczenie wytworów współczesnego nam przemysłu, mniej lub więcej z sztuką spokrewnionego. Myśl ustawienia wzorowych wyrobów dawnych wieków z tém na co dzisiejsze czasy zdobyć się są w stanie, była szczęśliwa: zestawienie takie, wykazując w rzetelném świetle wartość naszej artystyczno-rzemieślniczej produkcji, dałoby możność sprawdzenia zrobionych w jęj zakresie postępów; lub odślaniając jęj słabe strony, uczyłoby nas w czém mianowicie dawniejszym wyrobom nie wyrównywa, i z jakich powinna korzystać wzorów. Ze zdziwieniem jednak zauważyłem, że ten dział wystawy bardzo skąpo został wyposażony. Nie myślę przeceniać wartości wyrobów kunsztownych gałęzi naszego przemysłu: mają one swoje zalety i swoje wady; w każdym atoli razie, mogłyby się nam nierównie świetnie zaprezentować. To co tu widzimy, nie daje jeszcze miary tego, na co zdobyć się jesteśmy w stanie. Pominąwszy dość okazałą kolekcję mebli i obić, tudzież zbiór próbek malowideł na szkłe i porcelanie, mamy tu zaledwie kilka bronzów, kilka zwierciadeł, trochę biżuterii, bursztynów, wyrobów pieczętarskich—i to już prawie wszystko. Nie widzimy np. wyrobów stolarstwa i złotnictwa, chociaż wiadomo, że posiadamy dobrych stolarzy i cieszące się reputacją fabryki srebra i wyrobów platerowanych. Inne gałęzie rękodzielnictwa mniej lub więcej w blizkim związku ze sztuką będące, błyszczą również swoją nieobecnością. Czemu przypisać to zjawisko? jestże ono wynikiem lęklności panów wystawców, obawiających się stanąć ze swemi wyrobami obok dzieł dawnego przemysłu, czy poprostu ich obojętności?

Zbiory wyrobów z gliny palonej, fajansu i porcelany, przedstawiają dość dokładnie dzieje tych gałęzi przemysłu. Począwszy od dzbanów glinianych, słoików i kuflów niemieckich, flamandzkich i t. d. z XVII wieku, dość prostego jeszcze wyrobu, a skończywszy na najwzkwintniejszych okazach sewskiej i saskiej porcelany z końca zeszłego stulecia, mogliśmy tu śledzić szczegółowo wszystkie fazy w rozwoju tęg fabrykacyi. Zanim nauczyliśmy się naśladować chińską porcelanę, co dopiero w początkach zeszłego nastąpiło wieku, poprzestawaliśmy na mniej wytwornych wyrobach fajansu. Nie widzieliśmy wprawdzie na wystawie artystycznych okazów w rodzaju Lucca della Rabbia, w każdym atoli razie zbiór majolik, jak te, które katalog pod Nr. 67—80 za-

mieścił¹⁾, dowodzi nam na jak wysokim stopniu ta fabrykacja stała u Włochów w XVI, XVII i XVIII wieku. Mianowicie też owe trzy tafle fajansu przedstawiające sceny biblijne Nr. 78, a szczególnie piękne talerze Nr. 76, z artystycznie wykonanym malowidłem, przedstawiającym Judytę i t. d. (majoliki Abruzzes z drugiej połowy XVIII wieku), mogą uchodzić za najlepsze w tym rodzaju okazy. Niemieckie i holenderskie fajanse, jak te np. dwa półmiski z wyobrażeniem ś. Jana, i Chrystusa Nr. 88, są znacznie grubszej roboty, szczególnie co do malowideł. Wyroby fajansowe Francuzów, mianowicie naczynia, noszą w krojach swych i zdobiących je malowidłach znamię gustu, którym się ten naród zawsze tak korzystnie od innych wyróżnia. Atoli w fasonach wynurzają się tu już panujący w XVIII wieku smaku rococo, jak np. w półmisku owalnym, odznaczającym się zładuną pewną elegancją form i delikatnością zdobiących go malowideł (Nr. 102), lub jak w tymże smaku fasonowanej wazie owalnej (Nr. 98), z grupą muszli i ryb na pokrywie, malowanej w bukiety a będącej wyrobem marskim z XVII wieku.

Z angielskich fajansów styną nie bez racji piękne roboty Wedgewood, których wystawa dosyć posiadała okazów. Nie mówię już nie o tych sylwetkach w rodzaju kamei, posiadających wysokie artystyczne zalety; ale dość zwrócić uwagę na naczynia z téjże pochodzące fabryki, by się o ich zaletach przekonać. Pod względem mianowicie kształtów wyróżniają się one bardzo korzystnie od okazów innych zagranicznych fabryk. Znaną jest powściągliwość Anglików w naśladowaniu obcych nowości; geograficzne położenie kraju, które stawiając poniekąd naturalną tamę obcym wpływom, nieraz wyszło na dobre tym szczęśliwym wyspiarzom, przyczyniło się zapewne niemało do wyrobienia w nich téj powściągliwości. Kiedy w kształtach wyrobów fajansowych różnych krajów z XVIII wieku, odbija się mniej lub więcej zepsuty smak ówczesny, lubujący się w liniach zawiłych—w wyrobach Wedgewood'a spotykamy się z formami dosyć czystymi, dowodzącemi, że tam nie stracono z oczów wzorów klasycznej plastyki, która w kształtowaniu naczyń bodaj ostatnie wypowiedziała słowo. Zauważyliśmy np. trzy wazoniki Nr. 118 z końca zeszłego wieku, w kolorze szaro-popielatym, ozdobione białymi płaskorzeźbami, odznaczające się właśnie takimi poprawnymi kształtami; to też wśród mnóstwa tego rodzaju wyrobów innych fabryk, oczy z upodobaniem zatrzymują się na nich. W podobnym stylu wyrabiano też filiżanki, kubki i t. p. naczynia, choć co prawda, nie zawsze tak wdzięcznych kształtów. Sam atoli charakter ich dekoracji, polegający na białej wypukłej ornamentyce, odbijającej od tła matowego ciemnego, nadaje im cechę dobrego smaku i wyróżnia korzy-

¹⁾ Dla uniknienia powtarzania nazwisk właścicieli pojedynczych przedmiotów, opuszczamy je wszędzie, odsyłając czytelnika do wzmiankowanego katalogu, w którym, w razie potrzeby, znajdzie przy wskazanym numerze wiadomość, u kogo dany przedmiot znaleźć może.

stnie od bogato złożonych i malowanych, a nie zawsze zalecających się gustem wyrobów, zwłaszcza niemieckich fabryk.

Już-to w ogólności ceramika XVII i XVIII wieku wyszła jak najgorzej na skwapliwości, z jaką smak rococo do kształtów waz, koszyków i t. p. naczyń stosowano. Było to najmniej wdzięczne pole po temu, bo i natura materiału i praktyczne przeznaczenie naczyń, mających co do kształtu swoje logiczne, a więc i estetycznie uzasadnione wymagania, sprzeciwiały się jak najoczywiściej temu przymusowi form najnieracjonalniej powyginanych. Pouczającym tego dowodem są okazy fabryk francuzkich.

W Polsce garncarstwem od najdawniejszych zajmowano się czasów. Za Kazimierza Wielkiego krakowskie garnki spławiane były Wiśłą do Gdańska, co dowodzi, że już wówczas zalecać się musiały dobrocią wyrobu. W wiekach XV, XVI i XVII gałąź ta przemysłu była u nas w kwitnym stanie, a wyroby garncarskie rozchodziły się nawet zagranicę. Bydgoszcz, Iłża, Lwów, Czersk, Tarłów, Wojnicz i wiele innych miejscowości słynęły z wyrobów garncarskich.

Ciekawym polskiego garncarstwa zabytkiem były na wystawie dwa duże słoje z palonej gliny, krakowskiego wyrobu, które katalog (Nr. 1) za pochodzące z XV wieku podaje. Jeden z nich ozdobiony jest widokiem Bramy Floryańskiej w płaskorzeźbie; na drugim widzimy dwóch rycerzy konnych, godzących na siebie z kopiami, w tymże wykonanych sposobie. Na pokrywie napis: „Krakowia f. Polonia O. D.” Oznaczenie wieku tych naczyń jest bodaj o cały wiek zawczesne; w każdym razie są to okazy niezmiernie dla nas ciekawe i dobrze świadczące o stanie tej gałęzi produkcji w dawniej Polsce.

Fabryki fajansu zjawiają się u nas dopiero w XVIII wieku, jak w Glińsku pod Żółkwią, Korcu, Baranówce i Warszawie (fabryka Belwederska). Inne, jak Horodnica, Ćmielów, Sławsk, Lubartów, Tomaszów, w bieżącym już powstały wieku. Ale wyroby założonej przez Stanisława Augusta fabryki Belwederskiej celowały nad innemi. Kolekcyja wazonów z tej ostatniej fabryki od Nr. 5 do 11 świadczy, że w tego rodzaju wyrobach naśladowano smak japoński i chiński, zarówno w kształtach wazonów, jak zdobiących je malowidłach. Są to odznaczające się okazy. Najznakomitszym atoli okazem polskiego fajansu i szczytem artystycznym produkcji fabryki Belwederskiej są cztery talerze bogato dekorowane w barwne i złożone ornamenta w guście wschodnim (Nr. 14). Są to resztki od serwisu, który Stanisław August w liczbie innych darów posłał w r. 1789 sułtanowi. Z współczesnych wyrobów mamy kilka okazów z czarnego fajansu fabryki Lubartowskiej, z których godniejszym uwagi jest imbryczek do herbaty Nr. 22a, z wyłaczanemi ozdobami.

W ogólności fabryki fajansu zarówno krajowe, jak zagraniczne, straciły dziś swe znaczenie. Porcelana zastąpiła fajans w wystawnych serwisach i naczyniach, do których wyrobu daleko się lepiej nadaje.

To stało się powodem upadku tej gałęzi przemysłu, która dziś poprzestaje na produkowaniu naczyń najtańszych i najniewymyślniejszych.

Przejdźmy do porcelany. Wynalezienie jej przypada na początek XVIII wieku, naturalnie w Europie; w Chinach bowiem jej fabrykacja oddawna była znana. Wprawdzie już pod koniec XVII wieku probowano we Francyi naśladować chińską porcelanę, ale fabrykowany tu produkt, zwany miękką porcelaną, był właściwie rodzajem szklistej masy, w której skład nie wchodziła główna zasada porcelany, glina, kaolin. Sposób wyrabiania prawdziwej porcelany odkrył w 1706 roku Boetger w Saksonii, pierwsze zaś jej próbki były czerwono-brunatnej barwy. Dopiero w trzy lata później, używszy do jej wyrobu lepszej gliny, otrzymał właściwą białą porcelanę, której w r. 1710 wielka fabryka w Albrechtsburgu w Miśni założoną została. Późniejsza od niej sławna fabryka porcelany w Sèvres, założona w r. 1756, współzawodniczyła szczęśliwie z porcelaną saską, inaczej miśniejską zwaną, a pięknoscią swych wyrobów wkrótce ją nawet zaczęła. Około tego mniej więcej czasu zaczęto wyrabiać porcelanę również w Wiedniu, Berlinie, Anglii, Włoszech, Bawaryi i t. d.

Wyroby sewrskie zyskały sobie powszechne uznanie, na które w istocie piękną dekoracją serwisów, osobiwie też wybornemi złoceniami, najzupełniej zasłużyły. Na wystawie mieliśmy mnogość okazów tej fabryki z różnych lat jej istnienia. Z pierwszej doby, kiedy jeszcze ową miękką, szklistą wyrabiała porcelanę, widzieliśmy pod Nr. 158 dwie miseczki zielone, złoczone i w kwiaty malowane, z 1756 r.; następnie z r. 1776 filiżankę ze spodkiem barwy turkusowej (Nr. 161), złoczoną i ozdobioną kwiatami, bardzo już wykwintną. Wszelako nierównie piękniejszymi są wyroby późniejsze, jak np.: misternie i z wielkim smakiem dekorowane malowidłem i złoceniami talerze, zamieszczone w katalogu pod Nr. 163—167 włącznie, pochodzące już z końca przeszłego wieku. Mianowicie zwraca na się uwagę talerz Nr. 166, barwy naśladowującej szylkret, wyłaczany i ozdobiony malowanym na dnie strusiem. Prześliczny ten okaz pod względem pysznej dekoracji, bodaj nie miał tu sobie równego i mógł najwybredniejszy chyba smak zaspokoić. Prawda, że pochodzi już z r. 1792. Tyle wreszcie mieliśmy tu odznaczających się okazów wszelkiego rodzaju, że trudno nawet byłoby między niemi wybierać, bo każdy po swojemu był piękny.

W ogólności malowidła, zdobiące naczynia sewrskie, odznaczają się smakiem i wielką delikatnością roboty. W koszykach atoli, wazach, półniskach i t. p. naczyniach wynurzają się dziwaczne, a tu bodaj najmniej na miejscu będące owe powyginane formy, w których się zepsuty smak epoki odbił. Kształtowe piękno tych naczyń wiele na tym traci. Dziwna rzecz, że nawet w wyrobach z końca XVIII wieku, to jest z czasów, kiedy w meblach i bronzach francuzkich z czystszyim się już spotykamy smakiem, kiedy zawiłych tych, a fantastycznych form zaledwie ślad pozostał, w porcelanie zdają się one w najlepsze panować i to nie-

tylko w porcelanie francuzkiej, ale zarówno berlińskiej, saskiej i wiedeńskiej, ile, że wszędzie wyroby sewrskie starano się naśladować.

W czym jeszcze celowały francuzkie fabryki porcelany, to w wyrobie drobnych figurek i grup, odznaczających się estetycznym wdziękiem. Podobnych figur i grup z fabryk berlińskich, saskich, wiedeńskich, nie brakło na wystawie; ale jakże daleko im do francuzkich albo włoskich. Dość tu wymienić z tego rodzaju utworów nie wielką grupę z porcelany białej, nie polewaną, przedstawiającą dwóch amorków (Nr. 444), wyrób Niderville w Alzacy, z r. 1770, lub inną z takiejże porcelany grupę, nieco większą, noszącą napis: „L'Amour et l'Amitié,” wyrobu Capo di Monte. Są to już prawdziwe dzieła sztuki.

Okazy słynnej ze swych gatunkowych zalet porcelany saskiej, czyli miśniejskiej, najliczniejsze może na wystawie, mogą zaznaczyć nas z wszystkimi odcieniami jej fabrykacji. Ciekawym jest mianowicie okaz (Nr. 177), z r. 1709, bo uczy nas, jaki był jej początek. Jest to imbryczek brunatny, czworogrannego kształtu, z wklęsłymi ozdobami. Jakże to daleko odbiegają od niego wyroby z lat późniejszych. W okazach z roku 1730, jak np.: waza Nr. 316, cztery salaterki o brzegach à jour malowane w kwiaty Nr. 319, a szczególnie piękny kubek z przykrywką Nr. 274, którego dekorację stanowią wytłaczane złożone ornamenta i malowane chińczyki; fabryka tej porcelany przedstawia się nam już w pełni sił i rozwoju. Odtąd postęp mniej już bystrej idzie krokami. Bardzo kunsztownego wyrobu co do techniki są trzy kosze podłużne do owoców Nr. 192, wykrawane à jour i zdobne zewnątrz rzeźbionymi misternie i barwionymi kwiatkami, z r. 1770; tudzież datujący z tej epoki serwis do herbaty na dwie osoby Nr. 273, dekorowany artystycznie scenami sielskimi, wykonanymi szaro na białym tle, naśladowanymi z Van Ostade. Jeśli jeszcze przyjrzelśmy się filizance Nr. 280, także z drugiej połowy XVIII wieku, ozdobionej złożeniami i dwoma pięknie wykonanymi medalionami, w jednym ciemno-różowym tonie—możliśmy nabrać dość dokładnego pojęcia o kwitnącym stanie fabrykacji w ową epokę. Okazy z końca XVIII wieku i pierwszych lat bieżącego stulecia, mianowicie z epoki Marcoliniego, pod względem wykuintności i dobrego smaku zostawiają daleko za sobą wyroby z dawniejszych czasów. Stwierdzają to okazy filizanek, zamieszczonych pod N.Nr. 265, 270, 275, 276, 277, wszystkie mniej lub więcej wytwornie dekorowane. Do jakiej subtelności pędzla dochodzono w malowidle na porcelanie, najlepszą daje nam miarę krajobraz z krowami, zdobiący półmisek owalny z téjże epoki (Nr. 306), lub przedziwnej czystości rysunek figur en grisaille, zdobiący filizankę czekoladowej barwy (Nr. 399).

Oprócz wzorów sewrskich i angielskich wyrobów Wedgwood'a, sascy fabrykanci naśladowali też różnemi czasy dziwaczne kształty i dekoracje porcelany japońskiej i chińskiej. Wiele okazów tego rodzaju znajdowało się na wystawie, ale temi z powodów estetycznych nie będziemy się tu bliżej zajmowali.

Z tej samej racji i oryginalne okazy japońskiej i chińskiej porcelany nie zaprzatną tu naszej uwagi. Estetyczne idee narodów krańcowego azyatyckiego Wschodu odbiegają tak daleko od naszych, że mogą nas interesować jedynie swoją osobliwością. Nie wejdą one nigdy, jako żywioł składowy, w zakres estetycznej edukacji narodów europejskiej kultury i pozostaną zawsze poza sferą naszych o naturze pięknokształtu pojęć. Dwie odrębne cywilizacje na tym punkcie są nie do pogodzenia. Chybabyśmy w jakimś strasznym pojęć i wyobrażeń przewrocie zerwali kiedy z dotychczasową naszą cywilizacyjną i artystyczną tradycją, będącą dziejowym dwudziestu kilku wieków wytworem. Przypuszczenie nieprawdopodobne.

Ustalone jest mniemanie, że porcelana berlińska i wiedeńska nie dorównywa francuskiej i saskiej. Nie przeczę, że mniemanie to ma uzasadnioną estetyczną rację. I jedna i druga mają wszelako swoje specjalne zalety i gdy wiedeńskie wyroby słyną z trwałości, berlińskie się pięknymi malaturami odznaczają; wyborne zaś okazy i jednej i drugiej nie koniecznie potrzebują obawiać się porównania z wyrobami saskimi. Mianowicie kolekcja porcelany wiedeńskiej zawierała kilka wcale pięknych egzemplarzy; pomiędzy innemi bogato dekorowane filiżanki Nr. 415—418, a osobliwie filiżanka turkusowej barwy Nr. 241, wytwornie złożona, z medalionem wyobrażającym Andromakę, oplakującą śmierć Hektora; dalej szafirowa miednica z dzbanuszkami, ozdobiona trzema artystycznie wykonanymi medalionami, przedstawiającymi tryumfy Amora i cztery talerze z pięknymi złoceniami w otoku i wielkimi na dnie medalionami, wyobrażającymi sceny mitologiczne, bardzo delikatnego pędzla. Wszystkie okazy z lat 1796—1806.

W okazach berlińskiej porcelany, zdobionych ządinami bardzo kunsztownie, uderza często brak smaku, wyrażający się między innemi w niewłaściwem, nie harmonijnem zestawieniu barw i złocen, jak np. w filiżance Nr. 363, z końca XVIII wieku, gdzie barwa blado-zielona łączy się z szafirową; chociaż takich talerzy, jak te dwa, co je pod Nr. 369 zamieszczono, również z końca zeszłego wieku, żadnaby się nie powstydziała fabryka. Wartość ich estetyczna polega głównie na wytwornie wykonanych medalionach, z wyobrażeniem scen mitologicznych. Na jednym z nich rysunek sepiowy na tle żółtawem, na drugim rysunek szarawy na tle blado-liliowem. Poprawność, delikatność i estetyczny powab tych malowideł pozwala je do najpiękniejszych w tym rodzaju okazów zaliczyć.

Wiele innych odznaczających się pięknymi okazów starą porcelany francuskiej, niemieckiej, saskiej i angielskich wyrobów Wedgwood'a, jako też interesujących próbek japońskiej i chińskiej fabrykacji, zawierały zbiory p. Daniela Lessera, pomieszczone w szafach NNr. 28, 29 i 30, tudzież zbiory p. Buturlina, w szafach Nr. 13, 14. Nie możemy atoli zająć się niemi bliżej, bo nam w tym razie odmówił przewodnictwa katalog wystawy, nie zawierający ich szczegółowego wykazu.

Niestety, fabrykacja krajowej porcelany znajduje się w położeniu,

wyłączającem nawet myśl naśladowania pięknych wzorów, jakie wystawa zgromadziła. Świetniejszy jej niegdyś stan, dziś do wspomnień należy. Kraj, jak twierdzą, nie posiada odpowiednich gliniek, warunkujących byt i rozwój tej gałęzi przemysłu. Twierdzenie to wydaje się jednak nie bardzo uzasadnionem, gdy się rozejrzymy w próbkach dawnej koreckiej fabryki, a choćby nawet w okazach innych fabryk, jak Tomaszów, Baranówka. W istocie, jeśli upadek krajowych fabryk porcelany łatwo tłómaczy się stanem kraju w ostatnich latach XVIII wieku i w pierwszych bieżącego, to jest w epoce, kiedy nie same tylko fabryki porcelany upadały; trudniej trochę zrozumieć, dlaczego dziś, przy polepszonych warunkach, nasz świat przemysłowy nie zwrócił części swych sił ku podniesieniu tej upadłej gałęzi krajowej produkcji.

Pierwsza w Polsce fabryka porcelany w Korcu na Wołyniu, została założona przez księcia Józefa Czartoryskiego w r. 1787. Zaraz w początkach, kiedy nią kierowali dwaj bracia Franciszek i Michał Mezerowie, zakwitła i zasłynęła ze swych wyrobów. Fabryka była prowadzoną na wielką skalę, zatrudniała mnóstwo ludzi; w samej malarzni zawiadywanej przez Sobińskiego w r. 1794, pracowało ich 73; przynosiła zyski olbrzymie. Z tych świetnych czasów mieliśmy kilka pięknych okazów, a pierwszeństwo między niemi należało się bezspornie filiżance Nr. 31, barwą naśladującą szylkret i dekorowaną liśćmi złożonemi, wyrób wykwintny. Odznaczającą się pięknosci były jeszcze dwie filiżanki ze spodkami i imbryczek Nr. 42c, barwy szafirowej, ozdobione złożonemi liśćmi dębowemi. Mniej zadawalającami okazały się filiżanki Nr. 30 i 33 z malowaniami w medalionach en grisaille. Atoli świetność koreckiej fabryki trwała niedługo. Jeden z Mezerów, Franciszek, wezwany przez Zamoyskich, przeniósł się r. 1795 do Tomaszowa, gdzie nową założył fabrykę. Wreszcie wielki pożar w r. 1797 zniszczył doszczętnie korecki zakład. Wprawdzie odbudowano ją w r. 1800, ale nie stało Mezera, który w Baranówce na własną rękę fabrykę założył. Sprowadzony zaś do kierowania fabryką w Korcu, Francuz z Sèvres, nie prowadził już tak pomyślnie jej interesów. W pierwszych latach bieżącego wieku wyroby koreckie naśladują w dekoracji porcelanę sewrską, jak tego dowodzą serwis do kawy Nr. 38 i filiżanki Nr. 29 i 32. Okazy z lat późniejszych, jak talerz Nr. 39 lub salaterki Nr. 43 naśladują malowidła kwiatów saskiej porcelany. Atoli fabrykacja z biegiem lat upada stopniowo, brak wykończenia i gustu coraz wyraźniej cechuje wyroby. Od tych sześciu filiżanek żółtych, wyłaczanych Nr. 35, jakże daleko do owiej wytwornej filiżanki Nr. 31. A cóż dopiero mówić o filiżance żółtej Nr. 42, z którą fabrykacja korecka schodzi już na ostatni swego upadku szczebel.

Wyroby z pierwszej doby mają jako markę fabryczną, oko Opatrzności z napisem złotym „Korzec;” niebieskie oko bez podpisu znaczy wyroby z 1800 do 1815; poczem czerwone oko z podpisem za markę fabryczną służyło; zaś od r. 1828 do 1831 zastąpił ją napis w języku rosyjskim z wymienieniem roku. Wspomniana wyżej filiżanka Nr.

42, wypisany ma rok 1828, pochodzi zatem z tego ostatniego okresu fabryki.

Okazów fabryki tomaszowskiej mieliśmy tylko pięć, z początku bieżącego wieku, Nr. 45—49. Odznaczają się one wszystkie bardzo starannem wykończeniem i dobrym smakiem, chociaż pod tym ostatnim względem ustępują może wyrobom koreckiej fabrykacyi z pierwszego jej okresu. Wyróżniała się między niemi filiżanka ze spodkiem Nr. 46, srebrzysta, ozdobiona malowanym portretem ks. Fr. Sapiehy, bardzo poprawnej i delikatnej roboty.

Fabryka w Baranówce na Wołyniu, którą jeden z Mezerów kierował, miała swego czasu wyrabiać ładną porcelanę; ale między okazami tej fabryki na wystawie (Nr. 51—54) z pierwszych lat bieżącego wieku nic wyróżniającego się nie widzieliśmy.

Współczesny nam przemysł krajowy niema nic do postawienia obok okazów dawnych polskich fabryk porcelany, zwłaszcza koreckiej. Ta gałąź produkcji krajowej czeka jeszcze podźwignięcia. Sztuka malowania na porcelanie już się go nawet doczekała. W dziale wyrobów tegoczesnych widzieliśmy dość liczny zbiór próbek malowideł tego rodzaju, na filiżankach, talerzach, kaflach do wykładania pokoiów i t. p. Uprawą tej specjalnej gałęzi malarstwa trudnią się u nas dwa zakłady: pani Maryi Żubieńskiej i p. Borzelewskiego. Okazy z pracowni pierwszej pochodzące, trudno żeby mogły zadowolnić tych, co się na piękne malatury zagranicznej porcelany napatrzyli. Uważać je należy za pierwsze dopiero kroki w tej sztuce. Nie wątpimy, że z czasem p. Żubieńska będzie w możności dać bardziej zadawalające swęj pracy owoce. Nie wymagamy po niej zresztą tych wytwornych medalionów z wizerunkami osób, mitologicznemi scenami i t. p., jakeimi się francuzcy i niemieccy malarze porcelany popisują. Podnoszą one niezmiernie cenę tak dekorowanych naczyń, a swoją drogą upodobanie do nich mniejsze jest dziś niż było niegdyś. Dobrego smaku można dowieść i w skromniejszej dekoracyi, choćby czysto ornamentacyjnej. Właśnie brakiem tego ostatniego zdały nam się grzeszyć te talerzyki białe z różnemi widokami, do których przyczepiona kartka objaśniła nas, że są naśladowaniem ostatnich wzorów paryzkich. Otóż pożądanym byłby mniejszy pohop do naśladowania, bez wszelkiej krytyki, obcych wzorów, choćby paryzkich. Jest ona tu jak wszędzie potrzebna. W tych talerzykach razi nieprzyjemnie to, że malowane widoki pokrywają je po same brzegi: że są malowane na powierzchni powykrzywianej wskutek zakłębnięcia, jakie tworzy dno talerza. Są więc same pokrzywione, a nadto pozbawione zakończenia, obramienia, którego estetyczna potrzeba oka koniecznie się domaga, a daremnie tu szuka. W dawnych wzorach porcelany sewrskiej i każdej wreszcie, uwzględniono w dekoracyi postać naczynia i do niego logicznie się stosowano. Dno talerza np. zajmowano na medalion, otok zaś traktowano jako jego ramę. Te ostatnie modele, które panią Żubieńską skłoniły do odstępiania od ustalonej zasady—snać nie wiele warte. W ogóle lepiej się przedsta-

wiały okazy, których dekoracya w skromniejszych zawierała się granicach, jak ten np. serwis do kawy na dwie osoby, koloru turkusowego w białe i złoczone arabeski. Podobał się wszystkim i słusznie; a podobał nie żadnemi wykwintnemi malowidłami, bo tych nie posiada, ale poprostu gustownością swęj skromnej a powabnej dekoracyi. Jedno tu niepotrzebne: owe niesmaczne dodatki w postaci czarnych łatek przy uszkach.

W okazach porcelany dekorowanej przez p. Borzelewskiego, spotkaliśmy się i z dobrym smakiem w wyborze ornamentacyi i z wcale misterném wykończeniem malowideł. Dekorowane przez niego talerze mają zwykle w otoku gustomą ornamentykę, chociaż dość prostemi osiągniętą środkami. Przymioty te w połączeniu z harmonijnym doborem barw, świadczą, że p. Borzelewski w wyborze wzorów trzyma się dobrej, staręj tradycyi. O praktyczności tych i tamtych malowideł, to jest o trwałém się ich trzymaniu na naczyniach będących w użyciu, czas dopiero mógłby wyrzec coś stanowczego.

Zatrzymując się przed szafą zawierającą okazy szkła, mogliśmy z pierwszego rzutu oka zauważyć różnicę, jaka zachodzi odnośnie do kształtów między niemi, a rozpatrywanemi przed chwilą wyrobami z porcelany—różnicę uwarunkowaną odmiennemi własnościami obu materyałów. Szkło w istocie nie należy do materyałów plastycznych, łatwo się kształtowaniu poddających. Pod tym względem glina, porcelana, metale jak bronz lub srebro, mają nad niem niezaprzeczoną przewagę. Ztąd też naczynia ze szkła obracają się w bardzięj ograniczoném kole kształtowych typów; obrabiane zaś zewnątrz z pomocą szlifowania, przybierają często graniaste formy, rzadka i wyjątkowo tylko wynurzające się w wyrobach garncarskich. Zato posiada szkło swe specyalne estetyczne własności: jak przezroczystość, łatwość barwienia, które fabrykacya w odpowiedni wyzyskuje sposób. Gdy do tego dodamy jeszcze emalią, złocenia i rznięte dekoracye, zrozumiemy, że ze szkła wyrabiane być mogą naczynia bardzo wysokiei artystycznej wartości. Takimi też są bezwątpienia te pięć manierek i trzy szklenice ze szkła weneckiego Nr. 455, rznięte bardzo bogato, które miały być niegdyś podarowane przez cesarza Leopolda Janowi III; lub ów delikatny z filigranowego szkła kielich z XVII wieku, włoskiego wyrobu, który pod Nr. 491 widzieliśmy. Szkła włoskie a mianowicie weneckie, były swego czasu wysoko cenione dla swych gatunkowych i artystycznych zalet. Wyroby ze szkła niemieckie, tudzież lepsze bezwątpienia od tych ostatnich czeskie, których wiele na wystawie widzieć mogliśmy, przekonały nas, że fabrykanci ich w wieku XVII i XVIII zamało zwracali uwagi na kształty, kładąc cały dekoracyi nacisk na rznięte ornamenta i sceny, w istocie bardzo artystycznej nieraz roboty. Ale pamiętać trzeba, że ludy północnej Europy, dość niedawnej względnie kultury—nie były nigdy w rzeczach formy zbyt wymagającami, nie odczuwali jęj piękna; i dlatego między okazami szkła czeskiego i niemieckiego, nie spotkaliśmy np. ani jednego kielicha tak powabne-

go kształtu, jak kielich francuzkiego wyrobu Nr. 513, szlifowany i dekorowany złożoną sceną myśliwską, z pierwszych lat XVIII wieku. Nie zaprzatnę też uwagi czytelnika tą liczną kolekcją dużych i mniejszych puharów, rostruchanów, kielichów, nie mającą dla nas wiele estetycznego interesu, a budzącą przykre wspomnienie saskiej epoki, w której dla zaspokojenia potrzeb gardła, tak potwornie wielkie wyrabiano naczynia, jak szklanica Nr. 461, przeszło półgarncowej miary.

Wyrób szkła należy do gałęzi przemysłu znanych w dawnéj Polsce. Jest pewność, że już w XVI wieku posiadaliśmy huty szklane, chociaż nie wiadomo bliżej, czy trudniły się wyłącznie wyrobem szkła pośledniejszego gatunku, czy też już i zbytłowniejsze, szlifowane i rznęte produkowały naczynia. Te jego okazy, które na wystawie widzieliśmy, jak wspomniana wyżéj szklenica wiwatowa Nr. 461, ze szkła białego z rznęty'm herbem Ślepowron i napisem: „Przyjaciel kto wypije,” tudzież kielichy rznęte Nr. 492 i 494, pochodzą z XVII wieku. Ostatni wyróżnia się wcale korzystnie pewną elegancją kształtu od podobnego rodzaju wyrobów niemieckich a bodaj nawet i czeskich.

Tegoczesna fabrykacya szkła stoi u nas bezwątpienia na wyższym stopniu, niż w wiekach poprzednich; nie produkuje wprawdzie takich kielichów i szklaníc artystycznie rznętych, bo ich nikt nie potrzebuje. W kształtowaniu zaś naczyń, trochę zwłaszcza zbytłowniejszych, okazuje może więcéj znajomości estetycznych zasad, choć w tym kierunku bezwątpienia znacznie daléj jeszcze posunąć się można. Dziwi nas tylko bardzo, że żaden z naszych fabrykantów szkła, co także pokazuje i dobrze zaopatrzone sklepy posiadają w Warszawie, nie wziął udziału w wystawie i nie zaprezentował tego, na co dzisiejsza fabrykacya kunsztownych ze szkła wyrobów zdobyć się potrafi.

Skoro już potraciliśmy o sztukę kunsztownego rznęcia szkła, przebieczymy już okiem za jednym zachodem wyroby z rznętego kryształu, z pośród których mianowicie okaz Nr. 135 w wysokim stopniu ściagał na siebie uwagę. Byłto puhar zwykłej niewymyślnéj formy, pokryty przepysznie rznętemi figurami w płaskorzeźbie. Przedmiot ten wysokości pod względem sztuki wartości, wyszedł prawdopodobnie z ręki włoskiego artysty. Z innych, wspomnę tu piękną nalewkę niemieckiego wyrobu w oprawie srebrnéj złożonéj z epoki odrodzenia, którą Stefan Czarniecki miał otrzymać w darze od króla duńskiego Wilhelma III.

Mieliśmy też na wystawie kilka okazów malowidła na szkle, sztuki kwitnącéj w wiekach średnich, kiedy w zwyczaju było przysrajac okna świątyn kolorowemi szybami. W Anglii, Francyi i Niemczech w naszym wieku, mianowicie w pierwszój jego połowie, wzięto się do podźwignięcia téj zaniedbanéj gałęzi malarstwa; u nas zaszczyt wskrzeszenia jéj należy się pani Maryi Łubieńskéj. Wystawione pod Nr. 457, 458 i 459 części okien malowanych z XVI i XVII wieku, jakkolwiek nie należą może do bardzo wspaniałych téj sztuki okazów, tém niemniej dają nam pewną miarę biegłości dawnych „szklarzy.” Malowane okno pani Maryi Łubieńskéj, chociaż nie bez zalet, nie dosięga jesz-

cze do téj miary. Ale nie zapominajmy że to jedna z pierwszych prób na długo zaniedbaném polu.

Po wyrobach ceramiki, największą liczbę okazów posiadał dział złotnictwa. Oko widza prawdziwie gubiło się w tych wspaniałych kolekcjach, odrywając od jednego przedmiotu pięknego, by się na drugim jeszcze piękniejszym zatrzymać. Rozpocznijmy nasz przegląd od zabytków złotnictwa gotyckiego, których widzieliśmy wprawdzie niewiele, ale które ze względu na swój styl, tak je charakterystycznie wyróżniający, należały niewątpliwie do najciekawszych okazów wystawy. Pochodzą one z XVI wieku, a więc z epoki, kiedy styl odrodzenia oddawna panował we Włoszech; w krajach atoli Europy północnej, dokąd później przeniknął, wiek ten był dopiero datą jego szerzenia się. Przyjmowano wprawdzie pochopnie nowe jego formy, ale i ze starymi jeszcze nie zerwano zupełnie, owszem, kwitły one w najlepsze. W wielkiej monstrancyi srebrnej, złożonej, którą pod Nr. 690 zamieszczono, strzelają one jeszcze z całą swobodą swemi przezroczystymi wieżyczkami, załamując się w ostre łuki, lub rozpryskując w drobniejsze, zawsze tego samego zasadniczego typu, iglice. Monstrancją tę, będącą wyrobem bawarskich, prawdopodobnie norymberskich złotników, zdobią jeszcze drobne posążki, a uwieńczenie jej szczytu, stanowi wyobrażenie męki Pańskiej. Był to jedyny w swoim rodzaju okaz na wystawie. Dwa wielkie krzyże gotyckie, srebrne, połączone Nr. 692 i 695, oba bardzo kunsztownego wyrobu, (niemieckiego), przedstawiały muięj wdzięczne pole dla bujnej ostrołukowej architektoniki. Począwszy od podstawy krzyża do połowy wysokości, zaznacza się ona dość jeszcze charakterystycznie; w górnej atoli ich połowie łamie się bezsilnie z narzuconym jej kształtem; czuć tu wyraźnie zadawany jej przymus, który ją właściwych pozbawia znamion.

Widzieliśmy jeden zabytek sztuki złotniczej, nierównie od powyższych starożytniejszy, bo z XIII pochodzący wieku. Był to relikwiarz, w kształcie płaskiej szkatułki z złożonego brązu, dekorowany emaliami, w stylu bizantyjskim. Ale okaz ten, pod nr. 688 zapisany, mógł mieć jedynie archeologiczny dla nas interes.

Największa część okazów nosiła znamię pochodzenia z okresu odrodzenia, w którym złotnictwo wznosiło się do godności prawdziwej sztuki. Z wyrobów współczesnych nam złotników nie nabyliśmy ani przybliżonego pojęcia o tém, czém byli włoscy złotnicy w XV i XVI wieku. Ale wówczas złotnictwo nie było, jak dziś, sprowadzone do poziomu zwykłego rzemiosła. Najzawołani rzeźbiarze i rytownicy oddawali się mu z zamiłowaniem, a wytłaczane i cyzelowane przez nich dzieła sztuki, dochodziły do wysokości artystycznej wartości. Tacy głośni mistrzowie dłuta, jak: Donatello, Brunelleschi, Lorenzo Ghiberti od złotnictwa rozpoczęli swój artystyczny zawód, a sławny Benvenuto Cellini obrał je nawet za swoją specjalność. Z rąk takich mistrzów wychodziły prawdziwe arcydzieła sztuki. O zaletach kompozycyi, rysunku i plastyki tego rodzajów włoskich utworów, mogliśmy nabrać poję-

cia z srebrnej wyłaczanej i wytwornie cyzelowanej tacki srebrnej, wyobrażającej tryumf miłości, którą katalog pod nr. 790 zamieścił, podając za prawdopodobny wyrób florencki z XVI wieku. Dość przypa- trzyć się było temu dziełu sztuki, by zmierzyć całą przepaść, jaka dzieli włoskich artystów z epoki odrodzenia od współczesnych nam złotników. A widzieliśmy na wystawie jeszcze inny w podobnym ro- dzaju utwór, pod nr. 852 zamieszczony, w kształcie obrazka srebrnego ujętego w czarną ramę, a przedstawiającego w wypukłorzeźbie Fortu- nę. I to wyrób włoski, wyłaczany i cyzelowany, a chociaż o wiek ca- ły od poprzedniego późniejszy, przecież celuje wszystkimi zaletami dłuta, z jakich utwory włoskich artystów z daty odrodzenia słynęły.

Z złotnictwem w krajach północnej Europy, jak w Niemczech i Polsce, było trochę inaczej, co i same okazy wystawy stwierdzały. Włosi przyjeźli po starożytną Romie bogatą tradycją w zakresie sztuk plastycznych, do której w XV wieku z niekłamanym nawrócili zapa- łem. Praktyczny kurs swój estetycznej edukacji odbyli oni na niepo- równanej piękności zabytkach sztuki klasycznej, w czym mieli wyższość nad innemi ludami, co takich wzorów nie znali. Ztąd, gdy u Wło- chów spotykamy w tak wysokim stopniu rozwinięte poczucie kształt- owego piękna, u Niemców i Polaków z XVI i XVII wieku szukalibyśmy go daremnie: nie słyniemy pono z tej strony i dzisiaj. I tak, gdy Wło- si naczyniom swoim najprostszego choćby użytku, jak dzbany do wody, potrafia nadawać formy wdzięczne, a w wytworniejszych tego rodzaju wyrobach dochodzą do wykwintnych krojów etruskich i greckich; nasi i niemieccy złotnicy w wyrobie naczyń, jak: srebrne dzbany, puhary, kielichy, misy i t. p. nie rozstają się z nieestetyczną prostotą tradycyj- nych kształtów, choć żyją w epoce odrodzenia, posługują się jego mo- tywami i tworzą w duchu jego estetycznych zasad.

Renesans w wyrobach złotników północnej Europy, występuje przeważnie w swych cechach powierzchownych, w dekoracji, którą przyczepianą bywa do naczyń o formach niezdatnych, nie mających nic wspólnego z istotnemi jego wzorami. Ale nie trzeba zapominać, że w ogólności cechą sztuki nowożytnej, jest raczej malowniczość, niż pla- styka. Starożytna sztuka oddziaływała wyłącznie na estetyczny zmysł wzroku; sztuka nowożytna poszła odmiennemi torami: wyobra- żnia, uczucie, stały się dominującemi żywiołami w jej estetyce, a ma- larstwo i muzyka najstosowniejsem polem do wcielenia jej idei. Prze- waga żywiołu obrazowego, malowniczego, występuje nawet w takich wyrobach, które z natury swęj, jak np. te srebrne konwie, puhary, mi- sy i szklenice, których tak wiele było na wystawie, należą do sfery czystej plastyki. Wszystkie one natomiast grzeszyły brakiem kształ- towego piękna, chociaż przedstawiały dla niego tak wdzięczne pole.

Czytelnik zapamiętał niewątpliwie tę wielką konew srebrną, wy- łażaną, roboty holenderskich złotników z XVI wieku (nr. 750). Co tu za prostota i niezdatność formy, jakżeby to inaczej Włoch wy- kształtował podobną konew. A jednak pokrywające ją sute ornament- ta wyłaczanej roboty i także figury, mające przedstawiać obraz arka-

dyjskich szczęśliwości, świadczą, że wyszła ona z rąk prawdziwego złotnika-artysty. To samo można powiedzieć i o zamieszczonej pod nr. 797 dużej misie srebrnej, augsburskiej roboty z tegoż wieku: kształt tu niczem, wszystkiem dekoracya, na którą składają się wytłaczane ornamenta i także cztery medaliony bardzo artystycznej roboty. W dekoracyach tego rodzaju podziwialiśmy nieraz biegłą rękę złotnika i jego artystyczne wykształcenie. Takim artystą był między innymi ów złotnik augsburski z XVII wieku, co wykuwał wypukły obraz, pokrywający dużą tacę srebrną nr. 792, na której widzieliśmy i Ahaswera, siedzącego na tronie, i Hamana obok niego i Esterkę, zanoszącą na kłęczkach prośbę do perskiego monarchy, i grupy żydów, a wszystko to składało się w bardzo dobrze obmyślany obraz, wykonany z wielką sztuki znajomością, podobnie jak te sześć medalionów w bogato liśćmi dekorowanym otoku, wyobrażających popiersia rzymskich cesarzów. Z rąk niegorszego pewnie artysty wyszedł i kielich wielki srebrny, połączany, także augsburskiego wyrobu z XVII wieku, z figurką na pokrywce (nr. 748), wytłaczany w bogate wzory. Wszędzie tu obrazowość przemaga, natomiast piękno kształtowe, kroje, zupełnie zaniedbane.

Uwagę zwiedzających musiała na się zwrócić tu mnogość najrozmaitszego wymiaru puharów, kufli, kielichów, których pod dwoma tylko numerami sztuk 27 było zamieszczonych, niekiedy przedziwnie dekorowanych. Wymienię tu z pomiędzy nich puhar srebrny złożony, z pokrywą i uchem nr. 761, wysmuklejszy od innych i pokryty artystycznie wytłaczanymi i cyzelowanymi figurami; tudzież kufel srebrny hamburski z XVII wieku nr. 769, ozdobiony takież roboty sceną biblijną, wystawiającą spotkanie Ezawa z Jakóbem. Wreszcie, jako wyborny okaz wytłaczanej roboty bawarskich złotników z XVII wieku, godzi się tu wymienić ów medalion srebrny, oznaczony nr. 853, przedstawiający w płaskorzeźbie jakiś epizod z trzydziestoletniej wojny.

Złotnictwo musiało być znane w Polsce od najdawniejszych wieków. Już na początku XIV wieku krakowscy złotnicy, czyli goldszlagerzy, którzy wraz z malarzami, snycerzami i „szklarzami” jeden cech stanowili, mieli nadaną sobie ustawę, uzupełnioną następnie dodatkowymi przepisami w latach 1497 i 1511, a potwierdzoną im przez królów w 1570, 1581 i 1638 r. Jednocześnie, lub nieco później, podobne cechy spotykamy w Warszawie, Gdańsku, Lwowie, Poznaniu, Płocku, Toruniu i wielu innych miastach Rzeczypospolitej. W pierwszych latach XVI wieku słynął w Krakowie Marcin Martinecz, nadworny złotnik Zygmunta Starego; w XVII wieku Andrzej Łuczewski, Jan Knyper i Jan Ceypler. W tymże wieku słynął z biegłości w swej sztuce nadworny złotnik Jana III, Wacław Grotkau w Warszawie. W XVIII wieku Makary Sypowski, braciszek zakonny i Szabel, złotnik warszawski, odznaczyli się w tym kunszcie. Tacy to zdolni majstrowie zaopatrywali dwór, możną szlachtę i kościoły w kunsztowne wyroby ze złota i srebra; a zapotrzebowanie tych ostatnich snąć musiało być

w one czasy wielkie, kiedy obok krajowców, pracowali dla króla i panów liczni cudzoziemcy złotnicy, których chęć zysku z Wenecyi, Norymbergi i Augsburga do Polski zwabiła. Większą część okazów wystawy i to wyróżniających się artystyczną wartością, stanowiły właśnie wyroby cudzoziemców. Ale i wyroby polskie dobrze świadczyły o stanie u nas tego kunsztu w XVI, XVII i XVIII wieku. Najzaszczytniejsze zaś między nimi miejsce zajmowały dzieła słynnych ze swęj biegłości gdańskich złotników. Ich to wyrobu był bogaty kielich srebrny złożony i wytłaczany, przystrojony sześcioma medalionami emaliowanymi i wysadzany drogiemi kamieniami nr. 693; tudzież tacka srebrna owalna, z dwiema ampułkami nr. 694, w ten sam zupełnie dekorowana sposób, oba zabytki z XVI wieku. Noszą one już znamię odrodzenia, nie tyle naturalnie w kształtach, do których w znacznej części można zastosować to, com wyżej w ogólności o formach renesansu w Niemczech i Polsce powiedział, ile w charakterze pokrywających je ornamentów. Gdańskim też złotnikom wypadłoby może przypisać wystawiony obok powyższych przedmiotów bogaty pacyfikał srebrny złożony, uwieńczony w górze dwoma aniołkami, trzymającemi krzyż w cierniowej koronie, a pochodzący z XVI wieku (nr. 696). Jest on tak samo wytłaczany w wypukłe ornamenta i wysadzany drogiemi kamieniami, układającemi się w kształt wieńca. Stylowe znamiona te same co wyżej.

Z pomiędzy wielu innych okazów, wyróżniającęj się wartości, zwrócę tu uwagę czytelnika na dwie srebrne szkatułki, zawierające kałamarz i piaseczniczkę, zrobione w kształcie sarkofagu. Pierwsza z nich, którą widzieliśmy pod nr. 803, z figurą rycerza, spoczywającego na wieku, miała należeć do Jana Zamoyskiego, kanclerza w. kor.; druga, zamieszczona pod nr. 804, z minierwą na wierzchu, pochodzi z roku 1695. Obie wyrobu gdańskiego, dekorowane są bogato ornamentami i scenami wytłaczanemi bardzo artystycznęj roboty. Z puharów srebrnych przypominamy sobie dwa duże, w kształcie kufli, które pod nr. 747 widzieliśmy, ozdobione figurami wypukłęj roboty i orłem na pokrywie; a także puhar z pokrywą i uchem nr. 770, również dokoła figurami wypukłemi dekorowany: są to zabytki z XVII wieku, niepospolitej pod względem sztuki wartości, która je pozwala z najlepszemi w tym rodzaju wyrobami norymberskich złotników porównać. Taca duża srebrna wytłaczana, z herbem Sapiehów, pochodząca z r. 1711 (nr. 794) i takąż misa, z herbem Zawiszów, w Kopylu, pod Nieświeżem wykonana (nr. 793), chociaż strojnie dekorowane, nie odznaczały się artystyczným wyrobem. Za to wytłaczane sceny z dziejów Starego Testamentu, pokrywające dużą tacę wrocławską z XVII wieku, zapisaną pod nr. 799, znamionują rękę bardzo biegłego złotnika-artysty.

Ale w XVII wieku świetna tradycja włoskiego złotnictwa już słabła, smak się psuł. Na wystawie widzieliśmy np. puhary modelowane, w kształcie ananasów, pawi i t. d.; artyści dziwaczyli, nadając tym naczyniom najnienaturalniejsze, najniewłaściwiej stosowane formy.

Tak np. mieliśmy pod nr. 766 dwa dzbany srebrne złociste, wykonane przez augsburskich złotników w XVII wieku, które się namoczyły tego chorobliwego dziawienia wydać musiały: jeden z nich naśladował kształtem głowę starca, którego wąsy i broda, spływające w bujnych falach, wydymały się w pękate część dzbana; drugi wyobrażał kobietę: głowa jej stanowiła szyję dzbana, zaś gors, od szyi począwszy, puchł nagle i wydymał się, przechodząc w obfite a niesmaczne formy, do pękatości dzbana zastosowane. W miarę upadającego smaku, zaczynają być zarzucane wyroby artystycznie wytłaczane i cyzelowane; w utworach złotników XVIII wieku zaczynają przemagać cechy francuskiego smaku, tej mianowicie jego odmiany, którą w modę czasy Ludwika XIV i XV wprowadzili. W kunszcie złotników, stosującym się do nowych wymagań czasu, zaszła zmiana, sprowadzająca je z dawnych torów na drogę, którą w końcu dojść musiało do tego, czém jest dzisiaj.

Dość było spojrzeć na świetną zastawę srebrną stołową, wyrobu augsburskiego z r. 1722, oznaczoną nr. 707, żeby się odrazu przekonać, że złotnictwo zerwało z dawną tradycją. O kunsztowném wytłaczaniu i cyzelowaniu niema tu już mowy. Ale formy ciężkie przedtém i stateczne, dziwnie rozochociły, rozruszały, wijąc się i majacząc w najfantastyczniejszych kształtach. W zastawie tej spotykamy się z formami rococo, w ich najbujniejszym rozkwicie. Główną jej część stanowi jakaś dziwaczna, przejrzysta, przedziwnie lekko i kapryśnej architektoniki budowla, którą u góry wieńczy równie lekka, powabna, powycinana w najrozmaitsze wzory kopułka, jakby w powietrzu zawieszona, zaledwie dotykająca lekkich słupków i siatkowych podpór, zaledwie zaczepiająca się o nie tu owdzie, jakby od niechcenia, jaką wijącą się wdzięcznie gałązką. A wewnątrz tego wszystkiego scena myśliwska. Do tej zastawy sutęj, należały cztery wazy, tyleż łyżek wazowych, cztery półmiski, dwie cukiernice i t. d., razem sztuk 20, a wszystkie one przedstawiają ten sam typ estetyczny, tę samą swawolną bujność linii. Zupełnie w tym samym stylu były jeszcze dwa kosze srebrne do owoców, powycinane misternie w przezrocze (nr. 717), tak, iż zdawało się, że do jednego z powyższą zastawą garnituru należą. Wystawione pod nr. 846 przybory do toalety, w liczbie sztuk 22, wyrobu również augsburskiego, z epoki Ludwika XV, noszą znamię tego samego stylu, który tu wszelako nie pozwala już sobie na te zuchwale a nęcające oko harce, co w przedmiotach wyżej wymienionych.

Pięknie fasonowany i gustownie ornamentowany kielich w stylu Ludwika XVI (nr. 774), tudzież w tymże stylu wykonany, współczesnego nam wyrobu (Christophle) serwis do herbaty, złożony z samowara, tacy, imbryka i t. p. (nr. 716), były już zgoła w innym rodzaju kształtowane i dekorowane. Spotykaliśmy się w nich z powracającą reminiscencją kształtów i motywów starożytniej plastyki; chociaż w wspomnianym serwisie są jeszcze pewne dziwactwa, przypominające baroco, jak np. zastosowanie do dekoracji lwich skór udrapowanych

i t. d. Piękna zastawa do herbaty lub kawy, z nowożytnego francuzkiego wyrobu (Froment Mearice), składająca się z pięciu naczyń o bardzo wdzięcznych krojach, również styl Ludwika XVI naśladowuje.

Styl I-go cesarstwa, t. j. epoki, która się szczególnie odznaczyła naśladowaniem kształtów i przerabianiem motywów greckiej i rzymskiej sztuki, dał się nam poznać w nalewce srebrnej, złożonej, wytwornego kształtu (nr. 731), którą zdobiły artystycznej roboty wypukłe rzeźby i herby cesarstwa Brazylijskiego, jako też w różnych wazach, samowarach i t. p. wyrobach, których wiele widzieliśmy.

Należałoby zamknąć przegląd tego działu wystawy wzmianką o współczesnym naszym złotnictwie, ale nasi pp. fabrykanci wyrobów srebrnych i platerowanych, z nieznanych mi powodów, nie wzięli w niego udziału.

Jak wyroby złotnicze dały nam poznać przedewszystkiem estetyczny charakter epoki odrodzenia, tak stylowe znamiona czasów późniejszych, mianowicie od Ludwika XV począwszy, bardzo interesujące się przedstawiały na bogatych kolekcjach wyrobów z brązu. Wysokie zalety plastyczne tego materiału, łatwość, z jaką się poddaje kształtowaniu za pomocą odlewu, tłómaczą nam tę jego zdolność odzwierciadlania najmniejszych odmian, jakim ulegał smak estetyczny od pierwszych lat XVIII wieku do ostatnich czasów. Idea piękna, w duchu starożytnej plastyki pojęta, której włosi z epoki odrodzenia stali się tak gorliwymi wyznawcami i krzewicielami, spacyła się z biegiem czasu; zaś z końcem XVII wieku w dziedzinie sztuki i spowinowaconych z nią gałęziach przemysłu występować zaczynają znamiona estetyczne zgoła innego rodzaju, świadczące, że się skończyło jej panowanie. Włoscy artyści przestają być wyrocznią w rzeczach dobrego smaku, którego prawa dyktuje odtąd Francya. Rola ta dostała się jej mianowicie za Ludwika XIV, jednocześnie z politycznym przewodnictwem w Europie, które jej pomyślne wojny tego monarchy zapewniły. Ale na dworze potężnego króla, który się najsławniejszymi otaczał artystami, sztuka straciła do reszty piętno szlachetności i prostoty, stając się służebnicą ambicji, zbytku i chęci błyszczenia. Ów chętny a absolutny indywidualizm, co mienił się być państwem wcieleniem, znajduje swój wyraz i w dziedzinie pięknokształtu, w którym łamane i paczone dowolnie linie, zaczynają brać przewagę nad dawną form jasnością. Sztuka i spowinowacone z nią rękodzieła, starając się dogodzić wymaganiom dworu i wykwiutnego świata, odwołują się do współdziałania takich podniecających środków, jak drogie kruszce i kamienie. Z nastrożonemi i pudrowanemi perukami, wchodzą w modę świecidełka.

Ale dopiero za Ludwika XV, w epoce zupełnego rozluźnienia obyczajów, nowy ten estetyczny kierunek w sztuce i przemyśle, miał wypowiedzieć się z całą swawolą bujnej imaginacji, która, dworując sobie z praw logiki, zużywała się w najwymyślniejszej dekoracji ówczesnych buduarów, urządzanych z olśniewającą zmysły kokieterią, w których wykwiutni a wykoronkowani markizowie tak lubili spędzać

przyjemne chwile na poufałym tête à tête z pięknymi a sentymentalnymi paniami, które bielidłem i nalepionymi na twarz czarnymi muszkami, starały się podnieść siłę swych wdzięków. W świecie, w którym pani de Pompadour dyktowała prawa smaku i wykwiłtniej elegancyi, wszystko przybierało jakąś cechę lekkości, wdzięczenia się, kokieteryi. Lubiano się otaczać utworami pędzla i dłuta, przedstawiającymi sceny miłosne z mitologii lub zakochanych arkadyjskich pasterzy i pasterek. Fabrykanci porcelany, złotnicy, jubilerowie, malarze wachlarzy i tabakierki, starali się schlebiać tym upodobaniom. Wreszcie do uświetnienia dekoracyi salonów i buduarów przyczyniały się niemało złoczone brzozy, które szczególnie za Ludwika XV znalazły wielkie upowszechnienie.

Widzieliśmy na wystawie mnóstwo wyrobów brzozywych z tej epoki, noszących jej estetyczne znamię na sobie, a dających wysokie pojęcie o brzozywnikach, obsługujących ówczesny świat wytworny, prawdziwych artystach w swoim rodzaju. Nie odzwierciadlał się lekki, wymyślny wykwiłt tej epoki w owych np. dwóch świecznikach z brzozy złoczonego, które widzieliśmy zamieszczone pod nr. 571. Jakże się to powabnie wiły i skręcały ich ramiona; przeznaczone do trzymania świec, lubo praktyczne ich przeznaczenie najmniejszego im do tego nie dawało powodu. Wszystko tam było kaprysem i fantazyą, nawet owe niby liście, z których uwite zostały ramiona, bo gdzież kto na świecie znalazłby liście podobnego kroju! A ile w tym wszystkiem było wdzięku, ile wyrafinowanej elegancyi! To samo powiedzieć można i o innych okazach brzozy z tej epoki, któremi salony wystawy były przystrojone. Wymienię tu z pomiędzy nich dwa kandelabry stojące, z połączonego brzozy, zapisane w katalogu pod nr. 591, i modelowane podobnie na motyw jakichś zawiłych idealnych lści; oraz parę wiszących kandelabrow złoczonych nr. 573, będących odmianą tego samego estetycznego typu, który zresztą powtarza się muięj więcej we wszystkich świecznikach i kandelabrach brzozywych z tej epoki: wszystkie one w podobny sposób swywoła swemi lściastemi ramionami, wszystkie zarówno odrobione wybornie. Smak rococo znalazł tu zaiste najwdzięczniejsze dla siebie zastosowanie. Można nie lubić jego form kapryśnych, nie podzielać zasad wykwiłtniej estetyki brzozywników pani de Pompadour, ale trzeba im przyznać, że wymownie ich bronić umięją.

Bardzo charakterystycznymi okazami stylu rococo, były zegary stołowe, w złoczone brzozy oprawne, których coś sześć naliczyliśmy. Architektonika ich dziwaczna, formy wypaczone, wszędy jaknajstarraniejsze unikanie linii prostej, i wszystkie pod tym względem są do siebie podobne. Najpiękniejszym z nich był może wielki zegar bardzo bogato inkrustowany, oznaczony liczbą 562; ale i zegar nr. 558, tej samej co poprzedni architektoniki i w podobny dekorowany sposób, zwracał nie mniejszą na się uwagę. Katalog oba te okazy podaje za dzieło Boule, zatem wypadłoby je właściwie odnieść jeszcze do epoki

Ludwika XIV, za którego panowania żył i pracował sławny ten stolarz-artysta. Widzieliśmy jeszcze zegary stołowe odmiennego trochę kształtu, całe z złoczonego bronzu, jak np. nr. 542, 544 i 545; a wszędzie spotykaliśmy ten sam ulubiony motyw, zaczerpnięty z królestwa roślinnego, który bujna fantazja, zaprawiona na panującym smaku epoki, wyzyskiwała w najdowolniejszy sposób, a wszystko tu było pełne wdzięku, powabu, nigdzie w tych skrętach nie dopatrzyłeś znamienia przymusu.

Rozwiązyły obyczaj dworski, który się i wyższym udzielił sferom, niedola, w jaką pogrążyły kraj niedołęztwo króla, rozrzutność jego kochanek i rządy niegodnych ministrów, budziły niechęć do dworu i arystokracji; panujący smak wymyślny sprowadził przesyt. Wzdychano do innych rządów, dla myśli, dla treści za nowymi oglądano się formami. Umysły trzeźwiały. Z wstąpieniem na tron Ludwika XVI rozpoczyna się okres przechodni do form klasycznych, które za wielkiej rewolucji i dyrektoryatu, miały tak wszechwładnie zapanować. Już tragedye Voltaire'a na stosunkach Staréj Romy osnute, jak Brutus i Śmierć Cezara, utorowały poniekąd drogę Dawidowi, który już otwarcie zawraca do form starożytnéj plastyki, budząc swemi historycznemi obrazami, jak śmierć Hektora, a szczególnie Przysięga Horacyuszów, zapal dla klasycznéj starożytności. Ustępują tedy zwolna owe formy swawolne, upowszechnia się smak trzeźwiejszy, znany pod nazwą stylu Ludwika XVI. Naocznie przekonywały nas o tym zwrocie brzozy z téj epoki. Motywa roślinne nie pochłaniają już całej inwencji ówczesnych brzoźników, którzy do ornamentyki obok nich wprowadzają żywioły odmiennéj natury. Cechy takiego trzeźwiejącego stylu posiadały właśnie dwa zegary ściennie z brzozy złoczonego, zapisane w katalogu pod nr. 537, a także zegar ścienny nr. 535: wszystkie trzy z epoki Ludwika XVI. Na innych okazach widać było jeszcze wyraźniej ową dążność do pozbycia się znamion stylu rococo. Do takich należały między innemi zegary stołowe nr. 548, 549 i 553. Architektonika ich o wiele logiczniejsza, mniej skomplikowana. W innych wreszcie okazach ten zwrot ku czystszy, szlachetniejszemu formom wyrażał się w motywach, czerpanych z starożytnéj plastyki, jak w czterech lichtarzach brzożowych złoczonych nr. 595. Ukształtowane z trzech karyatyd, stanowiących trzon lichtarza i dźwigających świecznik, w podstawie dekorowane były bardzo gustownie, motywem liści akanтусowych i sznurkiem, jakby złocistych pereł. Piękne te okazy zwracały uwagę bardzo wyraźną reminiscencyą form antycznych. W tym samym rodzaju były dwa lichtarze nr. 597, o czterech karyatydach każdy, choć nie tak już piękne. Zaś para kandelabrow z porfiru i złoczonego brzozy nr. 588, w postaci wytwornie modelowanych amfor, wprowadzała nas już zupełnie w dziedzinę starożytnéj plastyki. Wprawdzie można było spotykać z téj epoki i takie wyroby, w których charakter ustępującego rococo dość silnie się jeszcze wypowiadał.

Rewolucya dokonała ostatecznego przewrotu, zarówno w sferze

polityki, jak myśli i formy. Naśladowanie wzorów rzymskiej i helleńskiej sztuki wyrobiło nowy styl, który za dyrektoryatu już w zupełnie skryształizowanej wynurza się postaci. Był on logicznym następstwem owych dążeń do prostoty i szlachetności formy, których znamiona na bronzach z epoki Ludwika XVI zaobserwować mogliśmy. Naśladowanie we wszystkiem klasycznych czasów Rzymu i Hellady, stało się modą, której poddali się i francuzcy artyści, a za tymi, jak zwykle, poszli tą drogą artyści całego świata. Estetyczny charakter dzieł sztuki i wyrobów zbytkowniejszych z tej epoki nosi wyraźne piętno tego klasycznego kierunku. Linie zyskały na czystości formy, na wytworności krojów, ale niestety z pewną ujmą oryginalności, która bądź co bądź jest zawsze pożądanym przymiotem każdego myśli i wyobraźni utworu. Przytém pewna napuszystość zastąpiła dawny wykwint. Ale bądź co bądź owe dwa wazony z ciemnego bronzu nr. 607, na których tle błyszcząły złoczone sceny mitologiczne w płaskorzeźbie, były bardzo szczególnie antykowych motywów kombinacją. Podobać się też musiała i inna para kandelabrow nr. 587 oznaczona; wdzięczna swoboda ich ramion, kształtowanych na temat roślinny, logika w kombinacji motywów, bardzo je dobrze zalecały.

Te same cechy zachowują bronzы i z epoki I-go cesarstwa, choć w nich się częściej można spotkać z chełpliwą napuszystością form, tak nie licującą z motywami antyków. Przykładem tego mogły być dwa wielkie, rzucające się w oczy kandelabry stojące, złoczone, osadzone na marmurowych podstawach nr. 581, które więcej błyszcząły, niż mogły zadowolić estetycznie. Z głównego ich trzonu modelowanego, w kształcie pęka strzał czy włóczni, dekorowanego przy podstawie rzymskimi pancerzami i puklerzami, występują w trzech kondygnacjach ramiona do trzymania świec, o niesmacznych kształtach powyginanych trąb—jedno z drugim nie licowało jakoś. Smak francuzki nie dopisał tu wyraźnie, jeśli tylko owe kandelabry były w istocie francuzkiego wyrobu. Grzeszyły również pewną pretensjonalnością inne dwa duże kandelabry z złoczonego bronzu, na podstawach z czerwonego marmuru, z trzema figurami ciemnymi nr. 578, lubo nieco estetyczniejszej kompozycji. Zresztą bronzы z czasów I-go cesarstwa, pod względem wytwornej roboty, nie ustępują bronzom dawniejszym; a w stylu tej epoki, zwłaszcza, gdy się z nim dobry smak artysty pokumał, były wykonywane dzieła wysokich zalet estetycznych, jak np. wspianała zastawa stołowa, która była umieszczona na środku pierwszej sali wystawy (nr. 663). Stanowiło ją siedm płyt zwierciadlanych, zestawionych z sobą i otoczonych galeryjką z bronzu złoczonego, bardzo artystycznej roboty, która w szeregu sylwetkowych płaskorzeźb przedstawiała sceny mitologiczne; na piedestałach zaś stanowiących przedziały między temi płaskorzeźbami i na środku owych płyt wznosiły się amorki, podtrzymujące świeczniki, karyatydy dźwigające kosze i t. p. figury, których wykonanie, pod względem sztuki, nie pozostawiło nic do życzenia. Motywa klasyczne widzieliśmy tu spożytkowane z gu-

stem i znajomością rzeczy. Myślę, że dosyć tego będzie o bronzach cesarstwa.

Tu miejsce powiedzieć kilka słów o wazonach, których przesłizane okazy z epoki cesarstwa widzieliśmy. Starożytne amfory, urny i patery przedstawiają takie bogactwo form wytwornych, taki bogaty wybór wzorów, że zadanie sztuki nowożytnej polega jedynie na mniej lub więcej dokładnem ich powtarzaniu. Nie zdobędzie się ona bodaj nigdy na nic doskonalszego pod tym względem. Przypominamy tu mianowicie gustownie wykształtowany wazon z bronzu ciemnego nr. 608, dalej trzy z takiegoż bronzu wazony nr. 609, dekorowane gustownie wieńcami, i dwa wazony marmurowe w oprawie bronzowej złoconej, dekorowane płaskorzeźbami, wyobrażającymi pochód Bachusa (nr. 112), wszystkie na antykowych osnute motywach.

Zbiorem figur mitologicznych i odlewów bronzowych, nie mających bliższej z przemysłem łączności, zajmować się nie będziemy. Zbiór bronzów japońskich, interesujących niewątpliwie, ze względu na kunsztowność roboty i dziwactwo motywów, nie może być również przedmiotem obecnych studiów. Chcielibyśmy natomiast powiedzieć coś o wyrobach bronzowych w dawniej Polsce, ale tu wystawa nie nastrocza nam obfitego wątku. Lubiano i u nas ten rodzaj dekoracyi: kosztowne zegary, kandelabry, wazony, zdobiły komnaty możnych panów, ale ci sprowadzali sobie te rzeczy z zagranicy, z Paryża. Krajowy przemysł w tym kierunku nic nie przedstawiał. W każdym razie nie godziłoby się pominąć tu dwóch zegarów ściennych polskich z XVII wieku. Jeden z nich wyłaczany i grawirowany w ornamenta nr. 561, był okazem dość grubej roboty. Natomiast drugi, okrągły, nr. 541, ozdobiony był wyłaczaną na cyferblacie sceną, przedstawiającą hołd magów, wcale artystycznej roboty. Na werku tego zegara, jak objaśnia katalog, jest napis: „Marcus Meyer fecit. Lublin.“

Na tegoczesnem bronzownictwie ciąży kłótwa bezbarwności, bezstylowości, cechująca zresztą ogół prac artystycznych naszego wieku. Obracamy się najdowolniej w błędnem kole dawnych form i motywów, przezuwając je do nieskończoności. Stanąwszy na stylu z epoki 1-go Cesarstwa, nie posunęliśmy się ani na krok dalej. Jego znamię mogliśmy też widzieć na tych kilku okazach tegoczesnego wyrobu, które wystawił p. Bitschan, jedyny fabrykant wyrobów bronzowych, który wziął udział w wystawie. Okazy te utwierdziły nas w przekonaniu, że nasi bronzownicy wiele nauczyć się mogą i powinni, od swych zagranicznych, zwłaszcza paryzkich kolegów.

Do uświetnienia dekoracyi salonów wystawy, po gobelinach, najwięcej bezwątpienia przyczyniały się meble, których było może do dwóchset okazów. Widzieliśmy między niemi prawdziwe arcydzieła stolarskiej sztuki, dające wysokie pojęcie o jej stanie we Włoszech i Francyi w XVI, XVII i XVIII wieku.

Trzymając się przyjętego systemu, zaczęę przegląd téj prawdziwie doborowej kolekcyi od jedynego okazu dawnej, zaniechanéj w meblach

od wieków architektoniki ostrołukowej, gotyckiej. Uprzytomniało nam ją biurko rzeźbione, z żelaznym okuciem, wyrobu niemieckiego. Styl rzeźb, bardzo starannie wykonanych, pozwoliły by odnieść do pierwszych lat wieku XVI, chociaż może być ono i znacznie późniejszej roboty. W Niemczech długo bowiem jeszcze po pierwszym zawitanie włoskiego odrodzenia, spotykają się artyści i rękodzielnicy, pracujący według dawnych wzorów.

Z okazów noszących znamię odrodzenia z pierwszej jego doby, godnemi uwagi były dwie skrzynie: jedna bardzo pięknie rzeźbiona, roboty włoskiej z XVI wieku, oznaczona Nr. 1483; druga wyrobu weneckiego, o cały wiek od tamtej późniejsza, więc i bogaciej rzeźbą dekorowana, Nr. 1485. Podstawę tej ostatniej stanowiły dwie karyatydy w postaci przykłąkłych i uginających się pod ciężarem murzynów, wcale dobrego dłuta. Dwa inne okazy w stylu odrodzenia z XVII wieku: stół rzeźbiony wysuwany Nr. 1437 i szafa duża orzechowa, również rzeźbiona Nr. 1473a, dały nam próbkę biegłości dawnych gdańskich stolarzy, których wyroby w dawniej Rzeczypospolitej były cenione i poszukiwane. Z okazów tych mogliśmy powziąć istotnie o ich uzdolnieniu dobre pojęcie; architektonika dobra, wykończenie staranne, nawet artystyczne; chociaż niektóre szczegóły w tych wyrobach (kręcone nogi, łamane linie i t. p.) znamionują już renesans późniejszy, upadający. Te same cechy przekwitłego renesansu, jak to mogliśmy zauważyć, posiadały: kredens dębowy, rzeźbiony, z karytydami, Nr. 1474, także z XVII pochodzący wiek, oraz biurko rzeźbione niemieckie starannej roboty, ale niezdarnej architektoniki Nr. 1416.

Wiek XVI, a poczęści i XVII jeszcze, były epoką, w której meblom wystarczały za dekorację same rzeźby zazwyczaj bardzo artystycznej roboty. Z biegiem czasu, w miarę jak upadało zamiłowanie do plastycznego piękna, zmieniają one charakter swój dekoracyi. Coraz rzadszemi się stają rzeźby wytworne, miejsce ich zajmują przepyszne inkrustacje z kości słoniowej, perłowej masy i metalu, mozaiki i t. p. W XVII wieku z wyrobu takich kosztownych mebli słynęli Włosi, którzy w zakresie sztuki i rzemiosł z nią spokrewnionych zawsze jeszcze rej wiedli w Europie. Te kilka okazów ich kunsztu, któreśmy na wystawie widzieli, świadczyły, że używali zasłużonej sławy i wziętości.

Najcenniejszym okazem włoskiego stolarstwa było niewątpliwie wytworne biurko z czarnego drzewa Nr. 1412, wysadzone różnobarwnymi kamieniami i inkrustowane bogato kością słoniową, w arabeski najwytworniejszego rysunku, które zeń czyniły prawdziwe arcydzieło w swoim rodzaju. Sama tylko architektonika biurka przypominała nam, że mieliśmy tu do czynienia z okazem sztuki z epoki upadającego smaku; mam tu na uwadze mianowicie blat biurka, ścięty z dwóch stron ukośnie od strony stojących na nim szafek, które zastosowane w swym rzucie poziomym do tak połamaną linią, zakłócają jej harmonie, działając nieprzyjemnie na oko. Ten sam charakter dekoracyi posiadały: szafka z drzewa czarnego wytwornej weneckiej roboty, in-

krustowana kością słoniową i ozdobiona nielowanym na niej widokiem bitwy Nr. 1471; szafka z takiegoż drzewa na wysokich nogach, jakby na stoliku umieszczona, wykładana kością słoniową, z dwoma nielowanymi na niej krajobrazami, z XVII wieku, Nr. 1467; szafka czarna dekorowana bogato barwnymi kamieniami, bronzami i nielowanymi inkrustacyami Nr. 1470 i także szafka o dwóch kondygnacjach, nie wciągnięta do katalogu (więc jej Numeru nie podaję), bogato dekorowana złożonemi bronzami i dwudziestu sześciu złożonemi medalionami, wypukłej bardzo artystycznej roboty, wszystkie okazy, z wyjątkiem może ostatniego, włoskiego wyrobu.

Obok wyrobów powyższych stanąć jeszcze mogła zapisana w katalogu pod Nr. 1461 szafeczka hebanowa, inkrustowana szylkretem i ozdobiona srebrnymi ornamentami, wyrzynanemi misternie w liściaste wzory, wyrób z r. 1658; tudzież szafeczka niemieckiej roboty o dwóch kondygnacjach Nr. 1459, dekorowana ośmnastoma płaskorzeźbami lanemi ze srebra i cyzelowanemi. Wszystkie te okazy motywami swych dekoracji należą do epoki odrodzenia, chociaż w ich architektonice, mianowicie w połamanych liniach tej ostatniej, w ścinanych rogach i t. p. szczegółach, wypowiada się panujący podówczas styl baroco.

Tu wreszcie miejsce wspomnieć o ciekawym okazie biegłości artystów-rzemieślników XVII wieku, mającym dla nas oprócz tego wartość pamiątkową. Mówię o fotelu obozowym króla Jana Sobieskiego (Nr. 1445), wyrobionym ze stali, dekorowanym złożonemi bronzami i wyrznanym misternie w przezroczyście wzory, co go zarazem i ozdobić i lżejszym uczynić miało. Ale okaz to zbyt kunsztowny i piękny, byśmy go za wyrób krajowy poczytać mogli, ile, że sztuki i rękodzieła za tego króla były już w stanie upadku. Nie ma też pewności, czy krajowego wyrobu jest kufer z brazylijskiego drzewa, dekorowany emalią, kamieniami i ornamentami filigranowej roboty, własność niegdyś Michała Wiśniowieckiego. Katalog, w którym znajduje się zapisany pod liczbą 1484, odnosi jego pochodzenie do XVI wieku.

W ostatnich dziesiątkach lat XVII wieku, to jest w epoce, kiedy zaczyna się już rozchodzić po świecie sława paryzkich stolarzy, kiedy ci ostatni, a nie Włosi, stają się wzorem dla rzemieślników całej Europy, w kształtach mebli wynurzać się zaczyna coraz wyraźniej nowy typ architektoniczny. Łatwo odgadnąć jego naturę czytelnikowi, który już wyżej, gdy rzecz była o bronzach, zaznajomił się z estetycznym charakterem epoki Ludwika XIV, w której rococo ujrzało światło dzienne. Stolarstwo za tego króla, wspierane przez dwór i jego wykwintne sfery, stało się w istocie na wysokim stopniu doskonałości. Ceniono je niemal na równi z innemi sztukami, a sławny podówczas stolarz-artysta Andrzej Karol Boule (1662—1732), którego warsztaty dostarczały najwyśtańszych mebli, uchodził za nieporównanego mistrza w swym fachu. Inkrustacje i mozaiki, któremi je dekorował, były istnemi arcydziełami.

Miedzy wystawionemi meblami widzieliśmy dwie szafki z konsolemi Nr. 1465 i postument pod biust lub wazon Nr. 1500, które katalog za wyrób tego mistrza-stolarza podaje. Przyjrzawszy się im, mianowicie owym szafkom, łatwo było temu uwierzyć. Architektoniki dość logicznój, bo łamane i krzywe jéj linie dalekiemi są jeszcze od tego braku miary, jaki cechuje smak rococo, pokryte są całe najwytworniejszemi inkrustacyami z szylkretu, srebra i mosiądzu, usprawiedliwiającemi zupełnie sławę mistrza, z którego rąk wyszły. Wspomniony wyżej postument z czarnego drzewa, trochę kapryśniejszej struktury, bo zwężający się bez racyi ku górze, inkrustowany szylkretem i mosiądzem, a oprawny w brzozy współczesne, téż nie daje próbki smaku epoki, który się jeszcze smać był nie ustalił. Wypowiedział się on dopiero z całą swobodą w spaczonych formach kanapy złożonéj, krytéj gobelinem Nr. 1442, w takimże fotelu Nr. 1452 i w dwóch innych orzechowych Nr. 1448. Tu już rozstaliśmy się z liniami prostemi dawnego architektonicznego typu, tu wszystkie już one przeszły w stan mniej lub więcej falisty.

Ale zwróćmy się do mebli z epoki Ludwika XV, w których nowy ten styl, znany nam już poniekąd z porcelany, wyrobów złotniczych, a szczególnie bronzowniczych, mogliśmy studyować we wszystkich jego szczegółach. Jakże to wdzięcznie i zalecająco się przemawiał on do oka np. w owych różnego rodzaju komodach i komódkach, których wystawa tak wiele zgromadziła; w jakie to powabne wyginał się linie, byle tylko otumanić oko i ukryć przed niém brak logiki i szczerości. Poprzestanę tu na przytoczeniu komódki na nóżkach, z białem marmurowym, Nr. 1417, wykładanéj w kwiaty różnobarwném drzewem i ozdobionéj bronzami; tudzież dużej komody z drzewa różanego, podobnie z białem marmurowym, mozaikowanéj drzewem orzechowém i palisandrem i dekorowanéj bronzami. Ale te same wypaczone kształty spotykaliśmy i w biurku z drzewa różanego i sandałowego z bronzami Nr. 1404 i w stole Nr. 1430 i zresztą we wszystkich okazach z téj epoki.

Wyroby niemieckich stolarzy, choć w tym samym niby fasonowane stylu, bo naśladowano go zaraz wszędzie, nie posiadały już tego wdzięku i powabu. Komoda Nr. 1425, inkrustowana kością słoniową i opatrzona bronzami złożonemi, grzeszyła przesadą i brakiem konsekwencji w przeprowadzeniu idei stylu, co wyrażało niesmak i dowodziło, że owe kapryśne i niby dowolne formy mają też swe prawa, których bezkarnie naruszyć nie można. Podobnie i komoda orzechowa Nr. 1428, z szafką oszkloną, z bronzami i niełowanemi na kości scenami myśliwskimi, podrzeźniała formy francuzkie, z właściwą niemieckiemu zapfowi niezręcznością.

Meble z czasów Ludwika XVI były wierném odzwierciedleniem znanych nam już estetycznych znamion téj epoki. Ustępujący z pola smak rococo walczy w nim z prądem przeciwnym sobie, to upadając w zapasach, to zwyciężając na chwilę. W meblach linie krzywe, faliste, znikają stopniowo; proste odzyskują dawne prawa. Zresztą w nie-

których okazach téj epoki widzieliśmy jeszcze wypaczone kształty, podgięte nogi i t. p. cechy stylu Ludwika XV, jak up. w stoliku z drzewa różanego, z blatem marmurowym i bronzami Nr. 1431, w szafce hebanowej, dekorowanej bronzami złożonemi i bukietem z mozaiki florenckiej Nr. 1462; zaś w stoliku małym, inkrustowanym różnobarwném drzewem Nr. 1432, powracał on prawie w całej swéj sile. Atoli w innych okazach przeważa architektonika trzeźwiejsza, logiczniejsza, jak np. w dwóch konsolach z drzewa złożonego, o prostokątnych blatach z malachitu i ciemnego marmuru i w dwóch innych, mających blaty półokrągłe z białego marmuru (wszystkie cztery zapisane pod Nr. 1488), a osobiwie w komodzie mahoniowej, z szafkami, blatem marmurowym i bronzami Nr. 1422; zaś w komódce mahoniowej Nr. 1424, ozdobionej medalionami z fajansu Wedgewood, widzieliśmy ją nawet sprowadzoną do prostoty, graniczącej nienal z ubóstwem.

W architektonice mebli z pierwszych lat bieżącego wieku, nie spotkaliśmy już ani śladu rococo: linie przestały swywolić, formy stały się logiczniejszemi, pozbyły się do szczytu znamion owéj wykwintnéj a bałamutnéj lekkości stylu Ludwika XV. Zastąpiła je powaga, przechodząca niekiedy w napuszystość—to styl mebli z epoki 1-go Cesarstwa. Za główną ich dekorację służyły złożone bronzы, wyzyskiwane w tym celu przez ówczesnych fabrykantów z niemałym w istocie dowcipem. Wielka rewolucya zniwelowała stany, wszyscy obywatele stali się równemi w obliczu prawa, a głowy tych, co nad średni poziom owéj równości wystawały, spadały z karków jeszcze w 1793 r. W życiu i obyczaju wytworzyła się pewna przeciętna skala miernoty, do którój ci, co ją przerastali, nagiąć się musieli, żeby oczów na się nie zwracać; gdy inni, nie dorastający do téj miary, czynili wysiłki, by się do niéj podnieść. Zamiłowanie wykwintu przestało być wyłącznym dworu i możnéj szlachty udziałem, rozlało się szeroko po powierzchni społecznej; tylko, że była to już wykwintność nieco późniejszego gatunku. Ludzie średniej zamożności pragnęli trybem życia, a choćby zewnętrznie- ni jego pozorami zrównać się z najzamożniejszymi, z którymi od niedawna dzielali obywatelskie i polityczne prawa. W meblach inkrustacye zostały zaniechane, jako nie dla każdéj dostępne kieszeni. Lepsiej już wymaganiom chwili odpowiadały złożone bronzы, za którymi i to jeszcze przemawiało, że błyszczały. A błyszczyć lubili bardzo pod owe czasy ci, których szczęśliwy los dźwignął świeżo z nicości.

Stół okrągły Nr. 1434, z blatem zwierciadlanym, pod którym obiegała dokoła płaskorzeźbowa dekoracya z złożonego bronzу, modelowana w liście i postacie Bachusa, był doskonałym okazem stylu z epoki 1-go Cesarstwa; podobnież i drugi stół okrągły Nr. 1435, z blatem marmurowym, otoczonym galeryjką z złożonego bronzу, wyobrażającą w płaskorzeźbowych sylwetkach jakieś mitologiczne sceny. Biurko mahoniowe z szufladkami na nóżkach Nr. 1409, w tymże stylu, nie zachwycało nas wprowadzie nielowanemi artystycznie inkrustacyami, jak np. owe biurko włoskiej roboty, które pod liczbą 1412 widzieliśmy; nie

było też wykładane w kwiaty z różnobarwnego drzewa, jak tego rodzaju wykwentne sprząty z epoki Ludwika XV; nie było snąć zrobione dla magnata, jak prawdopodobnie tamte; ale odznaczało się wyborną robotą i mogłoby zarówno w gabinecie wielkiego pana, jak obywatela średniej miary zająć miejsce.

Meble z czasów nam bliższych, oraz te co współcześni nam stolarze i tapicerowie wyrabiają, nie mają żadnych znamion jakiegoś odrębnego stylu, bo tego, jak już wiemy, wiek nasz nie wytworzył. Sięgamy tedy po modele to do epoki odrodzenia, to do czasów Ludwika XIV i XV, to do Dyrektoryatu i Cesarstwa; dla odmiany probujemy niekiedy stosować do wyrobu mebli gust wschodni, nawet chiński — ale na żaden krok samodzielny w tym kierunku nowożytni fabrykanci mebli zdobyć się nie potrafią. I tak z wyrobów nam współczesnych, widzieliśmy stół z brązu złoczonego z blatem malachitowym z fabryki p. Mintra Nr. 1441, w stylu pierwszego cesarstwa; kanapę rzeźbioną w stylu odrodzenia z pokryciem perskiem (!) Nr. 1444; biurko z blatami z laki chińskiej Nr. 1410; dwie kolumny drewniane w postaci spiętrzonych grup amorków dobrego dęta włoskiego Nr. 1541 i komin Nr. 1503, w stylu włoskim XVI wieku. Ten ostatni wykonano w stolarni ks. Michała Radziwiłła w Nieborowie. Zdobią go między innymi, kafelki starej malowanej porcelany Delft i żelazna płyta z płaskorzeźbą, przedstawiającą dwóch konnych rycerzy godzących na siebie kopiami, roboty gdańskiej z XVI wieku. Części drewniane noszą istotnie cechy stylu odrodzenia, mianowicie w motywach dekoracyjnych; ale architektonika komina ciężka, rażąca brakiem proporcji, niema z pewnością nic z nim wspólnego. Oko nie może pogodzić uprzejmą logiczną i estetyczną sprzeczności, jaka zachodziła między ciężkim gzymsem a szczupłymi kolumnami, przeznaczonemi do jego dźwigania. Snąć stolarzom Nieborowskim, zkażiną dobrym majstrom — robota bowiem owego komina jest staranna — zbywa na tém, czego i wszystkim prawie naszym rękodzielnikom nie dostaje — na estetycznym ukształceniu w stosownym do danego fachu zakresie. Nie zapominajmy jednak, że nasi rzemieślnicy nie posiadają muzeów sztuki i przemysłu, gdzieby dobre dla siebie znajdowali wzory; że nie mają szkół rysunkowych, któreby ich smak kształciły; że nie uczęszczają na wykłady popularne z dziedziny estetyki w zastosowaniu do rękodzielnictwa i przemysłu, bo nikt takowych dla nich nie urządza; słowem, że nie korzystają oni z żadnego z owych środków, jakie rękodzielnikom na Zachodzie tak uprzystępniają estetyczną edukację. Jak tu od nich wymagać stosowania się do zasad architektoniki i proporcji, kiedy znikąd nie mogli o niej powziąć wyobrażenia?

Warszawskim zakładom stolarsko-tapicerskim nie odmówimy fachowego wykształcenia i wielkiej o estetyczne zalety swych wyrobów dbałości, bo jednego i drugiego dowiedli okazami mebli pomieszczonemi w dziale tegoczesnych wyrobów. Firmy A. Hauboldt, L. Mergenthaler i Syn, L. Orthwein, zapełniły kilka salonów okazami w stylu

najrozmaitszych epok, począwszy od włoskiego renesansu a skończywszy na Cesarstwie. Wszystkie odznaczały się dobrocią i elegancją wyrobu, ale — były to same okazy kosztowne, zbyt kosztowne, tylko dla ludzi zamożnych dostępne.

Pod koniec zeszłego wieku zaszedł przewrót, który i sztukom i artystycznym rękodziółom wytknął odmienne tory. Wiele panowie i bogacze przestali być jedynymi ich wytworów nabywcami; podźwignął się liczny stan średni, a zaspokojenie jego potrzeb stało się odąd głównym celem i dźwignią nowożytnego przemysłu. Obniżył się w skutek tego poziom wykwintu, produkcyja straciła bezwątpienia wiele na jakości, ale stała się dla mas przystępniejszą, bo tańszą. Spożytkowane przez przemysł siły przyrody pozwoliły mu jeszcze dalej posunąć się na drodze, którą mu duch czasu i logika faktów wytknęły. Dziś człowiek nawet bardzo średniej zamożności, otaczać się zwykł przedmiotami codziennnej potrzeby, które jego dziad i pradziad poczytywaliby za zbytek, jedynie dla pańskiej dostępne kieszeni. Gdy tedy chcemy sądzić o wartości produkcyi nowożytnego przemysłu, ocenić ją z estetycznego punktu widzenia, a ocenić sprawiedliwie, to względów powyższych z uwagi tracić nie powinniśmy. Nie czynimy też nowożytnemu przemysłowi bezwarunkowego zarzutu z tego, że na wielu punktach nie wznosi się on do dawniej estetycznej miary; a nie czynimy go mianowicie dlatego, że pojmujemy słuszne racye, z którymi rachując się, produkcyi swój inne wytknął cele.

Dziś każdy średnio się mający człowiek, stara się mieć mieszkanie urządzone w sposób, któryby nietylko potrzebie względnej wygody, ale i estetycznym jego wymaganiom czynił zadość. Meble mniej więc wygodne i ładne, stały się artykułem zwykłej potrzeby, a dobroć i gustowność roboty ceuionemi ich przymiotami. Zapotrzebowanie takich mebli — skromnych i niedroгих, jest wielkie a ich wyrób pochłania dziś niewątpliwie najwięcej sił naszych fabrykantów mebli. Ponieważ zaś piękno i dobry smak nie zasadzają się na bogactwie materiału lub zbyt kosztownej dekoracyi, więc stolarz i tapicer, byle z estetycznego poczucia nie obrany, może złożyć dowód swjej umiejętności i gustu zarówno w takich skromnych meblach, jak w kosztownych.

Wracając do wystawowych okazów mebli tegoczesnych, świadcząc się one zdawały, że nasi fabrykanci w tej mierze nie podzielają mego zdania; że nawet co do głównego zadania swego fachu, różnią się ze mną. To co widzieliśmy, były wszystkie meble zbyt kosztowne; nie zaważyliśmy ani jednego okazu, któryby dawał miarę jak też ci panowie, co fabrykują fotele i t. p. meble w stylu Henryka II. Ludwika XIII, Ludwika XIV i t. d., wywiązując się z fabrykacyi owych skromniejszych mebli: słowem, jak obsługują tę rozległą sferę ludzi średniej zamożności, której potrzeby inne gałęzie współczesnego przemysłu tak rozumnie za główny cel swej produkcyi obrały.

Wreszcie te zbyt kosztowne okazy mebli dowodziły, że panowie fabrykanci w kształtowaniu ich powtarzają tylko odwieczne, zużyte szablon-

ny i to szablony zagraniczne. Stosują się oni we wszystkiem do paryzkich fabrykantów mebli i robią to tylko, co tamci im jako modę narzucają. Na coś swego zdobyć się nie próbują nawet. P. Hauboldt wystawił wprawdzie otomanki maurytańskie i stolik, oraz biurko dekorowane bronzami, wykonane według jego własnego rysunku, ale i w tych okazach nie znaleźliśmy nic nowego, nic samodzielnego.

Gobelinów, haftów, złotogłowiów, koronek i pasów nie weźmiemy za przedmiot do estetycznych studyów, jako nie mających dla naszego przemysłu bezpośredniego interesu. Jedne koronki mogłyby nas bliżej zająć, bo pragnęlibyśmy widzieć w kraju rozwiniętą ich fabrykację; ale i dla nich nie zrobimy wyjątku, ile że niniejszy artykuł i tak już nadmiernie urósł pod piórem. Nie pozwala nam téż miejsce zaprzętnąć się szczegółowo działem zbroi i rąnsztunku wojennego, który posiadał ciekawe okazy pancerzy, koleczug, pawęży, szabel, buzdycanów i t. p. przedmiotów, dekorowanych robotą wytłaczaną, grawirowanych lub wysadzanych drogiemi kamieniami, co wszystko świadczyło, że dawni rusznikarze, płatnerze i t. p. rękodzielnicy, obsługujący potrzeby rycerstwa, byli istotnymi w swym fachu artystami. A jakkolwiek podobne przedmioty wyszły oddawna z użycia i dzisiejszy ich przemysł nie wyrabia, zaczęm idzie że i wzorem dla tegoczesnych rękodzielników być przestały: w każdym razie nie bez pożytku byłoby bliższe przyjrzenie się tym okazom, ile że są to drogie nam zabytki lepszej przeszłości, świadczące o dawniej chwale rycerskiego narodu.

Okazy gliptyki, jak medale i pieczęcie, oraz drogie kamienie, rznięte wypukło (kamee) i wklęsło (gemmy), stanowiły jeśli nie zbyt zasobną, to w każdym razie interesującą kolekcją. Widzieliśmy w niej kilka szczególnie pięknych kamei z XVI i XVII wieku. Ale zastanawianie się nad okazami téj gałęzi sztuki, nie mającej żadnej z przemysłem styczności, nie wchodzi właściwie w program naszej pracy. Dlatego nie poświęcimy téż bliższej uwagi okazom współczesnych nam robot pieczętarskich, których kolekcją wystawa zawdzięczała pp. R. Kropiwnickiemu i Z. Weinkrantzowi. Téj samej natury względy uwalniają nas również od zajmowania się miniaturami, których osobliwie piękny i ciekawy zbiór p. Lucyana Wrotnowskiego, ze stu kilkudziesięciu sztuk złożony, zwracał na siebie uwagę zwiedzających.

Pozostały nam jeszcze zegarki, wyroby emaliowane i nielowane, biżuterye, tabakierki, wachlarze, wyroby artystyczne z kości słoniowej i drzewa i t. p. wytwory przemysłu i sztuki, w które zaopatrywał nas głównie, jeśli nie wyłącznie zagraniczny przemysł. Tu właśnie odsłania się najsłabsza strona naszych rękodzielników, którzy w produkowaniu takich misterynych, wykwinnych, wymagających koniecznie gustu wyrobów i dzisiaj nie są w stanie sprostać cudzoziemcom. Szczegółowe zastanawianie się nad ciekawszemi okazami w tym dziale, nieraz iście artystycznej wartości, zniewoliłoby nas do powtarzania uwag, które, śledząc na wystawowych okazach rozwój idei estetycznych w różnych epokach i kierunkach, już wyżej mieliśmy sposobność wyrazić.

Wszystko co ciekawszego wystawa w tym zakresie posiadała, było po większej części obcego pochodzenia. Z współczesnych nam wytwórców, prócz jubilara p. Józefa Wajnerta, nikt swych wyrobów nie nadesłał.

Fakt skąpego wyposażenia wystawy, w tym, jakoteż w innych działach tegoczesnego przemysłu, nie dowodzi jeszcze, żeby nasi przemysłowcy i rękodzielnicy istotnie nie mieli co wystawić; w każdym atoli razie, nie jest on bez związku z niskim względnie stopniem rozwoju, na jakim się znajduje nasza rzemieślniczo-artystyczna produkcya. Miejmy nadzieję, że zabiegi komitetu muzeum przemysłu, przy chętném poparciu ukształconego i dobro kraju mającego na sercu ogółu, pozwolą nam się doczekać i na tém polu pożądanęj zmiany na lepsze, jakieśmy się jęj doczekali już w niejednym kierunku społecznój pracy.

O POLSKICH PRZEKŁADACH

TRAGEDYI SOFOKLESOWYCH.

NAPISAŁ

Roman Zawiliński.

Nec verbum verbo curabis reddere fidus
Interpres.....

Horatius — Ep. ad Pis. 133.

Weszło ogólnie w zwyczaj, że recenzent, zdający sprawę z nowo wydanego przekładu któregokolwiek z poetów lub prozaików obcych, nie może się obejść, choćby w najkrótszej recenzji, bez kilku uwag wstępnych, w których, dając pogląd na literaturę, a w szczególności na dzieła tłómaczonego autora, zaznacza zarazem swoje stanowisko, z którego przekład oceniać zamysła. Ogólna prawie reguła ma szczególne zastosowanie i przy przekładach utworów klasycznych, których mniej może niż nowożytnych, chociaż niewiele ustępujących im co do wartości posiada i nasza literatura.

A ilu krytyków, tyle rozmaitych zdań o zadaniu tłómacza, tyle rozmaitych uwag o sposobie zabierania się do przekładu, tyle warunków, pod jakimi jedynie przekład może odpowiedzieć wymaganiom literackim i artystycznym. Jedni żądają od tłómacza, aby, zrozumiałwszy należycie utwór klasyczny, który przekładać zamysła, przejął się tak jego myślą, zrozumiał tak jego wszystkie piękności i odkrył rysy charakterystyczne, iżby, stanąwszy na stanowisku równém poecie, bez trudności też same myśli i uczucia przyoblekał w szatę inną wprawdzie, ale ile możności odpowiednią krojem i kształtem oryginałowi. Drudzy chcą, aby tłómacz trzymał się ściśle oryginału, aby, idąc z śladu w ślad za myślą poety, odtwarzał wszystko z wiernością kopisty, przykrawając szatę zewnętrzną do miary oryginału, bez względu na to, czy ta materyja zdolna będzie ułożyć się w te same fałdy, czy draperye uwydatnią należycie postać zewnętrzną, będącą odbiciem wnętrza, a nie zdefigurują klasycznego posągu. Jedni, żądając pięknej formy, uwa-

żają za rzecz niezbędną użycie w języku polskim wiersza rymowego ogólnie w dyalogu, a w chórach chcą widzieć pełne dytyramby, hymny, peany lub elegie, na jakie poezya zdobyć się może; drudzy sądzą, że rym krępuje nieraz tłumacza i zmusza go do przerabiania zwrotów klasycznych tak pełnych siły i werwy, a nawet do ujęcia lub dodania jakiegoś wyrazu, nie mieszczącego się w oryginale, co się w nich już świętokradztwem zowie: ci tedy żądają wiernego przekładu; wiernego aż do równej ilości wierszy, niemal do téj samej słów liczby. Trudno polemizować ze zdaniem tego lub owego recenzenta; przeciwne twierdzenie jednego jest zbiciem argumentów drugiego, ale trudno zaprzeczyć, że i w jednéj i w drugićj ostateczności jest ziarno prawdy. Każdy się zgodzi na to, że przekład powinien być wierny, nie wiernością słów zbliżonych szykiem i nieledwie dźwiękiem do oryginału, ale wiernością myśli i obrazów; że następnie powinien być artystycznie piękny, a więc posiadać we formie przedstawienia to wszystko, czego od tego rodzaju poetycznego utworu prawidła sztuki wymagają. Przy pierwszém należy unikać niewolniczego trzymania się tekstu, rodzącego przymus i niejasność; przy drugiem zbytniego zaokrąglania formi kosztem kształtu i myśli pierwotworu, czyli jedném słowem: przekład ile możności wierny, a posiadający wszystkie warunki artystycznego piękna w formie, jest ideałem przekładu, opartym na tych słowach L. Siemieńskiego ¹⁾, że „tłumacz powinien, uchwyciwszy ducha każdéj myśli, wyrażenia się, dociągać w swym ojczystym języku do téj samej skali i wydać to samo, choć niezupełnie temi samemi wyrazami i zwroty.”

W obec takich wymagań trudne zaiste zadanie tłumacza i здаwałoby się mogło, że mając je na oku, nikt się nie porwie na kręcenie biczem z piasku, nikt nie zaufa własnemu, choćby w rzeczy samej dostatecznym siłom. A jednak tak nie jest. Piękność każda ma to w sobie, że się nie zadawalnia hołdem jednostki; ten, co się poznał na piękności utworów klasycznych, a przedewszystkiém greckich, i rozkochał się w nich więcej od innych, nie może się oprzeć pokusie, aby nie przelać utworu uwielbianego w formę właściwą jego narodowi, aby, zgromadziwszy około siebie grono podobnych wielbicieli, nie stać się motorem ich uczuć i zachwytów, kapłanem ofiary z kadzideł, składanej na ołtarzu prawdziwéj piękności. A gdy do tego przyczyni się jeszcze czasowy prąd w literaturze, obudzający pragnienie zaczerpnięcia ze samego źródła prawdziwéj poezyi, niezmiennego piękna formy i treści, któżby był w stanie oprzeć się pokusie?

U nas, w Polsce, ogólne odrodzenie nauk klasycznych w wieku XVI-tym, nie przyniosło ze sobą równego zamiłowania do dzieł literatury rzymskiej i greckiej. Język łaciński był jakoś bliższym i łatwiejszym dla naszych praojców, bo on im przyniósł cywilizacyą, on, jako język dyplomatyczny, stanowił łańcuch, łączący nas z innymi narodami; to też nic dziwnego, że większe jego studyum, większą znajomość dzieł li-

¹⁾ „Czas,” dodatek miesięczny z r. 1858, t. IX, str. 159.

teratury rzymskiej pociągnęło za sobą. Język grecki stał więc na uboczu, był prawie obcym, a literaturą jego zajmowali się chyba ludzie z powołania, lub dziwnym jakim trafem w jego piękności wtajemniczeni. Na wzorach klasycznych, kształcący się Jan Kochanowski, znał może więcej niż współcześni literaturę grecką, ale z niej przedewszystkiem Homera, z którego Iliady nawet księgę III na język polski przełożył. Juszyński ¹⁾, a po nim Wiszniewski ²⁾ wspominają o Waleńcie Jakubowskim, współczesnym Kochanowskiemu, który miał być biegłym w greckim języku i Antygone Sofoklesową na poemat epiczny przełożyć. Pierwszy i ostatni wiersz tego poematu brzmi według Juszyńskiego:

Powiem cudowne dzieje stubramnego miasta

.....
Niech sam Krcon zapłacze, jeśli jest człowiekiem.

Jestto ślad jedyny, że wówczas znano przecież u nas Sofoklesa. Ale potem długie upłynęły lata, zanim spotkać się możemy ze znajomością arcydzieł greckich. Powstanie właściwego pojęcia filologii, jej rozwój, wywołujący zamiłowanie arcydzieł klasycznych i budzący prawdziwy romantyzm w Niemczech w wieku XVIII, nie pozostał bez wpływu i na naszą literaturę. Mamy świetne pomniki poezji romantycznej, a w tym samym ognisku, gdzie ona zajaśniała, rozwijał się pojęcie klasycznego piękna i tamował zapędy rozbijającej wyobraźni obrazem spokoju i harmonii klasycznej prof. E. Groddeck, znakomity filolog, jeden z luminarzy ówczesnego uniwersytetu wileńskiego. Jego wpływ nie mógł pozostać bez skutku, i podczas, kiedy Mickiewicz, rozwijający szybko skrzydła do orlego lotu, wydawał w r. 1829 w Petersburgu „Konrada Wallenroda,” pojawił się równocześnie w Wilnie przekład Sofoklesowego „Edypa w Kolonie” ³⁾, dokonany przez jego kolegę Tadeusza Eliaszewicza. Uczeń Groddecka, autor ogólnych uwag nad klasycznością i romantycznością i rozprawki „O wieku Sofoklesa,” w którym pisał Edypa w Kolonie, umieszczanych w tymże samym czasie w „Dzienniku wileńskim,” dawał poniekąd rękojmię, że przystąpił do tłumaczenia z należytem przygotowaniem, i ze zrozumieniem rzeczy. Utwierdzają czytelnika w tym przekonaniu i wiadomości wstępne, podane na czele przekładu, napisane przystępnie i jasno, w których tłumacz przedstawia myślenie tej tragedii Sofoklesowej, skreśla charakterystyki główniejszych osób, mówi o układzie tragedii i jej miejscu, a naostatek o wieku dramatu i samego poety. Z cytat, na które się powołuje, można poznać, że tłumacz korzystał z prac filologów niemieckich, aby np. rozstrzygnąć kwestyę czasu powstania tragedii; a chociaż

¹⁾ „Dykeyonarz poetów polsk.” T. I, str. 147 i 148.

²⁾ „Hist. litt pol.,” t. VII, p. 311.

³⁾ „Edip w Kolonie.” Tragedya Sofoklesa: Z greckiego, przekładał Tadeusz Eliaszewicz. Wilno, nakład i druk A. Marcinowskiego, 1829.

jego zapatrywanie z dzisiejszym na te rzeczy poglądem się nie zgadza, nie można odmówić Eliaaszewiczowi przynajmniej zasługi w poruszeniu téj kwestyi i w możliwém jój rozstrzygnięciu. Niemniejsze zalety posiadają i „Przypisy,” umieszczone na końcu przekładu; świadczą one o tém, że tłumacz nie bez przygotowawczych studyów do przekładu przystąpił, ale zarazem każą żałować, że tych wiadomości nie zastosował lepiej, że go one nie natchnęły świętością i ważnością zadania tłumacza i nie dały mu mocy większego zbliżenia się do oryginału. Wprawdzie z przykrością przychodzi wyznać, że w przekładzie tragedyi samój niema nic, cobyśmy podnieść i uwydatnić mogli, jako zaletę; a jednak musimy to uczynić. Przeczytawszy sam przekład, uczuwamy pewnego rodzaju niesmak i niezadowolenie; czujemy w treści i w pojedynczych scenach całą wysokość nastroju, a nie widzimy tego w przekładzie, odgadujemy wspaniałość dykcyi, a darmo śledzićbyśmy się za nią u Eliaaszewicza kusili. A cóż dopiero, kiedy weźmiemy do rąk oryginał i zaczniemy porównywać z nim tłumaczenie i zobaczymy to samowolne fałszowanie tekstu, to poziome i drobnostkowe sunięcie się dykcyi, przeplatane retorycznymi zwroty, jeżeli jedném słowem staniemy nad tą przepaścią, dzielącą Edypa w Kolonie Sofoklesowego od Edypa Eliaaszewicza? Jeżeliby nam kto zarzucił, że dla pierwszej próby przekładu Sofoklesa należy przez samo uszanowanie być względny i pobłażliwym, radzimy mu porównać, jeśli nie z oryginałem, to przynajmniej z przekładem prof. Z. Węclewskiego, wiersze Eliaaszewicza: 24, 25, 26, 31, 32, 343—346, 357—360, 370—371, 392, 400, 819 i 820, 840 dla przekonania się o zupełném sfalszowaniu myśli Sofoklesowej, w w. 19 i 20 dla przekonania się o parafrazowaniu: 34—36, 115—116, 408, 409, 451—454, 571, 792, 729, 1104, 1284, 1342, 1343; o zbyt wolnym i rozwlekłym przekładzie, 30, 41, 58—59, 70 o dodatkach tłumacza niepotrzebnie i niezgrabnie przyklatanych, a tuszymy sobie, że nas nie posądzi o zbytnią surowość lub o nieuszanowanie pierwszych śladów. Z całości najlepiej jeszcze stosunkowo wypadły dyalogi, w których pojedyncze osoby większemi rozporządzają ustępami, chociaż i tu napotkać można miejsca, w których syntaktycznym składzie trudno się dopatrzyć jasnej myśli i związku (262—265, 819—820). Jak zaś trudno tłumaczowi wyrazić się krótko i zwięźle w dyalogu żywym wykaże następujące porównanie jednego i tego samego ustępu w przekładzie prof. Węclewskiego i Eliaaszewicza.

Węcł. 312—321:

Edyp. Przybyłaś córko?

E. Przybyłaś rzeczywiście córko?

E. Obejmij córko mnie!

E. O plemię wspólnej krwi!

E. Czy téj i moje?

E. Po coś przybyła, dziecię?

Ismena. Ojcz, obrazie niedoli!

I. Nie bez trudu.

I. Was obu razem śoiszam.

I. Och, życie nieszczęśliwe!

I. Moje także trzecięj biędnej.

I. Z obawy o ciebie.

- E.* Czy tęskniąc za mną? *I.* Tudzież aby sama tobie
Zwiastunką być, wraz z jednym tym mnie wiernym sługą.
E. Gdzież bracia, co są w wieku sposobnym do znojów?
I. Puść mimo ich! Złe straszne teraz onych gniecie.

Eliasz. 317—326:

- Edyp.* Tyżes córko przybyła? *Ismena.* Widzieć ojca nędzę.
E. O współrodne dziewice! *I.* My dzieci niedoli.
E. Córko zbliż się tu do mnie. *I.* Jakże serce boli!
E. Uściśnij mię Ismeno! *I.* Drżącemi rękami!
E. Ojca i siostrę razem. *I.* I mnie trzecią z wami!
E. Cóż cię do nas przywiodło? *I.* Widzieć ojcze ciebie.
E. Samą cię miłość wiodła? *I.* I mówię w potrzebie,
Nikt zaś nie chciał pójść ze mną, prócz jednej dziewczicy.
E. Cóż tam czynią ważnego twoi domownicy?
I. Również teraz jak przedtém okrutni i dzicy.

Czyż nie mamy jasnego dowodu, jak sobie tłómacz samowolnie i swobodnie postąpił z oryginałem, i do czego go prowadzi mijanie się z myślą poety?

Tyle ogólnie o dyalogu.

W pierwszym śpiewie chórowym nie krępuje się tłómacz, równie jak i w dalszych, znając mu pewnie uwagę, że strofa i antistrofa nawzajem sobie jaknajdokładniej odpowiadają co do metrum i myśli nawet, że przeto i w przekładzie równa miara wierszowa i równa ilość wierszy konieczne dla nich potrzebna. Strofa, w wierszu 8-zgłoskowym przerwana po dwakroć krótszym wierszem liczy 20, antistrofa zaś podzielona u Eliaszewicza bezzasadnie między naczelnika chóru, a chór cały ma 18 wierszy, które, oprócz gładkiego w kilku miejscach toku, nie szczególnie oddają Sofoklesowe logaedy. Początek strofy drugiej kładzie Eliaszewicz znowu w usta naczelnika chóru, ale bez względu na miarę wierszową w miarze dyalogu, i dopiero po 3-ch wierszach spostrzegłszy się, zaczyna ale odmienną od poprzednich strof miarą, zapewne dla rozmaitości. Powoli potem gubi się w miarach, a uwiedziony snąc formą dyalogu, zapomina o właściwym charakterze tego śpiewu, tak, że nawet następujący po nim śpiew Antygony *ἀπὸ οἰκῆς* w dyalogową przyobleka miarę. Chóry dalsze są słabsze jeszcze i rażą przedewszystkiem rozwlekłością dykcji.

Nie można poczytać tłómaczowi za zaletę wyrażen takich, jak „bóstwo groźnowzrokie” (84), „niewiasta na Etneycie” (303), „rozum zgubił” (1209), „do... pod-ziemiu” (1554) i zwrotu tak twardego jak w w. 85.

„Choćśmiem deptać posady wami owładane,” a stanowczo wytknąć mu należy takie niegrammatyczności, jak w w. 554: urosłem między obce ludy; w w. 347 przynosisz oycowi; i rusycyzmy przeciwnie językowi polskiemu w w. 853: wzięłeś dziewic; w 945: wła-

snych dziewic z téj wziętem ustroni;" w. 1679: Któż nas sierot przytuli? i w w. 1758: chciéy do Teb Ogygjskich nas sierot odprawić.

Niepotrzebnie używa téż Eliaszewicz na oznaczenie Aresa nazwy łacińskiej Marsa „Gradivus” w w. 1387, a nawet w sposób nieuczasodniony.

W wiadomościach wstępnych do tłumaczenia wyznaje Eliaszewicz, „że jeżeli kto w niniejszym przekładzie nie dostrzeże wszystkiego,” o czém w rozprawce szeroko mówił, „niech raczy wiedzieć, żeśmy je (charaktery) skreślili podług malowidła oryginału, żeśmy je pokrótce opisali, tak jak czuliśmy, ale nie zdołaliśmy w słabym wierszu wydać.” Broń, którą się broni, musimy zwrócić przeciw samemu tłumaczowi. Wad aż nadto widocznych nie może usprawiedliwić wyrzeczenie, że tłumacz pisał „jak czuł,” a nie zdołał w słabym wierszu wydać. Dla tłumacza dzieł Sofoklesowych jest zamało „czuć a nie zdołać wydać” i „kreślić podług malowidła,” trzeba czegoś więcej jeszcze, a w braku tego lepiej poskromić niewłaściwe zapędy.

Dziwna rzecz nakoniec, jaki to oryginał miał tłumacz przed sobą, na którym był napis: *Εδιποῦς ἐπὶ Κολωνῶ*, a który tłumacz na 1 str. „Wiadomości wstępnych” podaje. Kilka kwestyi, odnoszących się do krytyki tekstu, kazały się nam domyślać, że tłumacz używał wydanie Reisiga, ztąd niepojęta rzecz, dlaczego nie spojrzął na tytuł, gdzie stoi napis właściwy: *Οιδίπους ἐπὶ Κολωνῶ*. Albo miałaby tłumacz wcale nie używać oryginału, ale jakiego przekładu niemieckiego lub francuzkiego, na co nas i to znaczne odstępstwo myśli od tekstu Sofoklesowego naprowadzać może?

Jeszcze w r. 1824 miał Eliaszewicz przełożyć „Trachinki” Sofoklesowe wierszem rymowym i poświęcić je przyjaciółom: Janowi Wiernikowskiemu, Józefowi Kowalewskiemu i Feliksowi Kołakowskiemu. Rękopis, znajdujący się w rękach p. Kowalewskiego, czytał p. Kazimierz Kaszewski, znany tłumacz Sofoklesa i w przedmowie do swego przekładu Trachinek ¹⁾ w te o tym przekładzie odzywa się słowa:

„Szczona to praca: widać w niej należyte zrozumienie tekstu nie tylko liberalne ale duchowe i artystyczne, widać usiłowania do wydobycia z języka naszego zwrotów godnych odpowiadać wyrażeniom mistrza greckiego, ale z tém wszystkiém jest to łamanie pierwszych lodów. Eliaszewicz snadź nie był poetą, to nie stworzył sam sobie języka, jak jego kolega Mickiewicz, a był o lat 40 odległym od tych zasobów, do jakich my dziś, przez pracę poprzedników przyszliśmy; więc téż i praca jego dzisiejszym wymaganiom językowym pod estetycznym względem ani z toku, ani w wersyfikacyi nie odpowiada.”

W tych słowach p. Kaszewskiego, znajdujemy klucz do rozwiązania zagadki przekładu Edypa w Kolonie; Eliaszewicz nie był poetą,

¹⁾ „Bibl. Warsz.” z r. 1865, t. II, str. 6—7.

„czuł a nie zdołał tego w słabym wierszu wydać” i ztąd jego przekłady mają wartość tylko historyczną, tylko archeologiczną, każdy o nie potrącić musi, ale się przy nich nikt nie zatrzyma.

W chronologicznym porządku następuje przekład „Edypa króla,” dokonany przez Alfonsa Walickiego ¹⁾. Prof. Z. Węclewski porównując ten przekład z późniejszym przekładem téż saméj tragedyi przez K. Kaszewskiego, powiada ²⁾: że Walicki w dyalogu ani rytmu ani rymu niéma, że w pieśniach chórowych ani zwraca baczną uwagi na prawo metryczne, na układ i zgodę strof i antistrof, chociaż się czasem o to samo metrum stara; że jego dykcya ciemna, drobiazgową i pojedynczą, w wielu miejscach sucha i jałowa, zdaje się oddalać od sposobu pisania Sofoklesowego, lubo z drugiey strony pewnego rodzaju powagi odmówić mu nie można. Podoba się to prof. Węclewskiemu, że Walickiego nic nie porywa, ale powoli, stale i z powagą idzie naprzód, że powodowany świętością i ważnością surowego tłumacza, nie kładzie często słów bez myśli i dykcji zbyt nie obrazuje. Do tego zdania zasłużonego naszego filologa coś więcej możemy dodać? W ocenie naszej starać się tylko będziemy o bliższe uzasadnienie przykładami każdej części tego sądu, zwracając przytém uwagę na szczegóły.

I tak co do rytmu, w rzeczy saméj wiele napotykamy usterek; skoro sobie tłumacz już raz obrał za metrum dyalogowe wiersz jedenastozgłoskowy żeński, nie powinien był mieszać go z dziesięciozgłoskowym męzkim, którego liczne napotykamy przykłady (na str. 170, 176, 184, 186, 192, 194, 205, 215, 217, 220, 223, 224) z dziesięciozgłoskowym żeńskim (str. 223) lub nawet z dziewięciozgłoskowym

¹⁾ Arcydziała dramatyczne. Przekłady J. Korzeniowskiego i A. Walickiego. Wilno, 1845; tom II, str. 161—246.

Alfons Walicki urodzony na Litwie, odbywał nauki w uniwersytecie wileńskim, kończył je zaś w dorpackim, gdzie po napisaniu rozprawy „de Cornelio Nepote“ (Dorpat, 1833) otrzymał stopień doktora filozofii. Był adiunktem a potem profesorem zwyczajnym literatury starożytnej w uniwersytecie charkowskim. Umarł 24 października 1858 r. Prace jego wydane z druku są: 1) „Faust,” tragedia Goethego, z przydaniam kilku śpiewów kompozycji ks. Ant. Radziwiłła. (Wilno, 1844). 2) „Król Edyp.” 3) „De cyclo epico“ (Charków, 1839). 4) „Cyropedya Xenofonta z uwagami rosyjskimi i słown. gr.” Charków, 1848. Zostawił w rękopismach przekład: „Medei Eurypidesa,” „Mowy Eschinesa i Demostenesa o wieńcu” z komentarzami, zupełnie ukończonemi; drugą część „Fausta” Goethego i oryginalny dramat „Zbigniew,” który miał być drukowany w „Tece wileńskiej.” Została niedokończona „Historia literatury greckiej,” dzieło obszernych rozmiarów, nad którym oddawna pracował. (Wiadomość z Encyklopedyi Orgelbranda).

²⁾ W rozprawie: „Choeoris ex graeco translatis... de tragoediis e graeco in linguam polonam conversis brevissimam disputatiunculam praemisit.” S. Węclewski. Program gimn. ś. M. Magd. w Poznaniu, r. 1856/7.

(str. 191 i 236) obok niemiarowego uzupełnie na str. 230:

Dwoista niwa jego i dzieci jego.

W ostatnich wierszach dyalogu, pisanych w oryginale w tetram. trach. akatal., użył Walicki wiersza trzynastogłoskowego męzkiego, lecz i w tym nie zachował jednostajnego rytmu, bo ostatni wiersz dyalogu jest czternastogłoskowym. Nie przestrzegał przeto Walicki zbyt ściśle praw rytmicznych, nie miał ucha prawdziwie muzycznego, ale się starał o pewien rodzaj wiersza; gdy go stracił z uwagi, zaraz następował lapsus. W obec tych nieregularności w dyalogu, trudno wymagać od Walickiego doskonałego przekładu chórowych śpiewów. To dziwne przeplatanie wierszy kilkunastogłoskowych kilkunastogłoskowymi, wzajemne ich rymowanie się lub brak takowego, uzupełniający się często dopiero po kilku wierszach, sprawiają zawsze, że w chórach ginie zupełnie myśl, że się je czyta aby przeczytać, że nie rozumiejąc o co chodzi, czyta się raz drugi i mimo to, nie wynosi się żadnego wrażenia, nie mówiąc już o tém, jakie się ma po przeczytaniu tych wspaniałych lirycznych ustępów w oryginale. Najszczęśliwszą jeszcze ze wszystkich jest strofa i antistrofa druga w Komation Epejzodion II (str. 198 i 200), która chociaż zadługim wierszem pisana, ma przecież pewną jednostajność i związek myśli jasny; nie zły jest również Stasimon III (str. 227—228).

Że dykcya sucha a nawet powszednia, nikt nie zaprzeczy, a ztąd lepijby było, aby ją był Walicki cokolwiek więcej obrazował bez obawy przekładowania. Słów, prawda, nie kładzie bez myśli, ale nie wiem, czy może być jasnym wyrażenie na końcu antistrofy drugiej w Parodos (str. 174): „jasnookie klęsk ulitowanie” lub na str. 220.

A ona

Jako niewiasta w wyniosłości dumach,
Wstydzi się rodu podlejszego we mnie.

W całym przekładzie stara się Walicki o wierność, i tém przynajmniej stoi wyżej od Eliaszewicza. Do niezbyt szczęśliwie przetłóżonych zaliżybśmy w. 110 i 111 (oryginału) u Walickiego str. 170:

Szukane się znajdzie,

A zaniedbane tylko się nie znajdzie.

W spolszczaniu imion osób greckich, dziwną jakiegóż zasady trzyma się Walicki; Labdaka, dziada Edypa zowie „Labdaxem,” Teirezyasa Tircsiaszem, stinksa zapewne przez wzgląd na jego żeński rodzaj w grecku, Slinksą.

Z wyrażzeń niezgrabnych przytaczamy: „rymowieszca psica” (str. 184) zam. stinks, „objąć” (rozumem, umystem) zam. pojąć, dalej: „w cudzej ziemi,” zam. utartego wyrażenia „w obcej ziemi” i niezrozumiałe słowo „dociskać” w dwuwierszu strofy 1, Stasimonu III (str. 227). Mówi się też zwykle u nas: „nie przemilczeć czego” według zasadniczych prawideł naszej mowy, a nie: „nie przemilczeć co,” jak tego używa Wa-

licki na str. 175; „mordercę nie przemilczcie;” genit. plur. zaś od subst. „klęska” mamy „klęsk” a nie: „klęsek” (str. 185).

Od całości, która wyszła z pod ręki tłumacza Fausta, i od filologa z zawodu, spodziewaliśmy się więcej; przekład ten, choć pod wielu względami wyższy od przekładu Eliaszewicza, nie daje jeszcze dostatecznego wyobrażenia o oryginale, a ma tę kardynalną wadę, że pisany tylko białym wierszem, bardzo ciężko się czyta.

K. Estrajcher zanotował w „Bibliografii polskiej wieku XIX,” że Walicki pozostawił w rękopisie przekład „Antygony” Sofoklesowej. Wnosząc z przekładu „Edypa króla,” możemy domyślić się w przekładzie „Antygony” tych samych wad i braków, jakie widzieliśmy w poprzednim a wtedy zdanie nasze nie będzie bezzasadnym, jeżeli wyrzeczemy, że przez nieogłoszenie „Antygony” drukiem, Walicki naszemu literaturze wielkiego nie uczynił uszczerbku.

Tóm samém arcydziełem nie tylko literatury greckiej, ale literatury dramatycznej całego świata, zajął się prawie w tym samym czasie co Walicki, Wincenty Smaczniński ¹⁾. Jestto jedyny przekład tego tłumacza ogłoszony drukiem, bo oprócz tego, miał on przygotować do druku przekład wszystkich tragedji Sofoklesowych. Na zapytanie, czy „Antygona” W. Smacznińskiego jest „Antygona” Sofoklesa, musimy stanowczo i z góry odpowiedzieć: nie! Prof. Węclewski mówi ²⁾, że jestto raczej wolne naśladowanie niż tłumaczenie, że się wprawdzie dadzą odkryć ślady tragedji Sofoklesowej, ale albo powiększone albo ob-

¹⁾ Urodził się r. 1802 w województwie krakowskim, nauki pobierał w gimnazjum nowodworskim i w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie w roku 1824, po obronie rozprawy „De scepticismo etc.” stopień doktora filozofii otrzymał. W tymże roku przybył do Warszawy i po złożeniu egzaminu w komitecie egzaminacyjnym, otrzymał posadę nauczyciela w b. szkole wojewódzkiej w Kaliszu. Wysłany w r. 1829 kosztem rządu zagranicę dla udoskonalenia się w filozofii i filologii, w r. 1832 wrócił do kraju i miał sobie poruczony wykład logiki w gimnazjum warszawskim, a od 1836 r. wykładał logikę, pedagogikę i historję filozofii w b. kursach dodatkowych pedagogicznych, obok czego był pomocnikiem dyrektora gimnazjum gubern. warsz. i członkiem komitetu egzaminacyjnego. W roku 1842 został dyrektorem gimnazjum w Piotrkowie, a w r. 1848 wizytatorem szkół i członkiem rady wychowania publicznego, tudzież członkiem komisji emerytalnej. W r. 1859 uwolniwszy się od służby, osiadł w Sacinie w powiecie rawskim. Ogłosił drukiem: 1) „Przekład historii Weleja Paterkula,” 2) „Poezye W. S.” tomów 2, Warszawa, 1850; gdzie w tomie drugim od str. 81—144 znajduje się przekład Antygony Sofoklesowej, 3) w „Dzienniku Warszawskim” przekład ks. VIII Odysei, niektóre ustępy z Delille’a o imaginacyi, i z Racine’a; nadto od lat dawnych przygotował do druku przekład wszystkich dzieł Sofoklesa. (Encykl. Orgelbr.).

²⁾ We wspomnianym już programie gimnazjum ś. Maryi Magd. w Poznaniu, z r. 1856/7.

cięte. W rzeczy saméj dziwne musiało być pojęcie W. Smacznińskiego o zadaniu tłumacza, skoro sobie takich pozwalał ułatwień. Trzeba mu było rymu—przerobił myśl na swoją modłę, ścierając z Sofoklesa powagę i domieszając obce rzeczy—podobny w tym względzie nieco do poprzednika swego Eliaszewicza. Ztąd pochodzą te liczne zmiany myśli, te opuszczania lub rozwałkowywania wierszy; ztąd w jednym miejscu brewilokwencya, w drugim drobiazgowość i rozwlekłość zaciemniająca nieraz myśl prawdziwą, jak to już prof. Węclewski zauważył.

I tak zaraz pierwsze trzy wiersze oryginału przetłóżone u Smacznińskiego czterema, z których ostatni powstał tylko przez rozwałkowanie; wiersz 20, na str. 86, oddany dwoma, a mimo to nie wyrażający dokładnie myśli.

Widzę na twarzy twojej rozognione żary
I ukryte w wyrazach tajemne zamiary.

Dykeya i obrazowanie wcale nie świetne, a cały ten dwuwiersz jest jakby parodią Sofoklesa, podobnie jak w. 783.

(Miłość) Na krasnych licach dziewio drzymiących (sic!)
Lubisz osiadać zbiorem wdzięków niewolących.

Idąc od początku, napotykamy opuszczone w przekładzie myśli wyrażone w wierszach oryginału 25 i 74, rozwlekłe i fałszywe co do myśli w w. 39, 40, 88, 93, 97, 141, 143, 523, 525; nakoniec wiersz 44 przetłóżony dwoma niezgrabnie i rozwlekłe, równie jak wiersz 45, gdzie drugi wiersz zupełnie bezmyślny; zupełnie fałszywy wiersz 73, a nadto rozwlekły i wolny wiersz 89, 98, 99, przyczém ostatni bezmyślny.

Najłatwiej się uwydatni swoboda W. Smacznińskiego w przekładaniu, przez zestawienie w wierszach 185—190 w przekładzie prof. Węclewskiego z temi samemi Smacznińskiego. Prof. Węclewski:

Milczeniem nie okupię swój całosci, skoro
Zoczę, że klęska godzi na obywateli;
I nigdy z wrogiem kraju dla własnej korzyści
Nie wejdę w przyjaźń, wiedząc że kraj broni naszej
Całości i że sobie jednamy przyjaciół,
Gdy płynąc w łodzi państwa o jej całość dbamy.

W. Smaczniński:

Tak—nigdy nie zataję, jeśli ujrzę zdala,
Że ojczyźnie nieszczęściem grozi wzdęta fala;
I nikt związków przyjaźni ze mną nie skojarzy,
Kto na zgubę swój ziemi chytry z mowy warzy:
Tarozą naszą ojczyzna, a uozuć ognia
Najłatwiej się połączą, gdy ona szczęśliwa.

Wiersze oryginału 484 i 485 ¹⁾ tłumaczy W. Smacznński:

Mamże puścić bezkarnie nieprawej kobiety
Wymierzone na moję zagubę sztylety;
Srogich męczarni za wielkie wykroczenie skąpić
Karmić uporne chęci, zwycięstwa ustąpić?

O tych „sztyletach wymierzonych na zagubę,” mówi Kreon król Teb, w przedhistorycznych dziejach Grecyi. Prawdziwie przyklasnąć należy tłumaczowi za tak dowcipne obrazowanie dykcji Sofoklesowej. Czy nie postawił się przypadkiem w owę chwilę na stanowisku Blumauera do Eneidy, lub czy nie myślał, że temi obrazami upiękniejszy jeszcze Sofoklesa?

W śpiewach chórowych buja W. Smacznński swobodnie, a nie uważając na strofy i antistrofy, tworzy z każdego śpiewu jeden ustęp. Rytm zwykle rozmaity, nieraz nadymający się do rodzaju rytmu improwizacyi Mickiewicza a dykcya zbyt słaba i powszednia.

Z wyrażenń musimy uznać za nieszczęśliwe takie jak: „zmowy warzyć” (str. 93), „zbożosprawny” (str. 100), „trwałe podwale” zam. podwaliny (str. 100), rozchwiany krok” (str. 139). Bogowie wszyscy przeszli w przekładzie Smacznńskiego, do Kościoła rzymskiego i łacińskie przybrali nazwy.

Całość chybiona, jest smutnem świadectwem braku zmysłu estetycznego u tłumacza i braku talentu, pomimo wykształcenia filologicznego i łatwości rymowania. Gdyby był przynajmniej tłumacz pojął należycie ducha utworu i w znośnej go odtworzył formie; tak zaś jak jest, jest ten przekład nawet w dyalogu dalekim od oryginału, w całości mdłym i niesmacznym, może dla konsekwencyi i harmonii z dwoma tomikami poetycznych elukubracji, w których na końcu umieszczony. Finis coronat opus.

Z kolei wypadłoby nam teraz mówić o przekładzie „Antygony” przez K. Kaszewskiego, wydanym w Warszawie w r. 1853. Chcąc atoli działalność p. Kaszewskiego na polu przekładów Sofoklesowych przedstawić w całości i razem, zwracamy się do późniejszego o rok przekładu „Elektry,” przez prof. A. Małeckiego ¹⁾.

Z wiernością filologa, skrupulatnością miłośnika starożytności, i tén przejęciem się świętością zadania, jakie tylko u tłumacza spostrzedz można, co dzieło oryginalne ukochał i weń się wżył, przystąpił do przekładu prof. Małecki. A skoro już miał przekładać, to chciał nie tylko oddać ducha i myśl greckiego tragika: chciał żeby i forma na równi stanęła z treścią jak w oryginale i tworząc w ten sposób jedną harmonijną, dała polskiej publiczności należyte wyobrażenie o drama-

¹⁾ ἡ νῦν ἐγὼ μὲν οὐκ ἀνὴρ, αὐτὴ δ' ἀνὴρ
εἰ ταῦτ' ἀνὰ τὴνδε κεῖσεται κόρη

¹⁾ „Elektra,” tragedia Sofoklesa, przekład Antoniego Małeckiego. Poznań, u Zupańskiego, 1854.

cie greckim. Musiał tłumacz nie mało myśleć nad tém, jakby tę formę klasyczną uwydatnić; wiersz jakiego poprzednicy jego w przekładach używali, nie wydał mu się dosyć poważnym i prawie za jedyną wadę tych przekładów, uważał źle dobraną formę wiersza.

Po długim szukaniu uznał prof. Małecki za najstosowniejsze przełożyć grecki oryginał z trimetru jambicznego, „przeciwnego duchowi naszego języka” na tetrameter trochaiczny, akatalektyczny, wykazawszy poprzednio w przedmowie: „że nie tylko jedenastozgłoskowy, ale nawet 13-zgłoskowy wiersz nasz zbyt mało ma powagi i sędziwości obok spadków rytmicznych, jakimi jest oddany dyalog w scenicznych starożytnych utworach,” że mu dalej „braknie téj wagi, téj lapidarności toku, jaką brzmi każde słowo ujęte w formy klasyczne,” że nakoniec „wszelki wiersza rodzaj, do którego przyzwyczajeni jesteśmy, jako do organu naszej własnej poezji przez to samo, że z nią jesteśmy spoufaleń, psuje, zmienia całe wrażenie, jakiego godzi się żądać od przekładu z greckiego oryginału.”

Nie myślimy tu wdawać się w spóźnioną polemikę z szanownym tłumaczem co do formy, ani udowodniać mu jęj niewłaściwości. Zwrócił już na to uwagę w swoim czasie prof. Z. Węclewski, który w rozbiórze tego przekładu mówiąc o jego formie w te odzywa się słowa: „Nie przekonał się (A. Małecki) o tém, że tego rodzaju wiersza szesnastozgłoskowego nigdy polscy poeci w tragedji nie używali, a starożytni (według Munka) tylko w tych miejscach dyalogu, gdzie trzeba było odmalować silniejsze wzruszenie umysłu.” Ten sąd wytrawnego znawcy i filologa powinienby nam wystarczyć; chcieliśmy atoli przy nadarzonej sposobności przypatrzeć się bliżej téj kwestji, która do dziś dnia w tłumaczeniach Sofoklesa stoi jako unikat i przekonał się: najpierw, że wiersz dwunastozgłoskowy, odpowiadający zupełnie trimetrowi jambicznemu greckiemu, nie jest zupełnie przeciwny językowi polskiemu i jego rytmiczności, skoro go znajdujemy w poezji lirycznej:

Jak słodko płyną dni wśród lubych sercu stron,

Gdzie nam szeleści dąb, gdzie szumi świerk i klon i t. d.

(Z gaz. Adeli Hanickiej).

powtórę: że w wierszu jedenasto- lub trzynastozgłoskowym pisane są prawie wszystkie nasze dramata i tragedye, a między temi i najznakomitsze, a mimo to nie brak im powagi, nie brak im niekiedy nawet tego toku lapidarnego, jaki jest w formach klasycznych; potrzebie: że przyzwyczajenie się do jakiego rodzaju wiersza nie pociąga jeszcze za sobą spoufaleń i znujeń jego powagi; owszem, im przekłady z obcych języków czy klasycznego, czy nowożytnego świata będą bliższe tych form, któreśmy ukochali w poezji, a właściwie w jęj utworach nam drogich, tém więcej będą nas interesować, tém bardziej podobać się nam będą, choćby przez samo przypomnienie. Najlepszym tego dowodem przekład „Odyssei,” przez L. Siemieńskiego dokonany; nie kusi on się o hexametram grecki, nie naśladowe nawet zbliżonej doń miary

wierszowej w „Pieśni Wajdeloty,” a jednak—jednak ten Grek w kontuszu, przypominającym „Pana Tadeusza,” jakoś się wcale swobodnie porusza i nie stracił swęj powagi, a patrząc nań, przysięgłbyś, że na Polaka stworzony. My zadaleko już oddaleni jesteśmy od starożytności, abyśmy zdolni byli należycie pojąć jej formy osobliwie w poezyi; duch jej uleciał bezpowrotnie, a z piórek, co nam pozostały na ziemi, nie odgadnąć nam już, jak one przystawały do całości skrzydeł, jak pręły powietrzne fale.

Zauważyliśmy nakoniec, że trocheus był ulubionym rytmem w starożytności, ale nie w dyalogowych częściach dramatu. Przeczytawszy Munka, na którego się powołuje prof. Węclewski, nie znaleźliśmy wprawdzie tego, co twierdzi szanowny profesor, ale natomiast zdanie, że tetrameter trochaiczny akatalektyczny nie był wcale w dramacie greckim używany, tylko katalektyczny, ale chętnie w tragedyi rzymskiej ¹⁾.

Do tego dodać musimy, że wiersz szesnastozgłoskowy w poezyi polskiej, mogący istnieć tylko jako złożony (z dwóch ósmiozgłoskowych) jest nadto nużący i trzeba bardzo dobrych piersi, aby mózdz więcej, jak jeden wiersz wydekłamować bez zacerpnięcia powietrza. Nie idzie zatem, żeby się to czuć dawało w przekładzie „Elektry” prof. Małeckiego; owszem, wyznać trzeba szczerze, że próba powiodła się świetnie; że zaś musiała tu być trudność nielada w takiej formie przekładania, świadczy o tém najwymowniej sam fakt, że po prof. Małeckim żaden z tłumaczy Sofoklesowych do naśladownictwa się nie zerwał ²⁾. Wiersz tak długi, bo o cztery zgłoski dłuższy od trymetru jambicznego w oryginale, potrzebuje bezwzględnie znacznego rozszerzenia treści, aby się stać co do formy równym oryginałowi; potwierdza to w przekładzie prof. Małeckiego ta okoliczność, że chcąc być wiernym i nie rozwałkować, musiał się tłumacz uciekać do półwierszy tylko w w. 27, 635,

¹⁾ E. Munk: „Die Metrik der Griechen und Römer.” S. 39. Der iambische trimeter, durch zulassung des irrationalen masses schwerer und würdiger gemacht, ist die gewöhnliche form für den dialog; im Satyrdrama bewegt er sich durch auflösungen leichter. Zuweilen wechseln die dichter mit dem katalektischen trochaischen tetrameter ab. S. 55. Der akatalektische Tetrameter findet sich bei Lyrikern und Dramatikern in Chören... Die Römer haben im dialogischen teil des dramas den akatal. tetrameter häufig gebraucht; versus octonarius. Der katalektische tetrameter ist teils von lyrikern, teils von dramatikern sowohl im dialog, als auch im melischen teile des dramas gebraucht worden. S. 126. (Tetram. troch. acatal.). Die griechischen dramatiker haben diesen vers nicht; desto häufiger aber kommt er bei Römern sowohl in der Tragödie, als Komödie vor.

²⁾ Tylko prof. J. Szujski w tłumaczeniu Ajachylosa Persów użył tego wiersza, jako miary oryginału i ozdobił go nadto rymem. Patrz: „Przegląd polski” z r. 1879, zeszyt majowy, lub osobna odbitka.

1150, skracać, jak w. 1101 (tetram. troch. katal.), a nawet musiał zachromać nieco w wierszu 1144.

Poświęciliśmy mimowolnie dłuższy ustęp tej formie w przekładzie prof. Małeckiego, ale bo też i sam tłumacz zużył na jej usprawiedliwienie większą część przedmowy, przewidując snadnie, że przedsięwzięcie chwalębne a trudne może nie znajdzie odpowiedniej a godnej oceny i sankcyi.

W chórach „starał się M. pochwycić w każdej strofie rytm głównie panujący; rytm, według którego największa ilość wierszy tej strofy jest utoczona i przyjąwszy pewien rodzaj rytmu za główny niejako typ i charakter tej strofy, składał według niego wszystkie, a przynajmniej znaczną liczbę wierszy, do téjże strofy należących.” Znowu była trudność bezspornie większa jeszcze, niż w dyalogu, ale téj nie pokonał już tłumacz tak świetnie. „Chóry chociaż odtworzono wspaniale i ozdobnie, podług pewnej miary i zasady — zbyt rozmaitym formą wierszy nie mogą podobać się uchu i słusznie zwróciły uwagę krytyków.” To zdanie prof. Węclewskiego charakteryzuje już dostatecznie tego rodzaju przekład; my do tego tyle tylko dodać musimy, że jeżeli gdzie, to w chórach naśladowanie miary oryginału nigdy się udać nie może. Inne prawa miała liryka grecka, inne ma liryka nasza; co tam mogło być wspaniałe, u nas przejdzie bez wrażenia, lub co gorsza, za zupełnie chybione uznanem zostanie.

Całość jeżeli na wielką wartość pod względem filologicznym, to ze względu na artystyczne wykonanie zaleca się tą siłą dykcji, jakiej dotąd u żadnego z tłumaczy nie napotkaliśmy i pięknością języka, którego prof. Małecki jest panem zawsze. Uderzyły nas tylko takie wyrazy, jak: „pochybię” (w. 31), „spiżobiodrą czarę” (w. 54), „wiedma” (w. 280, zamiast zwykłego: wiedźma), „bugaj” (gaj, w w. 559), a nawet niegramatyczności: „powściągnął swych rąk” (w. 96) i „najkochniejszy” (w. 1154).

Aby na koniec zrobić wszystko, cokolwiek dobry przekład zawierać powinien, oznaczył prof. Małecki wiersze według oryginału, którego się trzymał i przyozdobił tekst uwagami koniecznymi do zrozumienia, za które, równie jak za przekład cały, może mu tylko być wdzięczną polska publiczność.

F. H. L(ewestam) zanotował w Encyklopedyi Orgelbranda (tom XVII, str. 890), że prof. Małecki posiada przekład „Antygony” w tece. Żałować tylko należy, że jej nie ogłosił drukiem.

Lata od 1850—1855 były szczęśliwsze dla Sofoklesa i świadczą o żywym zajęciu się podówczas literaturą klasyczną, skoro w tym przęciagu czasu oprócz Małeckiego „Elektry,” zyskała nasza literatura przekłady „Antygony,” „Edypa w Kolonie” i „Edypa króla,” dokonane przez p. Kazimierza Kaszewskiego. Znany powszechnie krytyk i tłumacz kilku dzieł literatury francuskiej i niemieckiej, poświęciwszy się przedewszystkiem studjom estetycznym i literackim, wziął się do przekładu arcydzieł klasycznego świata z głębokim przejęciem. Zrozu-

miał on jasno, że sposób pisania starożytnych wysoce doskonały, wymaga takiej samej doskonałości po tłumaczu, że nie dosyć tłumaczyć wiersz w wiersz, słowo w słowo; ale trzeba nadto czegoś więcej jeszcze. To też nim przelał jaką myśl na papier w formie ojczystego języka, trzymał ją długo w duszy i sercu, aż przepromieniona indywidualnym uczuciem, wylaływała na świat, dziwiąc się może sama sobie, że może być tak piękną. Wszystko, co nosi na sobie cechy powszechne, ludzkie, co prawdziwie piękne i szlachetne, znajdowało harmonijny oddźwięk w artystycznej duszy tłumacza, wszystko ją wzruszało i zachwycało i te chwile poetycznych porywów musiały być chwilami przekładania tragedyi Sofoklesowych.

Musiąło być dziwne uczucie tych, którzy poraz pierwszy zaraz po wyjściu z druku czytali przekład „Antygony” ¹⁾. „Jako? więc to jest tragedia Sofoklesowa, też sama, którąśmy niedawno czytali w przekładzie W. Smacznińskiego? Sąż to te same charaktery, też same chóry, też same myśli przez nie wyrażane?” Pytającym w ten sposób siebie i drugih, musiano odpowiedzieć tylko jedno: „tak jest.” Tak jest: „Antygona” w przekładzie p. Kaszewskiego to ta sama, którą napisał Sofokles, którą przekładał Smaczniński, tylko z tą różnicą od pierwszego, że w polską i nadobną przystrojona szatę, z tą różnicą od drugiego, że zrozumiana, a ztąd zrozumiała i jasna, odczuta poetyczną intuicyą a ztąd tak pełna poetycznych ustępów i zwrotów.

O zrozumieniu i przejęciu się oryginałem świadczy najlepiej sam wstęp; o pojęciu zadania tłumacza forma zewnętrzna przekładu i uwagi dodane u dołu stronic. Rzadko przychodzi się spotkać przy przekładach z tak jasnym, pięknie a zwięźle wypowiadającym to, co potrzebne do zrozumienia, wstępem. Pogląd ogólny na poezją, szczegółowy na poezją dramatyczną grecką, określenie pierwiastku dramatycznego i charakteru dramatu greckiego, naszkicowanie charakterów tragedyi, którą na dalszych stronicach w przekładzie czytać mamy—to wszystko zebrane krótko, czyta się z prawdziwą przyjemnością i korzyścią. W przekładaniu dialogu użył p. Kaszewski wiersza rymowego jedena-stozgłoskowego, który jest tylko o jedną zgłoskę krótszy od trimetru jambicznego; użył zaś dlatego rymu, jak sam gdzieindziej ²⁾ powiada, „aby pomijając go, nie ujmował dziełu artystycznego wrażenia.” Wzgląd zupełnie słuszny, mający obok tego za sobą tradycyą narodową i oglądający się na nią; wiersz miarowy tylko, choćby najpiękniejszy, ułatwia wprawdzie pracę, a może i do większej w przekładzie przyczynia się wierności, ale „jest zupełnie obcy warunkom naszego języka w zastosowaniu do poezyi i żadnej prawie nie wyradza harmonii.” Czuł to pewnie bardzo głęboko p. Kaszewski i ztąd starał się, aby tej stronie przekładu niczego nie brakło. To też czytając „Antygonę,”

¹⁾ „Antygona.” Tragedya Sofoklesa. Tłumaczył z greckiego Kazimierz Kaszewski. Warszawa, 1853.

²⁾ W rozprawce wstępnej do przekładu Edypa króla.

czytamy ją z tém większą przyjemnością, że nam pięknoscią wiersza przypomina przedewszystkiém Słowackiego dramata, a jednak powagą treści i myśli utrzymuje nas w nastroju klasycznym.

W partyach chórowych nie kusił się naprózno p. Kaszewski ani o naśladowanie miary oryginału, ani o zbliżenie się do niego najwięcej używaną miarą; ale czując znaczenie wiersza lirycznego w dramacie greckim, zachował mu możliwe cechy, a formę wziął z liryki polskiej. W I-szym chórowym śpiewie „Antygony” (str. 12 i 13) starał się p. Kaszewski w strofach i anti-strofach o używanie tego samego rytmu i o tę samą wierszy ilość, co się mu téż zupełnie powiodło, z małemi wyjątkami co do przemiany wierszy męzkich na żeńskie, gdzie również należało zachować pewną symetrią. Jest to jedyny sposób, aby jeszcze jakietakie dać czytelnikom wyobrażenie o układzie zewnętrznym pieśni chórowych. W chorze II jest to jeszcze mniej więcej zachowane między strofą i anti-strofą pierwszą; co do drugiej zaś, to znika równość rytmu i wierszy.

1.

Wiele jest dziwów — a przecie
Człowiek największy dziw w świecie.
On-to w siną głębię mórz,
Oślepię się rzuca, nie zważa,
Czy go pęd ryczących burz,
Po drżących prądach wytarza.
On wielkiej bogini — ziemi,
Nieśmiertelnej, niezmęczonęj,
Rok w rok pługami konnemi,
Pruje brzemie w różne strony.

2.

W jego rozstawione sieci,
Ród leciuchny ptasząt leci;
Człowieka przemyślny um,
Chwyta w spętane pętlice,
I leśnych zwierzątek tłum,
I wód łuskate dziedzi.
Człowieka wola łagodzi
Najdziksze potwory gór,
W jego jarzmie milczkiem chodzi
I koń grzywiasty i tur.

Zaprzeczyć trudno, że jeżeli w téj formie, jak jest, podobać się musi, jako jeden z najpiękniejszych chórów Sofoklesa, a jeden z bardzo zgrabnych w przekładzie p. Kaszewskiego, to w formie klasycznej, równiej, jednostajnej, byłby się wydawał o wiele lepiej i wyjednał prawdziwy tryumf tłómaczowi. Mimo to trzeba wyznać, że w „Antygonie”

chóry przełożone są bardzo wdzięcznie, a jako przykład przytoczymy jeszcze chór IV, mogący być śmiało policzonym do pereł liryki polskiej.

1.

O, miłości! twa potęga,
Gdzie nie spojrzeć, wszędy sięga.
Ty wśród morskich toni władasz,
Do wieśniaczej mkniiesz świetlicy,
A uroków cuda składasz,
Na obliczu krasnolicy.
Nieśmiertelny Bóg na niebie,
Krótkotrwały człek na ziemi,
Nie wyprosi się od ciebie,
Ty go ranisz strzały swemi;
A gdy w kogo strzał twój padnie,
O! tym rozum już nie władnie.

2.

Przez cię nawet ludzie godni,
Idą oślep drogą zbrodni;
Ot, i dziś przez ciebie właśnie,
W całym rodzie dzikie właśnie.
Lecz któż oprzeć się ośmieli,
Gdy weń wzrok dziewczicy strzeli?
Oj—z miłością trudna sprawa,
Ona cichym, tajnym krokiem,
U przybytków władzy stawa,
Mącić prawa swym wyrokiem.
Afrodyta to bogini,
Takie z ludzi żarty czyni.

(Dokończenie nastąpi).

O ARCHITEKTURZE U OBCYCH I U NAS.

[WAGI ZE STANOWISKA ESTETYCZNEGO *)]

PRZEZ

Karola Matuszewskiego.

Osłabł znacznie ruch budowlany, gdy po 1831 roku miasto nasze znów w mniej pomyślnych znalazło się warunkach, nie upadł jednak zupełnie. Warszawa powoli, lecz stale rozszerza się w kierunku południowym i zachodnim; rozrastaniu się jej bowiem w kierunku północnym, stawiono tamę przez zbudowanie cytadelli. Domy na znacznej przestrzeni miasta na ten cel zajętej (Żoliborz), zostały rozebrane; wyparta ztąd ludność, poszła zamieszkać inne dzielnice, gdzie wywłaszczeni posiadacze dawnych posesyi, za otrzymane za nie pieniądze, nowe budowali domy. Okoliczność ta, w połączeniu z taniością materiału budowlanego, którego dostarczały rozbierane domy, podsycała jakotako ruch budowlany, który nie otrzymywał już z góry tego co przedtém poparcia. Nas jednak obchodzą tu bliżej tylko budowle publiczne, jako dające dokładniejszy obraz zdolności naszych architektów.

Na uprzątniętym z dawnych ruder Marywillu, staje (1833 r.) olbrzymi a pompatyczny gmach warszawskich teatrów, podług nakreślonego przez Corazzego planu, o fasadzie ozdobionej rzędami kolumn, które wspomniany architekt tak rad stawiał, gdzie tylko nastęrczyła się mu po temu sposobność. Nieumiejętny ten kompilator, lubo mu zdolności odmówić nie można, nie umiał wznieść się ponad te grube a banalne dekoracyjne efekta, w których siłę niezachwianie wierzył. Na nich też kończyła się u niego architektura; z rozkładem wewnętrznym załatwiał się byle jak, a najlepszym przykładem niedbalstwa czy nieudolności jego pod tym względem, są właśnie nasze teatry. Obrócony czasowo na skład wełny, skromny dziś kościół N. Panny Łaskawej, przy ulicy Świętojańskiej, odrestaurowany pod kierunkiem budowniczego Kropiwnickiego (1834 r.), oddany został Pijarom; zaś zajmo-

*) Dokończenie—patrz zeszyt za sierpień r. b.

wany poprzednio przez tych ostatnich kościół przy ulicy Długiej, przebudowany, podług planów Corazzego i Gołońskiego (profesora architektury na byłym uniwersytecie) na sobór prawosławny, uwieńczył się pięciu złożonemi w ogniu kopułami, w guście bizantyjskim, które go tak charakterystycznie od innych świątyń chrześcijańskich naszego miasta wyróżniają. W r. 1840 ukończono prowadzone przez lat kilka roboty około restauracji archikatedralnego kościoła Ś-go Jana, dokonanej podług planu budowniczego Idzkowskiego. Nie mamy jednak powodów cieszyć się bardzo z téj restauracji, z której kościół wyszedł nie w odnowionój lecz, niestety, w całkiem nowój postaci, nie przypominającój żadnym szczegółem dawniej budowli. Fasada, w stylu baroko, którą z poprzednich zachował wieków, została zastąpiona gotycką. Wnętrze uległo podobnemuż przekształceniu. Myśl przywrócenia temu starożytnemu pomnikowi kościelnego budownictwa polskiego, jego pierwotnej, ostrołukowej architektury, jaką przed wiekami posiadał, nim się za Wazów dostał w ręce włoskich budowniczych, którzy, po pożarze, odbudowali go po swojemu, może była i szczęśliwa; ale ją architekt w wykonaniu zwichnął. Wskazówek i motywów do planu odbudowania świątyni w stylu ostrołukowym, mojem zdaniem, należało szukać w charakterystycznych zabytkach polskiego, czyli tak zwanego wiślano-baltyckiego ostrołuku, jakimi są kościoły w Krakowie, Wiślicy, Włocławku i innych miastach. Tymczasem Idzkowski, któremu oczywiście brakło archeologicznego w swój sztuce wykształcenia, jak go zresztą i niejednemu z dzisiejszych naszych budowniczych braknie, poszedł zgola inną drogą. Bez dalszych zachodów, sięgnął do wzorów angielskiego gotyku, i w jego szaty przestroił do niepoznania nasz kościół, szaty bezwątpienia oryginalne i strojne, ale nie swojskie; odziany zaś w nie kościół, stoi teraz niby obce dziwo, pozbawione wszelkiej łączności z miejscową tradycją ostrołukowej architektury.

Obojętność ogółu naszych budowniczych, na krajowe zabytki téj ostatniej, jest zaiste niezrozumiałą. Mamyż ich obwiniać o nieświadomość, czy o brak miłości dla sztuki, o brak poszanowania dla jój krajowej tradycyi? Jeśli już nie z zamiłowania przedmiotu, to z obowiązku, jako specjaliści, wzięćby się powinni do studyów nad pomnikami dawnego ostrołukowego budownictwa w Polsce i poznać gruntownie jego naturę; tą bowiem tylko drogą mogliby nabyć archeologicznego wykształcenia w wspomnianym zakresie, i gdy przedstawi się im odpowiednia sposobność, odtwarzać prawdziwe kształty swojskiego ostrołuku i rozwijać do ostatecznych konsekwencji, tkwiące w nim w zarodzie architektoniczne motywa.

Podobnej natury uwagi nasuwa nam restauracja kościoła P. Maryi na Nowém Mieście, dokonana pod kierunkiem budowniczego Kropiwnickiego (1829—1834 r.). Świątynia ta, niegdyś najbogatsza w Warszawie, zachowała szczęśliwie do naszych czasów wiele cech wiślano-baltyckiej architektury; ale wandalska ręka architektów-restauratorów nie potrafiła ich uszanować. Okna np. w nawie głównéj,

o wygiętym a spłaszczonym łuku, kształtem przypominają łuk angielskiego gotyku z epoki Tudorów. Podobnych łuków nie znaleźlibyśmy bodaj w żadnej z naszych starożytnych ostrołukowych budowli. Nie mógł ich też pierwotnie posiadać i kościół P. Maryi i nieszczęśliwą tę odmianę winien tylko nieumiejętnej restauracyi, która tu dopuściła się i wielu innych herezyi przeciwko krajowym tradycjom sztuki.

W obec takich faktów, jak restauracya kościołów: Ś-go Jana i P. Maryi, jakże tu nie nawoływać naszych architektów do badania swojskich zabytków ostrołukowego budownictwa; jakże nie domagać się, żeby z większą oględnością i umiejętnością przystępowali do odbudowywania i restauracyi tych nielicznych ostrołukowych kościołów, które jeszcze tu i owdzie z odległych ocalały wieków, i w niedarowanej nieświadomości nie zacierali właściwych im znamion stylowych.

Uwagi godną jest charakterystyczna wieża przy kościele P. Maryi, która dotąd zachowała starożytne znamiona epoki, kiedy ostrołuk nie zupełnie się był jeszcze otrząsnął z reminiscencyi romańskich motywów. Obecnie część sklepienia w bocznej (prawej) nawie kościoła widocznie zacieka i grozi ruiną. Kościół domaga się koniecznie restauracyi. O ile słyszałem, roboty około niej mają być powierzone budowniczemu p. Zygardlewiczowi. Nie wiem na jaką skalę nowa ta restauracya będzie przedsięwzięta: czy ograniczy się jedynie do powierzchownej naprawy uszkodzonych części budowli, czy też celem jęj będzie przywrócenie kościołowi jego cech pierwotnych. W każdym razie spodziewać się można, że wspomniany architekt, znany z sumiennosci, godnie się z zadania wywiąże. Do stylu ostrołukowego i sposobu traktowania go przez naszych architektów, jeszcze raz niżej będę miał możność powrócić.

Tu nadmienię nawiasem, że nietylko gruntowne restauracye naszych kościołów, ale zwyczajne nawet ich odnawianie, tynkowanie (szczególniej po wsiach i miasteczkach), bywa dokonywane nieumiejętnie i z wielką szkodą dla pomników sztuki krajowej, których stylowe cechy zaciera. Obowiązek odnawiania świątyń wiejskich spada zwykle na księży proboszczów, a jakkolwiek nie brakuje między nimi ludzi światłych, niepodobna przecież wymagać od wszystkich, by byli znawcami sztuki i z znajomością rzeczy brali się do robót tego rodzaju. O robotnikach, używanych przez nich, prostych zazwyczaj mularzach, niema nawet co mówić. Otóż takim proboszczom odda nieocenione w danym razie usługi artykuł zasłużonego badacza sztuki krajowej p. W. Łuszczkiewicza „O tynkowaniu kościołów zewnątrz,” drukowany w „Przeglądzie Katolickim” za r. b. nr. 39. W nim znajdują oni potrzebne wskazówki: w jaki sposób dokonywać odnawiania kościołów romańskiej, ostrołukowej lub włoskiej architektury, bez nadwergężenia ich estetycznej charakterystyki i stylowych znamion.

Przebudowany w roku 1842 dawny pałac Saski, którego obie części połączone zostały kolumnadą na arkadach (według pomysłu budowniczego Ritschla), dzielącą ogród Saski od placu téjże nazwy, otrzymał

w tymże czasie dzisiejszą swoją postać. Dla zadośćuczynienia duchowej potrzebie, żwawo wzrastającej i zaludniającej się zachodniej części miasta, stał na ulicy Chłodnej piękny kościół Ś-go Karola Boromeusza, w stylu odrodzenia (w kształcie bazyliki), według projektu Henryka Marconiego, na wzór kościoła Santa Maria Maggiore w Rzymie. W latach 1844—1846 przybywa miastu wspaniały Nowy Zjazd do Wisły, wiadukt na olbrzymich arkadach, zbudowany pod kierunkiem inżyniera Pancera. Około tego czasu Ogród Saski przyozdobił się budynkiem wód mineralnych z galerią dla spacerujących. Z innych budowli na wymienienie zasługują: gmach b. Instytutu Szlacheckiego, przy ulicy Wiejskiej (1853 r.) i hotel Europejski, jeden z największych i najgustowniejszych gmachów Warszawy (którego ostatnia część, od rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Czystej dzwigniętą została dopiero w roku 1879, pod kierunkiem budowniczego Berendta), oba gmachy wzniesione podług planów Henryka Marconiego; tudzież szpital Ś. Ducha, przy ulicy Elektoralfnej, zbudowany przez Józefa Orłowskiego. Wodociągi urządzone w 1855 roku, dały pochoł do przystrojenia ogrodu Saskiego i główniejszych placów, jak przed Ratuszem, pod Królem Zygmuntem, na skwerze Krakowskiego Przedmieścia i na rynku Starego Miasta, wodotryskami. Najwspanialszą atoli budowlą, odznaczającą się bardzo piękną architekturą i wielką starannością w wykończeniu szczegółów, jest gmach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, zbudowany przy zbiegu ulic Mazowieckiej i Erywańskiej, podług planu Marconiego (1854 r.). Jestto bez zaprzeczenia jedno z najlepszych dzieł tego utalentowanego architekta i najgustowniejszy, najbogaciej dekorowany zewnątrz pałac w Warszawie. Parter i pierwsze piętro frontu, szczególniej zalecają się wytwornością dekoracyi. Są one, z małą odmianą w niektórych szczegółach, dość wiernem powtórzeniem gmachu biblioteki z Placu Ś-go Marka w Wenecyi, dzieła Sansowina. Piętro drugie, dorobione już z oryginalnego pomysłu Marconiego, jest estetycznie o wiele słabsze i charakterem swoim niekoniecznie dobrze dostraja się do piętr niższych. Marconi do ostatniej chwili swego życia uchoł u nas za najzdolniejszego architekta i uchoł za takiego nie bezzasadnie; byłto wprawdzie kompilator, ale kompilator pełen inwencji i dobrego smaku, który w ulubionym przez się stylu odrodzenia, prawdziwie piękne tworzył rzeczy. Budowy Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego dogłądał, jako konduktor, budowniczy p. Zygarolewicz i pod jego to umiejętnym kierunkiem wykonane zostały zdobiące front rzeźby z cementu. Do wnętrza gmachu nie będę prowadził czytelnika, ile że w niniejszem studyum chodzi mi głównie o zewnętrzne cechy budowli Warszawy, o jej architektoniczną fizyognomią, jak wreszcie o czynniki, które na jej ukształtowanie się złożyły.

I styl, tak zwany nowogrecki, uprawiany w Berlinie przez Schinkla i jego zwolenników, o którego charakterze była mowa na swoim miejscu, znalazł w Warszawie przedstawiciela, w osobie budowniczego Gaya. Ale usiłowania jego były odosobnionemi: nie udało mu się za-

szczępić nam téj nadsprewskiéj architektury. Własny jego dom, przy ulicy Grzybowskiéj (nr. 1055/19), tak wyróżniającéj się powierzchności, oraz dom bankowy na Elektorálnéj, pozostały nam na pamiątkę tych eksperymentów.

Warszawa wchodziła tymczasem w nową swego rozwoju fazę, która miała podnieść jéj znaczenie, jako miasta handlowego i przemysłowego. Zbudowana jeszcze w roku 1840—1845 droga żelazna Warszawsko-Wiedeńska, która Warszawę ściśléj z głównemi ogniskami handlu i przemysłu na Zachodzie połączyła, była niejako pierwszą zapowiedzią przyszłego jéj ożywienia. Zczasem powstają inne drogi żelazne, mianowicie w r. 1862 Warszawsko-Bydgoska, w 1866 r. Warszawsko-Terespolska i wreszcie w r. 1877 Nadwiślańska, rozchodząca się w dwie strony ze swego dworca na Pradze. Uprzątnięty dawny most żyzwowy na Wiśle, zastąpiły dwa mosty żelazne na kamiennych filarach, jeden zbudowany w r. 1859—1864 przez inżyniera Kierbedzia, drugi skończony w r. 1874 (własność drogi Nadwiślańskiéj), które zapewniły stałą komunikacyą pomiędzy obu brzegami rzeki. Wszystkie te komunikacyjne udogodnienia posłużyły coraz zwawszemu rozwojowi miasta, które w handlu, zwłaszcza tranzytowym, ważne zajęło stanowisko. Musiała téż zmienić się i fizyognomia miasta, odkąd żywioty handlowe i przemysłowe, grające niegdyś tak podrzędną w jego życiu rolę, na pierwszy plan wystąpiły. Zatętniło tedy gwarne życie kupieckie, powstawały jedne po drugich domy handlowe i bankierskie, ulice przystroili się licznemi a wystawnemi sklepami. Nawet wypadki roku 1862 nie zdołały miasta zepchnąć z torów, na które od niedawna weszło. Powiększająca się stale liczba mieszkańców, których w roku 1857 miasto liczyło już około dwakroć sto tysięcy (dziś z pewnością, nie biorąc w rachubę wojska, przeszło czterakroć sto tysięcy wynosi) w ciągu ostatnich lat dwudziestu czterech podwoiła się zatem. Zrozumiała jest rzeczą, że tak bystry wzrost ludności musiał stać się bodźcem do ożywienia budowlanéj działalności miasta; do którój zkadinał zagnęły burzone od strony cytadeli domy i zniesiona cała połąć domów (1863—1865) w jedną z najgęściéj zaludnionych części miasta, między dawném wązkiem Krakowskiém Przedmieściem a Dziekaną. Zatomowany chwilowo, skutkiem zbiegu nieprzyjaznych okoliczności ruch budowlany, przybrał z początkiem ostatniego lat dziesiątka niezwykle, niesłychane przedtém rozmiary, i trwa dotychczas w całej swéj sile. Zabudowały się prawie zupełnie wytknięte w środku miasta nowe ulice, jak: hr. Berga, Erywańska, Włodzimierska, Hr. Kotzebue. Bardziej oddalone od środka miasta dzielnice i przedmieścia, których ulice do niedawna jeszcze posiadały same parkany, lub gdzieniegdzie liche domostwa, zostały uregulowane i wybrukowane, znikają na nich z każdym rokiem ogrody, puste place i nędzne parterowe domki, a na ich miejsce stają szeregi licznych, po większój części trzypiętrowych kamienic.

Warszawa doczekała się chwili, która, pod względem budowa-

nych przedsięwzięć stała się dla niej tém, czém czasy Napoleona III były dla Paryża, czém zburzenie fortyfikacyi i połączone z niem plany budowlane dla Wiednia, czém wreszcie napływ ludności i miliardów, łącznie z grynderstwem, dla Berlina. Naturalnie, skromne stosunki miejscowe nie pozwalają Warszawie współzawodniczyć co do liczby i przepychu nowych budowli z temi wielkimi i zamożnymi stolicami: porównanie moje odnosi się też jedynie do samej natury tych momentów, do ich znaczenia w rozwoju ruchu budowlanego. Niżej pokaże się, że podobieństwo to bardziej jeszcze ujawnia się w skutkach, dowodzących zarówno tu, jak tam, że mimo niezaprzeczonych postępów w zakresie konstrukcyjnej techniki, architektura, jako sztuka, nic, lub niewiele na tém ożywieniu zyskała; że pod względem estetycznym panuje w niej ten, co przedtém, zamęt form, z którego dotąd żadna świeża, oryginalna myśl się nie wyłoniła. Chociaż więc ostatni dziesięć lat dał tyle zajęcia naszym architektom, następując im szersze, niż kiedykolwiek, pole do praktycznego spożytkowania swych talentów: pokazało się, że łączne ich usiłowania nic samodzielnego nie wytworzyły.

Wydział budownictwa przy warszawskiej szkole sztuk pięknych, egzystujący od r. 1846, mianowicie po zreorganizowaniu tej ostatniej w r. 1853, co jej wykładom dało akademicki zakres, wykształcił teoretycznie dość liczny zastęp architektów. Ci wyrabiając się dalej pod okiem wytrawnych budowniczych, najczęściej dawnych swych profesorów, jak Marconi i Podczaszyński, obeznawali się z praktyczną stroną swojej specjalności. Byli i tacy, co poza obrębem szkoły otrzymali swe wykształcenie, pracując pod bezpośrednim kierunkiem praktykujących w Warszawie architektów. Inni wreszcie nabyli zagranicą fachowego wykształcenia. Dzięki tym okolicznościom, obecna epoka wzrostu miasta i gorączki budowlanej, nie zaskoczyła nas nie przygotowanych, bo posiadaliśmy już własne siły i poraz pierwszy nie potrzebowaliśmy posługiwać się Włochami. Chwila to więc ważna w dziejach naszego, a ściślej mówiąc, warszawskiego budownictwa; zasługuje też by się nią bliżej zająć.

Wyżej wyjaśnieniem dostatecznie, o ile mi się zdaje, naturę czynników, które w ciągu dwóch ubiegłych wieków kształtowały architektoniczną fizyognomię Warszawy a następnie te fazy, jakie jej architektura od początku bieżącego przechodziła wieku. Mówić tu o wartości miejscowych architektonicznych tradycyi, byłoby chyba zbyt czułym; oczywiście jest że kształtującego wpływu na rozwijające się talenta wywrzeć one nie mogły. Architektom naszym nie dają one wymaganej podstawy: nie znajdują oni w nich żadnych prawie punktów oparcia. Wypadłoby im chyba zawrócić daleko wstecz, pochwycić umiejętnie rozpierzchnięte i powiązać porwane od wieków wątłe pasma budowlanych tradycyi i dopiero snuć je dalej świadomie, z uwzględnieniem nowych życia warunków i wszelkich zdobyczy w zakresie konstrukcyjnej techniki. Ale, jak dotąd, w kierunku tym żadnego jeszcze prawie nie zrobiono kroku.

Dziwném się to wydać musi, że architektura, ta niewątpliwie naj-
użytkarniejsza ze wszystkich sztuk pięknych, która już przez to samo
nigdy zupełnie zaniedbaną być nie mogła, i owszem, przedstawiała za-
wsze mniej lub więcej rozległe pole do probowania sił krajowych—tak
małe z ich strony znajdowała poparcia. A dziś, kiedy się ruch budo-
wlany ożywił, kiedy nam sił krajowych nie braknie, dziś nie potrafimy
wzniesić się ponad mniej lub więcej zręczną kompilacją form gotowych,
ponad bierne naśladownictwo obcych wzorów, których wyborem nawet
żadna nie zdaje się kierować krytyka. Snać dla odrodzenia się naszej
architektury nie przyszła jeszcze ta szczęśliwa chwila, jaką dla poezyi
narodowej była epoka Brodzińskiego i Mickiewicza, kiedy wieszczowie
nasi, zerwawszy z suchą rzekomo klasyczną rutyną, sięgnęli po formy
i motywa w głąb ducha narodu i z tego żywego źródła, prawdziwie na-
rodowe dobyli skarby. Podobnej chwili doczekało się już podobno i na-
sze malarstwo, które dziś swoje siłę ożywczą tam czerpie, gdzie ją
przeszło pół wieku temu nasza poezya znalazła. Czy w architekturze
długo jeszcze na taką chwilę czekać nam wypadnie? Trudna na to od-
powieść.

Siły naszych budowniczych zużywają się przeważnie na projekto-
waniu i prowadzeniu robót budowlanych czysto użytkowych, mieszkal-
nych, które, ściśle rzecz biorąc, nie przedstawiają zbyt wdzięcznego
dla architektury zadania. Gmachów publicznych stawia się u nas nie-
wiele: kościołów, mimo naglącej potrzeby pomnożenia dotychczasowej
ich liczby, mniej jeszcze. Tém bardziej przeto obchodzić nas powinna
każda na większą skalę podjęta budowa. Jedną z takich jest bez-
wątpienia gmach Ratusza, odbudowany po spaleniu, podług planu bu-
downiczego Orłowskiego w roku 1863. Drugi to już raz, w ciągu bie-
żącego wieku, zmienia ten budynek swą postać. Na ostatniem odbu-
dowaniu zyskał on wewnątrz niezmiernie; natomiast front jego i wieża
zegarowa, motywowane sucho i niesmacznie, nie sprawiają pożądanego
estetycznego wrażenia.

Z kolei wypadnie nam zastanowić się nad budową kościoła
W.W. Świętych na Grzybowie, jako nad największém przedsięwzięciem
budowlaném lat ostatnich. Kościół jest właśnie na skończeniu, i już
możemy o jego całości wytworzyć sobie pojęcie. Plan budowy tej
świątyni nakreślił Henryk Marconi, w stylu odrodzenia XVI wieku
(Sansovino); zaszła atoli w roku 1863 jego śmierć, nie pozwoliła mu
kierować wykonaniem swego dzieła. Budowniczy, p. Zygmunt Ki-
ślański, który jeszcze za życia Marconiego i pod jego okiem brał udział
w wygotowaniu planów, następnie zaś jako konduktor budowy doglą-
dał, od r. 1867 kieruje robotami, jako główny konstruktor. Nowy ko-
ściół odznacza się śmiałością planu, oraz lekkością i wysmukłością
proporcji wewnętrznych. Słabą jego stroną stanowi elewacja fronto-
wa, na dwa podzielona piętra, jako będąca luźno-przyczepioną deko-
racją, nie zaś logicznym wynikiem konstrukcyi. Model kościoła
w $\frac{1}{30}$ części rzeczywistej wielkości, sporządzony przez majstra murar-

skiego Roberta Kahla, znajduje się w zbiorach gabinetu przy tutejszym uniwersytecie. Do robót budowlanych przystąpiono jeszcze w r. 1861, a w r. 1862 były już założone fundamenta. Dalsza atoli budowa, z powodu braku funduszy, postępowała opieszale. W roku 1866 wykończono część dolnego kościoła i tymczasowo na kościół parafialny przeznaczono. W roku następnym wzniesiono nawy głównego kościoła i pokryto stałym dachem; poczem roboty znów na jakiś czas przerwano. Dopiero w r. 1874 zbudowano ramiona krzyża i przedłużono kościół przez przybudowanie presbiterium. W r. 1875 przedłużono kościół dolny, zasklepiono go i wzięto się do robót wewnętrznych, w zakrystyi i kaplicy. W ciągu lat następnych dźwignięto mury dwóch wież bocznych frontowych do dzisiejszej ich wysokości; stanęła piękna kopuła środkowa (latarnia) i przybyły dwa podjazdy kryte; oprócz tego wykończono wewnątrz świątyni, tak, iż mu dziś tylko ołtarzy i t. p. akcesoryów brakuje. W roku przyszłym kościół prawdopodobnie zupełnie będzie skończony.

Układem planu przypomina on kościół Ś. Justyny w Padwie, dzieła Andrzeja Riccio; w proporcjach atoli posiada wyższość nad tym. Szerokość trzech naw kościoła górnego, ma w świetle wynosić 90 stóp angielskich; długość całego kościoła ma 245 stóp ang.; wysokość ścian stóp 91; dwie wieże frontowe mieć będą 188 stóp ang.; zatem o stóp dwadzieścia będą wyższe od wież Świętokrzyżkich. Kopułę środkową, czyli latarnię, pominiętą w planie pierwotnym, mamy do zawdzięczenia panu Kiślańskiemu; dosięga ona do 179 stóp ang. wysokości, jest bardzo lekka i kształtna; szkoda tylko, że dach kościoła zastłania w znacznej mierze jej widok od frontu. Wieże wzniesione z cegły do wysokości murów kościelnych, szczytowe swe części otrzymać mają z kamienia; taki przynajmniej jest zamiar głównego konstruktora. Front kościoła ozdobiony jest portykiem o trzech arkadach, wiodącym do obszerniej kruchty, ponad którą znajduje się chór. Z obu boków przytykają do kościoła dwa, wspomniane już wyżej, mniejsze portyki o trzech arkadach, stanowiące podjazdy boczne i kryte wejścia do kościołów górnego i dolnego. Zakrystya, mająca sklepienie krzyżowe, jest najobszerniejszą w Warszawie. Kaplica boczna, na prawo od presbiterium, oświecona zgóry wielkiem oknem cyrklastem, umieszczonem w kalocie, stanowiącej zakończenie sklepienia chełmiastego, posiada piękny ołtarz marmurowy i osobny chór, na którym umieszczone są małe organy. Do tej kaplicy jest osobne wejście od dziedzińca kościelnego, zaś od kościoła oddziela ją ozdobna krata żelazna, wykuta misternie przez warszawskiego ślusarza (majstra) p. Zielezińskiego, według rysunku p. Kiślańskiego. W ogóle wewnątrz kościoła, zalecające się wykwiutnością profilów, robi wspaniałe i sympatyczne wrażenie. Różne modyfikacye planu pierwotnego, jak wspomniana wyżej latarnia, podwyższenie arkad w bocznych nawach i t. p., wyszły na korzyść budowli. Warto było na drodze tych modyfikacyi posunąć się dalej i, mimo całego poszanowania dla autorstwa Marconiego, zmienić nieu-

dolną elewacją frontową, nadając jój logiczniejszą, a tém samém estetyczniejszą postać.

Kościół WW. Świętych jest jedną z nielicznych świątyń warszawskich, których plan w wykonaniu nie uległ obcięciu, zredukowaniu; chociaż w ciągu robót, w obec trudności o fundusze, zamysłano niejednokrotnie szukać z tych ostatnich wyjścia w tego rodzaju fuszerce. Obronę planów od tych niewczesnych na ich całość zamachów winniśmy p. Kiślańskiemu. Dziś jestto największa świątynia w Warszawie, mogąca pomieścić do 8,000 osób. Koszta budowy dotąd już przeszło 400,000 rs. wynoszą.

I wyznanie Mojżeszowe zdobyło się nareszcie w Warszawie na dom Boży, wspanialszy i odpowiedniejszy swemu przeznaczeniu, niż dotychczasowe skromne domy modlitwy. Nowa synagoga na Tłómackiem, zbudowana została podług planu p. Leandra Marconiego, będącego podobno przeróbką projektu ojca, Henryka Marconiego, którego imię, jak to widzimy, łączy się z losami prawie każdej znakomitej budowl, dźwigniętj w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu. Ci, co mieli sposobność widzieć plany pierwotne, twierdzą, że straciły one wiele na wprowadzonych do nich zmianach. Bądźco bądź jednak, nowa synagoga, wzniesiona w stylu odrodzenia, z mocném zaakcentowaniem starogreckich motywów, zaleca się bogactwem i wytwornością dekoracyi i jest bezzaprzeczenia jedném z piękniejszych dzieł architektury w naszym mieście. Roboty budowlane około tego gmachu ukończono w roku 1879. Co do stylu świątyni, wybór jego nie zdaje mi się trafny. Berliński architekt Knoblauch, żyd z pochodzenia i wyznania, autor planu sławnej berlińskiej synagogi, czerpał motywa do swj pracy z ocalałych resztek murów i okruców ornamentów starożytnego żydów budownictwa; i stworzył istotnie dzieło imponujące świeżością i oryginalnością myśli; świątyni zaś nadał cechy zewnętrzne, będące w ścisłym związku z jój charakterem i przeznaczeniem. Co do mnie, nie myślę posuwać się w tym względzie tak daleko, jak wspomniany wyżej twórca berlińskiej synagogi; sądzą przecież, że w nowj warszawskiej świątyni wyznania Mojżeszowego, architektura maurytańska byłaby bardziej na miejscu. Niektóre z projektów, nadesłanych na konkurs, ogłoszony w swoim czasie na plan budowy synagogi, były właśnie w stylu maurytańskim, który trudno zgadnąć, dlaczego nie trafił do przekonania komitetu budowy. Wracając do synagogi na Tłómackiem, muszę tu zauważyć, że na dekoracyjną jój stronę położono bodaj za mocny nacisk: mam na myśli te mianowicie szczegóły dekoracyi, które nie wynikają logicznie z konstrukcyi świątyni, jak np. kopuła, piękna może sama w sobie, ale będąca tu czczym tylko ornamentem, wewnątrz bowiem świątyni, mianowicie jój sklepienie, nie usprawiedliwia bynajmniej jój istnienia. Inaczej się rzecz ma z kościołami: Ewangelickim, Ś. Aleksandra i Ś. Kazimierza na Nowém Mieście (PP. Sakramentek), nakrytemi również kopułami; bo owe kopuły wypływają tu konsekwentnie z budowy, są szczerym jój wyrazem,

widzimy je zarówno zewnątrz jak wewnątrz, i dlatego właśnie sprawiają zadawalające estetyczne wrażenie. Podobnież podział wnętrza na trzy nawy, przypominający chrześcijańską bazylikę, nie wydaje się mi właściwym; zresztą, świątynia tak zewnątrz jak wewnątrz, dobrze się przedstawia; szczególnie zaś zasługuje na uwagę bardzo harmonijnie przeprowadzona apsyda z arką.

Najnowszą z świątyń Warszawy, jest kościół wyznania ewangelicko-reformowanego na Lesznie, w stylu ostrołukowym, zaczęty w roku 1866, skończony w r. 1880. Pierwotny projekt na tę świątynię, nakreślił Henryk Marconi, w stylu angielsko-gotyckim, z piękną wieżą przezroczystą, takowy atoli został zaniechany. Autorstwo planu, według którego stanął obecny kościół, należy się budowniczemu p. A. Loewe. Ale poruszał się on tu widocznie w nieswoim żywiole, brakło mu bodaj należytego obeznania się z tradycją ostrołukowej architektury, spotykamy się tu bowiem i z brakiem proporcji, i dziwną mieszaniną motywów różnych odmian stylowych, co razem przeciwne jest pojęciu całości i jednolitości. Wprawdzie wielu osobom podobają się (zapewne jako nowość) owa chuda, wyniosła, ujęta w kabłąkowate linie wieża, a pisma nasze codzienne i niecodzienne, zajmujące się opisem kościoła, oddawna chórem zadecydowały, że jest piękna, o co się też nie będę z niemi bynajmniej sprzeczał; muszę jednak przypomnieć, że nie chodzi tu przecież o samą wieżę, jakby ta była czémś oddzielném, lecz o cały kościół, którego ona część tylko stanowi. Otóż przede wszystkim, przy niewielkiej względnie jego długości i w ogóle szczupłych wymiarach, wieża ta razi swoją nadmierną wysokością; a ten brak proporcji i estetycznej równowagi, wyradza, obok ubóstwa, jakąś chorobliwą pretensjonalność, zakłócającą wrażenie całości. Zresztą, całość ta i pod innym względem podlega zarzutowi: oto z murami kościoła, mianowicie z jego frontem, który, mimo nieokreślonego swego charakteru, najbardziej do gotyku angielskiego zdaje się zbliżać, nie licuje wspomniona wieża i z tego jeszcze powodu, że kształtem swym i szczegółami należy raczej do gotyku niemieckiego. Nadto, gdy mury kościoła zachowują pewną surowość, przypominającą architekturę ostrołukową z pierwszej epoki jég rozwoju, wymyślnie dziergana wieża przedstawia jég formy kwitnące, z doby o wiele naturalnie późniejszej. Spotkać się wprawdzie można z podobnemi różnicami w wielu gotyckich świątyniach Europy, tych zwłaszcza, co budowały się po kilka wieków i coś z charakteru każdego z nich w swych murach zachowały; ale nie na miejscu są one tam, gdzie budowa kościoła trwała wszystkiego lat kilkanaście. Dziwna ta co najmniej kombinacya form dowodzi jednego z dwojga: albo niedostatecznej znajomości stylu, albo lekceważenia jego zasad. Podobno do postawienia wieży, sprowadzono sobie architekta Niemca! Prawdziwie szkoda było zachodu.

Sprawa budowy kościoła ewangelicko-reformowanego na Lesznie wykazuje, z jednej strony, smutny stan naszych architektonicznych tradycyi, z drugiej zaś, niepraktyczność, z jaką zabierać się zwykliśmy

do większych budowlanych przedsięwzięć powszechnego użytku. Wydajemy na nie dużo pieniędzy, których zebranie zwykle nie bez trudności przychodzi, a nie przestrzegamy przytém warunków, mogących zapewnić najlepsze ich użytkowanie. Toż kiedy stanęło już na tém, że nowy kościół zbudowany być ma w stylu ostrołukowym, czyż nie byłoby właściwszém, a nawet konieczném, zamiast uciekać się do wzorów obcej nam architektury, wybrać ten jój odcień, który przez kilka wieków na naszój ziemi był już uprawiany i którego dość jeszcze posiadamy pomników, byśmy go należycie poznać i do budowy nowych świątyń zastosować mogli. Marconi, autor pierwotnego projektu kościoła, jako rodem Włoch, mógł nieznaczą tradycyi naszój ostrołukowej architektury i jój sprawy nie mieć na sercu; zresztą zkądinąd wiadomo, że był on jawnym przeciwnikiem gotyckiego budownictwa. Wybór p. A. Loewe, jak się pokazało, téż nie był trafny. Gdyby jednak, zamiast wybierać między budowniczymi na chybił trafił, ogłoszono na plan budowy konkurs: ani wątpić, że ten doprowadziłby komitet budowy do znalezienia planów daleko lepiej wymaganiom odpowiadających. Jakkolwiek bowiem niskim jest ogólny poziom artystycznego wykształcenia naszych budowniczych, osobiście co do znajomości tradycyi krajowej sztuki, nie braknie wszelako pomiędzy nimi i takich, co się sprawą swojskiej architektury szczerze i sumiennie zajmują, torując na tém polu drogę swym następcom. Jeśli komitet budowy kościoła reformowanego o nich nie wiedział, rezultat konkursu wykazałby mu ich niewątpliwie, i tą drogą wygotowanie planów kościoła dostałoby się w najwłaściwsze ręce. Zmarły w r. 1878 Bolestaw Podczaszyński, znawca sztuki krajowej i archeolog, b. profesor b. Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, badał zabytki ostrołukowego budownictwa i wznosił kilka kościołów, jak w Ceraunowie i Starój Wsi, które, obok zalet kompozycyi, okazują wyraźne dążenie do odnowienia dawnych tradycyi t. z. wiślano-baltyckiego budownictwa. Wiem, że i inni próbowali sił w tym kierunku. Z dzisiejszych budowniczych, o ile mi wiadomo, przedmiotem tym zajmuje się p. Zygmunt Kiślański i bardzo być może, że nie on jeden tylko. Jeśli ten zwrot w działalności naszych architektów, dotąd cząstkowy, stanie się kiedyś powszechniejszym, jak się tego słusznie spodziewać można, przestaną się wówczas pojawiać takie nieszczęśliwe restauracye, jak kościoła Ś. Jana i P. Maryi, nie mówiąc już o tém, co się na prowincyi w tym względzie dzieje. Starożytne kościoły w Krakowie, Wiślicy, Wilnie, Toruniu, Włocławku, Gnieźnie, Prasnyszu i wielu innych miastach, mogą dostarczyć bardzo bogatego materiału do studyów nad tą architekturą. Nie bez znaczenia dla nas są téż gotyckie budowle Krzyżaków; były one, jak się zdaje, pierwszymi wzorami naszych ostrołukowych świątyń i dziś w niejednym szczególe nas objaśnić i wiedzę naszą uzupełnić mogły. Zczasem może téż i Warszawa doczeka się świątyni w tym stylu, na której dziś jój jednę tylko z większych miast naszych zbywa.

Żałować téż trzeba, że projektowany kościół Ś. Barbary, mający

zastąpić dzisiejszy skromny kościółek na Koszykach, nie będzie wzniesiony w stylu ostrołukowym z nietynkowanej cegły, jak to pp. Kiślański i Schimmelpfennig proponowali, a nawet wygotowali odpowiednie szkice. Z niezrozumiałych dla nas powodów, postanowiono, aby nowy kościół był w stylu romańskim. Niémam naturalnie nic do nadmienienia przeciwko takiemu wyborowi: kościół romańskiej architektury może być równie piękny i przeznaczeniu swemu odpowiadać, jak ostrołukowej. Ale szkoda każdej straconej sposobności wznowienia form naszego kościelnego budownictwa XIV i XV wieku. Niepojętą jest rzeczą, iż w razie powzięcia zamiaru zbudowania nowego kościoła i zebrania potrzebnych na ten cel funduszków, nie zawsze poczynamy sobie tak, jak oględni ludzie na całym świecie poczynają zwykli; t. j. nie ogłaszamy konkursu na projekt zamierzonej budowy; przez co pozbawiamy się możności posiadania najlepszych możliwie planów i spożytkowania najdzielniejszych sił artystycznych, jakimi byśmy w danej chwili rozporządzać mogli. Zapewne i kościół W.W. Świętych inną miałyby dziś postać, i kto wie, czy nie wystąpiłby ktoś z architektów z projektem w stylu ostrołukowym i nie zyskał poklasku, gdyby zamiast powierzania planów Marconiemu, ogłoszono na nie konkurs. Nie słyszałem jednak, żeby ogłoszony był konkurs na plan budowy kościoła Ś. Barbary; a przecież piękny szkic kościoła dla Rudy Guzowskiej (w stylu ostrołukowym) dowiódł najoczywiściej, że droga konkursu w podobnych razach jest najstosowniejszą.

Chaos form, panujący w współczesnej architekturze, zdaje się świadczyć, że zużyte i spowszedniałe motywa renesansowe i klasyczne nie zaspakajają estetycznych pragnień architektów. W istocie, są one u nas jakby czémś przejściowém, tymczasowém. Architekci do czystości tych form nie przywiązują wagi i w mieszanii ich z sobą, zdają się szukać czegoś nowego: ztąd rodzi się mnóstwo zbocezeń, i dziwnych, niesmacznych lub śmiesznych kombinacji najróżnorodniejszych żywiołów, wśród czego zaciera się coraz bardziej pojęcie o czystości stylu. Jak o tém na swoim miejscu nadmienilem, usiłowania jednostki nie stworzą nowej architektury, nowego stylu; nedorzecznością byłoby też nakłaniać naszych architektów do robienia prób w tym kierunku, bo te musiałaby się jałowemi okazać. Mnie się zdaje, że tu tylko powrót do motywów średniowiecznej architektury może być pożądanym, pozwoliłby on bowiem odzyskać grunt rodzimy, zdrowy punkt oparcia, a samo oddziaływanie naturalnych czynników dokonałoby reszty, zwracając usiłowania architektów na właściwą drogę. Uwzględnianie rzeczywistych potrzeb życia społecznego i postępów w zakresie techniki, umiejętności i przemysłu, powinno być jedynym regulatorem tych usiłowań. Pamiętać wszelako trzeba, że zbytnie oglądanie się na zagranicę, może tu oddziaływać szkodliwie: nie wszystko i nie zawsze bowiem, co dobre tam, dobrém się i u nas okazuje; a żadna może sfera pracy nie dostarczałaby na to tylu i tak bijących w oczy dowodów, jak właśnie nasza architektura.

Tu raz jeszcze przypomnę, że w trzeźwój Anglii, gdzie, jako w kraju północnym, rozkrzewiła się swego czasu ostrołukowa architektura, po kilkowiekowym jój zaniedbaniu, pod wpływem włoskiego renesansu, dziś czynione są znów starania, w celu przywrócenia jój do dawnego stanu kwitnącego. Oprócz mnóstwa kościołów, budowanych w tym kraju wyłącznie prawie w stylu gotyckim, został między innemi wzniesiony w tymże stylu wspaniały gmach parlamentu w Londynie. Ale i w innych krajach zwrot ten, choć w słabszym stopniu, zauważyć się daje. W Wiedniu, objawem jego jest Votivkirche, piękna świątynia w stylu gotyckim, zmienionym nieco w duchu nowożytnym. Nawet po głowach architektów protestanckich Niemiec błąka się myśl odrodzenia architektury z motywów średniowiecznych. Nie mówi się wprawdzie wyraźnie o stylu ostrołukowym, ale widać z wszystkiego, że jego to motywa miane są głównie na myśli. Wzniesiony w Berlinie, podług planu Augusta Orth, kościół p. n.: Zionskirche, choć nie posiada łuków gotyckich, samym atoli planem, wieżą i szczegółami dekoracyi świadczy, że gotyk stanowił główny punkt wyjścia dla architekta, co jego plan nakreślił. Oto co sam on mówi w tym przedmiocie: „Zamierzam moim było: średniowiecznym stosunkom przestrzeni i mass, zmodyfikowanym odpowiednio do potrzeb protestanckiego kościoła, dać wyraz w nowożytnéj mowie architektonicznéj; i to bynajmniej nie w eklektyczny sposób, nie przez pomieszanie różnych form stylowych, lecz raczéj przez osiągnięcie w ostatecznych skutkach harmonii i jednolitości, słowem, przez rodzaj artystycznego odrodzenia, przez renesans na inném polu.” Mniejsza o to, jak dalece powiodło się berlińskiemu architektowi wywiązać się z tego trudnego, choć postawionego sobie tak jasno zadania; słowa jego przytaczam tu dlatego, że streszcza się w nich dość dokładnie program, jakibym naszym architektom rad zalecił.

Z nieco odmiennego stanowiska zapatruje się na kwestyą przyszłego stylu naszej architektury p. F. K. Martynowski, którego zajmujący artykuł: „Zapoznane drogi w sztuce polskiej,” drukowany w „Przeglądzie Bibliograficzno-Archeologicznym” nr. 2, 3, 4, uważa czytelnika polecam. Co do mnie, jestem zdania, że odrodzenie u nas form średniowiecznej, t. j. ostrołukowej architektury, zdaje się być tylko kwestyą czasu. Jak ku nim zwracać się już zaczynają niektórzy angielscy i niemieccy architekci, tak prędzej lub później i nasi ku nim się zwrócą.

Z brakiem archeologicznego wykształcenia naszych architektów, idzie w parze brak poszanowania dla zabytków sztuki i lekkomyślność, z jaką zabierają się do przebudowywania dawnych gmachów i kościołów, przeinaczając je po swojemu. Wandalizm to oburzający, odbijający dziko od tój czci, z jaką malarze i rzeźbiarze otaczają zwykli pomniki swój sztuki. Uwagi te podyktowała mi obawa o całość kościoła Ś. Aleksandra, na którego rozprzestrzenienie, jak wiadomo, zapisała fundusz ś. p. Karolina Grodzicka. Parafia Ś. Aleksandra jest rozległa

i ludna; obecny kościół, iedyny w téj części miasta, okazał się już oddawna zaszczupłym na jój potrzeby. Rozmyślano téż oddawna nad sposobami jego powiększenia, z zachowaniem naturalnie głównych części dziś istniejącej budowli. Nad rozwiązaniem tego zadania pracował, między innymi, i Henryk Marconi, ale jak sam wyznawał, walczył daremnie z trudnościami. Nie lepiej téż powiodło się wybrnąć z nich p. Ignacemu Kwiatkowskiemu: kościół, powiększony podług jego planu, znanego z wystawy Tow. Zach. Sztuk Pięknych, zamknąłby przystęp do ulicy Wspólnej. Wreszcie powiększenie kościoła, dokonane w jakibądź sposób, musiałoby odebrać mu obecny kształt rotundy, tak dobrze odpowiadający naturze placu, który się w kształcie nieregularnego wieloboku przedstawia. Kościół znajduje się na osi Alei Ujazdowskiej, i przedłużenie go w którąbądź stronę, musiałoby zawsze dać mu ukośny kierunek, względnie do boków placu i osi zbiegających się na nim ulic. Dla budynku podłużnego, stojącego na środku placu, przedstawiałoby to warunki estetyczne bardzo niekorzystne.

Zapis ś. p. Grodzickiej stał się hasłem do poruszenia w r. 1875 na nowo téj kwestyi. Projektowany konkurs, na plan powiększenia kościoła, stawiał za warunek, aby mury jego w głównych częściach pozostały nietknięte, warunek bardzo uzasadniony, ale on to właśnie stawia budowniczych w położeniu, z którego niema zadawalającego wyjścia. Rozrzucenie dzisiejszego a postawienie nowego kościoła, byłoby zadaniem o wiele łatwiejszem. O tém jednak nie mogło być mowy. Konkurs nie przyszedł jakoś do skutku, i zdawało się, że projekt został uznany za niewykonalny i że kościołowi przestało grozić niebezpieczeństwo pozbawienia go obecnej postaci. Ze zdziwieniem téż przeczytałem w nr. 51 „Inżyniery i Budownictwa,” że myśl rozszerzenia kościoła nie została zaniechaną, i że odpowiedni plan sporządzony już został przez „jednego ze znanych naszych architektów.” Zdziwienie moje tém było większe, że sprawę przebudowania t. j. przeinaczenia kościoła, popierać się zdaje pisino, choćby jedno na straży nietykalności (możebnój) pomników architektury stać powinno. Na upartego, zapewne, kościół powiększyćby można, ale byłaby to zawsze licha łatanina. Szkoda tylko kościoła, który do piękniejszych w mieście należy. Możnaby np. przedłużyć go od strony Nowego Świata, zatrzymując obecną rotundę jako przedsionek, na wzór Santa Maria degli Angeli w Rzymie; ale przedłużenie to zajęłoby część placu, dziś na stacyę omnibusów przeznaczoną, zastąpiłoby szereg domów, stanowiących północny bok placu i padłoby ukośnie do osi Nowego Świata. Rozprzestrzenienie go w kierunku Alei Ujazdowskiej, jak już wyżej nadmienilem, zajęłoby dostęp do ulicy Wspólnej i zaciemniło narożne domy. Od domu Naimskiego jest ono również niepożądane, obecna bowiem szerokość ulicy w tém miejscu, zmniejszałaby się o połowę, co utrudniałoby komunikacyą. W każdym razie zapisany fundusz, wynoszący podobno około 50,000 r., nie pokryłby kosztów przebudowania.

Dlaczego jednak mielibyśmy obstawać przy tym projekcie? Czy

słusznej potrzebie parafian, będącój tu głównym punktem wyjścia, nie dałoby się zaradzić w inny sposób? Czy nie lepiej byłoby użyć zapisanego funduszu na budowę nowego kościoła? Słusznie mógłby tu ktoś zauważyć: że sprzeciwiałoby się to wyraźnej woli zapisodawcy. Prawda, ależ zachodzą i takie wypadki, że wykonanie woli zapisodawcy staje się zawistém od okoliczności niezawsze przez niego przewidzianych; że okoliczności te mogą nawet stanowczo sprzeciwiać się jój wykonaniu. Otóż w podobnych razach jedno z dwojga: albo zapis nie przychodzi do skutku (co zwłaszcza ma miejsce, jeśli są interesowane osoby, coby fundusz zagarnąć pragnęły), albo po dojrzałej rozprawie obracany bywa na cel inny, o ile można zbliżony do wyrażonej przez zapisodawcę woli, jak tego właśnie daje nam przykład zapis ś. p. Staszica, którym przed kilku laty zajmowały się nasze pisma. W kwestyi zapisów na cele budowlane, może się rzecz łatwo rozbić o niewykonalność woli z względów czysto technicznej natury. Coś podobnego zachodzi właśnie w obecnym razie. Kościół Ś. Aleksandra stoi podobno na płytkich fundamentach, w czasie robót mury osiadały się niejednokrotnie, tak, że musiano je żelaznemi pościągami obręczać. Wszelka tedy przeróbka mogłaby je łatwo zachwiać. Ale gdyby nawet nie te względy, to samo poszanowanie dla sztuki, dla jój pomników, powinno nas odwieść od zamiaru przebudowania kościoła, będącego najudatniejszym dziełem Piotra Aiguera. Tęj to właśnie pochoptności naszój do przebudowywania i przeinaczania wszystkiego co się da, zawdzięczamy w znacznej mierze, że Warszawa nie zachowała żadnych starożytnych pomników budownictwa w ich pierwotnej postaci.

Pozostaje nam jeszcze budownictwo świeckie, absorbujące w ostatnich latach wszystkie siły naszych budowniczych. Ale takich gmachów, któreby z natury swego przeznaczenia miały poniekąd publiczny charakter, a tém samém przedstawiały wdzięczniejsze dla architektury, jako sztuki, zadanie; przybyło nam niewiele. Plan na gmach Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, przy ulicy Włodzimierskiej, narysował p. Julian Ankiewicz, jeden z najczynniejszych architektów w naszém mieście. Budowle, wzniesione przezeń ostatnimi czasy, dowodzą, że mu nie brakuje ani talentu, ani smaku. Tego ostatniego okazał wiele w frontowój elewacyi wspomnianego gmachu, jakkolwiek niezupełnie wolnój od zarzutu. A najprzód uderza ona oko brakiem proporcjonalnego stosunku pomiędzy dwoma jój piętrami: mianowicie parter jest tu zadrobny, zalekki, względnie do pierwszego piętra, co sprzeciwia się zasadniczemu prawidłom architektonicznej estetyki i narusza harmonią. Dalej, razi trochę i to, że gmach, stojąc w jednym szeregu z innemi budowlami, charakterem swój dekoracyi i wymiarami pięter, stanowi zamocny z niemi kontrast. Posągi, zdobiące jego front, zdają się tu być jakby nie na swoim miejscu, nie harmonizują jakoś z ogólnym nastrojem dekoracyi. W tej ostatniej architekt rozwija motywa renesansowe, owe zaś posągi tchną jakąś romantyczną świeżością; świeżość ta i lekkość jest oczywiście zaletą, wspomnianych dzieł

rzeźby, w podobnych atoli razach nie dość na tém, żeby figury były pięknymi same w sobie, jako część dekoracyi, powinny one z nią doskonałą stanowić całość, t. j. powinny być zastosowane w charakterze do architektonicznego tła, jakie im przeznaczono. Możliwość i rezalitom zarzucić, że psują cokolwiek jednolitość frontu.

Bank handlowy, przy rogu ulic Włodzimierskiej i Hr. Berga, nie należy do szczęśliwych pomysłów p. Leonarda Marconiego, który nań plan wygotował. Nudna, ciężka w proporcjach, budowla ta obraca się w kole spowszedniałych motywów. Każdy tu szczegół szablonowy, sto razy już gdzieindziej widziany, zaś dekoracyjne dodatki słabo zaledwie maskują architektoniczne ubóstwo gmachu. A co może najbardziej w nim razi, to nieodpowiedniej wysokości cokół, w skutek czego gmach cały sprawia przykre wrażenie, jakby się w ziemię zapadał.

Spotykając się z temi lub owemi niewłaściwościami estetycznymi w budowlach Warszawy, nie zawsze wolno składać nam winę na karb budowniczego. Daje się mu zwykle do dyspozycyi plac takich a takich wymiarów, określonego kształtu, stawia się mu z góry takie a takie wymagania, iż w końcu trudno się nawet dziwić, że jego umiejętność i talent nie zawsze zdołają wybrnąć szczęśliwie z tego lasu trudności. Gdybyśmy wnuknęli w dzieje jawne i zakulisowe powstania planów i prowadzenia budowy różnych gmachów i świątyń Warszawy, przekonalibyśmy się z jakimi trudnościami walczyć musieli architekci, ilu to zmianom ulegały ich pierwotne pomysły; spotykałibyśmy się nieraz z oburzającymi objawami nieuctwa, zarozumiałstwa i samowoli, krępujących swobodę ruchów budowniczych i oszpecających ich plany nieraz do niepoznania.

Domów prywatnych buduje się w mieście bardzo wiele, przybywa ich po kilkaset rocznie; ale, jak już zauważyliśmy, pole tu ciasne dla talentów architektów. Powtarzające się stale te same mniej lub więcej warunki miejsca, konieczność zawarcia domu pomiędzy dwiema szczytowymi ścianami sąsiednich kamienic i w jednym z niemi szeregu; dalej, powtarzające się te same potrzeby, więc i te same temata co do wewnętrznego rozkładu budowli i t. p. okoliczności, redukują tu zakres działalności budowniczego do trzymania się utartej rutyny, hamującej każdy swobodniejszy polot myśli. Wszystko to sprowadza stawiane u nas domy, tak pod względem frontowej dekoracyi, jak wewnętrznego rozkładu, do pewnej przeciętnej, powtarzającej się do nieskończoności modły. Powstają w ten sposób długie szeregi suchych, nużących swą jednostajnością budowli, wśród których oko daremnie szuka jakiegóż pożądanego przerwy, jakiegóż objawu oryginalności, na którémby znieczone spocząć mogło. Ale wszelkie deklamacje na temat koszarowego stylu, na nic się tu nie przydadzą: jest tak, bo w danych warunkach inaczej być nie może. Wprawdzie komplikujące się coraz bardziej warunki życia społecznego i towarzyskiego, oraz idące za tém podnoszenie się powszechne skali komfortu, zmuszają budowniczych do ciągłych zmian i ulepszeń w urządzeniach zewnętrz-

nych; ale i pod tym względem inwencya ich ma ograniczone pole. Formy życia domowego i towarzyskiego tak się ujednostajniły w całym ucywilizowanym świecie, a przynajmniej w krajach leżących pod jedną kową, mniej więcej szerokością geograficzną, tak wszędy stawiane bywają architektom jedne i te same zadania, i rozwiązywane przez nich mniej więcej w jednakowy sposób; że i w tym względzie zamiast uszyć sobie głowę nad stworzeniem czegoś nowego a stosownego, architekci nasi wolą sięgać po gotowe już i wypróbowane szablony zagraniczne, które im znacznie zadanie i pracę uproszczają. Lecz te ulepszenia zagraniczne, ryczałtem i bez rozuinnej krytyki wprowadzane, okazują się nie zawsze u nas na miejscu, potrzebom naszym nie zawsze w skuteczny zaradzają sposób. I to właśnie powinno by skłonić naszych budowniczych do wyjścia z tej biernej roli, jaką dobrowolnie na się wzięli, i pobudzić ich do samodzielnej na tém polu pracy. Zapewne najłatwiej to, najmniej zachodu kosztuje—otworzyć pierwszą lepszą architektoniczną publikacją, których zagranicą tak wiele dziś i tak zbytowych wydają, wziąć z niej projekt najbardziej odpowiedni potrzebie i, odmieniwszy w najlepszym razie to i owo, podać go za własny, oryginalny, i w wykonanie wprowadzić. Albo: wziąć jedno piętro ztąd, drugie ztąd inąd i takim łatwym sposobem zaprojektować plan budowli. Ale taka robota będzie zawsze lichą tandetą, zabijającą samodzielność i nie wiodącą do żadnego dodatniego rezultatu; a nadto, powiedzmy to otwarcie, jest niesumienną i niegodną prawdziwego architekta. Posiłkować się wzorami można i należy, lecz nie w praktykowany u nas powszechnie sposób.

Pałace i wille ludzi zamożnych, stawiane na placach rozległych, często wśród ogrodów i klombów, przedstawiają ponętniejsze dla budowniczego temata. Tu snadniej okazać może on swój talent, byleby mu go natura nie poskapiła. Wille i pałacyki wzniesione przy alei Ujazdowskiej, w przyległej do niej ulicy Róż, wreszcie przy ulicy Piękną i na Foksalu, powstały właśnie w tych pomyślnych warunkach, zapewniających budowniczym pewną swobodę a tém samém pozwalających i nam spodziewać się po nich czegoś więcej. Muszę jednak zaznaczyć, że skutek ich usiłowań nie zupełnie odpowiedział naszym oczekiwaniom. Owszem, brak świeżości motywów wyszedł tu może bardziej na jaw niż gdzieindziej; chociaż i to prawda, że szczęśliwa tych ostatnich kombinacya w połączeniu z artystycznym smakiem, wydała kilka wcale udatnych i wdzięcznych budowli. Takimi mianowicie są odznaczające się pięknnością wille pp. Rau'a i Wernickiego przy alei Ujazdowskiej (szczególniej pierwsza), wzniesione według planów p. Leandra Marconiego, który zbudował nadto pałac hr. Branickiego na Frascati i willę hr. Zamoyskiego na Foksalu—obie budowle podobno według projektów francuzkich. Z wielkim smakiem obynślany jest również plan willi p. Kruzenszterna przy ulicy Piękną, zalecający się przytém wielką prostotą. Autorem jego jest wspomniany już wyżej p. Julian Ankiewicz, z którego dzieł zastępuje tu jeszcze na przy-

toczenie dom Kruzego przy rogu ulic Pięknój i Wiejskiej, rozległa, choć o dwóch tylko piętach budowla, trzymana w charakterze rzymskiego renesansu, przeprowadzonego z wielką umiejętnością. Pod względem układu planów, zapewniających możebne mieszkańcom wygody, dom ten nie ma bodaj sobie równego w Warszawie. Z innych domów tego budowniczego wymienię tu jeszcze: dom własny na Wiejskiej, Fajansa na Krakowskiem-Przedmieściu i Blumenfelda na Włodzimierskiej.

Wille Schmidta przy rogu alei Ujazdowskiej i ulicy Róż, tudzież inne sąsiednie; willa p. Karnickiej przy alei Ujazdowskiej, dom Bernstejna przy rogu téjże i Wilczej, oraz dom Schmidta przy ulicy Mazowieckiej i hr. Berga, wzniesione zostały według planów budowniczego p. Józefa Hussa, wykształconego w Niemczech, który do naszej architektury wprowadza niesmaczne trochę kroje berlińskie. Autorem planów na hotel Brühlowski przy ulicy Kotzebue, dom Szlenkera na Zielonym placu (budujący się dopiero) i okazały dom Grantzowa przy ulicy Królewskiej—jest budowniczy p. Witold Lanci. Ostatni z wymienionych domów posiada imponującą i nieco pretensjonalną, jak na zwyczajny dom mieszkalny, dekoracją frontu. Kolumny w środkowej części podtrzymujące balkon pierwszego piętra, ustawione są na potrójnych podstawach, co je nadmiernie długimi w stosunku do objętości i nagłówka a więc i szpetnymi czyni. Rezalitę, z powodu szerszych otworów okien, trochę téż psują harmonią frontu, którego jedną z cenniejszych ozdób stanowią cztery piękne karyatydy z kamienia jankowskiego, dłuta Teodora Rygiera. Dom to zresztą stawiany bardzo porządnie, nawet zbyt kownie.

Pałac Kronenberga przy rogu ulic Królewskiej i Mazowieckiej, zbudowany podług planu Hitziga, jednego z najwziętszych architektów berlińskich, posiada z pomiędzy nowych budowli najsumienniejszy i z najlepszego materiału wykonane roboty stolarskie i ślusarskie, jak okna, posadzki, drzwi, okucia i t. p. Urządzony wewnątrz z komfortem, nie zaleca się jednak swoją strojną wprowadzić lecz ciężką elewacją frontową.

W okazalszych budowlach prywatnych coraz częściej spotkać się można z kolumnami, wschodami, balustradami i różnemi architektonicznymi ozdobami z kosztownych, bo zdaleka sprowadzanych marmurów; cegła i w ogóle materiały tańsze, znajdują coraz mniej zastosowania w dekoracji wystawniejszych budowli. Odbija się w tém potrosze gruby materializm wieku, wciskający się wszelkimi szparami do świątyni sztuki. Gmach Opery paryzkiej jest najlepszym okazem pompy, w którą téż stroją się wedle sił i możliwości gmachy i pałace prywatne w Wiedniu, Berlinie i wszędzie. Samo piękno formy przestaje snadź nęcić, jeśli mu kosztowny materiał za podkład nie służy; kolumna, choćby najpiękniejszą zalecającą się proporcjami, traci dekoracyjną wartość, jeśli nie jest z marmuru. Mamy i u siebie choć

na skromniejszą skalę, próbki tego materyalistycznego kierunku w architekturze świeckiej.

Równolegle z lśniącym zbytkiem wewnątrz, rozwijać się zwykła na zewnątrz ostentacyjna a rozrzutna dekoracja—i to jest właśnie, co uczucie dobrego smaku i przyzwoitości najbardziej może obraża. W najlepszym bowiem razie, to jest gdyby budowniczemu udało się osiągnąć ład i harmonię w nagromadzonych efektach, nie uniknie on zarzutu dopuszczenia się nie stosowności. Jednym z zadań architektury jest wyryć na fizyognomii budowli znamię jej charakteru—publicznego czy prywatnego, wyrazić w symbolicznej mowie mass i linii, takie lub inne jej przeznaczenie. Rozumiemy np., że gmach rządowy lub publiczny otrzymuje wspaniałą, mniej lub więcej strojną fasadę, którą dominuje nad innymi prywatnymi domami; bo i z tytułu swego przeznaczenia góruje nad niemi. Ta sama jednak fasada wydać się nam musi pretensjonalną, gdy się nią prywatny dom lub pałac przystroi; bo pozbawioną będąc swego symbolicznego znaczenia, nie będzie tu już ona na właściwem miejscu. Że dzisiejsi architekci tracą niekiedy poczucie tego rodzaju różnicy, i że nie dają jej na zewnątrz należytego wyrazu, dowodem są owe krzyżące a chętpliwe dekoracje frontowe wielu domów prywatnych, jak gdyby ich posiadaczom o nic bardziej jak o zaimponowanie, o zwrócenie na siebie uwagi chodziło ¹⁾.

Z innych budowniczych, których talent i sumienność nie pozwala mi ich pominąć, wymienię tu pp. Wojciechowskiego Konstantego (domy Zawadzkiego przy ulicy hr. Berga i Czarnomskiego przy ulicy Smolnej), Kisłańskiego Zygmunta (domy: Loewenberga przy alei Jerozolimskiej, Regelmanna przy Włodzimierskiej i Nr. 52 przy Marszałkowskiej), Heuricha Jana (domy: dawniej Wolffa i sąsiednie przy Nowowiejskiej, dom Temlera przy ulicy hr. Kotzebue i pałacyk Lilpopa przy ul. Ujazdowskiej), Falkowskiego Emila (dom Lachnickiego na Smolnej i Alei Jerozolimskiej), Braumana Józefa (domy: Grotowskiego przy Mazowieckiej i Mondszeina przy rogu ulic Zgoda i Brackiej), Żochowskiego Bronisława (domy: hr. Krasińskiego przy Wierzbowej, Goldfe-

¹⁾ Jako przykład tej napuszystej architektury, autor mógł być tu przytoczyć wspomniany wyżej pałac Kronenberga, który tak charakterystycznie wyodrębnia się swoim stylem z pośród innych pałacowych budowli Warszawy. Liczne a nie zawsze usprawiedliwione logicznie kolumny, pilastry, gzemay i różne ornamentacyjne dodatki, zdobiące a raczej przeciążające front tego pałacu, w połączeniu z temi ciężkimi, stylizowanemi w duchu greckim karyatydami, z rzeźbionym frontem i t. p., składają się na wytworzenie dziwnie niesmacznej dekoracji. Architekt stracił tu oczywiście ową estetyczną miarę, co szlachetnej prostocie i dobremu smakowi daje pierwszeństwo przed pompatyczną a oczą w gruncie dekoracyjną wystawą. Zdaje się on hołdować tu w zupełności temu kierunkowi, który przed kilku laty tak rozwielił się był w pałacowej architekturze Berlina, że go aż osobną nazwą stylu grynderskiego ochrzczono. (*Przyp. Red.*).

dera przy Nowozielnój o bardzo udatnym froncie i willa Wołowskiego na Foksalu), Kozłowskiego (willa z kopułą przy ulicy Róż) i Berendta Marcellego (willa hr. Przezdzieckiego na Foksalu).

Nad zaletami lub ujemnemi stronami wymienionych budowli za-trzyznywać się byłoby zbyt czynnem. Motywa renesansowe i klasyczne powtarzają się w nich aż do przesytu; z tą chyba różnicą, że gdy jedni architekci w utworach swych przestrzegają czystości téj lub owéj odmiany stylu, inni pozwalają sobie najdowolniejszych kombinacji, kierując się jedynie własnym smakiem i upodobaniem. Mnie się zdaje, że powrót do tradycyjnych form architektury XIV i XV wieku ma i tu przyszłość przed sobą. Kiedyś z pewnością przestaniemy się wstydzić wysokich a stromych, tak dobrze odpowiadających naturze naszego klimatu dachów, które włoski renesans nauczył nas przypłaszczać i chować za balustrady lub attyki. Toż Francuzi, których wzory tak chętnie naśladujemy, przekonali nas, że i dach, choćby wysoki, jako wynikający z konstrukcyi i będący logicznem uwieńczeniem budowli, może i powinien być pięknym i że w żadnym razie ukrywać się przed okiem nie potrzebuje.

Budowniczych, którzy oddawszy swą pracę na usługi spekulacyi, wznoszą liche, tuzinkowe kamienice, obliczone jedynie na możliwie wysoki dochód, o cikliwych, oblepionych gipsem elewacyach—pominiętu milczeniem; natomiast uczynię kilka uwag co do charakteru naszego ruchu budowlanego. Przyznaję na wstępie, że dziwny kierunek, jaki przyjęła praca większej części naszych budowniczych, jest wytworem smutnych warunków, wśród których tym ostatnim obracać się przychodzi. Oprócz niewielkiej stosunkowo liczby osób, budujących domy dla siebie w celu korzystnego ulokowania swych kapitałów, powstała, zachęcona wzrostem miasta, cała rzesza spekulantów, wyyskujących zbieg okoliczności w niegodny, choć niestety tolerowany sposób. Budowniczy, do którego się taki spekulant zwraca z żądaniem planu na nowy dom, jest zupełnie skrępowany stawianemi mu warunkami. Począwszy od grubości murów, a skończywszy na jakości materiału budowlanego, jak: cegła, drzewo, wapno i t. d., o wszystkiem stanowi tu nie budowniczy, lecz spekulant-przedsiębiorca. On sam dalej zamawia cieśli, stolarzy, ślusarzy, zdunów i t. p., sam się z nimi o ceny układa; przy czém naturalnie na względzie ma się nie dobroć materiału i roboty, lecz przede wszystkim ich taniość. Budowniczy, mając dany sobie plac, proponuje, dajmy na to, front kamienicy o dziewięciu oknach; spekulant chce ich mieć koniecznie jedenaście i temu warunkowi, jak wszystkim innym, musi stać się zadość. Budowniczy opracował wreszcie, jak umiał najlepiej, plan domu i nakreślił elewacye frontu z możebnym w tak trudnych warunkach uwzględnieniem wymagań estetycznych; ale i tu spotyka się z nieubłaganem veto właściciela: spekulant, który się sam umawia ze sztukatorem o wykonanie zaprojektowanych przez budowniczego ozdób gipsowych, dowiaduje się, że te będą kosztowały kilka tysięcy rubli; że jednak gdyby odstą-

pił od nakreślonych wzorów i przystał na odlanie gzęmsów i ornamentów z innych form, jakie sztukator gotowe już pod ręką posiada, to cały interes nie będzie go kosztował i tysiąca rubli. Nie waha się naturalnie ani chwili. I takim to sposobem staje dom z lichój, nie wypalonej cegły, wiązanej na piasek ze skąpą domieszką wapna, o cienkich ścianach, z paczącemi się drzwiami i oknami, pękającemi posadzkami, nie zamykającemi się zamkami, dymiącemi piecami, wilgotny, zimny, nie zdrowy; ale opatrzony mniéj więcéj wystawnie dekorowaną klatką wschodową, posiadający nadto wodociągi, gaz, zlewy i wszelkie pozory komfortu, obliczone na przynętę lokatorów, którzy, wobec braku lokali, nigdy na siebie czekać nie dadzą. Mieszkania wynajmują się po cenach możliwie wygórowanych, od ogólnej sumy czynszu oblicza się fikcyjna wysokość kapitału, przez dom jakoby reprezentowanego; wystawia się go na sprzedaż — i ostatecznie zbywa z mniéj więcéj grubym zarobkiem. Poczém spekulant do nowéj przystępuje budowy. Takich właśnie kamienic buduje się w Warszawie najwięcéj. W ciągu ostatnich lat dziesięciu wytworzył się u nas nawet specjalny styl budowlany, warszawskim kamienicom tylko właściwy, a któryby słusznie stylem spekulankim nazwać się godziło. Gdyby jeden budowniczy odrzucił narzucane sobie warunki, których mu nauka, poszanowanie fachu i sumienie przyjąć nie pozwalają, znajdzie się zaraz drugi, a nie, to trzeci, co na nie przystanie: a spekulantowi zupełnie wszystko jedno który. Potrzeba pracy, chleba, może poczęści tłómaczyć powolność w tym razie niektórych architektów, ale usprawiedliwić ich nie zdoła w żadnym razie.

Na te ekscesa jeden byłby tylko hamulec: rozumne ustawy budowlane, nad których ściśłem stosowaniem czuwaliby powołani do tej funkcji sumienni specjaliści. Obowiązujące obecnie przepisy przedstawiają wiele do życzenia; ale i te tamowałyby choć w części złe, gdyby nie pozostawały martwą literą, którą każdy jak chce obchodzi. Speculanci, szczególniej żydzi, wiedzą dobrze, do kogo się im w danym razie zwrócić należy; powierzają oni zazwyczaj sporządzenie planów i kierunek nad robotami budowniczym po swéj myśli, którym płacą za to, aby patrzeli przez szpary na wszystko, co się dzieje. Przestrzeń miasta zawarta między ulicami: Grzybowską, Marszałkowską i Aleją Jerozolimską, oraz część miasta od placu Krasińskiego ku Powązkom, oddana jest pod dozór budowniczych rządu gubernialnego, patrzących obojętném okiem na to, co się dzieje pod względem budowlanym w powierzonych im rewirach. Na pierwszój z wymienionych przestrzeni rzeczy doszły do tego, że aż komisarz policyi wykonawczój zmuszonym był wdzierać się w kompetencją budowniczego, zawiadującego oddziałem miasta i kłaść tamę nadużyciom. I tu i tam dzieją się rzeczy niesłychane: budują się domy z planem zupełnie różnym od zatwierdzonego przez rząd gubernialny. Wilgotne a smrodliwe sutereny, zimne poddasza, ze względów zdrowia niezdatne do zamieszkania, wynajmowane są lokatorom; stają domy o klatkach wschodowych ciemnych, bez

okien. Smutna ta strona naszego ruchu budowlanego zdaje się być w związku z wprowadzeniem do nas przepisami Cesarstwa, pozwalającymi praktykować w Warszawie takim technikom, co nie kończyli żadnych specjalnych zakładów. Komitet techniczny w Petersburgu udziela osobom, poczytywanym przez siebie za odpowiednio przygotowane, pozwolenie prowadzenia robót budowlanych, jakkolwiek bez prawa mianowania się budowniczymi. W tego rodzaju świadectwa zaopatrują się, między innymi, byli podmajstrowie mularscy i tym podobne indywidualia, nie posiadające fachowego wykształcenia. Takich rzekomych budowniczych praktykuje niemało w naszym mieście i oni to bywają autorami planów o nieudolnych rozkładach i lichych, niesmacznych elewacyach.

Dziwić się można obojętności naszych architektów, których dość przecie odpowiednio wykształconych, zdolnych i sumiennych posiadamy, że na to wszystko patrzą obojętnie. Nie wierzę, żeby na złe nie było lekarstwa; ale któż tu wystąpić powinien, kto starać się złemu zapobiedz, jeśli nie ci, co to złe najwyraźniej widzą i skutki jego najlepiej ocenić są w stanie? W istocie, w żadnej sferze pracy naukowej i artystycznej nie ma może u nas ludzi bardziej w abnegacji pogrążonych, jak architekci. Losy sztuki krajowej i to, co się w zakresie ich fachu dzieje, zdają się ich nie obchodzić. Stracili oni jakby środek artystycznej ciężkości; bodaj nawet, że wielu z pośród nich nie wybiega myślą poza czysto techniczną, inżynierską stronę swjej sztuki. Smutne to doprawdy. Naukowym i artystycznym studjom mało który z nich się poświęca: po co? kiedy wszystko, co potrzeba, znajdzie gotowe w zagranicznych wydawnictwach. Muzycy stworzyli sobie jakiś środek wspólnego ciężenia, posiadają Towarzystwo Muzyczne, które usiłuje szerszą publiczność zainteresować ruchem, mają organ swjej sztuce poświęcony, drukują mnóstwo artykułów treści krytycznej po różnych piśmiech. Malarze na swój sposób dają oznaki żywotności sztuki, której się poświęcają. Lekarze, prawnicy, pracują również dla dobra i postępu umiejętności, których są przedstawicielami, wydają specjalne pisma i t. d. Czémże wytłómaczyć apatią pp. budowniczych? Czyż ożywienie się ruchu budowlanego i postępy zrobione przez nas w dziedzinie innych sztuk, nie powinny być dla nich wystarczającym bodźcem do wyjścia z téj odrętwiałości?

„Przegląd Techniczny” zajmuje się niekiedy sprawami budownictwa, tak sobie, przez pewne pokrewieństwo przedmiotu; ale architektura właściwa, jako sztuka uważana, wychodzi właściwie poza ramy jego programu. Wprawdzie dzięki usiłowaniom pewnego kółka ludzi dobrej woli, nie szczędzących pracy i nakładu, wychodzi od lat kilku w Warszawie „Inżynierya i budownictwo,” pismo dwóm tym gałęziom pracy poświęcone; ale właśnie to sprzęgnięcie inżynieryi z architekturą, przeważnie techniczny kierunek wydawnictwa i szczupłe względnie miejsce, jakie redakcyja na traktowanie spraw budownictwa przeznacza, dowodzą właśnie najlepiej, jak mało nasi architekci okazują uspo-

bienia do poważnych w dziedzinie swęj sztuki studyów. Nie wątpię, że pismo specjalnie architekturze poświęcone, z programem szeroko zakreślonym, redagowane umiejętnie a śmiało, zbudziłoby architektów z apatyi i pozyskało ich współczucie i współpracownictwo. Jeśli zaś założenie specjalnego organu, jako połączone z nakładem, nie łatwe jest do urzeczywistnienia, wartoby pomyśleć choćby o założeniu Towarzystwa, któreby u nas sprawy architektury popierało. Wśród pogoni za chlebą kawałkiem, adepci téj sztuki tracą często z widoku podnioslejsze jęj cele, tracą chęć do studyów. Dopiero gdy jaki konkurs rozbudzi trochę życia, spostrzegamy, iż posiadamy budowniczych, co zadanie swęj sztuki pojmują i radzi chwytają nadarżającą się sposobność, żeby zamanifestować swój talent, który się marnie wśród robót powszednich i jałowych zużywa. Otóż Towarzystwo, o jakim mowa, mogłoby oddziaływać krzepiąco na takie talenta i podsycać w architekturach zamiłowanie sztuki, którego zbytkiem wcale nie grzeszą.

Spojrzyjmy z innego jeszcze punktu widzenia na sprawę naszęj architektury. Jesteśmy narodem dorabiającym się dopiero i to wśród ciężkich warunków, stanowiska w świecie sztuki i nauki. Niedawno jeszcze widzieliśmy się wyprzedzonymi przez narody zachodniej Europy w każdej gałęzi przemysłu, na każdym polu umysłowej i artystycznej pracy. W niektórych kierunkach téj pracy od niedawna zaczęliśmy już samodzielnie występować; ale nie we wszystkich jeszcze. Zdystansowanym znacznie przez zachodnich sąsiadów, praca około podźwignienia się idzie ciężko, powoli—ale, chwała Bogu, jakoś idzie. W tém, w czém się z niemi jeszcze zrównać nie zdołaliśmy, pozostajemy po dawnemu ich naśladowcami. Otóż ta potrzeba ciągłego zwracania się ku sąsiadom, którym szczęśliwe okoliczności pozwoliły zająć w cywilizacyjnej pracy pokażniejsze stanowisko, to ciągłe posiłkowanie się ich naukową i przemysłową produkcją, przeszło u nas z czasem w nałóg, podkopujący wiarę we własne siły i wytworzyło warunki mało sprzyjające samodzielnemu tych sił rozwojowi. Oswoiłiśmy się tak dalece z myślą, że wszystko, co z zagranicy przychodzi, lepszym jest bezwarunkowo od naszego, iż naśladowanie we wszystkiem Anglików, Francuzów i Niemców, stało się głównym celem naszych zabiegów na polu przemysłu i sztuki. Oczywiście, że ta ciągła zależność od wynalazków, pomysłów i ulepszeń zachodnich ludów, musiała pod względem wychowawczym jak najgorzej oddziaływać na nasz naród, bo sprowadzała go do roli biernęj, nie dając mu sposobności do próbowania sił własnych i rozwijania wrodzonych zasobów: słowem, odzwyczajala go od wszelkiej samodzielności w pracy. Wspomniałem, że w niektórych gałęziach narodowej pracy dziś jest już cokolwiek inaczej, lepięj; pozostaje jednak wiele jeszcze takich jęj kierunków, w których nie posuwamy się, jak dotąd, poza ślepe naśladowanie szablonów, jakich nam obczyzna usłuźnie dostarcza. Nie omyłę się chyba, przypuszczając, że i w zakresie architektury nie wybrnęliśmy jeszcze z tego stadyum bierności i naśladownictwa. Architekci nasi, przywaleni ciężkim balastem

coraz to nowych wzorów, ulepszeń i zdobyczy budowlanej techniki, które przyswajać sobie bądź cobądź muszą, nie mieli jeszcze czasu swobodnie odetchnąć, opamiętać się i z własnymi zebrać siłami. Okoliczność ta tłumaczy nam poniekąd ów brak samodzielności, ów zamęt pojęć i kierunków estetycznych, neutralizujących się wzajem i wytwarzających w ostatecznym rezultacie ten stan odrętwienia umysłowego, którego objawy i skutki wyżej zaznaczyłem. Obyśmy tylko na tę chwilę, w której się z niego ockną nasi architekci, nie potrzebowali długo czekać!

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Emila Castelara.

(PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU HISZPAŃSKIEGO).

PRZEZ

*A. Gorajską *)*.

Tom II.

XXV.

W klasztorze Sióstr Miłosierdzia, w Neapolu, w popołudniowych godzinach, kilka zakonnic wraz z Margaritą, rozmawiało o strasznej i niepamiętnej dotąd burzy, jaka nawiedziła brzegi Śródziemnego morza. Pewne były, iż się rozbił statek, na którym płynęła Aniela i że fale ją pochłonęły. Udzielając sobie wzajemnie tych uwag, myśląc o prawdopodobieństwie tego rozbicia, biedne niewiasty zalewały się gorzkimi łzami. Strata tego anioła pokoju i miłosierdzia, godną zaiste była tak wielkiego żalu.

Przez cały ciąg trwania burzy, szpital zamienił się w dom modlitwy, w świątynię. Dzieci, które jeszcze prawie wyszeplenić nie umiały imienia Boga, starcy pochyleni nad grobem, chorzy, najbardziej cierpieniem dręczeni, umierający nieledwie z ostatniem w piersi tchnieniem, wszyscy, niepomni na siebie, na własne dolegliwości, wzno-

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za sierpień r. b.

sili modły do nieba o ratunek dla wszystkich, którzy w tych strasznych chwilach żeglowali po morzu, a w szczególności o ocalenie Anieli.

Skoro burza się uciszyła i morze zaczęło wyrzucać mnóstwo swoich ofiar i zdobyczy, trupów, desek pogruchotanych, połamanych masztów, szczątków wielkiego rozbicia, wszyscy, bez wyjątku, przebywający w szpitalu i w klasztorze, jako też większa część ubogich w Neapolu, opłakiwali śmierć Anieli, tak, jak się opłakuje stratę najdroższej sobie osoby: i w istocie była ona członkiem ogromnej rodziny, siostrą wszystkich biednych, wszystkich nieszczęśliwych, wszystkich, co płaczą na tej ziemi.

Kiedy najbardziej się smucili, niewątpliwą dla nikogo z nich śmiercią Anieli, ona sama ukazała się w progu głównej sali klasztornej. Błada była i drżąca, oczy jej przygasły, pierś tchnęła słabo i z ciężkością. Ślad wielkich cierpień wyrzył się głęboko na jej twarzy; srogie znękanie odbijało się w tonie jej mowy.

Widząc ją wchodzącą, wszystkie osoby, zebrane w tej sali, a były niemi siostry zakonne, kilka chorych kobiet, przychodzących do zdrowia, małe ubogie dziewczęta i Margarita, wszystkie podniosły zrazu okrzyk zachwycenia i radości, a potem wybuchły łkaniem.

— Więc nam jesteś powróconą?—mówiły jedne.

— Widzimy cię, widzimy!—wołały drugie.

— Tak, widzicie mię, z łaski Najwyższego.

— Dzięki Ci, o Boże, Panie nasz! dzięki!—zawołały wszystkie.

— Margarito! siostró kochana, siostró!—mówiła Aniela, przyciskając do serca dawną swoją rywalkę.

— Anielo!—zdołała tylko odrzec tamta: płacz stłumił jej mowę.

— Już teraz nas nie opuścisz—mówiła Matka przełożona.

— I owszem...

— Jakto? nie odstąpiłaś od swego zamiaru?

— O! nie.

— W tém wszystkiém, co przecierpiałaś, powinnaś widzieć palec Boży.

— Tak jest, lecz cierpienie nie powinno mię odstraszać.

— I znów puścisz się na morze?

— Wsiadę na najpierwszy statek, jaki będzie odpływał do Algieru. Alboż żywioty mogą mi stawać na przeszkodzie?

— Ach! zastanów się... tu jesteś potrzebną.

— Ale jeszcze potrzebniejszą w Afryce.

— Tu tyle biednych...

— Tutejsi biedni mają was... wy będziecie się opiekować niemi.

— Ale wszyscy za tobą wołają... Siostró Anielo, zostań się z nami! Wszędzie znajdują się cierpienia, którym możesz ulgę przynieść.

— Tak, ale są cierpienia wyjątkowe, które najwięcej do litości pobudzają i całego naszego wymagają poświęcenia. Ileż przez te go-

dziny mogło zginąć biedaków na afrykańskich pustyniach! Serce mi każe śpieszyć im na ratunek.

— Łudzi cię twoje serce, łudzi twoja wspaniałomyślność.

— Moja wiara łudzić mię nie może.

— Ten twój upór jest pychą.

— Nie, Matko, to ufność w Bogu. On mi wskazuje mój obowiązek. On mię tam powołuje, muszę tam iść.

Później Aniela, biorąc pod rękę Margaritę, odprowadziła ją na stronę i mówiła do niej:

— Ach! cierpię, lecz się czuję szczęśliwą.

— Bóg cię nagradza.

— Wiem już gdzie jest Edward.

Margarita krzyknęła z radości.

— Ja go uratuję.

— Ty!...

— Ale cóż ci jest?

— Nic... nic...

— Czyżby znów zazdrość?

— Zgadłś.

— I ty jeszcze mi nie dowierzasz?

— Oh! nie, nie!

— Słuchaj, ja go kocham; lecz uczucie to pozostanie tutaj, na wieki tu zamknięte.

— Taki heroizm...

— Czy ci się zdaje, że nie jest możliwym?

— Tylko tobie jednej.

— Margarito, jeszcze pozostały w tobie resztki dawnych nałóg— rzekła Aniela z czułym wyrzutem.

— Dlaczego mi to mówisz?

— Bo jeszcze powinność masz za heroizm.

— Ach! bo tak trudno przezwyciężyć serce...

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje. Jest coś o wiele trudniejszego.

— Cóż to jest?

— Upaść nisko.

— Oh!

— Kobięta ma niepokonany wstręt do złego; bardzo wiele ją kosztuje stracić wstyd niewieści; lecz gdy raz go utraciła, wtenczas dochodzi do ostatecznego upadku.

— I dlatego...

— Dlatego potrzeba strzedz czystość duszy od najmniejszej skazy.

— Aniela, słuchając cię, ukrzepiam się do walki, i staję się zdolną do zwycięstwa.

— Trzeba mi zatem prędko, co najprędzej wyruszyć z Neapolu.

— Tak prędko!

— Kto wie, czy jutro nie będzie już zapóźno.

- Ani jednego dnia nie chcesz tu pozostać?
- Ani jednego dnia nie wolno mi zmarnować.
- A będziesz o mnie pamiętać?
- Będę się starać o szczęście dla Ciebie.
- O, moja Aniello!
- Powrócę ci twojego męża.
- Nie mogę uwierzyć w tak wielkie szczęście.
- Cierpienie odrodziło was oboje.
- Smutne i gorzkie cierpienie!
- Znajdzie ono pociechę w niebie i na ziemi... Tylko ja muszę udać się tam, co prędzej.

Nazajutrz Aniela wyptęgnęła poraz wtóry z Neapolu. Idź w pokój, duchu opiekuńczy: każde twoje słowo będzie pociechą, każdy twój czyn dobrodziejstwem, każdy twój krok pozostawi po sobie ślad jasny i piękny!

XXVI.

Upał dnia lipcowego doskwierał niewymownie. W południowych godzinach słońce żarem paliło ziemię, i straszna cisza zaległa spiekłą przyrodę. Żyjące stworzenia napróżno szukały jakiegś ochłody, gdyż ziemia była niby piec ogromny, buchający ogniem. Przykre to są, okropne chwile, lecz o wiele przykrzejsze, o wiele okropniejsze na pustyni.

W istocie, afrykańska pustynia, gdzie wojnę prowadziły francuskie wojska, ponury przedstawiała obraz. Ani jednego drzewa, jak okiem zasięgnąć, ani ludzkiej siedziby; w powietrzu ani jeden ptak nie bujał, ani zwierzę czworonogi, ni płaz nie przemknął się po ziemi. Przyroda jałowa, smutna, bezbarwna, jednotonna, wyglądała na olbrzymie straszne cmentarzysko. Niebo rozpalone bezpromiennym słońcem, miało kolor brunatno-czerwony i niewypowiedzianym smutkiem przejmowało duszę; cała natura nosiła na sobie piętno śmierci. Żadna roślina, żaden strumień, ani źródło, ani studnia, nie ożywiały tego obrazu. Na okół step bezbrzeżny, nic tylko ziemia spiekła, spopielała, grunt nieurodzajny, nie wydający nic oprócz tu i owdzie trochę ciernisk z liści ogołconych, jakby chróst suchy, który lada chwila zapali się płomieniem od słonecznego ognia.

Na tém ogromnym pustkowiu, w dali, ukazywały się liczne gromady ludzi, które wzięsby można za stada pustynnych ptaków. Była to dziatwa tych spiekłych piasków, która, widząc, iż wyznawcy krzyża cisną się do jej siedlisk, burzą jej ołtarze, gotowała się do rozpaczliwej obrony. A wiadomo, jak te syny pustyni, z krwi semitycko-afrykańskiej, kiedy wojują, gdy walczą w obronie domowych ognisk, gdy biją się za swoją wiarę, mają wtedy w sobie wytrwałe lwa męstwo i krwiożerczość tygrysa.

Gończy klimat, ogniste pociski słońca, jałowość pustyni; niebo

nieprzyjazne, kipiące żwiry, odosobnienie tych plemion w samotności, ich dziki fanatyzm, ich miłość rodzinnej ziemi, to uczucie, którem Bóg natchnął wszystkie narody, a najszczególniej ludy zrodzone w przykrych klimatach i na gruntach bezpłodnych: te i inne właściwości, leżące w naturze tych ludów, podniecały je do wielkiej srogości w wojnie.

Dzikie te pokolenia, poskromione w swoich korsarkich po morzu rozbojach, wyrugowane z pbrzeży, z portów, zniewolone schronić się aż w głąb pustyń, nie posiadając żadnej własności, krom ruchomego piasku, rozsyanego pod ich stopami, nie mając innego mieszkania, jak szałas i namioty, innego pożywienia, jak daktyl na oazach znajdowane, kochają jednakże tę ziemię wydiedziczną, jałową, piaszczystą, macoszą, jakby najczulszą i pełną wdzięków matkę: źródła tego przywiązania szukać w niedocieczonych tajnikach serca ludzkiego.

Otóż ci ludzie miotali się w wściekłej rozpacz, jak lew raniony, jak zgłodniała pantera. Ostrzyli swoje spisy i miecze, podobnie jak krogulec zaostrza drapieżne swe szpony. Narządzali swoje długie i ciężkie rusznice, swoje działa pierwotnej budowy.

Lecz na ich obliczach dobitniej jeszcze, aniżeli w uzbrojeniu, malowała się zażarta ich wściekłość. Z oczu ich sypały się iskry, usta miotały bezustanne klątwy i złorzeczenia. Ręce trzęsły się nie z bojaźni, ale z gniewu. Jedni szli pieszo, drudzy siedzieli oklep na wierzchołkach, na tych rumakach, tak chyżych, tak lotnych, jak ognisty wiatr pustyni. Rysy ich twarzy, pod ogorzałą od słońca cerą, znamionowały szlachetność, w całym ich układzie objawiał się dzielny zapał; na czole błyskał nie promień myśli, lecz żądzy ogień, chuci tak gorącej, jak grot słońca padające na pustynię. O pewnych godzinach, kiedy nadchodziła oczekiwana chwila modlitwy, wszyscy klękali na ziemi i wznosili modły do swego Allaha: lecz nie była to modlitwa namaszczone miłością, wiarą, uwielbieniem, ale tchnąca zapałem wojowniczym, gniewnym, żądzą krwawej pomsty; nie wzywali oni Boga sprawiedliwości, lecz okrutne bóstwo zniszczenia i śmierci.

Na drugim krańcu tych piaskowych stepów, po przeciwniej stronie od téj, gdzie byli Afrykanie, ukazała się chrześcijańska armia, podążająca w pośpiechu. Porządek, panujący w tych zastępach, uderzał rażąco sprzecznością z nieładem taboru przeciwników, ich broń z orężem Maurów, ich ciemna odzież z długimi białymi burnusami, jakimi się osłaniają czciciele Proroka.

Skoro tylko Afrykanie dostrzegli pojawiające się w dali, na tle horyzontu, nieprzyjacielskie hufce, natychmiast jeli wykonywać szybkie obroty, łączyć się w kupy i kupki, nabijać długie rusznice i dzikie wydawać wrzaski, na podobieństwo drapieżnego ptastwa, kiedy promień światła razi ich żrenice, lub gdy im zagraża niebezpieczeństwo.

Europejskie wojsko postępowało zwartą kolumną, w karnym szyku, w spokojnej postawie, mierząc okiem ogromną przestrzeń, wybierając strategiczne pozycje, rozważając nad najtrafniejszym sposobem

oskrzydlenia tych wielkich gromad, które kłębiły się w dali, nakształt armatnich dymów, lub ogromnego i gęstego tumanu kurzawy. Tutaj rozum miał pokonać siłę, taktyka liczebną przewagę, biegłość w sztuce, samorodną naturę.

Nareszcie europejskie wojsko rozłożyło się obozem w téj pustyni, wprost nieprzyjaciela poustawiało namioty i gotowało się do zaciętej i okrutnej walki, albowiem wściekłość Afrykanów nie znała granic.

Aż w końcu zmierzch zapadł, słońce utonęło na Zachodzie, ciemności rozpostarły się nad obozowiskiem, a przejmujące zimno nastąpiło po dokuczliwym upale dziennym, skutkiem jednej z owych zmian raptownych, a tak często przytrafiających się w sferach gorących.

Przed jednym namiotem spoczywał Edward. Fantazyja rozogniona pobytem na pustyni i myślą o zbliżającej się walce, przenosiła go w odległe czasy; marzył, iż bierze udział w jednej z owych świetnych wypraw, któremi tak zastępnęła średniowieczna epoka.

Jednakże zgnębione serce jego, szukało tylko ratunku w tych historycznych wspomnieniach, uciekając przed innemi wspomnieniami własnego życia, z których wysnuło się jego nieszczęście. W księżycowych promieniach, których srebrzyste światło padało na pustynią, wyobrażnia mu przedstawiała wizerunek Anieli, dręczący go niewymowną katuszą.

Z głębokiego zadumania wyrwało go zbliżenie się jednego towarzysza broni, z którym przez ciąg téj wyprawy w najczęstszych bywał stosunkach.

— Straszna to będzie walka!—mówił nadchodzący.

Edward uczynił giest, jakby chciał nim wyrazić: cóż mię to obchodzi!

— Wszystko ci jest obojętném—mówił tamten.

— A tak; wszystko: nawet śmierć.

— A sława!

— Nawet ta mniemana sława, ta mrzonka, za którą człowiek się ugania, jak dziecię w polu za uciekającym pstrym motylem.

— Co za myśli!

— O tak, tak. Życie jest tém samém, co mi ąże na pustyni.

— Nic-że dla ciebie nie ma uroku?

— Nie.

— Niczego się nie spodziewasz?

— Niczego.

— Trudno, doprawdy, dać temu wiare.

— Smutne wlokę życie... Bóg mię skazał na cierpienie.

— Nie trać nadziei: Bóg cię pocieszy.

— To jest niemożliwém.

— Wszystko widzisz w czarnych kolorach.

— Bo w mojej duszy jest noc czarna, wiekuista.

— Serce może rozproszyć te ciemności.

— Tak sobie wyobrażasz przez dobre dla mnie chęci.

- Powtarzam ci, miej nadzieję.
- O! kiedy spostrzegam tam w dali naszych wrogów, proszę ich o śmierć. Kiedy słyszę świszczące w około nas kule, nadstawiam pierś, aby mi serce przeszły.
- Ach! nieszczęśliwy!
- Wszakże wiesz, jak ludzie stawiają moje męstwo?
- Walczysz prawdziwie jak lew.
- Otóż ci powiem, iż odwagi we mnie niema.
- Zbyteczna skromność!
- Bynajmniej: mówię to z przekonania.
- Nie rozumiem cię.
- Biję się tak, jak widzisz, dlatego, że pragnę śmierci, ale nie mam odwagi sam sobie odebrać życia.
- Do biesa!
- Tak. Z zimną krwią nie potrafiłbym się zabić.
- Bardzo temu wierzę.
- Lecz zginąć walcząc, zginąć zwyciężyć, zginąć wśród bojowego zgietku, umierać z chlubną w piersi raną za wolność, za ojczyznę, za ludzkość, to śmierć słodka, śmierć zaszczytna.
- A, przyznaję.
- Takiej więc ja szukam, a to dlatego, żem nad wszelki wyraz nieszczęśliwy.
- Spadną ci kiedyś łuski z oczu.
- Nigdy.
- Jeszcze będziesz kiedyś w życiu szczęśliwym.
- Nie, to żadną miarą być nie może...
- Wspomnisz sobie moje słowa.
- A, prawda, masz słuszość; raz w życiu będę szczęśliwym, a to wtenczas, gdy na czole mojem uczuję zimny pocałunek śmierci.
- No... mówmy o czém inném.
- O czém ci się podoba.
- Powiadam ci, że ta bitwa będzie najstraszniejsza ze wszystkich.
- Bardzo się cieszę. A na czémże uzasadniasz swoje twierdzenie?
- Na mnóstwie danych, które same podpadają pod oczy.
- Naprzykład?
- Najprzód sam widok, jaki nam przedstawiają barbarzyńcy.
- Podobny jak zawsze...
- O! nigdy jeszcze nie widziałem ich tak rozjuszonych.
- Tém lepiej: większa będzie chwała ze zwycięstwa.
- Potem, wszystko jest w pogotowiu; niczego nie brakuje naszemu wojsku.
- Inaczej trudnoby prowadzić wojnę.
- Zapewne; ale dotąd dawał się nam czuć brak Sióstr Miłosierdzia!..

- Kogo? kogo?
- Siostr Miłosierdzia.
- Ach!
- Dlaczegoż wzdychasz?
- Nie... ja nie wzdycham.
- Zwodzisz sam siebie i mnie oszukujesz. Westchnąłeś ciężko.
- A... no, więc prawda.
- I z jakiegoż to powodu?
- Są pewne wyrazy, które mi rażą serce.
- I do nich należy miano Siostry Miłosierdzia?
- Więcej, niż którekolwiek inne.
- Jakto? ten anioł szpitala i pobojuwiska?...
- To są tajemnice...
- Serce twoje jest morzem tajemnic.
- Powiedz raczej .. morzem boleści.
- Ty bardzo cierpisz!
- Niewypowiedzianie.
- Zkądże Siostry Miłosierdzia mogą ci przywodzić na myśl tak zasmucające wspomnienia?
- Zkąd-że... że ta, którą...
- Boleść stłumiła głos Edwarda.
- Ty okropnie cierpisz—rzekł jego towarzysz—ulżyj twojemu sercu, wyléj twój ból na łono przyjaciela, powierz mi swoje strapienia.
- Dziękuję ci za twoje współczucie... w istocie lżej mi będzie na sercu... Otóż powiem ci... kochałem...
- Któż się w życiu kiedy nie kochał!
- Powiedziałem, że kochał?.. czy tak?.. A więc źle mówię, jam niezdolny do kochania.
- Uspokój twoje wzruszenie! Jak możesz tak mówić?
- Porzuciłem bowiem anioła moich uczuć.
- Nieszczęsny!
- Powiedz raczej: niegodziwy, występny.
- Měj litość sam nad sobą.
- O, nie! Niechaj kara niebios spadnie na moję głowę...
- Edwardziel..
- Niech mię ogarną ognie niebieskie.
- Po co ta rozpacz?
- Jam wielki zbrodzień!
- Ona ci pewno przebaczyła.
- Ale ja jéj odebrał pokój, zatruił życie, pozbawił miłości.
- Czyż nie możnaby ran tych zagoić?
- One są wiekuiste, śmiertelne...
- Ależ się tak nie unoś: uspokój się!
- I jeszcze ci się nie wydaje słuszném moje pragnienie śmierci?
- Nigdy człowiek śmierci pragnąć nie powinien, gdyż życie zawsze jest potrzebném, zawsze jakiś przynoszącém pożytek.

— Ale życie które truje, które zabija...

— Czy ty wiesz, co ci Opatrzność przeznacza?

— Zgaduję.

— To pycha; nie, tylko zarozumiała pycha. Nawet ta boleść twoja może stać się źródłem obfitującym w dobro, jeżeli nie dla ciebie, to dla twoich braci. Człowiek nie powinien uważać życia za własność swoją osobistą; o, nie! powinien widzieć w nim siłę żywotną, drugich zasilającą, ducha ożywiającego drugich.

— Szalone urojenie! Moje życie przeklęte, to życie którego ja sam udźwignąć nie jestem w stanie, ono nie może być zasiłkiem dla drugich.

— Owszem, owszem, wierzą mi.

— Oszukujesz sam siebie, albo udajesz, że się oszukujesz.

— Jeden tylko przykład zniewoli cię do uwierzenia w to co mówię. To samo uczucie które cię tak całego wzburza i jest przyczyną twojej boleści, może także podnieść cię wysoko. Rozpacz sercem twojem oświeciła, pożera twoje wnętrze, trawi twoje życie; otóż właśnie ta rozpacz wzbudza w tobie mężstwo bezprzykładne, nieustraszoną odwagę i rzucasz się w zgiełk boju i walczysz jak bohater, zdobywasz redutę i za sobą pociągasz swój oddział, a za tym oddziałem całe wojsko i zdobywasz obóz nieprzyjacielski, i tam zatkniesz chorągiew cywilizacji, święty sztandar wolności; powiedzże mi: azaliż temi czynami nie uszczęśliwiłeś bardzo wielu? czyż nie służyłeś dobrej sprawie? A wszakże do tych bohaterskich czynów popchnęła cię twoja rozpacz, twoja boleść, twoja gorycz; pobudziło cię to właśnie życie, które przeklinasz a któremu tysiące pokoleń będzie błogosławić.

— Tysiące pokoleń! A może też to uszczęśliwienie którym błogosławić będzie tysiące pokoleń, wypłynie z nieszczęścia innych tysięcy pokoleń, które może w dziejach pozostawią wyrytą klątwę, uroczystszą i trwalszą aniżeli wszystkie błogosławieństwa, jakimi może darzyć interesowana wdzięczność.

— Ach, Edwardzie! W tobie tkwi choroba daleko głębiej zakorzeniona aniżeli sam możesz przypuszczać.

— Wszystkie moje choroby pochodzą z owych smutnych wypadków o jakich ci nadmieniałem.

— Nie, nie; ty przez długi czas musiałeś oddychać atmosferą, jadłem napojoną.

Edward wzdrygnął się, słysząc głęboką prawdę, jaką wyrzekł jego towarzysz.

— Ty uwierzyłeś—mówił dalej tamten—iż tylko złe może panować na ziemi.

— Al...

— Każdego dnia bywałeś świadkiem urągania najświętszym sprawiedliwości zasadom...

— Dlaczego, dlaczego to mówisz?

— Mówię to dlatego, iż innym sposobem nie byłyby się mogły zatrzyć w tobie aż do gruntu pojęcia słuszości.

Edward zakrył sobie twarz rękami.

— Nie wiedzieć, co jest sprawiedliwem, nie czuć, co jest prawdziwem, nie doznawać téj niebiańskiej potrzeby poznania piękna, prawdy, dobra, to jest niemożliwem, żadną miarą niemożliwem, chyba że się dusza zaćmiła w człowieku.

— O! obrażasz mię.

— Alboż lekarz obraża chorego mówiąc mu: „tu jest gangrena.”

— Masz słuszość; tak jest: utraciłem pojęcie sprawiedliwości i nisko upadłem.

— Lecz teraz właśnie możesz się podźwignąć z tego upadku.

— Brak mi sił.

— Nie prawda. Nie wiesz czém jest wola, nie wiesz, że wola człowieka dziwne może zdziałać cuda.

— Mojej woli brakuje bodźca.

— Kiedy się sumienie rozjaśni, wtedy wola zacznie działać. Sumienie jest jakby sternikiem, wola jest siłą; z czystym sumieniem i z wolną wola człowiek dojdzie tam, dokąd iść postanowi: do szczęścia, jeżeli dążył do niego, do nieszczęścia, jeżeli tam zmierzał.

— O! Panie!—rzekł Edward wznosząc oczy ku niebu—Panie, daj mi wolę!

— Będziesz ją miał.

XXVII.

Zwolna rozpoczynało się nowego dnia świtanie. Niebo się rozjaśniało, jakgdyby już je dosięgały najpierwsze promienie oddalonego jeszcze słońca. Niektóre gwiazdki świecić przestawały, jakgdyby do snu jasne tuliły oczęta. Ptak nocny trzepocząc kosmatemi skrzydłami, z przeraźliwym jękiem wciskał się do swojej kryjówki. Szepty głosów przyrody były wstępną dnia przygrywką.

Stopniowo krańce horyzontu mocno się zarumieniły, zwiastując upał dnia letniego. Wietrzyk uśpiony przez noc całą, zbudził się i szemrał, jakby wybierając się lecieć na powitanie słońca. W przyrodzie panował spokój, na niebie pogoda. I otóż król światła wstał ze swęj pościeli: niebo blaskiem zajaśniało jakby na świąteczne gody, gwiazdy pochowały się za różowe obłoczki na Wschodzie, ptaszęta pierwszą nutę zadzwoniły, a wietrzyk stał się nieskończenie przeciągłym westchnieniem miłości.

I cała natura w pogodny uśmiech przystroić oblicze, a tymczasem człowieka serce, nienawiścią zakłócone, pałało krwią pragnieniem i ręka człowieka, drżąca wściekłością, ostrzyła mężobójczy oręż i gotowała się do krwawej i śmiertelnej walki.

Tak, w samej rzeczy, wśród żółtych piasków i szarych krzaków

pustyni, błyskały bronią naprzeciwko siebie stojące dwa wojska, jedno, jak już wiemy, afrykańskie, drugie europejskie.

Afrykanin zgrzytał zębami ze złości, niecierpliwie stękał, miotał się, widząc wroga przed sobą, jak gdyby go pożreć pragnął. Żrenice tych dzikich synów pustyni, podobnie jak ślepie jęj lwów i tygrysów, świeciły krwawemi błyski. Arabskie rumaki, lotne jak pustynne wichry, maści szaręj jak ziemia albo jak noc czarne, wierzgały i wspinały się harcując, jakby ich niecierpliwiło opóźnienie boju. Muzyka niestrojna, dzika, zagrzewała wojennego ducha w tój dziatwie słońca. Z ogorzałą twarzą, w białych zawojach, w jaskrawych kaftanach, z zakrzywioną szablą w ręku, z rusznicą na plecach, jeźdźce na wiatronogich biegunach, zdawali się być zmartwychwstaniem owych afrykańskich proroków, co przed lat tysiącem z górą, swojém ognistém słowem liczne wystawiali wojska i na czele tego wiernych zastępu nieśli trwogę pomiędzy narody, aż cała ziemia strachem się zatrzęsła. Nędzne łachmany onych już zapomnianych chorągwi, nędzne garstki z tój niezliczonej barbarzyńskich ludów rzeszy, nędzne szczątki tych olbrzymich armii, znikczemnione fatalizmem, niewolą, która jest dla ludów największą i najzgubniejszą ze wszystkich chorób, bordy te stając do walki z hufcami chrześcian, z ludem cywilizowanym i wolnym, same sobie głęboki grób kopią i same się zagrzebują w spiektém i jałowém pustyni łonie.

Wprost naprzeciw nich cywilizowane hufce chrześciańskiego wojska gotowały się do boju. Tu nie usłyszcć ni krzyku, ni kłatwy. Ludzie ci szli bić się nie wiedzeni instynktem, lecz z rozmysłu, nie dla idei bałwochwalczej ślepego postuszeństwa, lecz dla wyższej idei spełnienia powinności. W pogodzie ich oblicza, w dumnie podniesioném czole, w umiejętnych rozporządzeniach wojennych, w postawie, we wszystkiém widać było, że ci ludzie są ludźmi, bo są wolni. Albowiem w istocie wolność stanowi człowieka, wolność jest jego w pełni naturą, wolność jest jego życiem. Odejm wolność człowiekowi a znizysz go do stanu nędznego bydlęcia. Czyny jego nie będą już jego czynami, ani jego pojęcia jego pojęciami, a przeto nie będzie on odpowiedzialnym za swoje czyny ani za swoje pojęcia. Jak żdźbło słomy wiatrem pomiatane, jak kamień spadający w swój punkt ciężkości, jak drzewo przyrosnięte do ziemi, tak człowiek bez wolności nie byłby tym jasnowidzącym wieszczem, który czyta w niebiosach, tym genialnym mistrzem sztuki, który w swoich dziełach odtwarza dzieło Boże, tym mędrce, który naturę bada i ożywia; oh! nie, byłby on jednym więcéj tworem rzuconym w to ogromne tworów rojowisko, lecz nie tą wielką istotą wywyższoną nad inne, tym namiestnikiem Boga w rządach nad przyrodą, którego myśl nie może się pomieścić w obrębie przestrzeni, którego dzieła rozciągają się poza zakres czasów. Wolność jest wielkim duchowym skarbem człowieka; wolność jest duszą jego duszy, życiem jego życia. Syn przyrody wyzwala się z pod jęj władzy z pomocą wolności; przeznaczony do tego, aby całkiem stał się Bożym, przez wol-

ność przybliża się aż do Boga. I dlatego ludy niewolnicze są zawadą w dziele Opatrzności, a ludy wolne są robotnikami Opatrzności.

Otóż więc robotnicy Opatrzności szli spełniać swoje zadanie, szli rozpaloném żelazem wypiętnować ideę cywilizacyi na barbarzyńskich ludach. Pragnęli dobra tych, którzy gotowali im zagubę.

Europejscy wojownicy wręcz przeciwnie afrykańskim, polegali więcej na inteligencyi niż na sile, więcej na taktyce aniżeli na liczebnej potędze. Za nadejściem dnia ujrzeli się nierównie szczuplejsi liczbą, lecz nie przeto słabsi odwagą. Nieprzyjaciel miał za sobą ziemię, z których nowe czerpać może posiłki; oni zaś mieli jedynie przed sobą zwycięstwo, albo śmierć poza sobą. Taż sama ludność, którą już owładnęli, ośmielona widokiem porażki, powstałaby przeciwko swym władcom i w pieńby ich wyciąga ku nasyceniu palącego ją pragnienia zemsty. Atoli pomimo tak groźnych niebezpieczeństw, takich walk, takiej niepewności, wojownicy ci w pogodzie ducha oczekiwali widocznej hasła do boju.

Słońce wypłynęło na horyzont podobne do wielkiej ognistej tarczy. Od chwili swego ukazania się zaczęło palić ziemię i przyduszać wszelkie życie. Wnet umilkło kryjące się tu i owdzie ptastwo, które zrazu świegotało; umilkły świeże powiewy ranne, umilkły głosy przyrody; słychać tylko było dyszenie dwóch wrogich sobie zastępów, jakby wrzenie dwóch wulkanów.

Natura posiłkowała w walce swoich niewolników, Afrykanów; potęgą umysłową przybywała w pomoc swoim synom, Europejczykom. Płomieniste słońce rzucało swoje pociski na chrześcijańskie wojsko, a jednocześnie ogniem swoim podsycalo ogień jego przeciwników. Ta ziemia spiekła, martwa, to niebo metaliczne, twardsze od stali, ta przyroda niema, zgnębiona, te w dali łamanie się słonecznego światła, które w złudzeniu optycznym przedstawiało niby morze zachodzące pomiędzy dwa wojska; ten upał duszący, straszny: wszystko to aż nadto wystarczało, aby przyprowadzić do upadku ducha, w sercu wzniecić niepewność, zwątpienie w umyśle.

A jednakże cóż to za okropny klimat! Słońce pałało jak piekielne ognisko, niebo jakby ogromny stos w płomieniach. Powietrze jakby się ulatniało. Płuca oddychać nie mogły tą atmosferą rozrzedzoną przez działanie słońca. Ani kropli wody, ani listka na drzewie, ani świegotu choćby jednej ptaszyny: wszystko razem wzięwszy, było okropne. Step ten wyglądał na cmentarzysko ogromne, zaprawdę straszne cmentarzysko, na którym pogrzebane być mają wielkich i potężnych wojsk szyki.

(Dokończenie nastąpi).

RZUT OKA

na prace naukowe XV-go walnego zgromadzenia Towarzystwa pedagogicznego w Krakowie, w dniach 18, 19 i 20 lipca 1881 roku.

* * O ile wiek XIX odznacza się z jednej strony dążnością do podziału pracy, do specjalizowania pojedynczych kierunków działalności ludzkiej; o tyle wyrobiło się z drugiej strony przekonanie, że nawet na tych osobnych niwach są badania tak trudne i mozolne, że pojedyncze siły sprostać im nie są w stanie. Widząc w przyrodzeniu nieprzepartą potęgę sił zbiorowych, sądzono sprawiedliwie, że i na polu usiłowań moralnej i duchowej natury można skuteczniej pracować, można więcej dokazać za pomocą sił połączonych w jednym celu. Umysły śmielsze, energiczniejsze, pohopniejsze do inicjatywy, poczęły się ogłądać za sprzymierzeńcami, za wyznawcami tych samych zasad, za apostołami tych samych idei i gromadziły około siebie zastęp ludzi dobrej woli, gotowych do służby dla dobra ogółu. W ten sposób tworzyły się przeróżne stowarzyszenia, w ten sposób organizowały się Towarzystwa filologów, archeologów, historyków, prawników, lekarzy, jeografów, orientalistów, pedagogów i innych. Że w granicach cywilizacji polskiej później myśl ta urzeczywistnić się mogła, to nie nasza w tym winna, chociaż znajdują się może i co do tego gorliwe a lekkomyślne Inkwizytory, które nas za to łajać będą, że wyprzedzili nas na tym polu Anglicy, Francuzi i Niemcy. Niechaj w takim razie stanie w naszej obronie powaga brutalnej siły niemieckiej, która potrafi może zreflektować niesprawiedliwych obcych, a niekiedy i niebacznych naszych swoich mentorów! * *

Że w Galicji * widziano potrzebę zmiany dotychczasowego systemu szkolnego, że myśli nowej organicznej pracy na polu wychowania publicznego krążyły po głowach poważnych mężów i zapalały umysły gorliwych o dobro kraju obywateli już przed laty dwudziestu, to jest dziś powszechnie znanem. Najtrwalszym dowodem tego prądu życia narodowego jest dziełko d-ra Dietla: „O reformie szkół krajowych,” wydane w r. 1865. Patrząc na tak poważną chorągiew, nie wahało się kilku mężów szlachetnych dążności, a możnych wpływów, wystąpić publicznie na sejmie i rzecz tę przedstawić do prawidłowego wprowa-

dzenia w życie. Między orędownikami reformy szkół w Galicyi znajdujemy przede wszystkim Adama hr. Potockiego i d-ra Maurycego Kabata.

Rozpoczęte w r. 1866 starania osiągnęły wkrótce odpowiednią ustawę reformy szkół: w ślad za tém zajęli się pedagogowie nasi przysposabianiem podręczników w języku ojczystym, podnosili różne na tém polu głosy i rozbierali w pismach publicznych liczne nader odpowiednie wnioski. Największą doniosłością poszczycić się może wśród tych okoliczności odezwa Br. Trzaskowskiego, ówczesnego profesora gimnazjum w Rzeszowie, a dziś dyrektora gimnazjum w Tarnowie. Odezwa ta, podana do wiadomości publicznej w Nr. 96 „Czasu” z dnia 26 kwietnia 1867 r., „w imieniu kilku” wzywała nauczycieli i wszystkich, sprawą szkoły się zajmujących, do zgromadzenia się podczas wakacji r. 1867 we Lwowie, w celu omówienia, porozumienia się dla wspólnej pracy nad reformą szkół galicyjskich. Że pomieniona odezwa nie odniosła na razie, mimo gorącego zajęcia się nią, pożądanego skutku, było to winą ówczesnych stosunków politycznych; myśl jednak sama nie zginęła; ale zbliżając pracowników na niwie pracy szkolnej ¹⁾ do siebie w celu założenia czasopisma pedagogicznego, wzrastała i dojrzewała, jako myśl Towarzystwa nauczycieli.

Nowa ustawa o stowarzyszeniach, ogłoszona dnia 15 listopada 1867 roku, pozwoliła dopiero téj myśli stać się czynem. „Szkoła,” owo projektowane czasopismo pedagogiczne, wezwała zaraz w pierwszym zeszycie, w styczniu r. 1868, wszystkich nauczycieli kraju na walny zjazd do Lwowa w d. 24 lutego t. r., „w celu naradzenia się względem stowarzyszenia nauczycieli i uchwalenia podstaw zasadniczych, na których ma się opierać to stowarzyszenie, a oraz w celu wybrania komitetu, mającego się zająć zredagowaniem statutow.” Utworzenie w tym samym miesiącu Rady szkolnej, najwyższej krajowej instytucji i jej góracą a obywatelską odezwą rozbudziła prawdziwy ruch w umysłach wszystkich.

Na zgromadzeniu dnia 24 lutego, dnia naznaczonego odezwą „Szkoły,” zjawilo się około 300 osób. Pod przewodnictwem d-ra Ant. Małeckiego przedyskutowano zasady statutu; zgodzono się na przyjmowanie do Towarzystwa wszystkich nauczycieli, na przyjmowanie kobiet, a nawet osób do zawodu nauczycielskiego nie należących, tych ostatnich, jako członków wspierających, nakoniec na połączenie celów moralnych z materyalnemi. Postanowiono téż zakładać w kraju filie

¹⁾ Sz. autor wybaczy nam, że proskrybujemy jego wyrażenie: „szkolnictwo,” bo końcówka ta, wskazując coś pogardliwego, wstrętnego, nie oddaje dokładnie myśli niemieckiego: „Schulwesen.” Język ma swoją logikę; powinniśmy ją troskliwie pielęgnować; a zamachów na nią godzi ze wszystkich stron bardzo dużo, od uczonych i od nieuczonych!

z komitetem centralnym we Lwowie na czele. Towarzystwo przyjęło obszerniejszy zakres, niż miało mieć pierwotnie, stosownie do inicjatywy dyrektora Br. Trzaskowskiego i dlatego przybrało nazwę „pedagogicznego.” Powyższe zasady nie uległy zmianie statutu, jakkolwiek kilkakrotnie je przerabiano i formułowano. Nic w tém dziwnego: wszak żadne dzieło ludzkie nie jest doskonałe. Taką ustawę, jaką na razie wypracować można było, przedłożono Namiestnictwu do zatwierdzenia, które uzyskano pod dn. 11 kwietnia 1868 r.

Wydział centralny (obecnie zarządem głównym zwany) wybrał pierwszym prezesem d-ra Józefata Zielonackiego. Godność ta corocznie na walnym zgromadzeniu jednemu z członków udzielana, pozostawała w rękach p. J. Zielonackiego przez rok jeden; następnie przewodniczył Towarzystwu przez trzy lata Karol Maszkowski, przez dwa dr. Feliks Strzelecki, zaś od r. 1873 piastuje tę godność nieprzerwanie Zygmunt Sawczyński, członek Rady szkolnej krajowej i dyrektor seminaryum nauczycielskiego męskiego we Lwowie.

Towarzystwo liczyło początkowo (r. 1868/9) członków 1500 w 23 oddziałach, w roku zaś bieżącym (1881) liczba ta doszła do 2709 w 40 oddziałach i 79 kółkach pedagogicznych. Czysty majątek Towarzystwa wynosi obecnie około 30,000 złr. w. a. Ponieważ statut opiewał, że Towarzystwo wspierać będzie i materyalnie swoich członków; przeto fundusz zaliczkowy przy każdym oddziale stanowi kapitał, z którego udziela Towarzystwo zaliczek 6% na kilka rat miesięcznych. Ułożenie odpowiedniego regulaminu poleciło tegoroczne zgromadzenie zarządowi głównemu.

Działalność Towarzystwa i jego zasługi mają zresztą przeważnie moralny i naukowy charakter. Do podniesienia szkoły w Galicyi dążyło ono i dąży trójką drogą: 1) przez rozprawy, wykłady i dyskusye na zgromadzeniach oddziałowych i walnych; 2) przez objaśnianie władzy szkolnej o gwałtownych potrzebach szkoły w gruntownie opracowanych memoryałach; 3) przez rozmaite wydawnictwa pedagogiczne, jakoto: czasopisma „Szkoła” i książek szkolnych treści pedagogiczno-dydaktycznej.

Co do pierwszego puuktu, dość zajrzeć do rocznego sprawozdania, aby się przekonać o ilości i różnorodności poruszanych nawet w małych kółkach pedagogicznych spraw natury, bądź to ogólnej wychowawczej, bądź specjalnie dydaktycznej. Każde nadto zgromadzenie walne, obradując według dotychczasowego zwyczaju przez trzy dni, umieszcza na porządku dziennym pogadankę lub rozprawę (zwykle charakter inicjatywy mającą), której ostateczne wnioski zwykle całe zgromadzenie albo zatwierdza, albo z poprawkami do dalszego rozbioru przekazuje.

Z takich to uchwał, odnoszących się przedewszystkiém do zmiany planu szkolnego, jego udoskonalenia lub uzupełnienia, nadto dotyczących spraw administracyjnej natury, jak np. polepszenie doli nau-

czycieli ludowych, które blizkiem jest urzeczywistnienia, z takich uchwał, powtarzam, które pod zmienioną formą, ale w téj samej treści podnoszone prawie na każdym walnem zgromadzeniu, przez wnioski członków były wywoływane, składa się memoryał, przedstawiany już dwukrotnie sejmowi galicyjskiemu, a obejmujący najważniejsze punkta potrzeb moralnych, naukowych i materyalnych całego stanu nauczycielskiego.

Lubo Towarzystwo pedagogiczne jest instytucją prywatną, donzawało zawsze poparcia ze strony władz krajowych. Ale że wiele rzeczy, które Towarzystwo chciało natychmiast w życie wprowadzić, musiałyby było czekać odpowiedniejszej chwili, a przedewszystkiem przychylniej konstelacji politycznej, Towarzystwo samo przy szczupłych swoich funduszach przyłożyło rękę do dzieła. Pożyteczne rezultaty téj pocziwiej obywatelskiej pracy zmusiły władzę do uznania i przyjęcia na swój fundusz stworzonych pierwiastkowo przez Towarzystwo, pedagogiczne instytucji. Mamy tu przedewszystkiem na myśli zakładanie wyższych szkół żeńskich. Po odczytach, które Towarzystwo, od roku 1868 dla kobiet we Lwowie urządza, dawała się czuć potrzeba szkół, któreby odpowiadały, a raczej czyniły zadość wymaganiom, stawianym dzisiaj co do wykształcenia kobiety. Towarzystwo rozbudziwszy samo ruch na tém polu i dawszy uczuć potrzebę, założyło własnymi prawie siłami, przy szczupłych subwencyach sejmu, sześć wyższych szkół żeńskich, a mianowicie: 1) w Tarnowie (r. 1870, za inicjatywą prof. Wacława Zawadila); 2) w Stanisławowie (t. r.); 3) w Rzeszowie (t. r.), 4) w Jarosławiu (1872); 5) w Kołomyi (1873); 6) w Stryju (1876), przeważnie o 4-ch klasach, a więc odpowiadających mniej więcej niższym szkołom średnim męzkim. Najstarsza z nich tylko tarnowska była pięcioklasową, która atoli wobec konkurencji szkoły żeńskiej Panien Urszulanek i utworzenia 8-klasowej szkoły żeńskiej wydziałowej w r. 1879, zwinęta być musiała. Szkoły te były niejako przygotowaniem do wyższego wykształcenia, jakie pobierać mogły uczennice, chcące się kształcić na nauczycielki w trzech seminarjach, otworzonych prawie równocześnie kosztem rządu.

W roku zeszłym na 14-tém walnem zgromadzeniu w Drohobycz, podniesiono niemniej ważną, a może nawet większej doniosłości dla Galicji, sprawę zakładania szkół przemysłowych. Pierwszą taką szkołę utworzyło Towarzystwo pedagogiczne swém staraniem, z polecenia powyższego zgromadzenia w Przemyśle, a na jój wzór i wzór szkoły przemysłowej lwowskiej, otworzono w b. r. podobne szkoły w Jarosławiu, Rzeszowie i Tarnowie. W obec upadku rękodzieł i przemysłu w Galicji, jest to fakt doniosłego znaczenia; Towarzystwo rachuje téż na poparcie kraju i władz publicznych, które, przekonawszy się o potrzebie i pożytku tych szkół, zapewne je niebawem na koszt rządu przeniosą.

Kraj ma dostarczyć uczniów; Towarzystwo musi się postarać o nauczycieli i o podręczniki szkolne. Te ostatnie p. t.: „Biblioteki dla

uczniów szkół przemysłowych" poczęło Towarzystwo wydawać; zdaje się, że potrzebom tych szkół odpowiadają, skoro ich wszystkie szkoły przemysłowe przy nauce używają. „Biblioteka” owa wspólnie z „Biblioteką dla młodzieży” i „Biblioteką dla nauczycieli szkół ludowych,” nadto z czasopismem „Szkoła” i innymi drobnymi pismami stanowi szereg wydawnictw Towarzystwa, których liczba do obecnej chwili wynosi 104. Odtłoczywszy 15 tomów szkoły (2 dodatki) i 13 sprawozdań, zostaje na dziełka pedagogiczno-dydaktycznej treści i podręczniki liczba 76.

„Szkoła” przechodziła rozmaite koleje, których dokładnie przedstawiać tu nie możemy. Z miesięcznika stała się tygodnikiem (już w r. 1869); z pisma, poświęconego ogólnym sprawom szkół ludowych i średnich, pismem prawie jedynie sprawy nauczycieli ludowych traktującym, z czasopisma pedagogicznego wreszcie, organem Towarzystwa pedagogicznego, łączącym wszystkich członków Towarzystwa. Trudno się spierać o przewagę tego lub owego kierunku, zaznaczyć atoli wolno, że jednostronność nigdy nie może być dobrą. Zdaje nam się, że najszcześliwszą jej epoką był czas krótki, kiedy sprawy szkół średnich w miesięcznym umieszczano „Dodatku,” który prenumeratorem pisma mogli przenieść; ale do tego nie byli konieczni obowiązani. Zanadto wielka przestrzeń dzieli dzisiejsze szkoły średnie od ludowych, aby nauczyciel szkół średnich, bez szczególnego zajęcia się szkołą ludową mógł rozumieć jej potrzeby: nadto stajemy się specjalnymi, aby, obok zajęć swojego fachu, zajmować się fachem drugim. Czy „Szkoła” dobrze robi, stając się organem nauczycieli ludowych, a pozostawiając szkoły średnie prawie na uboczu, odpowiedź jasna. W każdym razie to, co pismo to robi, jest godnym najwyższego uznania, a że jest dobrém, to pożyteczne skutki najlepiej dowiodą.

Wskazaliśmy już wszystkie trzy drogi, któremi Tow. Ped. do swego celu dąży. Nie możemy pominąć jeszcze jednej strony, która odróżnia Towarzystwo pedagogiczne od innych, wstępujących już w jego ślady. Towarzystwo Pedagogiczne ze swemi walnymi zgromadzeniami łączy wystawy rzeczy szkolnych i zwiedzanie miast i okolic kraju, łączy naukę z zabawą.

Pierwsza taka wystawa przedmiotów, służących do nauki w szkole, jak książek, globusów, map, okazów z nauk przyrodzonych, a nadto robót ręcznych i t. p., odbyła się przy IV-tém walnym zgromadzeniu w Kołomyi r. 1870; druga, mająca przedewszystkiém na oku szkoły ludowe, prace ich uczniów i nauczycieli przy VI-tém zgromadzeniu w Tarnowie r. 1872; trzecia, wyłącznie szkołom żeńskim poświęcona: a obejmująca roboty ręczne, wypracowania piśmienne, rysunki i środki naukowe, przy IX zgromadzeniu w Stanisławowie r. 1875. Corocznie prawie, jako dowód szczególnej sympatii kraju, dochodzą Towarzystwo na zgromadzeniu walnym zaproszenia od miast większych galicyjskich, które wzywają obradujących nauczycieli w swoje gościnne mury na rok przyszły. Pominąwszy zgromadzenie I, II, V

i VI, odbyte we Lwowie, a III i XV w Krakowie, spotykamy zgromadzenie IV w Kołomyi, VI w Tarnowie, VIII w Przemyślu, IX w Stanisławowie, X w Samborze, XI w Tarnopolu, XII w Nowym Sączu, XIII w Brodach, XIV w Drohobyczu. Jest to dowodem, że kraj odcenia znaczenie takiego zgromadzenia, a miasto, w którym się ono odbywa, za zaszczyt to sobie poczytuje. Najświetniejszym i nad wszelkie spodziewanie wspaniałem było z pomiędzy wszystkich przyjęcie członków Towarzystwa w Stanisławowie.

Wykazywać korzyści wystaw, a obok tego korzyści tych zgromadzeń, byłoby co najmniej rzeczą zbyteczną. Spotykanie się rozmaitych żywiołów, wymiana myśli, odnawianie znajomości i związków przyjacielskich, poznawanie miast większych, ich zabytków i osobliwości, a nakoniec zwiedzanie okolic kraju, są to rzeczy, dla których samych wartoby już poświęcić trochę czasu i kosztu, a cóż dopiero, gdy te pielgrzymki zostają w połączeniu jeszcze z innym wyższym celem? Rozumieją też to członkowie Towarzystwa i z każdym rokiem tworzą liczniejszy zastęp pedagogów wędrujących z jednego końca kraju na drugi ¹⁾.

II.

Na zaproszenie b. prezydenta miasta, dr. M. Zybkiewiczza, XV-te walne zgromadzenie Towarzystwa Pedag. odbyło się w Krakowie, po raz drugi od czasu swego istnienia. Liczny ten zjazd, bo wzięło w nim udział 1100 uczestników ²⁾, złożył świadectwo, jak to zauważył

¹⁾ Dokładniejsze wiadomości o Towarzystwie Pedag. znajdzie ciekawy czytelnik w „Sprawozdaniu z dziesięcioletniej działalności (1868—1878 r.) tegoż Towarzystwa, ułożonem przez dr. Teofila Gerstmanną.

²⁾ W liczbie téj znajdowało się nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych 505, nauczycielek 335, nauczycieli szkół średnich i wyższych 95, osób do stanu nauczycielskiego należących 45, księży 24, inspektorów szkół ludowych 15, członków honorowych 3. Uderzającym zapewne jest fakt, że nauczyciele szkół średnich, których liczba w Galicyi dochodzi do 550, a którym, jako właśnie w większych miastach przebywającym, przeważnie nawet w miastach na zgromadzenia wyznaczonych, byłoby daleko łatwiej ponosić kosztą potrzebną ku temu celowi podróży, w tak małej liczbie biorą w zgromadzeniach udział. „Gazeta Krakowska” zauważyła, że z pomiędzy nauczycieli gimnazjów i szkół realnych krakowskiej, tylko trzech uczestniczyło w zgromadzeniu tegorocznem, i wyraziła swoje zdziwienie. Dziwilibyśmy się i my, gdybyśmy nie wejrzeni do sprawozdania Tow. Pedag. tegorocznego i nie znaleźli tam, że z krakowskiej liczby nauczycieli szkół średnich, jest członkami Towarzystwa sześciu, a z ogólnej liczby nauczycieli szkół średnich galicyjskich 131, z których 36 na Lwów przypada. Dziwilibyśmy się, gdybyśmy nie znali przyczyn, które bardzo blisko leżą i są dwojakiego rodzaju. Najpierw wielu nauczycieli szkół średnich, osobliwie nauczycieli młodszych, nie są

w przemówieniu do prezydenta m. Krakowa, Ferd. Weigla, prezes Towarzystwa Z. Sawczyński, zagajając pierwsze posiedzenie zjazdu, że Towarzystwo rozwija się szczęśliwie; kto bowiem, choćby z najdalszych zakątków kraju, śpieszył do Krakowa, aby oddać cześć grodowi, ten rozumiał, po co tam śpieszy, do tej kolebki rozwoju narodowej przeszłości, gdzie „wszystko za serce porywa, a każda piędź ziemi mogiła-mi żywa.”

Obrady walnego zgromadzenia, które prace swoje rozłożyło na trzy dni i na trzy posiedzenia przedpołudniowe, aby po południu dać możność uczestnikom zwiedzania pamiątek i osobliwości Krakowa i jego okolic, a przede wszystkim Wieliczki, dadzą się przedstawić w następującym obrazie.

Obok spraw formalnych, jako to sprawozdań zarządu głównego i wyborów komisji, wprowadzono do porządku dziennego pierwszego posiedzenia odczyt prof. d-ra Józefa Żulińskiego, na temat: „Czy i ile należy żądać ograniczenia lub zmiany planu nauk przyrodniczych dla szkół ludowych, mianowicie historyi naturalnej?” P. Żuliński sumiennie i gorliwie zajął się tą sprawą. Nie mógł jednak zajmować się wszys-

zupełnie pedagogami, a powtórę, chociaż są, widzą w działalności Towarzystwa Pedagogicznego i jego wydawnictwach, małe dla siebie poparcie. Towarzystwo Pedagogiczne zajmuje się przeważnie sprawami szkół ludowych i ich nauczycieli; organ jego „Szkoła” uwzględnia prawie tylko ich potrzeby, jak to już powyżej wspomnieliśmy. Cóż więc ma nauczyciela gimnazjalnego przyciągać i wiązać z Towarzystwem? Chyba idea sama, której widocznie niewiele hołduje. Wspomnieliśmy, że nauczyciele szkół średnich, osobliwie młodsi, nie są pedagogami. To nie zarzut, lecz skonstatowanie faktu, oni nimi być nie mogą, bo kończą nauki uniwersyteckie, jako słuchacze wydziału filozoficznego i jako tacy otrzymują posady zastępców nauczycieli, a nie jako kandydaci stanu nauczycielskiego. Katedry pedagogii na żadnym uniwersytecie galicyjskim niema, dopiero o tym myślą; przedmiot ten oddany profesorowi filozofii, który w obec swojego zadania musi go stawiać na drugiem miejscu i często, nie będąc sam pedagogiem, wyklada część ogólną, teoretyczną, bez znajomości dydaktyki i praktyki szkolnej; że prof. uniwersytetu Lwowskiego, dr. Euzebiusz Czerkawski, jako radca szkolny, dosyć żywo tym przedmiotem się zajmuje, jego to osobista zasługa. Czy fakt, że z pomiędzy lwowskich nauczycieli 36, a z krakowskich 6, do Tow. Ped. należy, nie jest tego skutkiem? Stoimy w obec reformy szkół średnich w Galicyi, którą się żywo wszystkie warstwy zajmują. Czy nie należałoby zacząć od reformy kształcenia nauczycieli, by dalej nie eksperymentowali na własną rękę, ze szkodą kraju i społeczeństwa? Wszak dobry nauczyciel, to dobra szkoła, a wiedza, choćby najrozleglejsza, bez dydaktyki i praktyki nie uczyni nigdy nauczyciela dobrym *).

*) Dodamy do tych rozumnych słów, nawet ze względu na nasze miejscowe stosunki, że nie Ustawą, ale dzielnym stanem nauczycielskim, stoi lub upada każda szkoła.

tkiem i kwestyami do tego zakresu należącemi, bo nad tém pracuje delegacya szkolna, przez wydział krajowy w roku zeszłym dla wszechstronnego zbadania tego przedmiotu wyznaczona ¹⁾). Trzymając się ściśle tematu, przejrzał p. Żuliński plan szkół ludowych, i znalazł, że plan ten kładzie za cel nauk przyrodniczych: rozbudzenie ciekawości do zajmowania się płodami natury i pielegnowanie zdrowia, z fizyki zaś zastosowanie do życia najważniejszych zjawisk. P. Żuliński nie zgadza się z tém pojęciem pedagogicznego znaczenia nauk przyrodzonych: metodą powinna być ciekawość, a celem badanie i zajęcie się przyrodą, metodą powinniśmy budzić zmysł spostrzegawczy, bo do jego rozwinięcia służą nauki przyrodnicze i dlatego nie można ich usunąć z planu szkolnego ²⁾). Ów plan szkolny podaje co do materiału wskazówki, aby na podstawie poglądu i książki do czytania opisywać zwierzęta, rośliny i minerały, łącznie z nauką o hodowli zwierząt i o pielegnowaniu roślin, o uprawie zboża i t. p.; przy fizyce należy wyjaśniać zjawiska natury, uwzględniając lokalne, i zastosowywać je do gospodarstwa domowego. P. Żuliński widzi w tém określeniu albo zawiele albo za mało; nauczyciel nadto pozostawiony sam sobie, bez wyraźnej wskazówki, może wejść na bezdroża, jakto się dzieć musi, gdy okazała się potrzeba rozporządzenia ministra Oświecenia, by przedmiotu tego nie rozwałkowywano. Cóż w obec tego pożądaném? Oto abyśmy nie uczyli zoologii, botaniki, mineralogii, ale uczyli poznawania, a na wyższym stopniu opisywania zwierząt, roślin i minerałów, abyśmy nie uczyli fizyki, ale poznawania i rozumienia zjawisk najpowszedniejszych w przyrodzie. Nie trudniejszego dla dzieci-

¹⁾ Czytelnicy „Biblioteki” przypominają sobie zapewne wyraz „ankieta,” którym pisma codzienne i tygodniowe obrażają od pewnego czasu tradycję językowe, tudzież logikę i samodzielną twórczość naszego języka. I nasz autor użył go w tém miejscu; przez wzgląd na czystość naszej mowy pozwoliliśmy sobie usunąć z tekstu tego intruza francuzkiego, zastępując go omówieniem myśli z pomocą wyrazu delegacya. Wyraz delegacya jest wprawdzie także obcy, ale tradycya naszego języka pozwala na polonizowanie, że tak powiem, wyrazu francuzkiego; wyrazy francuzkie ze swojemi końcówkami nie nadają się już do tego.

Przyp. Red.

²⁾ Cały ten ustęp nie jest dla nas jasny: może, że tekst samego wykładu, pojęcia te rozjaśni. „Metodą powinna być ciekawość,” takiej metody „ciekawość” żadna pedagogika dotychczas nie zna; może prelegent chciał powiedzieć, że nauczyciel w szkole ludowej powinien się przedewszystkiem o to starać, aby w dzieciach obudzić ciekawość, lecz to osiągnąć można równie za pomocą metody analitycznej, jak i syntetycznej, byle nauczyciel umiał ich odpowiednio użyć. Wątpimy przeto, aby celem wykładu nauk przyrodzonych w szkole miało być „badanie” przyrody, do tego bowiem potrzeba wielu danych, których edukacya elementarna dać nie może. Metoda ma także „budzić zmysł spostrzegawczy,” to czyni każdy przedmiot poznawany przez obserwacyę, a nie przez abstrakcyjne formułki.

Przyp. Red.

ka nad opis, a nie więcej kształcącego zmysł postrzegawczy, jak porównywanie. Zerwijmy z rutyną i albo uczmy na okazach, albo zupełnie nie uczmy. Zostawmy opis ćwiczeniom stylistycznym, a w nauce o przyrodzie dostrzegajmy (!) i porównywajmy. Niechaj dziecko umie odróżniać, niech wie o szkodliwości i pożyteczności, niech zna życie zwierząt a nawet i szczegóły z niego, ale nie anegdoty, które budzą niezdrowe wyobrażenia. Nie posuwajmy się zdaleko w tym braterstwie z naturą; w celu wykształcenia charakteru i w celu zachęty do cnoty stawiajmy za wzór życia ludzi znakomitych, bogobojnych i świętych, a nie zwierzęta. Budźmy uczucia religijne, ale nie posuwajmy się na drogę, któraby nas daleko zawiódła. Budowa tworów stanowi podstawę ich klasyfikowania. Zapoznać więc z nią stopniowo dzieci, jest zadaniem nauczyciela. Ale czyż ma zacząć od tworów najnieudokonalniejszych, od tworów tylko okiem w szkło uzbrojone dostrzegalnych, których dziecko zresztą nigdy nie widzi i nie będzie widziało? Nie. Zaczniemy od człowieka, od jego budowy najdoskonalszej, a wtedy zrozumiemy budowę zwierząt ssących. Stopniowania nauki nie odnośmy do ilości poznawanych tworów, ale do szczegółów o nich. Stosując się nawet do planu, starajmy się o to, aby w pierwszym i drugim roku nauki, umiały dzieci poznawać zwierzęta z wejrzenia, odróżniać je i wiedziały o ich szkodliwości lub pożytku. Na stopniu wyższym bierzmy to samo, ale rozwijajmy, podajmy szczegóły sprawdzone i uzupełniajmy wiadomością o tworach zagranicznych; na piąty i szósty rok przypadłoby ze względów praktycznych życie szkodników i ich tępienie. W ostatnich latach należałoby uczyć zakładac pasieki, hodować bydło i t. p.

Co do roślin, to ponieważ drzewa dla dzieci są mniej przystępne, trzeba je zapoznawać z częściami rośliny, uczyć odróżniania liścia, korzenia, owocu. Na drugim stopniu, to jest w trzecim i czwartym roku, powinny dzieci terośliny oglądać i poznawać, szczególnież zboża, jarzyny, krzewy; na stopniu trzecim należy dzieci zapoznawać z życiem i rozwojem roślin; uczyć zbierania leśnych, suszenia owoców i w ogóle zastanawiać się nad uprawą roślin. Na najwyższym zaś stopniu trzeba na to wszystko rzucić ogólny pogląd.

Z minerałów należy na pierwszym stopniu wziąć naukę o soli, żelazie, ołowiu, miedzi i t. p.; na stopniu drugim o własnościach minerałów, o wapnie, nafcie, wosku ziemnym, cynku, rtęci i t. p.; na trzecim o wapieniu, kwarcu i innych tworzących masy, bo się dziecko z nimi spotyka. W okolicy, gdzie są szczególne minerały, mówić o nich, wspominać o innych, które je również posiadają.

Zostają wiadomości o człowieku. Na najniższym stopniu należy odróżniać i nazywać części, na wyższym przejść do organów, ich znaczenia i funkcyonowania; o pokarmach, pożywieniu i funkcyonowaniu organów wewnętrznych, nadto przepisy co do życia i zdrowia. Na stopniu najwyższym sposób ratowania w wypadkach i chorobach (hygienu).

Oto więc jakby należało plan zmienić.

Objaśniawszy w ten sposób swoje zadanie, wyraził p. Żuliński życzenie, aby zgromadzenie wyraziło swe o tém zdanie i, dla uprzytomnienia obecnych, zebrał treściwie wszystkie punkta, w których od planu odstąpićby należało, kładąc szczególny nacisk na stronę praktyczną; wyraził życzenie, aby się zgromadzenie oświadczyło za spisaniem instrukcyi dla nauczycieli (bo instrukcyja to właściwa reforma) i stosownego przerobienia podręczników. Kto je ma przerobić? Czy ogłosić konkurs? czy polecić komu z góry? Prelegent radzi: 1) utworzenie funduszu żelaznego, by przy pomocy stałej komisyi rady szkolnej, wynagradzano najlepsze podręczniki i 2) zniesienie monopolu wydawnictwa książek szkolnych, ale żeby rada szkolna zaprowadzała książki, które uzna za stosowne. Zaprowadziwszy w ten sposób zasadę teatru w ocenianiu sztuk na scenie przez publiczność, a ocenianiu podręcznika przez skutki w nauce się objawiające, podtrzymujemy chęci piszących nie jednorazową nagrodą, ale zyskiem przy każdym wydaniu. A wtedy mając podręczniki dobre i instrukcyą, możemy i mniej zdolnemu nauczycielowi zaufać i pomyślnych oczekiwać rezultatów. W dyskusyi nad tym przedmiotem dyrektor Maciołowski, popierając wniosek prelegenta, nadał mu cechę ogólniejszą, bo żądał instrukcyi do wszystkich przedmiotów; p. Bernadzikiewicz pragnął usunięcia hodo-wli zwierząt do nauki uzupełniającej, a p. Kowalówka proponował, by to wszystko objąć w „Naukę o oświecie,” poprzeć podręcznikami i wskazać jak taczyć przedmiot jeden z drugim, by koncentracją umysł dzieci wszechstronnie wykształcić.

Skoro p. Żuliński sformułował jeszcze raz swój wniosek z poprawkami dyrektora Maciołowskiego, zgromadzenie prawie jeonogłośnie go przyjęło ¹⁾.

1) Podnoszono głosy i robiono nawet złośliwe uwagi co do obalenia samodzielności nauczyciela przez krępujące go instrukcye i przemienienia go w automat. Jestto zbyt jednostronne pojmowanie rzeczy. Nauczyciel zdolny zapewne, że się bez instrukcyi obejdzie; ale też ona mu nie zaszkodzi; mierny będzie z niej korzystał i wyrobi się na dobrego; zły, czyli nie zdolny, nie poradziłby nic bez niej i owszem, zepsuje i robi szkody więcej. Gdybyśmy tak samodzielność pojmowali, toby nam nie wypadało korzystać z uwag cennych żadnego pedagoga wieku tego i zeszłych, by nie ulegać ich wpływowi, powinniśmy stanowczo odrzucić teksty z objaśnieniami, ba—nawet zerwać z całą cywilizacją, którą przyniosły wieki minione, aby być tylko samodzielnymi. Że wielu już tak samodzielność pojmuje, dowodem domagania się usunięcia zupełnego języków klasycznych ze szkół średnich; „my to wszystko mamy w tłumaczeniach, aby ciekawych starożytności zaspokoić,” argumentują najzwyczajniej, oburzając się na czas zmarnowany na naukę języka łacińskiego i greckiego. Pytanie, czy mamy i w jakich tłumaczeniach; chyba że to rzecz małoznaczna?!

Na drugiem posiedzeniu (we wtorek dnia 19 lipca), po odczytaniu protokołu z pierwszego posiedzenia i po załatwieniu kwestyi z poza sfery samego zjazdu wynikłych, jak np, zakomunikowania błogosławieństwa Ojca Ś., przesłanego za pośrednictwem bawiącego właśnie w Rzymie biskupa krakowskiego Dunajewskiego, Towarzystwu pedagogicznemu, po doniesieniu o zaproszeniu rady miasta Kołomyi, aby zgromadzenie przyszłe odbyć się mogło w tém mieście, podniesiono kwestyą nawet donioślejszego od poprzedniej znaczenia. Oto p. Jerzy Harwot prof. gimnazjum w Przemyśle, odczytał rzecz „O pracowni szkolnej ze stanowiska pedagogiki i ekonomii społecznej,” której ostatnim wnioskiem było to, iż tylko uwzględnianie przy nauce w szkołach ludowych praktycznej strony życia ludu, jest na razie środkiem wydobycia go z nędzy i ciemnoty.

Montalembert, mówił szanowny prelegent, nazwał nas narodem w żałobie, mógł być nazwać narodem nędzarzy, bo nędza u nas ogólna. Wyłuszczenie włościan posuwa się rażąco naprzód i jeżeli tak dalej pójdzie, to po trzydziestu latach, według obrachowania Pilata, jednego kawałka gruntu nie będzie w ręku wieśniaka. Obcoplemienni zalewają kraj, przybywając corocznie w cztery razy większej liczbie niż wynosi przyrost ludności krajowej; ludność słaba i słabowita, śmiertelność wzrasta się z dniem każdym. Że lud dotąd nie uległ prądom socjalizmu, zawdzięczać to tylko musimy jego pocziwemu sercu. Może tak nędzna ludność mieć odpowiednie izby szkolne, nie szkodzące zdrowiu ich dzieci? Potrzeba rady, ratunku, reformy a od szkoły powinien być początek, bo ona podstawą wychowania—owego środka do odrodzenia społeczeństwa. Szkoła odpowiednio do stosunków zmieniać się musi, a przez to nie stać się sługą ubocznych celów, lecz spełni swój obowiązek i dostąpi zaszczytu, że służyła dobru publicznemu. Cóż więc szkoła nasza ma dla podniesienia tych stosunków uczynić?

Mówią, że przyczynami nędzy są wysokie podatki, loterya, pijaństwo i t. p. Ależ te same przyczyny są i w innych krajach monarchii austriackiej, a kraje te nie upadają. U nas zaś są obok tego przyczyny wewnętrzne: brak nam usposobienia odpowiedniego: brak nam pracy i oszczędności, które najskuteczniej zapobiegłyby upadkowi materialnemu. Dla braku oszczędności weszliśmy w przysłówie; pracownicy też nie jesteśmy, brak nam kredytu i przemysłu.

Poznawszy przyczyny, poznajmy i odpowiedniejszy kierunek dla szkoły: nauczmy lud racjonalnie pracować i oszczędzać—usuńmy przyczyny a skutek sam nastąpi. Zaprowadźmy szkolną kasę, którą już przed dwoma laty proponowano (sam prelegent) i załóżmy pracownię szkolną.

Ks. Gołda przyszedł do konkluzji, że oświata ludu wymaga reformy szkół wiejskich i żąda nauki gospodarstwa. W sejmie żądano również od szkół ludowych kierunku praktycznego i dlatego polecono wybranej delegacji zbadać wszechstronnie niedostatki i potrzeby szkoły; a ponieważ szkoła dzisiaj nie uczy racjonalnej pracy, przeto su-

mienny pedagog ma zbadać jakby temu można zaradzić. Zastosujmy szkołę do natury dziecka, wyzyskajmy jego ruchliwość i nie odrywając go od natury, uczmy go systemem Froeblovskim, którego na wszystkich w szkole stopniach używajmy. Kształćmy wszystkie organa a przede wszystkim organa ruchu, a nie działajmy tylko na mózg i wypełnijmy tę lukę, jaka jest w naszym wychowaniu przez brak odpowiedniego kształcenia ręki. Dzisiejsze wychowanie sprawia, że dziecko ślęcząc nad książką, lichy żywione, traci świeżość i słabnie. Gdybyśmy przywrócili równowagę przez ćwiczenie innych organów, zdrowieby dzieci nie szwankowało, a w skutek jasnych wyobrażeń zmysłowych i umysłowe osiągnęłyby wyższy stopień. Dlatego opuśćmy nieco z teoretycznej nauki, która na tem nic nie straci i zajmijmy w tym czasie dzieci w pracowni praktycznie. Tam ono odpocznie umysłowo, wykształci organa i nauczy się pracowitości, która mu zostanie na całe życie. A pracowitość budzi cnoty, które nie powstają w sercu dziecka pod wpływem samych słów, choćby z jaknajwiększym namaszczeniem głoszonych. W obec tylu pedagogicznych zalet, jakie przedstawia pracownia szkolna, nie dziw, że oddawna zwracano uwagę na praktyczne przygotowanie dzieci do życia. Znajdziemy to w dziełach komisji edukacyjnej, która wydała specjalne instrukcje, i u innych pedagogów, którzy byli zawsze tego zdania, że praktyczność jest w zgodzie z zasadami pedagogiki i wspiera siły umysłowe i moralne. Ze względów pedagogicznych i ekonomicznych, powinniśmy się domagać u nas zaprowadzenia pracowni szkolnych. Jakże owa pracownia ma być urządzoną? Pracownia szkolna mająca obejmować najpowszechniejsze ćwiczenia, powinna obejmować trzy działy: 1) naukę robót kobiecych i gospodarstwa domowego; 2) ogród szkolny; 3) warsztat szkolny. Na dzisiejsze potrzeby wystarczy to najzupełniej a z tych punktów pierwszy już u nas znalazł powszechne uwzględnienie i odpowiednie dla szkół żeńskich wywołał przepisy. Co do ogrodów atoli, wielkie u nas panuje zaniedbanie. Kandydatom wykładane to bywa niedostatecznie a ztąd i oni nie uczą wieśniaka tego, czego mu najbardziej potrzeba—co powinno być treścią i duszą wiejskiej szkoły—rolnictwa. Trzeba przeto przedmioty zbyteczne usunąć lub ograniczyć a zaprowadzić naukę gospodarstwa rolnego, jako naukę główną, obejmującą przede wszystkim: a) praktyczne ćwiczenia w zastosowaniu do gleby, wprowadzanie do uprawy gipsu, torfu i t. p.; b) płodozmian; c) uprawę zrgbów i zakładanie plantacji; d) pastwisko i jego utrzymanie; e) sadownictwo i f) pszczelnictwo. Do odpowiedniego wykonania tych punktów, potrzeba, aby najpierw nauczyciel sam był wykształcony w tym kierunku, a powtóre, aby przy każdej szkole było po kilka morgów pola, co na wsi do wykonania łatwem ¹⁾.

Co do warsztatu szkolnego objętego punktem trzecim, to ma on być tem dla chłopców, czem roboty ręczne dla dziewcząt. Dałby on

¹⁾ Pogląd ten nie rachuje się z aktualnemi stosunkami.

Red.

ludności wiejskiej przysposobienie do przemysłu, który równoważąc się z rolnictwem, nie narażałby kraju na zubożenie w razie nieurodzaju, który w obec niskiego stopnia rozwoju przemysłu, jest zresztą u naszego wieśniaka kwestią życia lub śmierci. Gdyby się wieśniak w domu zatrudnić umiał, odciągnęlibyśmy go od karczmy. Tego domowego zatrudnienia nauczy warsztat szkolny. Że miejscowe potrzeby musi on mieć przedewszystkiem na oku, zbytecznem wydaje się dodawać. W jednej miejscowości plecionki i koszyki ze słomy, w innej z pręci; w jednej naczynia z gliny, w drugiej z drzewa; ale wszędzie ma to być przedmiotem nauki, która metodą Froebela postępować powinna. I tak kurs robót z tektury trwałby pół roku, poczem następowałyby roboty z drzewa i wyroby snycerskie, dalej elementarne tokarstwo i stolarstwo, roboty około żelaza i miedzi, czyli elementa ślusarskie. W szkołach wydzielonych położono najwyżej modelowanie, które jako przedmiot nadobowiązkowy, mogłoby tu być koroną warsztatu, a odpowiednio urządzone muzea, obznajamiałyby z postępem pracy. Warsztat musiałby w najpierwotniejszym stanie posiadać stoły i piły ręczne; później wymagałby narzędzi więcej, obszerniejszej sali i większego ztąd nakładu. Dr. Schwab oblicza kosztą większego warsztatu na 70—80 ztr. w. a. Na wsi warsztat byłby ograniczony, boby więcej na dworze pracowali. Odpowiednio do stosunków, pominąćby też można na wsi roboty z tektury a przystąpić zaraz do plecionek, do robót z gliny i drzewa. (Co do plecionek, godna polecenia książka p. Mysłowskiego: „Plecionka słomiana,” wydana w Jarosławiu).

Institucya pracowni szkolnych a przedewszystkiem warsztatów, okazała się we wszystkich krajach Europy żywotną i dobrą. Choćby nawet tego nie było, my pierwsi powinniśmy to zaprowadzić, bo u nas największa potrzeba. Do założenia warsztatu potrzeba nauczyciela i funduszu. Zkąd wziąć jednego i drugiego? Zniżenie wymagań co do wiadomości teoretycznych a wymaganie znajomości robót ręcznych od kandydatów na nauczycieli, usunie brak pierwszy. Nie potrzebuje nauczyciel być sztukmistrzem, ale przez wprawę musi nabyć zręczności; zatrudnienie tego rodzaju sprawdzi i dla nauczyciela pokrzepienie. Ofiarami i datkami iść od najprostszych rzeczy do dalszych i nie nakładać obowiązku na szkołę, by zakładała natychmiast warsztat, ale skrzętnych nauczycieli zachęcać nagrodami. Mówimy wiele o używaniu czasu a nie podajemy środków, wytykamy ludowi, że przez zimę nic nie robi i zapija się, a nie wskazujemy mu drogi, którą idąc, może tego uniknąć. Działajmy więc i ratujmy prostym powyższym sposobem lud od nędzy i upadku.

Ostateczna rezolucya szanownego prelegenta brzmiała: czyniąc zadość wymaganiom nadania szkole kierunku praktycznego, który się racjonalnej pedagogice nie sprzeciwia i jest jedynym wypróbowanym środkiem przysposobienia dzieci do życia, zgromadzenie daje wyraz przekonaniu, że zaprowadzenie pracowni szkolnej, byłoby środkiem do nadania szkole kierunku praktycznego.

W dyskusyi nad tym przedmiotem, który p. Harwot sumiennie opracował i jasno przedstawił, zauważył dr. Żuliński, że jakkolwiek podziela zdanie prelegenta, rezolucyą podobną uważa za przedwczesną. Delegacya szkolna, obecnie nad tym przedmiotem pracująca, wiele już w tym przedmiocie powzięła uchwał i proponuje wystawy i nagrody. Co do godzin tej nauki praktycznej i co do urzędzenia warsztatów, uchwały stanowczej jeszcze powziąć nie zdołano. Towarzystwo pedagogiczne zwróciło uwagę, że tego rodzaju rzeczy mogliby z powodzeniem nauczać nauczyciele wędrowni, a co do kierunku, to przedewszystkiem potrzeby domowe trzeba mieć najpierw na oku. Dr. Żuliński sprzeciwia się słusznie przeprowadzeniu w tej rzeczy systemu Froebela, lecz proponuje uchwalenie nowego wniosku, mianowicie: „aby na przyszłym zgromadzeniu walnem w Kołomyi urządzić wystawę tych rzeczy, które są w szkole ludowej wyrazem jej strony praktycznej. Na okazach będziemy mogli dojść snadniej do wniosków praktycznych.”

Z uzupełnieniem p. Baranowskiego (uznając ważność sprawy poruszonej przez p. Harwota, zgromadzenie uchwała...), przyjęto wniosek d-ra Żulińskiego. W roku przyszłym przeto połączona będzie ze zjazdem pedagogów w Kołomyi wystawa, której praktyczną wartość dopiero przyszłe zgromadzenie ocenić będzie mogło ¹⁾.

¹⁾ Przeciwno powyższemu pogładowi musi nauka pedagogiki zrobić pewne zastrzeżenia. Sprawa szkół elementarnych jest kwestyą tak ważną, że dorywczo traktować jej nie wypada. Mając zamiar poświęcić w Bibl. Warsz. pilniejszą uwagę sprawom pedagogicznym, znajdziemy niebawem sposobność zbadania szczegółów i tego przedmiotu. Tymczasem nadmieniamy, że jeżeliśmy dobrze zrozumieli myśl szan. referenta co do wykładu p. H. i ks. G., to należałoby ostrzedz zbyt skwapliwych reformatorów wychowania ludowego przed niebezpieczną drogą, na jaką pod wpływem prądów, może przemiennych, naszego wieku, zbyt śmiało i ze zbyt wielką otuchą zdają się wchodzić. Żadna reforma szkolna nie może się opierać na wykrzywieniu *istoty* szkoły. Pedagogika uważa zaś za główne zadanie szkoły: wykształcenie i wychowanie człowieka pod względem moralnym i umysłowym, a to w tym celu, żeby wykształcenie do pewnego stopnia władz umysłowych uczyniło wychowawcę sposobniejszym do świadomej w odpowiednich warunkach pracy na polu życia praktycznego. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że nawet do praktycznych zawodów życia można daleko łatwiej i daleko prędzej wyterminować, że tak powiem, osobistość umysłowo już cokolwiek rozwiniętą, aniżeli młodzieńca wcale nieokrzesanego przez szkołę, choćby elementarną; ale swojską i racjonalnie urządzoną. Nauka teoretyczna powinna tedy pozostać i w szkole ludowej gruntem, na którym praca wychowawcza jedynie z ufnością opierać się może, z tém wyraźnem zastrzeżeniem, że zdrowa teoria nie tylko nie zostaje nigdy w sprzeczności z praktyką, ale objaśnia raczej zadania życia powszedniego, ułatwia nam spełnianie obowiązków, uduchowia i umoralnia, oświeca czynności nasze, czyniąc zamiary nasze podnioslejszemi i jaśniejszemi. Że tam jakiś samozwaniec uczony, jakiś marzyciel bez jasnego poglądu, lub

Po sprawozdaniu zarządu głównego ze sprawy regulaminu zaliczkowego, posiedzenie zamknięto.

falszywy filozof nie potrafi się znaleźć w życiu codziennym, to nie jest winą teorii; ale jest wynikiem wadliwego ustroju tego szczególnego umysłu, który nie umie praktycznie objąć różnorodnych warunków życia ludzkiego. Co innego jest umiejętna i świadoma mechaniczna, — a co innego tylko zręczna praca. Przyrodzonego stosunku między organami umysłu a organami fizycznymi burzyć się nie godzi; w miejsce ćwiczeń umysłu nie można postawić ćwiczeń rąk lub nóg; ale trzeba każde z tych narzędzi na swój właściwy sposób zostawić stanowisku. Ze szkoły ludowej nie można robić warsztatu pod karą odpowiedzialności za wykrzywiony gwałtownie kierunek duchowego rozwoju przyszłych pokoleń, pod karą odpowiedzialności za wytwarzanie sztuczne różnice profesyjnych i stanowych, prawie kastowych już w umysłach dzieci, w których sercu każą nam ci reformatorowie składać zarodki namiętnej wulki jednego zawodu przeciw drugiemu, jednego interesu przeciw drugiemu. Pedagogika nie pozwala mieszać szkoły ludowej ze szkołą rzemieślniczą, która ćwiczy dzieci posiadające już naukę elementarną. Któż-to dał pedagogom prawo dekreowania dzieci włością tylko na parobków, dzieci kowali na kowalczyków, stelmachów na stelmachów i t. p.? „Chleb powszedni” odpowiedzą nam pozytywni opiekunowie ludu roboczego. Chleb powszedni, rękami dzieci gnieciony, będzie dla nich i dla społeczeństwa równie niezdrowy, szkodliwy i równie gorzki, jak niezdrową bywa polityka i ekonomika kierowana przez dzieci i niedoświadczonych samouków, których arogancja nie zna trudności w tworzeniu prawdziwej szczęśliwości społecznej. Dla porządnego regulowania stosunków społecznych nie dosyć jest rachować się tylko z potrzebami swego żołędka, — tak jak zgubnąby było rzeczą poprzestawać tylko na zaspokajaniu wyłącznym potrzeb umysłu. Szkoła powinna rachować się zawsze z całym człowiekiem i z wszystkimi jego potrzebami, tak ciała, jak i ducha, ale zawsze w organicznym ich związku. Zudania tego nie można rozwiązać instrukcją przy warstacie, instrukcją od samego początku fachową, specjalną. Nie wracajmy przecie do epoki Brahminów, bo ona nie może być ideałem społeczeństwa chrześcijańskiego w wieku XIX-ym. Tak jak mylą się ci, których ideałem uszczęśliwienia społeczeństwa jest wytworzenie dwóch tylko szeregów ludności, mianowicie jednego piszącego dzieła i artykuły gazeciarskie, a drugiego czytającego te przeróżne dojrzałe i niedojrzałe elukubracje; tak samo mylą się też i ci, którzy, patrząc na wyścigi materialistycznych interesów wieku, szukają całego szczęścia narodu w wytwarzaniu już wóról dzieci gotowych zastępów wykwalifikowanych mechaników, ślusarzy, stolarzy, stelmachów, rymarzy, ciesli, parobków i t. p., w przeciwstawieniu do kapitału i własności nieruchomości, wyzyskującej — podług tej opinii — z arystokratyczną energią pożałowania godne położenie masy demokratycznego robotnika, równie jak i zręczność fachowego mistrza rzemiosł, lub pomysły zapoznanego genialnego mechanika i technika. Obok piszących i czytających, których pragniemy w kraju naszym mieć jak najwięcej, ale organicznie i gruntownie wykształconych, potrzeba nam świa-

Na porządku dziennym dnia trzeciego posiedzeń umieszczono referat prof. dr. med. Wład. Jaworskiego o „Zanieczyszczaniu powietrza szkolnego, jego skutkach i środkach zaradczych przeciw temu.” Nie wątpimy, że sprawę tę, tak ważną ze względów higienicznych, byłby dr. Jaworski pomyślnie rozwiązał, gdyby nie słabość, która go zmusiła do wyjechania zagranicę.

Wobec téj niefortunnej przygody dla ułożonej z góry dyskusyi nad sprawą tak doniosłej wagi, znalazły się jeszcze dwie kwestye ogólniejszej natury, które równie w wysokim stopniu zainteresować musiały obecnych. Pierwszą z nich po wyborze prezesa p. Z. Sawczyńskiego na rok następny, przedłożoną zgromadzeniu przez inspektora szkół ludowych p. Bolesława Baranowskiego, było sprawozdanie z postępu prac delegacyi szkolnej, przez wydział krajowy do gruntownego zbadania interesów szkoły ludowej powołany.

W ożywionym trafniemi porównaniami wykładzie p. Baranowski przedstawił, że jakkolwiek delegacya cały rok sumiennie pracowała, nie potrafiła jednak wywiązać się zupełnie z obowiązku i zadania, które z najlepszą otuchą podjęła. Delegacya szkolna podzieliła się na dwie sekcye: administracyjną i pedagogiczną i odbyła dwa posiedzenia: rozdając sekcjom materiały i odbierając ich referaty. Zastanawiano się, czyby nie należało rozebrać wszystkich ustaw i rozporządzeń odnosnie do szkół wydanych; ale że ich zmiana zależy od konstelacyi politycznej, zostawiono to na boku, a wzięto przedewszystkiem pod obrady: 1) ustawę o zakładaniu szkół, o ponoszeniu wydatków i o frekwencyi uczniów; 2) stosunki prawne nauczycieli; 3) ustawę o władzach nadzorczych miejscowych i okręgowych.

Trzymając się zasady, aby przedewszystkiem na danych już podstawach budować, a nie burzyć, proponuje delegacya następujące zmiany: 1) Szkoły żeńskie wydziałowe, których pomyślny rozwój najlepiej dowodzi ich użyteczności, należy w dalszym ciągu zakładać, mężkie zaś utrzymywać warunkowo. Wszelkie datki gmin in natura mają być zamienione na pieniądze, a ściąganiem ich mają się zajmować urzędy podatkowe. Z uwzględnieniem lokalnych stosunków należy przeznaczyć na uczęszczanie do szkoły wiek dzieci od lat 7—13, zreorganizować naukę niedzielną i tam przedewszystkiem przenieść kształcenie praktyczne. 2) Sekcya administracyjna postanowiła, aby prezentowanie nauczycieli miejscowych przekazać radzie szkolnej krajowej, na przedstawienie rady szkolnej okręgowej. Tam tylko należy

tłych mężów, z szerokim poglądem na obowiązki obywatelskie w powołaniu rolnika i rzemieślnika, ojca i opiekuna rodziny, w powołaniu stanu duchownego, nauczycielskiego, lekarskiego, sądowniczego, administracyjnego, przemysłowego i t. p. mężów, którzyby zagrzani światłem powszechnéj oświaty, ogół interesów trzeźwo pojmowali i z całym poświęceniem równie głową, jak i ręką służyć mu byli sposobni.

Plebański.

pozostawić prezentę gminie lub osobom prywatnym, gdzie to wyraźnie aktem fundacyjnym szkoły zastrzeżono, lub jeżeli gminy (jak we Lwowie i Krakowie) same utrzymują szkoły. Co do minimum płac nauczycieli, delegacya stanęła na stanowisku memoriału Towarzystwa pedagogicznego; oświadcza się także za dwugodzinną przynajmniej nauką religii i za opłacaniem nauczycieli tego przedmiotu z funduszków wydziału krajowego. Nauczyciele młodszy powinni pobierać najmniej 250 złr. w. a., nauczycielka, idąc za męża, traci posadę, emeryci pobierają płacę z góry, a po 40-tu latach służby już nie wnoszą żadnej składki do tego funduszu. 3) Delegacya starała się przedewszystkiem o to, aby żywioły inteligentne składały władze nadzorcze; władzę zaś rady szkolnej miejscowej ograniczyła do spraw ekonomicznych i do pilnowania ustawy, tak, że przewodniczący powinien uwagi swoje przedstawiać radzie szkolnej okręgowej. Proponuje dalej delegacya, aby każdy powiat stanowił okręg szkolny (dotąd dwa powiaty—jeden okręg). Na tém ograniczyły się prace sekcji administracyjnej.

Sekcyja pedagogiczna zaś postanowiła: a) aby w szkołach jednoklasowych jeden nauczyciel nie prowadził równocześnie nigdy więcej, jak dwa oddziały: rano starszych, po południu młodszych, a w ten sposób zapobiegnie się narzekaniom na odrywanie dzieci wiejskich od pracy rolnej i domowej; b) aby nauczycielowi ułatwić zadanie, należy określić zakres wiadomości od ucznia wymaganych i wyszczególnić w dokładnej instrukcyi nauczycielowi, czego ma uczyć. Naukę t. zw. realiów należy wykładać nietylko na ostatnim stopniu, ale już na pierwszym i tam podane wiadomości mają wystarczać dla potrzeb szkoły ludowej. Podobnie ma się rzecz i z higieną. Ogólny regulamin szkolny zmodyfikowano i powiększono liczbę paragrafów, dołączając nowy tytuł: „O pielegnowaniu zdrowia młodzieży.” Zmodyfikowano téż ustępy co do obrządków religijnych, tudzież co do klasyfikacyi postępu uczniów.

Oto krótki obraz dotychczasowych obrad delegacyi. Na plenarnem posiedzeniu dnia 28 czerwca b. r., ułożono szereg kwestyi w celu zasiągnięcia co do nich zdania rad szkolnych powiatowych, a jakkolwiek dotychczas nadeszły już 34 swoje odpowiedzi, nie miały sekcye jeszcze czasu rozpatrzyć się w nich z zupełną dokładnością.

Zgromadzenie przyjęło powyższe sprawozdanie oklaskami, a okoliczność ta dowodzi, że zgromadzenie widzieli w pracach delegacyi postęp na polu organizacyi szkoły ludowej, że ocenili sprawiedliwie i dążność delegacyi do polepszenia doli stanu nauczycielskiego.

Sprawa powyższa łączy się prawie bezpośrednio ze sprawą memoriału. Jeszcze na końcu pierwszego posiedzenia przedstawił referent dr. Anatol Lewicki zgromadzeniu szczegółowe wnioski zarządów oddziałowych i projektu pojedynczych członków. Ugrupował je zaś w ten sposób, że przedstawił najprzód te, które co do treści schodzą się z żądaniami zawartymi w memoriale Towarzystwa, a więc dla tej przyczyny wykluczyć je należy z dyskusyi; powtóre: takie, które z po-

wodu nie zachowania przepisów regulaminu uwzględnione być nie mogą; nakoniec przedstawił wniosek p. Landesa (nauczyciela szkoły imienia Czackiego we Lwowie), aby przy postępowaniu ze szkół ludowych do średnich nie wymagano egzaminu wstępnego; lecz żeby świadectwo szkoły ludowej uważano za „dostateczne.” Gwarliwa i namiętna prawie wywiązała się co do téj kwestyi dyskusya, skoro p. referent stanowczo się przeciw temu wnioskowi oświadczył, a ponieważ większość czuła się niezadowoloną, wybrało zgromadzenie na wniosek p. Maciołowskiego, komisya z czterech członków, celem rozpatrzenia tych wniosków. Referent jój p. L. Tatomir przedłożył tedy na ostatniem posiedzeniu zaraz po p. Baranowskim rezultaty obrad, które do czterech punktów sprowadzone, można zawrzeć w następujących propozycjach: a) Zgromadzenie walne poleci zarządowi głównemu wybranie komisji z dwóch członków zarządu, z obu inspektorów szkół lwowskich i trzech nauczycieli szkół ludowych, stojących poza zarządem, ile możliwości szkół wiejskich lub małomiejskich. Komisya ta zajmie się gruntownym rozbiorem—ewentualnie, przerobieniem i uzupełnieniem samego memoriału w duchu wniosków toczących się niniejszych obrad. b) Walne zgromadzenie poleci, żeby nowy memoriał wniesiono na najbliższej sesji sejmowej, opatrzone podpisami reprezentantów wszystkich oddziałów. c) Zgromadzenie poleci, by memoriał wydrukowano i każdemu zarządowi oddziałowemu w kilku egzemplarzach przesłano, celem wręczenia posłom swego powiatu. d) Zgromadzenie poleci, by koszta z tego wyniku zostały rozdzielone na zarządy oddziałowe.

Nakoniec co do wniosku p. Landesa, komisya poleca jego przyjęcie, a wtedy tylko egzamin uważa za uzasadniony, jeżeli dziecko po ukończeniu pierwszej lub drugiej klasy chce przejść do szkoły średniej, lub jeżeli uczęły się prywatnie.

Zgromadzenie przyjęło powyższe przedstawienie oklaskami zadowolonia. W dyskusyi nader żywój i znowu na pole osobistój polemiki schodzącój, zabierało głos kilku członków, wreszcie poprzestano na przyjęciu tych wniosków, bo i czas już naglił do zamknięcia posiedzenia ¹⁾.

¹⁾ Dla objaśnienia stanu rzeczy winniśmy dodać, że żądanie zniesienia owego egzaminu wstępnego jest nieuzasadnione, a w dzisiejszych okolicznościach niemożliwe. Wciąganie do żarliwój dyskusyi honoru i powagi nauczycieli ludowych, które egzamin ten ma podkopywać, jest tylko środkiem do podajacania namiętności i celów osobistych. Wszak egzamin wstępny istnieje we wszystkich krajach monarchii austriackiej, a czyż tylko galicyjscy nauczyciele szkół ludowych mają poczucie honoru i dbają o swoje powagę? W tym stanie rzeczy, gdzie szkoła ludowa nie ogląda się za siebie; ale ma swój zakres działania i przestała być przygotowawczą do szkół średnich, jak to było dawniej—czyli inaczej, skoro szkoły ludowe w przeciągu ostatnich lat szesnastu olbrzymim krokiem postąpiły ku lepszemu, a szkoły średnie mają zawsze za

III.

W zakończeniu wypadu nam wspomnieć jeszcze o dwóch rzeczach, do zgromadzenia Towarzystwa nie należących, ale z jego celem w bezpośrednim zostających związku.

Po trzeciem posiedzeniu urządził p. Milatycki z Odessy w gabi-

podstawę zarys organizacyjny z roku 1849, skoro dzisiaj cztery lata nauki w szkole ludowej nie odpowiadają dawnym czterem klasom szkoły normalnej, egzamin wstępny jest niezbędny tak długo, dopóki szkoły średnie nie będą zreformowane. Dzięki Bogu przychodzi i na nie kolój: od lat czterech zaczęto się tą kwestyą żywiej interesować. Kiedy w r. 1879 Namiestnictwo w tym celu wyznaczyło osobną delegacyą, odzywały się głosy w dziennikach krajowych i rozbiierały mniej lub więcej trafnie punkta wymagające koniecznej zmiany. W roku przeszłym utworzyła się podobna delegacya i przy Akad. Um. krakowskiej; w roku bieżącym pojawiła się w Rzeszowie broszura p. t.: „Niektóre uwagi dotyczące reformy szkół średnich klasycznych,” a na zgromadzeniu walnem w Krakowie rozdawano między członków Towarzystwa pedagogicznego „Sprawozdanie z czynności komisji zarządu głównego Tow. ped., wydelegowanej do rozpatrzenia spraw szkół średnich.” Ułożył je z polecenia zarządu głównego dr. Karol Benoni, który już w r. 1871 kosztem wydziału krajowego, wraz z dr. Samolewiczem, zwiedziwszy zagraniczne zakłady, porównywał szkoły pruskie z naszymi i wskazywał na konieczne ulepszenia. Trudno nam tu tej kwestyi zbyt wiele poświęcić miejsca; podamy tu tylko w streszczeniu, przy sposobności, proponowane reformy, które i inne głosy podnosiły. Oto przedewszystkiem oświadczyła się komisya za zniesieniem rozdziału szkół średnich na gimnazyja i szkoły realne, za przyjmowaniem do szkoły uczniów od 10—15 roku życia, za zniesieniem dwustopniowości nauki historii powszechnej i naturalnej, dotychczas w gimnazyjach austriackich praktykowanej, za nadaniem przewagi nauce języków w klasach niższych, w wyższych zaś naukom przyrodniczym, za wprowadzeniem obowiązkowej nauki rysunków. W podanem sprawozdaniu określa dokładnie materiał klas pojedynczych, proponuje sposoby do usunięcia obciążenia uczniów, a podwyższenia karności, wykazuje potrzebę kształcenia kandydatów nauczycielskich w pedagogice i dydaktyce, przemawia za pragmatyką służbową i uregulowaniem stosunku nauczycieli do władz, które według jej zdania od organów politycznych nie powinny być zależne; w ogóle przedstawia rzecz w taki sposób racjonalny i przekonujący, że w rzeczy samej nie wiele ponad to pozostawałoby jeszcze do życzenia. Wobec tak sumiennego a umiejętnego zajęcia się tą sprawą, muszą umilknąć głosy nie powołanych, głosy podnoszone nieraz przez ludzi, nie wiedzących jasno, czego chcą; byle tylko te wyniki prac komisji władze uwzględnić zechciały, byleśmy się tylko doczekać mogli reformy w sposobie kształcenia nauczycieli szkół średnich, a wtedy i te podniosą się niebawem, a wtedy możnaby i egzamin wstępny usunąć, bez szkody zakładu, do którego nieegzaminowani wstępują.

necie fizykalnym uniwersytetu Jagiellońskiego doświadczenia optyczne, na które członków zgromadzenia bezinteresownie zaprosił. Wykazywał on, że na promieniu słonecznym, puszczone do zaciemnionego pokoju, według metody d-ra Rosenberga, docenta uniwersytetu petersburskiego (polegającej na tém, że promień pada na deskę, umieszczoną doń prostopadle; ale tak, że włókna drzewne są niejako przedłużeniem promienia), można przy użyciu najprostszej blachy zamiast zwierciadła i szklanki wody zamiast soczewki, wskazać bardzo naocznie dzieciom prawa odbijania się promieni słonecznych i załamywania, ich kąty i zboczenia, przy soczewkach zaś rozpraszanie i skupianie tychże, odpowiednio do rodzaju soczewki. Dla uwydatnienia lepszego rozszczepia się promień puszczonej za pomocą szparek na szkle przyrządzonych na kilka części, które w ten sposób wrażenie potęgują. Pan Milatycki po doświadczeniach ze zwierciadłami i soczewkami dobrymi, zastosował się do audytoryum i wskazał, że każdy nauczyciel ludowy mógłby takie doświadczenia robić z wielką korzyścią uczniów a małym kosztem, mając tylko mały kawałek zwykłej blachy i szklankę z wodą. Zgromadzeni obsypali p. Milatyckiego oklaskami na podziękowanie za taką prostą instrukcyą.

Drugą rzeczą, o której wspomnieć nam wypada, jest wystawa w seminaryum nauczycielskiem żeńskim. Składa ona się przede-wszystkiem z robót ręcznych uczennic tego zakładu i wszystkich szkół żeńskich krakowskich, z prac piśmiennych i rysunków, nadto ze zbiorów naukowych tegoż seminaryum i z niektórych zbiorów muzeum przemysłowego p. Baranieckiego. Między pierwszemi zwracały uwagę na siebie roboty szkoły wydziałowej i samego seminaryum, osobiwie roboty włóczkowe i szydełkowe; piękne były także kobierce z odcinków materyi wełnianych. W dziale p. Baranieckiego zastanowić musiały każdego zestawienia alfabetów wszystkich narodów, a osobiwie słowiańskich, rysunki narzędzi rolniczych i figur geometrycznych.

Wystawę taką urządza seminaryum żeńskie corocznie z końcem drugiego półrocza. Tego roku była ona tylko wielostronniejszą i prawdziwie bogatą, a p. dyrektorowi zakładu dr. Seredyńskiemu winniśmy serdeczne podziękowanie, że ją przedłużył aż do czasu zgromadzenia Towarzystwa pedagogicznego i dał możność jego członkom skonstatowania postępu i rozwoju tej nauki praktycznej, której ważność wszyscy uznajemy.

Roman Zawilński.

SPRAWOZDANIE Z TRZECIEGO ZJAZDU LEKARZY I PRZYRODNIKÓW POLSKICH

W KRAKOWIE, DNIA 21 — 25 LIPCA 1881 ROKU.

Chęć wzajemnego zapoznania się pracowników jednej niwy, uczucie potrzeby żywej wymiany myśli, a wreszcie chluba złożenia dowodów samodzielnej pracy w obec areopagu znanych w świecie naukowym osobistości, dały początek zjazdom pracowników na polu nauki, sztuki, handlu i przemysłu. Zjazdy takie były zrazu tylko miejscowe a w kolei czasu przemieniały się na międzynarodowe.

Jednym z najdawniejszych, o ile nam wiadomo, był zjazd lekarzy i przyrodników niemieckich w Wrocławiu w 1823 r., a najświeższym międzynarodowy kongres lekarski w Londynie, otwarty 3 sierpnia r. b. W tym blisko sześćdziesięcioletnim okresie, uczeni polscy, przemysłowcy i finansisci, przyjmowali czynny udział w pracach najrozmaitszych kongresów i zjazdów, lecz dopiero przed dwunastu laty sprobowano urządzić pierwszy odrębny zjazd, lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie. Skoro zaś przełamano lody, łatwiej i bez obawy skompromitowania się, urządzono zjazd drugi we Lwowie w 1875 r., a obecnie w Krakowie trzeci, który wypadł najświetniej, bo zgromadził przeszło 500 członków i uczestników. Odbył on się z całą powagą i uroczystością i uwydatnił długi szereg poważnych prac, przedsięwziętych w imię nauki, dla dobra kraju, lub wreszcie w celu przyniesienia ulgi cierpiącym.

We czwartek dnia 21 lipca r. b., nastąpiło uroczyste otwarcie zjazdu i pierwsze publiczne posiedzenie w sali amfiteatralnej gimnazjum Nowodworskiego. Przewodniczący wydziału gospodarczego dr. Jordan, pierwszy zabrał głos, witając serdecznie słowy zgromadzenie, dziękując mu za liczny udział a wreszcie wskazując na cel i zadanie, któremi według niego ma być „złożenie dowodów pracy około zbadania przyrody ojczystej, około rozwoju bogactwa narodowego i około zabezpieczenia zdrowia publicznego.“ Mówca zakończył wezwaniem pod sztandar pracy życzeniem „szczęść Boże“ dla prac zjazdu.”

Następnie wydział gospodarczy przedstawił zgromadzeniu, aby dla uczczenia pięćdziesięcioletniej uczciwej, rzetelnej i znakomitej

w następstwa pracy d-ra Józefa Majera, zaproszono go na honorowego prezesa zjazdu, co też jednozgodnie nastąpiło, wśród hucznych oklasków.

Wówczas szanowny prezes podziękował za zaszczyt wyboru, zrobił wzmiankę o dwóch poprzednich zjazdach a w końcu drżącym od wzruszenia głosem wspomniął, iż przed sześćdziesięciu laty w téj samój sali, w tym samym punkcie, stawał jako uczeń pierwszej klasy dla odbycia popisu, a teraz widzi się zaszczyconym przez świetny zastęp mężów nauki, „czuje jednak, iż znajdzie się godniejszy, który będzie prezesem rzeczywistym i pokieruje zgromadzeniem tak, jak tego rzecz istotnie wymaga.” Uprasza zatem przewodniczącego w wydziale gospodarczym, aby w myśl ustawy uczynił propozycją co do obioru rzeczywistych prezesów zjazdu. W skutek tego wezwania, powołano na prezesów d-ra Szokalskiego z Warszawy, d-ra B. Radziszewskiego ze Lwowa i d-ra A. Rollego, z Kamieńca Podolskiego. Na ich zastępców d-ra A. Fricza z Pragi, d-ra Rydygiera z Chełmna i d-ra Niedźwieckiego ze Lwowa. Na sekretarzy wreszcie powołano panów: Widmana, Kondratowicza, Lewandowskiego, Mikolascha i Rosnera.

Potém zajęli miejsca na estradzie prezydent Krakowa Weigel i wiceprezydent Muczkowski, z których pierwszy powitał zgromadzenie w imieniu miasta, zwrócił uwagę na nowo powstałe w niém towarzystwa jak: tatrzańskie, chowu ryb, na nowe szpitale, zbudowane według najnowszych wymagań umiejętności i sztuki lekarskiej. Kończąc swą mowę, pan prezydent rzekł: „Kraków pełen szacunku i poważania dla was, Kraków was wita całym sercem i duszą.”

Z kolei dr. Szokalski zajął krzesło prezesa i w krótkich wyrazach przypomniał, czém byliśmy przed niedawnym czasem, czém jesteśmy obecnie pod względem nauk przyrodniczych i lekarskich, jakotóż czém być mamy prawo w przyszłości. Według d-ra Szokalskiego, w r. 1853, to jest zaledwie przed 28 laty, gdy wrócił z Francyi, znalazł w kraju najzupełniejszą naukową pustynię! W Warszawie byli wprawdzie znakomici lekarze praktyczni, lecz zagięła tradycja naukowa. W Krakowie było tylko dwóch olbrzymów: Dietl i Majer, którzy uratowali nas od naukowej zagłady. O uniwersytecie we Lwowie, nawet w kraju słyhać nie było. „Dziś rzeczy się zmieniły, dziś można pracować i wzięto się do pracy, która z początku była odbłaskiem tego, co się działo zagranicą. Lecz nauka to abstrakcja; na świecie mamy tylko uczonych, a tych trzeba umieć wyrobić; ci ludzie nie tworzą się sami; im trzeba podać rękę, trzeba ich ośmielić i przykładem zachęcić, trzeba wykształcić całą generacją pracowników. Otóż to wielkie dzieło, dokonało się a winniśmy je Majerowi.”

„Majer nie stworzył polskiej nauki, ale stworzył społeczność naukową polską. Majer zaorął, zasiał; plon wzrasta, przetrwa wieki, wejdzie w krew i ciało przyszłego społeczeństwa.”

„W kierunku prac narodów brakowało nas; ale dziś jesteśmy, przyszłość do nas należy, bośmy najmłodszy między powołanymi do pra-

cy. Pracujmy tedy wytrwale, nie oglądajmy się na plony; one znajdą się później — przyszłość sama się stworzy.“

Po przemowie d-ra Szokalskiego, którą przyjęto z zapałem i po-
zegnano oklaskami, zabrał głos dr. Fricz z Pragi, dziękując za zaszczyt
wybrania go wiceprezesem zjazdu, zaszczyt, który uważa jako zwróco-
ny ku narodowi czeskiemu, „który dąży do narodowego i naukowego
zbliżenia się z tak blisko pokrewnym, szlachetnym narodem polskim.“

Dr. Kondratowicz, sekretarz zjazdu podał do wiadomości, że To-
warzystwo naukowe czeskie wydelegowało na zjazd d-a A. Fricza, po-
znańskie Aug. Cieszkowskiego, d-ra Kusztelana i d-ra Świącickiego;
Akademicka czytelnia medyków w Pradze p. Hübnera; Towarzystwo
aptekarskie pp. Mussila, Kochanowskiego i Ruckera. Wreszcie odczy-
tano listy i telegramy pozdrawiające z różnych części kraju, wybrano
komisję sędziów wystawy przyrodniczo-lekarskiej, a stosownie do po-
rządku dziennego, zakończyło się pierwsze posiedzenie odczytem zna-
komitego profesora d-ra Radziszewskiego ze Lwowa: „O fosforescencji.“

Z odczytu tego podajemy treść możliwie krótką, aby nie prze-
dłużać zbytecznie całego sprawozdania a postępować tak będziemy
z wszystkimi odczytami posiedzeń ogólnych, zwłaszcza też sekcyjnych,
podając z nich to tylko, co ogół czytelników interesować może.

„Są ciała, które świecą a jednak nie ogrzewają; otóż to światło
bez ciepła dającego się zmierzyć, nazywamy fosforescencją. Bodźca-
mi, które ją wywołują, mogą być przyczyny mechaniczne jak: uderze-
nie, tarcie; fizyczne, jak elektryczność, światło a wreszcie spełniający
się akt chemicznego łączenia się ciał z sobą. Prelegent ogranicza się
tylko do fosforescencji chemicznej, a przedewszystkiem do dania wyo-
brażenia o świeceniu żywych ustrojów. Zaznacza, że zjawisko to jest
bardzo powszechném, że wszystkie ciała ustrojowe są zdolne świecić
i świecą bezwątpienia, lubo zjawisko to nie odbywa się zawsze w tych
warunkach, abyśmy je mogli obserwować. Mięso ryb morskich jak np.
Trachipterus Iris, fosforyzuje bardzo silnie; owady z rodzaju Lampy-
ris, do których należy i nasz świętojański robaczek, fosforyzują za ży-
cia; meduzy trzymają pierwszeństwo między fosforyzującymi zwierzęta-
mi morskimi, a najczęstszą przyczyną świecenia morza, jest Noctiluca
miliaris. Mięso zwierząt ssących fosforyzuje niekiedy a Pelletan, Mas-
cagni, Laurent i inni, widzieli ciała ludzkie a nawet rany u ludzi żyją-
cych, pięknie fosforyzujące ¹⁾. Pflüger, profesor fizyologii w Bonn twier-
dził, że białko żyjące jest przyczyną fosforescencji; lecz czém jest biał-
ko żyjące i czém się od martwego różni, tego nikt nie wie, nie wyłā-

¹⁾ Jeżeli stosunkowo rzadko widuje się fosforescencją mięsa zwierząt
o krwi czerwonej, to pochodzi stąd, że światło to jest zielonkawe a kolor zie-
lony jest dopełniającym do czerwonego, zjawisko więc może się odbywać a my
go nie dostrzeżemy. Popiera to fakt, że gdy do fosforyzującej zasady orga-
nicznej, lofiną zwaną, wlejemy czerwonego barwnika, światło natychmiast
gaśnie.

czając Pflügera. Uczony angielski Phipson zebrał jakąś substancją oleistą z ciał zwierząt świecących i nazwał ją *Noctilucina*, lecz jej nie analizował i warunków świecenia nie zbadał.

Dopiero w 1877 r., gdy odkryto ciała nieustrojowe a fosforyzujące w pewnych warunkach, cała sprawa weszła na inne tory. Skoro okazało się, że tlen istnieje w trzech różnych stanach: ozon, tlen zwykły czyli bierny i tlen atomistyczny, czyli czynny i że stosownie do tego w której z tych odmian działa na ciała, to wynik utlenienia różnym będzie, dowiedziono, że gdy tlen czynny działa na składniki ciała zwierzęcego w obec ciał alkalicznych, to łączące się atomy rozszczepiają się do temperatury świecenia, a wtedy zjawisko fosforescencji uderza nasze oczy.

Wniosek prelegenta jest taki, że różne napozór zjawiska jak: zwykłe gorzenie, fosforescencya ciał ustrojowych i fizyologiczne utlenianie, są w gruncie rzeczy temi samemi i tym samym ulegają odwiecznym prawom¹⁾.

Drugie posiedzenie ogólne odbyło się w sobotę 23 lipca, przy jeszcze większym zebraniu członków zjazdu i publiczności. Było ono rzecz można świątecznem, bo przeważnie poświęconem na uczczenie półwiekowych zasług lekarskich i obywatelskich, sędziwego prezesa Akademii umiejętności, d-ra Józefa Majera. Prezydował profesor Radziszewski i dr. Rydygier z Chełmna; pierwszy zagał posiedzenie krótkimi słowy a następnie prezydent Krakowa Weigel w otoczeniu radców miejskich, skreślił zasługi Jubilata, którego miasto pragnie zaliczyć w poczet honorowych obywateli za półwiekową pracę lekarza żołnierza, lekarza obywatela, gorliwego profesora, wzorowego rektora a wreszcie czcigodnego prezesa najwyższej w kraju instytucji naukowej.

Po wręczeniu dyplomu, wystąpił rektor Uniwersytetu lwowskiego dr. Stanecki i odczytał uchwałę uniwersytecką, nadającą Jubilatowi dyplom honorowy doktora Uniwersytetu lwowskiego.

Z kolei prof. Domański odczytał adres lekarzy polskich i doręczył album z podpisami kolegów rodaków, zamieszkałych w całej Europie, prof. dr. Hoyer złożył Jubilatowi dzieło *Oczki*, świeżo wydane staraniem Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, Juliusz Kossak jako prezes Koła artystycznego literackiego, odczytał adres i wręczył go w imieniu tegoż Koła; prof. Dziewulski z Warszawy, złożył tom „Pamiętnika fizyograficznego,” dedykowany Jubilatowi; prof. Znatowicz z Warszawy, doręczył album z litografiami przyrodników; p. Sulimier-

¹⁾ O godzinie 3-iej popołudniu otwarta została wystawa przyrodniczo-lekarska w Sukiennicach. Przedstawiła się dość skromnie co do prawdziwych nowości, lecz urządzoną była gustownie, pod kierunkiem d-ra Baranieckiego. Wieczorem dla uczczenia zjazdu, przedstawiono w teatrze dwa akty dramatu „Konfederaci barscy,” napisanego po francuzku przez Adama Mickiewicza, a przełożonych przez Olizarowskiego.

ski ofiarował pierwszy tom „Słownika geograficznego;” dr. Krówczynski ze Lwowa dzieło swoje „Syfilis,” przy pięknej przemowie w imieniu zastępy lekarzy wykształconych przez Majera; prof. Radziszewski odczytał adres prawników warszawskich a wreszcie dr. Szlachetowski, złożył adres imieniem Towarzystwa muzycznego krakowskiego. Na każdą z przemów odpowiadał Jubilat oddzielnie, treściwie a pięknie. Skoro zaś składanie darów i czytanie adresów się skończyło wypowiedział dłuższą mowę, pełną skromności, bo czuł się, jak twierdził, upokorzonym oznakami życzliwości. „Tém pokorniejszy stoję przed wami, im mocniej przekonany jestem, że w czynie waszym tkwi myśl rozciąglejsza, że korzystając z chwili, dla mnie skromnego pracownika na ojczystej niwie, tyle uroczystej, pragnęliście panowie podnieść znaczenie ducha pracy narodowej, a wybierając jednostkę, zagrozić innym do czynu.” Następnie odczytano pozdrawiające telegramy od różnych uczonych czeskich, polskich i od stowarzyszeń naukowych. Wreszcie dr. Henryk Dobrzycki miał odczyt „O zasadach badania przyczyn chorób w ogólności.”

Ideałem dążeń jakie wiedza lekarska ma przed sobą, jest zbadanie przyczyn chorób, a dotykalmym tego dowodem jest powstanie nowój nauki, zwanój medycyną społeczną. Zadaniem jój, dążyć wszelkimi drogami do zbadania i usunięcia tego, co zdrowiu społeczeństw zagraża. „Do wytworzenia tego nowego kierunku przyczyniła się statystyka i anatomia patologiczna; pierwsza dowiodła nieubłaganie, iż pomimo niezaprzeczonego postępu medycyny, liczebne stosunki śmiertelności dotąd nie uległy wyraźnemu ograniczeniu; druga stwierdza, że ile razy rozległość i natężenie sprawy chorobnej przekracza te granice, poza któremi ustrój traci już możność wyrównania jój skutków, tyle razy wszelkie usiłowania lecznicze są bezowocne.”

Skoro chcemy odkryć źródło choroby, wiadomości nasze są niepewne, na nazwę wiedzy nie zasługujące. Pochodzi to ztąd, że nauki lekarskie były uprawiane od końca; badały skutki, nie zajmując się przyczynami. A jednak inaczej być nie mogło. Badano to, co było dostępnejsze, tymczasem pomijano to, co niełatwem było do pochwycenia, czego dotąd jeszcze może się i nie domyślamy.

Warunki zdrowia, zależne od własności ziemi i otaczającój ją atmosfery, są dla badania przystępne; lecz warunki spoczywające w różnych postaciach społecznego bytu, jakie cywilizacya w daném miejscu i w danym czasie wytwarza, są nadzwyczaj trudne do powiązania i ujęcia.

Wprawdzie nowa nauka medycyny publicznej a mianowicie jój dział, który geografją lekarską nazwać można, pracuje gorliwie, lecz korzyści z niej okazują się małe i wątpliwe, a to jak twierdzi dr. Dobrzycki, z braku wspólnie obmyślanego planu postępowania, z braku umiejętnie urządzonego podziału pracy. Przestrzeń i zaludnienie powinny być przedewszystkiē w tym podziale uwzględnione. Instytucjami mogącemi wielkie oddać przysługi w rozwiązaniu kwestyi są

szpitale, których znaczenie naukowe trzeba rozszerzyć i w odpowiednie środki zaopatrzyć. Dr. Dobrzycki nie przecenia zbyt znacznie wartości szpitali, owszem uważa je za zło konieczne; lecz zwraca uwagę, że szpitale są i na długo jeszcze pozostaną jedynymi instytucjami zapewniającymi możność prawidłowego leczenia większej części zaludnienia. „Szpitale są pewnymi obserwatoriami lekarskimi, gromadzącymi materiał spostrzegawczy na powierzchni kraju rozrzucony, który to materiał w nich zebrany i do danej miejscowości i czasu odniesiony, jako wyraz sanitarnego stanu mieszkańców służyć może i że ostatecznie tak przestrzeń jak i zaludnienie przy podobnych warunkach rozpada się samo przez się na pewną liczbę centrów i okręgów, pewien układ sanitarny stanowiących.”

Taka praca może doprowadzić do pożądanego celu nie tylko w normalnych czasach ale i wtedy, gdy u wrót siół i miast staje na czele epidemii lub epizooty straszny Hanibal, z ironicznym uśmiechem spoglądający na usiłowania rządów wysyłających komisye dla zwalczania wroga.

Prelegent kończy odczyt skreśleniem programu, który choć w części winien być opracowany na przyszyły IV zjazd. Nie tai przytęm, iż liczne trudności nasuwać się tu będą. Zaznacza, że skutki pracy może dopiero uwidocznią się w odległej przyszłości; lecz wiedza nie powinna się kępować żadnemi względami, owszem śmiało wypowiadać swe dążenia. „Ona jedna jest tylko bezwzględnie wolna i nie zna ani granic geograficznych ani politycznych względów, ani się lęka brutalnej siły, a chociaż jej ożywcze promienie nieraz dużo ciepła zużyć muszą, zanim usuną lody ciemnoty, jednak uczą dzieje, prędzej czy później zamierzonego celu dopiąć ona potrafi.”

Odczyt d-ra Dobrzyckiego jako dotyczący kwestyi kardynalnej a dla społeczeństwa nadzwyczaj ważnej, zwrócił na siebie powszechną uwagę; to też na wniosek d-ra Szokalskiego, postanowiono wybrać komisją celem zajęcia się tym przedmiotem. Na następném przeto posiedzeniu ogólném, wydział gospodarczy przedłożył następujące grono komisyjne: d-rów Baranowskiego, Biesiadeckiego, Czyżewicza, Dobrzyckiego, Klinka, Lewandowskiego, Lutostańskiego, Markiewicza, Natanson, Obalińskiego, Pareńskiego, Powiednickiego, Stellę Sawickiego, Serkowskiego i Święcickiego.

W sobotę wieczorem w rzęsiście oświetlonym ogrodzie strzeleckim, dano ucztę na cześć Jubilata. Przyjęło w niej udział 340 osób płci obojga; bawiono się wybornie, czego dowodem przedłużenie zabawy do godziny drugiej po północy. Toastów i mów było bez liku; pierwszy wzniesiony był przez gospodarza zjazdu d-ra Jordana, na cześć cesarza Franciszka Józefa, a następnie dr. Szokalski na cześć Jubilata, dr. Majer na cześć członków zjazdu, szereg zaś toastów zakończył prof. Oetinger staropolskiem „kochajmy się” w formie zręcznego krakowiaka.

Dzień niedzielny przeznaczonym był na zwiedzanie osobliwości

miasta przed południem, a na wycieczkę wspólną do Tenczyńska, po południu.

Zwiedzano więc zbiory Akademii umiejętności, muzeum Czartoryskich, skarbiec i groby na Wawelu, muzeum Baranieckiego i t. d. a wszędzie delegowani kustosze udzielali objaśnień, zwracali uwagę na ważniejsze okazy, zabytki i t. p.

O wycieczce do Tenczyńska tyle już pisano w codziennych wydawnictwach, że my ze względu iż miała ona tylko charakter zabawy, nadmieniamy, że odbyła się wspaniale z udziałem całej kapeli pułkowej, że komitet gospodarczy obfitym podwieczorkiem wśród lasu uraczył swoich gości a przy blasku sobótek ukończono tańce, że porządek był wszędzie wzorowy, a już zbyteczną zdaje się rzeczą dodawać, iż ogólny nastrój był wyborny.

Trzecie posiedzenie publiczne a zarazem i zamknięcie zjazdu, odbyło się w poniedziałek 25 lipca o godzinie piątej popołudniu, pod przewodnictwem prof. Niedźwiedzkiego, w zastępstwie chorego d-ra Roliego. Po krótkim zagajeniu posiedzenia i odczytaniu nowonadeszłych telegramów, z Czech, Bukowiny i Galicyi, przystąpiono do wyboru miejsca przyszłego zjazdu, którem ma być Warszawa w r. 1884, jeżeli nadejdzie odpowiednie zezwolenie p. ministra spraw wewnętrznych; w razie przeciwnym zjazd odbędzie się w Poznaniu, dokąd zapraszają członkowie obecnego zjazdu przybyli z W. K. Poznańskiego. Następnie odczytano sprawozdanie komisji do przyznania nagród, za przedmioty na wystawie przyrodniczo-lekarskiej. Ogólna liczba nagród wynosi 71, w czém 11 dyplomów uznania, 12 medali srebrnych, 19 brązowych, 20 listów pochwalnych, 4 medale Tow. roln. krak., 3 rządowe i dwie nagrody pieniężne. Do czego dodawszy dziesięciu wystawców nieubiegających się o nagrody, wypadnie że prawie połowa wystawców otrzymała odznaczenia.

Bliższą wzmiankę o wystawie i liście nagród podamy w osobnym artykule.

Po odczytaniu listy nagród, miał odczyt prof. Rostafiński „O wpływie zewnętrznych czynników na postać.” Na wstępie określił wymowny prelegent, że postać jest to stan skupienia jednogatunkowych części, które w pewnych warunkach zajmują zawsze podobną przestrzeń. Skład ciał martwych zależy od różnej jakości, ilości, lub nawet od różnego ugrupowania drobin, a postać tychże ciał zależy od ilości drobin w skład części fizycznej wchodzących i od różnego ugrupowania tychże części. Gdy w pewnym połączeniu chemicznym, mającém właściwą sobie postać, pewną ilość jednego ciała będziemy kolejno zastępować odpowiedniami ilościami drobin innego, to otrzymamy szeregi ciał, które składem nie wiele będą się różnić, a których postaci będą bardzo do siebie podobne. Sposzczerzenie to dokonane przed niewielu laty przez Groth'a i zwane morfotropią, jest doniosłego znaczenia, bo wskazuje, że postać ciał martwych jest zależna od złożenia cząsteczko-

wego a małe w niém zmiany, sprowadzają niewielkie zmiany w samej postaci.

Co do ciał ożywionych, to tylko niejaki podobieństwo w tym względzie dopatrzyć możemy.

Jak cząstka kryształu soli odbudowywa się w pewnych warunkach na kryształ soli, tak niektóre cząstki dębu lub koralu umieszczone w odpowiednich warunkach wydają dąb, koral. Tak dobrze sosna odbudowywa ulamany wierzchołek, jaszczurka utracony ogon, rak urwany kleszcz, jak kryształ zesklepia odbity swój róg. Co zaś najważniejsza, pierwiastki lub związki chemiczne łącząc się z sobą, dają nowe ciała z właściwą im postacią a taksamo się dzieje z substancjami żywych istot; bo np. koń z oslicą wydają muła. Można więc przypuścić, że postać ciał ożywionych jest także zależną od układu cząstek właściwej ich ciałom substancyi. Potém przeszedł prelegent do objaśnienia na zwykle w botanikach przytaczanych przykładach wpływu siły ciężkości na korzeń i łodygę roślin, działania światła na rośliny hodowane w ciemności i t. p.

Każdy osobnik żyjącej istoty ulega wpływom zewnętrznym, a gdy te wpływy będą stałe, to muszą stałe wywołać zmiany w postaci, tak, że ta wzięta z odległych epok, może się o wiele różnić między sobą w składzie gatunkowej substancyi i w samymże wyglądzie istoty. Słowem, zewnętrzne wpływy zmieniając cząsteczkowe złożenie, pociągają za sobą i zmiany postaci.

Prawo to stosuje się i do społeczeństw, które pod wpływem niepożądanych zewnętrznych czynników, tracą pierwotną właściwą im postać, lecz tém się różnią od zwierząt i roślin, że mogą starać się o usunięcie z pod wpływu czynników szkodliwych i zdążać do pozyskania tej postaci, jaka jest ich ideałem.

Po odczycie d-ra Rostańskiego, przystąpiono do zamknięcia zjazdu. Najprzód wiceprezes dr. Fricz skreślił obraz usiłowań Czechów na polu nauk przyrodniczych. Usiłowania te w dwóch dążą kierunkach. Wychowanie nauczycieli dla szkół średnich metodą poglądową, szeroko stosowaną, w myśl znakomitego fizyologa Purkynie oraz odczyty i publikacye dla ludu, jakoteż zakładanie zbiorów opatrzonych objaśniającemi napisami. „W tym względzie idziemy za wzorem Amosa Komeńskiego i uczymy się wiele u Anglików, którzy są prawdziwymi mistrzami w zakładaniu zbiorów naukowych i w wykładach dla szerszego koła publiczności.” Drugi kierunek objawia się w dążeniu za postępem nauki, w samodzielnych badaniach i doświadczeniach. Przyrzeczony przez cesarza uniwersytet czeski, za usilnem staraniem braci Polaków, nie mało się przyczyni do rozwinięcia tego drugiego kierunku.” W końcu mówca dziękuje za serdeczne przyjęcie czeskiej delegacji i wyraża nadzieję, że wielu z obecnych członków, przybędzie w roku przyszłym na zjazd lekarzy czeskich do Pragi.

Następnie prof. dr. Brodowski serdecznemi słowy dziękował za przyjęcie, zwrócił uwagę na naukową czynność zjazdu, która wrzała pełnią życia. Zaznaczył, że wiele cennych komunikatów spadło z porządku dziennego poprostu dla braku czasu, a zakończył przemówienie słowy: „do widzenia,” jak można najrychlejszego i oby to widzenie nastąpić mogło w Warszawie.

Ostatni głos należał do przewodniczącego w wydziale gospodarczym. To też dr. Jordan w wzruszającej przemowie, pożegnał członków oświadczeniem radości i żalu. Pierwsze z tych uczuć wynika z przekonania, żeśmy w nauce nie zostali za innymi, że owszem okazaliśmy się na czele w niejednej naukowej kwestyi i w niejednym pomyśle. Drugie uczucie budzi w mówcy myśl, iż za chwilę członkowie zjazdu rozprysną się po świecie a niektórzy z nich tylko w najbliższém kole wspominać będą mogli, iż brali udział w tym zjeździe.

Wezwaniem do wytrwałej pracy pożegnał dr. Jordan zgromadzenie. „Pracujmy każdy w swoim zakresie i w swoim zawodzie a do czekać się musimy uznania, iż jesteście rzeczywiście dodatnim i potrzebnym członkiem w rodzinie ludów europejskich.“

Jako pamiątkę III zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, wydział gospodarczy ofiarował wszystkim członkom gustownie opracowane zbiory i Zakłady przyrodnicze i lekarskie Krakowa,” opracowane zbiorowemi siłami, pod redakcją prof. Rostańskiego, a nadto wydawał „Dziennik III zjazdu, obejmujący wszelkie wiadomości, odnoszące się do zjazdu, protokoły posiedzeń ogólnych i sekcyjnych i treści wykładów, o ile takowej prelegenci dostarczyli. Redakcją dziennika objął p. Kazimierz Grabowski z panami Kopffem i Wasylewskim. Upominek zjazdu, zawierający historyczne zarysy p. Karola Estreichera i J. Szujskiego, a opisy pracowni, gabinetów, muzeów i szpitali, podane piórem specjalistów takich, jak: Korczyński, Łepkowski, będzie zapewne przedmiotem oddzielnego artykułu, to też ograniczymy się na tej krótkiej o nim wzmiance ¹⁾.

Według propozycji wydziału gospodarczego, przyjęto następujący podział na sekcye:

I. Nauki przyrodnicze: 1) Sekcja matematyczno-fizyczna; 2) Sekcja chemiczno-farmaceutyczna; 3) Sekcja mineralogiczno-geologiczna; 4) Sekcja botaniczno-zoologiczna; 5) Sekcja przyrodniczo-gospodarcza.

II. Medycyna: 1) Sekcja medycyny teoretycznej; 2) Sekcja

¹⁾ Co się tyczy dziennika zjazdu, którego wyszło 6 numerów, zaznaczamy, że o ile dział informacyjny i sprawozdania z posiedzeń ogólnych, były w nim podawane wystarczająco, o tyle sprawozdania sekcyjne przedstawiane zostały niedołężnie, błędnie, a często nawet bez sensu. Wina w tym pp. sekretarzy sekcji, a w części pp. wykładających, którzy rzadko bardzo dawali stosowne notatki.

medycyny wewnętrznej; 3) Sekcja medycyny zewnętrznej; 4) Sekcja medycyny publicznej.

Posiedzenia te odbywały się codziennie, w oddzielnych salach wykładowych uniwersytetu i salach klinicznych. Zgromadzały zawsze znaczną liczbę członków i ożywiały się nieraz gorącą dysputą.

Z wykładów sekcyjnych uczynimy pobieżne tylko wzmianki, a to ze względu na przeważnie specjalny ich charakter.

1. W sekcji matematyczno-fizycznej prof. J. Ochorowicz przedstawił przyrząd mikro-telefoniczny własnego pomysłu i objaśnił jego budowę. Przyrząd ten głosu nie wzmacnia, ale przenosi najcichszą rozmowę na znaczną odległość, bez zmiany siły głosu i jego dźwięczności. Dyrektor instytutu techniczno-przemysłowego, S. Ziemiński, objaśnił nowy swój przyrząd, ostrzegający o wszczynającym się pożarze. Przyrząd sam, jako też i dawniejsze, swego pomysłu, umieścić wynalazca na wystawie przyrodo-lekarskiej w Sukiennicach.

Profesor Kuczyński okazał przyrząd własnego pomysłu, wyjaśniający różną barwę głosu. W połączonych sekcjach fizycznej i chemicznej, mieli wykłady: prof. Dziewulski „O zagęszczeniach optycznych mieszanin wody i alkoholu.” Dr. Augustyn z Pragi „O związku płam słonecznych z temperaturą;” p. Konitz z Warszawy „O wynikach obserwacji nad widmami pochłonięcia benzolu i czterech jego homologów;” a na koniec prof. Boguski „O wpływie temperatury na szybkość reakcji chemicznej.”

P. Milatycki okazywał nowy sposób eksperymentowania zjawisk światła.

2. Na posiedzeniach sekcji chemiczno-farmaceutycznej ważniejszymi przedmiotami rozpraw były: „O budowie łożyska, ciała fosforyzującego, a będącego jedną z licznych zasad organicznych, które otrzymują się drogą sztuczną.”

Prof. Freund streścił swe badania nad fermentacją gliceryny, pod wpływem zepsutych drożdży, a mianowicie zwrócił uwagę, że obok alkoholu butylowego normalnego, który wtedy powstaje (badanie Fitza ze Sztrasburga) tworzy się też glykol propylenowy. Prof. Hoff przedstawił produkta otrzymane przez niego z ziemi borowinowej, a mianowicie spirytus, kwas mrówkowy i cukier; objaśnił metody ich otrzymywania i dowodził, że borowina stanie się kiedyś źródłem krajowego bogactwa, jako cenny materiał do wyrobu wspomnianych ciał.

P. Lachowicz przedstawił swą pracę nad składnikami nafty galicyjskiej, a prof. Olszewski „Przyczynek do oznaczenia twardości wody za pomocą rozczyngu mydła.” Prof. Stopczański przedstawił stojący dyalizator własnego pomysłu i objaśnił jego wyższość nad innymi. Dyalizator zwrócił na się ogólną uwagę obecnych chemików i farmaceutów.

Na jednym z posiedzeń zajmowano się słownictwem chemicznym i uradzono sprawę tę oddać Akademii umiejętności do rozwiązania.

Pomijamy kilka innych spocyalnych prac, lecz musimy zatrzymać się nad dalszemi poszukiwaniami prof. Radziszewskiego, nad fosforescencją istot organicznych. Wiemy już z treści odczytu na pierwszém posiedzeniu publiczném, że fosforescencya jest, skutkiem nadzwyczaj powolnego działania tlenu czynnego na substancye organiczne w roztczynach alkalicznych, z sekyjnego wykładu dowiadujemy się niektórych szczegółów potwierdzających tę teorię. Tłuszcz, wydobyty z *Pelagiala noctiluca*, wstrząsany z wodanem sody, świeci tak samo jak zwierzę. Że przy fosforyzowaniu zwierząt zachodzi reakcya alkaliczna, o tém można się przekonać za pomocą zwyczajnego lakmusowego papierka, lecz czém jest to alkali, dotąd niewiadomo. Prof. Radziszewski twierdzi, iż udało mu się wykazać, że w zwierzęciu fosforyzującym, istnieje czynnik działający na podobieństwo czynnego tlenu. Wreszcie p. Radziszewski wykazał, że między fosforescencją a gorzeniem fizyologiczném zachodzi zupełna analogia. Bowiem według Neuckiego, Jacobsena i innych, gdy zwierzę spożyje benzol, to ten po przejściu przez organizm jest fenolem, gdy przyjmie cymol, to wydziela kwas kuminowy, a ściśte obserwacye prof. Radziszewskiego wykazały, iż przy fosforescencji w roztczynach alkalicznych, benzol i fenol zupełnie tym samym ulegają zmianom, jak przy fizyologiczném utlenianiu.

3. Przedmiotami wykładów i rozpraw na posiedzeniach sekcji mineralogiczno-geologicznej były: „Osuszenie kopaliń olkuskich” (p. W. Kosiński); „Ślady epoki lodowej w północnej i środkowej Europie” (p. J. Siemiradzki); „Fauna formacji permskiej w Czechach” (prof. Fricz); „O zastosowaniu gutaperki do otrzymania dokładnych podobizn organizmów kopalnych” (p. Bieniasz); „O wosku i oleju ziemnym w Galicyi” (dr. Kreutz z własnych badań); „O faunie dyluwialnej jaskiń okolic Krakowa” (p. G. Ossowski); „O mączce krzemienistej z pod Czernichowa” (dr. B. Hoff); „O budowie geologicznej formacji solonośnej w Wieliczce” (p. Niedźwiecki); „O zastosowaniu badań geologicznych do prac przedsięwziętych w dziedzinie archeologii” (p. Ossowski).

Po zamknięciu posiedzeń, członkowie tej sekcji w dniu 26 lipca, odbyli naukową wycieczkę do jaskiń w Muikowie, gdzie p. Ossowski, badacz tych jaskiń, wyjaśniał różne kwestye, a prof. Alth odnajdywał w dolinie Czutońskiej, w wapieniu jurajskim liczne skamieniałości i rozdawał je uczestnikom wycieczki.

4. Na posiedzeniu sekcji botaniczno-zoologicznej, mieli odczyty: prof. Rostafiński „O budowie komórek niższych nowotworów;” prof. Janczewski „O homologii naczyń i rurek sitkowych;” prof. Godlewski „O oddychaniu roślin;” przyczém prelegent podał nową metodę oznaczania stosunku między ilością pochłoniętego tlenu, a ilością wydzielonego kwasu węglanego. Pracę tę autor złożył niedawno Akademii umiejętności.

Ks. dr. Grzegorzek przedstawił sprawozdanie z prac swoich

w dziedzinie dipterologii krajowej, które uzupełnił prof. Słosarski podaniem wiadomości o nowych gatunkach much, zebranych i opisanych przez dr. Sznabla z Warszawy. Dr. Nowakowski streścił swą pracę nad grupą grzybów, owadomorkami zwanych, a bardzo blizkich pleśni. Dr. Kamiński podał treść swjej pracy „O narzędziach odżywczych Korzeniówki” (Monotropa), wyrastającej na korzeniach sosen, jodek, świerków i uważanej za pasożyta. Mniemanie to, według badań d-ra Kamińskiego, jest błędne.

Na ostatniem posiedzeniu dr. Fricz mówił „O strunie grzbietowej w najdawniejszych organizmach zwierzęcych;” p. Sztolcman „O geograficznem rozinieszczeniu niektórych ptaków peruwiańskich;” p. Jelski „O poduszeczkach puchowych u czapli i o zabarwieniu jaj ptasich.”

5. Przedmioty odczytów sekcji przyrodniczo-gospodarczej, jako przystępniejsze a ogół interesujące, podajemy nieco obszerniej.

„O szkodliwych grzybach lasów galicyjskich” odczytał prof. Ty-niecki. Dowodził szkodliwości pozostawiania pieńków brzozowych, wśród młodych sosen, bo na pieńkach łatwo wyrasta grzyb *Agaricus melleus*, który następnie przenosi się na sosny i niszczy takowe.

Prof. Kudelka miał wykład „O produkcji nasienia buraczanego” i dowodził, że przy gęstym sadzeniu nasienników, otrzymuje się nasienie na buraki wysoko procentowe w cukier, ale mniejsze, a więc z mniejszą absolutną wydajnością cukru z morga. Przy normalnem zaś sadzeniu nasienników, otrzymują się buraki mniej bogate w cukier, ale z ilości ich więcej się cukru otrzymuje z morga. A przeto nasienie buraków wysokoprocentowych w cukier, nadaje się do Niemiec, bo tam płaci się podatek od wagi buraków, nasienie zaś buraków w cukier uboższych nadaje się w Rosyi, w której podatek płaci się od wagi cukru. W ożywionej nad tym przedmiotem dyskusyi, zabierali głos: hr. Wodzicki, pp. Dąbrowski, Kahane i Langie.

Prof. Au miał odczyt „O nadużyciu nauk przyrodniczych w rolnictwie.” W odczycie tym zwracał uwagę na niewłaściwy pośpiech, z jakim niekiedy gospodarze stosują do praktyki naukowe hipotezy dyletantów przyrodników, do których zalicza szkołę niemieckich rolników. Dr. Au zwraca uwagę na zaniedbanie przez naszych rolników nauki ekonomii i administracji gospodarczej. Po odczycie zabierali głos pp. Langie, Kahane, Kuczyński, Rzątkowski. P. Langie odczytał projekt ustawy galicyjskiej, dla podniesienia hodowli bydła, której potrzebę wywołuje spodziewane zamknięcie granicy dla bydła z Rosyji.

Na wniosek p. Dąbrowskiego zgodzono się, aby nazwę sekcji, na przyszłych zjazdach, zmienić na sekcję dla gospodarstwa wiejskiego i przemysłu rolniczego, a nadto uwzględnić w niej prace, odnoszące się do leśnictwa, ogrodnictwa, rybołówstwa. Uchwałę tę podano prezydium zjazdu.

Przejdźmy teraz do pobieżnego przeglądu posiedzeń lekarskich,

z których wyróżnimy dla naszych czytelników sekcją medycyny publicznej i podamy nieco obszerniejsze z niej sprawozdanie.

6. Posiedzenia sekcji medycyny teoretycznej i wewnętrznej odbywały się razem, za wspólnym porozumieniem się członków. Pierwszym prezesem połączonych sekcji był prof. dr. Hoyer, a pierwszy odczyt miał dr. Adamkiewicz „O peptonach,” przez które dawniej rozumiano produkty trawienia białka, tymczasem okazało się, że peptony są ciałami wielce zbliżonemi do białka, łatwiej niż ono dostają się do krwi i w niektórych razach mogą być polecane tam, gdzie białko zadawanem być nie może.

Inne odczyty były d-ra Widmana „O zwięźeniu tętnicy płucnej;” d-ra Maiznera z Pragi „O peptonach w moczu, przy raku żołądka,” d-ra Janovsky’ego „O gorączce w późnych okresach kiły;” d-ra Rosnera „O kile w płucach,” który to przedmiot wywołał długą rozprawę; d-rów Baranowskiego, Cholewińskiego, Dunina Biesiadeckiego, Malcza, Fabiana i innych. Dr. Mayzel z Warszawy miał odczyt, objaśniany rysunkami i demonstrowany preparatami „O dzieleniu się jąder w komórkach.” Za odczyt ten dr. Kadyi wynurzył prelegentowi szczególną wdzięczność kolegów. Dr. Kowalski wykladał „O działaniu i skutkach apomorfiny w zapaleniu płuc.” Na podstawie 35 obserwacji dr. Kowalski uważa wodochloran apomorfiny za jeden z najdzielniejszych środków wykrztuśnych. Dr. J. Kramsztyk odczytał referat „O odżywczych własnościach peptonów.” Dr. Wolański, z gubernii Pottawskiej, wzywa lekarzy o praktyczne wskazówki w leczeniu dyfteryzmu, lecz niestety, prawie ich nie otrzymuje, bo medycyna nie zna dotąd istoty różnych form dyftery, a więc i o leczeniu ich rozprawiać jest przedwczesnie. Prof. Browicz wykladał „O zmianach przybłonka w kłębkach Malpighi’ego,” przedmiot mało znany w kwestyi patologii nerek. Dr. Domański czytał przyczynek do nauki „O kile mózgu.”

7. Co do przedmiotów posiedzeń sekcji medycyny zewnętrznej, ograniczymy się na prostym ich wyliczeniu: „O działaniu mieszaniny gazów tlenu azotu i tlenu na organizm przy inhalacji” (dr. Kobyliński); „O zszywaniu przeciętych nerwów,” studia krytyczno-doświadczalne (dr. Wolberg); „Doświadczenia Bonneta w obec dzisiejszego stanu arthropatologii” (dr. Zaleski); „O kamieniach cewki moczowej” (dr. Michl z Pragi); „O wycinaniu części jelita z następnym zszywaniem obu odcinków” (dr. Rydygier z Chełmna). „Czy naciąganie nerwów nie pociąga następstw szkodliwych” (dr. Wolberg).

8. Posiedzenia sekcji medycyny publicznej zgromadzały znaczną stosunkowo liczbę członków, bo do 40-tu i odrazu zapowiedziano na nich 20 wykładów. Dr. Markiewicz odczytał swą pracę „O miejskich mleczarniach leczniczych, oraz o sposobie badania mleka.” Wynikiem pracy dr. Markiewicza jest, że karmienie mlekiem leczniczym, prowadzone roztropnie, wydaje doskonałe wypadki, a więc, gdy matka kar-

micielką być nie może, powinno być przed innemi sposobami zalecaném.

Dr. T. Żuliński streszczał obszerniejszą swą pracę „O wpływie dymu tytoniowego na ustrój ludzki i zwierzęcy.” Pracę swą oparł dr. Żuliński na 12-to letnich spostrzeżeniach i 6-cio letnich doświadczeniach. Prelegent twierdzi, że wpływ palenia tytoniu pod wszelką formą wydaje zawsze następstwa zgubne dla palącego, chociaż niekiedy występują one nieprędko. Katary krtani, gardzieli, oskrzeli, rozedma płuc, katary żołądka i kiszek, wady serca, zanik nerwu wzrokowego, schnięcie rdzenia kręgowego, padaczka, a wreszcie objawy obłąkania, oto są miłe obrazy dla nałogowych palaczy. Dr. Żuliński wie dobrze, jak od nałogu uleczyć się trudno, to też kładzie szczególny nacisk nie na tę kwestyą, ale na wpływanie, iżby pokolenie następne nie ulegało skutkom rośliny, wyrostój, według legendy wschodniej, z jadu węża i krwi Mahometa, które ten, zostawszy ukąszonym, wysał z rany i wypuł na ziemię. Allah wtedy stworzył roślinę, łączącą w sobie gorycz trucizny z łagodnością krwi proroka.

Dr. Obtutowicz, z Turki, miał odczyt „O ropniu wątroby, powstałym bezpośrednio skutkiem pobicia.” Jest to przyczynek do literatury sądowo-lekarskiej, która nie zna podobnego wypadku.

Dr. Glück, z Czerniowic, odczytał ważną, a mało znaną dzisiajszym lekarzom, rozprawę Petrycego z końca XVI wieku „O kile.”

Dr. Lutostański okazał i objaśniał sporządzoną przez się mapę śmiertelności miasta Krakowa.

Dr. Markiewicz odczytał obszerną rozprawę „O karmieniu niemowląt mlekiem krowiem.”

Zajmującą była rozprawa d-ra Rollego „O przebiegu błonnicy epidemicznej (Diphtheritis) na Podolu w ostatnich latach. Błonnica zapanaowała na całym Podniestrzu, w sierpniu 1877 r., chociaż na dwa lata wcześniej już się pojawiła. Od wybuchu zarazy do czerwca r. b. liczą na Podolu 56,283 wypadki dyfterytu, z których 16,091 było śmiertelnych. Powiaty stepowe są głównie nawiedzane przez epidemią, gdy błotniste lub leśne nie mają jej wcale lub bardzo słabą. Maximum natężenia epidemii przypada na październik i listopad, minimum na kwiecień i maj. Najwięcej chorych (30%) było w wieku pół roku do 5 lat i największa między nimi śmiertelność bo 80%! Poza 25 laty wieku śmiertelne zająścia stanowiły wyjątek. Zapobieganie polegało głównie na usiłowaniach polepszenia warunków ekonomicznych, a leczenie na stosowaniu wewnątrz chininy, wina, wódki, a zewnątrz przestrzykiwanie wodą wapienną, pędzlowanie kwasem karbolowym, rozpuszczonym w glicerynie i spirytusie. Dr. Rolle radzi zupełne izolowanie domów zarazą dotkniętych, dezynfekcyą o tyle, o ile ta przy czynia się do uporządkowania mieszkań, w leczeniu sprzeciwia się używaniu środków przyzeglających, a wreszcie żądza rozpowszechnienia między oświeceniemi zasad higieny.

Prelegenta obsypano oklaskami, a dr. Biesiadecki, Noniewicz,

Warschauer, Markiewicz, Brodzewski i inni, wiedli ożywioną dyskusyą w tój materyi.

Dr. Wiktor miał odczyt „O wartości szczepienia ospy, którą uznaje, lubo z zastrzeżeniem, aby zakłady krowiankowe mogły być liczniejszymi i czynniejszymi, bo jak dziś, często wraz z ospą można zaszczerpić syfilis, zotzy lub gruźlicę.

W połączonych sekcjach lekarskich, przy bardzo liczném audytoryum, miał wykład prof. Ochorowicz „O magnetyzmie zwierzęcym. Według dzisiejszego stanu rzeczy p. Ochorowicz wyróżnia hypnotyzm od magnetyzmu zwierzęcego, a to głównie ze względu, że tylko w śnie magnetycznym jest zależność pacyenta, jedynie od osoby magnetyzera i możność obudzenia tylko przez niego. Zdanie to stwierdza doświadczeniem na p. Barańskim, słuchaczu politechniki lwowskiej, a wszelkie kontopróby, przedsiębrane przez niektórych z obecnych lekarzy, okazuja się zawodnemi. Następnie p. Ochorowicz wykazuje związek między magnetyzmem zwierzęcym a mineralnym, lubo związku tego pochwycić i w pewną formę ująć, niepodobna. Wykonywa z p. Barańskim szereg doświadczeń, jak tężeć palca, ręki, niemożność myślenia, utratę mowy, woli, halucynacje zmysłów. Każde, z czynionych doświadczeń, p. Ochorowicz objaśnia i teoretycznie tłómaczy, o ile może na podstawie dotychczasowych swych prac. Nader zajmujący wykład zakończył p. Ochorowicz zwrotem do obecnego, na posiedzeniu dr. Szokalskiego, którego dzieło „O śnie i marzeniach,“ wydane w roku 1866, było pobudką dla prelegenta do samodzielnych poszukiwań nad magnetyzmem zwierzęcym. „Wdzięczny mu jestem, że mię nauczył usypiać, ale większa należy mu się wdzięczność za to, że zawsze nas młodych budził do pracy i nauki.“

Z tego krótkiego i niezupełnego przeglądu prac sekcyjnych przyrodników i lekarzy, łatwo zauważyć, że naukowa część programu zjazdu, była wypełnioną, a zwracamy na to uwagę dlatego, iż z gazet codziennych i pism tygodniowych, nie specjalnych, czytelnicy dowiadawali się głównie, jak się bawiono, a nie donoszono im wcale lub bardzo mało, jak pracowano. Nie chcemy wcale obwiniać o to odnośnych redakcyi, bo sposób traktowania przez nie spraw zjazdu, był zupełnie właściwym; jeżeli kto tu zawinił, to chyba niektórzy sprawozdawcy, chwytający tylko rzeczy pojętne, przedmioty barwne i do opisów przydatne, lecz o dobrych sprawozdawców nie łatwo, a przynajemy, że warszawscy robili co mogli.

Na zakończenie pragniemy zwrócić uwagę czytelników, że gdyby tylko jedna myśl, podniesiona przez d-ra Dobrzyckiego, znalazła w przyszłości należyte rozwiązanie, już tём samém tegoroczny zjazd lekarzy polskich byłby epoką w naszej medycynie; lecz, aby o tём coś wyrzec, musimy poczekać na zjazd czwarty w Warszawie za lat dwa, lub w Poznaniu za lat trzy.

Podążyli synowie jednéj nauki do grodu Krakusa, aby się osobiście poznać, aby wzajemnie wykazać się swą wiedzą, sztuką i doświad-

czeniu; zbliżyli się odlegli a myślą bliscy miłośnicy przyrody i kojący fizyczne cierpienia ludzkości. W podwawelskim grodzie poczuli się wszyscy jak u siebie, to chwała dla Krakowa; pokochali się po bratersku, to dowód, że realne nauki nie wystudzają serc; zapowiedzieli zjazd czwarty, to wynik wiary w przyszłość i rozjechali się do domów, unosząc wspomnienia szczytne dla rozumu a rzewne dla serca!

Ze względu na zjazd czwarty, nie możemy godnie zakończyć naszego sprawozdania, jak przytoczeniem końcowych wierszy powitalnych, napisanych przez Anczyca, z okoliczności tegorocznego zjazdu:

A więc szczęść Bożo, a jako kto może,
Niech ciężkim trudem, wspólnymi siłami,
Ku powszechnemu dobru dopomoże:
Bóg z wami!

B. P.

PÍSMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Wykład prawa administracyjnego oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiem. Napisał Pr. dr. Antoni Okolski. Warszawa, 1880. Staraniem i nakładem Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych. Tom I, str. 476.

Względem żadnej gałęzi nauk społecznych nie jesteśmy tak obojętni, jak względem Prawa Zarządu krajowego i jego teorii. Przyczyna tego zjawiska leży w tej okoliczności, że prawo administracyjne budzi większy interes w krajach z wyrobionym od wielu wieków administracyjnym samorządem, gdzie codzienna praktyka i nastroczające się spostrzeżenia pobudzają do badania nie tylko swojskich, ale i obcych uczonych, jak np. Anglia; lub w krajach, gdzie społeczeństwa silnie ześrodkowane, biurokratycznie zorganizowane, nawykłe do opieki i wszechwładztwa rządowej administracji, — jak Francja, ojczyzna nauki prawa administracyjnego. Kraj nasz w zupełnie odmiennych znajduje się warunkach. Należy się więc prawdziwa wdzięczność Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych, że podjęła niewdzięczną, ale pożyteczną pracę obznajmienia publiczności polskiej z gałęzią nauki, leżącą u nas dotychczas odłogiem.

Wiadomo powszechnie, że piśmiennictwo nasze nie obfituje w dzieła teoretyczno-administracyjne. Oprócz kilku rozpraw i przewodników czysto podręcznego znaczenia, oprócz zbioru przepisów w 61 tomach, stanowiącego dopiero materiał do systematycznego wykładu, nie posiadamy w tej materii żadnej książki, ani podręcznika naukowego. Przekład dzieła niemieckiego *Jacob'a*: „*Grundsätze der Polizeygesetzgebung*,” (Charkow i Halla, 1809), dokonany w roku 1815 przez Plichtę; „*Nauka administracji*,” jako część stosowana gospodarstwa narodowego ś. p. hr. Fryderyka Skarbka (1822), która uwzględnia tylko politykę ekonomiczną, a inne gałęzie zarządu wewnętrznego pomija; nadto przytoczone przez Okolskiego Stawiarskiego „*Listy o admini-*

stracyi rządowej i sprawiedliwości w Królestwie Polskiem" (1830), to już cały zastęp pracowników na tej niwie ¹⁾. Pan Okolski nie wspomina nawet o pierwszych dwóch teoretycznych pracach w pobieżnym swoim paragrafie o literaturze prawa administracyjnego (str. 30—42), czemu się nie dziwimy, ponieważ dawniejsze te prace nie odpowiadają dzisiejszemu postępowi nauki i ponieważ z prawem administracyjnem, jako z jedną gałęzią jurysprudeneyi, w odległym zostawały związku. Ostatnia okoliczność tłumaczy do pewnego stopnia niejasny pogląd badań teoretyczno-administracyjnych, kiedy ani tak zwana Nauka Politycy, ani stosowana część nauki gospodarstwa społecznego, nie znały dokładnie wzajemnego między sobą stosunku i granic, ani też zastanawiały się nad tem, że sprawy powyżej wskazane opracowywała jurysprudencya francuzka, oparta na tradycyach zarządu tak przedrewolucyjnego, jak powstałego za Konsulatu, Cesarstwa i Monarchii orleańskiej. Wiadomo również, że badacz prawa państwowego W. Brytanii, zasłużony profesor i wymowny liberał berliński, Rudolf Gneist, dał nam dopiero poznać dziedzinę angielskiego samorządu lokalnego, co wywołało nie mały zastęp badań krytycznych, egzegetycznych i porównawczych. Powyższe badania w związku z dziełem Wawrzeńca Steina i z ożywionemi w Niemczech, a w ostatnim czasie i we Francyi, a nawet i we Włoszech studjami porównawczemi nad zarządem państwowym, złożyły się na dokładniejszy obraz systemu prawa administracyjnego. Teorya zasad ustawodawstwa administracyjnego, czyli, jeśli kto zechce gałąź tę w ten sposób nazwać, polityka zarządu—wysnuła się z porównania przepisów obowiązujących, niemniej i z rezultatów innych nauk prawnych, państwowych i ekonomicznych, o których postępie, powinno-wacwie i bogactej dzisiejszej osnowie nie mogli mieć wyobrażenia ekonomiści z czasów Jacob'a i Skarbka. Dzisiaj posiadamy już pięć gałęzi nauk administracyjnych, jak widzimy z § 2-go zajmującego nas obecnie dzieła prof. Okolskiego.

Dawniej rozpatrywano te kwestye dosyć pobieżnie, jak np. K. S. Zachariae lub Rotteck, pod nazwą: „Nauka o rządzie” (*Regierungslehre*, albo „*Praktische Staatslehre*”), lub rozbie-rano je jako wydziały zarządu wojskowego, skarbowego, wewnętrznego i sądowego, jak Mor-

¹⁾ Przedmiot ten znajdujemy i pod względem historycznym w literaturze naszej zaniedbanym. Prócz Skrzetuskiego, Kołłątaja i Staszica, o których autor wspomina, należało dla poznania administracyi w dawniej Polsce (jeśli by szan. autor był choć cokolwiek i tę kwestyą bliżej uwzględnił) zwrócić uwagę na dzieła Dawida Brauna (*De juri regnandi fundamentalium in regno Poloniae ratione et praxi moderna*. Colon., 1722), Lengnich'a i na cenne studia w „Przeglądzie Poznańskim” z r. 1846 p. t.: „Obraz rządu i prawodawstwa dawniej Polski,” w formie listów, które przetłómaczone na język niem., wyszły później z druku p. t. (o ile sobie przypominamy): „*Studien über poln. Verf. v. Weissenhoff.*”

genstern, którego dzieło mniej jest znane, aniżeli na to zasługuje ¹⁾, jak wreszcie R. Mohl i Bülow w nauce polityki. Wszyscy zgadzają się na to, że przedmiot zarządu państwowego jest ogromnego znaczenia nie tylko dla statystów, ale i dla obywateli zostających w styczności z władzami, lub biorących w zarządzie interesów lokalnych pewien udział, jako pomocnicy i powiernicy rządu. Wszyscy wiedzą, że obojętność, lub lekceważenie tych obowiązków publicznych, nie tylko smutne wystawia świadectwo wykształceniu obywatelskiemu osób, zajmujących w społecznej pracy pewne wybitniejsze stanowisko; ale nie pozwala wyrobić się choćby do pewnego stopnia dojrzałości politycznej. Urzędnicy bowiem światli i gorliwi, uczuciami obywatelskimi ożywieni, znajdują zachętę w inteligentnym współpracownictwie, w uznaniu i w kontroli współobywateli i opinii publicznej. Bierne zaś zachowanie się, lub egoistyczne wyzyskiwanie tylko posad publicznych, nieuchronnie prowadzi do społecznego rozprężenia, do ośpałości, lub różnych eksperymentów niedojrzałych, zgubnych. Kto chce uchronić kraj od szkodliwej przewagi „biurokracyi,” powinien starać się o pozbawienie biurokratów przywileju przemawiania w imię pospolitego dobra, a na to jest tylko jeden sposób: poznać istotę i zakres służby publicznej. Istotę tej służby zgłębiają i przedstawiają nauki ogólniejszej treści o społeczności i o państwie: teoria ogólna o państwie, prawo polityczne, ekonomika z zakresem i obowiązkami zarządu, mogą tylko obeznac szczególne nauki administracyjne: prawo i teoria administracyi wojskowej, zagranicznej, skarbowej, sądowej i wewnętrznej.

Obojętność społeczeństwa naszego dla tych ważnych interesów pochodzi prócz przyczyn powyżej już wskazanych, jeszcze i ztąd, że czytelnik „przeciętny,” wierzący na słowo kronikarzom pism peryodycznych, uważa badania spraw administracyjnych nieomal za przywilej teoretyków i „prawników,” lub nareszcie i „biurokratów.” Omija więc z uszanowaniem, graniczącym z pogardliwą obojętnością poważniejsze w tej materii dzieła. Obok tego wymagają sprawy administracyjne niemałego uprzedniego obeznania się z przeróżnymi zakresami i dziedzinami wiedzy, bo „nie ma prawie gałęzi prawa administracyjnego, któraby się nie posiłkowałą jakąś specjalną nauką i nie czerpała z niej materiału dla swych przepisów. Dziwić się wszakże tej wszechstronności prawa administracyjnego wcale nie można, gdyż prawo to, odnoszące się do wszystkich prawie stosunków człowieka, musi pozostawać w mniej lub więcej ścisłym związku ze wszystkiem, co jest ludzkie” (Ok., str. 25).

Nauka prawa administracyjnego i całej teorii rządu, należy do zadań dosyć mozolnych, bo skomplikowanych. Teoria rządu posiłkuje się wszystkimi niemal odnogami jurysprudeney i zostaje z niemi w bliższym lub dalszym związku. Prawo (str. 13 i 14) „jest wielkim,

¹⁾ „Mensch, Volkleben und Staat im natürlichen Zusammenhange.” Leipzig, 1855, t. II.

potężnym organizatorem, urządzającym wszelkie stosunki ludzkie i społeczne. Prawo przenika wszelkie sfery społeczne, urządza wszystkie stosunki, zaczawszy od najważniejszych zadań życiowych, a skończywszy na najdrobniejszych jego objawach." Ze zresztą można w sposób przystępny i wdzięczny wyłożyć sprawy zarządu państwowego, na to francuskie piśmiennictwo dostarcza przykładu w znanych „*Études administratives Viviena*" (1856), owych „arcydziełkach" (Mohl) sprytu, nauki i dydaktycznego stylu Francuzów.

Już w r. 1879, czytając osnovę dzieła prof. Okolskiego w ogłoszeniu Biblioteki Umiejętności Prawnych, można się było obawiać, żeby praca ta nie przybrała zbyt wielkich rozmiarów, skoro zamierzyła wyłożyć ustrój władz administracyjnych, prawo służby publicznej i t. p. kwestye, należące według naszego zdania do prawa państwowego. Można ze względów pedagogiczno-praktycznych traktować tę część „formalną," jako prawo administracyjne, poniekąd podmiotowe, t. j. zajęte atrybucyami licznych osób i związków, sprawujących władzę wykonawczą w państwie i tak to rozumiał Stein w pierwszym wydaniu większego swego dzieła, chociaż w krótszym jego podręczniku p. t.: „*Verwaltungslehre*," z r. 1876, zarzuca ten pogląd i sprawy administracyjno-podmiotowe słusznie przekazuje do gałęzi nauki o układzie państwa. Ze uczeni francuzcy, np. Laferrière, Batbie, Cabantous i t. d. podobny rozkład i układ w dziełach swych przyjęli, pochodzi ztąd, że za drugiego Cesarstwa, nieprzychylnego uprawie naukowej prawa konstytucyjnego, w wykładach akademickich łączono to ostatnie z administracyjnym, główny kładąc nacisk na prawo administracyjne. Mogli więc autorowie łatwo przenosić przedmiot organizacji z jednego działu *droit public* do drugiego. Wszelako te względy praktyczno-dydaktyczne nie powinny być powodować naszym autorem. W samej rzeczy, aby usprawiedliwić wciągnięcie organizacji i całego „podmiotowego" prawa administracyjnego z dziedziny prawa państwowego do wykładu swego, autor ucieka się do ogólnej nauki o państwie. Kiedy na str. 21 przyznał, że „prawo państwowe określa organa, w których posiadaniu zostaje władza państwowa, prawo administracyjne zaś określa działanie tych organów w szczególności i pojedyncze stosunki" i t. d., na str. 31 usprawiedliwia system swój tém: „że państwo, według Konstantego Frantz'a, składa się z ziemi, społeczeństwa i władzy," a przeto rozpatruje w trzech działach podział kraju, organizacją administracyjną i cały „systemat materyalnego prawa," w odniesieniu do „społeczeństwa krajowego." Uznajemy wysoką naukę Frantz'a, ale nam się zdaje, że kategorie ogólnej nauki o państwie nie powinny przesądzać o podziale treści prawa administracyjnego, ponieważ i ze względu na prawo państwowe muszą owe zasadnicze składniki państwa mieć jednakowe znaczenie. Po co przykrawać szemat arcy-bogatej osnovy „materyalnego" prawa administracyjnego, które rozrasta się pod piórem szan. autora w dwa nowe tomy do kryteriów, równie ważnych dla obydwóch gałęzi, t. j. do nauki o ustroju państwowym, jak i na-

uki o zarządzie państwem. Autor przedstawił nam w I-ym tomie swojego dzieła prawo administracyjne podmiotowe i opracował rzecz o usystematyzowaniu i o postaciach władzy wykonawczej bardzo sumiennie, według wzoru, jaki znamy z dzieła Steina p. t.: „Vollziehende Gewalt.“ Nierównie ważniejszą będzie część „materyalna“, obejmująca sprawę całej wewnętrznej administracji, co jest połączone z pewną niedogodnością, ponieważ wstęp zajął miejsce zakładną mogące być zapełnionem przez krótki szkic organizacji władz. Można było nawet, li praktyczną powodując się potrzebą, rzecz o organizacyi traktować na końcu, jak to czynią np. Pradier-Fodéré ¹⁾ i niemieccy „policysci.“

We wstępnych wiadomościach musiał autor poruszyć wiele kwestyi, należących do ogólnej teoryi państwa, a oprócz tego prolegomena o źródłach, o stosunku prawa administracyjnego do innych dziedzin naukowych i t. p. Nie zaliczylibyśmy Krausego, Ahrensa i Rüdera do zwolenników teoryi państwa, mającego li ochronę praw na celu obok Kanta i t. p. Nie widzimy też jasnego określenia stosunku administracji do policyi i bliższego rozgraniczenia zarządu społecznego od sądownictwa. Wiadomo przecież, że teoria dzisiejsza wyrabiała się na wzorach doktryny politycznej, znaniej pod szkolnem mianem „nauki policyi“, choć mało było tam mowy o organach straży bezpieczeństwa publicznego, a wiele o zadaniach wewnętrznego zarządu. Dzisiaj przestronne miano, zakres i wytyczne poglądy wrzekomiej umiejętności „policyi“ nie wystarczają. Niemniej należało wspomnieć coś o różnicy, jaka zachodzi między dziedziną zarządu wewnętrznego a policyą, dalej o odcieniach policyi administracyjnej i sądowej. Tymczasem nie ma o tém żadnej wzmianki, okrom pobieżnego w literaturze prawa administracyjnego wspomnienia. Za to, acz sprawa to znana teoretykom, lecz niedostatecznie wyjaśniona dla początkujących, nadmieniam nasz autor w § 5 o odcieniu Zwangs- i Hilfspolizei, wziętym od policyisty Lotz'a, jakoby służącym za podstawę podziału osnowy „materyalnego“ prawa administracyjnego. W § 7 nie wymienia wcale Lotz'a pośród zastępu „ważniejszych“ pisarzy, lubo policysta ten, znany zresztą więcej z dzieł swych społeczno-ekonomicznych, w każdym razie nierównie wyżej stoi od mniej zasłużonego Rössig'a, lub Jacob'a. Przy tej sposobności nadmieniamy, że niestusznie pominął p. Okolski w rzędzie pisarzy francuzkich p. Ducroy'a i Cabantous; co do Dufour'a, należało wspomnieć o drugim wydaniu z r. 1869 i o policyście zeszłego stulecia, Bergu.

Pominięcie policyi i jej teoryi odbija się też niekorzystnie w dziele autora na „systemacie prawa administracyjnego“, gdzie osnowa przedmiotów w pierwszym dziale o „fizycznej stronie“ życia społecznego, na którą zarząd oddziaływa, nie uwzględnia kwestyi „bezpieczeństwa państwa i obywateli“, tak jak to ma się i w zarysie teoryi zarządu Inamy-Sternegg'a. Że brak ten jest wynikiem teoryi Mohla, którą

¹⁾ Précis de droit administratif, którego jest dotąd 7 wydań.

nasz autor sobie przyswaja—to prawda; lecz teoria ta okazała się mrzonką, ponieważ nie można sprawy bezpieczeństwa publicznego nakreślać do urojonój przez Mohla Präventiv-Justiz. Jakiegokolwiek zdanie można zresztą mieć o tym pomysłe, to i Mohl umiał rozbiierać tę część zarządu pod odmiennym tytułem, jako gałąź nauki administracyjnej. Zupelne znowu milczenie o funkcji policyjnej, jak u naszego autora, lub u Inamy-Sternegg'a, nie da się usprawiedliwić wcale. Użycie niewłaściwe lub wypaczenie nazwy i kategorii naukowej, nie przesądza przecież o niezbędnej w państwie instytucji, o zadaniu w tej mierze zarządu wewnętrznego kraju. Skoro zaś jesteśmy już przy owym systemie treści „materyalnego” prawa administracyjnego, niech nam wolno będzie zapytać szan. autora: dlaczego szemat Mohla, który milcząco uznaje za swój własny, uważa za wystarczający? Mohl, określając przedmiot i dziedziny tego, co mylnie zowie „policją,” utrzymuje wprawdzie, że państwo w zarządzie wewnętrznym normować może tylko stosunki fizyczne, duchowe i ekonomiczne obywateli, czyli sprawy „osobiste” i „majątkowe.” Mniema, iż trzeciego zadania państwo mieć nie może. Dlatego też dobroczynność publiczną wciska do pierwszego działu. Mohl w trzecim wydaniu „Polizeiwissenschaft” uwzględnił te rzeczy o tyle, o ile dawniejszy jego system na to pozwalał.

U naszego autora, którego w tym względzie nie krępowały żadne względy, jak Mohl'a, szukamy napróżno odpowiedzi na kwestye tak żywotne, jak np. O stowarzyszeniach robotników, ozmowach i bezrobociach, o całej „kwestyi robotniczej,” dla której Mohl umiał znaleźć czas i miejsce w II-gim tomie swoich monografi i dziedziny nauki o organizacyi państwowej. Być może, że autor odrzuca systematykę Sternegg'a i Stein'a, odnośnie do działu „Sociale Verwaltung,” obok zarządu osobistych i majątkowych spraw. Dlaczego atoli „zapewnienie środków żywności” i dobroczynność odnosi do „strony li fizycznej?” Niestety! w sprawie podźwignięcia poziomu materyalnego i moralnego warstw, pod względem materyalnym upośledzonych, grają rolę inne też względy, jak zapomogi i jałmużna. „Nietylko chlebem żyjemy” da się zastosować do tej sprawy brzemiennej w nieobliczone następstwa dla społecznego ustroju, ale „chlebem i czcią,” jak pisał jeden z wieszczów. Stosunek państwa, jego zarządu i ustawodawstwa do życia społecznego, do „samopomocy,” i t. p. kwestyi, nie znajdują objaśnienia w dziele szan. autora. Nie przesadzamy jednak. Dałoby się temu zapobiedz, gdyby autorowi nie było śpieszno rozwieść się nad ową „organizacyą władz administracyjnych, tak, że 9 paragrafów Wstępu nie mogło zawrzeć w sobie wszystkiego, co można było, lub usunąć wątpliwości nasuujących się. Idźmy dalej. Część I-sza obejmuje obszerny wykład następnych przedmiotów. Dział I: „Systemat władz administracyjnych państwowych.” Dział II: „Stosunki prawne urzędników.” Dział III: „Systemat władz administracyjnych społecznych.” W rozdziałach tych czytamy sumienny, drobiazgowy obraz władz i organów zarządu Królestwa Polskiego, poczynwszy od organizacyi W. Księstwa Warszaw-

skiego, a kończący się na przechodnich połowicznego charakteru utworach ostatniej epoki samodzielności administracyjnej, pod wpływem rządów Komitetu zarządzającego w „kraju przywiślańskim.“

Zgadza się z poglądem autora na podwójny charakter władz administracyjnych, jako rządowych i samorządnych, czyli naznaczanych bądź przez rząd, bądź obieralnych przez interesowanych w zarządzie obywateli. Do drugiej kategorii autor słusznie przyłącza i dobrowolne stowarzyszenia, jako uzupełniające sieć administracyjnych podmiotów i działaczy. Pytanie tylko, czy autor trafnie, posługując się widocznie terminologią pisarzy rosyjskich, nazywa te dwa systemy organizacyjne władzami państwowymi i społecznymi? Mniemamy, że wszelka władza jest „społeczną,” lubo nie zaprzeczamy, że zachodzi pewna różnica między ustrojem „państwa“ i „społeczności,” czyli odłamów i dążeń różnych klas i różnych powołań i zatrudnień, lecz to nie wpływa bynajmniej na podział organów zarządu. Autor, mówiąc o samorządzie, mniema trafnie (str. 51), że „obywatele interesowani w tej mierze, są powoływani do załatwiania spraw publicznych, że na nich państwo wkłada obowiązki administracyjne.“ Niemniej jednak przekazują się obowiązki samorządnej administracji, zostającej pod nadzorem rządu i prawa, drogą wyboru administracyjnego; są przeto obieralne w granicach zakreślonych autonomią związków i ciał samorządnych. Że zaś (str. 16) samo państwo i jego układ stanowi wynik społecznego rozwoju, gdy społeczeństwo, przechodząc rozmaite stopnie rozwoju nie dlatego przychodzi w ostatecznym rezultacie do wytworzenia państwa” i t. d., to po co sztucznie wywoływać przeciwstawienie? Można by system władz administracyjnych, lepiej i wyraźniej nazwać władzami rządowymi i obywatelskimi, skoro zaś rządowe zawisły dzisiaj mniej lub więcej od ministrów, przyczem należy także brać w rachubę i organa od nich niezależne, ale uzupełniające władzę naczelnika państwa, chociaż nie obieralne, przeto wypadało nazwać pierwszy dział władzami zwierzchniemi i rządowymi, drugi zaś obieralnemi i samorządniemi.

W liczbie władz państwowych „administracyjnych,” wymienia autor, obok wicekróla, namiestnika, rady stanu, także godności dworskie. Uznaje sam wszelako, że te zabytki dawnych czasów „nie mają znaczenia dla administracji,” a przeto nie rozwodzi się dłużej nad niemi. Nie trzeba było o nich wcale wspominać, ale zostawić je w „krainie cieniów...” zwłaszcza że i Stein w ostatniem wydaniu poprzestaje na suchy o nich wzmiance. Co innego Rada Stanu, której zadanie, zdaniem naszym, nie ogranicza się li tylko na „przygotowaniu postanowień administracyjnych,” lecz obejmuje i współudział w ustawodawczo-zwierzchniej sankcyi, dotyka części „osobistej” władzy organu, zwanego Naczelnictwem państwowem. Nie można wszelako stawiać rady stanu w jednym rzędzie z godnościami dworskimi. „Przedstawianie państwa z należytą godnością,” w czem dworskie

urzędy pomagają panującemu, niéma nic wspólnego z szacownemi prawami rozjemstwa między władzą ustawodawczą, a ministeryalno-rządową, rozstrzygania sporów o kompetencyą władz rządowych i t. p. Co do atrybucyi rady stanu pod względem sądowo-administracyjnym. różnimy się ze zdaniem autora, sądzimy, że rozstrzyganie sporów o granicę kompetencji, jako atrybucya władzy rady stanu „wypływa z istoty tej instytucyi.“ Mimo to chętnie uznać należy, że przedstawienie przez autora urządzeń odnośnych we Francyi, Anglii, Niemczech, Rosyi i w Królestwie Polskiem jest wierne, sumienne i wyczerpujące. Prawda, że Komitet rządzący „przyznał sobie prawo rozstrzygania sporów jurydykcyjnych, należących do atrybucyi zwiniećej rady stanu, a o których nie było wzmianki w ukazie z 10 marca 1867 r...”

Przegląd § 15—19 o systematach w układzie władz administracyjnych, o centralizacyi i decentralizacyi, o stopniowaniu władz administracyjnych, zawiera wiele uwag trafnych i sąd wszechstronnie wyrozumowany. Wątpimy wszelako, żeby uwagi autora spodziewane wszędzie przyniosły owoce. Co do Austrii znowu, niezupełnie dokładnie autor mniema, że jej „urządzenia administracyjne rozwijają się coraz bardziej w duchu systematu prowincjonalnego.“ Co innego bowiem jest postulat konstytucyjny i naukowy, a co innego dotychczasowa organizacya Przedlitawii, urobiona na modłę systemu egzystujących realnych stosunków.

Oczywiście można się o tém przekonać, odczytując sumienny wykład § 19-go, gdzie mowa o istocie ministeryów, ich składzie i odpowiedzialności ministrów, o odnośnych urządzeniach innych państw europejskich, lub § 20 „O ministeryach i centralnych zarządach w Królestwie Polskiem.“ Zrobilibyśmy tylko uwagę, że wykład następny od § 20—52 przedstawia w pełnym obrazie „władze centralne” Królestwa od r. 1807 aż do najnowszych czasów, tak jednak, że rozbiór tej materyi mógłby się obejść bez owych ogólnych wskazówek § 19. Ponieważ jednak autor nie pisze dziejów zarządu Królestwa, ale tylko daje obraz jego władz obecnie istniejących, można było przeto sumaryczniej sobie postąpić z owemi anomaliami. Jako materiał do dziejów zarządu i systemu panującego w Królestwie § 21—42 i § 51 w każdym razie posiadają wartość niepoślednią.

Dla badacza prawa administracyjnego, dla publicysty i uczonych przedstawia końcowy dział książki („Systemat władz administracyjnych społecznych”), zajmujący się administracyjnym samorządem, najwięcej „aktualnego” interesu. Niewątpliwie sprawy te wszędzie w Europie roztrząsane, w Anglii już rozwiązane, wiążą się z zakresem praw obywatelskich i z udziałem obowiązkowym obywateli w zarządzie, a więc należą do prawa państwowego. Samorząd miejscowy stanowi przygotowanie i szkołę wyborną do pełnienia obowiązków publicznych na szerszej widowni, sprawy zaś, któremi sami obywatele zajmować się tutaj muszą, jako wewnętrzne i społeczne, a żywotne dla współmieszkańców, są przedmiotem działalności administracyjnej: drogi,

szpitale, szkoły, szafunek i rozkład ciężarów i t. p. Słowem, pominiawszy nawet metodologiczne wątpliwości co do tego, czy sprawy autonomiczne należy zamknąć tylko w jednej osobnej, lub też na kilka rozłożyć je gałęzi naukowych, to nie ulega wątpliwości, że krajową społeczność obchodzą one daleko bliżej, aniżeli ustrój władz wyłącznie rządowych, przez rząd stanowionych.

Praktyczne ma także dla mieszkańców Królestwa znaczenie obszerny (od str. 217—345) i sumienny wykład organizacyi „władz pośrednich i niższych“ rządowych, bo z temi organami stykamy się częściej aniżeli z naczelnymi. Autor poprzedza i tę część swojego wykładu „wiadomościami ogólnymi“ o instytucjach, które obrał sobie za typy tego szeregu instytucyi administracyjnych. Charakterystyka tych typów organizacyjnych krótka i zwięzła, lecz zdaje nam się niekoniecznie odpowiednią przy obszerném przedstawieniu obowiązujących urzędzeń Królestwa! Można bowiem było poprzestać na tych porównawczych „wiadomościach ogólnych“, jako na tle obrazu, albo też wspomnieć o zagranicznych urządzeniach w formie przykładu, a nie rozprawiać już o nich, jako o wzorach lub ramach dla urzędzeń naszych. Instytucye bowiem pozornie pokrewne z naszymi, w Anglii, Francyi i Niemczech, wyrobiły się w skutek przyczyn mniej lub więcej dziejowych i z udziałem wyłącznie krajowych, swojskich czynników; u nas zaś rozwój tych władz uległ przejściom politycznym, w których i czynniki postronne odegrały wpływ stanowczy, decydujący. Władze te noszą u nas piętno owych warunków i wpływów rozlicznych. Zresztą można było, a nawet należało, skoro autor typy organizacyjne przedstawia, przytoczyć rysy pouczającej organizacyi władz administracyjnych w Belgii, gdzie umiano pogodzić działalność organów rządowych z rozległym samorządem.

Sprawa organizacyi „władz pośrednich i niższych“ jest zagadnieniem po dziś dzień w nauce i życiu ważnem. Z dawniejszych statystów, którzy się nią zajmowali, słusznie autor wyszczególnia Bülau'a ¹⁾. Pisarz ten bowiem zwrócił uwagę na wątpliwości i zaznaczył potrzeby zdrowej polityki organizacyjnej co do tych instytucyi, pośredniczących między rządem a obywatelem.

Już w § 18 swego Wstępu wykazał prof. Okolski, że główne zadanie władz naczelnych rządowych polega na wydawaniu rozporządzeń, które powinny być wykonywane przez władze niższe lub przez obywateli, pod kontrolą władz niższych. Nie są więc owe zwierzchnie organy, ściśle biorąc, wykonawczemi, a na pewnej mierze nie są niemi i władze „pośrednie“, gdyż mają pewien zakres zostawiony sobie do decyzji w rzeczach, o których niepodobna odnosić się do odległego ministerjum. Na tém właśnie polega administracyjna decentralizacya, której nie trzeba brać za jedno z samorządem. Z drugieji

¹⁾ Behörden in Staat und Gemeinde, 1836.

znów strony trudno, ani słowa, wymiarkować, czy pewien przedmiot działalności zarządu wewnętrznego i skarbowego nie może być równie dobrze zawiadywany przez obieralne organy samorządu. Zależy to od zaradności, samoradności i poczucia miejscowych mieszkańców, od obyczaju w tej mierze sprzyjającego inicjatywie mieszkańców lub urzędów państwowych. „Normalny,” że tak powiemy, samorząd, sam się urządza i kształtuje, urabiając równocześnie odpowiednie obywatelskie organy. Rząd, stojący na wysokości swego powołania, uznaje ten „samorząd” obok siebie; w podziale publiczno-administracyjnej pracy wyznacza mu zakres odpowiedni i poprzestaje na oględnym nadzorze. Tak się przynajmniej dzieje w ojczyźnie samorządu, w Wielkiej Brytanii, w części w Belgii i Austro-Węgrzech. Zkądinąd wiemy znowu z cennych prac Gueist’a, Leroy-Beaulieu’go i t. p., że hrabstwowy Self-government jest dawniejszym od administracyjnych praw monarchii, t. j. korony, co kraj po zaborze Normandów sobie shotdowała, równie jak i od wtrącania się parlamentu; że przeto monarchia angielska, uznawszy samorząd w hrabstwach (prowincjonalny), jako ustrój i system w sobie skończony, opasała go dopiero w ostatnich stuleciach łańcuchem władzy nadzorczej i orędowniczej. Ustrój prawa administracyjnego rządowego i parlamentarnego, wszczepił się i przystosował poniekąd, jakby *nowa opiekuńcza warstwa*, do ustroju starodawnego dzielnic anglo-saskich. W ostatniej uiemal dobie „administracyjnego rozwoju podgarnięto „samorząd hrabstwowy“ (Local-Government) pod władzę rządu parlamentarnego, a społeczne interesa powszechné a dotąd przez parlament i rząd zaniedbané doniosłości, jak np. wykształcenie elementarne, wywołały, skoro je ustawą określiło, potrzebę nowych organów rządowych i obieralnych, w postaci inspektorów lub rad odpowiednich. Zdaje się nam, że autor pomieszał dwa te ustroje, bo mówi i przy władzach „pośrednich” rządowych i w Dziale III o hrabstwach organach, o sędziach pokoju i t. p., należących do samorządu lokalnego. Jeśli to nie lapsus calami? Lord Lieutenant’a, dowódcę milicyi hrabstwa reprezentującego koronę, robi p. Ok. niewłaściwie obieralnym, ponieważ mianuje go korona z grona większych właścicieli ziemskich miejscowych. Autor utyskuje nieśkusznie nad tém, „że w Anglii wiele urzędów należy w części do władz pośrednich, a w części do miejscowych, tak, że niepodobna jeszcze stanowczo określić, do jakiej kategorii, pośrednich czy niższych zaliczyć je wypada.“ Wątpliwość pomienioną, można w myśl tego, co się nadmienilo, rozstrzygnąć w ten sposób, że hrabstwowe organy, jak sędziowie pokoju, sheriff i t. p. bezwarunkowo należą do samorządu, a nowe rady szkolne i t. p. są *sui generis* pośrednimi władzami, ale właściwymi tylko w Brytanii, gdzie „władze pośrednie“ rządowe, łączące *nie* niższe, lecz samorządne instytucje z naczelnemi, dopiero zaczynają się wyrabiać, tworząc pomost, łączący Selfgovernment z rządem centralnym.

W § 67 autor żąda, „aby państwo najusilniej starało się o nale-

żyłą organizacją niższych władz rządowych,“ owych punktów zetknięcia maluczkich i zaprzątniętych troską o chleb powszedni z rządem, których macoszą dołą wytknął był swego czasu Bülow. I tu zachodzą znów trudności i wątpliwości: 1) bo władze te są często jednocześnie organami miejscowego samorządu; 2) między mieszkańcami miast i wsi wielkie istnieją różnice dla zarządu i jego działania. Po trafnej charakterystyce odnośnych władz w krajach, które autor obrał sobie za typowe, opisuje p. Okolski ich rysy w Królestwie w tych słowach: „Trzeba tu rozróżnić dwie główne formy, jedną w gminach wiejskich, drugą w miastach. „W każdej z nich dostrzedz jeszcze można pewne różnice. Tak np. władze gminne wiejskie, dzielą się na gminne i na wiejskie w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Z urzędów miejskich należy znowu wyróżnić Warszawę,“ gdzie-bądź z innych względów, bądź dla hipertroficznego rozrostu, a społecznie dośrodkowego charakteru tego miasta, ongi stołecznego, odstąpiono od ustroju w innych miastach. Rysy te są wiernie i umiejętnie pochwycone. Drobiazgowy zaś sposób poligraficznego raczej wykładu, odpowiada wykładom krajoznawstwa i podręczników dla użytku urzędników. Uczony i sumienny autor daje nam obraz dziejów składu i atrybucyi następujących władz pośrednich: komisji wojewódzkich, rządów gubernialnych, zarządów ubezpieczeń, komitetów przemysłowych, gubernialnych rad dobroczynności, utworzonych w r. 1870, komisji do spraw włościańskich i ich dzisiejszych spadkobierczyń, odnośnych gubernii zarządów, dyrekcji naukowych, zarządu poczt, organów sprawujących dziś zarząd komunikacji lądowych i wodnych, izb skarbowych, zarządów akcyznych, zaciągowych przed i po r. 1874. Następnie idzie wykład składu i atrybucyi drugiego szczebla w ustroju władz „pośrednich zarządów powiatowych z mocy ustawy z r. 1866, na koniec kontrolujących izb w Warszawie, Lublinie i Łomży.

Po opisie urzędów wójta i sołtysa, przedstawia autor w § 69 pod nagłówkiem „Władze miejskie w ogóle,“ „dzieje i organizację różnych u nas urzędów miejskich od r. 1807—1861, przyczem wspomina, zdaje się niewłaściwie, o radach miejskich, gdyż to w planie autora należy do samorządu. Po przedstawieniu władz miasta Warszawy, idzie rzecz o „policyi (sic) wykonawczej.“ Dlaczego niefortunne to miano i przymiotnik zrozumiały li dla znawców nomenklatury policyjskich zakonów? Czyliż oprócz „administracyjno“-policyjnych urzędników, sądowno-policyjni także nie są „wykonawczymi“ organami? A wszak autor we Wstępie zamieszcza rzekomą trzecią władzę sądowniczą między władzami wykonawczymi. Czynności policyi trafnie oddaje przytoczona ordynacja, z r. 1816 mówiąc o „publiczném bezpieczeństwie a porządku,“ termin zaś „policyi wykonawczej“ zawiera w sobie odcień jurysprudeneyi rossyjskiej, nieznaną teoryi naukowej, wadliwy i nie przez się nie mówiący.

Dział drugi, gdzie szanowny autor rozbiera „Stosunki prawne urzędników,“ jest bardzo wyczerpującą i staranną monografią przed-

miotu, należącego według powszechnego prawie zapatrywania się do prawa państwowego. Jeżeli bowiem która nauka prawa, a zarazem polityczna może rozbierać sprawy téj sfery z jak największą świadomością, to przedewszystkiém ta gałąź, która oba pojęcia „prawa” i „państwa” w umiejętnie kształtuje normy, która „pełnomocnika państwa” jak autor trafnie opisuje, urzędnika, wiąże szeregiem legalnych nici z całokształtem narodowo-społecznego ustroju i osobowości prawnej. Wprawdzie Bluntschli w nowém wydaniu swojego „Powszechnego prawa państwowego,” przeniósł przedmiot służby publicznej i rządowej z jedynie odpowiedniego działu polityczno-prawnego do nauki ogólnej o państwie i jego władzy; lecz uważamy to za niewłaściwe, tak, że zwolennicy jego u nas, np. Kasperek, nie poszli za tym przykładem i trafnie ominęli rzecz, kwalifikującą się do rozbioru przeważnie prawniczego. W dziale, o którym mowa, przechodzi autor po treściwych „wiadomościach ogólnych,” z egzegezą naszej ustawy o służbie cywilnej z roku 1859 dotąd obowiązującej w ręku: a) warunki mianowania urzędników co do stanu, wieku, płci, uzdolnienia i moralnych rękojmi, stronę formalną i obowiązki z nominacyi wynikające, dowody służby cywilnej; b) obowiązki urzędników w czasie służby; c) odpowiedzialność urzędników względem „państwa” i „społeczeństwa,” czyli władzy i współobywateli; d) prawa i przywileje urzędników pod względem stanowiska społecznego i wynagrodzenia służby oraz emerytury.

Żałujemy, że autor, traktujący przeważnie *de lege lata*, a mimochodem tylko i — jak należało — po przykład i wzory sięgający do innych prawodawstw i urzędzeń, zbywa krótko pośród warunków uzdolnienia, sprawę egzaminów rządowych v. publicznych, ustanowionych, jak wiadomo z wielką korzyścią w państwach niemieckich, a w ustawie o służbie cywilnej z roku 1859, traktowanych bardzo niedostatecznie. Przedmiot to ważny i dla polityki i dla prawa państwowego, którego wzmiankami o pruskich egzaminach, w części nawet niepodobna należycie wyłuszczyć ani rozstrząsnąć. Godna podniesienia uwaga autora, „że obowiązujące prawodawstwa nader mało uczyniły dla zapewnienia warunku” moralnego życia urzędników, jako dowodu ich prawości, poprzestając na wymaganiu bezkarności sądowej. W téj mierze obyczaje i opinia wiele téż zostawiają do życzenia. Z naszych autorów tylko ś. p. Skarbek w „*Morale Civique*,” wyraził postulaty etyczne... dobre dla obywateli prawych i cnotliwych, niedostateczne dla tych, co obywatelami i urzędnikami zarazem być nie potrafia. W naszym położeniu jest to sprawa nadzwyczaj ważna.

Przejdźmy nakoniec do samorządu, przedstawionego w dziale trzecim od str. 427—475. Punkt wyjścia szan. autora, „że podstawę władz administracyjnych społecznych należy widzieć w dwojakiej naturze zadań, celów i interesów społecznych,” wedle czego jedne sprawy obchodzą ogół krajowców i winny być poruczone władzom rządowym, drugie miejscowości i ich mieszkańców — przyjmujemy. Tylko nie trzeba było, jak wyżej zauważyliśmy, nazywać pierwszych

organami państwowemi a drugie li społecznemi. Właśnie świadomość miejscowego przedmiotu i zakresu administracyi samorządnej, która się nie może podnosić do władzy rządowej, bo wtedy będzie wszechwładztwem gminy, równoznacznem z bezrządem, jak wyraził Taine w najnowszej swojej pracy „O rewolucyi francuzkiej.” Natomiast widzieliśmy w wieku XVIII a i niestety przed laty dziesięciu popełdy antyspołeczne gminy, trzęsące krajem kilkudziesięciomilionowym, podbechtanej przez obłąd rozkiełznanych — *déclassés* — drapieżników władztwa narodowego. „...Prócz tego, pisze nasz autor, przyczynę istnienia władz społecznych należy jeszcze widzieć i w samej okoliczności (?). Państwa nowoczesne wszędzie prawie dopuszczają społeczeństwo do udziału w stanowieniu praw... Jeżeli jednak społeczeństwo uczestniczy w wykonywaniu władzy prawodawczej, uważano też za konieczny wpływ pierwszego, zapewnić mu udział w wykonywaniu władzy wykonawczej to jest w administracyi krajowej.” Pominąwszy niezupełnie szczęśliwe wystowienie tego okresu, przeziara zeń jasno, że autor rozumowanie swoje opiera na *post hoc propter hoc*. Tymczasem, zdaje się, że potrzeba samorządu miejscowego opiera się na tém, co poprzednio oznaczył prof. Okolski, jako dwoisty charakter spraw wszelkiego społecznego zarządu. Konstytucjonalizm wymaga wprawdzie koniecznie samorządu administracyjnego, ale ostatni nie jest wytywem bynajmniej pierwszego, skoro jak autor sam przyznaje, udział obywateli w administracyi istnieje zawsze, nawet w państwach „które nie dopuszczają społeczeństwa do udziału w sprawowaniu władzy prawodawczej.” Tak więc, mamy niewzruszoną podstawę, że miejscowe potrzeby lepiej przez miejscowych mieszkańców uznane i zaspokojone będą. Wybieralność tych organów miejscowego zarządu wynika sama z siebie. „Jeżeliby państwo samo z ludności miejscowej naznaczało pewne osoby, wtedy... mielibyśmy władze samorządu niewłaściwie tak zwane.” Otóż „instytucye doradcze” § 83 są takim „niewłaściwym,” albo raczej połowicznym samorządem. Stanowią one we Francyi „główną formę, w której się przejawiał dotychczas samorząd miejscowy” a w niedawnym dopiero czasie nastął zwrot ku lepszemu, przez nadanie owym radom większych atrybucyi pod względem wykonawczym. Doradcze takie instytucye, jak trafnie uważa prof. Okolski, istnieją i u nas w postaci członków dobieranych z pośród obywateli miejscowych do rad gubernialnych dobroczynności, w 3—4 obywatelach rozpoznających budżet miasta Warszawy. Zawsze jednak owe izby handlowe, komitety fabryczne i t. p., stanowią niedokładny oddźwięk tego, czém w prawo-politycznej dziedzinie są, lub byli notablowie—są i zostaną niedołężnym organem przygodnym. Autor bardzo jasno kreśli zasady „na których powinien się opierać stosunek samorządu do władz rządowych.” Zasady te są: 1) prawo państwa do określenia kompetencyi władz społecznych, bez czego mielibyśmy właśnie owo „państwo w państwie,” jak w konstytucyi francuzkiej z roku 1791; 2) prawo zatwierdzania przez państwo czynności sa-

morządu i 3) prawo nadzoru. Skoro „duszą” państwa w dzisiejszym czasie jest wola ustawodawcy, prawowicie z łona społeczności krajowej wymiarkowana, słuszną zatem, aby władze miejscowe i obywatelskie, miały w ustawie wskazany sobie zakres dozwolonego działania. Jeżeli autor, trzymając się wzoru Stein’a, dzieli władze autonomiczne na doradcze i właściwie wykonawcze, to nie trzeba było zapominać, że oprócz podmiotów samorządu i jego praw: gminy i prowincyi, istnieją też według nowej nauki o samorządzie, korporacye i instytuta, a o tych nie ma słówka w całym wykładzie.

Obszernie rozbiera prof. Okolski w dalszym ciągu „instytucye samorządu gminnego wiejskiego” w Królestwie, według Ukazu z roku 1864 w siedmiu paragrafach; instytucye samorządu gminnego miejskiego w 85-ym paragrafie, całkiem historycznym, i instytucye prowincjonalne, to jest rady gubernialne, przyczém daje przejrzysty ogólny obraz hrabstwowych urzędów angielskich, francuzkich *conseils généraux* z r. 1871 (departamentalnych), niemieckich i rosyjskich rad i wydziałów prowincjonalnych. Wolelibyśmy, aby ostatni ten ustęp dzieła, opracowany starannie i z pomocą najnowszej w tej mierze literatury, poprzedził egzegezę naszych urzędów gminnych, gdzie znowu byłyby się przydały także porównawcze z innych krajów wskazówki. Rembowskiemu monografia „O gminie” ważna dla prawników, nie wystarcza ani dla praktycznego użytku, ani dla początkujących słuchaczy uniwersytetu, bo ci potrzebują wskazówek ogólnych o istocie i przejawach gminy w krajach przyjętych przez autora za typy organizacyjne.

Kończąc powyższy przegląd pierwszego tomu „Wykładu prawa administracyjnego,” mamy niepłonną nadzieję, że następne tomy w gruntownym rozbiórce materyalnej części przedmiotu, usprawiedliwią nadzieję, jaką początek tej pracy w wysokim obudził stopniu.

B. Oczapowski.

„Pokuta,” powieść Józefa Rogosza. Lwów, nakład i druk W. Manieckiego, r. 1881; w 8-ce, str. 308.

Pani Laura z Piskorskich, dama światowa, wyszła zamąż za Armatowicza prostaczego hreczkosieja i przytém nie szlachcica z urodzenia. Zrobiwszy z siebie taką ofiarę z konieczności, bo jakoś nie trafiła się lepsza partya—uważała za bardzo naturalne szukać pocieszczenieli. Głównym z pomiędzy tych a przynajmniej główną rolę odgrywającym w niniejszem opowiadaniu, jest p. Konrad Wodyński, człowiek młody, miły i lekkomyślny, który żył ciągle jak szuler, stawiający na kartę ostatnie grosze, a którego na Pokuciu, gdzie się rzecz odbywa, nazywano donżuanem. Edukacyą zaczął w ośmnastym roku

życia, tym samym wieku w którym nasz Rej z Nagłowic, oddany na dwór Jana Tenczyńskiego, wziął się do książki; ale pan Konrad pobierał ją od kobiet znacznie od siebie starszych, a niemających wstrętu do zalecań młodzika. Pierwsza ta ochmistrzyni odumarała go, nim jeszcze naprzykrzyły mu się te nauki; nabrał więc do nich gustu a dla większego udoskonalenia, zmieniał często swe mistrzynie. Pani Armatowiczowa, na którą przyszła kolej, była wytrwalsza od innych i tak biegła w swojej sztuce, że „wiodła z nim rozmowy które go zgrozą przejmowały.” Nie pomogło donżuanowi ożenienie, ochmistrzyni nie opuściła swego pupila a po rychłym jego owdowieniu, tém czulszą otoczyła go opieką. Przyszło nareszcie do tego, że rozbałamucony wychowaniec w heroiczny sposób dał jej odprawę. Pani Armatowiczowa lubo znalazła sobie pocieszyciela w dwudziestoletnim pisarzu prowentowym, nie mogła jednak lekko strawić, tém dotkliwszej, że już na schyłku dojrzatego wieku, dożuanęj niewdzięczności. Ukarala też niewdzięcznika bronią, której dostarczył jej wychowaniec, bardzo gustujący w przystojnych mężatkach. Wpadła mu w oczy pani Celina Zapolska, o wiele Armatowiczową przewyższająca wdziękami i młodością, a która wiedząc o stosunku tej ostatniej do p. Wodyńskiego, zaczęła, napozór dosyć przychylnie przyjmować jego zaloty, aby się zemścić nad Armatowiczową, że ją na balu nazwała „córką aktorki.” Przypomnienie dla pani Celiny, lubo demokratki z wygłaszanych opinii, niemile, bo ojciec jej choć hrabia, poślubieniem artystki dramatycznej zerwał stosunki z całym sąsiedztwem. Dla zaspokojenia zemsty, pani Laura, osoba namiętna, nie cofa się przed czynem kryminalnym; panna Zapolskiego gwałtem prawie, za pośrednictwem zawojowanego przez nią zupełnie męża, sprowadza do siebie na wieczór a listem podrobionym wzywa pana Wodyńskiego na schadzkę z panią Zapolską pod nieobecność męża. Na wieczorze u Armatowiczów, pan Zapolski odebrawszy nagle wiadomość o chorobie małżonki wraca do domu, gdzie zastaje Wodyńskiego, który po natrętnem zalecaniu się zdumionej jego przybyciem pani Celiny, wymknął się przed niespodzianem nadejściem męża, uroniwszy w zamieszaniu ów list podrobiony. Zapolski nie był człowiekiem sentymentalnym, tém mocniej jednak czuł się dotkniętym, im zupełniej ufał swojej małżonce. List ów całą odpowiedzialność zrzucał na nią, czyniąc Wodyńskiego biernym niejako współnikiem jej zdrady. Nieprzyjął więc mąż jej tłumaczeń i oddalił ją od swego domu i dzieci. Zapolska jakkolwiek czując się niewinną, uznała w tém zdarzeniu karę za chwilową lekkomyślność: pojechała do Drezna aby śród obcych odpokutować w ubóstwie i pracy, oddawszy zwrócony jej posag w depozyt sądowy na rzecz swoich dzieci. Przykre wrażenie z powodu śmierci Wodyńskiego, który podążył za nią aż do Drezna, pragnąc koniecznie być jej pocieszycielem a niespodzianie spotkawszy jednego z mężów, których żony bałamucił, musiał przyjąć wyzwanie—skłoniło ją do powrotu w rodzinne strony. Zamach pani Armatowiczowej na życie męża, sprowadza ją do więzienia, przed sę-

dziego śledczego, którym był jeden z dymisyonowanych jój faworytów. Badanie wykryło zarazem sprawę podrobionego listu Zapolskiej, przytém, Armatowiczowa truje się przypadkiem, proszkiem przygotowanym dla męża. Zapolski dowiaduje się o niewinności żony w chwili, gdy ta już przyjęła ostatnie Sakramenta. Radość jednak przywraca ją do życia i wszystko kończy się w sposób uspokajający drażliwe nerwy czytelników, bo winowajcy zostali ukarani a niewinni pocieszeni a nawet dobrodusznemu Armatowiczowi autor oszczędził przykrości dowiedzenia się, że jego „Laurunia, której równéj w Paryżu nie znajdzie,” oszukiwała go przez lat tyle i jemu samemu życie chciała ukrócić, dla pozyskania względów jego własnego oficjalisty!

Ale czytelnicy nie zechcą być wymagającymi pod względem kunsztu powieściopisarskiego téj książki. Przedewszystkiém zaś muszą dużo wierzyć i cokolwiek zapomnieć, aby niewydało im się za prawdopodobném, że z téj gry tylu osób, powodowanych różnemi namiętnościami, tak szybko wyniknąć może rozwiązanie, moralnemu poczuciu dające satysfakcyą. P. Wodyński, którego autor nazywa w jedném miejscu „szatanem,” całkiem niespodzianie otrzymawszy list zapraszający na schadzkę z mężatką, która zbyt mało uczyniła, aby go zachęcić, doznawszy przy tych odwiedzinach przyjęcia, które aż nadto świadczyło, że jest nieproszonym gościem, nie zdobył się na usprawiedliwienie swego natręctwa zaprodukowaniem dokumentu, który nawet tak zaufanemu w sobie, jak on, musiał się wydać prawie podejrzanym. Ten „Kazik,” pisarz prowentowy, ostatni faworyt p. Armatowiczowej, młodzian już prawie pełnoletni, który tak zgrabnie podrabia rękę nieznanéj mu osoby, że sam jój mąż podrobienia nie spostrzega, okazuje się jednak cokolwiek naiwnym, z polecenia swéj pani, podejmując się sprawy, o której mógł przecie wiedzieć, że pachnie kryminałem. P. Armatowiczowa, choć występna, zbyt chyba łatwo decyduje się na zgładzenie męża, od którego najmniejszój nie doznała nigdy przeciwności, który przeciwnie dla gorszących jój zdrożności przez tyle lat wygodnym był parawanem. Czyn taki jest ostatecznością, do której nawet zbrodniarza świadomego siebie, doprowadzić może przekonanie, że niéma innéj drogi, prowadzącéj do celu. Dla pani Laury wystarczy wyrzeczenie ostatniego faworyta, jak sam autor powiada, „obojetne, aby jój się pozbyć,” że „odmienitoby się gdyby była wolną.” Namiętność zaślepia, ale ta, która powodowała p. Armatowiczową, była zbyt poziomą, aby pobudzić do czynu, do którego osoba ciągle zdrożne prowadząca życie, mogła być zdolną, ale nie mogła odebrać jój świadomości, że naraża samą siebie. Bo przecież nie powodowała nią właściwie miłość lub nienawisć, ale tylko żądza posiadania przedmiotu ciągłéj agitacyi dla swoich nerwów. Ów Kazik, dla którego chciała zgładzić męża, był takż dobry, jak tylu innych faworytów, których dawniej kwitowała bez żalu, nim bieg czasu sprawił, że ją sami zaczęli kwitować. Romantyzm jój wiarołomny, wzbudza nawet więcej wzgardy, niż grozy. Awanturując się w domu Wodyńskiego, który jój omal

drzwi nie pokazał, groziła, że się otruje z flakonika, w którym były krople laurowe! Taki komizm starój grzesznicy wcale nie pasuje do tragiczności mężobójczyni, której też nieumyślne samobójstwo bardzo jakoś przypomina fabrykowanych bożków starożytnej tragedii. I tu zaimprowizowana przebiegłość, chcąc ex abrupto wywieść w pole inkwenta zażyciem proszku, przedstawionego jako corpus delicti, w rażącej staję sprzeczności z naiwnością, wyobrażającą sobie, że demonstracją tą uniewinni się w obec oczywistości zbrodni. P. Armatowiczowa widocznie mierzyła sędziów łatwowiernością swego męża. Ale też sędzia śledczy, p. Szymon Kaczorski, przy całej surowości powagi swego urzędu, widocznie zapomnieć nie może, czém kiedyś była dla niego obecna oskarżona; nie przeszkadzają jej przypadkowemu otruciem oszczędzić sobie hańby kryminału, najspokojniej bada ją, widząc gwałtowne działanie trucizny. Było to bardzo potrzebnem dla osiągnięcia dowodu niewinności p. Zapolskiej; p. Kaczorski przyszużył się zapewne całemu domowi Zapolskich i życzliwych im przyjaciół, ale co to za urzędnik, który tak widocznie usuwa przestępcę od wymiaru sprawiedliwości, a z drugiej strony, jakże w tym człowieku, szlachetnie myślącym, jak go chce wystawić autor, nie odzywa się litość na widok szarpanej bóлами gwałtownie działającej trucizny, zbrodniarki, ale przecie istoty ludzkiej!

W ogóle powieść ta jest napisana nieumiejętnie, a raczej niedbale, gdyż wziętość, którą zyskał autor, u nas może nietyłe, ile za koronem, czyniąc jego dzieła pożądanymi dla czytelników, skłania go widocznie do pisania w większej ilości, niż opracować może. Rzecz do połowy prawie ciągnie się w opisach nieświeżych, wymuszonych, niekiedy skarykaturowanych, podług wzorów nowoczesnego realizmu. Opis np. towarzystwa osób pochodzenia ormiańskiego, z ich mieszczańską pretensją i „długimi nosami,” jest niesmaczny i płaski; trudno pojąć, co skłoniło autora do rozpisywania się o tém, co ani naucza, ani bawi, ani poprawi, boć chyba nie było jego zamiarem pisać satyrę na azyatyckie nosy? Koncept to najbardziej wyszarżanej staroświeczczyzny, chcieć bawić czytelnika, zewnętrzniemi cechami odrębności plemienną ludzi, którzy wcale nie gorszymi od nas są obywatelami kraju. Dalej, gdzie opowiadanie zaczyna być już więcej zajmującym, brak artystycznej formy w ułożeniu szczegółów, rozrywa uwagę, wikła i zobojętnia czytelnika dla rozwiązania akcji, która jest przeprowadzona w sposób zbyt ujawniający pośpiech, i, że tak powiemy, pańszczyźnianą robotę autora. Osoby, których tu naprowadzono daleko więcej, niż była potrzeba do przeprowadzenia akcji, są albo maryonetkami mnożącymi liczbę scen spowszedniałych, np. owa Zosia i Helcia, wybierające się na bal do Armatowiczów, lepijby figurowały (z pewnemi zmianami), w jakiej powiastce dydaktycznej; albo wprowadzone epizodycznie w zamiarze uwydatnienia główniejszych postaci; brakiem zaś wykończenia obrazu, chybiają celu; albo nakoniec, głównie działające, jak Konrad Wodyński, Laura Armatowiczowa, Szymon Kaczorski, tyle po-

pełniają uchybień przeciw prawdzie psychologicznej, że najbardziej może charakterystycznym w nich, jest brak właściwego charakteru. Udatnięć, a przynajmniej nienagannie, skreślone są postacie Romana Zapolskiego i ks. Józefa Kaczorskiego, w części widocznie skopiowanego z owego biskupa w D. Wiktora Hugo (*Misérables*), w ogóle jednak dość zręcznie do rzeczy przystosowanego. Starą manierę francuską widać także w przeprowadzeniu częściowem akcji za pomocą służących, choć rola, którą im daje, jakotako jest odegraną i uchybienie jest raczej w całym tle opowiadania, które obraca się w nieswojskiej sferze zdrożności małżeńskich i dworskiej rozpusty.

Autorowi nie można odmówić pomysłowości w tworzeniu wątku opowiadania, ale jego technika bardzo wiele jeszcze zostawia do życzenia. Brak precyzji w opisach, prawdy i naturalności w opowiadaniu, atomizm w szczegółach, wystawienie rozwlekłe, mimo dostatecznej obfitości materji, świadczące, że autor nie umiał, czy nie chciał z niej korzystać; niefortunny też zwyczaj, lubo pospolity w naszym powieściopisarstwie, częstego przeplatania powieści własnymi komentarzami, odbierający jej właściwą artystyczną przedmiotowość; sprawiają, że ta powieść, pod względem sztuki, jest dziełem bardzo ułomnem, gdy brak wyraźnej tendencji i niezmiernie słaba charakterystyka obyczajowa, nie mogą się przyczynić do wyjaśnienia żywotnych zadań społecznych.

R. B.

KORESPONDENCYA

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Na skutek nadesłanego mi łaskawie przez p. Kajetana Kraszewskiego wyjaśnienia, uważam za potrzebne sprostować podany przeze mnie w „Pogadance o Fraszkach Kochanowskiego” sposób czytania Fraszki: „Raki.” To, co tam o tém powiedziałem, zawdzięczam wykładowi zacnego naszego niegdyś nauczyciela ś. p. Teodozego Sierocińskiego. Obecnie jednak przekonano mię, że, jak to sama już nazwa „Raki” wskazuje, łamigłówkę tę poetycką czytać należy raz tak jak jest, a drugi raz naodwrot; co wskazuje nawet rym, starannie w każdym rozpoczynającym wiersz wyrazie odznaczony. Tak więc, idąc po zwyczajnemu, mamy np.:

Folgujmy paniom, nie sobie, ma rada,
Miłujmy wiernie, nie jest w nich przysada.
Godności trzeba, nie za nic tu cnota,
Miłośoi pragną, nie pragną tu złota...

Cofając zaś rzecz tę rączym niby pochodem, wypadnie:

Rada ma: sobie, nie paniom folgujmy,
Przysada w nich jest, nie wiernie miłujmy.
Cnota tu za nic, nie trzeba godności,
Złota tu pragną, nie pragną miłośoi... i t. p.

Proszę przyjąć zapewnienie powolnych moich usług.

Felicyan.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE, ARTYSTYCZNE I SPOŁECZNE.

WARSZAWA.

Sierpień 1881 r.—W planie godzin języka polskiego, w średnich zakładach naukowych męzkich i żeńskich, w których język polski, według woli Najwyższej, winien być wykładany na równi z językiem francuskim i niemieckim, po wielu trudach i mozołach naczelników dyrekcyi naukowych i dyrektorów, po przebyciu rozmaitych labiryntów (zob. „Bibl. Warsz.“ zeszyt za maj r. b., str. 310—312), urodził się dla pielegnowania tego najmłodszego nowożytnego nieboraka, jak podaje „Gazeta Warszawska“ (nr. 183) następujący projekt: „W gimnazyach męzkich godzin tygodniowych 19; z tych: dla klasy przygotowawczej, pierwszej i drugiej po trzy godziny; dla klasy trzeciej, czwartej, piątej i szóstej po dwie godziny; dla klasy siódmej i ósmej po 1 godzinie; w szkołach realnych godzin tygodniowych 18: po 3 godziny w każdej z sześciu klas; w gimnazyach żeńskich godzin tygodniowych 18, po 3 godziny w każdej z sześciu klas. W gimnazyach męzkich, jeżeliby wprowadzenie wykładu literatury przedstawiało trudności, wówczas projektowane godziny dla klasy 7-jej i 8-jej będą przeniesione do klasy przygotowawczej. Nauka języka polskiego nie ma być obowiązkowa, a tylko dla życzących. Płace nauczycieli pozostają według dotychczasowej normy: w gimnazyach męzkich 600 rs. za 12 godzin obowiązkowych, w progimnazyach 400 rs. za 8 godzin i w szkołach realnych 500 rs. za 10 godzin. Reszta godzin, które mogą być rozdzielone i pomiędzy innych nauczycieli, zostających przy respective zakładach, opłacane będą z oddzielnego funduszu, mającego się wyjednać u władzy wyższej. W skutek braku miejsc w gimnazjach w Warszawie, postanowiła miejscowa władza edukacyjna otworzyć w bieżącym roku szkolnym klasy równoległe przy gimnazyach i szkole realnej. Nim minister Oświecenia wyasygnuje potrzebne fundusze, postanowiono zaczerpnąć potrzebną dla oddziałów szkoły realnej 4-ch oddziałów gimnazjalnych kwotę z kasy miejskiej, na co odpowiednie organa się zgodziły, warując pierwszeństwo dla dzieci mieszkańców Warszawy. Tym sposobem przedstawia się obraz klas równoległych w następują-

cych cyfrach: 1) w Warszawie: w gimn. I-m przy kl. 1, 2, 3 i 4; w gimn. II-m przy kl. 1, 2 i 3; w gimn. III-m przy kl. 1 (2 oddziały), 2 (2 oddziały), 3, 4 i 5; w gimn. IV-m przy kl. 1, 2 i 3, w gimn. V-m przy kl. 1, 4 i 5; w gimn. VI-m przy kl. 3; w szkole realnej 6 oddziałów (przy każdej klasie po jednym); razem więc w Warszawie oddziałów 27. Na prowincyi w gimn.: 2) w Kaliszu przy kl. 1, 2, 3, 4 i 5; 3) w Radomiu przy kl. 1, 2, 3 i 4; 4) w Kielcach przy kl. 1, 2, 3 i 4; 5) w Lublinie przy kl. 1 (2 oddziały), 2, 3 i 4; 6) w Siedlcach przy kl. 1, 2 i 3; 7) w Suwałkach przy kl. 2; 8) w Maryampolu przy kl. 2, 3, 4 i 5; 9) w Łomży przy kl. 1, 2 i 3; 10) w Płocku przy kl. 1, 2, 3, 4 i 5; w progimnazjach: 1) w Częstochowie przy kl. 1 i 2; i 2) w Zamościu przy kl. 2, razem na prowincyi oddziałów 37; ogółem więc we wszystkich zakładach oddziałów 64.

— Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu Warszawskiego ogłosił temata do rozpraw na medale: 1) Z historii powszechniej: „Państwo i Kościół w Polsce w XV stuleciu.“ Źródła do rozprawy: a) z Długosza: „Dzieje Polski“ ks. XII; b) Jana Ostroroga: „Pamiętnik;“ c) Caro: „Geschichte Polens;“ tom III i IV; d) Dzieduszyckiego: „Zbigniew Oleśnicki;“ e) Bobrzyńskiego: „Jan Ostroróg.“ 2) Z języka greckiego i literatury greckiej: „Fonologiczne i morfologiczne właściwości języka Teokryta, w porównaniu z mową attycką.“ 3) Z historii literatury rosyjskiej: „Bajki Sumarakowa w porównaniu z bajkami innych pisarzy.“ Na wydziale fizyczno-matematycznym ogłoszone zostały następujące temata: 1) Z matematyki: a) „Zależność własności linii krzywych od formy wyrażenia współrzędnych w funkcji dowolnego parametru;“ b) „Rozwiązanie równań algebraicznych za pomocą funkcji transcendentnych.“ 2) Z mechaniki: „O ruchu ciała twardego w cieczy.“ 3) Z fizyki: „Teoretyczne i doświadczalne określenie elektrycznego działania kondensatora.“ Wydział nauk przyrodzonych wybrał do rozpraw na medale następujące temata: 1) Z botaniki: „Systematyczne zbadanie przedstawicieli klasy wodorostów, dających się spotykać w okolicy Warszawy.“ 2) Z mineralogii: „Porównawcze mikroskopijne zbadanie głązów eratycznych z okolic Warszawy z tego rodzaju głązami w północno-zachodniej Rosyi i Szląsku.“ Pożądaną byłoby rzeczą, aby autorowie zwracali uwagę na pokłady górne Finlandyi, Szwecyi i Norwegii, i aby porównali z niemi pokłady górne, z których się składają głązy w okolicach Warszawy, w celu prawdopodobnego oznaczenia ich pochodzenia. 3) Z chemii (temat zeszloroczny): „O reakcyach, którym towarzyszy intramolekularne przegrupowanie atomów w związku z teorią budowy związków organicznych.“

— Sesya czwarta kongresu literackiego międzynarodowego, który obradował 1-szy raz w Paryżu r. 1878-ym, 2-gi w Londynie 1879, 3-ci w Liczbonie 1880 r., odbędzie się r. b. w Wiedniu w 19, 20, 21, 22, 23 i 24 września. Przedmiotem obrad będą następujące kwestye: 1) O postępie dokonanym w przyjęciu i zastosowaniu zasad przez poprzednie kongresy uznanych, a w szczególności o wynikłój w następ-

stwie konwencyi międzynarodowej dla protekcyi własności literackiej, jak również i artystycznej. 2) O ujednostajnieniu rozmaitych prawodawstw niemieckich co do własności literackiej. 3) Studium o prawodawstwie rosyjskiem w sprawie własności literackiej, a w szczególności pod względem prawa reprezentacyi. 4) Studium nad konwencjami literackimi międzynarodowymi pomiędzy państwami, których ludność używa tego samego języka, a w szczególności pomiędzy W.-ką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej oraz pomiędzy Portugalią i Brazylią. 5) O uprzedzeniach, według których typy cudzoziemskie są w ogólności przedstawiane w utworach literackich każdego narodu. 6) O stowarzyszeniu literackim międzynarodowym i o środkach praktycznych rozprzestrzenienia jego działalności i zapewnienia jego rozwoju. Do biorących udział w kongresie (członkowie stowarzyszenia, delegowani rządów i towarzystw pokrewnych stowarzyszeniu, literaci i publicyści specyalnie zaproszeni, przedstawiciele prasy), dopuszczają się także i panie, znane na polu literatury.

— Patryotyczne usiłowania narodu czeskiego zbudowania w Pradze teatru narodowego, usiłowania, podjęte przed 30 laty w smutnej dobie poniewierania i deptania przez kamarylę niemiecką w Wiedniu języka czeskiego, zniweczył w kilka godzin pożar, jaki wynikł w d. 12 sierpnia r. b. przez nieostrożność rzemieślników, kończących roboty blacharskie pod dachem. Wypadek ten zadał bolesną ranę w serce całego narodu czeskiego, który od najuboższej chaty do magnackiego pałacu składał swój grosz na ołtarzu upragnionej świątyni narodowego języka i narodowej sztuki. Mówiąc w roku zeszłym o zbiorowym na ten cel wydawnictwie pod tyt.: „Narod sobie“ (zob. „Bibl. Warsz.“ 1880 r., t. II, str. 546 i 547), zaznaczyliśmy doniosłość tej sprawy, tu nadmieniamy, że grom ten, jaki spadł na naród czeski z pogodnego nieba, tém bardziej przeraził i zasmucił Czechów, że zgruchotał im tyle upragnioną, a już tak bliską urzeczywistnienia nadzieję otwarcia w dniu 11 września r. b., z wielką uroczystością tej świątyni narodowej przy współudziale innych Słowian. Jak przystało jednak dobrym synom ojczyzny, doświadczanej okrutnie przez tyle lat absolutyzmu niemieckiego, Czesi nie upadli na duchu; ale zagrzebawszy w zgłiszczach dumnej wspaniałej budowy przeszło milion zł. reńsk. w. a., rozpoczęli z śmiałą energią nowe składki, aby w przeciągu 2-ch lat zbudować nowy teatr narodowy. Dzisiejsza chwila pomyślniejszą jest od tej, w której przed 30-tu laty do tego dzieła się zabrano: język czeski ma sobie wrócone i zagwarantowane swoje przyrodzone prawa w szkole, w sądzie i urzędzie, rozwija się i kształci swobodnie na katedrach uniwersytetów, w prasie i w dziełach naukowych. Co dziwniejsza! w chwili, w której przy obudzonej silnie indywidualności narodowej, na ziemiach słowiańskich idee panslawistyczne, tyle razy skompromitowane, są każdemu narodowi wstrętne, odezwało się u innych Słowian, jak najszersze współczucie dla strapionych tą klęską pobratymców Czechów. Co więcej: nawet pieniący się niedawno z nieprzyjaźni względem Czechów Niemcy, zapomnieli w tej chwili o zagrożonych (?) niby

interesach Germanii, a pokazali się ludźmi czuć umiejącymi. W gruncie natury ludów ucywilizowanych nie spoczywa tedy nieuśmierzona nienawiść plemienna: ślepy fanatyzm rodzi tylko tę zmięć i podnieca ją do ciągłego syczenia na współbraci. Rozumie się samo przez się, że i Galicya, jakkolwiek w nieświeatnych, jak wiadomo, interesach ekonomicznych i w obec naglających własnych potrzeb, śpieszy ochoczo ze składkami dla powiększenia bratnim groszem ofiar na teatr narodowy czeski, który przy tak wszechstronnej ofiarności (sam cesarz austriacki ofiarował 20,000 złr. w. a.) nie wątpimy, że powstanie ze swoich popiołów, w przeciągu dwóch lat, na pociechę patryotów i na pożytek cywilizacyi narodowej.

— Niejaki p. Henryk Parville w „Journal des Débats” czyni następujące uwagi względem lata tegorocznego, które odznaczyło się nadzwyczajnemi upałami, w zachodniej Europie bardziej, niż u nas, gdzie dni gorące częstokroć były przeplatane chłodnemi nocami. Pan Parville zwraca uwagę na peryodyczność tego stanu powietrza, który, zdaniem jego, znajduje się w związku ze zmianami położenia słońca i księżycy względem kuli ziemskiej. Ilość ciepłika i wilgoci na ziemi w powszechności jest zawsze jedna; zmienia się tylko jej dystrybucya miejscowa. Na jednej stronie półkuli jest gorąco, na drugiej chłodno; tu zima mroźna, tam łagodna; na jednej linii izotermicznej, tu panują słoty, nawet pogoda i susza i t. d. Tak np. lato r. 1879 w całej prawie Europie środkowej było słotne, w Ameryce północnej upalne; początek zeszłej zimy na drugiej półkuli był nadzwyczaj wczesny i ostry. W górnej Kanadzie między 42 a 45° szer. półn. w końcu października r. z. używano sanny, a u nas do Bożego Narodzenia trwał czas jesienny. Wiosna tegoroczna w środkowej Europie była nadzwyczaj sucha, w południowo-wschodniej dżdżysta, a różnica ta dała się nawet w naszym kraju widzieć, np. w północnych i środkowych stronach, nad Wisłą, Niemnem i dalej na Litwie, była posucha, a już na Podolu dawno nie pamiętają wiosny tak obfitój w deszcze. Strefa upałów tegorocznego lata obejmuje południowo-zachodnią Europę i sięga za Atlantyk. W Cincinnati, w stanie Ohio, w jednym miesiącu lipcu, około 400 osób uległo wypadkowi porażenia od słońca. Z Nowego Jorku, Filadelfii, Baltymory, o licznych też wypadkach podobnych donoszą. Otóż, powiada pan Parville, peryodyczność lat gorących a chłodnych, pogodnych a słotnych, wynika ze zmian w pochyleniu osi ziemskiej do ekliptyki i analogicznych zmian w położeniu księżycy względem ziemi. Pierwsze jest powodem, że słońce w pewnych peryodach mocniej ogrzewa półkulę północną, w innych południową; drugie sprawia silniejsze w pewnych peryodach ciśnienie powietrza, zkąd zmiany temperatury, deszcze i t. p. Co 6—7 lat, gdy wypada największe pochylenie półkuli północnej ku słońcu, następują lata gorące, poprzedzane zwykle, choć nie bezpośrednio, łagodnemi w naszym klimacie zimami. Co 3—4 lat, gdy przypada pochylenie osi księżycowej, następują lata chłodne, szczególnieij gdy ten okres schodzi się z okresem oddalenia się słońca (czyli raczej

pochylenia południowego kuli ziemskiej) od północnej strony naszego globu. Daty, które p. Parville przywodzi z roczników meteorologicznych na poparcie swego twierdzenia, okazują się w części niedokładne, w części świadczą o licznych zboczeniach owych okresów słonecznych i księżycowych. Lecz fakt pewnej peryodyczności pozostaje, przyczem nadmienić należy, iż skutkiem odległości geograficznych, wypadki dostrzeżeń meteorologicznych np. w Paryżu albo Brukselli, z warszawskimi nie zawsze się schodzą, lubo skutkiem panujących u nas, osobiwie w półroczu letniem, wiatrów zachodnich, zmiany temperatury w naszym kraju bardzo zależą od tych, które przypadają we Francyi. Z roczników meteorologicznych obserwatorium warszawskiego od początku bieżącego wieku (przed r. 1826 obserwacje prowadził prof. Antoni Magier w prywatnem obserwatorium), zaznaczamy: Zimy łagodne: r. 1805/6, 1806/7, 1809/10, 1816/17, 1817/18, 1818/19, 1821/2, 1824/5, 1825/6, 1833/4, 1834/5, 1842/3, 1845/6, 1848/9, 1851/2, 1852/3, 1858/9, 1863, 1865/6, 1866/7, 1868/9, 1872/3, 1873/4, 1877, 1877/8, 1878/9 ¹⁾. Lata gorące: r. 1807, 1811, 1819, 1826, 1827, 1834, 1839, 1846, 1850, 1852, 1859, 1861, 1868, 1873, 1874, 1875. Zimy ostre: 1804/5, 1808/9, 1812/13, 1813/14, 1814/15, 1815/16, 1819/20, 1820/1, 1822/3, 1829/30, 1837/8, 1840/1, 1844/5, 1847/8, 1849/50, 1854/5, 1860/1, 1861/2, 1864/5, 1870, 1870/1, 1879/80. Lata chłodne: 1805, 1806, 1810, 1815, 1816, 1817, 1818, 1821, 1832, 1836, 1838, 1844, 1849, 1856, 1864, 1867, 1869. Z tego wnosić można przynajmniej, że zachodzi pewien stosunek pomiędzy zimami łagodnymi, a gorącymi latami; z drugiej zaś strony, pomiędzy zimami ostre, a latami chłodnymi; że pierwsze (t. j. zimy) zwykle poprzedzają drugie, t. j., że po szeregu zim ostrych oczekiwać należy lat chłodnych, a po łagodnych, lat gorących; że peryody te chwieją się pomiędzy 6 a 11 laty; przyczem zauważyć należy, że w zwykłym porządku jest pewne stopniowanie, t. j., że pomiędzy krańcowymi latami gorącymi a zimnymi, stają szeregi lat mniej więcej umiarkowanych. Lata suche nie zawsze schodzą się z gorącymi i odwrotnie mokre z zimnymi, gdyż opady atmosferyczne rozmaicie się rozkładają w porach roku, w ogóle jednak maxima i minima opadu zachodzą w odwrotnym stosunku do maximum i minimum temperatury. Pan Parville mniema, że na rok bieżący przypada minimum wilgoci, która się osadza z opadem atmosferycznym; że rok następny będzie jeszcze mniej więcej suchy; ale trzeci z rzędu (1883) już wilgotny, a rok 1884 przypomni rok 1879.

R. B.

— W zamian za projektowaną w czerwcu r. b., ale niedosłą wystawę roślin, postanowił komitet Muzeum Przem. i Roln. urządzić w jesieni pierwszą ogólną wystawę ogrodniczą w Warszawie, która ma się odbyć od dn. 20—25 września r. b., przy zakładzie wód mineral-

¹⁾ W spisie obecnym r. 1863 i 1877 oznaczamy jedną liczbą, ponieważ początek zimy w tych latach był częściowo mroźny.

nych w ogrodzie Saskim. Wystawa ta będzie ogólna, t. j. obejmie warzywa, owoce i rośliny. Nagrody będą udzielane tak za ogół wystawionych przedmiotów, jak i za szczegóły. Bliższe szczegóły zawiera Nr. 16-ty „Ogrodnika Polskiego” z dn. 15 sierpnia, tudzież dołączony do niego szczegółowy program. Deklaracje przyjmuje komitet do dn. 5 września.

— Z powodu zjazdu uczonych naszych badaczy natury w Krakowie, wyszła u Wład. Anczyca i Sp. w Krakowie, bardzo pożądana książka p. t.: „Zbiory i zakłady przyrodnicze i lekarskie Krakowa.” Rzecz na tle historycznym opracowana zbiorowemi siłami pod redakcją dr. J. Rostańskiego (str. 224), z 5-ma drzeworytami w tekście. Książka ta, przedstawiająca się jako „Upominek dla uczestników III-go zjazdu lekarzy i przyrodników polskich,” jest pożądanym dokładnym przewodnikiem po naukowych zakładach królewskiego grodu. Czytamy tu w treściwym wykładzie historią odpowiednich zakładów naukowych, opis gabinetów i pracowni w uniwersytecie, szpitali, biblioteki i t. p. wraz z ogólnym zarysem dziejów nauki lekarskiej i przyrodniczej w krakowskiej Szkole głównej.

— „Encyklopedyi wychowawczej” wyszedł zeszyt 2-gi tomu II, zawierający następujące artykuły: „Bentham,” p. K. K. (dok.); „Bentkowski,” „Benzef,” p. F. Str.; „Bernardin de Saint-Pierre,” p. L.; „Berquin,” p. L.; „Bethamidrasz,” p. F. Str.; „Bezinteresowność,” p. J. O.; „Bibliografia pedagogiczna polska” (str. 102—160. Początek).

— W ostatnich dniach miesiąca sierpnia wyszły dwie książki szkolne, niezbędne przy nauce języka polskiego, mianowicie: Adolfa Dygańskiego: „Wypisy polskie.” Część niższa. Warszawa, 1881. Nakł. Bern. Lesmana (str. 176. Cena kop. 45) i Antoniego Bądzkiewicza: „Wypisy polskie.” Część średnia. Warsz., 1881. Nakł. Gebethnera i Wolffa (str. 451, VII. Cena kop. 75). Jakkolwiek w literaturze naszej pedagogicznej nie brakuje tego rodzaju podręczników, to pojawiające się wciąż na tém polu nowe książki dowodzą, że zachodzi potrzeba uzupełnienia i udokładnienia dawniejszych „Wypisów.” Ujemne strony w tego rodzaju publikacjach wynikły głównie ztąd, że autorowie nie zdawali sobie dokładnie sprawy z zadania i metody, jakiej przy tego rodzaju pracy trzymać się wypada. Wobec gwałtownej potrzeby przy ponawianej nauce języka polskiego, należy się prawdziwa wdzięczność sz. autorom i nakładowcom za podjęcie tej pracy. Nie mogąc w ostatniej chwili w tém miejscu zapuszczać się w dokładny rozbiór przedstawionych dzieł i to dopiero rozpoczętych („część niższa,” „część średnia”), nadmieniamy, że „Wypisy” mogą mieć trojakie znaczenie: 1) mogą służyć za podręcznik, za zbiór wzorów językowych przy nauce *gramatyki* języka polskiego (Wypisy galicyjskie Sucheckiego); 2) mogą zawierać w chronologicznym porządku *wzory z autorów* (prozaików i poetów), jako przykłady przy wykładzie historii literatury; 3) mogą starać się o najlepsze utwory pod względem *stylu* przy nauce poprawnego mówienia i pisania w języku polskim. Dla grunto-

wnego poznania „poetyki“ potrzebne są osobne Wypisy „Wzorów poezyi,“ których doskonały wzór pozostawił nam H. Cegielski. Książki pp. Bądzkiewicza i Dygasińskiego nie odzwierciedlają w swojej treści wybitniejszego planu, nie wskazują, której potrzebie pragną przedewszystkiem zadość uczynić; ale mają tę zaletę, że nie są „Wypisaniami“ z „Wypisów,“ lecz przedstawiają materiał samodzielnie zebrany i w każdym razie informacyjny, chociaż w opisie np. Sandomierza, Gniezna, Łowicza p. J. U. Niemcewicza z r. 1828, nie pozna uczeń aktualnego stanu tych miast. Ważną rzeczą przy książkach szkolnych jest druk poprawny; omyłki drukarskie szpecą najbardziej książkę taką, jak „Wypisy.“ Będziemy się starali wrócić do tego przedmiotu na inném miejscu.

— Świeżo wyszła broszura p. t.: „Broń przeciwko germanizacyi ziemi słowiańskiej,“ (napisana) przez Stanisława Bończę-Protaszewicza, Warszawa, 1881, str. 32. Germanizacya! Ileż to już nie wyrzuciliśmy pocisków, wzgardą i nienawiścią zatrutych, przeciwko temu molochowi! Czy to nadmierne wyteżenie wzroku w jedną stronę nie zaciemnia nam przypadkiem poglądu na niebezpieczne podkopywanie bytu indywidualnego poszczególnych narodowości słowiańskich przez inne machinacje i postęпки? Pan Protaszewicz, przestraszony wysuwaniem się ziemi polskiej z rąk jej rodzimych właścicieli, już to w skutek osławionej naszej niegospodarności, już też w skutek przełożonych dekretoń,—szuka skutecznego środka na odwrócenie grożącej imieniowi polskiemu zagłady. P. Protaszewicz znajduje skuteczny środek przeciwko temu niebezpieczeństwu w odprzedawaniu, w razie gwałtownych okoliczności, z większych majątków małych przestrzeni, choćby pojedynczych zagonów włościanom sąsiadującym. Projekt ten znalazł nawet poklask u p. F. O. W. w „Tygodniku rolniczym“ (Nr. 30 r. b.) w zamasyjstiej deklamacyi na temat: „Parcelacya większych posiadłości ziemskich.“ Pan F. O. W. biorący się z wielką energią do dzieła, doradza uporządkowanie i zorganizowanie tej operacyi przez nową Spółkę, zapominając o tém, że robione przez Stowarzyszenie krakowskie próby zawiodły. Pan Protaszewicz powinien był, zastanowiwszy się głębiej nad kwestyą, której najśmielsze geniusze dorywczo nie rozwiążą, przyjść do przekonania, że broń przez niego zalecana jest nietylko obojętna, ale i nadzwyczaj krucha. Cóż się bowiem stanie z owemi rozparcelowanemi zagonami, jeśli w niedalekim czasie potrafi jaki domorosły agent plantatorów amerykańskich, pobudzić tych osiadłych na zagonach włościan do emigracyi zamorskiej, jak się to dzieje w tak zatrważającym stopniu z osiadłymi gospodarzami w W. Ks. Poznańskim? Apostołowie parcelacyi mylą się, jeżeli sądzą, że wśród dzisiejszych naszych stosunków włościanin potrafi i zechce reprezentować godnie naszą indywidualność narodową nazewnątrż: podsycana przez niesumienną spekulacyą powszednich agentów parcelacya, burzy i niweczy podstawy życia i obowiązków obywatelskich, których spekulanci na swoje barki nie wezmą. Oświata, gospodarność, oszczęd-

ność, wyrzeczenie się ostentacji i zbytku, mają podług p. Protaszewicza, dopomódz owemu pierwszemu niefortunnemu środkowi; i na to będzie zapewne pomiędzy wszystkimi Polakami zgoda, prócz tych reformatorów, którzy, roztrwoniwszy ojcowiznę, torują postępowej—bo nowej—ekonomicznej drogę wśród zacofanych nieuków, nie wiedzących o tém, że „latifundia zgubiły Rzpłtą rzymską” za świetnych rządów prokonsulów rzymskich! Miłość i synowskie przywiązanie do rodzinnego gniazda, oszczędne porządkowanie tej ojcowiskiej strzechy przy pilności, gospodarności i życiu oszczędném, nie znającém zbytku i próżnej ostentacji, to jest, mówiąc słowy broszury polskiej z roku 1682, jedyna „Recepta na to, abyśmy się długo w ojczystej ziemi osiedzieli.” (Ręk. Acta Oniasza, Vol. V, str. 242—253).

— Pan Adam Goraj (pseudonim) wydał w osobnej odblasku swojej nie bardzo zręczną gawędę w „Kuryerze Warszawskim” (N. 148—199) o tendencyjnym kierunku pracy P. Chmielowskiego „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu.” Żałujemy, że wśród wielkiego nieprzyjemnego szumu słów, mało znachodzimy w tej pracy naukowej treści. W obec rejestru wielkich czynów jednych osobistości, postawiono pokazać dosyć rejestr wielkich czynów zapoznanych lub tendencyjnie lekceważonych osobistości. Krytyka na takim gruncie długo się nie utrzyma, chyba że podtrzymywać i usprawiedliwiać ją będą słabsze jeszcze i niezręczniejsze głosy od tego, jaki usłyszeliśmy w „Liście otwartym” do p. W. Przyborowskiego. Książka p. Chmielowskiego jest pracą nierównomierną, przedstawiającą tak co do metody, jako i co do samego założenia, niemniej i co do poglądu na pojedyncze kwestye estetyczne, literackie i naukowe wiele stron słabych, co się i większym i starszym od p. Chmielowskiego autorom także przytrafiało. Zamiast wykazać, że główny błąd pracy p. Chmielowskiego tkwi w rozdziale całego materiału literackiego na dwie osobne części, z których w drugiej trzeba powtarzać zasady i poglądy pierwszjej, z czego nie małe wynikało zamieszanie i gwałtowne nieraz uciążanie; zamiast zastanawiać się nad tém, czy modne dzisiaj lekceważenie idei epoki romantycznej (usprawiedliwione u nas na polu pracy społecznej i ekonomicznej) da się skutecznie obronić i za ideę postępową w literaturze i sztuce uznać; zamiast okazania na kilku donioślejszych postaciach myślniej charakterystyki, fałszywego poglądu na stosunek nowszej literatury do prac dawniejszych w organicznym ich związku; czytamy tak po stronie adwersarzy p. Chm. jako i obrońców („Nowiny,” „Prawda”) propagandę postępowych idei swoich wielkich znajomych—i to często w wyrazach, z których nie znający bliżej naszych stosunków literackich mógłby sądzić, że u nas dobre wychowanie a nawet owa pożądana humanitas nie chodzi w parze z poważną nauką i z istic obywatelskimi dążnościami.

— Pracujący z chwałebną wytrwałością od wielu już lat na polu literatury ludowej Józef Grajner, redaktor pisma ludowego: „Zorza,” rozpoczął nowe wydawnictwo w obranym przez siebie kierunku, mianowicie wydawnictwo p. t.: „Powiastki historyczne (z dziejów polskich)

dla młodzieży i ludu naszego." Warszawa, w drukarni Em. Skiwskiego, 1881. Dotychczas wyszły cztery książeczki, które zawierają następującą ośnowę: I. a) Dwaj bracia Litwini (z czasów króla Sobieskiego); b) O księciu Dymitrze; c) O Hryciu Rusinie (z wojny wołoskiej). II. a) Przygody Czecha Tomaszka (z wojen polskich z Krzyżakami); b) Dzielna dziewczyna (z czasów najazdu Szwedów na Polskę). III. Marcin Mrąga (powiastki z ziemi kaszubskiej). IV. Dziwne przygody Lorka Szlązaka (z czasów Piastowskich). Cena każdej książeczki kop. 10. Oceniając sprawiedliwie szlachetną intencją sz. autora oświecania „maluczkich," pragnęlibyśmy cokolwiek innego tonu w tych powiastkach dla ludu. Ośnova opowiadania dla ludu powinna obfitować przeważnie w fakta, w czyny i zdarzenia, dające się prawie namacać, wzrokiem dokładnie objąć. Rozczulaniam się zaś nad pięknymi widokami okolicy, lub nad zachodzącym słońcem; zbyt częstym moralizowaniem i dotykaniem prawie napominaniem, z wielkim umiarkowaniem szafować należy. W każdym razie zasługuje praca p. Grajnera na jak najżyyczliwsze poparcie i rozpowszechnienie między ludem.

— Nakładem redakcyi „Wędrowca" wyszły z druku „Obrazki z życia północno-wschodniej Afryki," skreślił Jan Finkelhaus, Warszawa, 1881, str. 312. Jeżeli podróżować, to oprócz pieniędzy, trzeba mieć z sobą perspektywę, zapas wyobraźni i dobrego humoru: perspektywę, aby daleko sięgać okiem, wyobraźnią, aby widzieć to czego się nawet nie oglądało, humor, aby się pogodzić z rozmaitemi przygodami podróży, które czasem mogą nie być przyjemnymi. Zdaje się, że tego wszystkiego nie brak p. Finkelhausowi. Wszędzie zajrzeć potrafi i do wnętrza mieszkań maurytańskich i do namiotów kabylskich i pod zastony niewiast muzułmańskich. Ma imaginacyę, bo widział jak przed dwudziestokilku laty cesarzowa Eugenia, odwiedzająca Algeryę, przerażona widokiem Arabów, padających tłumnie na kolana przed marabutem (!) Napoleonem III, pieszczotliwie ukrywała swoją główkę w poduszkach powozu; choć zapewne nie był przy tém, chyba że to czytał w znaném arcydziele „Eugenia, czyli tajemnice zamku w Tuilleryach." Wreszcie i humor dobry musi mieć ten, kto puszcza się na morze w oczekiwaniu burzy, dla przyjemności morskiej choroby „którąj nieszczęśliwie kilka razy uniknął." Z takimi zasobami, pojąć można, że podróże p. Finkelhausa po Algeryi i Tunetanii nie zostały bezowocnemi. Już „Wstęp" zachęca czytelnika do odczytania obrazków z życia krajów, w których „głód zimy nie oziębi zapałów idealisty... mizantrop odnaleźć może zakątek, gdzie go nawet nie ba odszukać nie będą w stanie; człowiek praktyczny, odłogiem leżące grunta, niezadowolony z europejskiej cywilizacyi, pierwotną prostotę Beduinów i Arabów; myśliwy pyszne lasy i zwierzynę niemal tęskniącą za hukami fuzyi a nawet klerykalizm (!) pracę (?) więc zbawienie, bo dziewczę i nieumierzone jeszcze jego balsamami umysłu..." Tu autor przerywa, zapewne zadowolony ze swego dowcipu... Ten towarzyszy mu wszędzie: w wagonie kolei z Paryża do Marsylii, gdzie prawi

komplimenta elegantce, której „suknia akcentowała o tyle urocze kształty, że plastyczny ich opis choćby w połowie, naraziłby autora na lekkie skrzywienie czytelniczki;“ i w Café de Paris w Marsylii, pośród radykalistów odgrażających się potraktowaniem biskupa za zamiar uroczystego wjazdu do miasta, z mocy jakiegoś starego prawa głupiego jak jego twórcy;“ od których z zadziwieniem dowiaduje się p. Finkelhaus, że w Marsylii na 500 mieszkańców jest jeszcze 1 klerykał (!) a przytem wzdycha na myśl, że w zimnym kraju, w którym się urodził „ciemności atmosfery konserwują ciemności myśli;“ i pośród Arabów, których wyśmiewa za ich wiarę w Mahometą, i pomiędzy namiotami Ayadów, gdzie kokietuje kabylską dziewczę. Lecz zdaje się nam, że téj soli może cokolwiek zanadto i co do nas, wolelibyśmy żeby autor, który jest „złośliwy“ jak to mu trzykrotnie (jeżeli nie więcej) powiedziały w wagonie kolei żelaznej w Algeryi i w Kabylii ładne kobiety—raczył już być cokolwiek dobrym i choć od czasu do czasu, przemawiał przystępniejszym stylem do czytelników, którym „zimna przygniatają ducha“ i... konserwują ciemności myśli.“ Większość bowiem tych czytelników nie jest tak szczśliwa, jak ci marsylczycy, którym „gazety gwałtem pakuują zdrowe myśli do głowy, w rodzaju np. takich (których się podziwia p. Finkelhaus): „Obywatele! braterstwo! równość!... Jedynym naszym nieprzyjacielem jest klerikalizm... utnijmy mu głowę“ i t. d. „Obrazki z Afryki“ przypominają „Wspomnienia z podróży“ Trypplina, który nieraz mocno nadużywał łatwowierności czytelnika, ale miał tę zaletę, że jego facecye swojego czasu były świeże. Najprzyjemniej czytają się te ustępy „Obrazków Afryki,“ gdzie sam przedmiot zniewala autora być mniej lekkim i każe mu zwyczajniejszym już językiem śmiertelników przemawiać. Taki jest np. rozdział piąty części pierwszej, gdzie autor opisuje stan obecny Algeryi. Wizerunek Algeryi, może nazbyt różowy, przedstawia się dosyć żywo. Zarysy Tunisu bardziej pobieżne. W ogóle, z pominięciem epizodów nieco efektownych i zbytcej dozy soli, rzecz budzi dosyć zajęcie i o zdolności pióra p. Finkelhaus'a daje korzystne wyobrażenie. Pod względem języka, widać szkołę pisarzy młodej generacyi, którzy chcą koniecznie wzbogacić polszczyznę takimi wyrazami jak: obezsilony, ciepłota (str. 43), tuziemcy (zamiast krajowcy), sondaż (str. 88) i t. p.

R. B.

— W kwestyi językowej. Pośród wielu rusycyzmów, które ostatniami zwłaszcza laty wkrały się do naszej mowy, zwracamy uwagę na błędne używanie nazwisk rosyjskich, które z powodu odrębności formy, niełatwo spolszczyć się dają. Czytamy np. w pismach: artykuł „Nowego wremieni;“ podał do „Moskiewskich wiadomości“ i t. p. dziwolągi, w których połowa tytułu jest spolszczoną, druga zaś rosyjską. Tymczasem błędów takich łatwo uniknąć przez zastosowanie ustalonego w naszym języku prawidła, że wyraz cudzoziemski, gdy formą odbiega od przyjętej w polskim języku postaci, staje się nieodmiennym. Tak nieodmienne są wyrazy zakończone na um, wzięte z łacińskiego,

np. kolegium, gimnazjum, obserwatorium i t. d. Nie powiemy: legitymiści urządzili bankiet na cześć swego *Roya*, ale „Roy,” nie dzieło Wiktora Huga, ale *Hugo*, interpelacya Clemenceau (nie Clemenceau!). Przeciwnie, powiemy: Grévego, Gambette, Gladstona, Taafego i t. p., bo te nazwiska eufonicznie do form polskich się stosują. Podług tego więc, będziemy odmieniać na sposób polski nazwiska: „Gołos,” „Motwa,” „Wiernik” i t. p., ale pozostawimy nieodmiennemi: „Nowoje wremia,” „Porjadok” i t. p. bo gdybyśmy je chcieli asymilować, wypadłoby podług analogii, formę rosyjską mia, zastąpić przez polską mię, gdy język rosyjski nie ma samogłosek nosowych; formę ok zastąpić polską ek, albo też odmieniać „Porjadoka’owi” i t. d. podług wzoru rok, stok i t. p. Jeżeli chcemy uniknąć formy obcej, to daleko prościej będzie przełożyć te nazwy na język polski, np. „Nowy czas,” „Gazeta moskiewska,” „Porządek” i t. d. Nazwiska rosyjskie zakończone na ow, podobnie jak niemieckie, albo prusko-niemieckie, dają się zastosować do odmian polskich. Powiemy więc: Górczakowa, Gutzkowa i t. p. Również rosyjskie zakończenie na ew, je w. *R. B.*

— Dla informacyi o sprawach bieżących w Galicyi, pożyteczném jest dziełko p. Fr. Kon. Abancourt: „Era konstytucyjna austriacko-węgierskiej monarchii od 1848 do 1881 r. omówiona z uwzględnieniem walki autonomistów z centralistami.” Kraków, 1881 r., str. 340.

— Benoni Kar. dr.: „Sprawozdanie z czynności komisji zarządu głównego Tow. pedagogicznego, wydelegowanej do rozpatrzenia, spraw szkół średnich.” Lwów, 1881 r., str. 46.

— Dla badaczów mythologii: Gustawicz Bronisław: „Podania, przesady, gadki i nazwy ludowe w dziedzinie przyrody.” Część I: „Zwierzęta” (Odbitka ze zbioru wiadomości do antropologii krajowej; t. V). Kraków, 1881 r., IV, str. 85.

— Lewickij Iwan Em.: „Obozrienije obszczestwenno-ekonomicznogo stroja na jużnoj Rusy w kniażeskyj period i w wremija polskoho władczestwa.” Lwów, 1881 r., str. 36.

— W Lipsku nakładem Wylchelma Friedricha, wyszła książka 12 arkuszy druku obejmująca, p. t.: „Polen u. d. Grossmächte.” Autor wykazuje, na podstawie historyi francuskiej, w jaki sposób sprawa polska służyła mocarstwom europejskim to za straszdyło, którem się wzajemnie przerażały, to znowu za lep, na który jedno drugie łapać chciało. W I-szej części („Nach dem Rein”), wykazuje autor, że i wypadki r. 1863 przez Napoleona III wywołane były (iluż to już za to nie powoływano winowajców??), aby mieć powód do najechnia Prus, któreby się w ten sposób były dostały we dwa ognie. (Autor musiał w r. 1863-im żyć w Australii lub w redakcyi „Norddeutsche Allgemeine Zeitung w Berliniel). Dalej dowodzi autor, że i Austria gotową była napaść na Prusy, aby z pomocą Francyi odzyskać Szlązk; Anglia zaś pozornie sprzyjała temu planowi, ażeby przez to szkodzić tylko znieprawdzonej Rosyi. Część II-ga p. t.: „Limurien,” rozbiera kwestyą wskrzeszenia Polski i jest ostrą, zjadliwą sa-

tyrą na państwa europejskie, z których żadne niezdolne jest do ofiar, potrzebnych do naprawienia złego, a każde przez swoich ministrów innych do tego kroku zachęca. Bismarck, Andrassy, Gortschakow, Derby i Beaconsfield zachęcają się wzajemnie do takiego kroku przedstawiając go jako rzecz obowiązku, honoru i sumienia. Jest to igraszka literata, naśladowującego agentów Bismarckowych!

— Towarzystwo antropologiczne w Berlinie wydało 12-ty swój rocznik za rok 1880 p. t.: „Zeitschrift fuer Ethnologie. Organ der Berliner Gesellschaft fuer Anthropologie, Ethnologie u. Urgeschichte.“ Red. R. Hartmann, R. Virchow, A. Voss. Berl. 1881.

— Prof. Tomaschek wydał „Ethnologische Forschungen ueber Ost-Europa und Nord-Asien I („Die Goten in Taurien“); Wien, 1881.

— Weissmann A. S.: „Chaim Prostack, historische Erzählung aus d. Entstehungszeit des Chassidismus in d. 2-ten Haelfte d. XVIII Jahrst. Lemberg, 1881 r., str. 100.

— Dr. Adolf Bauer: „Studien u. Beitræge zur Griechischen Historiographie u. Quellenkunde“ (Themistocles). Merseb., 1881 r.

— Dr. Jul. Steup.: „Thukidideische Studien.“ Freib. 1881 r., zesz. I, str. 92. Autor rozbiiera wojnę peloponeską, mianowicie fakt zawieszenia broni r. 423; kwestyą 50-cio letniego pokoju, tudzież kwestyą związku attycko-spartańskiego z r. 421.

— A. Bastian: „Die Vorgeschichte der Ethnologie.“ Berlin, 1881 r., str. 132.

— Dr. Ernst Gerland: „Leibnitzens und Huygens' Briefwechsel mit Papin nebst d. Biographie Papins und einigen zugehoerigen Briefen u. Actenstücken. Berlin, 1881 r., str. 400.

— Dr. Christ. Sigwart: „Benedict de Spinoza's kurzer Tractat von Gott, dem Menschen u. dessen Glückseligkeit.“ Z łac. tłóm. na niemieckie i objaśniony. Freib. 1881 r.

— Dr. Reinhold Biese: „Die Erkenntnisslehre des Aristoteles u. Kant.“ Berlin, 1881 r.

— Dr. Gustav Nachtigal: „Sahara u. Sudan, Ergebnisse sechsjähriger Reisen in Afrika.“ Berlin, 1881 r., cz. I-sza.

— Th. Keim: „Rom u. das Christenthum. Eine Darstellung des Kampfes zwischen dem alten u. dem neuen Glauben im roemischen Reiche während der beiden ersten Jahrhunderte unserer Zeitrechnung. Aus Th. Kedner handschr. Nachlass herausgegeben von H. Ziegler.“ Berlin, 1881 r.

— Dla badaczów archeologii zawiera ciekawą informacją dzieło p. t.: „Die Publicationen der Archaeologischen Instituts in Rom für 1880.“ Berlin, A. Asher et Comp., 1881 r.

— Dla badaczów antropologii: „Die anthropologischen Sammlungen Deutschlands.“ Nakład Vieweg'a w Brunświku. Jest to spis systematyczny całego materiału antropologicznego, jaki się w Niemczech znajduje, zebrany i uporządkowany z polecenia niem. Tow. antropol. p. H. Schaaffhausen'a. Berlin, I część wyszła 1881 r.

Dawniejsze cztery zeszyty zawierają skarby antropologiczne, jakie posiadają miasta Bonn, Getinga, Fryburg w Bryzgowii i Królewiec.

— Dr. K. H. Freiherr Roth von Schreckenstein wydał ponownie 2 starsze dzieła, ważne dla historyi kultury i zwyczajów Niemiec: 1) „Das Patriciat in den deutschen Staedten, besonders Reichsstaedten als Beitrag zur Gesch. der deutschen Staedte u. d. deutschen Adels. 1856 r.“ 2) „Geschichte der ehemaligen freien Reichsritterschaft in Schwaben, Franken u. am Rheinstrome. 1859—1871 r., t. 2.

— Dla architektów wyszło ciekawe dzieło p. t.: „Die Bauausführung, Handbuch fuer Bautechniker, Bauhandwerker und Bauherrn“ v. Friedr. Engel. Berlin, 1881 r. W tekście 1015 drzeworytów.

— Dr. J. Reinke wydał: „Lehrbuch d. allgemeinen Botanik mit Einschluss der Pflanzenphysiologie.“ Berlin, 1881 r.; z 295 drzeworytami w tekście.

— Do gruntownego badania historyi wieków średnich ważne pojawiły się 2 prace, mianowicie: 1) Carl Frey: „Die Schicksale des koeniglichen Gutes in Deutschland unter den letzten Staufern seit Koenig Philipp.“ Berlin, 1881 r. 2) Richard Sternfeld: „Das Verhaeltniss des Arelats zu Kaiser und Reich vom Tode Fridrichs I bis zum Interregnum.“ Berlin, 1881 r.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 9 sierpnia 1881 r. umarł w Podgórzu pod Krakowem **Karol Mecherzyński** b. profesor literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim. Ś. p. Karol Mecherzyński urodził się z rodziców, pochodzących z Ukrainy, w Krakowie 1800 r. Po ukończeniu nauk tak średnich jako i uniwersyteckich w rodzinném mieście, pozyskał 1825 r., stopień doktora filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim, po napisaniu i obronieniu rozprawy: „De philosophiae in poesi primordiis.“ Niebawem powołano ś. p. Karola na profesora języków polskiego i łacińskiego najpierw w liceum ś. Barbary, a następnie w gimnazjum ś. Anny. Obok gorliwego pełnienia obowiązków nauczyciela, pracował ś. p. Karol z zapałem; ale bez zwykłej dzisiejszemu zwyczajowi arogancyi na polu literatury. W r. 1830 redaguje razem z Pawłem Czajkowskim i Bandtkem „Pamiętnik krakowski;“ w latach 1835 i 1836 w wydawanym także w Krakowie Z. A. Helcia „Kwartalniku naukowym;“ składa prace swoje („Filozoficzne pojęcie historyi literatury polskiej“ Kwart. nauk., t. I), zmierzające do rozbudzenia zamiętowania badań dziejów ojczystych. Obok tych trudów w czasopismach, dowodzących ciągłej pracy i coraz doskonalszych postępów na polu badań naukowych, wydał ś. p. K. w tym czasie kilka większych prac swoich, mianowicie: 1) „Świadectwa uczonych krajowych i postronnych o kwitnącym stanie nauk w Polsce w wiekach dawniejszych.“ Rzecz czytana przy obchodzie rocznicy założenia Akademii krakowskiej, na posiedzeniu publiczném d. 2 czerwca 1828 r. W XIII tomie Rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego. 2) „Historia języka łacińskiego w Polsce“ (1833 r.); 3) „Prawidła pisania“ (1841 r.); 4) „O magistratach miast polskich, a w szczególności miasta Krakowa“ (1845 r.); 5) „Historia języka niemieckiego w Polsce“ (1846 r., tł. na język niem.). Po reorganizacji Uniwersytetu krakowskiego w r. 1833, przeszedł profesor literatury polskiej Paweł Czajkowski w stan spoczynku, a wykładający po nim literaturę powszechną Michał Wiszniewski, wspominał o polskiej dosyć obszernie, ale systematycznie jęj nie wykładał; a miewane w r. 1849 przez Lucjana Siemieńskiego chwilowe prelekcye o literaturze polskiej nie stawiały sobie zadania poważnego kursu, tak, że przez lat 17 nie było w Uniwersytecie krakowskim osobnej katedry tego przedmiotu. Dopiero w r. 1850 powołano ś. p. Karola z katedry

gimnazjum ś. Anny, na katedrę historii literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim. Nowe to zadanie wymagało od skromnego, cichego uczonego tym większych zachodów i usilnej pracy, że straszny pożar, jaki w r. 1850 nawiedził Kraków, pozbawił ś. p. Karola nie tylko przygotowanych licznych rękopisów i materyałów naukowych, ale i skrzętnie zebranej biblioteki i wszelkiego dobytku. Studya tedy rozpoczęte przed tą klęską a nieogłoszone drukiem przepadły! Człowiek skromnej obywatelskiej pracy nie umiał zwątpić o swoich siłach ani na duchu upadać. „Rocznik Tow. nau. krak.“ (r. 1850 „O duchu i dążności literatury polskiej XVI w.,“ „O poetach czasów Stanisława Augusta“) i „Biblioteka Warszawska“ rok 1849, tom III (Jan Kochanowski, Odrpawa posłów greckich) rok 1857, tom III (O powołaniu i pracach kaznodziejskich Skargi); rok 1859, tom II (O Morsztynach); tom III (Uwagi nad Filoktetem Sofoklesa); rok 1861, tom I (Wojna chocimska W. Potockiego); r. 1865, tom I (O literat. franc. w. XVII i XVIII); r. 1869, t. II (O fantazyi i humoryście w piśmiennictwie polskim); r. 1870, t. I (Rękopis Bieżanowskiego, historyografa Akademii krakowskiej z XVII w.) drukowały mnóstwo rozpraw ś. p. Karola; a obok tego wychodziły następujące obszerniejsze prace i dzieła: 6) „Przegląd literatury ludów wschodnich, poezyi greckiej, średniowiecznej polskiej XVI i XIX w.“ (Kraków, 1851); 7) „Historya wymowy w Polsce,“ t. I—III, 1856—1859. Tom drugi przedrukowano w r. 1864 p. t.: „Historya wymowy kaznodziejskiej w Polsce;“ 8) „O szkole P. Maryi w Krakowie.“ W dziele: „Zakłady uniwersyteckie w Krakowie,“ r. 1864; 9) „O reformie Akademii krakowskiej w r. 1780 przez Kołłątaja,“ r. 1864; 10) „Wiadomości o wetach parnaskich Wacława Potockiego z rękopisu. Krak., 1868; 11) „Uwagi nad dziełem L. T. Rycharskiego, „Literatura polska,“ r. 1868; 12) „Stylistyka, czyli nauka obejmująca prawidła dobrego pisania,“ dla użytku młodzieży, r. 1870; 13) „Wypisy polskie dla szkół żeńskich z najcelniejszych pisarzy krajowych zebrane,“ Kraków, r. 1872; 14) „Historya literatury polskiej dla młodzieży opowiedziana w krótkości,“ r. 1873, wydanie 2-e 1877 r.; 15) „Wypisy polskie dla szkół męzkich i żeńskich,“ Kraków, r. 1877; 16) „Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do historii i literatury polskiej,“ wydanie 2-e, Kraków, 1877, t. I. Pomnikowém wreszcie dziełem ś. p. Karola jest 17) przekład „Dziejów Długosza“ w wydaniu hr. Przezdzieckich. W roku 1871 opuścił ś. p. Karol katedrę uniwersytecką; a otworzona w roku 1872 Akademia umiejętności powołała zasłużonego emeryta na czynnego członka, powierzając mu kierunek wydziału filologicznego. Wydawnictwa Akademii zawierają ostatnie jego prace z dziedziny literatury. Prócz tego należy przypomnieć, że ś. p. Karol wydał swoim staraniem i nakładem poraz pierwszy „Poezye J. P. Woronicza,“ nie mniej, że zajmował się wydaniem kazań Skargi (nakł. bisk. Skórkowskiego) zeszyt. 8, tudzież, że w „Wieńcu“ wydanym na cześć Jachowicza drukował rozprawę „O stanowisku poetyckiem Dantego i o zna-

czeniu Boskiej komedyi.“ Ś. p. Karol nie miał porywającej wymowy, któraby z katedry imponować mogła; ale był dla uczącej się młodzieży przewodnikiem pewnym, systematycznym, gruntownym. W obejściu z ludźmi wyrozumiały, łagodny, uprzejmy (słowa prof. Łepkowskiego), szedł przez całe życie z pochodnią wiary, miłości i nauki, drogą pracy i trudu, z czułym sercem na wszystkie boleści i potrzeby ogółu. Ś. p. Karol zostawił młodzieży wzór jak się pracuje w ciszy i skromności z obowiązku i z przekonania, i jak służąc sumiennie krajowi, zdobywa się własnym trudem cześć na ziemi ojczystej!

SPROSTOWANIE

w tomie III-im Biblioteki Warszawskiej 1881 roku.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
156	12 od dołu	wyrażenia za autora	wyrażenia autora
157	15 od góry	przygotowanych	przygotowanej
157	18 od dołu	retoryków	retorów
161	12 „	w miesiącu maju	dnia 2 czerwca
161	12 „	ośmdziesiątym	ośmdziesiątym pierwszym
235	15 od góry	za Jana Kazimierza	za Zygmunta III
329	14 od dołu	w Lipsku	w Gotha.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny J. K. Plebański.

Wydawca Józef Berger.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM,

Z R. 1881.

stron.

Literatura.

Prądy współczesne w naszej powieściowej literaturze. Przez Romana Plonkiewicza.	1
Don Pedro Calderon de la Barca. Studium literackie. Przez Juliana Adolfa Święcickiego. (Dokończenie).	49
Treny Jana Kochanowskiego. Przez Władysława Nehringa.	165

Filologia.

O polskich przekładach tragedyi Sofoklesowych. Napisał Roman Zawiliński.	365
--	-----

Pedagogika i sprawy szkolne.

Rzut oka na prace naukowe XV walnego zgromadzenia Towarzystwa pedagogicznego w Krakowie, w dniach 18, 19 i 20 lipca 1881 roku. Przez Romana Zawilińskiego.	418
--	-----

Historya.

Słowianie meklemburscy i walka stronnictwa niemieckiego ze słowiańskim, przy wyborze biskupa dyecezyi szweryńskiej (1191—1195). Przez Stanisława Marońskiego.	22, 202
---	---------

Biografia.

Carlyle. Przez Edmunda Naganowskiego.	183
---	-----

Estetyka.

O architekturze u obcych i u nas. Uwagi ze stanowiska estetycznego. Przez Karola Matuszewskiego.	75, 231, 382
Estetyczne znamiona czasów i ich odbicie się w wyrobach kunsztu i przemysłu od XVI-go wieku do chwili obecnej. (Szkic o wy- stawie dzieł sztuki stosowanej do przemysłu w pałacu Brühlow- skim, od 14 czerwca do 17 lipca 1881 r.). Przez Karola Ma- tuszewskiego.	333

Powieść.

Siostra miłosierdzia. Powieść. Przez Emila Castelara. (Przekład z ory- ginału hiszpańskiego). Przez A. Gorajską. Tom II. (Ciąg dalszy).	94, 246, 406
---	--------------

Statystyka i nauki społeczne.

Kwestya żydowska ze stanowiska prawnego. Przez K. T.	110
Wystawa inwentarzy żywych w Warszawie. Przez Stanisława Rewień- skiego.	259

Nauki przyrodzone.

Sprawozdanie z trzeciego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, dnia 21—25 lipca 1881 roku. Przez B. P. . . .	438
--	-----

Kronika krajowa i zagraniczna.

KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowy zbiór poezyi Wiktora Hugo: „Les quatre vents de l'esprit.”—
Zmarły Emil Littré.—Wystawa rzeźb i obrazów: Baudry: „Apo-
teozja prawa.”—Blanc: „Tryumf Kłowisa.”—Leroux: „Herkula-
num.”—Brozik: „Krysztof Kolumb, Petrarka i Laura.”—Detail-
le: „Rozdanie sztandarów.”—Bertrand: „Ojczyzna.”—Neuville:
„Wojenne sceny.”—Obrazy ludowe.—Portrety.—Rzeźby.—Al-
lard: „Śmierć Alcesty.”—Barrias: „Obrona Paryża” i t. d.—

Rzeźbiarze polscy, pp.: Godebski, Boryczewski, Guyski, Hegel, Łozik, panna Dąbrowska, pani Matylda z Warszawy.—Malarze polscy: p. Merwart: „Scena z potopu.”—P. Alchimowicz: „Obro- na Olsztynu.”—P. Chelmoński: „Konie ukraińskie.”—P. Pio- trowski: Scena wiejska, „Pochód z rannym.”—P. Nikutowski: „Modlitwa przed bitwą.”—P. Bakałowicz: „Uczta na dworze Henryka Walezyusza.”—P. Szyndler: „Portret,” „Odaliska.”— PP. Zier: „Portrety,” „Echo,” „Auda.”—P. Horwitz: „Portret.” —PP.: Przepiórski, Cetner, Kowalski, Słaczyński, Karbowski, Gąsowski.—Akwarelo i porcelany: pp. Ostrowski, Kwiatkowski; panie: Zaliwska, Zaborowska, Grabowska, Konstancya Boulard, panna Helena Duchńska.—Arcydzieło Munkacego: „Chrystus przed Piłatem.”—Notaty Mandaryna chińskiego	278
--	-----

Rozbiory i krytyka.

„O regestach najstarszych dyplomatów naszych.” Z powodu dzieła prof. Smolki: „Mieszko Stary i jego wiek.” Przez dr. Fryde- ryka Papée	114
Pamiętniki Metternicha. Przez Ludwika Żychlińskiego.	118
„Złota księga szlachty polskiej.” Przez Teodora Żychlińskiego. Ro- cznik trzeci. Poznań, 1881 r. Przez Adama Bonieckiego.	123
„Przypadki pana Marka Hińczy.” Rzeczo z podań życia staro-szlache- ckiego, spisana przez J. I. Kraszczyńskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1881 r., w 8-ce, str. 312. Przez R. B.	132
„Wady naszych sądów,” p. Edmunda Jankowskiego, redaktora „Ogro- dnika Polskiego.” Wilno, 1881 r. Nakład E. Orzeszkowej, str. 36, w 8-ce. Przez R. B.	135
Correspondence inédite du prince de Talleyrand et du roi Louis XVIII pendant le Congrès de Vienne par Pallain. Przejrzał Ludwik Żychliński.	302
„O geograficznych błędach,” na których się opierają historycznoscne poglądy prof. Duchńskiego. Warszawa, 1881 rok. W 8-ce, str. 55. Przez R. B.	307
Typy i obrazy krakowskie p. Michała Bałuckiego. Wilno. Nakład E. Orzeszkowej i S-ki, 1881 r., w 8-ce, str. 262. Przez R. B.	312
Wykład prawa administracyjnego oraz prawa administracyjnego obo- wiązującego w Królestwie Polskiem. Napisał prof. dr. Antoni Okolski. Warszawa, 1880. Staraniem i nakładem Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych. Tom I, str. 476. Przez B. Oczapowskiego	454
„Pokuta,” powieść Józefa Rogosza. Lwów, nakład i druk W. Manie- ckiego, r. 1881; w 8-ce, str. 308. Przez R. B.	467

Korespondencje Biblioteki Warszawskiej:

W kwestyi autentyczności pieśni Bulgarów macedońskich ze zbioru Stefana Werkowicza. Przez Br. G.	137
O sposobie czytania Fraszki Kochanowskiego: „Raki.” Przez Felicjana.	472

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK., ART. I SPOŁECZNE.

- Lipiec.*—Trzeci zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie (139).—Konkurs koła literackiego we Lwowie na książeczkę o Janie Sobieskim.—Konkurs p. Dobieckiego na książkę dla ludu.—Wystawa rolniczo-przemysłowa ks. M. Ogińskiego w Retowie (140).—Ostatni spis ludności w Austrii (141).—Sojnowanie Rady miejskiej we Lwowie (143).—Kasa pożyczkowa dla rzemieślników.—O Banku hipotecznym, p. Kirszrota (146).—Stosunek szkół polskich i rusińskich w Galicji (146).—Korespondencya „Głosu“ z Siedlec o greko-unitach (147).—Nazwiska osób z Królestwa Polskiego, zmarłych we Francji (147).—Nieznane dzieło Kopernika (148).—Kandydatura Hozyusza na bisk. warmińskie.—Wydanie lwowskie dzieł Adama Mickiewicza.—Pamiętniki Wybickiego (149).—Czasopismo rusińskie „Świtło” (149).—Jubileusz Pirogowa.—Zapis Wollowicza (149).—Wystawa gospodarska na placu Ujazdowskim.—Wystawa sztuk zastosowanych do rzemiosł w pałacu Brühlowskim (150).—O egzaminach szkolnych i dojrzałości (151).—Dzieła L. Siemieńskiego.—J. Łukaszewicza,—Jul. Bartoszewicza,—Sokoła (152).—Encyklopedia wychowawcza, t. II, zeszyt 1.—Przegląd pedagogiczny.—Wernic: „Wychowanie dziecka.”—Słownik geograficzny, t. II, zeszyt 6-ty (153).—Gaston Tissandier. Questions controversées de l’histoire et de la science“ (154).—Gutberlet: „Psychologia.”—Piotr Chmielowski: „Zarys literatury z ostatnich lat 16 tu” (155—159).—Zbiór wiadomości statystycznych Towarzystwa kredytowego ziemskiego (154).—Chmielowski prof. historii literatury polskiej w uniwersytecie warszawskim.—Wiktor Hugo.—E. Littré (161). 139—161
- Sierpień.*—Pielgrzymka słowiańska do Rzymu dla uczczenia apostołów Słowian św. Cyryla i Metodego (318).—Konkurs Albina Dziekońskiego na dzieło, mające przedstawić obraz publicznych instytucji polskich we wszystkich gałęziach od r. 1800—1879, istniejących w państwie rosyjskiem, austriackiem i pruskim (321).—Konkurs na dzieło o wyrobie nafty (321).—Droga żelazna Iwanogrodzko-Dąbrowska (322).—Wystawa dzieł sztuki zastosowanych do rękodzieł i do rzemiosł, w pałacu Brühlowskim (323).—Zjazd pedagogiczny w Krakowie (323).—Zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie (323).—Pamiętnik Fizyogra-

ficzny (325).—Towarzystwo pomocy dla sług (328).—Dzieło Jul. Sypniewskiego: „Owczarstwo” (329).—Olbracht Łaski p. Al. Kraushara; Jan Łaski p. Daltona (329).—Dzieło Frańciszka Stöpel: „O organizacyi społecznej, jako próba załagodzenia sporu między indywidualizmem a socyalizmem (330).—Salomon Majmon p. A. Rembielińskiego (331).	318—331
<i>Wrzesień</i> .—O nowym planie nauki języka polskiego i klasach równoległych w zakładach średnich (473, 474).—Temata do rozpraw na medale wydz. historyczno-filologicznego i fizyko-matematycznego (474).—Kongres literacki międzynarodowy w Wiedniu. —Pożar teatru czeskiego w Pradze (475).—Spostrzeżenia meteorologiczne H. Parville (476, 477).—Wystawa ogrodnicza w Warszawie (477).—Upominek dla uczestników III-go zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie.—Encyklopedia wychowawcza.—Wypisy polskie Bądzkiewicza i Dygasińskiego.—Protaszewicza: „Broń przeciwko germanizacyi ziemi słowiańskiej” (479).—Adam Goraj: „Tendencyjność i krytyka” (480).—Józef Grajner: „Powiastki historyczne.”—J. Finkelhaus: „Obrazki z Afryki” (481).—Rusycyzmy (482).—Abancourt (Era konstytucyjna austriackiej monarchii).—Benoni (Sprawozdanie zarządu Tow. pedag.).—Gustawicz (Podania ludowe w dziedzinie przyrody).—Lewicki (O Rusi za panowania polskiego).—Broszura: „Polska i wielkie mocarstwa.”—Nowsze dzieła z antropologii, etnologii, historii starożytnej i średniej, filozofii, podróży, archeologii, kultury Niemiec, architektury i botaniki (484, 485).	473—485

Nekrologia.

Adam Ferdynand Adamowicz (162).—Karol Kloss (163).—Karol Mecherzyński (486).	
OD REDAKCYI.	164
SPROSTOWANIE.	164, 488

